

CZARNA SERIA



.. ALEXANDER
SÖDERBERG

Diabelnie intensywny, pełen werwy
thriller sensacyjny

**ANDALUZYJSKI
PRZYJACIEL**



.. ALEXANDER
SÖDERBERG
ANDALUZYJSKI
PRZYJACIEL

Przekład Maciej Muszalski

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2012

Prolog

Spojrzenie kobiety wędrowało między wstecznym lusterkiem a pasem ruchu. Nie widziała motocykla. Już nie. Był tam chwilę wcześniej, przybliżył się, a potem znowu zniknął. Zjechała na prawy pas autostrady, chcąc schować się za samochodami jadącymi wolniej.

Obok niej siedział mężczyzna, patrzył do tyłu i starał się ją instruować. Nie docierało do niej, co mówi, słyszała tylko panikę w jego głosie.

Kontury motocykla pojawiały się w drżącym lusterku, znikwały i pojawiały się znowu - widać było, że motocykl lawiruje między samochodami.

Gwałtownie zjechała na lewy pas i docisnęła pedał gazu. Samochodem zatrzęsło od wysokich obrotów silnika, wrzuciła piątą i ostatni bieg, zrobiło jej się niedobrze.

Na stopach czuła podmuch wiatru, pociski musiały trafić tuż obok. Z dziur po kulach dochodziło wycie, zlewające się z rykiem silnika w hałas, który przeszywał ją na wskroś. Nie umiała powiedzieć, jak długo jechała, zanim padły strzały - były nagle i nierzeczywiste. Widziała, że kierowca motocykla ma niebieski kask z ciemną szybką, a strzelec na tylnym siedelku - czarny, bez szybki. Przez ułamek sekundy patrzyła mu w oczy; dostrzegła w nich pustkę.

Strzały padły z lewej strony, odgłosy, jeden po drugim, dobiegały nie wiadomo skąd. W samochodzie rozległ się łomot, jakby ktoś uderzał łańcuchem o blachę. W tej samej chwili usłyszała krzyk. Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy dobyt się z jej ust, czy też z ust siedzącego obok mężczyzny. Spojrzała na niego przelotnie. Zmienił się, jego zdenerwowanie

i strach przebijały na zewnątrz pod postacią furii. Widać to było na jego twarzy - zmarszczone czoło, wytrzeszczone oczy, co jakiś czas drgnięcie jednej powieki. Drugi raz, odkąd padły strzały, wybrał krótki numer w komórce. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie bez skutku czekał na połączenie, w końcu się rozłączył.

Motocykl znów zaczął się do nich zbliżać z dużą prędkością - mężczyzna krzyknął, żeby jechała szybciej. Pomyślała, że szybkość im nie pomoże, podobnie jak jego krzyki. Poczwała w ustach metaliczny posmak strachu i gorączkowy szum w głowie. Jej panika przekroczyła pewną granicę, nie drżała już, czuła tylko ciężar własnych rąk, tak jakby prowadzenie samochodu kosztowało wiele wysiłku. Niczym niepokonany przeciwnik motocykl zrównał się z nimi. Spojrzała szybko w lewo, w dłoni napastnika zdążyła dostrzec krótkolufową broń, widziała, jak w nią celuje. Odruchowo padła, broń wypluła pociski, słysząc było grzechot uderzających o blachę kul i brzęk szyby, która rozpryskując się, obsypała ją deszczem szklanych odłamków. Leżała z głową na boku, wciskając gaz do dechy. Samochód prowadził się sam, nie miała pojęcia, co się dzieje przed nimi. Zanim się pochyliła, zdążyła tylko zobaczyć otwarty schowek wypełniony magazynkami i pistolet w dłoni napastnika. Po chwili usłyszała głośny trask, uderzenie blachy o metal. I odgłos szorowania z prawej strony, kiedy samochód wjechał na barierkę. Rozległ się zgrzyt i pisk, samochodem zarzuciło, poczuła zapach spalenizny.

Podniosła się, skrzyła kierownicą, wyrównała i wróciła na pas. Rzut oka przez ramię - motocykl wciąż był za nimi. Mężczyzna zaklął głośno, przechylił się nad nią i wystrzelił przez okno, trzy razy z rzędu. W samochodzie rozległ się niezmierny huk, motocykl przyhamował i zniknął z pola widzenia.

- Ile jeszcze? - zapytała.

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał pytania, po chwili jednak musiał usłyszeć w głowie jego echo.

- Nie wiem... - odparł.

Wcisnęła gaz do dechy, wskazówka prędkościomierza drgała, a samochodem zarzucało. Rzut oka we wsteczne lustro.

- Znowu jedzie - powiedziała.

Próbował otworzyć okno, ale od zderzenia z barierką wgniotły się drzwi i szyba utknęła. Odchylił się w jej stronę, wziął zamach prawą nogą i wybił ją kopniakiem. Większość szkła wypadła na zewnątrz. Pozostałe odłamki zmiotł uchwytem pistoletu, następnie wychylił się przez okno i zaczął strzelać do motocykla, który znów się oddalał. Zrozumiała, że ich sytuacja jest beznadziejna. Motocykl miał przewagę.

Zapadła cisza, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Sunęli po autostradzie, patrząc przed siebie i próbując się pogodzić z nadchodzącą śmiercią. Ich twarze były pozbawione wyrazu, nie potrafili zrozumieć, co w tym momencie dzieje się w ich życiu. On wyglądał na zmęczonego, zwiesił głowę, oczy miał smutne.

- Powiedz coś! - zażądała podniesionym głosem, z rękami na kierownicy, jadąc wciąż z tą samą prędkością, wpa-trzona w drogę.

Z początku nie odpowiadał, wydawał się pogrążony w myślach. Nachylił się w jej stronę.

- Przepraszam, Sophie.

Część pierwsza

Sztokholm, sześć tygodni wcześniej. Maj.

1

Jej aparycja, jej styl sprawiały, że nie wyglądała na pielęgniarkę - nieraz jej to mówiono. Nigdy nie potrafiła stwierdzić, czy to komplement, czy obelga. Miała długie ciemne włosy i zielone oczy, które czasami sprawiały wrażenie, jakby zbierało jej się na śmiech. Wcale tak nie było, po prostu tak wyglądała, jakby uśmiech w oczach był czymś, z czym się urodziła.

Schody skrzypiały pod jej stopami. Dom - nieduża, pomalowana na żółto drewniana willa z 1911 roku ze szczelinowymi oknami, starym, błyszczącym parkietem i ogrodem, który mógłby być większy - był jej miejscem na ziemi, zrozumiała to już, kiedy zobaczyła willę po raz pierwszy.

W ten bezwietrzny, wiosenny wieczór okno w kuchni było otwarte. Powietrze pachniało bardziej latem niż wiosną. Lato, co prawda, miało się zacząć dopiero za kilka tygodni, ale ciepło przyszło wcześniej i nie chciało ustąpić. Wisiało w powietrzu, ciężkie i nieruchome. Cieszyła się nim, potrzebowała go, upajała się tym, że może zostawić okna i drzwi otwarte i swobodnie poruszać się między domem a ogrodem.

W oddali słyhać było motorower, gdzieś na drzewie śpiewał drozd, inne ptaki też, ale nie wiedziała, jak się nazywają.

Sophie wyjęła porcelanę i nakryła stół dla dwóch osób, wybierając najelegantsze talerze, najlepsze sztuce i najładniejsze szklanki; unikała powszedniości, jak się tylko dało. Wiedziała, że będzie jadła sama, ponieważ Albert jadł, kiedy był głodny, co rzadko pokrywało się z czasem jej posiłków. Na schodach rozległ się dźwięk jego kroków, sportowe buty szybko stąpające po starej dębini, trochę za ciężko, trochę za twardo - Albert nic sobie nie robił z hałasu, jaki powodował. Uśmiechnęła się do niego, kiedy wszedł do kuchni. Odpowiedział chłopięcym uśmiechem, otworzył drzwi lodówki i o wiele za długo przyglądał się jej zawartości.

- Albert, zamknij lodówkę.

Nie ruszył się. Sophie skubnęła kilka kęsów, w roz-targnieniu przeglądała gazetę. Podniosła wzrok i po raz drugi wypowiedziała to samo zdanie, tym razem z irytacją w głosie.

- Nie mogę się poruszyć... - wyszeptał teatralnie.

Wybuchnęła śmiechem, rozśmieszył ją nie tyle jego drę-twy humor, ile fakt, że żartował, napawało ją to radością... może nawet dumą.

- Co dzisiaj robiłeś? - zapytała.

Widziała, że zbiera mu się na śmiech. Rozpoznawała ten stan, zawsze uważał własne żarty za zabawne. Albert wyjął z lodówki wodę mineralną, zamknął drzwi i klapnął na ławę. Syknął gaz z otwieranej butelki.

- Wszyscy są psychiczni - powiedział, upijając tyk. Zaczął opowiadać o swoim dniu, relacjonować pojedyncze sytuacje, które mu się przypominały. Z rozbawieniem słuchała, jak nabija się z nauczycieli i innych uczniów. Widziała, że bycie zabawnym sprawia mu przyjemność, lecz nagle skończył. Sophie nigdy nie potrafiła przewidzieć, kiedy to nastąpi, po

prostu urwał, tak jakby zmęczył się sobą i swoimi żartami. Chciała złapać go za rękę, poprosić, żeby został, żeby nadal był zabawny, nadal ludzki i złośliwy zarazem. Ale to tak nie działało. Próbowwała już wcześniej i zawsze wychodziło nie tak, więc pozwoliła mu odejść.

Zniknął w korytarzu. Przez chwilę panowała cisza, może zmieniał buty.

- Wisisz mi tyśiaka.
- Dlaczego?
- Baba od mopa dzisiaj była.
- Nie mówi się „baba od mopa”.

Słyszała, jak zasuwa zamek kurtki.

- A jak? - zapytał.

Nie wiedziała. Już wychodził z domu.

- Pa, pa, mamó. - Jego głos nabrał nagle miłego brzmienia.

Drzwi się zamknęły, usłyszała jego kroki na żwirowej ścieżce za otwartym oknem,

- Zadzwon, gdybyś miał się spóźnić! - krzyknęła.

Wróciła do swoich stałych czynności. Sprzątnęła ze stołu, zrobiła porządek, popatrzyła w telewizor, zadzwoniła do koleżanki porozmawiać o niczym - dzięki temu wieczór jakoś minął. Poszła do łóżka, próbowała czytać książkę o kobiecie, która znalazła nowy sens życia, pomagając dzieciom ulicy w Bukareszcie. Książka była nudna, bohaterka pretensjonalna - Sophie nie miała z nią nic wspólnego. Zamknęła książkę, odłożyła ją na stolik przy łóżku i zasnęła, jak zwykle sama.

Osiem godzin później była szósta piętnaście rano. Sophie wstała, doprowadziła się do porządku, wytarła lustro, które gdy było zaparowane, ukazywało słowa: *Albert, AIK* i mnóstwo innych nieczytelnych rzeczy, które pisał palcem, myjąc zęby. Prosiła, żeby przestał. Nie wydawał się tym przejmować; jakąś częścią siebie uważała to za wspaniałe.

Doprowadziła się do ładu i od razu zjadła śniadanie, jednocześnie czytając pierwszą stronę porannej gazety. Wkrótce nadszedł czas, by jechać do pracy. Trzy razy krzyknęła do Alberta, żeby wstał. Kwadrans później siedziała już na rowerze, a rześka poranna bryza pomagała jej się rozbudzić.

Był znany jako Jeans. Naprawdę myśleli, że tak ma na imię. Śmiali się, wskazywali swoje spodnie. *Jeans!*

Ale miał na imię Jens i siedział przy stole w szopie w paragwajskiej dżungli z trzema Rosjanami. Szef nazywał się Dmitrij, był wysokim i chudym chłopakiem koło trzydziestki o twarzy dziecka - dziecka, którego rodzice byli kuzynami. Jego koledzy, Gosza i Witalij, byli w tym samym wieku - ich rodzice mogli być rodzeństwem. Cały czas się śmiali, choć nie był to wyraz radości; mieli szeroko rozstawione oczy i uchylone usta świadczące o tym, że nie bardzo cokolwiek z czegokolwiek rozumieją.

Dmitrij miesza! dry martini w plastikowym pojemniku. Dorzucił oliwki i wstrząsnął, porozlewał do pustych kubków po kawie i wzniosł toast po rosyjsku. Koledzy pokrzykiwali, każdy skosztował tego drinka o posmaku oleju napędowego.

Jens ich nie lubił, całej trójki. Byli odpychający, grubiańscy, nerwowi... Próbował nie okazywać odrazy, ale się nie udawało, zawsze był kiepski w ukrywaniu tego, co naprawdę czuł.

- Zobaczmy, co mamy - powiedział.

Rosjanie byli podekscytowani jak dzieci na Gwiazdkę. Wyszedł z szopy i skierował się w stronę jeeпа stojącego na zakurzonej, słabo oświetlonej podwórku.

Dlaczego Rosjanie jechali taki kawał drogi do Paragwaju, żeby zobaczyć towar, nie miał pojęcia. Z reguły było tak,

że ktoś u niego coś zamawiał, on to dostarczał, dostawał pieniądze i nigdy nawet nie widział klienta na oczy. Ale ci tutaj byli inni, tak jakby zakup broni był dla nich czymś wyjątkowym, zabawnym, przygodą samą w sobie. Nie wiedział, czym się zajmują, i nie chciał wiedzieć. Nie miało to znaczenia, byli tutaj, żeby obejrzyć i sprawdzić towar, wciągać kokainę, rznąć dziwki i wypłacić mu drugą z trzech umówionych rat.

Miał przy sobie MP7 i steyra AUG. Reszta broni leżała zapakowana w magazynie portowym w Ciudad del Este i czekała na odjazd.

Rosjanie chwycili broń i zaczęli udawać, że do siebie strzelają. *Hands up... hands up!* Ryczeli ze śmiechu, wykonywali nerwowe ruchy. Dmitrij miał na brodzie biały ślad po kokainie.

Gosza i Witalij zaczęli się kłócić o MP7. Wyrwali sobie broń z rąk, okładali się mocno pięściami po głowach. Dmitrij ich rozdzielił i wyjął pojemnik z dry martini.

Jens obserwował ich z dystansu. Pewnie przeciągnął strunę. Paragwajczycy wrócą z dziewczkami, żeby pokazać przyjazne zamiary, a Rosjanie jeszcze bardziej się naćpają i narąbiają, i zaczną strzelać ostrą amunicją. Wiedział, co nastąpi, i nie mógł nic na to poradzić, wszystko pójdzie się jebać. Chciał się stąd zmyć, ale musiał czekać, aż wszędzie słońce, czuwać i być trzeźwym, żeby dostać swoje pieniądze, kiedy Dmitrij uzna, że przyszedł na to czas.

- *Jeans! Where the fuck is the ammo?*

Wskazał jeepa. Rosjanie wyrwali drzwiczki i zaczęli przeszukiwać samochód. Jens włożył rękę do kieszeni - została mu jeszcze jedna nikotynowa guma do żucia. Dwa miesiące temu przestał zażywać snus, a trzy lata wcześniej rzucił palenie. Teraz znajdował się w dżungli czterdzieści kilometrów od Ciudad del Este. Synapsy nikotynowe w jego mózgu domagały się uwagi. Włożył do ust ostatnią gumę, żuł

ją intensywnie, przypatrując się Rosjanom z kiepsko ukrywanym obrzydzeniem. Wiedział, że wkrótce znów zacznie palić.

*

Jeśli już była w szpitalu, to po to, żeby pracować. Praca rzadko zostawiała czas na cokolwiek innego, a poza tym nie lubiła pić kawy z koleżankami, źle się wtedy czuła. Nie była nieśmiała, być może w grę wchodził jakiś jej niedostatek, nieumiejętność wspólnego spędzania czasu przy kawie. To przede wszystkim z powodu pacjentów pracowała w tym miejscu, ale nie ze względu na jakieś szczególne oddanie czy też chęć opiekowania się innymi. Pracowała w szpitalu, gdyż tu mogła rozmawiać z ludźmi, przebywać w ich towarzystwie. Znaleźli się tutaj, ponieważ zachorowali, i dzięki temu bardziej byli sobą. Otwarci, ludzcy i szczerzy. Czuła się bezpiecznie i na swoim miejscu. Tego właśnie chciała i to ją tu przyciągało. Pacjenci rzadko gadali o bzdetach, zaczęli dopiero po wyzdrowieniu, a wtedy ich już zostawiała, a oni ją. Może dlatego Sophie tak wcześniej wybrała ten zawód.

Czy żerowała na cudzym nieszczęściu? Możliwe, ale nie czuła się pasożytem. Bardziej osobą uzależnioną. Uzależnioną od szczerości innych, od ich otwartości, od przyglądania się okazjonalnym przeblyskom prawdziwego ludzkiego wnętrza. A kiedy to się zdarzało, ci pacjenci zostawali jej ulubieńcami. Ulubieńcy niemal zawsze odznaczali się dostojnym charakterem. Właśnie słowo „dostojny” najlepiej tu pasowało. Kiedy zaś się objawiali, przystawała w zamyśleniu, może nawet z podziwem, i czuła, jak wypełnia ją trudna do zdefiniowania nadzieja. Prawi ludzie, potrafiący podchodzić do życia z uśmiechem i owym wewnętrznym dostojnictwem - a ona zawsze potrafiła ich dostrzec i zawsze działało się to od pierwszego spojrzenia, choć nie potrafiła

powiedzieć, w jaki sposób i dlaczego. Tak jakby ci nieliczni pozwalali swoim duszom kwitnąć, jakby wybierali to, co najlepsze, a nie tylko dobre, i mieli odwagę zobaczyć wszystkie swoje strony, łącznie z tymi ciemnymi i ukrytymi.

Niosła tacę do sali numer jedenaście, którą zajmował Hector Guzman. Przywieziono go przed trzema dniami po tym, jak potracił go samochód na przejściu dla pieszych w centrum miasta. Prawą nogę miał złamaną poniżej kolana. Lekarze podejrzewali także uszkodzenie śledziony, więc teraz był na obserwacji. Hector miał czterdzieści pięć lat, był ładny, choć nie można go było uznać za przystojnego, nieco tęgi, lecz nie gruby. Był Hiszpanem, ale zdawało jej się, że dostrzega w jego wyglądzie nordyckie cechy. W ciemnych włosach widoczne były jaśniejsze refleksy. Nos, kości policzkowe i broda były ostre, cera zaś miała lekko piaskowy odcień. Mówił płynnie po szwedzku i był jednym z tych dostojnych - być może dzięki czujnym oczom, zdołającym jego twarz, a może ze względu na łatwość, z jaką się poruszał, mimo mocnej budowy. A może przez ową naturalną obojętność, z jaką się uśmiechał za każdym razem, kiedy do niego przychodziła - jakby wiedział, że ona wie, co zresztą było prawdą, więc także odpowiadała mu uśmiechem.

W pozycji półleżącej, z okularami do czytania na nosie udawał pogrążonego w lekturze. Zawsze uprawiał takie małe gierki: kiedy przychodziła, udawał, że jej nie widzi, udawał, że jest zajęty.

Przygotowała tabletki i powkładała je do małych plastikowych kubeczków, z których jeden mu wręczyła. Wziął, nie odrywając wzroku od książki, wsypał tabletki do ust, chwycił szklankę wody i popił, wciąż skupiony na książce. Wręczyła mu drugą dawkę, postąpił tak samo.

- Zawsze jednakowo dobre - powiedział cicho i podniósł wzrok. - Masz dziś inne kolczyki, Sophie.

Omal nie podniosła ręki do ucha.

- Możliwe - odpowiedziała.
 - Nie, nie możliwe, tak jest. I dobrze ci w nich.
- Podeszła do drzwi, otworzyła.
- Czy mógłbym dostać trochę soku? Jeżeli można prosić.
 - Można - odparła Sophie.

W drzwiach spotkała mężczyznę, który wcześniej przedstawił się jako kuzyn Hectora. Był do niego niepodobny, szczupły, ale umięśniony, czarnowłosy, ponadprzeciętnego wzrostu, o czujnych, jasnoniebieskich oczach, które zdawały się rejestrować wszystko, co dzieje się dookoła. Powiedział coś do Hectora po hiszpańsku, Hector odpowiedział i obaj wybuchnęli śmiechem. Sophie odniosła wrażenie, że jest przedmiotem żartów, i zapomniała o soku.

Gunilla Strandberg siedziała w korytarzu z bukietem kwiatów w dłoni i widziała, jak pielęgniarka wychodzi z sali Hectora Guzman. Spojrzała na nią uważnie, gdy ta się zbliżała. Czy to radość dostrzegła? Ten rodzaj radości, o której nie wiemy, że z nas emanuje? Pielęgniarka przeszła obok. Znaczek na lewej kieszeni na piersi świadczył o tym, że należy do związku pielęgniarek Sophiahemmets Sjukskoterskekår. Obok znaczka miała przyczepioną tabliczkę z imieniem i nazwiskiem, Gunilla zdążyła przeczytać „Sophie”.

Odprowadziła Sophie spojrzeniem. Twarz kobiety była piękna. Piękna jak u kobiety z wyższych sfer, szczupła, dyskretna... i świeża. Pielęgniarka poruszała się lekko, jakby jej stopy przy chodzeniu zaledwie muskały podłogę. Eleganckie ruchy. Gunilla śledziła Sophie wzrokiem, dopóki ta nie zniknęła w innej sali.

Pogrążyła się w myślach. Myślach opartych na uczuciowych kalkulacjach. Spojrzała raz jeszcze tam, gdzie właśnie zniknęła Sophie, później na drzwi jedenastki, gdzie leżał Hector Guzman. Coś było pomiędzy. Energia... wzmocnienie

czegoś, czego nie dało się zobaczyć gołym okiem. Czegoś, co owa Sophie zabrała ze sobą z tamtej sali.

Gunilla wstała, przeszła kawałek korytarzem i zajrzała do pokoju dla personelu. Był pusty. Na ścianie lista dyżurów na ten tydzień. Rozejrzała się po korytarzu, po czym weszła, podeszła do listy i pomagając sobie palcem, szukała.

Helena...

Roger...

Anne...

Carro...

Nicke...

Sophie... Sophie Brinkmann - przeczytała.

Wetknęła bukiet kwiatów do pustego wazonu, który stał na stoliku na kółkach przed wejściem do pokoju, po czym wyszła z oddziału. W windzie wyjęła komórkę, zadzwoniła do biura i poprosiła o adres niejakiej Sophie Brinkmann.

Zamiast wrócić na posterunek na Brahegatan w centrum, przejechała nad autostradą i skręciła w kierunku willi w Stocksund. Zabłądziła w gąszczu małych uliczek, które sprawiały wrażenie, jakby nie chciały doprowadzić jej do celu, kluczyła bez ładu i składu, jeżdżąc to w górę, to w dół. Wreszcie znalazła się na właściwej drodze, odszukała właściwy numer i zatrzymała się przed małą, żółtą, drewnianą willą z białymi narożnikami.

Siedziała jeszcze chwilę za kierownicą. Okolica była spokojna, cieniasta, zaczynały kwitnąć brzozy. Wysiadła z samochodu; dobiegł ją zapach czeremchy.

Gunilla przespacerowała się kawałek, popatrzyła na sąsiednie wille. Później na dom Sophie. Był ładny, mniejszy niż te dookoła, odniosła wrażenie, że również bardziej niechlujny. Odwróciła się znowu, porównywała. Nie, u Sophie Brinkmann nie było niechlujnie, było normalnie. To u sąsiadów coś było nie tak. Swoisty perfekcjonizm, mdły i pozabawiony duszy porządek. I znowu willa Sophie: bardziej

żyjąca, fasada nie była dopiero co pomalowana, trawnik nie był świeżo przycięty, żwir na ścieżce niedawno wysypany, a okna przed chwilą wypucowane...

Gunilla odważyła się pchnąć furtkę i ostrożnie ruszyła zwirową ścieżką. Zajrzała w kuchenne okno. Na ile mogła się zorientować, kuchnia była urządzona ze smakiem. Stary i nowy styl w ciekawym połączeniu, ładny mosiężny kran, kuchenka AGA, blat ze starego dębu. Do tego lampa sufitowa, tak piękna, nietypowa i starannie dobrana, że Gunilla poczuła ukłucie zazdrości. Spojrzała dalej, jej wzrok zatrzymał się na ciętych kwiatach w dużym wazonie widocznym przez okno w korytarzu. Gunilla zrobiła parę kroków do tyłu i podniosła wzrok. Zobaczyła jeszcze jeden piękny bukiet w oknie na piętrze.

Kiedy wracała samochodem do miasta, jej mózg pracował na wysokich obrotach.

2

Leszek Śmiały czuł się jak pies. Jak bezpański pies. Kiedy w pobliżu nie było pana, odczuwał niepokój. Lecz Adalberto Guzman kazał Leszkowi lecieć, powiedział mu, co ma robić. Leszek wsiadł w samolot i kilka godzin później wylądował w Monachium.

Przez ostatnie dziesięć lat nie odstępował Guzmana na krok, z wyjątkiem jednego tygodnia raz na trzy miesiące. Jego życie składało się z takich właśnie trzymiesięcznych zmian: praca, a następnie tydzień wolnego. Zamawiał wówczas pokój w hotelu i siedząc w nim, pił całe dnie i nocę. Kiedy nie był zanadto pijany i nie spał, oglądał telewizję. Nic innego nie potrafił. Czekał tylko na koniec tygodnia, by móc znowu się czymś zająć. Leszek nigdy nie potrafił

zrozumieć, dlaczego Guzman wciąż narzuca mu ten odpoczynek.

Właśnie zakończył jeden z takich tygodni. Przez kilka pierwszych dni po przerwie był rozkojarzony i tak skacowany, że wstrząsały nim drgawki, jednak ćwiczenia i odpowiednia dieta pomogły mu stanąć na nogi i teraz czuł już, że wraca do siebie.

Leszek siedział za kierownicą skradzionego forda focusa w willowym miasteczku Grünwald nieopodal Monachium. Rozległe posiadłości z dużymi ogrodzonymi ogrodami, niewielki ruch.

Guzman dał mu zdjęcia Christiana Hankego, zadbanego dwudziestopięcioletka o krótkich, ciemnych włosach. Na powiększonych czarno-białych fotografiach był także jego tata, Ralph Hanke. Leszek przyjrzał się zdjęciom: uśmiechy ludzi sukcesu, szyte na miarę garnitury i staranne uczesanie.

Obserwował młodego człowieka przez lornetkę, nie dowiedział się jednak o nim niczego ponad to, że ten wrócił do domu około ósmej wieczorem i zaparkował swoje bmw na ulicy przed willą. Że miał kobiece towarzystwo, pomoc domową i do drugiej w nocy w jego sypialni paliło się światło. Że następnego ranka koło wpół do ósmej otworzył drzwi, szedł do metalowej furtki w murze, przeszedł przez ulicę, wsiadł do samochodu i pojechał do Monachium. To wszystko, co Leszkowi udało się zobaczyć podczas dwudziesto-czterogodzinnej obserwacji.

Radio w samochodzie grało bawarskie szlagiery. Jakiś chłopak śpiewający tak, jakby cały czas szeroko się uśmiechał, elektroniczne smyczki w tle, przewidywalna melodia. Leszek zrozumiał, że było tam coś o szczytach gór, więzach rodzinnych i szarotce. W tym kraju było coś chorego, nie do końca potrafił to określić.

Siedział z rękoma złożonymi na kolanach, oddychał spokojnie. Był piękny poranek, w powietrzu unosiła się lekka

mgła. Promienie słońca przeciskały się przez liście, nadając otoczeniu złotawy kolor. Pomyślał, że to jest piękne, boleśnie piękne.

Leszek przyjrzał się swoim brudnym dłoniom. Przy montowaniu bomby było trochę papraniny. Robił to już wcześniej, dawno temu, kiedy pracował w wywiadzie. Wtedy było to prostsze, mniej czasochłonne niż w przypadku nowoczesnych, trudno dostępnych bloków silnika. Leszek przeciągnął się, zamknął na chwilę oczy.

Kiedy je znów otworzył, dostrzegł między drzewami kontury jakiejś postaci, idącej od strony Willi Christiana w dół, w kierunku ulicy. Leszek starał się zobaczyć, kto to taki. Z siedzenia pasażera podniósł lornetkę Swarovski i przytknął ją do oczu. Postacią za drzewami była kobieta, młoda kobieta. Leszek rzucił okiem na zegarek, była za piętnaście ósma. Kobieta otworzyła metalową furtkę i wyszła na ulicę. Leszek wymacał palcem przycisk ustawiania ostrości. Miała jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, długie blond włosy, duże, czarne okulary przeciwsłoneczne i designerskie poszarpane dżinsy. Stukając wysokimi obcasami, szła pewnym krokiem w stronę samochodu. Przez ramię miała przewieszoną torebkę. Wyglądała bogato. Leszek szybko przesunął lornetkę w kierunku domu. Gdzie, do cholery, jest Christian? Wrócił do kobiety, która przechodziła przez ulicę - kierowała się w stronę BMW. Zamiast okrążyć samochód i zająć miejsce na siedzeniu pasażera, otworzyła drzwi od strony kierowcy, sprawnie siadła za kierownicą, a torebkę położyła obok. Leszek ponownie skierował lornetkę na dom, Christiana Hannego nie było nigdzie widać.

Kolejne sekundy płynęły powoli. Leszek pomyślał, że mógłby zacząć trąbić, otworzyć drzwiczki i do niej pomać, zrobić coś dziwnego albo szokującego, by przyciągnąć jej uwagę. Nie ruszał się jednak z miejsca, uznawszy, że wszystko jest już przesądzone i wszelkie próby zmiany

sytuacji spełzyłoby na niczym. Obserwując wszystko w dziesięciokrotnym powiększeniu i słuchając miękkiego głosu niemieckiego szansonisty, patrzył, jak piękna kobieta wykonuje ów drobny ruch, towarzyszący uruchamianiu samochodu, jak trzymając jedną dłoń na kierownicy, lekko pochyła się do przodu i prawą ręką przekręca kluczyk.

W tej samej milisekundzie, kiedy prąd z akumulatora powędrował do rozrusznika, przechwycił go kabel, który zapalił ładunek wybuchowy, ładunek zaś z kolei zapalił umieszczony pod samochodem kawałek plastiku.

Siła wybuchu rzuciła kobietą o sufit, łamiąc jej kark, samochód zaś uniół się jakieś pół metra nad ziemię. W tej samej chwili zapalił się umieszczony we wnętrzu pojazdu zbiornik z napalmem i wrak zamienił się w ogniste piekło.

Obserwował przez lornetkę, jak kobieta staje w płomieniach. Jak bez najdrobniejszego ruchu płonie. Jak znikają jej piękne jasne włosy, jej piękna jasna skóra... jak ona cała powoli znika.

Leszek wyjechał z Grünwaldu i znalazłszy ustronne miejsce w lesie, podpalił skradziony samochód. Następnie dostał się do Monachium, skąd zadzwonił do Guzmana i zostawił krótką wiadomość, że plan nie wypalił i że Guzman powinien mieć się na baczności i nie rozstawać się z przyjaciółmi. Telefon wrzucił do studzienki kanalizacyjnej i przez pewien czas kręcił się po mieście, by zyskać pewność, że nikt za nim nie idzie.

Kiedy poczuł się bezpiecznie, machnął na taksówkę, która zabrała go na lotnisko.

Kilka godzin później był już w drodze do domu, gdzie czekał jego pan.

Już od pierwszego dnia Hector zadawał Sophie pytania - o jej życie, dorastanie, młodość. Pytał ją o rodzinę, o to, co lubi, a czego nie. Uświadomiła sobie, że na wszystkie jego pytania odpowiada zgodnie z prawdą. Doszła nawet do wniosku, że bycie w centrum jego zainteresowania jest przyjemne, i mimo nawału pytań nigdy nie czuła, by się jej narzucał. Kiedy zanadto zbliżał się do czegoś, o czym nie chciała rozmawiać, przerywał, tak jakby sam wiedział, gdzie przebiega u niej granica. Natomiast im bliżej się poznawali, tym bardziej wstydlivy był w jej obecności. We wszystkich intymnych sprawach pomagały mu jej koleżanki. Sophie nie miała w tej sali zbyt wiele do roboty. Wślizgiwała się czasem do niego, udając, że pracuje.

Zapytał, czy jest zmęczona.

- Jak to?

- Wygląda pani na zmęczoną.

Sophie złożyła ręcznik.

- Wie pan, jak sprawić przyjemność kobiecie.

Hector lekko się uśmiechnął.

- Nie wydaje mi się, żeby pan tu jeszcze długo poleżai - kontynuowała.

Uniósł jedną brew.

-Ale takich rzeczy nie wolno mi mówić, tylko lekarz...

No, ale powiedziałam.

Sophie otworzyła okno, wpuszczając trochę świeżego powietrza, po czym podeszła do Hectora, gestem dłoni pokazała, by usiadł, zabrała mu spod głowy poduszkę i włożyła na jej miejsce nową. Wszystkie te czynności wykonywała rutynowo. Kątem oka widziała, że ją obserwuje. Podeszła do jego stolika i właśnie miała zabrać pustą karafkę na wodę, kiedy złapał ją za rękę. Jej reakcją powinno być odsunięcie ręki i wyjście z sali. Nie poruszyła się jednak. Serce waliło jej w piersi. Byli jak dwoje nieśmiałych młodzieńców, którzy po raz pierwszy czują swój dotyk i nie ośmielają się

spojrzeć sobie w oczy. Po chwili oswobodziła się i podeszła do drzwi.

- Życzy pan sobie czegoś? - zapytała. Głos miała niski, jakby dopiero się obudziła. Hector zmierzył ją wzrokiem i pokręcił głową. Sophie wyszła na korytarz.

On nie jest w moim typie, próbowała sobie wmówić. Ale kto w takim razie jest? Przez lata miała wiele typów, a każdy był zupełnie inny. Tłumaczyła sobie, że zauroczenie nie jest fizyczne, że on jest kimś, kogo po prostu chciałyby mieć przy sobie. Nie widziała w nim kochanka, nie widziała prawdziwego mężczyzny, przyjaciela ani ojca, ale jednocześnie wszystko naraz, w błogim połączeniu.

Resztę dnia przepracowała w ambulatorium na dole. Po południu, kiedy wróciła na oddział, w sali numer jedenaście nie było ani Hectora, ani jego rzeczy.

*

No i wszystko się spierdoliło. Wieczór skończył się źle, tak jak przewidywał. Kiedy Rosjanie w kilka minut zrobili swoje z nieszczęsnymi paragwajskimi dziwkami, zaczęli strzelać. Byli naćpani, strzelali na oślep z broni automatycznej. Kule leciały na wszystkie strony. Jens musiał strzelić Witalija w mordę. Witalij przeproszał z krwawiącym nosem. Dmitrij i ten drugi zwijali się ze śmiechu.

Następnego ranka spotkali się w szopie po raz drugi i jeszcze raz wszystko omówili. Datę dostarczenia towaru, logistykę i wynagrodzenie. Rosjanie zdawali się niczym nie przejmować. Dmitrij zaproponował kokę i zapytał, czy Jens chce iść z nimi na walkę kogutów. Jens odmówił i pożegnał się z Rosjanami.

Jeden z Paragwajczyków odwiózł go z powrotem do Ciudad del Este. Podróż trwała dwie godziny. Wytrzeszło ich na

kiepskich drogach. Siedzenie nie miało pokrowca. Kierowca był milczący i - jak zawsze w tym kraju - cały czas grało radio. Odbiór jak zwykle kiepski, zbyt duża głośność i denerwujący ostry dyszkant, którego wycie w tym wypadku rozlegało się z dwóch głośników umieszczonych na cienkich drzwiczkach samochodu. Ale to było okej, Jens zdążył się przyzwycząć. Miał czas na zapoznanie się z planem. Wydawał się dobry, nie doskonały, ale dobry - tak jest najczęściej. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek plan wydawał się doskonały w stu procentach.

Zbliżał się do czterdziestki. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był dobrze zbudowany, miał jasne włosy, smagłą cerę i gruby głos - wynik przedwczesnego dojrzewania i masy wypalonych papierosów. Ruchy miał raczej powolne, a poza tym rzadko odrzucał propozycje, co było widać w jego spojrzeniu: mimo coraz to nowych zmarszczek dookoła z oczu była ciekawość.

Karabiny automatyczne, które kupili od niego Rosjanie, miały zostać przewiezione ciężarówką z Ciudad del Este na wschód, do portowego miasta Paranagua w Brazylii, a następnie statkiem przez Atlantyk do Rotterdamu. Tam broń zostanie wyładowana do samochodu, który zawiezie ją do Warszawy, a wtedy zadanie Jensa będzie wykonane.

Historia z bronią nabrała rozpędu dwa miesiące wcześniej. Risto zadzwonił z Moskwy i powiedział, że ma zapotrzebowanie na empesiódemki i coś mocniejszego.

-Ile?

- Dziesięć z każdego.

- To niedużo.

- Zgadza się, ale to jest grupa z ambicjami. W przyszłości będą jeszcze potrzebowali twojej pomocy. Potraktuj to zamówienie w ten sposób.

To była mała robótka, załatwienie tego nie będzie trudne.

- Okej... podzwonię i dam znać.

Skontaktował się z „Maklerem”. „Makler” był anonimowy do szpiku kości, miał zwykłą stronę internetową poświęconą modelom samolotów, przez którą można się było z nim skontaktować, jeśli wpisało się na forum odpowiednie hasło. Był drogi, ale pewnym źródłem, jak dotąd ani razu mu nie odmówił i zawsze potrafił sprostać jego życzeniom. Zakupu dokonywał u nieznanego Jensowi sprzedawcy. W ten sposób było wielu pośredników i nikt nie mógł nikogo wsypać. Jens poprosił o empesiódemki i steyra AUG - nie aż tak przestarzały austriacki karabin. „Makler” odezwał się za jakiś czas, powiedział tak dla steyra AUG i nie dla empesiódemek, dodając, że sprzedawca może zamiast nich zaoferować empepiątki. Klienci Rista byli w tej kwestii zdecydowani: chcieli empesiódemek. Sprawa jak zwykle się rozwiązała. Prawie. Stanęło na komplecie steyrów, ośmiu empesiódemek i dwóch empepiątkach. Może być, pomyślał Jens.

Risto polecił mu pojechać do Pragi i spotkać się z klientami. Jensa to zdziwiło.

- Dlaczego? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Po prostu tak chcą - odparł Risto.

Spotkanie w Pradze okazało się bezsensowne. Zorganizowali je tylko po to, żeby go wyczuć. Dmitrij, Gosza i Witalij zachowywali się tak, jakby wciąż jeszcze byli na etapie przykrego dojrzewiania.

Pili wódkę w pokoju Jensa w hotelu na Malej Stranie. Witalij zdjął lustro łazienkowe i położył je na stole. Sfatygowaną, popękaną kartą Diners Club zrobił wiele grubych kresek. Następnie przyszły dziwki, młode, naćpane dziewczyny z którejs / . byłych republik radzieckich. Dmitrij zaprosił wszystkich na kolację. Wybrali nowoczesne, bezduszne miejsce przy placu Waclawa. W środku chrom, skóra i sztywny plastik. Dzwiki były na heroinie. Jedna dłubała w którymś z tylnych zębów, druga uciskała palcem policzek, trzecia drapała się bez przerwy po ramieniu. Dmitrij stawiał szampana, przy homarach

wdał się z Goszą w bójkę na szczypcie. Jens zdał sobie sprawę, że nic go z Dmitrijem nie łączy. Wymknął się stamtąd i poszedł do Roxy, klubu nocnego na Dlouhej. Tam aż do wschodu słońca pił i patrzył na tańczących.

Następnego dnia Dmitrij wrócił do hotelu ze swoją padniętą ekipą i zaproponował, by wzięli LSD i przeszli się na mecz Sparty Praga z grającym na wyjeździe Zenitem Sankt Petersburg. Jens odparł, że niestety ta przyjemność go ominie, ponieważ musi wcześniej wrócić do domu. Zaśmiali się w swój pozbawiony radości sposób, wciągnęli po kresce w jego pokoju hotelowym, już naćpani podrażnili się z nim trochę i w końcu wyszli, krzycząc i wymachując gaśnicą, którą zerwali ze ściany w korytarzu.

Jens poleciał wcześniejszym samolotem do Sztokholmu.

Kiedy już był w mieszkaniu, otrzymał wiadomość: „Buenos Aires za dwa dni”. Przepakował torbę i po kiepsko przespanej nocy pojechał z powrotem na lotnisko Arlanda i poleciał przez Paryż do Buenos Aires. Wylądował na lotnisku Ezeiza, kilka godzin odpoczywał w pokoju hotelowym, potem zjadł obiad w towarzystwie łącznika - zadowolonego z siebie kretyna. Jens dał mu pieniądze, łącznik zaś wręczył Jensowi kluczyki i poinformował, że furgonetka stoi w hotelowym garażu. Jens zajrzał do pudeł z tyłu, broń była w środku, wszystko grało.

Czuł się zmęczony, postanowił więc, że zostanie jeszcze jeden dzień, zanim wyruszy z ładunkiem do Paragwaju. Poszedł popatrzeć na zmagania bokserów, ale mecz szybko przerodził się w coś, co bardziej przypominało zwykłe mordobicie aniżeli sprawiedliwą walkę. Jens wyszedł stamtąd, zanim sędzia odgwiżdżał koniec. Popołudnie spędził na oglądaniu atrakcji turystycznych. Chciał się poczuć normalnie, szybko jednak zdał sobie sprawę, jak bardzo go to nudzi.

Znalazł jakąś restaurację i przy dobrym jedzeniu czytał zabrane z hotelu egzemplarz „USA Today”.

W pierwszej chwili nie zareagował na swoje imię. Kiedy jednak podniósł wzrok, od razu rozpoznał Jane, młodszą siostrę Sophie Lantz. Niewiele się zmieniła od czasu, kiedy ją ostatnio widział, choć wtedy była jeszcze dzieckiem.

- Jens? Jens Vall? Co ty tu robisz?

Uśmiech Jensa zamienił się w śmiech. Wstał z krzesła i kiedy padli sobie w ramiona, udzieliła mu się jej radość.

- Witaj, Jane.

Milczący mężczyzna za jej plecami miał na imię Jesus. Nie przedstawił się, Jane zrobiła to za niego. Usiedli przy jego stoliku, Jane zaczęła mówić, zanim jeszcze jej pupa dotknęła siedzenia. Jens słuchał i śmiał się na przemian. Prędko zrozumiał, dlaczego znalazła sobie takiego milczka jak Jesus. Opowiadała, że byli z Jesusem w Buenos Aires u jego rodziny, że nie mają dzieci i mieszkają w trzypokojowym mieszkaniu przy placu Järntorget na Gamla stan.

Jens zaczął pytać o Sophie, ale niewiele się dowiedział: że teraz nazywa się Sophie Brinkmann, jest wdową, ma syna i pracuje jako pielęgniarka. Jane uznała, że powiedziała już wszystko, i sama przeszła do zadawania pytań. Jens skłamał gładko, że handluje nawozami sztucznymi, często wyjeżdża w interesach, nie ma rodziny ani dzieci, ale może któregoś dnia to się zmieni.

Tego wieczoru jedli i pili. Jesus i Jane pokazali mu miejsca, do których sam nigdy by nie trafił. Zobaczył prawdziwą twarz tego miasta i spodobało mu się jeszcze bardziej.

Jens nie odezwał się tego wieczoru ani razu.

- On jest niemową? - Jens zadał naturalne w tej sytuacji pytanie.

- Czasem coś powie - odparła.

Wracając taksówką do hotelu, poczuł nagle przygnębienie. Przygnębienie wywołane spotkaniem z przeszłością. Żle spał tej nocy.

Samochody telepały się w kierunku Ciudad del Este. W od-
dali widział miasto, cieszył się, że uniknął towarzystwa Ro-
sjan. Przed odjazdem przygotowuje wszystko co trzeba i broń
zostanie przeładowana do ciężarówki.

W pomieszczeniu kuchennym czekała na nią wiadomość.
Mała, biała, sztywna koperta z jej nazwiskiem, napisanym
czarnym atramentem. Otworzyła ją, czekając, aż zaparzy się
kawa, szybko przeczytała i schowała do kieszeni.

Miała nadzieję, że wykonując tego przedpołudnia swoje
codzienne obowiązki, zapomni o tym, co przeczytała. Nie
udało się. Za piętnaście dwunasta poszła do szatni, zdjęła
fartuch pielęgniarki, wzięła torebkę i letnią kurtkę i zeszła
do korytarza przy wejściu.

Czekał na nią kuzyn Hectora, skinął głową, by z nim
wyszła. Zrobiła tak, ale czuła się przy tym niepewnie,
jakby jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że to zła decyzja.
Za niepewnością kryła się jednak ekscytacja tym, że robi
coś spontanicznego i nieprzemyślanego. Pierwszy raz od
dawna.

Samochód był nowy - jeden z tych japońskich ekologicz-
nych. Nie było w nim nic szczególnego, po prostu był nowy.
Pachniał nowością i wygodnie się w nim siedziało.

- Pojedziemy na Vasastan - powiedział.

Spotkali się wzrodem w lusterku. Miał niebieskie oczy,
spojrzenie intensywne i jasne.

- Jesteście kuzynami z której strony?

- Z każdej.

Roześmiała się.

- Ach tak? To znaczy?

- Jak tylko się da.

Wyglądało na to, że zakończył temat.

- Mam na imię Aron.

- Cześć, Aron.

Przez resztę drogi w samochodzie panowała cisza.

Stoły, krzesła i obrotowe drzwi do kuchni. Światło było za ostre, na ścianach wisiały pejzaże, a ceraty na stołach były w kratę. Restauracja, jakich wiele.

Uśmiechnęła się na widok siedzącego kawalek dalej i machającego do niej Hectora, ale idąc do jego stolika, postarała się stonować uśmiech.

Wstał i podsunął jej krzesło.

- Sam bym po panią pojechał, gdyby nie ta noga.

Sophie usiadła.

- Nic nie szkodzi, Aron był miłym towarzyszem, nawet jeśli trochę cichym...

Hector się roześmiał.

- Zjawiała się pani - powiedział.

Przesunął po stole laminowane menu.

- Nie mieliśmy okazji się pożegnać.

- To prawda - odparła.

Hector zmienił ton.

- Przychodzę tu na skorupiaki. Powiem pani, że mają najlepsze w mieście.

- W takim razie zamówię.

Nie ruszyła menu, ręce miała splecione na kolanach. Hector niemal niezauważalnie sldnął głową komuś stojącemu za barem.

Spotkanie z Hectorem poza szpitalem było czymś niezwykłym. Nagle uderzyło ją, że ma zjeść obiad w towarzystwie zupełnie obcego mężczyzny. On jednak dostrzegł jej niepewność i zaczął mówić, opowiadał anegdoty o swoim pobycie w Sztokholmie, o tym, jak leżał zagipsowany i jak musiał pociąć swoje ulubione spodnie, powiedział, że brakuje

mu szpitalnego jedzenia i ziemniaczanego purée z proszku. Potrafił żartować z przyziemnych spraw, zamieniając drętą sytuację w coś swobodnego i naturalnego.

Słuchała go jednym uchem. Podobało jej się to, jak wyglądał, spojrzeniem jak zawsze zatrzymywała się na jego bystrych oczach, które były różnokolorowe. Prawe oko miał ciemnoniebieskie, lewe ciemnobrązowe. Czasami, zależnie od światła, kolory zmieniały odcień i było tak, jakby na chwilę stawał się kimś innym.

- Pusto w szpitalu beze mnie?

Zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- Nie, jest jak zwykle.

Zjawiała się kelnerka z dwoma kieliszkami wina.

- Hiszpańskie, białe. Nie jest to nasz największy rarytas, ale... da się pić.

Hector uniósł kieliszek, wznosząc radosny toast. Ona nie tknęła wina, wzięła szklankę wody i upiła łyk, po czym przekrzywiwszy ją, szukała, na szwedzki sposób, kontaktu wzrokowego. Hector tego nie zauważył, już na nią nie patrzył. Poczula się głupio.

Odchylił się do tyłu i przyglądał się jej ze spokojem i pewnością siebie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale jakaś nagła myśl sprawiła najwidoczniej, że się powstrzymał. Wyjąkał coś tylko niezrozumiale.

- Słucham? - zapytała ze śmiechem.

Zmienił pozycję na krześle.

- Sam nie wiem... Nie poznaję pani... Jest pani jakaś inna.

- Jak to?

- Nie wiem, po prostu inna. Może dlatego, że nie ma pani na sobie stroju pielęgniarki?

- A chciałby pan, żebym miała?

Jej słowa najwyraźniej go zawstydziły; rozbawiło ją to.

- Ale poznaje mnie pan? Wie pan, kim jestem?

- Zastanawiam się - powiedział.

- Nad czym?

- Nad tym, kim pani jest...

- Przecież pan to wie.

Potrząsnął głową.

- Trochę niby wiem... ale nie wszystko.

- Dlaczego chciałby pan wiedzieć wszystko?

- Przepraszam, nie chciałem być natarczywy.

- Nie jest pan natarczywy.

- Chyba jednak jestem...

- Jak to?

Hector wzruszył ramionami.

- Czasem chcę szybko dostać to, czego pragnę... I wtedy jestem natarczywy. Ale nie mówmy o tym. Chciałbym, żebyśmy wrócili do tego, na czym skończyliśmy.

Nie rozumiała.

- A na czym skończyliśmy?

Kelnerka podała 'do stołu. Na wprost nich znalazły się talerze. Hector gołymi rękami zabrał się do skorupiaków, obierał je z wprawą.

- Pani tata zmarł i kilka lat była pani sama i smutna... Później pani mama poznała Toma i wprowadziłyście się do niego. Zgadza się?

Z początku nie rozumiała, ale po chwili dotarło do niej, że jego pytania w szpitalu dotyczyły całego jej życia, poczynając od dzieciństwa. Opowiedziała wszystko linearnie, czy raczej to on linearnie zadawał pytania. Zdziwiła się, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

Spojrzał jej w oczy, jakby chciał powiedzieć: proszę mówić dalej. Sophie zastanowiła się, poszperała w pamięci i podjęła opowieść tam, gdzie ją przerwała. Opowiedziała o tym, jak ona i siostra stopniowo dochodziły do siebie po śmierci ojca. Jak razem z matką przeniosły się do willi Toma, położonej o kilka minut drogi od domu, w którym spędziły

dzieciństwo. Jak w dziewiątej klasie zaczęła palić marlboro lighty, jak życie stało się jaśniejsze.

Jedli ostrygi, langusty i *homara*. Sophie wciąż mówiła. Opowiadała o roku spędzonym w USA na wymianie, o swojej pierwszej pracy, o podróży do Azji, o młodzieńczych kłopotach ze zrozumieniem, na czym polega miłość, i o lęku przed dorosłością, który pojawił się tuż potem i utrzymywał jeszcze długo po trzydziestce. Jadła, pochłonięta własną opowieścią. Czas mijał, a ona zdała sobie sprawę, że mówi bez przerwy, nie dając mu szansy nic wtrącić. Zapytała, czy nie gada za dużo, czy go nie zanudza. Pokręcił głową.

- Proszę kontynuować.

- Poznałam Davida. Wzięliśmy ślub, urodził się Albert i lata tak szybko przeleciały. Już nawet nie pamiętam...

Urwała, czując nagły niesmak.

- Czego pani nie pamięta?

Sophie brała do ust drobne kęsy.

- Niektóre okresy w życiu są tak zbliżone, że zlewają się ze sobą.

- To znaczy?

- Sama nie wiem.

- No tak. - Uśmiechnął się.

Dziobała jedzenie widelcem.

- Pasywność - powiedziała cicho.

To słowo najwyraźniej tylko wzmogło jego ciekawość.

- W jakim sensie?

Podniosła wzrok.

- Słucham?

- Jaka pasywność?

Dopiła wodę, zastanowiła się nad jego pytaniem i wzdusiła ramionami.

- Taka, jak chyba u większości mam. Dzieci plus samotność. David pracował, często wyjeżdżał. Ja siedziałam w domu... Nic się nie działo.

Poczuła swój własny wyraz twarzy, poczuła zmarszczkę na czole. Spróbowała się uśmiechnąć. Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, podjęła wątek.

- Lata mijały, David zachorował, a resztę pan już zna.
- Proszę opowiedzieć.
- Umarł - odparła.
- Wiem. Ale co się stało?

Tym razem najwyraźniej nie wyczuł, gdzie przebiega jej granica.

- Nie ma tu zbyt wiele do opowiadania, dowiedział się, że ma raka. Dwa lata później zmarł.

Jej ton sprawił, że nie drążył już tematu. Jedli w milczeniu. Po jakimś czasie znowu zaczęli rozmawiać, w tym samym stylu. On zadawał więcej pytań, ona odpowiadała, powstrzymując się jednak od rozwijania tematu. Kiedy nadarzyła się okazja, rzuciła okiem na zegarek. Hector zrozumiał aluzję. Chcąc zachować twarz, też spojrzął na zegarek.

- Czas płynie - stwierdził neutralnym tonem.

Może właśnie wtedy nabrał pewności, że był zbyt ciekawski, zbyt natarczywy. Zaczął sprawiać wrażenie, jakby mu się spieszyło, złożył serwetkę, przybrał oficjalny ton.

- Czy Aron ma panią odwiedzić?
- Nie, dziękuję.

Hector wstał pierwszy.

W metrze oparła głowę o szybę i utkwiała wzrok w ciemności, w niewyraźnych konturach, które przesuwwały się przed jej niewidzącymi oczami.

Wcale nie był natarczywy. Chyba tylko starał się zrozumieć, kim ona dla niego jest. Rozpoznawała ten stan, sama była podobna, przeglądała się w innych jak w lustrze, chciała wiedzieć, chciała rozumieć. Ale podobieństwa ją przerażały. Chyba zawsze w jego obecności czuła strach. Nie przed nim

samym, być może przed czymś, czym emanował, i przed tym, co się z nią działo w jego obecności.

Samotność była prosta i jednowymiarowa. Wiedziała o tym aż za dobrze, w samotności chowała się już całe wieki. I za każdym razem, kiedy ktoś zbliżał się do niej, sygnalizując, że jej dobrowolna izolacja nie jest trwała czy kompletna, robiła krok do tyłu, wycofywała się... Tym razem jednak było inaczej. Pojawienie się Hectora coś znaczyło...

Nagle zrobiło się oślepiająco jasno. Pociąg wjechał na most między Bergshamrą a szpitalem w Danderyd, promienie słońca zbombardowały wagon. Ocknęła się z zamyślenia, podniosła, stanęła przy drzwiach i starała się utrzymać równowagę, kiedy pociąg z piskiem hamował, wjeżdżając na peron.

Sophie weszła do szpitala, przebrała się i rzuciła w wir pracy, by odpędzić od siebie myśli. Na oddziale nie było żadnego ulubieńca - miała nadzieję, że wkrótce się pojawi.

3

Lars Vinge zadzwonił do Gunilli Strandberg. Jak zwykle nie odbierała, więc się rozłączył. Po czterdziestu sekundach jego komórka się odezwała.

- Halo?

- Tak? - odparła Gunilla.

- Właśnie do ciebie dzwoniłem - powiedział.

Chwila ciszy

-Tak...

Lars odchrząknął.

- Wspólnik pojechał po pielęgniarkę.

- Mów dalej.

- Zawiózł ją do restauracji, w której Guzman stawiał lunch.

- Wystarczy, przyjeżdżaj - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Lars Vinge śledził Hectora Guzmana i Arona Geislera sporadycznie, odkąd Hectora wypisano ze szpitala. Zajęcie przedłużało się w nieskończoność i nie działo się nic, o czym można by donieść. Lars uważał, że to robota dla kogoś innego. On był zbyt wysoko wykwalifikowany. Miał analityczny umysł i dlatego go zatrudniono. Tak przynajmniej powiedziała Gunilla Strandberg, proponując mu tę pracę dwa miesiące wcześniej. Teraz siedział całe dni w samochodzie, gdy tymczasem reszta zespołu zajmowała się analizą sytuacji, możliwych scenariuszy i sposobów postępowania.

Kiedy Gunilla się z nim skontaktowała, Lars był policjantem w prewencji od dwunastu lat. Pracował w Västerort, gdzie starał się znaleźć sposób na złagodzenie konfliktów na tle rasowym. W pracy czuł się samotny. Koledzy nie wykazywali takiego społecznego zaangażowania jak on. Lars z własnej woli napisał raport na temat miejscowych problemów. Raport ten nie miał raczej siły sprawczej, nie zyskał też zbyt dużego uznania, ale prawdę mówiąc, Lars pisał go głównie po to, by w jakiś sposób wyróżniać się z tłumu kolegów - brojlerów. Tak właśnie bowiem odbierał większość pracujących z nim mężczyzn: mieli za duże ramiona, zbyt pulchne twarze, byli raczej nieokrzesani i - jak na jego gust - zbyt mało inteligentni. Oni z kolei, i dobrze o tym wiedział, nie lubili jego, nie uważali za jednego ze swoich. Lars Vinge nie był tym, kogo chcieliby mieć za partnera. Kiedy mieli nocną służbę i robiło się brutalnie, był ostrożny, wycofywał się i zostawiał robotę dużym goryłom. W szatni ciągle mu z tego powodu dogryzali.

Któregoś ranka, przeglądając się w lustrze, zobaczył, jak dziecinnie wygląda. Zrobił więc sobie nową fryzurę, włosy zaczesane na mokro z przedziałkiem z boku. Uznał, że

dzięki temu wyglądała mężniej. Koledzy zaczęli mówić na niego Sturmbannführer Lars. Lepsze to niż Pizdeczka czy Kuciapka, jak go wcześniej nazywali. Jak zawsze udawał, że nie słyszy.

Lars Vinge wykonywał swoją pracę tak dobrze, jak potrafił, unikał przemocy i nocnych patroli, starał się wkupić w łaski przełożonych, próbował gawędzić z kolegami. Ani jedno, ani drugie mu nie wychodziło, wszyscy go unikali. Nabawił się problemów z zasypianiem i egzemy koło nosa.

Dwa lata po tym, jak raport o konfliktach był gotowy i najprawdopodobniej trafił do jakiegoś archiwum, gdzie leżał zapomniany, do Larsa zadzwoniła funkcjonariuszka Kraj owego Biura Śledczego, przedstawiając się jako Gunilla Strandberg. Pomyślał, że nie brzmi jak policjantka. Ani na nią nie wyglądała, co mógł stwierdzić, kiedy spotkali się na lunch. Była między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, miała krótkie ciemne włosy z pasemkami siwizny, piękne brązowe oczy oraz gładką i młodą cerę. Właśnie to go w pierwszej chwili uderzyło, cera... Wyglądała młodziej, niż wskazywałby na to wiek, w pewnym sensie zdrowiej. Gunilla Strandberg sprawiała wrażenie spokojnej i zrównoważonej, choć od czasu do czasu pozwalała sobie na uśmiech. Spokój, jaki z niej emanował, zdawał się brać z rozwagi połączonej ze swoistą zadumą nad wszystkim, co się dzieje dookoła. Wyglądało to na jej świadomy wybór, dokonany kosztem impulsów i spontaniczności. Widać było, że jest dojrzała, zachowywała się jak ktoś, kto nauczył się, że czasem sprawy tak po prostu idą nie po naszej myśli. Postawa ta świadczyła o inteligencji. Gunilla była bystra i doświadczona, rzadko kiedy pozwalała sobie na wyolbrzymianie bądź umniejszanie faktów. Postrzegała świat w jasny i sprecyzowany sposób. Czuł się przy niej „mniejszy”, ale nie przeszkadzało mu to, bo tak właśnie być powinno. To było naturalne.

Opowiedziała o tworzonym przez siebie zespole. Był to swego rodzaju projekt pilotażowy na rzecz walki z przestępczością zorganizowaną, głównie międzynarodową. Nadmieniła, że prokurator przyznał tej sprawie priorytet, ponieważ chciał, żeby została załatwiona jak najszybciej. Powiedziała, że zapoznała się z raportem Larsa i wydał się jej interesujący. Lars starał się ukryć pęczniącą w nim dumę. Przyjął tę pracę, zanim jeszcze wytłumaczyła mu, o co dokładnie chodzi.

Dwa tygodnie później opuścił ekipę brojlerów w Västerort, przenosząc się do bardziej analitycznej ekipy na Östermalm. W wieku trzydziestu sześciu lat odwiesił mundur, dostał podwyżkę i zdał sobie sprawę, że właśnie taki rozwój swojej policyjnej kariery przewidywał - wiedział, że znajdzie się ktoś, kto dostrzeże jego zasługi i zdolności, którymi, jak sam uważał, znacznie się wyróżniał na tle reszty policjantów w grupie.

Śledził Arona i Hectora już jakiś czas, wciąż bez rezultatu, kiedy wreszcie nastąpił przełom. Gunilla to przewidziała, mówiła, że pojawi się pielęgniarka, która stanie się istotna dla śledztwa. Zdążył już zapomnieć o tej przepowiedni, kiedy jednak zobaczył owego przedpołudnia przed szpitalem, jak Aron Geisler zaprasza pielęgniarkę do samochodu, po raz kolejny doszedł do wniosku, że Gunilla jest wielka.

Zaparkował przed komisariatem na Brahegatan. Przeszedł przez jednopiętrowy budynek, kłaniając się po drodze kolegom, których imion nie kojarzył, po czym wszedł do sąsiadującego z nim wieżowca. Trzy pokoje w amfiladzie, biuro jak każde inne, urzędowe meble, skoroszyty na półkach z jasnej sosny, nudne obrazy na ścianach, a w oknach długie, pasiaste zasłony, zawieszane tam w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Eva Castroneves uśmiechnęła się, kiedy go mijala. W jednej ręce trzymała komórkę, na której coś wystukiwała, w drugiej miała kanapkę. Cały czas aktywna, ciągle w biegu,

ponadprzeciętnie szybka. Lars odpowiedział uśmiechem, ale już tego nie zauważyła. Wszedł do pokoju, Gunilla i Erik już tam byli, Gunilla przy swoim biurku, ze słuchawką przy uchu. Jej brat Erik, jak zwykle czerwony na twarzy od nadciśnienia, przesypywał snus z zakupionej plastikowej puszki do własnej, mosiężnej, zamykanej na kłódkę. Erik Strandberg żył nikotyną, kofeiną i śmieciowym żarciem. Ze swoją zaniedbaną brodą i zniszczonymi siwymi włosami sprawiał niechlujne wrażenie. Był wygadany i miał dyktatorskie zapędy - według Larsa mogły one wynikać z odczuwanego w dzieciństwie nadmiernego poczucia własnej wartości, którego nikt w porę nie przyhamował. Miał też jednak cechy, które Lars cenił: kiedy zaczął u nich pracować, Erik powitał go bezpośrednio i przyjaźnie. Nie oceniał go w taki czy inny sposób, przyjął po prostu takim, jakim jest. A to się często nie zdarzało.

Erik wytarł dłonie ze snusa, napotkał spojrzenie Larsa i mrugnął okiem, po czym sięgnął po leżące na talerzu na biurku ciastko francuskie.

- Siemasz, stary - wysapał.
- Siemasz - odparł Lars szeptem.
- Ale jaja - odezwał się Erik.

-Ano właśnie... - powiedział Lars, siadając na krześle obok.

- Ucieszył ją twój telefon.

Erik ugryzł ciastko, otworzył leżące na kolanach kompendium i zaczął czytać.

- Sorry, ale muszę to przeczytać.
- Jasne - odparł Lars, trochę za szybko podrywając się z krzesła.
- Ależ proszę bardzo, siedź sobie - powiedział Erik, przeżuując ciastko.

- Nie, nie - odpowiedział Lars i poszedł stamtąd nienaturalnie pewnym krokiem.

Lars od zawsze nienawidził swojej niepewności. Wewnętrzne niezdecydowanie, które kierowało nim w każdej życiowej sytuacji. W jakiś niepojęty sposób było ono jego częścią. Czuł niepewność, kiedy się poruszał, odbierał ją całym sobą. Na dobrą sprawę powinien się uważać za przystojnego - ze swoimi jasnymi włosami, błękitnymi oczyma i męskimi rysami twarzy. To wszystko jednak przesłaniała mu niepewność. Na zrobionym pod odpowiednim kątem zdjęciu dostrzegał być może, że jest przystojny, jednak w rzeczywistości czuł się tylko niepewny.

Podszedł do jednej z trzech tablic na kółkach. Czasem tak robił, przychodząc do biura, żeby nie stać głupio w kącie. W tym miejscu mógł zabić czas.

Na tablicy Guzmana panował uporządkowany chaos, na który składały się liczne poprzypinane fotografie i wyniki śledztwa. Przyjrzał się fotokopiom paszportów, aktów urodzenia i hiszpańskich pism urzędowych. Popatrzył na zdjęcia Arona Geislera i Hectora Guzmana, przychepione po prawej stronie tablicy. Pod zdjęciem Hectora umieszczono fotografie jego rodzeństwa, Eduarda i Inez, oraz stare zdjęcie z końca lat siedemdziesiątych, przedstawiające ich mamę Pię, która pochodziła z Flemingsberg. Była ładną blondynką. Wyglądała jak wyjęta z reklamy Timotei, którą Lars w młodości oglądał w kinie.

Od Hectora biegła czerwona strzałka, która prowadziła do dwóch kolejnych czarno-białych fotografii po lewej stronie tablicy. Dwaj mężczyźni, których Lars nie znał. Pierwszym był opalony starszy pan z rzadkimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu - Adalberto Guzman, ojciec Hectora. Na drugiej fotografii, powiększonym zdjęciu paszportowym, widniał krótko obcięty mężczyzna o pustym spojrzeniu - Leszek Śmiały, ochroniarz Adalberta Guzmana.

Lars przeczytał fragment tekstu pod zdjęciem. Leszek Śmiały był milicjantem w komunistycznej Polsce. Po upadku

Związku Radzieckiego pracował w różnych miejscach jako ochroniarz. Adalberto Guzman zatrudnił go najprawdopodobniej latem 2001 roku.

Lars przeniósł wzrok na Arona Geislera. Przeczytał krótką notkę. W latach siedemdziesiątych uczył się w liceum Östra Real w Sztokholmie, w 1979 należał do Związku Szachowego w Östermalm. W latach osiemdziesiątych odbywał trzyletnią zasadniczą służbę wojskową w Izraelu... Walczył w Legii Cudzoziemskiej, był członkiem oddziału, który jako pierwszy znalazł się w Kuwejcie podczas I wojny w Zatoce Perskiej. Jego rodzice mieszkali w Sztokholmie do 1989 roku, później przenieśli się do Hajfy. W latach dziewięćdziesiątych przebywał z przerwami w Gujanie Francuskiej. W sprawozdaniu były spore luki.

Lars cofnął się trochę, ogarnął wzrokiem całość tablicy, nic z tego nie rozumiał. Poszedł do aneksu kuchennego i nalał sobie kawy, pamiętając, żeby wcisnąć przyciski odpowiedzialne za dodatkowy cukier i mleko. Do kubka spłynęła jasnobrązowa maź. Kiedy wrócił do pokoju, Gunilla odłożyła słuchawkę. Podniosła głos.

- Dzisiaj o 12.08 Aron Geisler odebrał pielęgniarkę i pojechał z nią do restauracji Trasten na Vasastan, w której przez godzinę i dwadzieścia minut spożywała lunch w towarzystwie Hectora Guzmana.

Gunilla założyła okulary do czytania.

- Nazywa się Sophie Brinkmann, jest pielęgniarką, wdową, ma syna - Alberta, lat piętnaście. Chodzi do pracy, wraca z pracy... Gotuje kolację. Mniej więcej tyle o niej wiemy, na razie.

Gunilla zdjęła okulary, podniosła wzrok.

- Eva, ty zajmiesz się życiem prywatnym, spróbuj dotrzeć do przyjaciół, nieprzyjaciół, kochanków... do wszystkiego.

Zwróciła się do Larsa.

- A ty zostaw Hectora. Skup się na pielęgniarce.

Lars skinął głową, wypił łyk kawy. Gunilla się uśmiechnęła, popatrzyła po zebranych.

- Czasami Bóg zsyła na ziemię małego aniołka.

I w ten sposób spotkanie najwyraźniej się zakończyło. Gunilla znowu założyła okulary i wróciła do pracy, Eva zaczęła stukać w klawiaturę, Erik zaś dalej czytał swoje kompendium, jednocześnie wprawnym ruchem wytrząsając z pudełka tabletkę na nadciśnienie.

Lars nie wiedział, co robić, miał tysiące pytań. W jaki sposób się do tego zabrać? Jak wielu informacji Gunilla potrzebuje? Jak długo ma pracować, wieczorem i w nocy? Jak traktują nadgodziny? Czego dokładnie od niego oczekuje. Nie chciał decydować o tym wszystkim samodzielnie. Wolał otrzymać jasne wytyczne, którymi będzie mógł się kierować. Gunilla jednak nie była takim szefem, on zaś nie chciał się afiszować ze swoją niepewnością. Skierował się do drzwi.

- Lars. Chcę, żebyś wziął ze sobą parę rzeczy.

Wskazała stojące przy ścianie kartonowe pudło. Podeszedł i otworzył. Była tam stara maszyna do pisania marki Facit, nowoczesny faks, cyfrowy aparat systemowy Nikon z dodatkowymi obiektywami różnego rodzaju oraz mniejsze drewniane pudełko. Lars je otworzył i zobaczył osiem maleńkich mikrofonów, otulonych szczelnie gumą piankową.

- Nie będziemy chyba zakładać podsłuchu? - zapytał i natychmiast pożałował.

- Nie, ale powinieneś mieć to pod ręką, a aparatu zaczniesz używać od razu, masz ją obserwować i robić zdjęcia. Musimy zgromadzić tak dużo informacji, jak to możliwe, i to tak szybko, jak się da. Raporty będziesz pisał na maszynie i przysyłał mi faksem. Faks szyfruje wiadomości, podłączysz go normalnie w domu do gniazdka telefonicznego.

Lars spojrział na sprzęt, Gunilla dostrzegła jego pytający wyraz twarzy.

- Wszyscy tu piszą raporty i analizy na maszynie. Nie zostawiamy żadnych śladów cyfrowych, nie podejmujemy ryzyka, pomyśl o tym.

Spojrzał jej w oczy, zabrał kartonowe pudło i wyszedł z biura.

*

Leszek szedł plażą w stronę Guzmána, starając się nie patrzeć mu w oczy.

Adalberto Guzman, czy też Guzman el Bueno, jak go czasami nazywano, właśnie wyszedł z wody. Na piasku stał stolik ze szklanką świeżo wyciśniętego soku. Przez krzesło przerzucony był ręcznik, na oparciu wisiał płaszcz kąpielowy. Guzman wytarł się, założył płaszcz i pijąc sok, patrzył na morze.

Jako dziecko zawsze przepływał z mamą ten sam dystans, którą pokonał przed chwilą. Pływali tutaj każdego ranka, jedno obok drugiego. W miarę upływu lat zwyczaj ten wciąż się utrzymywał, zmieniał się tylko widok, który mieli przed sobą, płynąc z powrotem. Na początku lat sześćdziesiątych, w tym samym czasie, kiedy spotkał swoją wielką miłość - szwedzką przewodniczkę Pię - wykupił cały dostępny teren wokół willi, pozostałe domy zrównał z ziemią, a w miejscu dawnej drogi komunalnej zasadził cyprysy i gaje oliwne. Dziś był właścicielem wody, w której pływał, i plaż, po których chodził.

Guzman miał siedemdziesiąt trzy lata, był wdowcem i ojcem dwóch synów i jednej córki. Przez trzy dekady przekazywał ogromne sumy pieniędzy na cele dobroczynne, nie mając z tego tytułu żadnych profitów. Zbudował przedsiębiorstwo, które uczyniło go bogatym człowiekiem. Był znany z hojności, z zaangażowania na rzecz tych, którym się nie powiodło, był przyjacielem Kościoła i celebrytą pojawiającym się

co jakiś czas w programie kulinarnym lokalnej telewizji. Był Guzmanem el Bueno - Dobrym Guzmanem.

Na powitanie klepnął Leszka po ramieniu. Leszek poczekał w stosownej odległości, po czym ruszył z Guzmanem w stronę willi.

- Mój drogi, czasem się nie udaje.

Leszek się nie odzywał.

- Przekazałeś wiadomość, prawda? - ciągnął Guzman.

Zaczął wchodzić po kamiennych schodach, wiodących do willi.

- Nie tak, jak chcieliśmy - wymamrotał Polak.

- Ale chyba zrozumieli aluzję, a ty jesteś z powrotem cały i zdrowy, to najważniejsze.

Leszek nie odpowiedział.

Duże szklane drzwi do altany były otwarte, białe płócienne firanki po wewnętrznej stronie powiewały, poruszane morską bryzą. Weszli do domu, Guzman zdjął płaszcz kąpielowy, a służąca podała mu ubranie na dzisiejszy dzień. Ubierał się przed Leszkiem bez wstydu.

- Martwię się o dzieci - powiedział, wciągając beżowe spodnie. Hector ma Arona i radzi sobie, ale postaraj się, żeby ktoś miał na oku Eduarda i Inez. Jak się będą stawiać, to... No, nie wolno im się stawiać.

Eduardo i Inez żyli własnym życiem, z dala od Adalberta Guzmana. Kontakt z nimi nie miał właściwie żadnego, a jednak zawsze wysyłał zbyt duże i zbyt drogie prezenty na urodziny wnuków. Inez prosiła, żeby przestał. Guzman nie posłuchał.

Z kolei Hector, jego pierworodny syn, zawsze stał u jego boku. W wieku piętnastu lat zaczął się angażować w interesy ojca. Kiedy miał lat osiemnaście, kierował wszystkim wspólnie z Adalbertem. Na początek zrezygnował z przemysłu heroiny między północną Afryką a Hiszpanią, ponieważ policja zaczęła intensywniej zwalczać handel narkotykami.

Dużo pracy włożył za to w zorganizowanie pralni brudnych pieniędzy. Prali pieniądze z handlu narkotykami, bronią, z kradzieży i wszystkiego, co wymagało wybielenia. Okazało się to prawie tak dochodowe jak wożenie heroiny do Europy Południowej. Guzmanowie dali się poznać jako otwarci niemal na wszystko. Ale w latach dziewięćdziesiątych, kiedy Ameryka na poważnie wytoczyła wojnę narkotykom, co wywindowało cenę kokainy pod niebiosa, nie mogli się dłużej beczynnie przyglądać temu rynkowi.

Odwiedzili Don Ignacia w kolumbijskim Valle del Cauca, by zbadać możliwość zorganizowania własnych kanałów przerzutowych do Europy. Adalberto i Hector znaleźli trochę dobrych szlaków, ale była to robota ciężka, droga i ryzykowna. Kilka razy zmieniali trasę, kilka ładunków przechwycili piraci i celnicy. W końcu się poddali i zawiesili pomysł na kołku. Na początku dwudziestego pierwszego wieku ich legalne interesy szły jednak gorzej, a poprawa koniunktury była powolna. Nigdy nie przestali myśleć o tym, ile mogliby zyskać na sprawnie działającym kanale przerzutowym kokainy. Przetestowali względnie bezpieczny szlak między Paragwajem a Rotterdamem, który okazał się najlepszy z dotychczasowych. Wreszcie mogli odetchnąć, zarabiali duże pieniądze, znów było wesoło.

Wtedy nagle wkroczyli Niemcy i sprzątnęli im wszystko sprzed nosa. Adalberto musiał przyznać, że kompletnie go to zaskoczyło. Nie było to jednak jego pierwsze spotkanie z Ralphem Hankem. Pośrednio spotkali się kilka lat wcześniej w Brukseli, przy okazji przetargu na zakup wiaduktu. Hanke próbował kupić wszystkich zainteresowanych. Chciał za wszelką cenę dostać ten kontrakt. Jednak przypadł on Guzmanowi, Hanke na samym końcu odpadł. W kontrakcie nie było nic nadzwyczajnego, kiedy więc Hanke odebrał im kokainę, Adalberto wiedział, z kim ma do czynienia - z ogarniętym manią zwyciężania kretynem.

Zorganizowanie i utrzymanie linii między Paragwajem a Rotterdamem było wyczerpującą pracą. Łapówki, łapówki i jeszcze raz łapówki - tak się tworzy i utrzymuje kanał przerzutowy. Pieniądze nie stanowiły problemu, trudność polegała na znalezieniu odpowiednich ludzi, którzy chcieli je wziąć. Z czasem przywiązali do siebie dobrych ludzi, którzy robili to, za co im płacono. Celników, pakowaczy oraz wietnamskiego kapitana z własnym statkiem - starym रुपиеm i załogą, za którą osobiście ręczył. Wszystko szło gładko i może właśnie dlatego pewnego dnia wkroczył Ralph Hanke i przejął cały interes. Podniósł honorarium każdemu, kogo Guzman kupił, sterroryzował kuriera czekającego na statek w Rotterdamie, po czym przejął towar i własnymi kanałami rozprowadził kokainę po Europie.

Adalberto Guzman otrzymał kurierem odręczny list. Był utrzymany w formalnym tonie, napisany klarownym i eleganckim stylem na drogim, sztywnym, kremowym papierze. Wyczytał między wierszami, że na każdą próbę konfrontacji zamierzają odpowiedzieć siłą. Adalberto Guzman wysłał odpowiedź, odręcznie napisaną, mniej formalną i na nieco tańszym papierze, w której dawał do zrozumienia, iż życzy sobie zwrotu utraconych dochodów wraz z odsetkami. W reakcji Hanke według wszelkiego prawdopodobieństwa wysłał do Sztokholmu kogoś, kto potrafił Hectora na przejściu dla pieszych. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku, samochodu policja nie odnalazła.

Adalberto zareagował impulsywnie, wysyłając Leszka do Monachium, by ten zabił Hankemu syna. Nie poszło jednak tak, jak planowali. Kiedy się nad tym zastanowić, może to dobrze, że sytuacja pozostała nierozstrzygnięta - myślał. Mogłoby tak jakiś czas pozostać.

Rozległ się odgłos małych psich łap. Pies Piño z piłką w pysku zerkał przymrużonymi oczami z tą samą radością i entuzjazmem co zawsze.

Piño był kundlem, który pięć lat wcześniej znalazł się przed drzwiami jego domu i wyraźnie chciał wejść do środka. Adalberto go wpuścił i od tamtej pory byli dobrymi przyjaciółmi.

Guzman el Bueno wziął piłkę i rzucił. Pies dogonił ją, złapał i pobiegł z powTOfem do pana. Ta zabawa nigdy mu się nie znudzi.

Jeżeli ten spokój się utrzyma, będzie mógł się skupić na planowaniu sposobu, w jaki odzyska swój szlak. Zamierzał go bowiem odzyskać i odbić sobie straty

*

Wieczór w dalszym ciągu był ciepły, grały cykady, a z włączonego gdzieś niedaleko telewizora dobiegały dźwięki paragwajskiego programu rozrywkowego.

Jens pakował skrzynie w starym pomieszczeniu skladowym. Rozmontował karabiny automatyczne, zamki włożył do skrzynki razem z różnego typu i wielkości stalowymi rurkami. Kolby karabinów umieścił wśród zapakowanych próżniowo arbuzów.

Ostatnie lata były niezwykle intensywne. Odwiedził Bagdad, Sierra Leone, Bejrut, Afganistan. Było niebezpiecznie. Został postrzelony, sam strzelał, poznał ludzi, których więcej nie chciałby spotkać.

Zdecydował, że po tej robocie zrobi sobie wolne, pojedzie do domu, odpocznie. Zazwyczaj nie jeździł z towarem, było to zbyt niebezpieczne. *Tym* razem jednak chciał pojechać. W jednym z portowych miast Brazylii załatwił miejsce dla towaru na zarejestrowanym w Panamie statku towarowym, płynącym do Rotterdamu. Wietnamski kapitan wiedział, co robi: oznajmił, że inny klient już się postarał, by wyładunek w Rotterdamie nie wiązał się z ryzykiem, choć będzie to dodatkowo kosztowało. Dopłynięcie do Europy miało zająć

dwa tygodnie, Jens czuł, że będzie musiał trochę zwolnić, odpocząć, a nawet wystawić swoją cierpliwość na próbę, przekonać się, jak bardzo nadpobudliwość potrafi dać się we znaki. Na statku nie będzie miał możliwości ucieczki. Tej, z której zwykle korzystał, kiedy widział to samo po raz drugi.

Jens przybił wieka skrzyń, wypisał sfalszowane dokumenty celne i zapakował ładunek na starą ciężarówkę, która następnego dnia rano miała zawieźć jego i broń do Paranagui. Kiedy wszystko było gotowe, wybrał się na spacer po Ciudad del Este. Panował tam prawdziwy chaos. Miasto było zapuszczone, głośnie, nabite ludźmi, nad tym wszystkim zaś unosił się gęsty zapach - jakby wszystkie zapachy świata zmieszane w jeden. Był tak gęsty, że czasem wydawało się, jakby w całym mieście miało za chwilę zabraknąć tlenu. Biedni biegali na bosaka, bogaci w butach, wszyscy chcieli sprzedawać, kilku chciało kupować. Jens był tym miejscem zachwycony.

W lokalnym pub'ie przed zaśnieciem bronił się alkoholem i towarzystwem kilku turystek z Nowej Zelandii. Szybko go jednak znudziły i wymknął się do innego baru. Tam znalazł ciemny kąt, gdzie upijał się w samotności.

Podróż do Paranagui następnego dnia była jedenastogodzinnym koszmarem. Kac nie dawał mu zasnąć, kierowca krzyczał i trząbił przez całą drogę aż do Brazylii.

Statek był zardzewiałym starym gratem z lat pięćdziesiątych, niebieskim w miejscach, gdzie jeszcze widać było farbę. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów długości i około dwunastu szerokości, z pracującymi ciężko dieslami pod pokładem. Ich dźwięk słyszał już z nabrzeża. Połowa pokładu była odkryta. Na środku stały połączone kontenery. Za nimi skrzynie, pudła i inne prowizoryczne opakowania na przewożone towary. Był to stary statek towarowy, który swoje najlepsze lata miał już za sobą.

Jens wszedł na pokład po rozchybotanym trapie i rozejrzał się dookoła. Z pokładu statek wydawał się większy.

Trochę poblądził, ale w końcu znalazł swoją kajutę. Bardziej przypominała celę. Była szeroka akurat na tyle, by po wejściu nie musiał obracać się bokiem. Wąskie łóżko przymocowane do ściany, mała szafka i nic poza tym. Jens był jednak zadowolony. Po części dlatego, że kajuta miała okno i znajdowała się nad powierzchnią wody, ale przede wszystkim dlatego, że nie musiał jej z nikim dzielić.

Kiedy statek wypływał, Jens stał oparty o reling. Słońce wisiało nad horyzontem, a on patrzył, jak port kontenerowy w Paranagui znika w oddali.

*

Dla Larsa Vingego dni pracy były długie i pozbawione treści. Zrobił Sophie zdjęcie, kiedy wracała na rowerze z pracy do domu. Później, siedząc w pobliżu, gapił się beczynn timer, próbując zabić czas, jeszcze później wybrał się na spacer pod osłoną nocy i zrobił jej kilka rozmazanych zdjęć, kiedy przechodziła koło okna w willi. Śledził ją i jej syna Alberta, kiedy pojechali samochodem do miasta, poszli do lokalnej restauracji, a później wybrali się do kina. Przez kolejne dwa dni jadła kolację w samotności. Nie wiedział, dlaczego zajmuje się tą obserwacją, wszystko wydawało mu się bezsensowne.

Znudził się i wpadł w złość, a ponieważ nie miał jej z kim dzielić, jak zwykle dusił ją w sobie.

Poprzedniego wieczoru napisał dla Gunilli raport o poczynaniach Sophie, kończąc go sugestią, że cały ten nadzór należało przerwać.

W dużym pokoju w mieszkaniu Larsa siedziała jego partnerka Sara i oglądała w telewizji program o zanieczyszczeniu środowiska. Była poruszona, bo jakiś angielski profesor

stwierdził, że wszystko najprawdopodobniej trafi szlag. Lars stał oparty o futrynę i patrzył w ekran. Statystyka i przekonujące wywody wykształconych ludzi przerażały go.

Przyszedł do niego SMS, spojrzął na wyświetlacz. Gunnilla pisała, że jest ważny i wartościowy dla śledztwa i nie może teraz przerwać obserwacji. Zakończyła wiadomość słowem „Uściski”.

Choć Lars zdawał sobie sprawę, że jej pochlebstwo jest strategią mającą skierować go z powrotem na właściwe tory, poczuł się mimo wszystko trochę lepiej. Postanowił dalej wykonywać swoją pracę. Z czasem będzie mógł robić inne rzeczy, z czasem Gunnilla będzie mu przydzielała lepsze zadania, tak jak obiecała - zadania, które bardziej odpowiadają jego intelektowi niż całodobowe siedzenie w samochodzie i obserwacja pielęgniarki, która najwyraźniej żyje bardzo jednostajnym życiem. Wtedy zrozumie, co właściwie robią, a pozostali w grupie zobaczą, że w swojej pracy nie ma sobie równych.

Usiadł na kanapie koło Sary i patrzył na końcówkę programu, z którego wynikało, że zagłada Ziemi, która niedługo nastąpi, to po części jego sprawka. Poczuł ukłucie winy, przekazywane przez reportera informacje poruszyły go tak samo jak Sarę. Sara powiedziała, że przestanie latać samolotami, że wybierze pociąg... jeśli kiedyś będą się wybierali za granicę. Lars pokiwał głową, sam też tak zrobi.

- Dziś wieczorem będę jeszcze pracował... Położymy się na chwilkę?

Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od telewizora.

Wpół do ósmej wieczorem zaparkował volvo kawałek od willi, w której mieszkała Sophie, i przespacerował się po okolicy, próbując znaleźć miejsce, z którego miałby do niej trochę bliżej. Jak zwykle nie zauważył niczego szczególnego i wrócił do samochodu. Posiedział w nim chwilę, gapiąc się

przed siebie, po czym przejechał kawałek, po raz dziesiąty ucząc się okolicy. Zaparkował w innym miejscu, zrobił kilka niewyraźnych zdjęć jej domu, zapisał coś, czego zapisywać nie było trzeba. O dziewiątej znów zaczął wzdychać w duchu, zapalił silnik; zdecydował się po raz ostatni rzucić na wszystko okiem, zanim pojedzie do domu.

Minął willę akurat w chwili, kiedy Sophie wychodziła do czekającej przed furtką taksówki.

Miała na sobie rozpięty cienki płaszcz, a w dłoni trzymała szeroką kopertówkę. Usiadła na tylnym siedzeniu i taksówka ruszyła.

Widział ją w tej krótkiej chwili, kiedy przejeżdżał obok. Czas wydawał się płynąć wolniej, jakby wszystko się zatrzymało. W tym właśnie momencie postrzegał ją jako coś doskonałego, skończonego. Poczł nagle, że ją zna, a ona zna jego. Otrząsnął się z tego silnego, dziwnego wrażenia, kawałek dalej zawrócił i pojechał za taksówką.

Lars trzymał dystans, w środku czuł nerwowe pulsowanie, zachciało mu się siku, tak jakby jedno i drugie było w jakiś niesprawiedliwy sposób sprzężone. Nie spuszczał oka z taksówki, która na Roslagstull zjechała w Birger Jarlsgatan, potem w lewo w ICarlavägen, minęła park Humlegården i w końcu stanęła na Sibyllegatan. Przejechał obok, kiedy Sophie wysiadła z taksówki, obserwował ją w lusterku, widział, jak znika za jakimiś drzwiami.

Lars zaparkował w dole ulicy na pasie dla autobusów, odczekał minutę i wyskoczył z samochodu.

Przyświecając sobie kieszonkową latarką przed drzwiami, spisał wszystkie nazwiska z tabliczki, która wisiała na klatce.

O jedenastej Sophie wyszła z koleżanką. Szły pod rękę w kierunku Östermalmstorg. Śmiały się, Sophie, gestykułując, opowiadała coś zabawnego, koleżanka przystanęła i zgięła się w pól, ze śmiechu dostała jakiegoś skurczu. Lars wysiadł z samochodu i ruszył za nimi.

Sophie i jej koleżanka odwiedziły tego wieczoru trzy miejsca. Do dwóch z nich odmówiono Larsowi wstępu, musiał pokazać policyjną legitymację.

Obie siedziały przy barze. Kilkakrotnie podchodzili do nich mężczyźni w różnym wieku i próbowali nawiązać kontakt, one jednak nie okazywały zainteresowania. Lars obserwował wszystko z drugiego końca baru, pił Virgin Mary i czuł się nie na miejscu. Rzadko wychodził z domu, a kiedy już to robił, zawsze szedł do restauracji, nigdy do klubu, a już na pewno nie w tej części miasta. Popatrzył na Sophie, poczuł, że się gapi, odwrócił wzrok, wypił kilka łyków. Sok pomidorowy smakował jak sok pomidorowy, pomidor był gorzki. Jej bliskość wyprowadzała go z równowagi, znów zerknął w jej stronę, uderzyło go, jak bardzo jest atrakcyjna. Dostrzegał detale, na które wcześniej nie zwrócił uwagi: małe, prawie niewidoczne zmarszczki wokół oczu, odsłonięta szyja, włosy żyjące własnym życiem... Kark, który od czasu do czasu mu się ukazywał, doskonały kark, zdający się podtrzymywać całą jej sylwetkę... Czoło, które swoim kształtem dodawało jej gustownej elegancji, a do tego emanująca od niej inteligencja. Był teraz blisko niej, może za blisko. Ale i tak się gapił, gapił się na nią jak nastoletni chłopak, który po raz pierwszy widzi trochę nagiego ciała.

Sophie i koleżanka śmiały się; jej śmiech przyciągnął Lar-
sa. Nagle odwróciła się do niego, być może wyczuła intensywność jego spojrzenia. Na ułamek sekundy ich oczy się spotkały, uśmiechnęła się, on odpowiedział uśmiechem, ale spojrzenie Sophie zdążyło się już ześlizgnąć z jego twarzy.

Czuł swój własny uśmiech, pozwolił mu zgasnąć, odwrócił się i szybko opuścił lokal.

W domu przy świetle jarzeniówki napisał raport o wydarzeniach tego wieczora, o przyjaciółce Sophie, umieścił w nim

prze czytane na tabliczce nazwiska i przefaksował dokument Gunilli.

Sara spała. Wsunął się do łóżka obok niej - poruszyła się we śnie i przebudziła.

- Która godzina? - zapytała półprzytomnie.

- Już późno... albo wcześniej - odpowiedział.

Naciągnęła na siebie kołdrę, odwróciła się. Wtulił się w nią, szukał bliskości, nieudolnie zaczął grę wstępną. Był w tym beznadziejny, pozbawiony jakiegokolwiek finezji czy wyczucia.

- Lars, przestań - westchnęła poirytowana i odsunęła się jeszcze bardziej.

Przewrócił się na plecy i patrząc w sufit, słuchał dochodzących z dołu przytłumionych odgłosów ulicznego ruchu. Kiedy doszedł do wniosku, że nie zaśnie, wyszedł z łóżka, usiadł przed telewizorem i wpatrzył się w ekran, na którym każda piękna kobieta miała twarz Sophie Brinkmann.

*

Muzyka w domu towarowym była piękna i relaksująca. Sophie przeglądała dział z damską bielizną, patrzyła i dotykała, sprawdzając materiał i jakość. Następnie poszła do działu z kosmetykami i kupiła drogi krem, który obiecywał coś nierealnego.

- Sophie?

Odwróciła się i zobaczyła Hectora z łaską i nogą w gipsie, a za nim Arona z dwiema papierowymi torbami ze sklepu z modą męską.

- Hector.

Cisza trwała odrobinę za długo.

- Znalazła pani coś dla siebie? - zapytał.

- Krem, na razie.

Podniosła małą papierową torebkę.

- A pan? - zapytała.

Hector popatrzył na trzymane przez Arona torby, pokiwał głową.

- Nie wiem - odparł cicho.

Utkwił w niej spojrzenie.

- Nie mieliśmy okazji wypić kawy.

- Słucham?

- Po ostatnim lunchu nie zdążyliśmy się napić kawy. Na dole koło restauracji jest, zdaje się, przyzwoite miejsce?

Sophie piła kawę z mlekiem, Hector również. Stojąca za barem dziewczyna w kraciastym fartuchu proponowała im wszystkie możliwe rodzaje, ale nie skorzystali, zamówili to, co najzwyczajniejsze, najbardziej pewne. Aron siedział kawalek dalej i patrząc w przestrzeń, cierpliwie czekał.

- Nie pije nawet kawy?

Hector potrząsnął głową.

- Nawet kawy nie lubi. Aron jest inny niż wszyscy.

Pozwolili, by na moment zapadła cisza. Przerwała ją Sophie.

- Jak tam w branży książkowej?

Hector uśmiechnął się, słysząc jej niewydarzone pytanie; nie zadał sobie trudu, by na nie odpowiedzieć.

- Jak tam w branży chorobowej? - zapytał.

- Jak zwykle. Ludzie chorują, niektórzy zdrowieją, wszyscy są bardzo dzielni.

Hector zrozumiał, że mówiła poważnie.

- Tak to jest - odpowiedział, upił łyk kawy i odstawił filiżankę. - Niedługo mam urodziny.

Uśmiechnęła się na znak, że ją to cieszy.

- Chciałbym cię zaprosić na moje przyjęcie.

- Być może.

Hector bacznie się jej przyjrzał. Dostrzegła w nim jakąś zmianę. Tak jakby dobry nastrój i radość gdzieś przepadły,

a w ich miejsce pojawiło się coś przeciwnego - jakaś oficjalność, której nie poznawała.

- To zaproszenie. Niegrzecznie odpowiadać „być może” na zaproszenie. Powiedz „tak” albo „nie”, jak wszyscy inni.

Sophie poczuła się głupio. Tak jakby prowadziła jakąś grę, jakby zakładała, że on z nią flirtuje i musi grać niedostępną. A może wcale z nią nie flirtował. Im dłużej na niego patrzyła, tym pewniejsza była tego, że nie próbuje się do niej zalecać. On robił co innego, może po prostu był przyjacielem, który ją lubi. W każdym razie to właśnie mówił, nie sugerował niczego innego.

- Przepraszam - powiedziała.

- Przeprasiny przyjęte - odparł równie szybko.

- Bardzo chętnie przyjdę na twoje urodziny.

Hector znowu się uśmiechnął.

4

Błyskały flesze. Ralph Hanke uśmiechał się do aparatów, ściskając dłoń niskiego wąsatego mężczyzny z rzadką czupryną - lokalnego polityka.

Dziennikarz zapytał polityka, czy według niego rozsądnie jest budować centrum handlowe w miejscu, w którym prawdopodobnie znajdują się niewypały z drugiej wojny światowej. Polityk zaczął mówić jakies bzdury, po kilku zdaniach stracił rezon i zamilkł, szukając słów. Wtedy włączył się Ralph Hanke.

- To absurd. Włożyliśmy mnóstwo czasu i pieniędzy w zabezpieczenie tego terenu.

Dziennikarze zaczęli zasypywać Ralpha pytaniami. Nikt nie poruszył już tematu planowanej budowy i niewypałów. Teraz ważne było wszystko inne, począwszy od jego

majątku, a skończywszy na rzekomym romansie z ukraińską fotomodelką.

Ralph Hanke nigdy nie udzielał wywiadów, pokazywał się tylko czasem w mało znaczących miejscach, w których nikt się go nie spodziewał i gdzie gra rzadko toczyła się o wysoką stawkę - jak choćby teraz - na budowie galerii handlowej na przedmieściach Monachium.

Jego prawa ręka, Roland Gentz, stanął przed nim, podziękował dziennikarzom za zainteresowanie i poprowadził go za podium w kierunku wyjścia.

Siedzieli w samochodzie, który prowadził Michaił Siergiejewicz Asmarow, potężny Rosjanin o karku tak szerokim jak siedzenie, które zajmował.

- Nie wie, kiedy się zamknąć. Problem z tym małym idiotą jest taki, że wydaje mu się, że pracuje dla społeczeństwa - odezwał się Roland z przedniego siedzenia.

Ralph wyglądał przez okno. Za szybą przesuwały się budynki, domki, bloki, sklepy i ludzie; nikogo nie znał - i niech tak już zostanie. Ostatnimi czasy sporo ryzykował, podobało mu się to. Jego firma budowlana zdobyła wszystkie kontrakty, na których mu zależało. Budowanie galerii, warsztatów szklarskich, wielopoziomowych parkingów i kompleksów biurowych dobrze wyglądało, legitymizowało jego działalność. Tworzył miejsca pracy i zarabiał dobre pieniądze. Czyste pieniądze.

Ralph Hanke żył życiem, które sam sobie stworzył, nikt nie mógłby zaprzeczyć. Był jedynakdem z biednej rodziny, dorastał w byłym NRD. W 1978 roku doczekał się syna, Christiana, dwa lata później rozwiódł się z żoną, która zdążyła się rozsmakować w heroinie.

Rok przed upadkiem muru pracował w głównym urzędzie pocztowym, gdzie donosił na kolegów do Stasi. Ta współpraca zapewniła mu profity, które później mógł wykorzystać, poza tym w służbach poznał ludzi na tyle mądrych,

by przewidzieć koniec NRD. Złożył wypowiedzenie na pocztę i wraz z kolegami ze Stasi przygotował spiszek, polegający na wykradzeniu z archiwum materiałów na temat informatorów, żeby po upadku muru im je sprzedać.

Ostatni rok pracował już tylko dla Stasi i był członkiem Kommerzielle Koordinierung (KoKo). Jego oddział miał za pośrednictwem wywiadu zdobywać zachodnią walutę, by jeszcze przez jakiś czas utrzymać niewypłacalny kraj na powierzchni.

Ralph Hanke i jego przyjaciele sprzedawali broń z energońskiej armii każdemu, kto chciał ją kupić. Swoją pierwszą podróż zagraniczną odbył do Panamy generała Noriega. Generał płacił za broń dolarami, Ralph poczuł więc, że wreszcie odnalazł sens życia. Dziewiątego listopada 1989 roku, wolny jak ptak, szedł sobie po zachodniej stronie Berlina z synem Christianem u boku. Kiedy przechodzili przez Bramę Brandenburską, słońce za plecami oświetlało im drogę.

Jakiś czas pomieszkał w Berlinie Zachodnim u starego przyjaciela, odczekał kilka miesięcy, a następnie zaczął sprzedawać akta byłych informatorów. Im dłuższy czas upływał, tym więcej za nie dostawał. Swoją nową małą fortunę wydał na skupowanie towarów skradzionych z magazynów upadłej armii: pojazdów, broni i innego sprzętu, który można było nabyć za niewielkie pieniądze. Następnie sprzedał to wszystko, powiększając swój majątek dziesięciokrotnie. Zachował też kopie raportów Stasi, które odsprzedał informatorom, ci zaś z czasem pozajmowali w nowych Niemczech wysokie stanowiska.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy większość tych mężczyzn i kobiet czuła, że ich tajemnica jest bezpieczna, po raz kolejny odwiedził ich Ralph Hanke, teraz z młodym Christianem u boku. Tym razem nie prosił o pieniądze, tylko o różne przywilegi - powoli budował wokół siebie sferę bogactwa i władzy.

Ralph i Christian podróżowali po świecie, nawiązując kontakty w rządach i dużych przedsiębiorstwach, płacili łapówki, za pośrednictwem figurantów i fikcyjnych firm sprzedawali samoloty, pojazdy i sprzęt radiolokacyjny krajom prowadzącym wojny. W ciągu kilku lat Ralph zbudował spółkę Hanke GmbH, która zarabiała grube pieniądze.

Widok za szybą samochodu uległ zmianie. Znajdowali się w centrum Monachium. Wydawało mu się, że to miasto aż błyszczy. Błyszczy przezornością i sukcesem.

Usiadł wygodniej, skórzane siedzenie zaskrzypiało.

- Skontaktowałeś się z Christianem?

- Tak... - odparł Roland.

Ralph odczekał chwilę.

- I co?

- Siedzi w domu, zapija smutki. Najwyraźniej wiele dla niego znaczyła.

- Na to wygląda.

Ralph wyrzał przez okno. Jego reakcją na wieść, że samochód Christiana wyleciał w powietrze, była ulga - ulga, że Christiana nie było w środku. Zachodził w głowę, czy to naprawdę była odpowiedź Guzmána. Czy na celowniku znajdował się Christian, czy jego dziewczyna? A może było to pozdrowienie od kogoś innego? Ale w takim razie od kogo? Nie, to był Guzman, ale sposób jego działania zdziwił Hankego. Czyżby stawiali znak równości między dziewczyną a obrażeniami, jakich Hector doznał na przejściu dla pieszych? A może to był wypadek? Czy to możliwe, że czyhali na Christiana, żeby pokazać, że z nimi nie ma żartów?

Ralph miał przed oczami katedrę Najświętszej Marii Panny. Podniósł wzrok na kopuły i znów pograżył się w myślach. Był ciekaw, jak sprawa Guzmána się potoczy, ciekaw, jak Adalberto Guzman się zachowa, kiedy każe mu paść na kolana. Chciał bowiem to zrobić, głównie po to, by się

przekonać, kim Guzman tak naprawdę jest. Tylko wtedy można zobaczyć prawdziwą wartość człowieka, gdy powali się go na ziemię, tylko wtedy można go ocenić. Niektórzy leżeli żałośnie, prosząc o przebaczenie. Niektórzy wstawali, tylko po to, by zaraz znów ich przewrócono, i tak w kółko. Inni wstawali, zrzucali winę na kogoś innego i sprzedawali się diabłu. Ktoś mógłby to nazwać instynktem samozachowawczym - Ralph nazywał to panicznym strachem. Była jednak jeszcze owa malutka grupka ludzi, którzy bez lęku bezlitośnie oddawali ciosy. Tych należało szanować. Może Guzman był jednym z nich?

Roland przerwał ciszę i zaczął referować program na resztę dnia. Pracował dla Ralpa od ośmiu lat. Roland Gentz pilnował, by większość problemów Ralpa została pomyślnie rozwiązana. Był ekonomistą, prawnikiem, politologiem, człowiekiem do wszystkiego. Ralph go za to cenił. Był prawą ręką, bez której nie mógł się obejść, i robił to, czego Ralph nie mógł zrobić sam. Kontaktował się z ludźmi, prowadził negocjacje i pilnował, by wszystko grało. Nic, praktycznie rzecz biorąc, nie uchodziło jego uwadze. Jeżeli ktoś był zanedo uparty, Roland robił krok do tyłu i wtedy wkraczał Michaił. Ralph miał wokół siebie małą, ale ze wszech miar sprawną organizację,

- Michaił, ty jedziesz na spotkanie do Rotterdamu, zgadza się? - zapytał Roland.

- Po co masz jechać do Rotterdamu? - przerwał Ralph.

Roland odwrócił się lekko.

- Pomyślałem, że powinniśmy mieć zawsze kogoś, kto będzie odbierał towar, przynajmniej przez pierwsze pół roku. To tylko rutyna, środek bezpieczeństwa. Guzmanom może coś strzelić do głowy.

- Dlaczego Michaił, nie mamy nikogo innego?

- Są zajęci. Niech zostanie, jak jest.

Łamanym angielskim Michail oznajmił, że wszystko ma przygotowane, że oprócz niego będzie tam jeszcze dwóch innych i że wszystko pójdzie dobrze.

- Kim są ci inni?
- Służyliśmy razem w Czeczenii.
- Są w porządku?

Michail wykrzywił usta w półuśmiechu i potrząsnął głową.

- Nie, ani trochę.

Ralphowi podobało się nastawienie Michaila, zawsze lubił tego Rosjanina. Była w nim jakaś jednoznaczność, rzadko cokolwiek kwestionował, robił to, czego od niego oczekiwało, a kiedy sprawy nie szły zgodnie z planem, przejmował inicjatywę i rozwiązywał problem.

- Okej - powiedział Ralph i odetchnął. Zamknął oczy, kilka minut snu na pewno się przyda.

Sophie wypróbowała przed lustrem różne style. Uznała, że wygląda zbyt elegancko, więc w końcu to przełamała, zakładając dzinsy

- Dokąd się wybierasz?

Albert siedział na kanapie w dużym pokoju. Zobaczyła go, schodząc po schodach.

- Na przyjęcie.
- Jakie przyjęcie?
- Urodzinowe.
- Czyje?

Zatrzymała się w przedpokoju na dole i przejrzała w wiszącym nad komodą lustrze.

- Kolegi.
- Kolegi?
- Ma na imię Hector.

Malowała usta szminką, nachylając się do lustra.

- Hector? Kto, do cholery, nazywa się Hector?

Sophie ścisnęła usta.

- Nie przeklinaj.

- No to kto to jest?

Pociągnęła usta raz jeszcze.

- Były pacjent.

- Jesteś zdesperowana?

Usłyszała żartobliwy ton w jego głosie, powstrzymała uśmiech. Albert wstał z kanapy i minął ją, idąc do kuchni.

- Wyglądasz ekstra, mamó - wymamrotał.

Już wcześniej zwróciła uwagę, że przy tych nielicznych okazjach, kiedy z kimś wychodziła, zawsze ją wspierał.

- Dziękuję, kochanie - odpowiedziała.

Podjechała taksówką pod restaurację Trasten. Kiedy wchodziła do środka, pojawił się młody mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach, przytrzymał drzwi, wziął od niej jej cienki płaszcz i powitał ją łamanym angielskim. Sophie nagle poczuła zdenerwowanie, zaczęła żałować, że tu przyszła. Z wnętrza restauracji dobiegały głosy i śmiechy.

Zamiast lamp wewnątrz oświetlały świece. Siedzący przy stolikach goście śmiali się, rozmawiali i pili. Za nią wchodzili kolejni. Sophie zerknęła na ich ubiór. Trudno jej było rozstrzygnąć, czy sama ubrała się zbyt elegancko, czy też zbyt swobodnie, prawdopodobnie pół na pół, tak jak chciała. Minęła ją kobieta z tacą kieliszków napelnionych po brzegi szampanem. Sophie wzięła jeden i zaczęła szukać w tłumie Hectora. Znalazła go w końcu w dalszej części sali, na kolanach siedział mu mały chłopczyk. Chłopczyk śmiał się do rozpuku, kiedy Hector podrzucał go w górę na zdrowej nodze. Skierowała się w jego stronę, a tymczasem ktoś zadzwonił o kieliszek. Przystanąła przy ścianie i zobaczyła mężczyznę, pewnie koło pięćdziesiątki, w rozpiętej

do połowy białej koszuli, czekającego, aż gwar w pomieszczeniu ucichnie. Zadzwoił raz jeszcze; jeden z gości przy stolikach powiedział coś głośno po hiszpańsku i kilka osób wybuchnęło śmiechem. Mężczyzna, który prosił o ciszę, pozwolił mu wybrzmieć i odezwał się po hiszpańsku. Co jakiś czas odwracał się do Hectora, mówił spokojnie i z uczuciem. Chwilami łamał mu się głos. Hector słuchał ze spokojem, chłopczyk na jego kolanach być może instynktownie to wyczuł, ponieważ siedział odchylony do tyłu, w całkowitym bezruchu. Mężczyzna zakończył mowę i wznosił kieliszek w toast za Hectora. Pozostali goście się przyłączyli. Hector opróżnił kieliszek i wtedy dostrzegł Sophie. Dał jej znak, by podeszła. Chłopczyk gdzieś zniknął. Znow zrobiło się gwarno, a kiedy się zbliżyła do Hectora, ten szeptał coś do ucha młodej dziewczynie, siedzącej na krześle obok. Dziewczyna wstała, ustępując miejsca Sophie, która podziękowała jej uśmiechem. Hector się podniósł. Nie mógł oderwać od Sophie wzroku. Wybuchnęła śmiechem. Hector zebrał się w sobie i pocałował ją w oba policzki.

- Witaj, Sophie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedziała, wręczając mu małą paczuszkę. Wziął ją bez otwierania.

- Cieszę się, że tu jesteś.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Chodź, poznasz moją siostrę.

Poszli w kierunku stolika. Sophie dostrzegła, że po drugiej stronie, przy barze, siedzi Aron; skinął jej po przyjacielsku głową.

Jedna z kobiet wstała od stolika, miała krótko przystryżone włosy, ciemne piegi na oliwkowej skórze i czujne oczy, jednocześnie ciekawe świata i wesołe, słowem: wyglądała zdrowo.

- Sophie, to moja siostra Inez.

Sophie wyciągnęła dłoń. Inez nie zwróciła na to uwagi, tylko przytuliła ją i pocałowała powietrze, kiedy ich policzki się spotkały. Hector mówił szybko po hiszpańsku, a Inez coś mu odpowiedziała, nie odrywając wzroku od Sophie.

- Mówi, że chce ci podziękować za to, że opiekowałaś się jej niewydarzonym bratem.

Sophie dowiedziała się, że Inez ma dwójkę dzieci, które zostały z jej mężem w Madrycie. Inez dodała, że cieszy się, że mogła ją poznać, poklepała Sophie po ramieniu i poszła.

- Mój brat nie mógł przyjechać, mieszka we Francji, jest biologiem morskim i najlepiej czuje się pod wodą. Nie mam do niego pretensji - powiedział Hector.

Mężczyzna, który wcześniej przemawiał, podszedł do Hectora i objął go, po czym odwrócił się do Sophie. Jego duża sylwetka i duży nos wydawały się jeszcze większe, kiedy stał blisko. Miał na sobie sporo złota - grubą bransoletę na ramieniu, łańcuch na szyi, a na palcach serdecznych duże sygnety.

- Sophie, to jest Carlos Fuentes. Ta restauracja należy do niego.

- Miło mi cię poznać, Sophie. Widziałem cię już wcześniej, ale tylko przelotnie, kiedy jadłaś lunch z Hectorem.

Carlos mówił z obcym akcentem.

- O ile mi wiadomo, jesteś pielęgniarką. Może Idedyś wyleczysz moje złamane serce?

Położył sobie rękę na piersi, uśmiechnął się do Sophie i odszedł.

- Dlaczego ma złamane serce?

Hector wzruszył ramionami.

- W oczach kobiet chce uchodzić za beznadziejnego romantyka. Nie ma złamanego serca tylko dwa złamane małżeństwa. I to on je zламаł.

Hector popatrzył za Carlosem. Sophie wydało się nagle, że dostrzega w jego spojrzeniu jakiś mrok.

Para, prawdopodobnie z Wysp Karaibskich. On wysoki, szczupły i jednocześnie mocno zbudowany. Ona piękna, z włosami ułożonymi w kulę, szła dumnym krokiem, lekko pochylona do przodu. Podchodząc do Hectora, trzymali się za ręce. Wyglądali, jakby posiadli cały świat, ale jednocześnie chcieli dzielić się nim ze wszystkimi. Wysoki mężczyzna poklepał Hectora z czułością po ramieniu, wręczając zapakowany prezent. Hector z miejsca zrobił się wesoły i serdeczny, mężczyzna chwycił Sophie za rękę.

- Jestem Thierry, a to moja żona Daphne.

Sophie przywitała się z nimi, Daphne się do niej uśmiechnęła. Porozmawiali chwilę z Hectorem, po czym, mocno przytuleni, poszli dalej witać kolejnych znajomych.

Ktoś klasnął w ręce i krzyknął, żeby goście usiedli do stołu.

Hector zaprosił Sophie do swojego stolika. Miejsca nie były oznaczone, ale goście najwyraźniej wiedzieli, gdzie usiąść. Znalazła dla siebie wolne krzesło.

Obok Sophie siedział jakiś mocno zasuszony mężczyzna. Krótko ostrzyżony, żylasty, na nosie miał okulary w cienkich oprawkach i sprawiał wrażenie spiętego, jakby nie chciał tam być. Przedstawił się jako Ernst Lundwall, po czym milczał tak długo, aż stało się to nie do zniesienia, być może sam to poczuł.

- Skąd zna pani Hectora? - zapytał.

Opowiedziała o wypadku, o którym Ernst słyszał, i o tym, jak poznali się w szpitalu, dzięki czemu teraz tu jest. Zapytała mężczyznę o to samo.

- Pomagam w wydawnictwie Hectora w kwestiach prawnych. Jestem prawnikiem, pracuję przede wszystkim jako adwokat i radca prawny, specjalizuję się w prawie autorskim.

Głos miał nosowy i monotony. Kolacja stała się dla niej męczarnią. Ernst Lundwall na wszystkie pytania odpowiadał monosylabami, nie zadawał własnych, nie rozwijał tematu,

nie zachowywał się w ogólnie przyjęty sposób. Mężczyzna po jej drugiej stronie nie ratował sytuacji - nie mówił ani po angielsku, ani po szwedzku. W końcu się poddała i wybrała milczenie.

Jedząc, spoglądała na Hectora, pogrążonego w rozmowie z siedzącą obok siostrą. Po jego drugiej stronie siedziała piękna kobieta koło trzydziestki. Sophie nie wiedziała, kto to taki. W pewnym momencie kobieta spojrzała znad stołu, napotkała jej spojrzenie i odwróciła wzrok. Sophie zdała sobie sprawę, że się wpatruje.

Niektórzy co jakiś czas wstawali i wychodzili zapalić. Wykorzystała okazję, przeprosiła Ernesta i wyszła.

Stała samotnie przed drzwiami restauracji, paląc papierosa. Po kilku kieliszkach szampana czuła się lekko wstawiona, papieros jej smakował. Drzwi się otworzyły i pojawił się Aron w towarzystwie dwóch mężczyzn.

- Cześć, Sophie.

- Cześć, Aron.

Rozejrzał się dookoła. Jeden z mężczyzn poszedł ulicą w lewo, drugi skierował się w prawo. Aron zwrócił się do Sophie.

- Mogę cię prosić, żebyś weszła do środka?

Zdziwiło to Sophie, jednak Aron swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że pytanie jest całkowicie naturalne.

- Oczywiście.

Ulicą nadjeżdżał samochód. Mężczyzna, który poszedł w prawo, skinął do Arona, który wyszedł na ulicę. Samochód był coraz bliżej. Sophie weszła do restauracji.

Podczas jej przerwy na papierosa na przyjęciu zapanował swoisty chaos. Wszyscy zmienili swoje miejsca i rozmawiali teraz przy kawie i czymś mocniejszym. Na jej krześle przy stoliku Hectora siedział już ktoś inny. Znalazła wolne miejsce przy innym stoliku. Nie minęło wiele czasu, kiedy przysiadł się do niej Ernst Lundwall.

- Zabrali nasze miejsca!

Wydawał się wzburzony. Drzwi znów się otwały i do środka wszedł krótko ostrzyżony, wysportowany mężczyzna. Szybko omiótł spojrzeniem salę. Za nim wszedł starszy, elegancko ubrany pan o siwych włosach i opalanej skórze, na końcu zaś Aron, który zamknął za sobą drzwi. Hector podniósł się z krzesła, wyglądał na zdziwionego, wręcz poruszonego. Starszy mężczyzna podszedł i padli sobie w objęcia.

- Guzman el Bueno! - krzyknął ktoś z sali i wszyscy zaczęli klaskać.

Hector podszedł do ojca. Sophie zobaczyła, że zamieniają ze sobą kilka słów i łdępią się nawzajem po policzkach. Kelnerka pomogła Adalbertowi Guzmanowi zdjąć płaszcz, zamieniono miejscami krzesła, ludzie się przesiedli i Adalberto usiadł koło swojego syna. Od razu pogrążyli się w rozmowie. Przez cały czas Adalberto trzymał dłoń Hectora w swojej.

Alkohol nagle uderzył Ernstowi Lundwallowi do głowy, przez co zrobił się bardziej rozmowny, zaczął opowiadać Sophie, jakiej muzyki słuchał w młodości i jakiej woli słuchać teraz. Sophie próbowała wyglądać na zainteresowaną, wzrokiem szukała jednak Hectora i jego taty. Było w nich coś radosnego i intensywnego.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała do Ernsta, wstając. Ten jej nie usłyszał, nadal rozprawiał o swojej nieciekawej młodości.

- To właśnie mój ojciec, Adalberto Guzman.

Sophie się przywitała, Hector zaś po hiszpańsku opowiadał ojcu o Sophie. Nie puszcżając jej dłoni, Adalberto patrzył jej w oczy i kiwał głową, słuchając słów syna.

Hector wstał z krzesła i podał Sophie ramię. Przeszli się kawałek, Hector przedstawiał ją rozmaitym ludziom, nagle poczuła, że ta rundka po restauracji ma stworzyć wrażenie, że są parą - jakby chciał ją pokazać swoim przyjaciółom.

Wyswobodziła ramię z jego uścisku i wróciła na swoje miejsce, gdzie na szczęście nie było już Ernsta. Z głośników popłynęła muzyka, ludzie wstawali i zaczęli tańczyć. Po chwili przyszedł Hector i usiadł koło niej.

- Boisz się mnie?

Pokręciła głową. Hector patrzył na tańczących.

- Nie mam żadnych ukrytych zamiarów, kiedy przedstawiam cię swoim przyjaciółom.

- Nic się nie stało - odparła.

Chwył jej dłoń.

- Mogę?

Pokiwała głową.

Siedzieli tak, trzymając się za ręce i przyglądając się ludziom na parkiecie. Jego dłoń była duża i ciepła. Miło było tak ją trzymać.

Okolo drugiej w nocy goście zaczęli się zbierać do domów; pół godziny później muzyka grała już ciszej i w lokalu pozostało tylko około dwunastu osób. Większość z nich rozmawiała przy jednym stole. Hector, Adalberto, Inez, Aron i Leszek - krótkowłosa mężczyzna, który przyszedł z Adalbertem - a oprócz nich Thierry i Daphne. Miejsce koło Hectora nadal zajmowała tamta piękna kobieta. Sophie siedziała koło Arona, gawędzili o jakichś przyziemnych sprawach. Później zaczęła rozmawiać z krótkowłosym Polakiem Leszkiem. Przyglądała się ludziom przy stole. Widziała, jak Inez rozmawia z Adalbertem - wyglądała jak dziecko, które postanowiło, że będzie się gniewać na tatę, Adalberto z kolei wyglądał na odrobinę zgnębionego, jak tata, który chce tylko tego, by jego córka była szczęśliwa. Thierry i Daphne siedzieli przytuleni. Spojrzała na Hectora. Nie rozmawiał z kobietą obok, w ciągu tego wieczoru zamienił z nią może ze dwa słowa. Sophie zreflektowała się, że znów się w nią wpatruje. Kobieta miała w sobie coś obojętnego, obojętnego i pięknego, jakiś spokój i delikatność. Zdawała się smutna,

zamknięta w sobie, ale nie nieśmiała. Jednak przede wszystkim było w niej coś wysmakowanego, piękno to zbyt małe słowo. Sophie poczuła ukłucie zazdrości.

Spotkała ją w damskiej toalecie, być może kobieta poszła za nią. Stały obok siebie, przeglądając się w lustrach nad umywalkami. Kobieta poprawiała makijaż.

- Mam na imię Sonya - powiedziała cicho.

- Sophie.

Sonya wyszła z toalety

Kiedy Sophie wróciła, znów grała muzyka i trwały tańce. Wszyscy, którzy wcześniej siedzieli przy stole, teraz szaleli na parkiecie. Podeszła do niej młoda kelnerka z tacą. Sophie dostrzegła dużą ilość białych tabletek.

- Częstuj się - powiedział stojący za nią Hector.

- Co to jest?

- Ecstasy. Zązywam je w każde urodziny, odkąd skończyłem trzydzieści lat. Nie umrzesz od tego.

Zawahała się, popatrzyła na zadowolonych gości, popatrzyła na Hectora.

- Już wzięłeś?

Pokiwał głową.

- Przed chwilą.

- Czujesz coś?

Zapatrzył się w przestrzeń, badał swoje odczucia, próbując zobaczyć, czy coś się zmieniło.

- Chyba jeszcze nie zaczęło działać... tak mi się wydaje. Ale nie wiem - powiedział i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Sophie wzięła jedną tabletkę i połknęła.

Odkryła, że taniec to jej ulubione zajęcie, że restauracja, wcześniej tak niepozorna, jest jednym z najpiękniejszych miejsc, w jakich kiedykolwiek była, niesamowicie pięknym w całej swej idealnej postaci. Czas dziwnie kręcił się wokół własnej osi, nagle wszyscy znów siedzieli przy stole, muzyka była cicha, jak perfekcyjny akompaniament w tle.

Sophie patrzyła. Pozostali przy stole rozmawiali i śmiali się na przemian, pili i palili. Jakby każdy temat rozmowy był ogniwo, połączonym z czymś większym. Inez pochyliła się do przodu i zaczęła z nią rozmawiać. Hector tłumaczył najlepiej, jak potrafił, ale oboje z Inez zbyt często wdawali się w jaldeś śmichy-chichy po hiszpańsku. Sonya się nie śmiała, tylko uśmiechała; był to łagodny uśmiech, który nadawał jej twarzy wyraz chwilowego zadowolenia, jakby nad chichot przedkładała możliwość rozkoszowania się tym, co tu i teraz. Hector zachowywał się jak podekscytowany chłopiec, widziała, że dobrze się bawi, jak wszyscy. Adalberto przemienił się w dziecko, mamrotał po hiszpańsku słowa, których nikt nie rozumiał, ale które wszyscy uważali za zabawne. Daphne i Thierry byli jeszcze bardziej zakochani, siedzieli wtuleni w siebie, mocno się trzymając. Sophie czuła się tak, jakby cały świat był najzupełniej kompletny i sensowny.

Z restauracji wyszła około czwartej nad ranem, nie chciała jechać do domu, ale zrozumiała, że impreza potrwa jeszcze do późnych godzin kolejnego dnia.

Hector odprowadził ją do taksówki, otworzył jej drzwi.

- Dziękuję - powiedziała.

- To ja dziękuję - odparł.

Pochyliła się do przodu i pozwoliła się pocałować. Jego usta były bardziej miękkie, niż to sobie wyobrażała. Miał w sobie pewną ostrożność. Powoli się odsunął.

Po powrocie do domu nie mogła zasnąć, siadła więc na werandzie i słuchała ptaków, które dla niej śpiewały, wdychała bajeczne zapachy wczesnego poranka i chłonęła całe oglądane piękno. Rześką zieleń trawy, grube korony drzew, skomplikowaną formę wszystkiego. Czuła, że jest naćpana, ale nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia.

Pytała samą siebie, dlaczego tak nagle straciła kontrolę i dlaczego w ostatnim czasie przesunęła tyle wewnętrznych granic.

*

Lars stał oparty o ścianę. Popatrzył na Erika, który siedział z nogami na wyciągniętej szufladzie biurka i dłużył w ucho długopisem. Eva Castroneves kręciła się centymetr w jedną, centymetr w drugą stronę na obrotowym krześle, zaś Gunilla z okularami na nosie przeglądała jakieś papiery. W końcu odłożyła je i zdjęła okulary, które wisiały teraz luźno na sznurku wokół szyi.

- Ty zacznij, Lars.

Lars poruszył się w miejscu, jakby szukał dziury, w której mógłby się zaszyć - zawsze odczuwał strach, kiedy proszono go, by mówił jako pierwszy. Przeszukiwał swoje wnętrze, próbując znaleźć tę stronę osobowości, która wyratowałaby go z opresji. Może ta lekko gniewna, może ta lekko pusta, a może mieszanka jednej i drugiej. W końcu coś znalazł, uruchomił i względnie pewnym głosem zaczął opowiadać towarzystwu o tym, jak Sophie Brinkmann spotkała Hectora w domu towarowym NK i jak wczorajszego wieczoru poszła na przyjęcie do restauracji Trasten na Vasastan.

- Ale o tym wszystkim napisałem w raporcie.

- Już wiemy, że Sophie i Hectora łączy jakaś relacja - podjęła Gunilla. - Czas pokaże, jaka. Impreza, Lars. Opowiadaj.

Odchrząknął, trzymał dłonie razem, opuścił je, ramiona dziwnie zwisały, a nogi nie potrafiły znaleźć swobodnej pozycji.

- Widziałem tylko dwóch mężczyzn stojących przed restauracją na straży, po tym jak przyjechał tam starszy mężczyzna, prawdopodobnie ojciec Hectora. O 3.28 Sophie wsiadła do taksówki, którą najprawdopodobniej opuściła centrum miasta i pojechała do domu.

- Dziękuję - odparła Gunilla i skinęła głową Evie.

- Zrobiłem zdjęcia pozostałym gościom, kiedy stamtąd wychodzili - wtrącił Lars. - Trochę rozmazane, może chciałabyś zerknąć, Eva?

Głos Larsa był teraz trochę wyższy, nie podobało mu się to.

- Dobrze... Daj zdjęcia Evie - poleciła Gunilla.

Podrapał się po karku.

Eva wróciła do papierów, opuściła wzrok na materiały, poprzeglądała je trochę.

- Sophie Brinkmann, z domu Lantz, wygląda na to, że dobrze jej się żyje, prawdopodobnie z pieniędzy po mężu. Sporadycznie spotyka się z koleżankami i czasami z mamą. W jej przeszłości nie ma żadnych znaków zapytania. Chodziła normalnie do szkoły, oceny odrobinę powyżej przeciętnej, rok na wymianie z USA, po liceum przez rok jeździła z koleżanką po Azji. Imiała się różnych zajęć, nim zaczęła się uczyć na pielęgniarkę w Sophiahemmet. Dwa lata później poznała Davida Brinkmanna i urodziła syna Alberta, wyszła za Davida i przeprowadzili się z mieszkania w Sztokholmie do willi w Stocksund. Kiedy w 2003 roku David zmarł, sprzedała dom i przeniósła się z synem do mniejszego w tej samej okolicy...

Eva wstała, poprzerzucała jeszcze trochę dokumentów, po czym kontynuowała sprawozdanie.

- Syn Albert jest jej bardzo bliski. Nie wydaje się, żeby miała jakieś hobby, żeby coś ją szczególnie interesowało. Sferę towarzyską trudno rozszyfrować, nie znamy nikogo z kręgu jej przyjaciół poza najbliższą przyjaciółką, Clarą. Z nią właśnie była, kiedy ją śledziłeś, Lars. Tyle wiem, na razie.

Włączyła się Gunilla.

- Czy była taka, zanim ją poznaliśmy? Była kobietą, która spotyka się z mężczyznami? Czy pogrążoną w żalu wdową siedzącą w domu, którą dopiero Hector wyciągnął ze skorupy?

- Chyba właśnie tak - powiedziała Eva.
- Jak?
- Hector jest pierwszy.
- Dlaczego tak myślisz? - zapytała Gunilla.
- Nic nie wskazuje na to, by po śmierci męża spotykała się z mężczyznami, ale jeszcze będę to sprawdzać.
- Erik?

Erik wydlubował wykałaczką brud spod paznokcia.

- Sama w sobie nieciekawa, pytanie brzmi, czy Hiszpan się w niej zakochał. Jeżeli tak, to odgrywa tu jakąś rolę, w przeciwnym wypadku ta kwestia jest nieistotna.

Znów zapadła cisza, jak gdyby wszyscy oprócz Larsa pogrążyli się w myślach. Popatrzył na nich i poczuł się tak, jakby nagle został sam w pokoju. Gunilla obudziła się pierwsza.

- Lars, możesz mnie podwieźć?

W porze lunchu ulica była zakorkowana. Gunilla siedziała z przodu i malowała usta, przeglądając się w lusterku z tyłu osłony przeciwsłonecznej.

- Co ty o tym myślisz? - zapytała i zacisnęła usta.
- Nie wiem.

Zamknęła szminkę i schowała ją do torebki.

- Chcę usłyszeć twoją opinię, Lars. Nie wywód, nie argumentację, tylko opinię.

Kiedy na Sturegatan utknęli za autobusem, miał czas, żeby się zastanowić.

- To wszystko wydaje się skąpe.

- Bo jest skąpe. Zawsze jest skąpe, najczęściej nic nie mamy. W tym przypadku myślę wręcz, że jest odwrotnie, myślę, że mamy dużo.

Lars pokiwał głową.

- Pewnie masz rację.

Patrzył przed siebie, ruch uliczny był gęsty.

- Nie musisz się ze mną zgadzać - powiedziała głucho.

Lars kaszlnął z jakiegoś powodu; tak bardzo chciał, żeby mu zaufała.

- Myślę, że mam więcej do zaoferowania, Gunilla.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że mogę robić więcej, nie tylko śledzić. Mam analityczny umysł i chyba do niejednego mogę się przydać. Rozmawialiśmy o tym, kiedy mnie zatrudniałaś...

Gunilla pokazała, że może się zatrzymać kawałek dalej.

- Jesteś ważny dla grupy, Lars, jesteś wartościowym pracownikiem. Chciałabym ci wyznaczyć ambitniejsze zadania, ale żeby tak się stało, musimy mieć jakiś punkt zaczepienia, a jedyną osobą, która może coś znaleźć, jesteś ty. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność, jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, ale teraz musimy zwiększyć zakres, zakres pracy wywiadowczej...

Rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak.

Lars znalazł wolne miejsce, podjechał do krawężnika i zatrzymał samochód.

- Jesteśmy na dobrym tropie - ciągnęła Gunilla. - Nie miej co do tego wątpliwości, rób tylko wszystko, co w twojej mocy, by posunąć sprawę o krok dalej.

Zamknęła torebkę.

- Prześlę ci numer. Numer do człowieka o imieniu Anders. On ci pomoże. Anders jest dobry.

Gunilla pogłaskała go po ramieniu, otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

Lars został w środku, a myśli kłębiły mu się w głowie

- gdzieś wśród nich odrobinka euforii wywołanej tym, co powiedziała o nim Gunilla, o jego wartości. Ale z drugiej strony tkwiło w nim to nieprzyjemne uczucie, które nigdy go nie opuszczało. Gunilla nadal będzie miała rację co do niego. Nie zawiedzie jej.

Wyjechał z powrotem na zatłoczoną ulicę. Zadzźwięczał telefon, na wyświetlaczu pojawiło się pytanie, czy chce zapisać kontakt „Anders”.

*

Na morzu były wysokie fale, zalewały go kaskady wody Stał na dziobie łodzi i w oddali widział płaski ląd. Holandię.

Silniki nagle wyłączono, przez kadłub przetoczył się pomruk i stukot, kiedy sternik włączył wsteczny bieg. Nie było to zbyt odczuwalne, statek nadal posuwał się naprzód w tym samym tempie. Wyhamowanie jednostki tej wielkości wymagało czasu. Jens wypatrywał przyczyny, dla której kapitan postanowił się zatrzymać tak daleko od brzozy.

Na horyzoncie zobaczył sporej wielkości otwartą motorówkę, która podskakując na falach, płynęła prosto na nich. Zmrużył oczy, próbując dostrzec jakiś znak, który pomógłby mu zrozumieć, co to za łódź albo kto nią steruje. Nie zobaczywszy nic szczególnego, zszedł z dziobu i skierował się ku metalowym schodkom prowadzącym na mostek.

Jens otworzył drzwi. Sternik i kapitan pili herbatę, kopili śmierdzące papierosy i z zapamiętaniem grali w grę planszową.

- Płynie tu jakaś łódź.

Kapitan pokiwał głową.

- Celnicy? Policja?

Kapitan pokręcił głową.

- Pasażerowie - powiedział ze spokojem i wypił łyk herbaty.

Jens zaczął się denerwować - najprawdopodobniej było to widać, ponieważ kapitan powiedział do sternika coś po wietnamsku i obaj wybuchnęli śmiechem.

Kiedy motorówka zrównała się ze statkiem, zapanowało ożywienie. Spuszczono drabinkę, po której weszło dwóch

mężczyzn - jeden krótko ostrzyżony i wysportowany, drugi ciemnowłosy w ciemnej kurtce sięgającej talii. Ten pierwszy miał przy sobie sportową torbę z materiału. Gdy tylko motorówka odplynęła pełnym gazem z powrotem w stronę łądu, jeden z mężczyzn ruszył w stronę mostka kapitańskiego. Ten z krótkimi włosami czekał na dole.

Jens obserwował ich ze swojego miejsca na pokładzie, widział, jak jeden z nich rozmawia z kapitanem, który wykonywał pokorne gesty, jakby żałował czegoś, co zrobił, jakby próbował się wytłumaczyć. Rozmowa była krótka, mężczyzna zaraz zszedł z powrotem metalowymi schodkami.

- Leszek! - krzyknął do krótkowłosego, dając mu znak, by poszedł na przód statku. Leszek posłuchał i zniknął.

Silniki Diesla znów zaczęły pracować i statek, nie zmieniając kursu, ruszył z mozołem przez fale w kierunku Rotterdamu. Leszek zszedł pod pokład.

Kapitan zabronił Jensowi przebywać w ładowni podczas podróży, ale on nie zamierzał prosić go o pozwolenie.

Wyłamał wieka dwóch skrzyń, poskładał karabiny i przepakował do dwóch mniejszych skrzynek, które łatwo będzie można przenieść na nabrzeżu do zamówionej przez niego ciężarówki. W uiszczoną przez Jensa opłatę za przewóz towaru przez Atlantyk wliczone było zapewnienie, że przez pierwszą godzinę ich pobytu w porcie celnicy nie będą przeprowadzać wrywkowych kontroli. Jensowi zależało na tym, by wszystko poszło sprawnie, chciał szybko zejść na ląd i odjechać.

Kilka godzin później statek wpłynął do portu. Jens siedział na dachu mostka, pił kiepską kawę i palił papierosa. Morze było spokojne, zza mgły świeciło słońce. W oddali słyszał sygnały mgłowe. Po chwili widział już wyraźnie port w Rotterdamie. Był ogromny, wszystko było ogromne. Dźwigi, kontenery, monstrualnie wielkie statki w potężnych dolcach. Kiedy wpływali w środek tego wszystkiego, Jens czuł się malutki.

Po godzinie statek zacumował przy kamienistym nabrzeżu w odległej części portu. Ze swojego stanowiska na mostku kapitan otworzył ładownię, ramiona dźwigów znalazły się nad statkiem, załoga zaś sznurami i stalowymi linami zaczęła związywać kontenery, które powoli przenoszono na ląd.

Akurat w chwili gdy Jens zaczął się zastanawiać, kiedy pojawi się wynajęta ciężarówka, nabrzeżem nadjechał samochód i zaparkował blisko statku. Raczej nie ten, który zamówił, był zbyt mały. Wysiadło z niego trzech mężczyzn. Jeden był wysoki i barczysty, pozostali dwaj nieco mniejsi. Dziarskim krokiem podeszli do statku i po spuszczonej trapie weszli na pokład. Jens śledził ich spojrzeniem ze swojego miejsca na dachu. Największy z trójki ruszył w kierunku mostka, reszta zaś została na dole.

Jens odstawił szklanę z kawą, zszedł po drabince i minął dwóch mężczyzn. Po drodze przywitał się z nimi - bardziej jak członek klubu golfowego niż pasażer wietnamskiego statku przemytników. Żaden z mężczyzn nie odpowiedział na powitanie. Jens spojrzął na nich, przechodząc. Z bliska sprawiali wrażenie wyniszczonych - wąskie, zapadnięte oczy, dziobata cera... wygląd nałogowców.

Gdy tylko Jens postawił stopę na pierwszym z metalowych schodków prowadzących do ładowni, usłyszał za sobą krzyk jednego z mężczyzn.

- Michail!

Następnie rozległy się trzy wystrzały, jeden po drugim. Zdało się mu, że słyszy krzyk, i w tej samej mikrosekundzie jego uszu dobiegł gwizd, któremu towarzyszyły głuchy i twardy odgłos czegoś małego z wielką szybkością wbijającego się w ciało. Czysty odruch sprawił, że rzucił się w dół po schodach. Przez kolejne sekundy panowała absolutna cisza. Tak jakby strzał wymiótł wszystkie dźwięki we wszechświecie. Wszedł kilka stopni wyżej i wyjrzał ostrożnie zza

rogu. Jeden z mężczyzn, z którymi przed chwilą się witał, leżał tuż przed nim w nienaturalnej, wykrzywionej pozycji, najwyraźniej martwy. Pod jego kurtką Jens dostrzegł pistolet maszynowy. Patrząc pod słońce, zobaczył na dachu widokowym kontury mężczyzny nazywanego Leszkiem. Ten klęczał i przez celownik optyczny obserwował drugiego mężczyznę, który biegł po pokładzie. Po chwili oddał cztery strzały, jeden po drugim. Człowiek na pokładzie ledwo zdążył się schronić przy ścianie pod mostkiem, kule odbiły się rykoszetem od metalu.

Puls Jensa przyspieszył. Widział, jak Leszek szybkim ruchem wiesza broń na plecach, po czym zwinnie schodzi i znika. Nagle rozległy się dwa kolejne strzały. Dźwięk dochodził spod mostka, brzmiał jak wystrzały z pistoletu. Jens zobaczył otwierające się drzwi, a za nimi Michaiła z dymiącym automatycznym pistoletem w dłoni. Krzyknął coś do mężczyzny stojącego pod nim. Wymieniali krótkie zdania po rosyjsku. Michaił zszedł po drabince, najwyraźniej mu się nie spieszyło. Obaj mężczyźni poszli na rufę, znikając Jensowi z pola widzenia. Jens szybko przyczołgał się do trupa, podniósł jego kurtkę, wziął pistolet maszynowy i tyłem zszedł po schodach do ładowni - pod osłoną ciemności mógł działać szybko.

Ładownia była duża, zimna i wilgotna, skrzynie i zamrażarki stały ciasno jedna przy drugiej. Kawalek dalej znajdowały większe kontenery, poustawiane jeden na drugim, było ich siedem, z czego jeden wisiał mu nad głową. Kiedy zaczęła się strzelanina, dźwigi stanęły, a prace wyładunkowe przerwano. Jens znalazł bezpieczne miejsce, ciężko oddychając, próbował się skupić, dojść do siebie. Jakimkolwiek jednak tropem podążały jego myśli, zawsze dochodził do tego samego wniosku - ludzie z żadnej ze strzelających do siebie grup, ani tej Michaiła, ani tej Leszka, nie wiedzieli, kim jest, i dlatego najprawdopodobniej jedni i drudzy uznaliby go za

wroga. Spojrzał na broń, którą trzymał w ręku, to był bizon. Rosyjski pistolet maszynowy.

Nagle poczuł się przerażająco samotny. Prawym kciukiem odruchowo trącał bezpiecznik, który pstrykał raz po raz. Jens zorientował się, że dźwięk prawdopodobnie jest dobrze słyszalny, i przestał. Z pokładu nie dochodziły żadne kolejne salwy. Wstał i zaczął przemykać między skrzyniami.

Nagle, nie wiadomo skąd, rozległ się terkot. Grad pocisków trafił w skrzynie blisko niego. Jens padł na ziemię, po czym, nie zastanawiając się, równie szybko wstał, podniósł broń i nacisnął spust. Pistolet kliknął, nic się nie stało.

Znów ukucnął, zaklął po cichu i zmienił ustawienie bezpiecznika, którym wcześniej się bawił. Wziął głęboki wdech, pomyślał, że zmarnował swoją szansę i że strzelec zna jego pozycję. Podniósł się, przebiegł kilka metrów nieosłonięty, dotarł do tylnej części statku, podbiegł jeszcze kawałek i schronił się za jedną z zamrażarek. Oddech miał krótki i płytki, nasłuchiwał tak mocno, że po pewnym czasie zdało mu się, iż słyszy dźwięki, których tak naprawdę nie było. Wyjrzał ostrożnie, nic nie zobaczył i miał właśnie wstać, kiedy zza jego pleców jakiś głos wyszeptał po angielsku:

- Rzuć broń.

Zawahał się, ale mężczyzna powtórzył swoje słowa, położył więc bizona na ziemi.

- Ilu was jest? - głos miał ostre brzmienie.

- Tylko ja.

- Kim jesteś?

- Pasażerem na tym statku...

- Dlaczego masz broń?

- Zabrałem ją temu zabitemu na górze.

- Widziałeś ludzi, którzy weszli na pokład? - zapytał mężczyzna.

-Tak.

- Ilu ich było?

- Trzech. Jednego zastrzelili, drugi wszedł na mostek, trzeci do niego dołączył. Chyba poszli do tyłu, na rufę.

Jens puścił cichą wiankę po szwedzku, po czym znów odezwał się do mężczyzny:

- To ty do mnie strzelałeś?

Mężczyzna tym razem odpowiedział po szwedzku.

- Nie, to nie ja. To ci drudzy do ciebie strzelali, nie my.

Jens w pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał.

Coś poruszyło się w pustej części ładowni. Jens próbował zobaczyć, co się dzieje, odwrócił się do mężczyzny. Już go nie było. Jens podniósł broń.

5

Człowiek, do którego Gunilla kazała Larsowi zadzwonić, nazywał się Anders Ask. Okazał się radosnym facetem, bardziej radosnym, niż Lars mógł znieść. Spotkali się w mieście i pojechali w kierunku Danderyd.

Anders siedział wygodnie na przednim siedzeniu volvo i oglądał leżące na jego kolanach mikrofony

- Kim jest Lars?

Lars obrzucił Andersa krótkim spojrzeniem.

- Hm, cóż mam powiedzieć, nikim szczególnym.

Anders podniósł jeden z mikrofonów do światła, przyrządził mu się badawczo.

- Ale małe, ja pierdzielę... - wyszeptał sam do siebie.

Uśmiechnął się, wetknął mikrofon z powrotem w osłonkę.

- Co robiłeś wcześniej?

- Västerort - odparł Lars.

- Kryminalna?

Lars spojrział na Andersa.

- Nie...

Anders czekał na więcej, uśmiechnął się lekko.

-Nie?

Lars poprawił się na fotelu, na czole pojawiła mu się niewielka zmarszczka.

- Prewencja - powiedział cicho.

Anders parsknął śmiechem.

- Policjant z prewencji. Patrzcie państwo. Jadę samochodem z policjantem z prewencji. Po tylu latach. Jakim cudem trafiłeś do grupy Gunilli?

- Zadzwoiła i zapytała.

- Bujasz? - zapytał Anders teatralnym tonem.

Lars potrząsnął głową, zmieszany zachowaniem Andersa, którego nie potrafił zrozumieć. Anders postawił pudełko z mikrofonami na desce rozdzielczej przed Larsem. Lars zdjął je i położył sobie na kolanach.

- A ty? Kim ty jesteś? - skontrował Lars.

- Ja jestem Anders.

- Kim jest Anders'?

Anders Ask popatrzył przez okno.

- Nie twój zasrany interes.

Było kilka minut po trzynastej. Lars Vinge stał na tarasie z tyłu willi Sophie i patrzył na Andersa, który wytrychem otwierał drzwi. Dyskrekcja nie była jego mocną stroną.

- Drzwi na taras są jak grube cizie - powiedział Anders i uśmiechnął się. Porównanie go rozbawiło.

Drzwi się otworzyły. Lars się zdenerwował. Anders był zbyt głośny, zbyt pewny siebie. Anders dostrzegł jego zdenerwowanie.

- Świat jest taki duży, a ty taki malutki?

Dal Larsowi znak ręką, by wszedł.

- Witaj w domu, kochanie - wyszeptał.

Mieli osłony na buty i lateksowe rękawiczki. Lars stał w salonie, żołądek napinał mu się i kurczył jednocześnie.

Chciał się stamtąd wydostać. Anders z kolei był uosobieniem spokoju, choć miał przykry zwyczaj głośnego gwizdania podczas pracy

- Trzymaj się z dala od okien - powiedział, otworzył torbę i zaczął ją przetrząsać. - Masz mikrofony?

Larsowi się to nie podobało. Wyjął z kieszeni kurtki małe drewniane etui i podał Andersowi, który wkładając sobie do ucha słuchawkę, odszedł kawałek, włączył odbiornik i zaczął testować malutkie mikrofony

Lars wszedł dalej. Salon był duży i przestronny, większy, niż się spodziewał, patrząc z daleka, i połączony ze znajdującą się za nim kuchnią. Ta leżała wyżej, oddzielona od pokoju biegnącym wzdłuż ściany podwyższeniem, które służyło jako stopień.

Wyjął cyfrowy aparat i pstryknął szereg zdjęć. Meble były różnego typu. Nigdy wcześniej nie widział takiego stylu. Wszystko jednak do siebie pasowało. Stary, niski, różowy fotel koło dużej sofy - poduszki na sofie były różnokolorowe... oprócz tego antyczne drewniane krzesło z jasnobrązowym siedzeniem. Wszystko to powinno się ze sobą gryźć, tak jednak nie było. Ściana za sofą była zawieszona obrazami. Motywy były różne, ale całość... gustowna. Pokój tu i ówdzie ozdabiała bujne kwiaty i rośliny. Urządzony był ze smakiem, w mądry i przemyślany sposób... mimo ciasnoty. Kolory i kształty nadawały wnętrzu ciepły ton. Sprawiały, że chciało się tam być, zostać na dłużej. Na jednej z półek stały obramowane fotografie. Lars rozpoznał na nich Alberta - od roześmianego chłopczyka po młodzieńca o wyglądzie naznaczonym dojrzwaniem. Był tam również czarno-biały portret mężczyzny. Mężczyzna wydawał się postawny, w kształcie jego czoła i oczu Lars dopatrywał się podobieństwa do Sophie, prawdopodobnie był to jej ojciec. Lars zwrócił uwagę jeszcze na kilka innych zdjęć. Jedno z nich, mniejsze od pozostałych, przedstawiało Davida,

męża Sophie, stojącego za małym chłopcem, Albertem. Na innym z kolei widać było całą rodzinę - Davida, Sophie, małego Alberta i psa, żółtego labradora. Stali blisko siebie, uśmiechając się do aparatu.

Anders stał za kanapą i odwijał taśmę z rolki, którą miał przy pasku. Lars oglądał kolejne zdjęcia. Roześmiana Sophie na białym krześle ogrodowym - zdjęcie wyglądało na nowe, zrobione przed rokiem, może dwoma. Była przykryta kocem, kolana podciągnięte pod brodę. Jej śmiech był zaraźliwy, jakby śmiała się do niego. Na moment znieruchomiał.

Lars ustawił aparat na makro, zbliżył soczewkę do fotografii Sophie i zrobił kilka zdjęć.

Anders dał znak Larsowi, pokazał na stojącą przy kanapie lampę, a następnie na swoje ucho. Wstał i poszedł do kuchni, nucąc: „Świat jest taki wielki”.

Lars rozejrzał się po pokoju. Żałował, że Sara nie ma takiego samego gustu, zdolności dobierania rzeczy, tylko wciąż tę manierę właściwą cyganerii, gdzie wszystko musi być odrobinę indyjskie, tanie i... asymetryczne.

Na oparciu kanapy wisiał ręcznik. Lars wziął go do ręki i pogładził. Był miękki. Bez namysłu przyłożył go do twarzy, powąchał.

- Zboczony też jesteś?

Lars się odwrócił. Śmiech przemienił się w krzywy uśmiech. Uśmiech, który wyrażał niesmak.

- Ależ ty jesteś głupi, malutki Lasse.

Lars popatrzył za Andersem, wchodzącym po trzeszczących drewnianych schodach. Zszedł do kuchni. To pomieszczenie również było czyste i wysprzątane. W oknie stał duży wazon ciętych kwiatów, pośrodku wysoka i szeroka wyspa... zaś do małej spizarenki wiodły ciemnozielone drzwi. Drzwi w odcieniu, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Nie zdawał sobie sprawy, że w kuchni można mieć coś tak pięknego. Osoba, która ma tyle odwagi i rozumie

taki wystrój, rozumie także inne rzeczy Wszystkie zmysły Larsa zostały pobudzone, przetoczyła się przez niego lawina myśli i uczuć. Lars Vinge mógł się jeszcze wiele nauczyć o życiu. Właśnie to do niego dotarło. Chciał wiedzieć. Chciał, żeby mieszkająca tu kobieta wszystko mu opowiedziała...

Wszedł po schodach, starając się, by nie trzeszczały pod stopami. Anders był w jej sypialni, siedział w kucki przy nocnym stoliku. Lars oparł się o futrynę.

- Możemy iść? - zapytał szeptem.

- Zawsze jesteś taki męczący?

Anders przyjrzał się wynikowi swojej pracy, wstał, trącił Larsa barłdem, wychodząc z pokoju, po czym o wiele za głośno zszedł po schodach.

Lars został w drzwiach i zajął do sypialni. Duże podwójne łóżko z narzutą. Na nocnym stoliku, do którego Anders przed chwilą przyczepił mikrofon, stała piękna lampka z żelaza. Podłogę pokrywała wykładzina, na jasnych ścianach wisiało kilka obrazów, większość w ciemnych ramach. Motywy były różne: duży samotny motyl, twarz kobiety narysowana węglem na jasnobrązowym papierze, obraz bez ramy - tylko intensywnie ciemnoczerwona barwa, wywołująca skojarzenia z czymś nieistniejącym. I wreszcie olejny obraz przedstawiający duże zielone drzewo. Wszystko do siebie pasowało. Lars usiłował zrozumieć.

W kącie sypialni znajdowały się niskie dwuskrzydłowe drzwi w kolorze kości słoniowej. Wszedł dalej i czując pod stopami miękką wykładzinę, podszedł do nich, pogładził je ręką i powoli otworzył. Za drzwiami była duża garderoba, niemal wielkości oddzielnego pokoju. Lars wszedł do środka, wymacał kontakt. Wnętrze rozjaśniło ciepłe światło.

Na drewnianych wieszakach wisiały rzędem bluzki i inne ubrania. Poniżej były szuflady, nowe, z dębowego drewna. Otworzył jedną z nich - zegarek i biżuteria. Otworzył

szufladę poniżej - poskładane szale i więcej biżuterii. Pochylił się, w trzeciej szufladzie była bielizna, majtki i staniki. Zamknął ją szybko, ale po chwili znów otworzył i zajrzał, czując, że już dawno złamał wszystkie swoje zasady etyczne, więc równie dobrze może kontynuować.

Lars włożył rękę do szuflady i dotykał bielizny. Rzeczy były z jedwabiu... miękkie, nie mógł się powstrzymać przed braniem ich do ręki, głaskaniem; nagle poczuł, że jest podniecony, że ma wzwód. Chciał wziąć ze sobą kilka sztuk

- schować do kieszeni, by móc je poczuć, kiedy tylko będzie miał ochotę. Na dole rozległ się jakiś dźwięk, który go otrzeźwił. Zamknął szufladę, drzwi do garderoby i wyszedł z pokoju.

Na korytarzu wziął kilka głębokich oddechów. Poszedł do pokoju Alberta, palcami uchylił drzwi, zajrzał do środka. Był to pokój chłopca urządzone tak, jakby jego właściciel nie wiedział, czy ciągle jest dzieckiem, czy już jest dorosły. Obraz jak u dorosłego, na ścianie żółto-czarny proporzeczek klubu AIK Solna z napisem „Jesteśmy wszędzie”. Elektryczna gitara z tylko trzema strunami oparta o biurko, pusta torebka po culderkach na podłodze. Pościelone łóżko, które jakimś cudem sprawiało wrażenie niepościelonego, choć kołdra leżała równo. Pod łóżkiem Lars dostrzegł stary teleskop bez statywu. Schylił się i spojrzał głębiej, były tam książki i czarny pokrowiec na gitarę.

Zrobił kilka zdjęć, spojrzał na zegarek - czas mimo wszystko płynął szybciej, niż mu się wydawało. Opuścił pokój. Kiedy szedł w kierunku schodów i mijał pokój Sophie, poddał się impulsowi. Wejść do sypialni, otworzyć garderobę, otworzyć trzecią szufladę, wziąć majtki, schować do kieszeni. Zamknąć szufladę, zamknąć garderobę i znów na korytarz.

Anders siedział przy komputerze w pokoju, który wyglądał jak gabinet.

- Czas nam się kończy - powiedział Lars, stojąc w drzwiach.

- Stul pysk - odparł Anders, wpatrzony w ekran i dalej stuka! w klawiaturę.

- Anders!

Anders podniósł wzrok.

- Powiedziałem, stul pysk! Porozglądaj się, rób sobie, co chcesz, tylko idź stąd, do cholery

Anders wrócił do pisania. Lars chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zawahał się i wyszedł.

Postanowił zrobić jeszcze jedną rundkę, wszedł do kuchni, rozejrzał się po podłodze, by sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał. Wszystko wydawało się w porządku, więc wycofał się w stronę drzwi od tarasu, którymi weszli. Oddech miał płytki i gardłowy, z czoła spływał mu pot. Anders wyszedł z gabinetu.

- Tylko skoczę do kibelka i spadamy.

- Nie, proszę cię - powiedział Lars cicho.

Anders uśmiechnął się na widok jego zdenerwowania, chwycił leżącą na komodzie gazetę i ruszył w stronę toalety. Nie spieszył się, pogwizdywał melodię z *Bonanzy*.

Lars schował się w przedpokoju koło kuchni. Tam nikt nie zobaczyłby go z zewnątrz. Stał pośród wiszących w rzędzie kurtek i płaszczy, z czołem opartym o ścianę, oddychał, zamknął oczy i próbował odzyskać spokój. Potrafił zrobić tylko pół wdechu. Spróbował wciągnąć powietrze nosem - to samo. Był napięty jak struna. W uszach mu pulsowało, gniotło go w żołądku, dłonie miał zimne, w ustach czuł suchość... Jakiś dźwięk na zewnątrz, kroki na schodach... odgłos klucza w zamku. Lars odwrócił się, wpatrzył w drzwi, zamarł. Żadna część jego ciała nie zdobyła się na to, by jakoś zareagować i uciec. Stał tam tylko, niespokojny, przerażony jak małe dziecko, niezdolny do działania, ogarnięty

tak obezwładniającą paniką, iż wydawało mu się, że same te tętniące w nim uczucia są w stanie go zabić.

Zamek szczęknął, klamka poszła w dół, drzwi się otworzyły. Lars zamknął oczy, usłyszał dźwięk zamykanych drzwi, otworzył oczy. Zobaczył przed sobą nieznaną, drobną kobietę koło sześćdziesiątki. Postawiła torbę na podłodze i zaczęła rozpinąć płaszcz. Lars spojrzął na nią, ona napotkała jego spojrzenie i podskoczyła, złapała się za serce, wymamrotała coś w jakimś wschodnioeuropejskim języku, po czym jej przerażenie przeszło w swego rodzaju spokój. Roześmiała się i wyrecytowała po szwedzku, że nie spodziewała się zastać nikogo w domu.

Wyciągnęła rękę i przedstawiła się jako Dorota. Zmieszanie sprawiło, że Lars poczuł się tak, jakby cały świat zamienił się nagle w próżnię, a jednak jakimś cudem udało mu się chwycić wyciągniętą dłoń.

- Lars.

Za plecami usłyszał rechot. Odwrócił się. Anders krztusił się ze śmiechu, jedną ręką zasłaniając twarz.

- Ty naprawdę bijesz wszelkie rekordy!

Dorota popatrzyła na mężczyznę z lekkim uśmiechem, nagle niepewna, kim właściwie są.

Śmiech Andersa zamarł równie szybko. Podszedł do kobiety, chwycił ją za ramię, podniósł z podłogi torebkę, po czym zaciągnął kobietę do kuchni i posadził na krześle. Potem odwrócił się i spojrzął na Larsa.

- I co teraz?

Dorota była przerażona.

- Chodź, idziemy - odparł Lars.

Anders spojrzął na niego z pogardą w oczach.

- Dobry pomysł, idziemy.

Następnie zwrócił się do Doroty.

- Kim jesteś?

Przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Sprzątam tutaj.

- Sprzątasz?

Skinęła głową. Anders rzucił jej na kolana torebkę.

- Daj mi swój portfel.

Dorota spojrzała na Andersa tak, jakby nie usłyszała, co przed chwilą powiedział, po czym zaczęła nerwowo grzebać w torebce. W końcu znalazła portfel. Anders wziął go do ręki, wysunął dowód osobisty, rzucił na niego okiem.

- Gdzie mieszkasz?

- Spånga - odpowiedziała szeptem. Zaschło jej w gardle.

Lars spojrzał na kobietę i nagle zrobiło mu się jej ogromnie żal. Anders schował jej dowód do kieszeni.

- To sobie zostawimy. I nigdy nas nie widziałas.

Dorota patrzyła w podłogę.

Anders nachylił się do niej.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Pokiwała głową.

Anders odwrócił się do Larsa i ruszył w stronę drzwi od tarasu. Czuło się w nim jakąś zaciętość. Lars stał jeszcze chwilę, przyglądając się kobiecie, która siedziała na krześle ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Anders szedł do samochodu, Lars podbiegł kawałek, żeby się z nim zrównać.

W milczeniu wyjeżdżali z dzielnicy willowej, Lars trzymał się granicy dozwolonej prędkości. Nagle Anders chwycił go za kołnierz i silnie uderzył otwartą dłonią w twarz. Lars zahamował gwałtownie i próbował się osłonić. Anders nadal go bił.

- Pieprzony idioto... Czy ty do niczego się nie nadajesz?!

Anders wykrzykiwał słowa. Nagle przestał, poprawił się na siedzeniu i wypuścił wściekłość wraz z powietrzem.

Lars wpatrywał się skulony przed siebie, nie wiedząc, czy padną kolejne ciosy. Paliło go ucho, a nogi miał jak z galarety.

- Co byś zrobił, gdyby mnie tam nie było? Poddał się, wszystko jej powiedział? Przedstawiłeś się swoim prawdziwym imieniem... Czy zupełnie do ciebie nie dotarło, czym my się zajmujemy?

Lars nie odpowiadał.

- Pieprzony idiota - mrucał Anders do siebie.

Lars nie potrafił się zdobyć na żadne działanie. Anders popatrzył na niego, wskazał na przednią szybę.

- No jedź!

Gdy jechali do miasta, panowała gęsta cisza, Anders intensywnie myślał, Lars cierpiał.

- Nie powiemy o tym Gunilli. Wszystko poszło dobrze, mikrofony są gdzie trzeba. Przetestujesz, czy wszystko działa, kiedy tam znów pojedziesz. A jeśli nie ty, to ja tam pojadę następnym razem, tylko ani słowa o sprzętacze.

Anders wysiadł przy Östra station, na podłodze zostawił walizkę z odbiornikiem podsłuchu, wskazał ją ręką.

- Przetestuj to niezwłocznie - powiedział, po czym trzasnął drzwiami samochodu i zniknął w tłumie.

Lars został w samochodzie. Przepelniały go niesmak i strach. Nie śmiał wrócić myślami do tego, co się stało, lecz narastała w nim wściekłość, nienawidził Andersa Aska bardziej niż kogokolwiek w życiu.

*

Mówiący po szwedzku nieznajomy zniknął. Jens siedział na swoim miejscu w ładowni, rozglądał się i nasłuchiwał, z pistoletem cały czas gotowym do strzału. Dźwięk, który przed chwilą usłyszał, dobiegł z otwartej części. Poza tym było cicho. Ludzie pracujący na nabrzeżu oraz wietnamscy członkowie załogi najwyraźniej uciekli, kiedy padły pierwsze strzały. Wydawało się, że od tamtego czasu minęły całe

wieki, choć było to tylko kilka minut, Długich, przeciągających się, cholernych minut. Jens nienawidził minut. To właśnie w ciągu minut dzieją się najbardziej gówniane rzeczy

Jego omamy słuchowe powróciły. Słyszał, że coś się zbliża, słyszał krótki szept, kroki, podmuch wiatru... Czuł coraz więcej potu i adrenaliny, koszula kleiła mu się do ciała. Po raz kolejny ogarnęło go nagłe i intensywne uczucie, że musi się stąd wydostać, panika, którą pamiętał z dzieciństwa - pragnienie ucieczki.

Rozważał w duchu, czy pozostać w ukryciu, czy też walczyć. Wtem usłyszał ruch - kawałek dalej przemknęła jakaś postać. Jens odruchowo oparł bizona o ramię i oddał w kierunku cienia pojedynczy strzał. Zaraz potem się ukrył. Pytanie, które przed chwilą postawił sobie w duchu, zyskało odpowiedź - musi walczyć. Nie było już odwrotu. Jens czekał, poza głośnymi uderzeniami własnego serca nie dobiegały go żadne dźwięki. Był zmuszony zmienić miejsce, ale ledwie zdążył wstać, kiedy w jego stronę poleciały pociski. Broń brzmiała jak piła mechaniczna. Jens rzucił się na ziemię. Pociski trafiały wszędzie dookoła, zapanował ogłuszający hałas, a zaraz po nim chwila absolutnej ciszy. Jens usłyszał dźwięk przeładowywanej broni. Wstał i rzucił się na skrzynie, czołgał się, szukając człowieka, który do niego strzelał... Tam, trochę dalej, jakiś ruch. Za stosem skrzyń dostrzegł połowę sylwetki, zobaczył wychylającego się człowieka. Widział, jak pistolet maszynowy, podobny do tego, który sam trzymał, unosi się w jego kierunku. Ale Jens był szybszy, puścił serię pocisków. Mężczyzna zdążył schować się za skrzynie. Jens ruszył do przodu. Mężczyzna nagle wyskoczył. Jens był jakieś dziesięć metrów od niego, wystrzelił, trafiając go w ramię. Tamten zrobił obrót, ale udało mu się wymierzyć w Jensa, który teraz nie mógł się nigdzie schować.

Jeden mierzył w drugiego. Czas się zatrzymał, jakby ktoś unieruchomił wielki sekundnik, kierujący ruchem

wszechświata. Jens zdążył jeszcze zobaczyć puste oczy mężczyzny i lufę skierowaną w swoją stronę. Czy teraz umrze? Nie mógł się z tym pogodzić. Żadnych obrazów dzieciństwa, mamy uśmiechającej się do niego w zaraniu życia. Tylko posępne i puste uczucie beznadziejności całej sytuacji. Czy ten skurczybyk go zabije?

Takie myśli przebiegały mu przez głowę w czasie tych długich chwil, kiedy klęczał z kolbą przy ramieniu i Rosjaninem na celowniku.

Jens wystrzelił, Rosjanin wystrzelił.

Ich pociski zapewne minęły się w powietrzu w połowie drogi. Usłyszał świst, gdy jeden z nich otarł się o jego lewy bok, i poczuł palący ból, kiedy kolejna kula trafiła go w ramię.

Trzy pociski, które sam wystrzelił, były dobrze wymierzone, trafiły jeden po drugim w pierś i szyję Rosjanina. Przebiły tętnicę szyjną, krew trysnęła, mężczyzna wypuścił broń z ręki i wpadł do jednej ze skrzyń, martwy, nim zdążył dotknąć ziemi.

Jens wytrzeszczył oczy, usłyszał za sobą kroki, odwrócił się z uniesioną bronią. Mówiący po szwedzku mężczyzna mierzył z pistoletu w jego czoło. Bizon Jensa miał go w zasięgu.

- Opuść broń... Nie zrobię ci krzywdy - powiedział mężczyzna spokojnym głosem.

- Sam ją opuść - odparł Jens z kompletną obojętnością, wywołaną zalewem adrenaliny.

Mężczyzna zawahał się, opuścił pistolet, Jens zrobił to samo.

- Jesteś ranny? - zapytał, patrząc na ramię Jensa.

Jens spojrział, dotknął rany, wydawała się powierzchowna. Pokręcił głową.

- Chodź! Zostaw go.

Jens spojrział na człowieka, któremu właśnie odebrał życie. Myśli o szczęściu, losie, wdzięczności, lęku, winie

i obrzydzeniu krążyły w jego głowie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

- Chodź! - powtórzył mężczyzna. Jens poszedł za nim.

Zauważył, że do policzka ma przyczepiony mikrofon, a w lewym uchu słuchawkę. Mówił cicho, krótkimi zdaniami. Nagle się zatrzymał.

- Mamy poczekać - wyszeptał.

Nigdzie nie było oznak jakichkolwiek działań, żadnych dźwięków, tylko oczekiwanie. Jens spojrzął na mężczyznę, ten był spokojny, najwyraźniej przyzwyczajony do takich sytuacji.

- Nazywam się Aron - odezwał się.

Jens nie odpowiedział.

Mężczyzna przytknął palec do słuchawki i wstał.

- Już w porządku, możemy iść na górę.

Na pokładzie z rękoma za głową klęczał Michaił, za jego plecami stał Leszek, trzymając HK G36 z celownikiem optycznym.

Aron dał Jensowi znak, by ten poszedł za nim. Minęli Michaiła i weszli po drabince na mostek, gdzie zastali nieżywego sternika, leżącego w kałuży krwi. Kapitan siedział pod stołem, błądy i zszokowany, w rękę trzymał duży klucz, nastawny. Wstał, popatrzył na martwego sternika, a następnie przez okno. Zobaczył klęczącego na pokładzie Michaiła, w jego oczach błysnęła nienawiść. Wpadając po drodze na Jensa i Arona, podbiegł do drabinki i zszedł na pokład. Michaił nie zdążył zrobić uniku, kiedy kapitan zdzielił go w głowę kluczem - padł na ziemię. Kapitan popatrzył na dużego Rosjanina, który próbował się osłonić, i zaczął go okładać raz za razem po nogach i rękach, przeklinając w swoim języku. Jens i Aron przyglądali się temu atakowi, stojąc na mostku.

- Co robisz na tym statku? - zapytał Aron.

Na pokładzie Michaił zwinął się w kłębek.

- Płynąłem nim na gapę do domu z Paragwaju - odpowiedział Jens.

- Co tam robiłeś?

- Wszystko, co się dało.

- Jak zarabiasz na życie?

Jens odwrócił wzrok od jatki na dole.

- Logistyka - odparł.

- Przewozisz coś tym statkiem?

- Bo co?

- Bo pytam.

Kapitan intensywnie pracował kluczem.

- Myślę, że już wystarczy - powiedział Jens, wskazując kciukiem scenę przemocy.

Aron w pierwszej chwili zdawał się nie rozumieć, wreszcie gwizdnął krótko, dał znak Leszkowi, ten wkroczył i zmusił kapitana, by przestał. Kapitan splunął na zakrwawionego Michaiła, który leżał na pokładzie, na pierwszy rzut oka martwy. Następnie poszedł z powrotem w stronę mostka.

W tej krótkiej chwili wszyscy najwyraźniej odetchnęli. Leszek stracił koncentrację, Aron przymierzał się do powtórzenia pytania, które przed chwilą zadał Jensowi. Michaił wykorzystał okazję i jakąś nadludzką siłą dźwignął się na nogi. Wszystko nastąpiło w mgnieniu oka. Mimo połamanych kości Michaił dobiegł do relingu, wybił się i skoczył. W tej samej chwili Leszek puścił serię z automatu. Michaił zniknął. Jens usłyszał, jak uderza o powierzchnię wody.

Aron i Leszek ruszyli biegiem. Dotarli do relingu, i posuwając się każdy w przeciwną stronę, obserwowali wodę i jednocześnie ze sobą rozmawiali. Co jakiś czas oddawali kilka strzałów, które mąciły wodę. Poszukiwania trwały dziesięć minut, po tym czasie mężczyźni uznali, że nie ma sensu szukać dalej. Michaił z pewnością się utopił. Albo z powodu

obrażeń, jakich doznał z ręki kapitana, albo od którejś z wystrzelonych przez nich kul.

Silniki Diesla dudniły niecierpliwie pod pokładem. Statek nadal tkwił przy brzegu, a każdy chciał już odpłynąć. Miała tu miejsce strzelanina, ludzie pouciekali, a policja prawdopodobnie była w drodze. Rotterdam to jeden z największych portów świata. Jeśli tylko stąd wypłyną, będą mogli się schować za którymś ze statków na torze wodnym.

Wspólnymi siłami odczepili wielkie liny, którymi przycumowany był statek, i wbiegli na pokład. Rampa wpadła do morza, kiedy ich mały frachtowiec odbił od brzegu.

*

Lars dotarł do domu, w szafce w kuchni znalazł dwie butelki czerwonego wina. Pierwszą opróżnił z miejsca, drugą otworzył i wmuśił w siebie jeszcze dwa kieliszki. Wstał się i poczuł ciepło na twarzy. Wyrzwał na podwórze, zrobiło mu się żal siebie i sprzątaczkę, zastanawiał się, co ona teraz robi. Alkohol wrzucił drugi bieg, chroniąc go przed przeklinaniem samego siebie.

Świecące w okno słońce sprawiało, że w mieszkaniu panował nieznośny upał.

Lars zdjął koszulkę i wypił jeszcze trochę wina. Wyszedł do dużego pokoju, rzucił koszulkę na podłogę i napelnił kieliszek stojącym na regale starym koniakiem. Koniak smakował obrzydliwie, Lars wlewał go w siebie etapami po kilka haustów i jednocześnie walczył z mdłościami. Wreszcie zwinął się na kanapie w pozycji embrionalnej i patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie.

Po piętnastu minutach w Larsie Vingem zaszła zmiana. Dopadła go gorycz i uśmiechnął się kwaśno w duchu, myśląc o tych wszystkich idiotach, z którymi zetknął się na

przestrzeni lat. O mamie i tacie, kolegach z dzieciństwa, wszystkich, z którymi pracował, wszystkich, których poznał... o Andersie Asku. Przeklinał ich wszystkich, tych infantylnych debili, którzy nie mogli się z nim równać... Mniej więcej takie treści krążyły w jego zamarynowanym mózgu. Dlatego nie pił zbyt często - tracił od tego kontrolę i stawał się tymczasowo niepczytalny. Było tak, odkąd upił się po raz pierwszy, teraz jednak się nad tym nie zastanawiał. Teraz był całkowicie pochłonięty usprawiedliwianiem swojego wewnętrznego mroku.

Po godzinie Sara wróciła do domu, spojrzała na niego obojętnie.

- Jesteś chory?

Nie odpowiedział. Weszła do kuchni, by po chwili stamtąd wyjść.

- Piłeś wino?

W jej głosie pobrzmiwał oskarżycielski ton. Lars wciąż leżał, obejmując swój nagi tors.

- Jesteś pijany?

Nie odpowiedział.

- Lars, co się dzieje?

Wstał, wziął rzuconą na podłogę koszulkę i założył na siebie.

- Nie twój zasrany interes - powiedział, skierował kroki do przedpokoju, założył buty i wyszedł z mieszkania.

W najbliższym barze zamówił wódkę z tonikiem i z zapieczonym emerytem wdał się w dyskusję o słabości Szwecji, jeśli chodzi o wsadzanie ludzi do więzienia. Podniecił się i zaczął nieskładny wywód o plusach i minusach resocjalizacji i kary. Szybko stracił wątek. Oczywiście argumenty tym razem wyjątkowo nie przychodziły mu na myśl. Pijaczek i barman wybuchnęli śmiechem, widząc, jak się męczy.

Bar zamknięto, Lars w środku nocy błądził po mieście i chwiejąc się na nogach, obsikał parkometr. Chichotał

z niczego, robił brzydkie miny i pokazywał środkowy palec mijającym go samochodom i ludziom. Później wszystko zrobiło się czarne.

Obudził się w bramie przy Wollmar Yxkullsgatan koło wpół do piątej rano, kiedy przeszedł nad nim roznosiciel gazet. Powlókł się do domu z rękoma w kieszeniach, jednocześnie pijany i skacowany. Przeglądając się w lustrze w przedpokoju, zobaczył ryse na czole i niemiłosiernie puste spojrzenie. Jak kłoda zwałił się koło Sary, która wstała z łóżka, zabrała kołdrę i syknęła, że śmierdzi wodą.

Trzy godziny później Lars obudził się, czując na twarzy promienie porannego słońca. Sary nie było, jej strona łóżka była jak zwykle niepościelona, nienawidził tego. Naciągnął kołdrę na głowę, próbując znowu zasnąć, ale w środku czuł ciągle mrowienie.

Trzymając drżącą ręką kubek, wypił poranną kawę, usiłował dojść do siebie, przypomnieć sobie, kim jest. Bezskutecznie, czuł pustkę, wszystko zniknęło.

*

- Mimo wszystko mógłbyś mi pomóc! - krzyknęła Sophie z dołu i wytarła dłonie w kuchenny ręcznik.

- Już idę! - odrzyknął zirytowany

Popatrzyła na ręcznik, doszła do wniosku, że jest zbyt stary, by wieszać go z powrotem, i wyrzuciła go do śmieci.

Albert zszedł po schodach, kiedy przykrywała folią aluminiową parującą zapiekaną ziemniaczaną. Wskazała stojące na stole pudełko z prezentem. Obok niego leżał ozdobny papier, taśma klejąca i złota wstążka. Albert usiadł i wziął się do przycinania papieru.

Wyjęła formę z piekarnika i czując gorąco przez kuchenną rękawicę, pobiegła w kierunku blatu i wypuściła formę kilka centymetrów nad nim.

Albert przymierzał papier do kartonu.

- Kto dostanie ten prezent?

- Tom.

- Dlaczego?

- Ma urodziny.

Ładnie składał papier, ale brzydtko kleił go taśmą. To ją zdenerwowało, wzięła od niego pudełko, zrobiła wszystko jak trzeba... i pożałowała.

Jechali do jej rodzinnego domu, oddalonego o kilka kilometrów. Gruba pokrywa zielonych liści na drzewach ocieniała okolicę. Wokoło domu rosły dęby, brzozy i jabłonie. Wieczorne słońce nadawało wszystkiemu złocisty blask, podobało jej się to.

Od strony wiodącego do willi wzgórza biegł Rat. Rat był małym, białym psem, nikt nie wiedział, co to za rasa, był po prostu mały i biały, i szczekał na wszystko, co się rusza, a czasami kogoś gryzł.

- Przejedź go - powiedział Albert cicho.

Żadne z nich nie lubiło tego psa.

- Byłoby ci smutno, gdyby Rat zdechł? - zapytał.

Sophie uśmiechnęła się, nie odpowiadając.

- Byłoby? - zapytał znowu.

Potrząsnęła przecząco głową, Albert uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

Tom przygotowywał drinki w salonie, Sinatra śpiewał, a Jobim akompaniował.

- Cześć, Tom.

Z ustami pełnymi oliwek kiwnął do Sophie, żeby zaczęła - nie posłuchała go. Yvonne wyszła im naprzeciw. Pocałowała Alberta w czoło, ścisnęła przedramię Sophie i zniknęła. Jak zwykle w nowych, białych tenisówkach. Yvonne

ruszała się tak, jakby w wieku siedemdziesięciu lat ciągle uważała się za wyjątkowo atrakcyjną kobietę.

Na dywaniku przed telewizorem siedział po turecku Jesus - argentyński chłopak Jane - i oglądał coś z wyłączonym dźwiękiem.

- Cześć, Jesus.

Wymówiła to: „Hessus”. Odpowiedział przyjaznym tonem: „Sophie” i dalej patrzył w telewizor.

Jesus był inny niż wszyscy. Nie wiedziała, na czym to polegało, ale ilekroć osądziła w duchu jego styl bycia, spróbowała zgadnąć przyczynę jego osobliwego zachowania, zawsze okazywało się to niezgodne z prawdą. Jane była z nim szczęśliwa w sposób, którego Sophie nie rozumiała, ale którego im zazdrościła. Każde zajmowało się swoimi sprawami, a kiedy się widzieli, uśmiechali się do siebie. Mogło to być spotkanie po powrocie Jesusa z trzymiesięcznego pobytu w Buenos Aires albo w kuchni po długiej rozmowie telefonicznej Jane. Uśmiechy zawsze były takie same, tak duże i szerokie, że oboje wyglądali, jakby zaraz mieli wybuchnąć śmiechem.

Sophie weszła do kuchni. Jane stała przy stole, próbując posiekać warzywa na desce. Nie umiała gotować. Sophie wstawiła przywiezioną zapiekankę do piekarnika, pocałowała siostrę we włosy i usiadła obok niej. Przyglądała się Jane, kiedy ta z największym trudem kroїła ogórek w drobną kostkę. Każdy kawałeczek miał inny kształt i wielkość. Jane zduśiła złość i podsunęła deskę starszej siostrze.

- Gdzie byliście? - zapytała Sophie.

Przy niedzielnym stole spotykali się zazwyczaj Sophie z Albertem, jej mama Yvonne i Tom. Jane i Jesus przyjeżdżali, kiedy im pasowało, ich wizyty nie były planowane, była tylko radość, kiedy się pojawiali.

- Nigdzie, tu i tam - odparła, potrząsając głową. - Nie wiem.

Jane oparła głowę na dłoni, a łokcie na stole. Tak siedziała najczęściej. Ta pozycja wydawała się ją uspokajać. Patrzyła na Sophie, kiedy ta kroила na desce warzywa.

- Spójrz na mnie - powiedziała.

Sophie odwróciła się do Jane.

- Zrobiłaś coś?

- Ale co?

- Coś ze swoim wyglądem?

Sophie pokręciła głową.

- Nie, a bo co?

Jane przyglądała się jej w skupieniu.

- Wyglądasz... radośniej.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Stało się coś? - zapytała Jane.

- Nie wiem.

- Spotykasz się z kimś?

Sophie pokręciła głową. Jane nie spuszczała z niej wzroku.

- Sophie? - wyszeptwała.

- No, powiedzmy.

- Powiedzmy?

Sophie spojrzała Jane w oczy.

- No więc, kim on jest?

- Pacjentem... byłem pacjentem - odpowiedziała Sophie cicho. - Ale nie spotykamy się w ten sposób.

- A w jaki?

Sophie uśmiechnęła się lekko.

- Nie wiem...

Wsypała wszystkie warzywa do dużej miski. Wyglądało to niedbale, chciała coś zmienić, ale dała sobie spokój. Nie cierpiała w domu matki wchodzić w rolę pilnej dziewczynki. Jane siedziała w niezmienionej pozycji, przyglądała się jej pracy. Nagle coś sobie przypomniała.

- Mój Boże, przecież byliśmy w Buenos Aires! Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Wszystko mi się miesza.

Odwiedziliśmy rodzeństwo Jesusa. Do domu wróciliśmy... w czwartek.

Zawahala się, podając dzień, ale w końcu uznała, że się zgadza. Jane byta chaotyczna. Nie znając jej dobrze, można było odnieść wrażenie, że się zgrywa, tak jednak nie było. Brakowało jej systematyczności i czasami przesadzała z entuzjazmem. To przerażało wiele osób z jej otoczenia i właśnie ci przerażeni uznawali, że jest sztuczna. Nieprzerażeni lubili ją, jak na nieprzerażonych przystało.

Usiedli do stołu, Yvonne i Tom naprzeciwko siebie przy krótszych stronach stołu, reszta dookoła. Yvonne jak zwykle pięknie nakryła: była w tym dobra, nakrywanie do stołu było jedną z jej mocniejszych stron. Kolacja upłynęła w tym samym duchu, co zawsze: pogaduszki, śmiechy i ciche staranie każdego, by trzymać emocje na wodzy i nie dopuścić, żeby na światło dzienne wyszło jakieś stare zadrażnienie bądź nieporozumienie.

Po kolacji Sophie i Jane położyły się na werandzie na leżakach. Jesus zniknął w bibliotece, gdzie wsiąkł w jakąś angielską książkę. Albert był na górze i grał z Tomem w karty przy dźwiękach *Wariacji Goldhergonskich*, które Tom puszczał ze swojego starego, wysłużonego gramofonu, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

Leżąc na rattanowych leżakach pod promiennikiem podcierwieni, siostry raczyły się alkoholem i rozmawiały aż do późnych godzin nocnych. Na początku podkradała się do nich Yvonne, udając, że robi coś przy drzwiach do altany. Kilka razy przyłapały ją na gorącym uczynku - nie chciała się przyznać, że podsłuchuje, ale kiepsko kłamała. W końcu Tom zszedł na dół i powiedział, żeby zostawiła je w spokoju.

Przez większą część dzieciństwa Sophie jej matka była trochę neurotyczna. Histeria gwałtownie przybrała na sile wraz ze śmiercią Georga. Yvonne z uśmiechniętej gospodyni

domowej zmieniała się w pozbawioną złudzeń egoistkę, a idąc na dno, wiele za sobą pociągnęła. Sophie i Jane oplakiwały ojca, ale to Yvonne ze swoją rozpaczą znalazła się na pierwszym planie. Huśtawka nastrojów sprawiała, że w jednej chwili potrafiła być zła i przygnębiona, a w następnej domagać się od córek zrozumienia i niezmiernych pokładów miłości. Jane i Sophie nie wiedziały, jak się zachować, ich relacja z matką uległa skrzywieniu i zaczęła się opierać na źle pojętej opiece i trosce. Przez to również stosunki między siostrami się pogorszyły. Niezdrowe zachowanie Yvonne stało się barierą między Jane i Sophie. Rzadko razem się z czegoś cieszyły czy śmiały, najczęściej każda siedziała w swoim pokoju i walczyła z tą drugą o uwagę matki.

Wtedy w ich życiu pojawił się Tom. Wprowadziły się do jego domu kilka dzielnic dalej. Do większej willi z dużymi oknami i wysokimi obrazami na wielkich ścianach. Z grubymi, białymi pierzynami na dużych łóżkach z wiśniowego drewna. Tom odwoził je do szkoły swoim zielonym jaguarem z jasnobrązowymi skórzanymi siedzeniami, przesiąkniętymi delikatnym zapachem dymu tytoniowego i męskich perfum. Yvonne całe dni siedziała w domu i malowała kiepskie obrazy. Z czasem się zmieniła, otrząsnęła ze smutku i znów była kimś na kształt mamy, ale wciąż skupionej na tym, by nie wypaść z roli ofiary, która tak bardzo przypadła jej do gustu.

Z upływem lat, kiedy Sophie dorosła, a Yvonne wkroczyła w trzeci wiek, Sophie znów zaczęła ją lubić. Było to coś, czego nie czuła już od bardzo długiego czasu. Yvonne niekiedy potrafiła być mądra, ludzka i ciepła jednocześnie

- wtedy Sophie rozpoznawała w niej mamę. Jednak zbyt często zachowywała się tak, jakby miało powrócić jej dawne, niezrozumiałe oblicze - pełne hysterii, złości, niezdrowej ciekawości, strachu przed odrzuceniem i utratą jakiejś niewidzialnej, tajemniczej kontroli. Kilka tygodni wcześniej

odwiedziła Sophie w domu, wypila herbatę i zapytała, jak się czuje. Pytanie padło niespodziewanie i ją zaskoczyło. Starym zwyczajem odpowiedziała, że wszystko dobrze, ale spojrzawszy na mamę, dostrzegła, że ona naprawdę chce wiedzieć. Zatrzymała się więc i zaczęła zastanawiać, po czym sama nie wiedząc dlaczego wybuchnęła płaczem. Yvonne trzymała ją w ramionach. Było to jednocześnie piękne i niestosowne, jednak stała tak dalej, blisko mamy, płacząc z niewiadomego powodu. Może po prostu coś jej w środku pękło, może Yvonne zrozumiała coś, co tylko mama potrafi zrozumieć. Po tym wszystkim Sophie zrobiło się lżej. Nigdy więcej o tym nie rozmawiały.

Promiennik na werandzie i wino we krwi ogrzewały je z dwóch stron, powodując przyjemną koncentrację ciepła. Podzieliły się papierosami z paczki, którą znalazły w zamrażarce. Yvonne zawsze przechowywała tam papierosy dla gości, siostry zawsze je stamtąd podkrażały. Wypaliły na spółkę całą paczkę, po czym zamówiły taksówkę, która przywoziła im następną, a do tego dwie paczki słonych lukrecjowych cukierków. Pojawił się Tom w piżamie, zaczął marudzić, że wypily wino, które całe wieki trzymał na specjalną okazję.

Wybuchnęły śmiechem, nie mogły złapać powietrza. Następnie dopadł je rzewny nastrój, przypomniały im się wakacje z dzieciństwa, zapach grzanek i herbaty w kuchni ich letniskowego domku, dni nad wodą i miłe pytania, które babcia zadawała im chyba tylko po to, by dodać im pewności siebie. Po tym jak powspominały tatę, zapadła cisza. Jak zawsze, gdy o nim rozmawiały. Milcząc, zastanawiały się, dlaczego tak wczesnie je opuścił. Tata Georg był miły, przy stojny i dawał poczucie bezpieczeństwa, takim go Sophie zapamiętała. Czasem zadawała sobie pytanie, czy wciąż byłby taki, gdyby żył. Georg Lantz umarł w nowojorskim hotelu, podczas podróży służbowej, śmierć dosięgła go pod

prysznicem. Sophie miała w pamięci tylko jego dobre strony. Jego śmiech, żarty, troskliwość - jego wspaniałość, bezpośredniość i ów urok, jaki często dostrzegała u starszych mężczyzn, którzy nie zeszli na manowce zgorzknienia. Tak jakby promieniał chęcią bycia zadowolonym, jakby to był dar, który ofiarował żonie, córkom i Bogu. Nawet dzisiaj bardzo go jej brakowało, rozmawiała z nim czasem, gdy czuła się samotna.

Alkohol i późna pora zrobiły swoje. Jane położyła się w pokoju gościnnym koło swojego Jesusa. Sophie otuliła kołdrą Alberta, cmoknęła go w czoło i wyszła.

Poprosiła taksówkarza, żeby nadłożył drogi. Siedziała na tylnym siedzeniu i patrząc na mijane wille, rozkoszowała się upojeniem alkoholowym i samotnością. Lubiła dzielnicę willową, w której dorastała, znała większość domów, koło których przejeżdżali, wiedziała, kto w nich kiedyś mieszkał i kto mieszka w nich nadal. To było jej miejsce, jej bezpieczne miejsce. Świata za oknem taksówki przyglądała się teraz jednak z pewnym smutkiem. Wyglądał tak samo, ale czas, z którym go łączyła, już dawno minął. Teraz było to coś innego, z czym nie czuła żadnej wspólnoty.

Na werandzie Jane wspomniała, że w Buenos Aires ona i Jesus spotkali Jensa Valla. Sophie zdziwiła się, słysząc jego nazwisko, nie myślała o nim od dawna. Jens Vall... Poznali się podczas wakacji na szkierach i aż do wyjazdu byli nierozłączni, chodzili wtedy do liceum. Pamiętała, jak samotna się czuła, gdy musieli się rozstać. Pojechała go odwiedzić pod koniec wakacji. Mieszkał na Ekeró, jego rodzice gdzie wyjechali, więc Jens miał dla siebie cały dom.

Przez większość czasu leżała z głową na jego piersi, tak zapamiętała ten tydzień. Bez przerwy rozmawiali, jak gdyby chcieli się nagadać za wszystkie czasy. Gdy jechali na zakupy dużym, rozldekotanym Citroënem jego rodziców, bez prawa jazdy, słuchając głośnej muzyki, było tak, jakby ćwiczyli się

w byciu dorosłymi i wolnymi... Kiedy w łazience myli zęby, trzymali się za ręce. Boże, wszystko zapomniała. Mimo młodego wieku zdawała sobie wtedy sprawę, że go kocha, i wiedziała, że później będzie cierpieć. I tak też było. Z biegiem lat zaczęła podejrzewać, że on czuł to samo i równie mocno starał się uniknąć kary miłości.

Wysiadła z taksówki i weszła do domu, nie chciała, by upojenie minęło. Było zbyt dobre, zbyt cenne. Z piwnicy przyniosła butelkę wina, otworzyła ją, napełniła duży kieliszek i usiadła przy stole. Po kilku łykach znalazła w paczce dwa zgięte papierosy. Wypaliła jednego, nie włączając kuchennego okapu i nie otwierając okna. Miłe upojenie skończyło się wraz z ostatnim łykiem wina, pogodne myśli nabrały mroczniejszego tonu, papieros miał ohydny smak.

Zakończyła wieczór, czując wyraźnie, że to, co właśnie zrobiła, było niepotrzebne, było błędem. Wrażenie to nie opuściło jej nawet w nocy, w pozbawionych treści snach.

Następnego ranka obudziła się z poczuciem winy.

6

Frachtowiec płynął z Rotterdamu na północ, powoli posuwając się wzdłuż holenderskiego wybrzeża. Morze było spokojne, a słońce świeciło mocno, kiedy trafiała mu się wolna przestrzeń za wielkimi cirrusami. Jens opuścił swoją cienistą kryjówkę i ruszył naprzód, dając się prowadzić wewnętrznemu rytmowi swojego ciała, dotarł do metalowych schodów i zszedł do ładowni.

Chciał się zająć czymś innym niż bezmyślnym wpatrywaniem się w nicość, gdy z tyłu głowy wciąż jeszcze miał obraz zabitych. Usłyszał za sobą kroki, w ładowni

pojawił się Aron, Jens nie próbował nawet ukryć zawartości skrzyń.

Aron spojrział na broń i usiadł koło Jensa na jednej z nich.

- Popłyniemy kawałek na północ, później na wschód i w kierunku Bremerhaven. Przed Bremerhaven, koło Helgolandu, spotkamy się z innym statkiem i przeładujemy towar. Ty ze swoimi rzeczami możesz dostać tam miejsce.

Jens popatrzył na Arona.

- Dlaczego? - zapytał.

- Ponieważ nie będziesz mógł wylądować broni automatycznej w Bremerhaven. Celnicy zgarnęliby ci towar.

- Stać cię na więcej.

- Tak, ciebie też...

Patrzyli na siebie.

- Przyjmij tę propozycję. Wiesz, jak to działa.

Tak, wiedział, jak to działa, rozumiał, na czym polega układ. Przyjmując ofertę Arona, stawał się jego zakładnikiem. Jens dobrze to wszystko znał. W tych słowach kryła się groźba. Jens będzie zakładnikiem. Tak to właśnie wyglądało.

- A dokąd będzie płynął ten statek, z którym spotkamy się w nocy?

- Do Danii - odparł Aron. - Znajdziemy na Jutlandii jakiś spokojny zakątek i wysiądziemy tam pod osłoną mroku.

- A potem?

- Możemy ci załatwić samochód. To wszystko.

Jens spojrział na Arona, mrużąc oczy, po czym odwrócił wzrok i znów zajął się swoimi skrzyniami.

Zapadła noc, na frachtowcu wyłączono silniki. W absolutnej ciszy przemierzał teraz mrok, kołysząc się na boki; wszystkie światła były pogaszone.

Przez ostatnie godziny Jens rozważał w głowie każdą możliwość. Zastanawiał się, czy nie zostawić broni w Danii i nie spróbować przewieźć jej do Niemiec. A nawet czy nie

zadzwoić do Rosjan i powiedzieć, by sami ją stamtąd odebrali. Nie poszliby na to jednak. Musiał załatwić wszystko zgodnie z umową. Broń miała trafić do Polski. Później się zastanowi, jak to załatwić. Teraz jednak najważniejsze było, by przed Danią nie przytrafiła się żadna kontrola. W najgorszym razie siedziała im na ogonie straż przybrzeżna.

Jens wyjął komórkę, zobaczył, że zasięg jest słaby. Wybrał numer z książki adresowej i odczekał kilka sygnałów. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy ktoś po drugiej stronie odebrał telefon.

- Babciu! To ja. Kiepsko słyhać, ale jestem w Danii, tak, na Jutlandii... w pracy. Jutro lub pojutrze do ciebie wpadnę...

Wniósł swoje dwie skrzynie na pokład. Przyszli Aron i Leszek. Leszek miał karabin automatyczny przewieszony przez ramię. Tym razem jednak był na nim zamontowany noktowizor Hensoldt.

Leszek pierwszy usłyszał statek.

- Płynie - powiedział, a następnie wszedł na mostek, położył się płasko na dachu i przez celownik optyczny obserwował zbliżającą się jednostkę.

Morze było spokojne, w ciemności dało się słyszeć obroty silników, Jens dostrzegł zbliżający się kuter rybacki z rodzaju tych większych.

Kuter dopłynął do frachtowca. Ktoś z jego załogi krzyknął do Arona, ten odpowiedział coś, czego Jens nie rozumiał. Na pokład frachtowca wszedł mężczyzna, Mulat, uśmiechnął się szeroko do Arona, wyciągając rękę.

- I co my tu robimy na tym wielkim morzu?

Aron odpowiedział uśmiechem, wskazał na Jensa.

- Ten człowiek popłynie z nami kawałek. On i jego skrzynie.

Mężczyzna odwrócił się do Jensa, zmierzył go krótkim spojrzeniem.

- Witam, mam na imię Thierry.

Jens podał mu rękę.

- Co jest w twoich skrzyniach? - zapytał.

- Facet przewozi karabiny automatyczne - odpowiedział Aron.

Podszedł do nich Leszek z bronią przewieszoną przez ramię, kiwnął głową do Thierry'ego, który odpowiedział skinieniem. Następnie Thierry zlustrował Jensa wzrokiem, jakby chciał się przekonać, czy w jego wyglądzie można dostrzec cechy przemytnika broni, i odwrócił się do Arona.

- Okej... Masz to, o co prosiłem?

Aron wyciągnął torbę i z uśmiechem podał ją Thierry'emu. Ten trzymał ją przez chwilę, ważąc w dłoniach, po czym usiadł i rozsunął zamek błyskawiczny. Wyjął zawinięty w kawałek aksamitu przedmiot, ostrożnie położył na ziemi i rozwinął materiał. Jensowi wydało się, że słyszy, jak mężczyzna wciąga powietrze na widok kamiennej statuetki. Dla Jensa wyglądała niepozornie. Mała, szara, bezkształtna. Thierry podniósł ją do światła wiszącej nad głową lampy. Podekscytowany zaczął opowiadać o jej wieku, o tym, że jest to inkaski skarb, którego wartości nie da się oszacować, prawdopodobnie bezcenny.

- Dzięki, Aron - powiedział Thierry.

- Mnie nie dziękuj, podziękuj Don Ignaciowi. On to dla ciebie załatwił.

Leszek i Aron zniknęli pod pokładem.

Thierry wodził wzrokiem po statuetce.

- Sprzedasz ją? - zapytał Jens.

- Nie, nie da się jej sprzedać. Będę ją miał u siebie w domu, patrzył na nią.

Odwrócił się do Jensa.

- Ale sprzedaję inne, podobne rzeczy, jeśli jesteś zainteresowany.

Jens z uśmiechem potrząsnął głową.

- Poza tym jest to odpowiednia przeciwsłona dla twojej broni i kokainy. Ma dobrą moc. Pomaga nam w podróży.

Tym sposobem Jens dowiedział się, co na statku robią Aron i Leszek.

*

Za pieniądze, które Gunilla przelała na jego konto, Lars kupił volkswagena LT 35. Dużą, białą furgonetkę bez żadnych znaków szczególnych. Siedzenie kierowcy było oddzielone ścianką od większej przestrzeni z tyłu, samochód miał jedno okno w tylnych drzwiach, a w nim lustrzaną szybę.

Lars zaparkował siedemdziesiąt metrów od willi Sophie na prowadzącej w górę małej, żwirowej ścieżce. Zaopatrzył się w stary zniszczony fotel, który stał teraz na środku przestrzeni ładunkowej. Siedział na nim, na uszach miał słuchawki podłączone do odbiornika, który z kolei podłączony był do urządzenia nagrywającego, i słuchał w jakości stereo, jak Brinkmannowie jedzą kolację. Z każdym wypowiedzianym słowem, z każdą rzuconą uwagą Lars lepiej rozumiał Sophie i jej świat, to, jak żyje, jak myśli...

Śledził ją już dwa tygodnie, wydawało się to wiecznością. W ciągu tych wszystkich tkwiących poza czasem dni, wieczorów i nocy, kiedy za nią chodził, fotografował, myślał o niej i pisał jałowe raporty do Gunilli, coś się w nim zmieniło. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zaczął czuć się nieco bardziej wolny, silniejszy i oszczędniejszy w dotychczas nieustającym wewnętrznym kwestionowaniu samego siebie.

Nie wiedział, skąd wzięła się ta zmiana, może to tylko zbieg okoliczności, może jego nowa praca, a może konsekwencja spędzania całych dni samotnie? Dużo o tym myślał

- może to jednak zasługa Sophie Brinkmann? Jej pojawienie się powiedziało mu coś nowego o nim samym, o jego

męskości. To Sophie uswiadomiła mu, czego chce i w jaki sposób chce to otrzymać. Otworzyła przed nim jakieś drzwi, on zaś poczuł, że jeśli potrafiła zrobić to dla niego na odległość, nawet go nie znając, on także być może potrafi zrobić coś podobnego dla niej. Wiedział, że są połączeni. I że ona w głębi duszy też to czuje...

Lars słyszał w słuchawkach szczerą rozmowę między Sophie a Albertem. Wymianę zdań, świadczącą o tym, że ich relacja jest niewymuszona i pełna miłości. Zdumiało go to, nigdy wcześniej nie słyszał niczego tak naturalnego.

Ostatnie godziny służby spędził na fotelu w pozycji półleżącej, przycinając paznokcie podróbką leathermana i słuchając Sophie, która czytała w łóżku książkę. Jedyne, co słyszał, to dźwięk przewracanej od czasu do czasu kartki. Zamknął oczy. Leżał koło niej w łóżku, a ona się do niego uśmiechała.

Była noc, jechał do domu, szybę w samochodzie miał otwartą, szwedzka wiosna, która nagle przemieniła się w lato, sprawiła, że powietrze było ciepłe i czyste.

Już w mieszkaniu usiadł przy starej maszynie do pisania i zaczął sporządzać raport.

- Dlaczego piszesz na maszynie, a nie na komputerze?

W drzwiach stała Sara, ubrana w tę swoją okropną, spraną nocną koszulę. Spojrzał na nią, wstał i trzasnął drzwiami tuż przed jej zdziwioną twarzą, przekręcił klucz w zamku i wrócił do pisania.

- Co się z tobą dzieje, do cholery?! - Głos zza drzwi brzmiał głucho.

Nie słuchał jej, dalej pisał na maszynie. W raporcie oddał z grubsza dialog przy stole. Papiery przeszły przez faks, a następnie trafiły do niszcarki. Lars nie chciał się kłaskać koło Sary Koniak już się skończył, wina były wypite. Dobrał się do sherry, stojącego na regale. Nie wiedział, skąd się

wzięło. Stało tam od niepamiętnych czasów. Pił bezpośrednio z butelki, czekając, aż komputer się uruchomi. Sherry, co za pieprzone gówno... Słabe, a jednocześnie ohydne, co to ma być? Pił na siłę. Beznadzieja wokół niego trochę zmalała, a mózg rozgrzał się do jako takiej temperatury. Ekran zamrugał i ukazał się pulpit. Kliknął jeden z katalogów, zaznaczył zawartość i wybrał pokaz slajdów. Następnie otworzył katalog z muzyką klasyczną i zaczął oglądać zdjęcia Sophie przy dźwiękach Pucciniego. Zdjęć miał kilkaset, wyświetlały się w pięciosekundowych odstępach, wypełniając cały ekran.

Lars usiadł wygodnie na krześle i patrzył, jak Sophie jedzie na rowerze do pracy, jak otwiera kluczem drzwi do domu, jak jej rozmazaną postać widać przez kuchenne okno, jak wyciąga ze skrzynki gazety, jak wycina stare i dzilde pędy z rosnących przy ścianie domu krzaków róż. Widział, gdzie się znajduje, jak się czuje, o czym myśli, dostrzegał każdy niuans na jej twarzy. To było jak film, film o wewnętrznym życiu Sophie Brinkmann. Roześmiał się na widok tego cudu, zdumiony, że on, który rzadko myśli tymi kategoriami, przypadkiem trafił na kobietę, o której wie wszystko. Ale czy to był przypadek? Nie, nie mogło tak być, może to przeznaczenie ukazało mu się we własnej osobie?

Lars wydrukował ulubione zdjęcia Sophie, włożył je do teczki, na teczce narysował kwiatek i schował ją do szuflady.

*

Szła korytarzem, patrząc w podłogę, i nie myślała o niczym szczególnym; podniosła głowę, kiedy usłyszała przed sobą kroki.

Jakaś kobieta około pięćdziesiątki zwróciła na siebie jej uwagę. Sophie ją poznała, widziała ją już wcześniej. Była to krewna kogoś z oddziału, nie wiedziała czyja.

- Sophie?

Sophie zdziwiła się, że kobieta mówi jej po imieniu, rzadko się tak do niej zwracano mimo plakietki na piersi.

- Nazywam się Gunilla Strandberg i chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

Sophie skinęła głową, uśmiechnęła się swoim uśmiechem pielęgniarki.

- Oczywiście.

Gunilla rozejrzała się dookoła i Sophie zrozumiała, że nie chce rozmawiać w korytarzu.

- Proszę.

Sophie poprowadziła Gunillę do jednej z sal, zamknęła drzwi.

Gunilla otworzyła torebkę, wyjęła z niej skórzany portfel, pogrzebała w jednej z wewnętrznych kieszonek i pośród starych rachunków i pojedynczych banknotów znalazła to, czego szukała. Pokazała Sophie legitymację.

- Jestem z policji.'

- Tak?

Sophie skrzyżowała ręce.

- Chcę z tobą tylko porozmawiać - powiedziała Gunilla spokojnie.

Sophie zdała sobie sprawę z tego, jak stoi - zamknięta, w pozycji obronnej.

- Pewnie mnie nie poznajesz?

- Widziałam cię tu już wcześniej. Jesteś krewną kogoś z pacjentów.

Gunilla pokręciła przecząco głową.

- Możemy usiąść?

Sophie podsunęła Gunilli krzesło, ta usiadła. Sophie siadła na jednym z łóżek. Gunilla milczała, najwyraźniej dobierając słowa. Sophie czekała. Po pewnym czasie Gunilla podniosła wzrok.

- Prowadzę dochodzenie.

Sophie czekała. Gunilla Strandberg wydawała się nadal szukać właściwych słów.

- Czy przyjaźnisz się z Hectorem Guzmanem? - zapytała spokojnie.

- Z Hectorem? Nie, nie można tak powiedzieć.

- Ale się spotykacie?

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Sophie spojrzała na Gunillę.

- Ale o co chodzi?

- O nic takiego, chcę tylko zadać kilka pytań.

- Dlaczego?

- Jak blisko jesteście ze sobą?

Sophie potrząsnęła głową.

- Był pacjentem, rozmawialiśmy. O co właściwie chodzi?

Gunilla wzięła głęboki wdech, zaśmiała z własnej nieporadności.

- Przepraszam, jeśli jestem napastliwa, nigdy się nie nauczę.

Zebrała się na odwagę i spojrzała Sophie w oczy.

- Ja... potrzebuję twojej pomocy.

7

Michaił wpadł do wody. O włos uniknął wystrzeliwanych w jego stronę pocisków. Opadając w głąb ciemnego morza, słyszał wizg i syk hamowanych przez wodę kul. Po jakimś czasie odwrócił się i znów popłynął w stronę statku; brak tlenu zmuszał go do wydostania się na powietrze. Klinowaty kształt kadłuba uratował mu życie. Mężczyźni na górze nie mogli go dostrzec. Michaił cały czas trzymał się kadłuba, pozostawał w ciągłym ruchu. Kiedy silniki ruszyły, zaryzykował i popłynął w stronę kamienistego nabrzeża, kierując

się ku jego końcowi. Brzeg był wysoki. Jeżeli nie będzie tam drabiny ani niczego, po czym mógłby się wspiąć, utonie. Wszystko go bolało, długo tak nie wytrzyma. Sporym wysiłkiem dopłynął do nabrzeża i dostrzegł stary, zardzewiały łańcuch, którego mocno się trzymał, dopóki frachtowiec nie odpłynął. Wtedy z wysiłkiem, przezwyciężając ogromny ból, podciągnął się na molo, kompletnie przemoczony wsiadł do wynajętego samochodu, otworzył schowek na rękawiczki, wyjął z niego GPS oraz telefon i zadzwonił do Rolanda Gentza. Powiedział mu, że powitano ich ogniem, że obaj jego ludzie nie żyją i że na pokładzie było trzech facetów: dwóch, których rozpoznał, czyli Aron i Leszek, oraz trzeci, nieznanemu mu, najprawdopodobniej Szwed.

Roland podziękował za informacje i powiedział, że odezwie się w ciągu kilku godzin. Rozmowa została przerwana.

Wietnamski kapitan się nie patyczkował. Złamany nos, połamane żebra, ale z tym da się żyć. Nie przeklinał kapitana, w końcu na jego oczach zastrzelił sternika. Musiał go ukarać dla przykładu, bowiem kiedy tylko rozległy się strzały, wiedział, że kapitan złamał umowę z Hankem. Śmierć sternika była karą, Michaił nie wahał się ani sekundy.

Rzadko kiedy żywił urazę do ludzi, którzy się nad nim znęcali albo ostro z nim obchodzili, byli bowiem tacy jak on. Brał udział w wojnach na dużą skalę, zarówno przeciwko Afgańczykom, jak i Czeczenom, czyhał na ludzi w zasadzkach i nie raz znajdował się pod ostrym ostrzałem, na granicy tego, co może znieść ludzka psychika. Widział przyjaciół ginących od kul, rozrywanych na kawałki, palonych. Sam robił to samo z wrogami, ale nigdy jego działania nie były wynikiem furii ani chęci zemsty. Może dlatego, przeżył.

Takie podejście do własnego życia i do ludzi miał już wtedy, kiedy zaczął pracować dla Ralpha Hankego. Zawsze identyczne nastawienie, niezależnie od tego, czy na rozkaz

Ralph'a kogoś zabijał, czy spuszczał komuś łomot, czy też jechał do Sztokholmu potrafić syna Adalberta Guzmana.

Nigdy się nie zastanawiał, czy postępuje dobrze, czy też źle, lata spędzone na frontach krwawych, bezsensownych wojen nauczyły go, że na świecie nie istnieje dobro ani zło. Istnieją tylko konsekwencje i wystarczy je znać, by życie toczyło się w kierunku, który da się kontrolować.

Zatrzymał samochód przy centrum handlowym. Klienci patrzyli szeroko otwartymi oczami na potężnego, zakrwawionego mężczyznę chwiejącego się na nogach. Kupił to, czego potrzebował: bandaż, plastry, watę, antyseptyki i najsilniejsze środki przeciwbólowe, jakie mógł znaleźć. W sklepie unosił się przyjemny zapach, było to coś pomiędzy apteką a perfumerią. Zapłacił; ubrane w białe fartuchy atrakcyjne kasjerki unikały jego spojrzenia.

Michał podjechał do przydrożnej knajpy, wszedł do toalety, obkleił się plastrami najlepiej jak potrafił i bez popijania połknął cztery środki przeciwbólowe.

W restauracji usiadł przy ścianie, jedzenie popił trzema piwami. Następnie się przeciągnął - stawy zatrzęszczały, wszystko potwornie go bolało.

Czekając na rachunek, włączył odbiornik GPS. Na jednej z Guzmanowych skrzyń z kokainą, znajdujących się w ładowni, umieścił nadajnik. Na wyświetlaczu nie było sygnału, pewnie wciąż znajdowali się na morzu.

Michał zatrzymał się w przydrożnym motelu, w pokoju zastał czystą pościel w brzydkich kolorach, pachnącą o wiele za mocno płynem do płukania. Rozebrał się do naga, popatrzył na siebie w lustrze, obejrzał pokrywające tors siniaki, zrobił kilka kółek ramionami i nastawił sobie kark. Jego ciało opowiadało czytelną historię: liczne blizny, w tym cztery po kulach i mnóstwo odłamków. Blizny miał wszędzie, niektóre były efektem bezpośredniej przemocy, inne zaś

wypadków, jednak z każdą wiązało się żywe wspomnienie. Niektóre z tych obrazów chętnie wymazałby z pamięci, ale było to niemożliwe, musiał żyć z nimi cały czas i za każdym razem, gdy na siebie patrzył, uświadamiał sobie, kim tak naprawdę jest.

Odezwiała się komórka. Michaił podszedł do nocnej szafki i odebrał. Dzwonił Roland, pytając, co teraz.

- Będziemy śledzić nadajnik, to wszystko.
- Ralph jest wściekły.
- To chyba nic nowego?
- Musisz odpowiedzieć na ten atak, przynajmniej po to, żeby pomścić zmarłych kolegów.

Michaił zrozumiał, że Roland próbuje grać na jego uczuciach, on ich jednak nie miał. Fakt, że towarzysze byli martwi, najzupełniej mu wisiał, to były ludzkie wraki, dla których śmierć stanowiła wybawienie.

- Zobaczą, co się da zrobić. Przyślesz kogoś?
- Sam sobie świetnie poradzisz.

Michaił przyjrzał się sobie w dużym lustrze, przekrzywił głowę w prawo, a strzyknięcie, które się przy tym rozległo, nastawiło coś w okolicy ramion.

- Dobra, ale powiedz coś więcej.

Michaił usłyszał kliknięcie myszką, Roland najwyraźniej surfował po sieci.

- Ralph jest wściekły jak pieprzona osa, zrób coś, cokolwiek. Nie zaśnie, dopóki oni nie zrozumieją, że przegrali, wiesz, jaki on jest.

Michaił odłożył słuchawkę bez słowa.

Wziął prysznic i zadzwonił do agencji towarzyskiej. Zamówił kobietę słusznych rozmiarów, nie za młodą i nie za chudą, taką, która potrafi się dogadać po rosyjsku. Przyjechała, była Albanką, miniówka, białe kozaczki sięgające kolan, różowa bluzeczka, obfite biodra, wszystko tak, jak lubił. Przedstawiła się jako Mona Lisa, nie spodobało mu się

to imię i zapytał, czy nie mogłaby się nazwać jakoś inaczej, może Lucy?

Michał i Lucy, leżąc w łóżku, popijali genever i oglądali w telewizji holenderski talk-show. Spodobała mu się, gdy wspólnie żartowali z tego, że nie rozumieją ani słowa.

- Możesz zostać na noc?

Sięgnęła po torebkę w złotym kolorze, gdzieś zadzwoniła i podyktowała komuś numer karty Michała.

Spał na jej piersi, przytulony jak dziecko do mamy.

O czwartej zadzwonił jego budzik. Usiadł na łóżku i starł zmęczenie z oczu. Ból nie ustąpił i miał się utrzymać jeszcze przez jakiś czas. Obrócił się i spojrzał na Lucy, pochrapywała cicho.

Włączył odbiornik GPS, wstał i poszedł do łazienki. Przemył twarz zimną wodą i umył się na tyle, na ile było to możliwe w małej umywalce. Kiedy wrócił do pokoju, nadajnik był aktywny. Spojrzał na mapę. Skrzynie znajdowały się na zachodniej Jutlandii.

Michał ubrał się i zostawił na nocnym stoliku sowity napiwek dla Lucy.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi, wsiadł do wynajętego samochodu, wyjechał na autostradę i zniknął we wczesno-porannej mgle.

*

Mały domek z muru pruskiego ze słomianym dachem leżał na uboczu, jakieś sto metrów od starej szosy, otoczony mnóstwem drzew. Jens wjechał na wyboistą szutrową drogę, biegnącą między szpalerami drzew, za którymi rozciągały się pola pszenicy. Promienie słońca miały taką barwę, jaką zapamiętał z czasów wakacji, spędzanych tu w dzieciństwie - połączenie złotego, pomarańczowego i połyskującej zieleni.

Ubiegłej nocy opuścił statek i ruszył w kierunku południowej Jutlandii kutrem, na którym przyplynał Thierry. W ustronnej zatoce zeszli na ląd i pod osłoną nocy wyładowali towar. Czekali już na nich trzy samochody, jeden przeznaczony dla Jensa, który nie czekając, ruszył w drogę.

Zaparkował przed domem, ale nie wysiadał. Poranek był piękny, śpiewały ptaki, rosa parowała pod wpływem rosnącej temperatury. Otworzyły się obramowane pnącymi różami drzwi i siwowłosa staruszka w fartuchu uśmiechnęła się do Jensa szeroko. Odwzajemnił uśmiech, przyglądając się temu zabawnie sielskiemu widokowi, po czym wysiadł z samochodu.

Przytulili się, staruszka nie zwolniła uścisku.

- I pomyśleć, że do mnie przyjechałeś.

Babcia Vibeke przygotowała herbatę, którą jak zawsze podała w wyszczerbionych, biało-niebieskich filiżankach. Jens spojrzał na nią. Była stara, nieprawdopodobnie stara, jednak wydawało się, że w jej przypadku wiek nigdy nie osiągnął stadium, w którym starzy ludzie stają się umęczeni i zamknięci w sobie. Jens miał nadzieję, że do końca zachowa swoje usposobienie, że będzie mogła umrzeć w tym domu.

Rozejrzał się po kuchni, z półki nad piecem zdjął fotografię dziadka Esbena, z sumiastym wąsem, kapeluszem z szerokim rondem i zwisającym z ramienia na skórzanym pasku karabinem.

- Potrafiłem do upadłego gapić się na to zdjęcie. Myślałem, że dziadek wygląda tak, jakby stał na sawannie, na Wyżynie Weldów. Jakby wybierał się na polowanie na słonie albo na kłusowników. A tak przecież nie było, stał przed domem na polu świeżo skoszonej pszenicy i strzelał do królików.

Vibeke skinęła głową.

- Był wielkim człowiekiem.

Jens przyjrzał się badawczo fotografii.

- Ale nie przepadaliliśmy z dziadkiem za sobą, prawda?

Postawił zdjęcie na stole i usiadł.

- Nie wiem, mówił, że nie umiesz stawiać sobie granic. Ty z kolei powtarzałeś, że on jest szalony i nie powinien się wtrącać. W końcu zawsze, z tego czy innego powodu, zaczynał się kłócić.

Jens uśmiechnął się na to wspomnienie, jednak w jego stosunku do dziadka kryła się pewna powaga. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego ciągle się ze sobą ścierali.

Babcia przyniosła dzbanek z herbatą i rozlała ją do filiżanek.

- Każdego lata, gdy nas odwiedzałeś, na początku spędzaliście czas razem. Chodziliście z Esbenem na polowania, łowiliście w rzece ryby, jakbyście testowali to, co między wami jest. Po kilku dniach rozdzielaliście się, ty zawsze znajdowałeś sobie jakieś zajęcie, a dziadek trzymał dystans.

Usiadła.

- Któregoś razu, miałaś chyba wtedy czternaście lat, wybrałaś się do wsi na zakupy. Była tam grupa chłopaków na motorynkach, kilka lat starszych od ciebie... Zaczepili cię. Wróciłaś do domu z podbitym okiem i Esben obwinił cię o coś, czego nie zrobiłaś - uznał, że problem tkwi w tobie. Próbowałam z nim rozmawiać, ale mnie nie słuchał.

Jens to pamiętał. Babcia dopiła herbatę.

- Kilka dni przed wyjazdem poszedłaś do wsi, odszukałaś tamtych chłopaków i każdemu z nich złamałaś nos. Kiedy wróciłaś, rozpierała cię radość, ale nie zdradziłaś się słówkiem. Dowiedziałam się o wszystkim dopiero po twoim wyjeździe, kiedy odwiedziła mnie jedna z matek, żądając zadośćuczynienia.

Vibeke się uśmiechnęła.

- Esben zawsze się o ciebie niepokoił, mówił, że nigdy się nie poddajesz, nawet wiedząc, że już po wszystkim.

- Chyba rzeczywiście taki byłem?

- A teraz?

Zastanawiał się krótką chwilę.

- Chyba nadal taki jestem.

Jens i Vibeke siedzieli w ogrodowej altanie i jedli kolację przy starym, drewnianym stole. Rozmawiali do późna, Jens nie chciał się kłaść, najchętniej zatrzymałby tę chwilę.

- Dziękuję, że przyjechałeś, moje dziecko.

Jens spojrzał na nią, wypił trochę wina i odstawił kieliszek.

- W każde wakacje paliłem się, żeby tu przyjechać, i tak bardzo nie chciałem wracać do domu... tak było co roku. Tylko ty mnie znasz, babciu.

Oczy zaszczyły jej łzami. Były to starcze łzy, nie płynęły ze smutku.

W nocy Jens przez kilka godzin leżał w łóżku i patrzył w sufit. Łóżko było głębokie jak wanna. Próbował przypomnieć sobie te noce, kiedy leżał tu jako dziecko. Wspomnienia przyszły jak uczucia, przyjemne uczucia. Zasnął, leżąc na plecach, pierwszy raz od bardzo długiego czasu.

We śnie znalazł się w głębokiej przepaści. Był sam i nie mógł się stamtąd wydostać. Wszystko pogrążone było w mroku. Próbował krzyczeć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Zbyt mała ilość tlenu sprawiła, że się obudził. Otworzył oczy.

Na brzegu łóżka, z jedną ręką zaciśniętą wokół jego gardła, a drugą na pistolecie, którego lufa dotykała jego brody, siedział Michaił i mu się przyglądał. Spojrzenie miał puste, ale badawcze, jakby próbował wyczytać coś z jego oczu. Białe światło księżyca oświetlające pokój padało na pokiereszowaną gębę Michaiła, czyniąc ją jeszcze brzydszą i nadając mu bladawy, schorowany wygląd.

Odezwał się niskim głosem:

- Kluczyki.

Jens próbował myśleć.

- W kieszeni spodni.

Michał się odwrócił i spojrzął na spodnie wiszące na krześle. Odwrócił się z powrotem do Jensa i wymierzył mu cios kolbą pistoletu w głowę. Nierzeczywisty metaliczny dźwięk odbił się echem od ścian pokoju i Jens stracił przytomność.

*

Kosiarka z mozołem torowała sobie drogę. Praca była ciężka i Sophie pociła się od upału. Mały dodatkowy silnik, który miał napędzać prawe przednie koło maszyny, był zepsuty, Sophie zamówiła nowy, ale nie przyszedł. Może to i lepiej, i tak nie umiałyby go zamontować.

Od czasu spotkania z Gunillą nieprzerwanie biła się z myślami. Spacerowała, jeździła na rowerze, biegała, próbowała znaleźć wewnętrzny spokój. Wieczorami, kiedy była sama, pisała, badała swoje wnętrze - zastanawiała się, myślała, rozważała.

Od samego początku towarzyszyła temu wściekłość, pojawiła się już przy pytaniu, które zadała jej Gunilla. Czy może raczej przy odpowiedzi, której Sophie nie mogła nie udzielić. Była zła, bo od początku wiedziała, jak zareaguje. Zgodzi się, nie miała wyboru. Ona była pielęgniarką, skontaktowała się z nią policjantka, poprosiła o pomoc...

Sophie poruszała się po linii prostej, teraz pozostał już tylko dziesięciocentymetrowy pas trawy biegnący równoległe z dłuższym bokiem ogrodu. Sophie skierowała tam kosiarkę, a ta zaczęła przeżuwać czubki traw.

Kiedy Sophie skończyła pracę, puściła uchwyt i czuwak automatycznie wyłączył silnik. Kosiarka trzeszczała w promieniach słońca, dłonie Sophie były czerwone i rozgrzane wibracjami, dzwoniło jej w uszach. Podziwiała swoje dzieło, trawnik był równy.

Napiła się zimnej wody z karafki stojącej w lodówce, leżąca na blacie komórka zawibrowała, wyświetlacz się zaśwycił. Przestała pić, oddychała ciężko, próbowała uspokoić puls.

„Nieznany” - widniało na wyświetlaczu. Otworzyła wiadomość.

„Dzięki za SMS-a. Byłem zajęty. Spotkanie? Pzdr H.”

Dzień wcześniej wysłała mu na komórkę wiadomość, zastanawiała się, jak ją sformułować, w końcu stanęło na krótkim: „Dzięki za miły wieczór”.

Teraz wahała się, czy odpowiedzieć, palec zawisł nad klawiszami. Tok myśli przerwał jej wściekły klakson. Wyrzała. Na przednim siedzeniu siedział Albert, spojrzała na zegar i uświadomiła sobie, że straciła poczucie czasu. Schowała telefon do kieszeni. Albert znowu zatrał, krzyknęła wściekle, żeby zaczekał. Wyszła tak, jak stała - brudna, spocona, w dżinsach, gumowcach i spranym podkoszulku. Po drodze zdążyła jeszcze związać włosy w kitkę i wziąć ze sobą torebkę.

Albert siedział koło niej w samochodzie ubrany w zieloną koszulkę polo, białe krótkie spodenki i białe tenisówki, na kolanach trzymał rakietę w pokrowcu. Klimatyzacja nie działała. Sophie jechała z otwartą szybą. Kiedy samochód przyspieszył, gorąco zmieniło się w przyjemny chłód. Nie rozmawiali dużo, przed meczem Albert zawsze był mało-mówny Mieszanka zdenerwowania i koncentracji.

Wjechała na rondo na Djursholmstorg, wybrała drogę prowadzącą w górę, minęła zamek i zjechała z niewielkiego wzgórza koło wieży ciśnień. Skręciła i stanęła na parkingu przed czerwoną, wyjątkowo szpetną halą tenisową.

- Nie musisz iść.

Otworzył drzwi, to ostatnie powiedział bardziej przez grzeczność niż niechęć. Nie odpowiedziała, wyciągnęła kluzyk ze stacyjki i wysiadła z samochodu. Razem weszli do środka, Albert kilka kroków z przodu.

Mecze rozgrywały się na kortach wewnątrz hali. Albert wypatrzył kilku kolegów, siedzących w grupie kawałek dalej, przysiadł się do nich i zaczęli przerywaną śmiechem rozmowę. Lubiła jego kolegów - kiedy byli razem, zawsze się śmiali. Znalazła wolne miejsce, usiadła i oglądała rozgrywający się przed nią mecz. Piłka wędrowała tam i z powrotem między dwiema grającymi dziewczynami; pomyślała, że są dobre. Rozgrywka miała miarowe tempo, myśli Sophie odpłynęły. Wyjęła komórkę, jeszcze raz przeczytała wiadomość od Hectora, jej palec zawisł niepewnie nad przyciskiem „Odpowiedz”. Przez głośnik wyczytano nazwisko Alberta i jeszcze jednego chłopaka. Schowała telefon z powrotem do torebki i poczuła, że się uśmiecha na widok syna wchodzącego na kort. Krok miał pewny, wyglądał na spokojnego, kiedy witał się z sędzią, i skoncentrowanego, gdy podrzucał piłkę do góry i wykonywał pierwszy serw meczu.

Albert wygrał raz i miał wziąć udział w półfinałach, rozgrywanych na kortach Slottsbanorna. Ludzie zaczęli wstać i wychodzić z hali. Poszła wraz z innymi w stronę parking, zobaczyła, że Albert szuka jej w tłumie. Dał znak, że zabierze się z kolegami.

Na parkingu zatrzymała ją czyjaś mama, głądziła coś o zbiórce dla nauczyciela z klasy Alberta. Sophie czmychnęła przed inną mamą, znaną z tego, że uważała wszystkie dzieci za podążające gorszą życiową drogą niż jej córka. Zrobiła unik przed „klubem czerwonego wina” - grupą zniszczonych byłych piękności. Chude nogi, wzdęte brzuchy, drogi makijaż i ta oczywista bezpośredniość przy pierwszym spotkaniu, a już po kilku minutach zmiana tematu na defekty i wady innych.

Usiadła za kierownicą, nie czuła wspólnoty z żadną z napotkanych kobiet. Sama sobie zadawała pytanie, dlaczego żyje wśród tych wszystkich pokręconych ludzi, którzy nigdy nie przestają jej zadziwiać.

Pojechała w górę w stronę zamku. Pod wpływem nagłego impulsu wyjęła telefon, otworzyła wiadomość od Hectora i odpowiedziała: „Kiedy tylko chcesz”.

*

Michaił ruszył z Jutlandii na południe, minął niepilnowaną granicę i wjechał do Niemiec.

Kiedy po dziesięciu godzinach dotarł do Monachium, zaparkował samochód w garażu jednej z niezamieszkanymi willi należących do Hankego.

Willa położona była na sennej ulicy klasy średniej, gdzie wszystkie domy wyglądały jednakowo - cegła, solidne drzwi. Domyślał się, że w bagażniku ma około czterdziestu kilogramów kokainy. Mimo epizodu na statku był zadowolony z rozwoju wydarzeń i wiedział, że Ralph również będzie zadowolony. Ostatni raz rozmawiali, gdy Michaił rzutem na taśmę uratował część kokainy, tak jak sobie tego życzył Ralph.

Wjechał tyłem do garażu, zasunął drzwi.

Dwie drewniane skrzynie stojące jedna na drugiej. Wyciągnął jedną z nich, znalazł swój nadajnik, zerwał go i schował do kieszeni. Wyciągnął drugą, wyłamał drewniane wieko dłutem, odsunął, zobaczył ścinki. Rozgarnął je, wsunął rękę i chwycił kolbę karabinu automatycznego. Podniósł broń do góry, znał ją, to był steyr AUG. Dokonał szybkich oględzin. Względnie mało używany, w dobrym stanie. Michaił znalazł dziewięć sztuk tej samej broni, świeżo naoliwionych, z zamkiem na swoim miejscu. Otworzył drugą skrzynię, pod ścinkami znalazł osiem sztuk nowiutkich heckler & koch MP7 i dwa heckler Stkoch MP5.

Podrapał się pod okiem.

*

Hector siedział na tylnym siedzeniu samochodu, czekającego przed furtką na Sophie. Podążał za nią wzrokiem, gdy szła żwirową ścieżką. Patrzyli na siebie. Kiedy przeszła przez bramę, przechylił się nad siedzeniem i otworzył jej drzwi.

- Witaj, Sophie Brinkmann - powiedział.

Usiadła koło niego, zamknęła drzwi. Za kierownicą siedział Aron, zapalił silnik.

- Cześć, Aron - odpowiedziała.

Aron skinął głową i ruszył.

- Ładnie mieszkasz - rzekł.

- Dziękuję.

Hector uniósł palec.

- Lubię żółte domy.

- No proszę - odparła z uśmiechem.

- Od jak dawna tu mieszkasz?

- Od dość dawna.

Szukał dalszego ciągu.

- I jesteś zadowolona? Dobrze się czujesz w tej okolicy?

Spojrzała na niego tak, jakby miała się roześmiać na myśl, jak za chwilę rozwinie się ta ich drętwa gadka. Zrozumiał.

- No to dobrze - odezwał się po chwili.

- Mhm - mruknęła i się uśmiechnęła.

Jechali dalej.

- Dziękuję za prezent, podoba mi się. Używam - powiedział.

Dała mu spinacz do banknotów, może dlatego, że był w miarę elegancki i nie zanadto osobisty.

Jazda samochodem upłynęła miło. Hector mówił, pewnie i spokojnie, jak to on, opowiadał różne rzeczy i zadawał pytania, które pozwalały uniknąć chwil ciszy i innych niezręczności. Był w tym dobry - jedna z jego mocnych stron. Sophie nie wiedziała, czy zdawał sobie z tego sprawę, ale przez całą drogę jego prawa noga dotykała jej nogi.

Aron skręcił w Hagaparken, podjechał kawałek i zaparkował przed Domem Motyli.

- Byłaś tu już wcześniej?

Pokręciła głową. Wyszli z samochodu i wkroczyli do dużej cieplarni. Jakiś mężczyzna zaproponował, że weźmie jej kurtkę. Gorąco, wilgotno, śpiewające ptaki, szumiąca woda i - jak sama nazwa wskazywała - latające motyle, nieświadome niczego, nawet własnej wspaniałości. Pomyślała, że bardzo lubi motyle, że zawsze bardzo je lubiła.

W części sali tropikalnej ustawiono krzesła, jedno z nich stało samotnie na podwyższeniu. Za nim siedziała orkiestra złożona z czterech mężczyzn, czekali. Wiolonczela, dwoje skrzypiec i flet poprzeczny

Kilka osób czekało już na występ. Sophie usiadła. Pojawił się Hector, poprosił o uwagę. Najpierw mówił po hiszpańsku, a następnie przeszedł na szwedzki, przedstawiając hiszpańskiego poetę, którego wiersze właśnie ukazały się w szwedzkim przekładzie. W tropikalnym cieple rozbrzmiały oklaski.

Poeta, niski mężczyzna o szczęśliwej twarzy, usiadł na krześle, powiedział kilka słów po hiszpańsku i zaczął czytać swoje utwory przy akompaniamencie znajdującego się za nim kwartetu.

W pierwszej chwili Sophie nie wiedziała, co myśleć. Zbierało jej się na chichot, ale po jakimś czasie udzieliła jej się powaga chwili. Słuchała pięknej muzyki i pięknego języka czytającego ze spokojnym zaangażowaniem mężczyzny. Czowała się tak, jakby przekazywał jakąś harmonię, mimo że nie rozumiała ani słowa z tego, co czytał. Dookoła fruwały motyle, jakby chciały zaprezentować się zebrany. Jej myśli zaczęły wędrować - Gunilla Strandberg, Hector, ona sama - tam i z powrotem, nie znajdując tego, czego szukały. Cały czas ta myśl przewodnia, która od czasu spotkania z Gunillą w szpitalu raz po raz odzywała jej się w środku. Coś w stylu:

„podążaj za głosem serca”. Kiedy jednak próbowała to zrobić, docierało do niej, że jest więcej niż jedno serce. Z jednej strony było to, do którego zaapelowała Gunilla, „postąpić właściwie” - moralne serce, ale także to, które w jakiś sposób zbudził do życia Hector. Serce namiętne, które tak długo spało w jej wnętrzu zimowym snem.

Postąpić właściwie - powiedziała Gunilla w szpitalu podczas ich rozmowy. Postąpić właściwie... W domyśle: donosić im na Hectora Guzmana, to jest właściwie. - My jesteśmy po tej dobrej stronie - powiedziała - on po złej. Czy Gunilla zrozumiała, kim jest Sophie? Osobą, która nie potrafiła odpowiedzieć „nie” na taką prośbę policji. Pielęgniarką - kimś, kto chce postępować właściwie.

Sophie otworzyła oczy, poeta czytał miarowo swoje strofy. Popatrzyła na Hectora, ten wsłuchiwał się w poezję. Lubiła na niego patrzeć, kiedy tak wyglądał, nieoficjalny, skoncentrowany, nieprzenikniony. Przesunęła wzrok na dłonie leżące na kolanach. Jakkolwiek na to patrzyła, kontakt z Hectorem został nawiązany, gra się rozpoczęła. To, co według Gunilli miało być właściwe, wcale się takim nie wydawało.

Hiszpan czytał, orkiestra grała, motyle fruwały, zaś po jej policzkach zaczęły spływać łzy. W torebce znalazła chusteczkę do nosa. Hector odwrócił się i spojrzął na nią. Być może myśląc, że płacze pod wpływem sentymentalnej chwili. Widząc jego spojrzenie, roześmiała się, jakby była zawstydzona swoimi łzami, otarła je i udawała, że znów koncentruje się na muzyce i wierszu. Czuła na sobie jego spojrzenie.

Kiedy poeta skończył, otrzymał aplauz. Hector wstał, pokazał książkę, która właśnie ukazała się po szwedzku i po hiszpańsku nakładem jego wydawnictwa, poopowiadał o niej przez chwilę, po czym podziękował poecie za przybycie.

Szli w stronę parkingu, Hector powoli, o lasce i z nogą w gipsie.

- Piękne? Udane? Dobre? - zapytał.

- Wszystko naraz - odpowiedziała.

Przystanąli, czekając na taksówkę. Hector zapłacił kierowcy, by zawiózł ją do domu. Drzwi się zamknęły, taksówka odjechała, Sophie zaś zorientowała się, że na twarzy ma uśmiech. Przestraszyła się tej radości, którą czuła, będąc blisko niego.

- Do Stocksund proszę.

Taksówkarz coś wymamrotał.

Zadzwęczała jej komórka. Wyjęła ją z torebki, przeczytała: „Dobrze. Spotkajmy się na Parkadenie, poziom 4, teraz”. Wiadomość przyszła od nieznanego nadawcy.

Przeczytała wiadomość kilka razy, bijąc się z myślami.

- Chwileczkę, zmieniłam zdanie. Proszę na Regeringsgatan.

Taksówkarz z jakiegoś powodu westchnął.

Sophie wjechała windą na czwarty poziom parkingu i wysiadła. Gunilla czekała na nią w swoim samochodzie, dała jej znak ręką, by usiadła na przednim siedzeniu.

- Dziękuję, że przysłaś... - Zapaliła silnik i ruszyła. - Fajnie było? W Domu Motyli?

Sophie nie odpowiedziała, zapięła pas.

- Nie zawsze go śledzimy, nazywa się to sporadycznym nadzorem.

Zjechały w dół po spirali i wyjechały na ulicę Regeringsgatan. Gunilla prowadziła nowszy model peugeota, fotel miała zanadto wysunięty do przodu, siedziała zbyt blisko kierownicy. Głupio to wyglądało. Ruch był jak zwykle gesty i intensywny, jednak Gunilla prowadziła lepiej i bezpieczniej, niż Sophie się obawiała, widząc ustawienie fotela.

- Zakładam, że po naszej rozmowie sporo myślałeś, że wybór nie był dla ciebie łatwy.

Z radia sączyła się cicha muzyka. Gunilla pochyliła się do przodu i wyłączyła ją.

- Podjęłaś właściwą decyzję, Sophie. Jeśli to cokolwiek znaczy.

Wyminęła blokującą pas ciężarówkę.

- Weźmiesz udział w czymś dobrym. Z twoimi spostrzeżeniami nasza praca przyniesie owoce... Obiecuję ci, że będziesz się z tym dobrze czuła.

Gunilla spojrzała na Sophie.

- I co ty na to?

- Teraz się tak nie czuję.

- Jak?

- Dobrze. Nie czuję się z tym dobrze.

- I jest to jak najbardziej naturalne - powiedziała Gunilla cicho.

Utknęły w korku. Gunilla Strandberg miała w sobie jakąś bezpośredniość, bezpretensjonalność. Emanował z niej spokój, dzięki któremu chyba nic nie wytrącało jej z równowagi. Ruch zelżał, pojechały w górę w kierunku Valhallavägen, a następnie na Lidingö.

- Zobaczyłam coś w tobie, kiedy wychodziłaś z sali, w której leżał. Siedziałam wtedy na ławce w korytarzu. Nie zauważyłaś mnie, ale ja zauważyłam ciebie.

Sophie czekała.

- Sprawdziłam, kim jesteś. Wdową z synem, pielęgniarką żyjącą z pieniędzy po mężu... Wydawało się, że wiesz wygodne, spokojne i bezstresowe życie. Ale może spotkanie z Hectorem Guzmanem to zmieniło?

Sophie zrobiło się nieswojo. Gunilla to zauważyła.

- Jak się z tym czujesz? - zapytała.

- Z czym?

- Z tym, że tyle o tobie wiem?

Pytanie zdziwiło Sophie. Automatycznie powiedziała coś przeciwnego do tego, co naprawdę czuła.

- W porządku, nie przeszkadza mi to.

Gunilla prowadziła przez chwilę w milczeniu.

- Będę z tobą szczerą, Sophie, inaczej to nie zadziała. W tę szczerą wchodzi też wyjaśnienie tego, w jaki sposób pracuję i czego możesz się po mnie spodziewać.

- A czego mogę się spodziewać?

Minęły jadącą lewym pasem ciężarówkę, która głośno sapnęła, gdy kierowca zredukował bieg.

- Ja również jestem wdową, mój mąż zmarł wiele lat temu.

Sophie spojrzała na nią z ukosa.

- Wiem, że twój tata nie żyje, moi rodzice też. Wiem, jak to jest, znam tę pustkę, która nigdy tak naprawdę nie znika, uczucie samotności...

Przejeżdżały przez most Lidingóbron. Pod nimi w poły-skującej wodzie pływały żaglówki i łodzie motorowe.

- I właśnie w tej samotności jest coś, czego nigdy nie mogłam zrozumieć, to małe uczucie wstydu.

Słowa Gunilli były jak kamienie. Sophie nadal wyglądała przez okno.

- Wiesz, co mam na myśli, Sophie?

Sophie nie chciała odpowiedzieć, wreszcie kiwnęła głową.

- Skąd się to bierze? - ciągnęła Gunilla. - Co to jest?

Oczy Sophie skupione były na świecie zewnętrznym.

- Nie wiem - odszepnęła.

Resztę drogi przebyły w milczeniu.

Wjechały w gmatwaninę małych uliczek, Gunilla z wprawą posuwała się naprzód, aż w końcu wjechała na zwirowaną drogę i powoli dotarła do małej drewnianej willi położonej w liściastym zagajniku.

- Tutaj mieszkam - powiedziała.

Sophie spojrzała na budynek, przypominał domek letniskowy.

Gunilla zaczęła ją oprowadzać po ogrodzie, pokazała swoje piwonie i róże. Wymieniała nazwy, opowiadała o ich pochodzeniu oraz o tym, jak się zachowują w zależności od podłoża i pory roku. Mówiła, jak chroni je przed chorobami i szkodnikami, i o tym, jak ważny jest dla niej ich stan. Sophie czuła, że Gunilla szczerze się tym interesuje, to było fascynujące.

Minęły altankę, Gunilla dała Sophie znak, by usiadła na białym drewnianym krześle, sama zajęła miejsce naprzeciwko. Na kolanach miała segregator, być może nosiła go ze sobą cały ten czas, Sophie nie była pewna.

Gunilla już miała coś powiedzieć, kiedy zmieniła zamiar. Podała Sophie segregator.

- Przyniosę nam coś do picia. Spójrz na to przez ten czas.

Wstała i poszła w stronę domu. Sophie chwilę za nią patrzyła, po czym otworzyła segregator.

Najpierw zobaczyła opis śledztwa w sprawie o morderstwo, przetłumaczony z hiszpańskiego na szwedzki. W co drugiej linijce widniało nazwisko Hectora.

Sophie przerzuciła stronę, kolejne pisma urzędowe, przeszła dalej. Następne w kolejności były liczne, przetłumaczone dokumenty o popełnionych morderstwach. Poczytała jeszcze trochę. Sięgały aż do lat osiemdziesiątych. Do rogu każdego z nich doczepione były dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało zwłoki, drugie ofiarę, kiedy jeszcze żyła. Przerzucała opisy śledztw, oglądała zdjęcia zamordowanych. Jeden leżał na podłodze w kałuży krwi. Drugi siedział w samochodzie, głowa zwieszała mu się w dziwny sposób. Kolejny, w garniturze, został powieszony na drzewie w lesie. Jeszcze inny leżał nagi w wannie, jego ciało było spuchnięte. Sophie cofnęła się kawałek, podnosząc zdjęcia z miejsca zbrodni.

Przyjrzała się zdjęciom rodzin. Mężczyzn z żonami i dziećmi. Przedstawiały różne sytuacje, najczęściej były to fotografie z wakacji, ale także zrobione przy kolacji, przy grillu w ogrodzie, w wigilię. Mężczyźni byli roześmiani, dzieci były roześmiane, kobiety również... Ale mężczyźni byli martwi... zamordowani.

Odwróciła kartkę, zobaczyła powiększone zdjęcie Hectora, patrzył prosto na nią, a ona na niego.

Sophie zamknęła segregator, próbowała wziąć głęboki oddech. Nie dało się.

CZEŚĆ DRUGA

8

Sonya Alizadeh klęczała na czworakach w dużym podwójnym łóżku. Svante Carlgren brał ją od tyłu. Był o wiele starszy, o wiele brzydszy. Sonya udawała orgazm, krzyczała w poduszkę. Svante doznał ataku manii wielkości.

Właściwie lubił bardziej zaawansowane rzeczy, ale tego dnia mu się spieszyło, mieli dla siebie tylko pół godziny przed służbowym lunchem. Lubiał co jakiś czas wymykać się na numerek. Sonya była jego seksualnym ideałem, może nawet więcej niż ideałem. Jej długie czarne włosy, spokojny i tajemniczy styl bycia i oczywiście piersi, które według niego tak doskonale pasowały do tego w sam raz zaokrąglonego ciała.

Poznał ją rok wcześniej w teatrze, na premierze, na którą poszedł z żoną. W antrakcie zderzyli się ze sobą przy stole z kieliszkami, wylała mu na spodnie szampana. Żona wyszła do samochodu po sweterek, wciąż było jej zimno. To jej cholerne marznięcie działało mu na nerwy.

Svante i Sonya zaczęli rozmawiać i zanim żona wróciła z samochodu, wymienili się numerami telefonów, a ona zaproponowała, że zapłaci za pralnię chemiczną. Powiedział, że o tym nie ma nawet mowy, ona zaś odparła, że i tak może zadzwonić, jeżeli chce. Te słowa sprawiły że pod Svantem na moment ugięły się nogi. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie była tak bezpośrednia jak Sonya, nigdy kobieta jej

kalibru nie nawiązała z nim kontaktu. Była seksowna, była zwierzęciem. Nie żądała wiele, oprócz ustalonej sumy - była doskonała. Zauważył ponadto, że uważa go za interesującego, on to zresztą podzielał, uważał się za członka elity, za jednego z wielkich.

Po ukończeniu studiów ekonomicznych w Göteborgu Svante Carlgren zaczął się w Volvo; były to czasy Gyllenhammara, kiedy jednak ten wielki człowiek ustąpił, Svante przeniósł się do Sztokholmu i pisał się po szczeblach kariery w Ericssonie. Przedsiębiorstwo było tak duże, że tylko nieliczni mieli pojęcie, w jaki sposób funkcjonuje. Svante był jednym z nich. Jedyne, czego mu brakowało, to możliwość pojawienia się od czasu do czasu w jakimś branżowym piśmie. Marzył o tym, by zyskać potwierdzenie swojej pozycji, wiedział jednak, że w dniu, w którym to nastąpi, strefa jego wpływów się skurczy. Musiał zadowolić się uznaniem kolegów i tym, że czasem mógł pobyć wśród grubych ryb, a czasami przelecieć się firmowym odrzutowcem.

Przed pójściem do łóżka Sonya jak zwykle zaproponowała mu kokainę. Uważał, że ten narkotyk jest cudowny, dzięki niemu czuł się rześki, zadowolony i pewny siebie w całkowicie nowy sposób. Nigdy wcześniej w swoim sześćdziesięcioletnim życiu nie próbował żadnego narkotyku, ale kombinacja kokainy i wyuzdanego seksu z Sonyą okazała się taką wyjątkową mieszanką, że nic nie mogło go przed tym powstrzymać.

Sonya mówiła świnstwa, które tak bardzo lubił, przy szczytowaniu jęczała, a ona powtarzała, że jest taki „duuuzły”.

Na nocnym stoliku zostawił gotówkę oraz zegarek ze złota i srebra. Svante od dawna wiedział, że kobiety uwielbiają prezenty - o kobietach wiedział niemal wszystko.

Sonya stanęła w drzwiach ubrana w jedwabny szlafrok, powiedziała „pa” i uśmiechnęła się z uznaniem na widok zegarka, który założyła na prawy nadgarstek. Wyszepiała, że

nie chce, żeby odchodził. Odparł, że musi, że jego praca jest ważniejsza i bardziej odpowiedzialna, niż kiedykolwiek będzie mogła pojąć. Szczypnął ją w policzek i zszedł po schodach. Zanim wyszedł z budynku, usłyszała, jak pogwizduje.

Pozwoliła uśmiechowi stopniowo zniknąć z ust, wyłączyła ukryty za lustrem sprzęt rejestrujący obraz i dźwięk i zdjęła z łóżka prześcieradło. Wepchnęła je do czarnego worka na śmieci, jak zawsze po spotkaniu z mężczyzną, dorzuciła tam kiczowaty zegarek i postawiła worek przy drzwiach.

W łazience włożyła sobie palce do gardła i zwymiotowała do sedesu, przepłukała usta i dokładnie umyła zęby. Potem wzięła prysznic i zmyła z siebie tyle Svantego Carlarena, ile była w stanie.

Kiedy poczuła się czysta, wytarła się dokładnie nowym ręcznikiem i nasmarowała różnymi kremami, każdym do innej części ciała. Gdy skończyła, nie czuła już wcale jego zapachu. Przez cały ten czas ani razu nie spojrzała w lustro, będzie musiało minąć kilka dni, zanim znów będzie mogła to zrobić.

Sonya miała teraz osiem godzin nagrań z udziałem Svantego Carlarena, na których brał kokainę, dostawał od niej lanie, wykrzykiwał perwersyjne rzeczy. Na których miał w ustach gumową piłkę, był stolarzem, niewolnikiem i szefem koncernu Ericsson.

*

Kiedy Lars poprosił o spotkanie z Gunillą, odpowiedziała, że to może poczekać. Nagrał się na automatyczną sekretarkę i prosił, by chociaż dała mu znać, co myśli o jego śledztwie, o analizach Sophie, które jej dostarczył. Nie odpowiedziała. Wtedy napisał do niej maila. Był to długi i elegancko sformułowany list, w którym przypominał jej, jak to przy pierwszym spotkaniu powiedziała, że ceni jego analityczny

umysł. I pytał, jak w takim razie zamierza go wykorzystać. Mail także pozostał bez odpowiedzi.

Siedząc samotnie i myśląc o tym, jak został potraktowany, Lars kipiał ze złości. Prosił tylko o rozmowę, ni mniej, ni więcej. Bez końca roztrząsał ten temat, w myślach wdawał się z nią w długie dyskusje, w których tłumaczył, że nie jest byle kim, że nie jest od tego, żeby po całych dniach siedzieć w samochodzie.

Kiedy wszedł do biura, Gunilla siedziała przy biurku i rozmawiała cicho przez telefon. Spotkała jego spojrzenie i dała mu znak, żeby zaczekał. Evy i Erika nie było. Lars wysunął stare krzesło na kółkach z niskim oparciem, które znalazł przy biurku Evy, usiadł i czekał cierpliwie, aż Gunilla zakończy rozmowę.

Po kilku minutach odłożyła słuchawkę i odwróciła się do niego.

- Lars, nie podobają mi się takie maile ani telefony od ciebie.

- Muszę przecież mieć możliwość wyrażenia tego, co czuję? - odparł Lars. Zabrzmiało to nieporadnie.

- Dlaczego? - zapytała Gunilla.

Na to nie miał odpowiedzi. Splótł palce, spuścił wzrok.

- Czego ty chcesz, Lars?

Przyglądał się swoim dłoniom.

- Tego, co napisałem w mailu, tego, o czym mówiłem, nagrywając się na sekretarkę.

Podniósł wzrok.

- Tego, o czym rozmawialiśmy, kiedy mnie zatrudniłaś. Że chcę robić inne rzeczy... Mogę pomagać Evie przy analizach, możliwych scenariuszach i sposobach działania, mogę opracowywać profile sprawców... No, cokolwiek.

Był spięty i zdenerwowany. Ona spokojna i przenikliwa.

- Gdyby coś było, skontaktowałabym się z tobą.

Lars niechętnie przytaknął. Gunilla poprawiła się na krześle. W pokoju zaległa ciężka cisza.

- Mogę cię o coś spytać, Lars?

Lars czekał.

- Dlaczego zostałeś policjantem?

- Bo chciałem.

Odpowiedział o wiele za szybko. Gunilla dała do zrozumienia, że też tak to odebrała, dała mu drugą szansę.

- Bo... To było tak dawno... bo chciałem pomagać.

- Pomagać w czym?

- Słucham?

- W czym chciałeś pomagać?

Podrapał się w kącik ust. Na biurku kawałek dalej zadzwonił telefon. Lars spojrzał w tamtą stronę. Gunilla nie ruszyła się z miejsca, nie spuszczając z niego wzroku, czekała na odpowiedź.

- No, społeczeństwu, pomagać słabym - powiedział i znów tego pożałował.

Gunilla przyjrzała mu się krytycznie. Czuł, że rozpaczliwie miota się w głębokiej wodzie.

- Pomagać słabym? - zapytała cicho, niemal z obrzydzeniem.

Lars spróbował naprawić to, co właśnie zepsuł.

- Chciałem być częścią czegoś większego.

Teraz w jego głosie pobrzmiwał bardziej szczerzy ton.

Ledwo widocznym skinieniem dała mu znak, by kontynuował.

Lars myślał.

- I dlatego, że chciałem mieć pozytywny wpływ na świat. Może to brzmi głupio, ale tak wtedy czułem.

- To nie brzmi głupio, a poza tym jest tak, jak mówisz.

Podniósł wzrok.

- Jesteś częścią czegoś większego... i masz pozytywny wpływ, szkoda, że sam tego nie widzisz.

Lars czekał.

- Jesteśmy grupą. Pracujemy tak, jak się pracuje w grupie, każdy próbuje wnieść coś od siebie. Ja też nie zawsze jestem zadowolona ze swojej pozycji i kilka razy w tygodniu chętnie bym się z tobą zamieniła, gdybym mogła. Ale tak to właśnie wygląda. Każdy ma swoje miejsce, Lars.

Odczekała chwilę.

- Jeżeli nie chcesz z nami pracować, powiedz to wyraźnie. Ja jestem z tobą szczerą i od ciebie oczekuję tego samego.

- Chcę tu pracować - powiedział i przełknął ślinę.

- Jeśli chcesz, mogę ci pomóc awansować.

Nie zrozumiał.

- Jeśli przestaniesz pracować tutaj, nie musi to oznaczać, że wrócisz do Husby czy Västerort, mogę spróbować znaleźć dla ciebie coś innego, lepszego.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie... Chcę zostać tutaj.

Przyjrzała mu się uważnie.

- A więc zostań.

Gunilla nie uśmiechnęła się swoim delikatnym uśmiechem, jak to zwykle robiła, kończąc spotkanie, spojrzała tylko na niego, dając do zrozumienia, że teraz będzie inaczej. Lars uporządkował myśli, wstał i skierował się do wyjścia.

- Lars.

Odwrócił się przy drzwiach. Czytała jaldś dokument.

- Niech to się nie powtórzy.

Powiedziała to cicho.

- Przepraszam - odparł ochryplym głosem.

Nie odrywała wzroku od kartki.

- Przestań prosić o wybaczenie.

Już wychodził.

- Poczekaj - powiedziała.

Otworzyła szufladę, wyjęła kluczyk od samochodu i podała mu na wyciągniętej dłoni.

- Erik powiedział, że powinieneś teraz zmienić auto z powrotem na volvo. Stoś tu na dole.

Lars podszedł do niej, wziął kluczyk, wyszedł z biura.

Jechał przez miasto na oślep, czuł się psychicznie zgwałcony. Próbował myśleć, próbował czuć, próbował się zorientować, dokąd zmierza... Nic z tego.

Musiał z kimś porozmawiać, dokładnie wiedział z kim, z kobietą, która nie słuchała. Zawrócił na ciągłej linii.

Rosie siedziała w szlafroku w rogu kanapy i patrzyła w telewizor. Zawsze siedziała w tym miejscu. Lars miał ze sobą bukiet kwiatów, który zwędził z jednego z pokoi w domu opieki. Pielęgniarki ze Szczęśliwego Grosika zanosili do niego kwiaty pacjentów z demencją, którzy inaczej by je zjadali.

Rosie nie należała do paczki alzheimerowców, ze swoimi siedemdziesięcioma dwoma latami należała do młodszej grupy, tych, którzy się poddali.

- Cześć, mamó.

Rosie spojrzała na Larsa, po czym z powrotem w telewizor.

W pokoju było ciepło, Rosie miała uchylone okno. Spojrzał na nią i dostrzegł pot w zagłębieniach jej obojczyków. Telewizor ryczał. Nie dlatego, że źle słyszała, po prostu nie rozumiała, co mówią. Rosie Vinge miała trwożliwą naturę. Lars również, domyślał się, że zaraziła go tym we wczesnym okresie życia. Jej życie zawsze było pełne niepokoju, jednak po śmierci Lennarta niepokój przeszedł w paniczny strach przed życiem. Siedziała w czterech ścianach, przerażona inwazją czarnuchów na Rågsved, dźwiękami dochodzącymi z lodówki, tym, że jeśli zbyt długo będzie się palić lampy, wybuchnie pożar, i ciemnością, kiedy się je gasiło.

Nie wiedział, co z nią zrobić, przez chwilę rozważał, by po prostu o niej zapomnieć, zostawić w mieszkaniu, żeby

zgniła, jednak sumienie wzięło górę i osiem lat temu oddał ją do domu spokojnej starości. Tutejszy personel faszerował ją środkami uspokajającymi, ona zaś siedziała zamknięta w swojej szklanej kuli i oglądała popołudniowe pasmo w telewizji.

- Jak się czujesz?

Za każdym razem zadawał to samo pytanie. Uśmiechała się w odpowiedzi, jakby sądziła, że on rozumie, co ten uśmiech oznacza, ale nie rozumiał. Przez chwilę obserwował ten smutny widok, po czym wyszedł do kuchni, nastawił wodę i zrobił sobie kawę rozpuszczalną.

- Chcesz kawy, mamó?

Nie odpowiedziała, nigdy nie odpowiadała.

Wszedł z kawą do pokoju, usiadł koło niej na kanapie. W telewizji leciał program, w którym widzowie dzwonili z odpowiedzią, prowadząca była młoda i sztuczna. Siedzieli tak w milczeniu, matka i syn.

- Nie rozumiem mnie w pracy, mamó - odezwał się Lars.

Wypił łyk kawy, parzyła język. Młoda prowadząca próbowała mówić szybko i co chwilę się zacięła.

- Chyba się zakochałem - powiedział nagle Lars.

Rosie spojrzała na niego, po czym znów pochłonął ją telewizyjny konkurs. Nienawidził siedzieć koło matki w ten sposób, nie rozumiał, dlaczego to robi, nie rozumiał, dlaczego w jej obecności nagle staje się dzieckiem. Podrapał się mocno po głowie, wstał i poszedł do jej sypialni.

Była ciemna, pachniało w niej stęchlizną, a łóżko było niepościelone. Lars zaczął przeglądać szuflady; czasem znajdował pieniądze, które wkładał sobie do kieszeni. Podbierał jej pieniądze, odkąd pamiętał, jakby cały czas czuł, że jest mu coś winna. Teraz jednak nie znalazł żadnej gotówki, tylko mnóstwo recept pośród jej odpychającej bielizny. Wziął sobie trzy z nich, jedna wyglądała inaczej, złożył ją i schował do kieszeni. Czyżby wiedział? Wiedział, że tu będa?

Jeszcze raz wyszedł do Rosie i spojrzał na nią, siedzącą na kanapie. Patrzył tak przez chwilę, być może ze smutkiem, ale ponieważ nie potrafił poradzić sobie z uczuciem tego kalibru, zaczął wzbierać nienawiścią, to było o wiele łatwiejsze.

- Zamierzam zerwać z Sarą.

Dostrzegł, że usłyszała, co powiedział.

- Pamiętasz chyba Sarę?

- Sara - powiedziała Rosie tonem, którego nikt nie potrafił zrozumieć.

- Za bardzo przypomina ciebie.

Rosie wpatrywała się w telewizor, prowadząca chichotała sztucznie.

- Życie to kołowrotek, mamó, wszystko tylko kręci się w kółko przez całą pieprzoną wieczność, nauczyłaś mnie, że kobiety to tchórze... Nic się nie zmienia...

Dłoń Rosie leżąca na kolanie zaczęła drżeć, po chwili starszka się rozpląkała. Chlipała żałośnie.

Lars poczuł się lżej.

Opuścił Szczęśliwy Grosik i wszedł do samochodu. W porze obiadowej był duży ruch, na Karlbergsvägen utknął w korku. Włożył rękę do kieszeni i wymacał recepty, były mokre od potu z jego dłoni. W radiu grali hard rocka z lat osiemdziesiątych, wokalista brzmiał jak krety. O szybę uderzyło kilka kropli, mżawka, delikatny ciepły deszczyk, nieprzynoszący orzeźwienia, na które wszyscy czekali. Lars pochylił się do przodu i spojrzał w niebo, grube czarne chmury powoli napływały nad miasto. Wszystko nabrało pomarańczowoturkusowego odcienia. Powietrze było ciężkie i gęste. Larsa zaczęła boleć głowa, podjeżdżając kawałek do przodu, masował czoło u nasady nosa. Wtem błysnęło, jednak nie rozległ się grzmot, burza eksplodowała krótkimi silnymi wyładowaniami ponad jego głową. Przestraszył się, instynktownie skulił, a już po chwili niebo otworzyło się

na dobre i ściana deszczu spadła na ludzi, którzy szukając schronienia, przebiegali koło jego samochodu. Wycieraczki ustawione były na maksymalną prędkość, wewnętrzna strona szyby zaczęła pokrywać się parą, świat na zewnątrz stał się rozmazany.

Włożył klucz w drzwi. Górny zamek był otwarty, Sara była w domu. Lars wszedł do przedpokoju i cicho zamknął za sobą drzwi, wślizgnął się do swojego gabinetu, otworzył szufladę i wetknął tam recepty.

Sara siedziała w dużym pokoju i pisała artykuł o niezamężnych małarkach w trudnej sytuacji materialnej. Coś pod tytułem „Przemoc socjoekonomiczna”. Pisała go już całe wieki. Nie rozumiał, dlaczego się przy tym uparła. Kto chciałby czytać o czymś takim?

Lars popatrzył na Sarę, usiłował sobie przypomnieć, co takiego w niej widział, co go w niej pociągało. Bezskutecznie, może nigdy nic takiego nie było, może zostali parą, bo wszyscy inni byli już zajęci. Może dlatego, że żadne z nich nie chciało mieć dzieci. A może po prostu oboje tak bardzo lubili czuć się winni; tak, chyba teraz rozumiał, to przede wszystkim poczucie winy prowadziło go przez życie, teraz zaś doznawał go, patrząc na nią, kiedy tak siedziała i pisała o czymś, co nikogo nie interesuje. Lars nienawidził wszystkiego, co miało związek z winą, przede wszystkim dlatego, że nie miał pojęcia, skąd się brała.

- Co robisz? - zapytał, oparty o futrynę.
- Zgadnij.

Dlaczego musiała odpowiadać w ten sposób? Popatrzył na nią z odrazą, uderzyło go, jaka jest brzydka. Taka pusta, bez wyrazu, nieatrakcyjna - tak różna od Sophie. To, jak siedziała, z pochyłym grzbietem, skurczona, z nogą założoną na nogę. Ta ohydna filiżanka od herbaty, którą zawsze napełniała, a nigdy nie myła. Jej niechęć do dbania o siebie

na co dzień, ta cholerna taniość, którą skrywała za jakimiś intelektualnymi pierdołami - żywe przeciwieństwo wszystkiego, co chciałby mieć.

- Ja mam się wyprowadzić czy ty? - zapytał.

-Ty.

Jej odpowiedź nadeszła zbyt szybko.

- Nie, ty się wyprowadzisz, to moje mieszkanie, do tego czasu będę mieszkał w swoim gabinecie.

Wziął walizkę i aparat.

Kiedy mijał duży pokój, Sara obejmowała się ramionami i patrzyła przez okno.

- Co się stało? - zapytała o wiele za głośno.

Nie odpowiedział, wyszedł z domu.

*

Jens wszedł do swojego mieszkania przy ulicy Wittstocksgatan i opadł na kałapę. Miał nadzieję, że będzie mógł trochę odsapnąć. Nic z tego jednak nie wyszło.

Gapił się w sufit, słuchając stłumionych, dalekich odgłosów ruchu ulicznego na Valhallavägen. Z nerwów wszystko go bolało, wstał, otworzył okno, z kuchennej szafki wyjął huk i kołczan ze strzałami.

Mieszkanie miało sto trzydzieści pięć metrów kwadratowych, a Jens kazał wyburzyć większość ścianek działowych

- chciał mieć więcej przestrzeni i móc strzelać z łulcu.

Na końcu dawnego dużego pokoju stała tarcza, duże okrągłe ustrojstwo z trzciny. Ze swojego miejsca w bylej jadalni Jens strzelał seriami po pięć strzał. Ze sprzętu stereo płynęły dźwięki salsy z lat siedemdziesiątych - dwóch twardej samotności i biuściastych panienkach. Między seriami pił piwo, kiedy miał go dość, zamienił je na whisky, postrzelał, znudziła mu się salsa, potem muzyka w ogóle, potem

whisky, więc zamienił ją na koniak. Znowu wypuścił kilka strzał, ale szybko również i to mu się znudziło, więc przerzucił się na pompki i robił je, dopóki nie rozboleły go ręce.

Znał to uczucie, to niezaspokojenie, które nie mijalo, niezależnie od tego, jak dużo muzyki, alkoholu (czy co tam jeszcze miał pod ręką) akurat wchłonał. Niezaspokojenie, które budziło potrzebę silniejszego odczuwania. Rozpieszczony, powiedziałyby mama, nałogowiec, powiedziałyby tata, być może oboje trafiliby w dziesiątkę.

Skontaktował się z Rosjanami i poinformował ich, że dostawa się opóźni, oni zaś stwierdzili, że to jego problem i że chcą otrzymać towar w ustalonym terminie. Miał tydzień, potem oni dostaną rabat, a Jens takie manto, że wylądować w szpitalu.

Leżał na dywanie na plecach i w głowie kołatała mu się jedna myśl: jak znaleźć Arona i Leszka, którzy - taką miał nadzieję - będą w stanie mu powiedzieć, gdzie jest Michał.

Wstał, nastawił kawę i zabrał się do dzieła. Odszukanie Arona okazało się nie takie proste. Jens próbował na wszystkie sposoby. Najpierw sprawdził wszystkich Aronów w Sztokholmie, potem w całym kraju przez biuro numerów i różne wyszukiwarki internetowe. Rano obdzwonił policję, urząd skarbowy, wojewódzki i wszystkie instytucje, które przysły mu do głowy. Znał jednak tylko imię. Imię i wygląd. Aron, mężczyzna koło czterdziestki, kanciaste rysy, ciemne włosy... Ma w sobie coś z dżentelmena. Jens niewiele mógł z tym zdziałać.

Na odchodnym Aron wspomniał o Sztokholmie, nic jednak nie wskazywało na to, że jest w mieście, mógł mieszkać całkiem gdzie indziej, może nawet poza Szwecją. Pętla na szyi Jensa zdawała się zaciskać. Pomyślał o Leszku, czy on coś mówił? Nie... a Thierry? Coś o kamiennej figurce? Co on takiego powiedział? Coś w stylu: mogę ci sprzedać podobne rzeczy.

Jens *zaczął* szukać kamiennych figurek w internecie. Na nic. Zadzwoił do Muzeum Etnograficznego, próbował opowiedzieć o statuetce, która wyglądała po prostu jak kawałek kamienia. Kobieta po drugiej stronie starała się pomóc, ale wszystko to było bezowocne. Wypisał adresy wszystkich sklepów z antykami i sztuką oraz etnobotyków w całym mieście. Uzbierało się kilka stron.

Wyszedł z mieszkania, zamiast snusa kupił papierosy i ruszył w miasto na poszukiwanie Arona, Leszka, Thierry'ego i kamiennych statuetek. Kluczył między dzielnicami, spacerował, jeździł autobusem, metrem, odwiedzał sklepy, gdzie zadawał to samo niekonkretne pytanie i nieodmiennie słyszał to samo niekonkretne zaprzeczenie, węszył bez rezultatu. Niczego innego się nie spodziewał; próbował sobie wmówić, że to takie wakacje, chwila oddechu po tym wszystkim, co się ostatnio działo, ale nie odniosło to skutku. Dni upływały, a on coraz bardziej się denerwował.

*

- Sophie, dobrze się bawisz na willowym przedmieściu? - zapytał przez telefon.

Jadąc samochodem do Biskopsudden, całą drogę walczyła ze zdenerwowaniem. Stres ścisnął ją za gardło. Nie chciała... Takie z grubsza towarzyszyło jej uczucie. Nie chcę... Nie była to jednak do końca prawda. Jedna jej część tego chciała, druga zaś czuła się zobligowana. Nie zmuszona, chodziło bardziej o to, że spotkanie miało być obowiązkowe, i to ona miała je poprowadzić.

Tak więc spotkała się z nim. Stał na pomoście. I mimo wszystkiego, co teraz o nim wiedziała, na jego widok się uspokoiła. I tak jak zawsze Hector na swój specyficzny sposób zadbał, by czuła się swobodnie i naturalnie. Jakby

dokładnie wiedział, czego ona potrzebuje. Dlatego poczuła się bezpiecznie.

Łódź była szeroka i otwarta, z niebieskim daszkiem przeciwsłonecznym. Na burcie widniał napis „Bertram 25”.

Odbili od brzegu, zawarczał silnik i ruszyli przez kanał. Hector stał za sterem. Sophie spojrzała w stronę lądu, na miejsce, z którego odpłynęli; na parkingu stało volvo, w środku siedział mężczyzna.

Kiedy wypłynęli z kanału, Hector przyspieszył i łódź ruszyła z maksymalną prędkością przez spokojną wodę. Nad ich głowami świeciło słońce.

Po piętnastu minutach zwolnił, wpłynął do odludnej zatoczki, sprawdził głębokość na echosondzie, opuścił kotwicę i wyłączył silnik. Fale biły o kadłub, kawałek za rufą przepłynęła żaglówka, siedzący w kokpicie ludzie pomachali do nich, Sophie odmachala. Hector przyjrzał się krytycznie pasażerom żaglówki i odwrócił się do Sophie.

- Po co robić coś takiego?

W jego oczach dostrzegła irytację, jakby uważał, że machający robią z siebie głupków, uśmiechnęła się, widząc jego dezaprobatę.

- Powiedziałeś, że chcesz mi coś pokazać. O to chodziło?

- zapytała, wskazując otaczające ich szkiery.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, następnie potrząsnął głową, wstał i otworzył jedno z siedzeń. Wyjął torbę i wyciągnął z niej dwa stare skórzane albumy ze zdjęciami, jeden ciemnozielony, drugi zaś ciemnobrązowy ze złożonymi brzegami. Usiadł koło niej.

- Mówiłaś, że chcesz wiedzieć o mnie więcej.

Otworzył ciemnozielony album na pierwszej stronie, zdjęcie pochodziło z lat sześćdziesiątych i przedstawiało odświętnie ubraną parę stojącą na Schodach Hiszpańskich w Rzymie.

- To mój tata, Adalberto, którego poznałaś. Obok niego stoi moja mama Pia.

Sophie spojrzała na fotografię. Pia wyglądała na szczęśliwą, świadczył o tym nie tylko wyraz twarzy, lecz także cała postawa. Rozluźniona, a jednocześnie wyprostowana, naturalnie piękna. Adalberto z gęstą, ciemną czupryną wydawał się dumny, dumny i zadowolony. Sophie wróciła spojrzeniem do Pii. Słodka blondynka o skórze opalanej śródziemnomorskim słońcem. Uosobienie ówczesnego szwedzkiego ideału.

Hector przewrócił stronę i pokazał zdjęcia z dzieciństwa, swoje i rodzeństwa. Opowiedział o pierwszych latach, o dorastaniu w Hiszpanii, o samotności po śmierci matki, o relacji z ojcem, o przyjaciółach, wrogach, uczuciach, ich wywieraniu, związkach. Słuchała uważnie.

Pokazał palcem fotografię, na której on jako nastolatek i jego rodzeństwo stali rzędem, z uśmiechniętymi twarzami, a na głowach mieli indiańskie pióropusze.

- Mój brat i siostra mają z życia to, co najlepsze. Dzieci, małżonków, odnaleźli spokój. Ja nie.

Zaciął się na tej myśli, jakby słowa, które właśnie wypowiedział, stały się rzeczywistością, której wcześniej nie udało mu się dotknąć. Sophie przyjrzała mu się, właśnie tę jego stronę lubiła, zamyśloną, ukrytą, zdradzającą głębię, do której istnienia nie chciał się przed sobą przyznać, do której, jak mu się wydawało, nie miał dostępu.

Hector znów przewrócił stronę, zdjęcie ukazywało jego pięcioletnią siostrę Inez z lalką w objęciach. Hector się uśmiechnął. Kolejna strona. Rozjaśnił się, widząc siebie jako dziecko, stał koło drzewa, ręce miał opuszczone wzdłuż tułowia, brakowało mu górnego siekacza. Wskazał zdjęcie.

- A to w ogrodzie koło domu, pamiętam ten moment. Ząb wypadł mi, kiedy zleciałem z roweru, kolegom powiedziałem, że się biłem.

Zaśmiał się i położył album na kolanach Sophie, usiadł wygodniej, z kieszeni na piersi wyciągnął cygaretkę, zapalił, zaciągnął się i zatrzymał na chwilę dym w płucach, potem go wypuścił.

- Kiedyś było lepiej, prawda?

Sophie dalej przeglądała album, zobaczyła wiele zdjęć Hectora z dzieciństwa, na jednym siedział z wędką, a zachodzące słońce świeciło mu prosto w oczy. Zatrzymała się na chwilę przy tej fotografii, Hector miał jakieś dziesięć lat, jego twarz już wtedy wyrażała zdecydowanie. Spojrzała na zdjęcie i na Hectora, który półleżąc, palił cygaretkę, dostrzegła podobieństwo.

Otworzyła drugi album, kolejne fotografie Pii. Na jednej z nich myła głowy trójce swoich dzieci, które siedziały w ustawionej na trawniku balii. Wydawało się, że była szczęśliwą matką. Sophie przerzuciła stronę. Trochę młodszy Adalberto Guzman palił cygaro na starej kamiennym werandzie, w tle widniały cyprysy i gaje oliwne. Zdjęcia zrobione podczas zabaw i przyjęć dla dzieci. Kilka przedstawiało Adalberta i Pię w różnych miejscach w towarzystwie ówczesnych sław. Sophie rozpoznała Jacques'a Brela i chyba Monicę Vitti. Jakiegoś artystę, którego nazwiska nie pamiętała. Rodzinna wycieczka do Teheranu. Kolacja z przyjaciółmi, wesołe miny. Adalberto, Pia, dzieci. Następne strony pełne były rodzinnych zdjęć zrobionych przy rozmaitych okazjach, fotografii nieznanymi jej przyjaciół i krewnych, radosne obrazki - Madryt, Rzym, Riwiiera Francuska, Szwecja i szkiery. Album kończył się w 1981 roku, pozostałe strony były puste.

- Dlaczego nie ma nic więcej?

Hector zajrzał do albumu.

- W tym roku zmarła moja mama. Przestaliśmy wtedy robić zdjęcia.

- Dlaczego?

Zastanowił się chwilę.

- Nie wiem, może dlatego, że już nie byliśmy rodziną.

Czekała na dalszy ciąg. Zauważył to.

- Została nas czwórka i każdy próbował radzić sobie na własną rękę... Mój brat schował się pod wodą ze sprzętem do nurkowania, Inez wpadła w Madrycie w wir imprezowego życia, trwało to kilka lat. Ojciec pracował, ja do niego dołączyłem. Może dlatego, że to ja najgorzej zniosłem śmierć mamy, a więc kurczowo trzymałem się taty.

Palił, patrząc w drugą stronę. Wytrwale szukała jego spojrzenia, wyczuł to i odwrócił się do niej.

-Co?

Potrząsnęła głową.

-Nic.

Sophie wróciła do wcześniejszej części albumu, znów popatrzyła na zdjęcia.

- Które z nich najbardziej lubisz?

Pochylił się do przodu, wziął drugi album i wyszukał zdjęcie, na którym jako ośmiolatek stał wyprostowany i bystrymi oczyma patrzył w obiektyw. W zdjęciu nie było niczego szczególnego. Wskazał je cygaretką, trzymaną w kąciку ust.

- Dlaczego? - spytała.

Nim odpowiedział, popatrzył na zdjęcie.

- Mężczyzna ze wszystkiego na świecie najbardziej lubi chłopca, którym kiedyś był.

- Naprawdę? - zapytała, rozbawiona jego nagłą zarzucałością.

Pokiwał głową z przekonaniem.

- Dlaczego wybrałaś się ze mną na łódkę?

Pytanie nadeszło niespodziewanie, roześmiała się, nie dlatego, że było jej do śmiechu, nie wiedziała po prostu, co innego zrobić.

- Ponieważ mnie zaprosiłeś - powiedziała tylko.

Przyjrzał jej się uważnie. Poczula, że nadal ma na twarzy lekki uśmiech, pozbyła się go z wdziękiem.

- Mogłaś odmówić.

Wzruszyła ramionami, jakby mówiła „no jasne, że tak”.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś? - zapytał.

- Nie wiem.

Wpatrzyła się w jego oczy i dostrzegła tam coś, co ją przyciągało, na co usiłowała nie patrzeć, czego próbowała uniknąć. Nie dało się jednak, miała to tuż przed sobą i było tak od czasu, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Hector był w ten szczególny sposób szczery, tak jakby w jego osobowości nie było ani śladu kłamstwa czy udawania, jakby był do tego niezdolny. Kochała to u niego. Szczerość, otwartość i prawdomówność, cechy, które tak wysoko ceniła. Był jednak również śmiertelnie niebezpieczny. Otwarty, szczery, prawdomówny i śmiertelnie niebezpieczny. Nie chciała, żeby tak było.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał.

Słowo, którego użył, wydawało się dziwne.

- Tak, mam taką nadzieję.

- Jesteśmy dorośli - powiedział tonem stwierdzenia.

Skinęła głową.

- Tak, zgadza się.

- Jesteśmy dorosłymi przyjaciółmi?

-Tak.

- Ale nie możesz się zdecydować - powiedział.

Nie odpowiedziała.

- Jednego dnia jesteś blisko. Potem nagle się odsuwasz, jesteś zimna i trzymasz mnie na dystans. Tak, jakbyś nie mogła się zdecydować. Szukasz przygody? A może rozrywki? Nudzi ci się w życiu, Sophie?

Miał zamiar mówić dalej, zadać kolejne pytania. Ona jednak nie chciała kłamać, a już na pewno mówić prawdy. Pochyliła się więc do przodu i pocałowała go w usta, licząc

na to, że przestanie. Hector miękko odpowiedział na pocałunek, ale zamiast mu się oddać, odchylił się do tyłu i przyglądał się jej jeszcze intensywniej niż przedtem. Tym razem tak, jakby przejrzał jej sztuczkę - próbę złapania go na pocałunek - a jednocześnie próbował zrozumieć coś bardzo skomplikowanego.

Jakaś motorówka przepłynęła obok nich z dużą prędkością, Sophie powiodła za nią spojrzeniem.

- Wracamy? - zapytała cicho.

Nie spuszczał z niej wzroku, jakby dalej szukając tego, czego nie udało mu się zrozumieć. Następnie podrapał się w brodę, wydał z siebie krótki pomruk, po czym wstał, wyrzucił wypaloną do połowy cygaretkę za reling i nacisnął jakiś przycisk na tablicy rozdzielczej. Kotwica poszła w górę. Położył palec na przycisku startu, zawahał się, cofnął palec i odwrócił się w jej stronę.

- Mam syna - oznajmił.

Nie rozumiała.

- Mam syna. Nie wolno mi się z nim spotykać. Chcę, ale jego matka mi na to nie pozwala. Nie widziałem go od dziesięciu lat.

Sophie tylko mu się przyglądała.

- Jak się nazywa? - tylko tyle była w stanie wykrztusić.

- Lothar Manuel Tiedemann, nazwisko ma po matce, ma szesnaście lat i mieszka w Berlinie.

Kilka małych fal rozhuštało lekko ich motorówkę.

- Teraz wiesz o mnie wszystko - powiedział cicho.

Patrzyli na siebie. Sophie próbowała uporządkować sobie wszystko w głowie. Hector przymierzał się, by powiedzieć coś jeszcze, ale tego nie zrobił. Włączył tylko silnik i wypłynął z zatoki.

Gunilla przechadzała się szlakiem spacerowym przy ulicy Karlavägen, w miejscu poszerzonym dla pieszych i osób z psami. Przygrzewało słońce, wiał ciepły wiaterek. Przeszła przez Karlavägen koło ulicy Artillerigatan. Przy stolikach ustawionych na chodniku przed piekarnią Tösse siedzieli ludzie. Zatrzymała się i ukradkiem słuchała pozbawionych złudzeń gospodyń domowych, które na swój zawiły, nieświadomy sposób mówiły, że nie czują się kochane. Na mężczyzn, których wypowiedzi przeplatane były angielskimi zwrotami. Na młodzież, śmiejącą się z sytuacji, których nie rozumiała. Czasem tak robiła, przystawała gdzieś w samym środku i po prostu słuchała.

Po kilku minutach od strony stacji Karlaplan nadeszła Sophie. Gunilla poczekała, aż się zrównają, i poszła z nią w dół ulicy Sturegatan.

Po chwili zaczęła zadawać pytania. Jak zwykle dotyczyły one osób z otoczenia Hectora, ich nazwisk i ról - czym mogą się zajmować, czym nie. Sophie odpowiadała najlepiej, jak mogła. Kiedy jednak pytania zeszły na Hectora, na to, kim jest, podawała Gunilli bardzo skąpe informacje, jakby go nie знаła, jakby nie chciała złamać cichego przymierza, które ostatnio z nim zawarła.

Chodnikiem przechodziła grupka dzieci, Sophie ustąpiła im miejsca.

- W mojej pracy miałam wielokrotnie do czynienia z ludźmi pokroju Hectora Guzmana. Łagodni, czarujący, by później nagle zmienić się w dokładne przeciwieństwo. I niszczyć życie innym ludziom... - powiedziała Gunilla.

Sophie nic nie mówiła, szła tylko z Gunillą ramię w ramię.

- Nie daj się nabrać, Sophie.

9

Czuł się jak gówno. Nie opuszczało go uczucie, że popełnił błąd. Gunilla już się nie odezwała, po ostatnim spotkaniu traktowała go jak powietrze. Czuł, że się zdrowo wyglupił, planował, że wszystko odwoła, poprosi o wybaczenie, spróbuje naprawić szkodę. Im więcej o tym jednak myślał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że takie posunięcie tylko pogorszy sytuację. Nocami przewracał się z boku na bok: pot, niepoukładane myśli i wpadające przez okno światło z ulicy nie dawały mu zasnąć. Uczucia oscyływały między gniewem a wstydem, wściekłością a niepokojem, którego źródła nie znał.

Przed południem poszedł do przychodni. Powiedział, że pracuje wieczorami, zbyt mało śpi, boli go kręgosłup i głowa. Lekarz, mężczyzna o ciepłych i suchych dłoniach, okazał się pomocny, stwierdził, że Lars jest przepracowany, cierpi na coś, co nazwał syndromem chronicznego zmęczenia. Doktor zaświecił mu w oczy latarką, sprawdził migdałki i wetknął palec w tyłek. Następnie przepisał citodon na plecy i głowę i sobrił na to, czego Lars nie potrafił ubrać w słowa.

Lars powiedział, że chciałby zobaczyć swoją kartę.

- Po co? - zapytał lekarz.

- Po prostu chcę.

Najwyraźniej to wystarczyło. Lekarz odwrócił monitor. Lars przebiegł kartę wzrokiem, nie było tam nic o jego wcześniejszych losach.

- Już wystarczy?

Lars nie odpowiedział.

- Zapiszę pana na kolejną wizytę za sześć tygodni - wymamrotał lekarz.

Lars zrealizował recepty w aptece i wsiadł do samochodu.

W dzieciństwie miał ciągle problemy z zasypianiem. Rosie dzieliła się z nim swoimi tabletkami. Miał wtedy jedenaście lat, szybko rozwinęła mu się tolerancja na lek. Rosie, która garściami łykała różne tabletki i była przyjaciółką lekarza, z którym sypiała, kiedy jej męża Lennarta nie było w domu, załatwiła trochę białych niepozornych tabletek, które zbijały Larsa z nóg co wieczór o wpół do ósmej. Od połowy podstawówki i przez całą szkołę średnią nie pamiętał żadnych snów, a w ciągu dnia czuł olbrzymią pustkę.

Szkolna pielęgniarka odkryła, że zażywa leki. Wszczęła śledztwo. Próbując powściągnąć oburzenie, wytłumaczyła Larsowi, że tabletki, które bierze, są potwornie silne i potwornie uzależniające. Powiedziała, że skoro Lars przyjął tyle silnych i uzależniających tabletek w okresie dojrzewania, w przyszłości musi bardzo uważać z lekami i innymi substancjami psychoaktywnymi, że jego organizm wpadł w uzależnienie, które można stłumić tylko przez całkowitą abstynencję. Lars kiwał głową, nie rozumiejąc ni w ząb, o co jej chodzi. *Zawsze* kiwał głową, kiedy ludzie coś do niego mówili.

Przestał łykać białe tabletki w wieku siedemnastu lat i wtedy zaczęły się kłopoty z zasypianiem, gwałtowne zmiany nastroju, silny niepokój i nieludzko straszne koszmary, kiedy już udawało mu się zasnąć na parę godzin. Uzależnienie dawało o sobie znać w dzień i w nocy. Przewracał się na wszystkie strony w mokrej pościeli, pełen strachu i niepokoju; przeżywał katusze.

Po kilku latach abstynencji osiągnął stan permanentnej pustki. Głód ustąpił, drgawki i zmiany nastroju osłabły. Niepokój jednak pozostał, tak samo jak problemy z zasypianiem. Stało się to nawykiem, częścią jego codzienności.

Zaparkował pod kregielnią, podawali tu piwo i wino.

Wybrał stolik z widokiem na tory. Grupa emerytów rzucała kulą. Lars opuścił wzrok na swoją dłoń, sześć tabletek, po trzy z każdej paczki.

Wrzucił tabletki do ust, połknął, popijając czerwonym winem z Bułgarii. Po kilku minutach ucisk w piersiach ustąpił i Lars się uspokoił. Usiadł wygodniej i patrzył na grających, ciesząc się, kiedy nie trafiali, i żałując, kiedy im wychodziło.

- Cześć.

Obok niego stała Sara. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Skąd wiedziałaś, że tu będę?

- Jechałam za tobą.

- Od kiedy?

- Od przychodni.

Lars odwrócił się w kierunku grających, wypił łyk wina. Sara usiadła i spróbowała złowić jego spojrzenie.

- Jak się czujesz Lars?

- W porządku, a co?

Sara cicho westchnęła.

- Kochanie, może w końcu porozmawiamy?

Lars udawał, że nie rozumie, o co jej chodzi, zaśmiał się.

- Wydaje mi się, że właśnie to robimy... Przecież teraz rozmawiamy, prawda? Nasze usta się poruszają.

Uśmiechnął się dziwnie. Sara opuściła wzrok i przyjrzała się swoim dłoniom.

- Nie chcę, by to tak wyglądało - szepnęła.

Lars spojrział na toczącą się po torze kulę i przewracającą się kręgle.

- Już cię nie poznaję, cały czas jesteś wściekły, nie mówisz, o co chodzi... Zrobiłam coś nie tak?

Lars prychnął.

- Chciałabym ci pomóc, jeśli tylko mogę.

Przyjrzała się mu, żeby się przekonać, czy jej słowa do niego dotarły.

- Już kiedyś to przerabialiśmy - wyszeptwała.

Lars nie zareagował.

- Kiedy się poznaliśmy zanim postanowiliśmy zamieszkać razem, a ty zacząłeś pracować w Västerort. Wtedy zachowywałeś się tak samo jak teraz... Trwało to kilka tygodni... Kiedy z tego wyszedłeś, opowiedziałeś o lekarstwie, które brałeś jako dziecko...

- Ale pieprzysz...

Sara nie pozwoliła, by jego niechęć zabiła ją z tropu.

- Wcale nie - odparła.

Szczupły emeryt w cienkim dresie zbił wszystkie kręgle, wracając do swoich kolegów próbował ukryć uśmiezek zadowolenia.

- Dobrze nam było razem - powiedziała. - W naszym związku nie było kłótni ani nieporozumień. Daliśmy sobie przestrzeń, a mimo to byliśmy razem... Mieliśmy wspólne zainteresowania, takie same wartości. Znaleźliśmy coś...

Lars się napił, nie reagował.

- Jak myślisz, co się stało? - zapytała.

- Nic się nie stało, poza tym, że masz paranoję... I jesteś brzydka.

Sara próbowała nie dać po sobie poznać, że ją to zabolowało.

- W takim razie chcę separacji.

Krzywy uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

- Chyba mamy to już za sobą.

Smutek Sary zamienił się we wściekłość, wlepiła w niego wzrok, potem gwałtownie się podniosła i odeszła. Lars patrzył za nią, sącząc wino. Kątem oka dostrzegł, jak jakaś stara kobieta trafia kulą do rynny. Wracając do przyjaciół, staruszka próbowała się uśmiechać, jakby nie chodziło o to, żeby wygrać, tylko dobrze się wspólnie bawić. Tak, otóż to.

Po zamknięciu kręgielni znalazł irlandzki pub, który był tak samo rdzennie irlandzki jak McDonald fiński. Duży

telewizor, elektroniczne tarcze do darta, minikosz z głupawymi minipiłkami. I wisienka na torcie: irlandzki barman, mówiący słabo po angielsku i zwracający się do Larsa per *mate*. Ale co mnie to obchodzi? - pomyślał. Był tam po to, żeby się nawalić, co mu się zresztą udało. Pił na umór do czasu zamknięcia lokalu, a następnego ranka obudził się ze zmarzniętym koniuszkiem nosa w samochodzie z zaparowanymi szybami. Świat na zewnątrz był już obudzony i na chodzie.

Lars usiadł, przetarł zmęczone oczy, zmierzwił przyplaszczony włosy i przepłukał suche usta zwietrzałym piwem.

Skacowany podjechał pod szpital w Danderyd. Cały dzień przesiedział w samochodzie, obgryzając paznokcie, łykając tabletki, w ramach lunchu popijając piwo i czekając.

Kiedy po południu zobaczył, jak Sophie wychodzi ze szpitala, ucieszył się, wróciło poczucie bezpieczeństwa.

Wracała do domu na rowerze. Jechał kawałek za nią, później ją wyprzedził i zrobił to, co zawsze - podjechał pod jej willę, wybrał miejsce na nocleg, założył na uszy słuchawki i słuchał, jak mija jej dzień.

To właśnie stawało się jego życiem, nic innego nie miało znaczenia. Przysłuchiwał się jej poczynaniom, krokom, kiedy przechodziła koło mikrofonu, odgłosom spożywanej samotnie kolacji, jej rozmowie z Albertem.

O jedenastej przełączył na mikrofon w sypialni, usłyszał, jak Sophie zdejmuje puchową kołdrę i kładzie się do łóżka. Uświadomił sobie, że sypia bez przykrycia, bo nigdy nie słyszał, żeby naciągała na siebie pierzynę. Wyobraził sobie Sophie leżącą na białym prześcieradle, jej włosy na poduszce, jej miękki oddech - może śni właśnie o nim. Odezwała się w nim tęsknota, nie rozumiał jej, nie potrafił okiełznać. Lars napił się, przelknął tabletki. Wszystko stało się naturalne, również tęsknota.

Po trzech godzinach ciszy, kiedy Sophie i Albert spali w łóżkach głębokim snem, Lars wysiadł z samochodu i powoli zakradł się do ogrodu. Letnia noc była spokojna i ciepła. I<ledy zatrzymał się przy werandzie na tyłach domu, czuł spokój i harmonię. Obejrzał się i cicho pokonał schody, pomajstrował wytrychem i ostrożnie otworzył drzwi. Zawia-
sy lekko zaskrzypiały. Bezgłośnie przeszedł do dużego pokoju, nasłuchiwał w napięciu.

Sophie spała na górze, świadomość, że jest blisko niej, była odurzająca. Lars przekradł się do kuchni. Zachowując ostrożność, otworzył lodówkę, przyjrzał się jej zawartości i puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, że jest panem tego domu, który wstał z łóżka i zszedł na dół, żeby coś przegryźć.

Wyjął chleb, masło i ser, usiadł przy stole i zjadł kanapkę. Uśmiechnął się do syna, gdy ten wszedł do kuchni, potem wstał i pocałował Sophie, która chwilę później zeszła na dół, i pokazał jej, że przygotował śniadanie, a ona uśmiechnęła się i dała mu buziaka. Powiedział coś zabawnego, a Sophie i syn się roześmiali.

Lars opuścił dom, zatrzymał się przy furtce, pomachał fantazyjnie rodzinie, której nie miał, i pod osłoną nocy wrócił do samochodu.

Kiedy wrócił do swojego domu, wrzucił w siebie kolejne tabletki i na ohydny materacu zasnął jak dziecko.

*

Kolana Michaiła wbijały się w oparcie lotniczego fotela, który miał przed sobą. Jego zdaniem siedzenie było za wąskie. Obok siedział Klaus. Czterdziestokilkuletni żyłasty kulturalista z Niemiec. Klaus miał rzadkie włosy i cały składał się z mięśni, nawet jego twarz, ozdobiona bujnymi włosami gwiazdora porno, była muskularna. Był twardzielem, który

o wielu sprawach wiedział niewiele, nie miał żadnej szczególnej umiejętności - człowiekiem do wszystkiego, który rzadko odmawiał, gdy zlecano mu jakąś robotę. Michail i Klaus pracowali już kiedyś razem, kiedy Ralph posyłał ich z wizytami domowymi. Klaus był wtedy dobry, nie miał aż tak rozbudowanego sumienia.

Wylecieli z Monachium i mieli wylądować w Sztokholmie na lotnisku Arlanda. Stewardesa podawała kawę, gdzieś z tyłu płakało dziecko, starsi panowie w garniturach rozwiązywali sudoku, a kobiety w średnim wieku przygotowywały na laptopach prezentacje. Klaus w uszach miał słuchawki, z których sączyły się piosenki Bee Geesów. Kiwał głową i prawą dłońią wybijał na nodze rytm.

Michail przebiegł myślami możliwe scenariusze. Nie miał żadnego sprecyzowanego planu, rozważał za to w głowie rozmaite wersje, zestawiał je ze sobą. Koniec końców zawsze dochodził do tego samego wniosku - uderzyć, mocno i precyzyjnie. Dwa dni wcześniej Roland był w Sztokholmie, powrócił z szyderczym uśmiechem na ustach. - Mamy jednego człowieka - powiedział. - Załatwi wam spotkanie z Hectorem.

W kabinie rozległ się dźwięk i włączyła sygnalizacja „zapiąć pasy”. Kobięcy głos zaczął nawijać przez głośniki w jakimś północnym języku, którego Michail nie rozumiał. Samolot zniżał lot. Porządnie trzęsło, Klaus trzymał się oparcia i przy każdym wstrząsie odruchowo podnosił nogi.

- Nienawidzę tego - powiedział. - Naprawdę nienawidzę.

Przy podchodzeniu do lądowania wiał boczny wiatr. Klaus był błądy. Samolotem zarzuciło w lewo, a zaraz potem w prawo. Klaus uczeplił się ramienia Michaila.

- *Scheisse...*

Maszyna dotknęła ziemi, silniki przeszły na ciąg wsteczny. Klaus wypuścił powietrze.

W Sztokholmie wynajęli samochód i zameldowali się w hotelu przy Hótorget, po czym poszli do miasta. Zapadał wieczór, zdecydowali się coś przekąsić w restauracji z ogródkiem, było ciepło, cieplej niż w Monachium.

- Z tego co wiem, ma trzech ludzi, z tym musimy się liczyć. Dwaj z nich to zawodowcy: ochroniarz Hectora i tamten Polak, o trzecim nic nie wiem.

Klaus słuchał, jedząc befszytk tatarski. Szybko przeżuwał kęsy i dziwnie trzymał sztućce przy krojeniu.

- Ma tu w mieście biuro, ale rzadko w nim przebywa. Kiedy ostatni raz go tutaj śledziłem, większość czasu spędzał w restauracji, to tam uderzymy. Mamy kontakt, on wszystko załatwi.

- Jak dla mnie brzmi nieźle - odparł Klaus beznamiętnym tonem, skinął na kelnera i wskazał swoją pustą szklankę po napoju gazowanym.

Opuścili restaurację, wsiedli do wynajętego samochodu i wpisali do GPS-u ulicę Sandsborgsvägen na Enskede.

- Zawróć teraz - odezwał się po niemiecku głos z nawigacji; Klaus zrobił, jak mu kazał.

Przedzierali się przez zakorkowane ulice Sztokholmu, wyjechali na trasę Söderleden i trzymając się lewego pasa, przejechali przez most Johanneshovsbron.

- Jak wielka piłka golfowa - powiedział Klaus, kiedy mijali arenę Globen.

Samochód zatrzymał się koło niepozornej willi. Zadzwo-nili do drzwi, otworzył je mężczyzna w średnim wieku z łysiną i wystającym brzuchem, ubrany w archaiczną koszulę ze zbyt krótkim krawatem. Jakby właśnie wrócił z pracy - archaicznej pracy.

- *Wilkommen... meine herren.*

Sam zaśmiał się z tego, że mówi po niemiecku.

Zeszli za nim do piwnicy, mężczyzna otworzył żelazne drzwiczki i pokazał, że mogą wchodzić. Michaił wszedł do

pomieszczenia. Na jednej ścianie zobaczył mnóstwo rewolwerów i pistoletów automatycznych, na drugiej zaś strzelby i broń szybkostrzelną.

Mężczyzna uśmiechnął się podekscytowany i niczym sprzedawca telewizorów zaczął opowiadać o swoich maleństwach. Szajbus - pomyślał Michaił. Przerwał mu handlową gadkę, wskazując na ścianę.

- Daj mi siga i dwie pałki sprężynowe.

Szajbus zdjął broń, wręczył Michaiłowi małe pudełko z amunicją, zaczął głądzić, że jest szwajcarska, wyjaśniać, ile waży i do czego nadaje się najlepiej. Z regału wyciągnął szufladę i wyjął z niej dwie pałki. Michaił dał pistolet Klausowi i zwitek banknotów euro mężczyźnie.

Wyszli z piwnicy i z domu bez pożegnania, wsiedli do samochodu, Klaus wyjął kartkę z adresem, który wklepał do GPS-u. Michaił wpisał do telefonu numer, który dał mu Roland Gentz, i wcisnął zielony klawisz. Odebrał jakiś mężczyzna.

- Carlos? Miałem do ciebie przedzwonić, zrób to, co miałeś zrobić, będziemy tam... - Michaił nachylił się do GPS-u... - za dwadzieścia minut.

Michaił zakończył rozmowę.

- Zawróć teraz - cyfrowa kobieta odezwała się znowu.

- Morda - powiedział Klaus.

W sklepach z antykami na Roslagsgatan, w pułapkach na turystów na Gamla stan i Drottninggatan oraz wszystkich małych butikach sprzedających cokolwiek, co można by uznać za sztukę etniczną, antyki. czy choćby newage'owe bibeloty. Jens szukał Thierry'ego wszędzie. Właściwie tylko na tym mógł się oprzeć - na zainteresowaniu chłopaka kamienną statuetką z Ameryki Południowej... Szanse

spotkania w mieście kogoś takiego jak Aron czy Leszek były minimalne, mimo że laził już któryś dzień z kolei.

Mniej znana z butików była ulica Västmannagatan. Jens dawno temu kupił tam szklany globus. Tamtejsze sklepy oferowały wówczas raczej różne szpargały i meble oraz przedmioty z lat pięćdziesiątych. Jens zaczął od placu Norra Bantorget i zaliczał wszystko po kolei, idąc w kierunku Odenplanu. Do zmęczenia dołączyła konkretna dawka frustracji. Nie miał jednak innego wyboru, jak tylko próbować dalej. Od jednego sklepu do drugiego, z tym samym pytaniem: czy mają jakieś skarby z Ameryki Południowej, coś w tym stylu. I czy przypadkiem nie znają człowieka o imieniu Thierry. Za każdy razem ten sam pytający wyraz twarzy.

Po pięciu kwadransach minął sklep, w którym dwadzieścia lat wcześniej kupił globus. Wyglądał tak samo, tylko ceny na wystawie były inne. Dwie bramy dalej mieścił się mały butik, którego by nie zauważył, gdyby nie szukał. Witryna była niewielka i ciemna, wyeksponowano tylko kilka przedmiotów. Pledy w wyraźne wzory, maski, tarcze i oszczepy. Jens wszedł do środka. Zadzźwięczał umieszczony przy drzwiach dzwonek.

Pomieszczenie było zagracone starymi przedmiotami ze wszystkich zakątków świata, jakby wkraczało się w kilka różnych epok w kilku różnych miejscach. Przedmioty dostarczały rozmaitych wrażeń. Jens zorientował się, że nie może oderwać od nich wzroku. Były tam stare dzieła sztuki, tkaniny, meble, ozdoby i statuetki. Wszystko było piękne, zachęcające i odmienne - w jakiś niewytłumaczalny sposób imponujące. W szklanej gablocie w rogu Jens dostrzegł figurki z kamienia, wyglądające jak miniatury tej, którą Thierry trzymał w dłoni na statku.

Usłyszał za sobą kroki, odwrócił się. Kobieta, która wyszła z oddzielnego kotarą zaplecza, była piękna. Miała

wysoką, okrągłą fryzurę, była smukła, choć nie wysokiego wzrostu. Domyślał się, że pochodzi z Wysp Karaibskich.

- Cześć - odezwał się.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Thierry... - powiedział, jakby nagle podświadomie zrozumiał, że trafił we właściwe miejsce.

Zawahała się, odwróciła i zniknęła za kotarą.

Jens czuł bicie serca. Mężczyzna, który się zjawił, potrzebował kilku sekund, by go rozpoznać.

-Ty?

Thierry zadzwonił do Arona, pokrótce wyjaśnił sytuację i oddał słuchawkę Jensowi.

Aron powiedział, żeby przeszli kawałek w dół ulicy i weszli do restauracji.

Thierry otworzył Jensowi drzwi, wskazał kierunek.

- Tędy, on na ciebie czeka.

Jens zaczął iść w stronę restauracji. Wszystko to wydawało się absurdalne. Jakie były jego szanse? Bał się nawet o tym pomyśleć.

Na małym szyldzie widniał napis „Trasten”. Jens wszedł do środka i skierował się w stronę baru, przy osobnych stolikach siedziało może z dziesięć osób. Poprosił o szklanekę toniku i pijąc, rozglądał się po sali.

Po kilku minutach wahadłowymi kuchennymi drzwiami wyszedł Aron, zobaczył Jensa i gestem przywołał go do siebie.

Jens przeszedł za Aronem przez kuchnię, minął mały korytarzyk i dotarł do gabinetu, do którego został zaproszony.

Był to niewielki pokój. Biurko z komputerem, brudne, do potowy pełne popielniczki, stos gazet, oparty o ścianę skradziony znak drogowy - zakaz zatrzymywania się. Kubki po kawie i kalendarz ścienny sprzed kilku lat. Z pokoju bez wątpienia korzystało więcej osób, prawdopodobnie

sami mężczyźni. Tacy, którzy chcieli uczynić go przestrzenią wolności, miejscem, w którym nikt nie musi za nic odpowiadać.

- Usiądź, jeśli znajdziesz krzesło.

Jens znalazł.

- Pracujesz tutaj? - zapytał, siadając.

Aron pokręcił głową.

-Nie.

Aron usiadł przy biurku.

- Co ci leży na sercu? - zapytał swobodnym tonem, rozbawiony własnym doborem słów.

Jens krótko zbierał myśli.

- Po tym jak się rozstaliśmy, przejechałem przez Jutlandię, na noc zatrzymując się u babci. Kiedy się obudziłem, w ustach miałem glocka, a na brzegu łóżka siedział ten wielki Rosjanin.

Aron uniósł jedną brew.

- Ogłuszył mnie i zwiął z moimi skrzyniami.

- A w skrzyniach miałeś broń?

Jens pokiwał głową.

- Kto miał ją dostać?

- Klient.

- Ale nie ze Szwecji?

Jens potrząsnął głową. Aron zastanawiał się chwilę.

- Wiedział, że w skrzyniach jest broń?

- Nie, nie wydaje mi się. Widocznie na statku umieścił na którejś skrzyni nadajnik i to akurat była moja, nie twoja.

Aron wymamrotał coś i podniósł wzrok.

- No więc jak mogę pomóc?

- Muszę odzyskać swoje rzeczy, powiedz mi wszystko, co o nim wiesz... Gdzie jest i jak *mogę się z nim* skontaktować.

Gospoda nie wyglądała jak gospoda. Była to pizzeria z napisem „Pиво i wino” w oknie. Ciemne, drewniane meble, najtańsze papierowe serwetki, jakie można dostać, twarde i cienkie.

Zjadł pół pizzy, wypił cztery piwa i trzy sześćdziesiątki wódki. Chciał się upić. Pozwolił myślom krążyć bez celu, ostatnio zaczęło mu się to podobać. Wcześniej czuł wyrzuty sumienia, jeśli nie używał rozumu do czegoś treściwego i pożytecznego. Teraz puszczał myśli samopas, nie nadając im żadnego konkretnego kierunku, pozwalał sobie tylko podążać za nimi. To było wspaniałe. Nowe uczucia pojawiały się i znikwały. Doprawił się tabletkami i stał się spokojny jak śpiące niemowlę. Może tak właśnie chciał się czuć każdy człowiek, może tego właśnie stanu szukali ci, którzy spędzili już parę lat w świecie dorosłych? Uśmiechnął się sam do siebie, napotkał spojrzenie kucharza, który wyglądał na zaniepokojonego, i odwrócił wzrok. Lars pomyślał, że z pewnością dostrzegł jego nirwanę i zrobiło mu się nieprzyjemnie na myśl, że sam jej nie osiągnął. Wszyscy mu zazdrościli, zawsze tak było.

Lars podrapał się mocno w policzek, jakaś mała krosta nie chciała dać za wygraną.

Z mocno ograniczonym polem widzenia, czując ciepło na twarzy, koło dziewiątej podjechał do willi Sophie. Miał osiem miejsc podsłuchu, z których korzystał naprzemienienie, by go nie odkryto, wszystkie w zasięgu willi. Zaparkował przy stacji numer cztery, a może była to stacja numer trzy? Wyłączył silnik, nałożył słuchawki i słuchał. W domu panowała cisza. Próbował wychwycić jakiś dźwięk - czyżby tylko siedziela? Połknął dwie kolejne tabletki, otoczenie zrobiło się jeszcze bardziej rozmazane.

Po chwili usłyszał kroki w kuchni, potem w przedpokoju, wreszcie dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Przełączył się na mikrofon w kuchni, nasłuchiwał, czy poszła

otworzyć komuś drzwi, czy też sama wyszła. Żadnych dźwięków w kuchni, cisza w przedpokoju. Czekał. Sophie wyszła z domu.

Lars zapalił silnik i pojechał w stronę domu, jej land cruiser minął się z nim po drodze, zjeżdżając ze wzgórza. Zawrócił volvo.

Upojenie alkoholowe sprawiało, że trudno było za nią jechać i jej nie zgubić. Wieczorny ruch uliczny był jednak mały, w stronę miasta przez Roslagsvägen jechało niewiele samochodów. Trzymał się środka, mrużył oczy i kierował się pasami na jezdni.

Pojechał za nią na Vasastan, gdzie zaparkowała przed restauracją Trasten. Lars znalazł miejsce kawalek dalej, we wstecznym lusterku zobaczył nadchodzącego Hectora, patrzył, jak na chodniku całują się na powitanie w policzek i wchodzą do restauracji.

*

Jens nie znalazł mężczyzny, który wszedł do pokoju, gdzie rozmawiał z Aronem.

- Jest Carlos?

Aron potrząsnął przecząco głową.

- Dzwonił do mnie, chciał, żebym tu przyszedł.

Aron znowu potrząsnął głową.

- Nie, nie widziałem go.

Mężczyzna zamyślił się, ale oprzytomniał, kiedy zobaczył w pokoju Jensa. Wyciągnął rękę.

- Hector Guzman.

Jens chwycił dłoń. Hector był postawnym mężczyzną z nogą w gipsie, dobrze ubranym, wyglądał przyjaźnie i biła od niego pewność siebie - pies, który je pierwszy, nie tylko tutaj, prawdopodobnie wszędzie.

- Jens to ten człowiek ze statku, opowiadałem ci o nim
- powiedział Aron. - Ma problem, który jest także naszym problemem.

- Świetnie, to może *wziąć* naszą część - uśmiechnął się Hector. - Jaki dokładnie problem?

Jens opowiedział historię, zaczynającą się od załadunku w Paragwaju, a kończącą na wizycie Michaiła u jego babci na Jutlandii. W połowie opowieści Hector usiadł na krześle i popatrzył na Arona, który czasem wtrącał jakieś wyjaśnienie. Kiedy Jens skończył, Hector myślał przez chwilę.

- A to ci cholerna historia.

Jens czekał. Hector pomyślał jeszcze chwilę, po czym podniósł wzrok na Jensa.

- Co na to twoja biedna babcia?

Jens nie tego pytania się spodziewał.

- Jakoś daje radę.

Z kuchni dobiegł ich zapach spalenizny.

- Jeżeli pomożemy ci w odzyskaniu towaru, będziesz miał do wyboru: zapłacić nam gotówką albo później to dla nas odpracować.

- A jeśli wam się nie uda?

- Nam się zawsze udaje.

- No dobrze. To co robimy?

Odezwał się Aron.

- Teraz nic. Na razie się z nimi skontaktujemy. Ważne, by zrozumieli, że broń nie należy do nas.

Hector popatrzył na Jensa.

- Mamy tu do czynienia z nerwowymi osobnikami, ale to już wiesz.

Hector nagle się zamyślił, po czym odwrócił się do Arona.

- Jesteś pewny, że Carlosa tu nie ma?

Aron pokiwał głową.

- No dobrze, Jens - powiedział Hector, uderzając się dłońmi po kolanach - miło było cię poznać. Teraz idę do

miasta zjeść kolację z kobietą, którą lubię. Już i tak wystarczająco długo czekała na mnie w restauracji.

Wskazał kciukiem kierunek, wstał i opuścił wzrok na Jensa.

- A ty masz taką bliską osobę?
- Niestety nie.
- Szkoda - powiedział i zaczął iść w stronę drzwi.

Jens podązał za nim wzrokiem. Gdy tylko Hector sięgnął do klamki, drzwi się otworzyły. Zachwiał się na nogach. Do środka wpadł Michaił z drugim mężczyzną. Jens zobaczył, jak niższy mężczyzna uderza Hectora w głowę sprężynową pałką, a w tym samym czasie uderzenie w krtań powala go na podłogę. Michaił pędem podbiegł do Arona. Wszystko odbyło się szybko, byli przygotowani. Jens odruchowo rzucił się na niskiego mężczyznę. Uderzył go z główki, okładając pięściami, powalił na ziemię i znalazł się na górze. Michaiłowi udało się jednak unieszkodliwić Arona i wstać. Mocny kopniak w bok głowy wytrącił Jensa z równowagi. Zdążył się jeszcze odwrócić, unieść do połowy i wymierzyć cios, ale Michaił okładał go po głowie pałką szybko i mocno. Jens próbował się osłonić. Zapadła ciemność.

*

Usłyszał głuchoe odgłosy, ktoś nim potrząsnął, powiedział coś niezrozumiałego. Dźwięki splatały się ze sobą na pograniczu jawy i snu, kiedy co chwila to jedno, to drugie wysysało go w siebie.

Jens otworzył oczy, w głowie łupało mu niemiłosiernie, wszystko zagłuszał jeden przenikliwy dźwięk, a to, co widział, było ostre i oślepiające. Na powrót zamknął oczy. Ktoś nim potrząsał, tym razem mocniej, Jens chciał zaprotestować, powiedzieć temu komuś, by zostawił go w spokoju, ale wstrząsy nie ustawały. Otworzył znowu oczy i wtedy

w ostrym świetle zobaczył coś, dzięki czemu zrozumiał, że śni: była tam Sophie Lantz i krzyczała do niego. Ucieszył się, że widzi ją w swoim śnie, już zapomniał, jak bardzo jest piękna. Tym razem była starsza, miała niewielkie zmarszczki wokół oczu, ale jakże była piękna. Uśmiechnął się do niej i odwrócił na drugi bok, by spać dalej. Zorientował się, że leży na podłodze w restauracyjnym biurze, zdał sobie sprawę, że sen zajął mu się z rzeczywistością. Pamięć wróciła: Michaił wszedł do pokoju...

Jens poruszył nogami, wyczuł je, poruszył rękoma, otworzył i zamknął oczy, chciał się wybudzić z tego dziwnego snu.

- Jens?

Po raz kolejny otworzył oczy. Nadal tam była, Jens usiłował odzyskać ostrość widzenia. Było to trudne, świat nie chciał wrócić na swoje miejsce.

- Jens? Słyszysz pnie?

Teraz zobaczył ją wyraźnie, zdał sobie sprawę, że to nie sen.

- Sophie?

Mimo niepokoju uśmiechnęła się przelotnie. Pomogła mu usiąść, kucnęła przed nim i próbowała odczytać coś z jego oczu. On powrócił myślami do przeszłości, przypominały mu się te oczy, przypomniał sobie jej wygląd i to, jak się pojawiła.

- Masz wstrząśnienie mózgu - powiedziała.

Spojrzał na nią.

- Co ty tu robisz?

- To nieistotne - odparła.

Wszystko to było dla niego absurdalne. Za ich plecami otworzyły się drzwi i wszedł Aron, na twarzy miał zaschniętą krew z pękniętego łuku brwiowego, na policzku i koło prawego oka siniaki. Był jednocześnie rozgorączkowany i skupiony.

- Jedziemy - zawołał.

Jens wstał na chwiejnych nogach.

- Sophie, weź samochód - mówił dalej Aron. - Spotkamy się na tyłach.

Sophie wyszła z pokoju.

- Potrzebuję twojej pomocy - zwrócił się Aron do Jensa.

- Zabrali Hectora, mogę go śledzić przez GPS. Masz jakąś broń?

Jens pokręcił głową.

Aron wyjął z szafki rewolwer - krótkolufową czterdziestkępiatkę.

- To część spłaty długu.

Jens chwycił broń, sprawdził, czy jest naładowana. Pośpieszyli w stronę tylnego wyjścia, które wiodło na podwórze, stamtąd wbiegli do jakiegoś budynku i wydostali się na ulicę. Między domami z dużą szybkością nadjeżdżał land cruiser, nagle zahamował. Aron otworzył drzwi od strony pasażera.

- Ty zostaniesz tutaj, Sophie, pożyczymy na chwilę twój samochód.

- Potrzebujecie mnie - odpowiedziała. - Ty i Jens będziecie mieli wolne ręce, jeśli to ja usiądę za kierownicą.

Aron nie miał czasu do namysłu. Wskoczyli do samochodu - Aron na przednie siedzenie, Jens do tyłu - samochód przyspieszył.

- Autostradą E4 na północ - powiedział Aron, wpatrując się w GPS w swoim telefonie.

Sophie jechała z dużą prędkością w stronę Norrtull, wjechała na trasę Norra länken i przyspieszyła, wyjeżdżając na autostradę.

I wtedy zobaczyła to samo volvo, które mijala, wyjeżdżając z domu. Jechało kawałek za nią, lewym pasem, żadnych innych samochodów na autostradzie nie było. Rosło

we wstecznym lusterku. Sophie zaczęła się zastanawiać. Czy pozwolić mu jechać z tyłu... Pomóc im ratować Hectora... Co się stanie później?

Volvo się zbliżało.

Gdy pojawił się zjazd przy Hagaparken, skrzyła na prawy pas. Tuż przed końcem pasa zjazdowego skrzyła kierownicą ostro w prawo i dodała gazu. Volvo przejechało obok, jadąc prosto autostradą. Zdążyła dojrzeć mężczyznę za kierownicą: już go wcześniej widziała.

Aron spojrział znad GPS-u.

- Co ty robisz?

- Przepraszam, nie wiem, co mi się stało, myślałam, że jedziemy złym pasem!

Wjechała na szczyt, ale zamiast jechać dalej prosto i w ten sposób wrócić na autostradę, skrzyła w lewo w ulicę Frösundaleden i pojechała w stronę Solny.

- Sophie?!

Aron był zdenerwowany.

- Przepraszam, przepraszam... muszę teraz zawrócić!

Udawała zestresowaną i wytrąconą z równowagi, Aron spojrział na nią, próbując zrozumieć, dlaczego tak beznadziejnie prowadzi. Sophie wjechała na rondo i wróciła tam, skąd przyjechali, na autostradę, wciskając gaz do dechy.

Wszystko poszło po jej myśli, kierowca volvo przy najbliższej okazji skrzył na Frösundavik, zawrócił i znów wyjechał na autostradę. Zobaczyła go jadącego przeciwnym pasem w kierunku miasta. Nie patrzyła na kierowcę, dodała gazu.

Rozsądek podpowiedziałby jej zapewne, by wracała do domu i nie ładowała się w to wszystko, jednak w tej chwili znajdował się on zupełnie gdzie indziej. Nie kierowała się logiką, władzę nad sobą przekazała jednemu tylko uczuciu: strachowi o Hectora. Nic innego w tym momencie nie grało roli.

We wstecznym lusterku nagle zobaczyła Jensa, jego pojawienie się znikąd ją przestraszyło. Siedział z tyłu i patrzył w okno. Starszy i nieco większy niż Jens, którego pamiętała. Wciąż z rozczochraną blond czupryną, opalony na brązowo niczym duże dziecko, które właśnie wróciło z wakacji. Rozpoznała jego spojrzenie, myślące i dzikie, jedno i drugie w nierozzerwalnym połączeniu. On jakby usłyszał jej myśli, podniósł wzrok i napotkał w lusterku jej wzrok. Aron czytał w komórce wskazania GPS-u.

- Są teraz na wschód od nas, skręć na najbliższym zjeździe.

Sophie zjechała z autostrady, droga wiodła przez zalesiony teren, jechali po ciemku, aż w końcu dotarli do prowadzącej w las żwirówki. Sophie wyłączyła reflektory i prowadziła w zupełnych ciemnościach.

- Zatrzymaj się.

Aron studiował swój odbiornik.

- Idę. Wy zaczekajcie tutaj, miejcie włączony telefon.

Aron założył tłumik na pistolet.

- Idę z tobą - rzekł Jens. - Ich jest dwóch.

- Nie, ty zaczekaj tutaj, na wypadek gdyby któryś z nich wyszedł wam naprzeciw.

Aron wysiadł z samochodu i szybko zniknął w ciemnym lesie.

Jens i Sophie zostali w samochodzie, cisza zdawała się wypełniać każdą szczelinę. Jens poczuł, że nie może tak po prostu siedzieć, otworzył drzwi, poszedł kawałek w las i patrzył w stronę, gdzie zniknął Aron.

Siedząca za kierownicą Sophie podążała za nim wzrokiem.

Michail był niezadowolony. Klaus miał za ciężką rękę do Hiszpana. Plan był taki, by wejść do restauracji, unieszkośliwić jego ewentualnych towarzyszy, po czym w spokoju rozmówić się z Hectorem Guzmanem, dać mu do zrozumienia, że z ludźmi Hankego nie mają szans, zmusić do zmian, których życzył sobie Ralph, i odjechać. Gdyby się nie dało, mieli go zastrzelić na miejscu. Klaus jednak znokautował Hectora Guzmána, a nie mogli siedzieć tam i czekać, aż się obudzi. Teraz z kolei znajdowali się w odludnym lesie na zachód od autostrady, w oddali słychać było szum przejeżdżających samochodów. Michail zdawał sobie sprawę, że sytuacja uległa zmianie.

Hector obudził się po godzinie. Usiadł na ziemi, oszołomiony oparł się o samochód, zobaczył, że gips na złamanej nodze poluzował się w górnej części.

Klaus stał kilka metrów dalej i opróżnił pęcherz, gwizdząc cicho Piątą Beethovena. Hector podniósł wzrok na stojącego przed nim Michaila.

- Od Hankego? - zapytał, w gardle miał sucho.

Michail skinął głową.

- Czego chcecie?

- Oni chcą kokainy, którą ukradliście, chcą trasy Paragwaj - Rotterdam, chcą organizacji. Chcą, żebyście się do nich przyłączyli i działali jako ich podgrupa. Żebyście od tej chwili robili, co możecie, by sprostać ich oczekiwaniom. Chcą też wiedzieć, który z was wysadził Christianowi samochód i dziewczynę. I dlaczego zaopatrujecie się w broń.

- Dużo jak na jeden raz.

Michail nie odpowiedział. Hector obrzucił go taksującym spojrzeniem.

- To ty mnie potrafiłeś?

Cisza.

- No jasne, że ty... - ciągnął Hector, wyluskując cygaretkę z kieszeni na piersi i wkładając ją do ust.

- Czyli w Rotterdamie też byłeś? Kim ty właściwie jesteś, kurewką Hankego?

Michaił był niewzruszony. Hector znalazł w kieszeni zapalniczkę, zapalił cygaretkę, zaciągnął się kilka razy.

- Wydajesz się tak głupi, na jakiego wyglądasz. Pojechałeś do Danii ze złymi skrzyniami, słyszałem całą historię. Właściciel skrzyń był pasażerem na gapę, nie ma z nami nic wspólnego. Nasz towar przewoziliśmy w takich samych, kapitan chciał, by towary pakować do takich właśnie skrzyń. Wydymali cię... znowu.

Hector zaciągnął się kilka razy.

- To niczego nie zmienia - powiedział Michaił. - Daj mi to, czego chcę, i zmywamy się stąd.

Hector pokręcił głową.

- Niestety, proponujesz mi najgorszy interes, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

- Niczego ci nie proponuję.

Hector spojrział Michaiłowi w oczy.

- To prawda - powiedział cicho.

- Nie bądź głupi - rzekł Michaił.

Hector omal się nie uśmiechnął.

- Jak odpowiedziałbyś na taką propozycję, jaką mi właśnie złożyłeś? - zapytał szeptem.

Michaił nie zareagował, odwrócił się do Klaususa i zapytał po niemiecku, czy mają go teraz zastrzelić.

- Przed chwilą tu szczałem. Jakby sprawdzali DNA i takie tam...

- Nie ma znaczenia, jeśli zastrzelimy go tu, a spalimy razem z samochodem gdzie indziej - wymamrotał Michaił.

Hector patrzył w ziemię, zdusił cygaretkę, która podczas rozmowy mężczyzny przestała mu smakować.

- Mogę wam zaproponować przejście do nas, dostaniecie dwa razy tyle wszystkiego, ile daje wam Hanke.

Hector odwrócił się do Michaiła.

- Poza tym chyba zauważyłeś, że większość z tego, za co się braliście, szła się jebać?

Michaił nie odpowiedział, skinął tylko głową Klausowi, który poszedł do samochodu, wyjął sig sauera, załadował, podszedł do Hectora i wycelował w jego głowę.

- Wciąż jeszcze masz wybór...

Hector podniósł wzrok na olbrzyma. Drzewa ponad jego głową poruszały się od wiatru.

- Spierdalaj... - powiedział cicho.

Metalicznego młaśnięcia, które rozległo się w tej chwili, nie można było pomylić z niczym innym. Raz, drugi i trzeci. Dźwięk ten był głośniejszy niż na filmach, niemniej jednak przypominał mlaskający trzask. Hector usłyszał świst pocisków lecących gdzieś z tyłu i zobaczył, jak przynajmniej jeden z nich wbija się w brzuch Klause, który zmieniony na twarzy chwyta się za ranę. W tym samym momencie z ciemnego lasu wynurzył się Aron, trzymając przed sobą pistolet,

- Do tyłu! - krzyknął, celując w Michaiła. Podbiegł i podniósł z ziemi jego broń.

- Postrzeliłeś mnie, kurwa! - zawył Klaus.

Aron podszedł do Michaiła i pokazał mu, że ma uklęknąć. Michaił zrobił, jak kazano, Aron zaś kopnął go w krtań. Rosjanin stracił oddech i przewrócił się, chwilowo nieprzytomny Aron szybko przeszukał mu kieszenie.

Podszedł do Hectora z wyciągniętą ręką. Hector ją złapał i stanął na nogi. Popatrzeli na mężczyzn, później na siebie, Aron zadał nieme pytanie. Hector pomyślał i pokręcił głową.

- Nie, niech zabiorą kolejną porażkę do domu.

Pośród nocy rozległ się dźwięk silnika. Reflektory rozświetliły las, zanim zdążyli zobaczyć samochód. Ukazał się na wzgórzu, jechał w ich stronę z dużą prędkością, zatrzymał się przed Hectorem.

Sophie podbiegła do niego.

- Nic mi nie jest - powiedział.

Zaprowadziła go do samochodu.

Jens stał obok land cruisera i przyglądał się temu z pistoletem w opuszczonej dłoni.

- Możesz prowadzić? - zapytała, nie czekając na odpowiedź.

Otworzył drzwi jej i Hectorowi.

- On umrze! - wrzasnął Michaił.

Sophie przystanąła i odwróciła się w jego kierunku. Siedział na ziemi.

- Czy ktoś jest ranny? - zapytała.

- Nie, nikt nie jest ranny. Jedziemy - powiedział Aron.

Sophie spojrzała na Hectora. Próbował potwierdzić kłamstwo Arona, ale się nie dało.

- Tak, mężczyzna na ziemi jest ranny, ale przyjaciel się nim zajmie, wszystko będzie dobrze, chodź, jedziemy.

Sophie puściła Hectora i pobiegła do Klaususa.

- Sophie!

Aron, Hector i Jens krzyczeli za nią chórem. Nie słuchała. Aron ją dogonił i wycelował w Michaiła. Sophie usiadła obok Klaususa. Trzymał się za brzuch, ona próbowała go zbadać, powiedziała Michaiłowi, że będzie jej potrzebna jego koszulka. Michaił ją ściągnął i rzucił Sophie.

Jens i Hector obserwowali całą sytuację, patrzyli, jak Sophie z wprawą pomaga Klausowi przewrócić się na plecy, nie zważając na jego rozdzierający krzyk, jak pewnie i w skupieniu ogląda ranę.

- Trzeba go zabrać do szpitala, traci krew. Pomóżcie mi zanieść go do samochodu.

Mężczyźni nie odezwali się ani słowem.

- Pomóżcie, on zaraz umrze! - krzyknęła.

Hector odwrócił się do Michaiła.

- Zajmiemy się twoim przyjacielem, jeśli wrócisz do swoich mocodawców i powiesz, żeby dali spokój temu całemu

interesowi, jeżeli obiecasz, że nigdy więcej nie weźmiesz udziału w czymś takim...

Michaił milczał.

- I powiesz, gdzie jest moja broń! - dodał Jens.

Hector wzruszył ramionami.

- I powiesz temu facetowi, gdzie jest jego broń.

Jens i Michaił wspólnymi siłami ułożyli Klause w bagażniku. Sophie ich popędzała. Siadła obok Klause i przyciskała koszulkę do jego rany.

- No jedźcie!

Jens siadł za kierownicą. Za odjeżdżającym samochodem wzniosł się tuman kurzu.

Michaił odczekał kilka minut, po czym wsiadł do wynajętego samochodu i ruszył w stronę lotniska Arlanda.

Umył samochód od środka na całodobowej stacji benzynowej, zostawił na lotniskowym parkingu dla wypożyczonych samochodów, kluczyki umieścił we wrzutni, noc zaś spędził na ławce w hali odlotów terminalu piątego. Czas upłynął mu na zastanawianiu się, co się wydarzyło, dla kogo pracuje, jakie ten ktoś ma żądania i cele... Jakich wrogów i przyjaciół.

Takiego poczucia winy nie miał od wielu lat. Klausowi nie powinno się było nic stać, nie taki był plan. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy ludzie Guzmana się boją, czy są twardzielami, ale zawsze strzelali pierwsi.

Będzie miał to na uwadze.

*

- Jedź szybciej!

Popatrzyła na zakrwawionego mężczyznę, wiedziała, co mu jest: słaby puls, błądź - utrata krwi. Nie mogła stwierdzić, jak bardzo ucierpiał, ale krew płynęła równym

strumieniem. Umrze, jeśli zaraz nie otrzyma pomocy. Klaus uchylił lekko powieki, ale wkrótce znów je zamknął. Klepnęła go mocno w policzek, żeby nie stracił przytomności. Człowiek umierał jej na kolanach. A ona będzie miała w tym swój udział. I przez kogo? Przez Hectora? To było przeciwieństwo wszystkiego, czego się w życiu nauczyła i co najbardziej ceniła.

- Jens - powiedział Hector. - Będziesz musiał wysadzić mnie i Arona, zanim zostawisz go w szpitalu.

Jens napotkał w lusterku spojrzenie Hectora.

- Musimy umyć samochód, macie kogoś, kto mógłby nam pomóc?

Hector i Aron zastanowili się. Rozmówili się szybko po hiszpańsku. Aron wybrał numer w telefonie, zadzwonił i nie przedstawiając się, powiedział w kilku słowach, że trzeba rzucić okiem na samochód znajomego i załatwić nową tapicerkę, zwłaszcza do bagażnika.

- Jedź na Semmelvägen w Skóndal - zwrócił się Aron do Jensa.

Hector bez słowa wyszedł z samochodu, Aron za nim. Sophie widziała, jak idą ulicą Solna Kyrkväg, tuż pod szpitalem Karolińska.

Jens zawrócił, podjechał szybko pod szpital.

- Sophie! Nie możemy z nim wejść, musimy go zostawić pod szpitalem i zmykać. Okej?

Nie odpowiedziała, mierzyła Klausowi puls.

Jens wjechał na teren szpitala. Znalazł wjazd dla karettek, był pusty. Podjechał tam i przycisnął klakson.

- Nie pokazuj się - powiedział, otwierając drzwi.

Sophie zostawiła Klause, nad tylnym siedzeniem przedostała się z bagażnika na tylne siedzenie i zsunęła się na podłogę, całe ubranie miała zakrwawione. Jens pobiegł do tyłu i otworzył bagażnik.

Wybiegło dwóch pielęgniarzy z noszami na kółkach, a za nimi lekarka. Jens usiadł za kierownicą.

- Rana postrzałowa brzucha! - krzyknął w ich stronę.

Pielęgniarki i lekarka wyciągnęły nieprzytomnego Klause i ułożyli na noszach. Gdy tylko odsunęli się od samochodu, Jens wrzucił wsteczny i wyjechał z otwartym bagażnikiem. Kiedy znalazł się poza polem widzenia, zatrzymał auto, zamknął bagażnik i znów wskoczył do środka. Sophie wygramoliła się z tylnego siedzenia i usiadła obok. Spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku?

- Nie - odpowiedziała. Na rękach i ubraniu miała krew.

Jechali przepisowo przez miasto, nie odzywając się ani słowem. Jens obrzucił Sophie spojrzeniem. Była blada, zagrożona w myślach.

- Da sobie radę - odezwał się Jens.

Nie odpowiedziała.

- Dlaczego to zrobiłaś, dlaczego nie pozwoliłaś mi jechać samemu z Aronem?

- Nie odzywaj się, proszę - odparła.

Land cruiser manewrował pomału między domami. W końcu Jens znalazł właściwy numer, zjechał na małą asfaltową ścieżkę prowadzącą do garażu i czekał - po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Thierry przywołał ich gestem. Jens wjechał do środka i wysiadł.

- Nie musisz nic mówić - powiedział Thierry. - Rozmawiałem z Aronem. Całe szczęście, że nikomu z nas nic się nie stało.

„Z nas”, pomyślał Jens.

Sophie wysiadła z drugiej strony. Thierry zobaczył krew na jej rękach i ubraniu.

- Witaj, Sophie... Chodź, moja żona ci pomoże.

Thierry szybko obejrzał samochód.

- Chyba da się zrobić.

Garaż łączyły z domem drzwi. Daphne wyszła im na przeciw.

- Chodź, kochana, pomogę ci.

Chwyliła Sophie za rękę i poprowadziła do łazienki.

Zostawiła ją samą. Sophie zrzuciła z siebie zakrwawione ubrania na podłogę.

Odkręciła wodę i zanim weszła pod prysznic, upewniła się, że jest ciepła. Nie był to przyjemne ani nieprzyjemne, po prostu płynąca z góry woda. Namydliła się dokładnie, krew wpadająca do odpływu u jej stóp miała bladoczerwony kolor.

Po wszystkim założyła na siebie ubrania, które Daphne położyła na krześle w łazience. Były w porządku, choć bluzka miała za długie rękawy. Daphne zajrzała do środka.

- Chodź, zrobiłam herbatę.

Jens także dostał nowe ubrania, w rozmiarze Thierry'ego. Miał nawet na sobie czepek pod prysznic, rękawiczki do zmywania i ochraniacze na buty. Wyczyścił deskę rozdzielczą, przednie siedzenia, wszystko, co się dało. Thierry robił to samo z tyłu.

- To byli ci sami, co na statku? - zapytał Thierry.

- Tak...

Thierry zalewał skórzane siedzenia środkiem czyszczącym.

- On ma na imię Michaił... To Rosjanin. Pracuje dla Ralphi Hankego.

Jens szorował wszystko, co się dało.

- Kim jest ten Hanke? - zapytał.

Thierry wylał wodę z wiadra do odpływu w podłodze, podszedł do balii i napełnił je znowu.

- Niemieckim biznesmenem, który daje nam się we znaki...

- Dlaczego?

- Ty mi powiedz...

Zakręci! kran.

- Kim ty jesteś, Jens?

Jens nie musiał długo myśleć nad odpowiedzią.

- Po prostu człowiekiem, który wplątał się w coś, z czym nie ma nic wspólnego...

Wydostał się z samochodu.

- Co myślisz o takich sytuacjach? - zapytał Thierry.

- Chciałbym myśleć, że to przypadek... Ale w tej chwili wygląda to jak fatum.

Thierry skwitował jego słowa skinieniem głowy. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Jens spojrzał na Thierry'ego.

- Nie bój się.

Otworzył drzwi garażu. Młody mężczyzna w kapturze uśmiechnął się szeroko i wręczył mu zwinięty gumowy dywanik.

- Land cruiser, zgodnie z zamówieniem.

Thierry wziął dywanik, młody człowiek zamknął drzwi. Jens usłyszał podrasowany silnik, po czym dźwięk zamarł w oddali.

Thierry podszedł do samochodu Sophie i wyjął z bagażnika zakrwawiony dywanik. Był przyklejony i puścił dopiero po chwili. Położył go na podłodze, przyniósł nowy i porównał.

- Ten jest trochę mniejszy, ale wystarczy.

Sophie pila podaną przez Daphne herbatę i słuchała odgłosów dochodzących z garażu. Herbata dziwnie smakowała, po kolejnym łyku zrobiła się ohydna. Sophie odstawiła filiżankę.

Daphne chwyciła ją za rękę, Sophie się wzdrygnęła, poczuła się nieswojo, kobieta była męcząca. Daphne jednak nie puściła jej ręki, po jakimś czasie to pomogło.

- Jak się w to wplątałaś? - zapytała.

Sophie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wzruszyła delikatnie ramionami i próbowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło. Daphne mocniej ścisnęła jej dłoń.

- Hector jest dobrym człowiekiem. To dobry człowiek - powtórzyła, wpatrując się w Sophie.

Następnie puściła jej rękę, usiadła wygodniej, złożyła dłonie na kolanach i zaczęła mówić ściszym głosem, prawie szeptem.

- Zobaćzyłaś coś, co nie było przeznaczone dla twoich oczu. Jeżeli chcesz porozmawiać o tym, przez co przeszłaś, zwróć się do mnie, do nikogo innego.

Sophie nagle odkryła inną stronę Daphne, ton jej głosu się zmienił, stał się poważniejszy i bardziej zdecydowany, jakby to było ostrzeżenie.

Otworzyły się drzwi i do kuchni weszli Jens i Thierry w pełnym rynsztunku. Gdyby nie sytuacja, Sophie by się roześmiała.

Land cruiser wyglądał jak nowy i pachniał nowością, kiedy usiadła z przodu. Jens zajął miejsce za kierownicą. Wyjechali na autostradę prowadzącą do Sztokholmu.

Spojrzał na nią. Obserwowała świat za oknem.

- Będziemy musieli kiedyś porozmawiać - powiedział.

- Tak.

Jechali w milczeniu, żadne nie chciało odezwać się pierwsze ani rozmawiać o niczym.

Jens znalazł kawałek papieru i przytrzymując go na kierownicy, zapisał swój numer telefonu, po czym podał Sophie.

- Dziękuję - wyszeptała.

Wyskoczył przy placu Karlaplan i Sophie przesiadła się na miejsce kierowcy. Ich „do widzenia” było zdawkowe i oficjalne.

Albert spał spokojnie w swoim pokoju. Patrzyła na niego przez chwilę. Później zeszła i pozapalała lampy na dole, stojąc w kuchni, przyjrzała się swoim dłoniom. Nie drżały, były spokojne, po namyśle doszła do wniosku, że w środku też jest spokojna. Zdziwiło ją to, pomyślała, że coś tu nie gra. Po tym, co się stało, powinna być pobudzona, przestraszona i zdenerwowana. Spojrzała jeszcze raz na dłonie, były miękkie, gładkie i nieruchome. Serce biło jej miarowo. Nastawiła ronderek z wodą, wyjęła angielską herbatę, stanęła przy oknie i czekała, aż się zagotuje. Przed oczami miała ten sam widok, co zwykle - latarnię oświetlającą ulicę, nocne lampki w oknach sąsiadów. Wszystko było takie jak zawsze, jednak nie czuła się jak u siebie i nic z tego, na co patrzyła, nie wydawało się już znajome.

10

Jens wrócił do swojego mieszkania, spakował walizkę, zmienił ubranie. Poszedł na całodobową stację benzynową, pod fałszywym nazwiskiem wynajął samochód i rozpoczął podróż do Monachium.

Wieczór był tak ciepły, że się poccił; by nie zasnąć, pił napoje izotoniczne i palił papierosy.

Myślał o Sophie Lantz... Brinkmann.

Carlos Fuentes był o dwa zęby do tyłu. Oczy miał opuchnięte, a w ustach tyle krwi, że kiedy próbował się odezwać, z jego gardła dobywał się tylko gulgoczący dźwięk.

Siedział na krześle w biurze restauracji Trasten, na krześle, z którego w ciągu ostatnich trzydziestu minut wielokrotnie

spadł. Płakał, zaklinał się i obiecywał, że zrobi wszystko, co tylko możliwe.

Ani Hector, ani Aron nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Zabrali go z domu. Wiedział, o co chodzi, gdy tylko zadzwonili do drzwi, do współpracy z Rolandem Gentzem przyznał się w samochodzie w drodze do restauracji. Hector i Aron nic nie mówili.

Carlos otarł dłonią krew z ust.

- Za szybko się przyznajesz, Carlos.

Carlos oddychał ciężko, adrenalina buzowała w jego żyłach.

- Może i tak, ale mówię prawdę, Hector!

Panika Carlosa była zadziwiająca. Aron dał mu chusteczkę, by mógł się wytrzeć. Carlos podziękował swojemu oprawcy. Aron nie odpowiedział „nie ma za co”.

- Carlos, dlaczego? - zapytał Hector.

Carlos wycierał krew chusteczką.

- Ponieważ groził mi śmiercią.

- I to wystarczyło?

Carlos w milczeniu wpatrywał się przed siebie. Hector przetarł oko. Odezwwał się cichym głosem.

- Posłuchaj, wydajesz mnie i wabisz w pułapkę, pułapka się zamyka, mnie udaje się z niej oswobodzić. Przyznajesz się do wszystkiego, gdy tylko dzwonię do twoich drzwi... Co jeszcze powiedziałaś, co zrobiłeś, z kim jeszcze o mnie rozmawiałaś?

Potężny Carlos trząsł się cały od płaczu.

- Z nikim, Hector, przyrzekam... on mi jeszcze zapłacił.

- Gentz?

Carlos pokiwał głową, nie patrząc na Hectora, i wytarł nos rękawem.

-Ile?

- Sto tysięcy.

Hector zadrżał.

- Sto tysięcy? Koron?

Carlos patrzył w podłogę.

- Przecież mogłeś to dostać ode mnie! Dwa, trzy razy tyle, gdybyś chciał!

Carlos odchrząknął.

- Bałem się, on był, kurwa, zimny jak lód i mówił poważnie! Jasne, że nie chodziło o pieniądze... Nie miałem wyboru, zostawił sto tysięcy w reklamówce... Wiesz chyba, że nie prosiłem o pieniądze!

Hector i Aron spojrzeli na Carlosa pytająco.

- Dlaczego nas nie ostrzegłeś?

Carlos podniósł wzrok na Arona, nie miał żadnej odpowiedzi.

Hector odchylił się na krześle.

- I co my mamy z tobą zrobić?

Wielki mężczyzna, zazwyczaj tak hałaśliwy i pewny siebie, teraz, z rozkwaszonymi ustami i twarzą, był jak cień samego siebie. Niewiele brakowało, a Hectorowi zrobiłoby się go żal.

- Carlos?

Ten potrząsnął głową.

- Nie wiem. Róbcie, co chcecie - wymamrotał.

Hector pomyślał chwilę.

- Będziemy pracować tak jak dotychczas. Jeżeli masz coś więcej do powiedzenia, zrób to teraz.

Carlos potrząsnął głową.

Hector zadawał sobie pytanie, czy nie jest zbyt dobry, czy któregoś dnia nie będzie tego żałował. W końcu wstał i poszedł do wyjścia, Aron podążył za nim.

- Dzięki - powiedział Carlos.

Hector się nie zatrzymał ani nie odwrócił.

- Nie dziękuj mi.

Aron siedział za kierownicą, Hector na przednim siedzeniu, na zewnątrz panowała sztokholmska noc. Miasto przesunęło się Hectorowi przed oczami. Jechali ulicą Hamngatan, świeciły neony, choć zaczynał się świt. Zakręcili na plac Gustawa Adolfa i przejechali przez most Północny. Hector próbował myśleć.

- Carlos... - westchnął sam do siebie.

Aron zaparkował przy nabrzeżu Skeppsbron.

- Pomyślałem, że się upiję, chcesz dotrzymać mi towarzysztwa?

Aron potrząsnął głową.

- Nie, ale odprowadzę cię do drzwi.

Przeszli między domami na ulicy Brunnsgränd, skręcili w prawo w Österlånggatan. Z mieszkania nad ich głowami dobiegały śmiechy, wrzaski i muzyka.

- Hector - powiedział cicho Aron.

- Słucham?

- Pielęgniarka.

Przeszli kilka kroków.

- Co z nią?

Aron obrzucił Hectora szybkim spojrzeniem, które mówiło „przestań, z laski swojej”.

- Będzie dobrze, ona nie stanowi zagrożenia.

- Skąd wiesz?

Hector nie odpowiedział.

- Jest inteligentna - stwierdził Aron.

- Tak, to prawda.

Aron szukał słów.

- No i jest pielęgniarką... Prawdopodobnie kobietą z zasadami, z własnym systemem wartości, wydaje się niezależna. To, co dzisiaj zobaczyła i przeżyła, na pewno ją wstrząsnęło. A kiedy to wzburzenie ustąpi, będzie zadawała sobie pytania, zastanawiała się, co jest dobre, a co złe... i znajdy-

wała odpowiedzi, moralne odpowiedzi. Wtedy właśnie zrobi coś pochopnego i nieprzemyślanego.

Hector szedł dalej, nie chcąc dyskutować na ten temat.

Doszli do Břanda tomten, małego placyku otoczonego domami. Przystanąli, Hector popatrzył na Arona, przyjrzał się obrażeniom na jego twarzy.

- Wyglądasz strasznie.

Aron spojrział na Hectora.

- Ty chyba nieźle sobie poradziłeś.

Spojrzenie Arona powędrowało na jego brudne ubranie i niżej, na nogę w pękniętym gipsie.

- Ale tym musisz się zająć.

Hector nie odpowiedział. Poklepał Arona po ramieniu i podszedł do bramy.

Aron poczekał na ulicy, dopóki nie zobaczył, że w mieszkaniu na trzecim piętrze zapaliło się światło, po czym wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Hector zapalił światło w każdym pokoju, zasunął zasłony i włączył cichą muzykę. Otworzył butelkę wina i w kilka minut wypił połowę. Stres wywołany wieczornymi wydarzeniami odrobinę zelżał.

Zadzwoił do ojca, powiedział, co się stało. Adalberto uspokajał syna jak potrafił.

Hector zasnął na kanapie, trzymając na brzuchu stary rewolwer.

*

W dodatku sztokholmskim porannej gazety przeczytała notatkę - jedną z wielu u dołu strony, otoczoną ogłoszeniami i reklamami.

W nocy z soboty na niedzielę mężczyzna z ranami postrzałowymi został przywieziony pod szpital Karolińska przez nieznanych

mężczyzn, którzy odjechali z miejsca zdarzenia. Ranny przeszedł operację, jego stan określa się jako stabilny. Ma około czterdziestu lat, do tej pory nie został przesłuchany przez policję.

Odetchnęła z ulgą. Mężczyzna żył.

Na schodach rozległy się kroki Alberta. Sophie przewróciła stronę.

- Dzień dobry - powiedział.
- Dzień dobry - odparła.
- Późno wczoraj wróciłaś? - zapytał.

Skinęła głową w odpowiedzi. Albert wyciągnął rękę po puszkę musli stojącą w szafce nad kuchenką.

- Fajnie było?
- Tak, całkiem sympatycznie - mruknęła Sophie wpatrzona w gazetę.

Przedpołudnie spędziła w ogrodzie, na pieleniu i przycinaniu odrostów róż. Śpiewały ptaki, obok przechodzili ludzie, pozdrawiając się eleganckim machnięciem ręki lub skinieniem głowy. Wszystko było piękne, spokój i idylla jednak do niej nie przemawiały, nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Przerwała przycinanie róż i opuściła dłoń z sekatorem, już dłużej nie mogła.

Położyła się na leżaku, czuła, jak ciepło ją otacza, pozwoliła sobie na zmęczenie, które ją ukołysało, wprowadzając w spokojniejszy świat. Zamknęła oczy.

Śniło jej się, że tata wciąż żyje i pomaga jej, ilekroć ona tego potrzebuje.

*

- Jak minęła podróż?

Leszek odebrał Sonyę Alizadeh z lotniska w Maladze, wziął jej torby i razem poszli w kierunku wyjścia.

Zaparkował koło taksówek. Ktoś krzyknął, że nie może tu stać. Nie zwracając na to uwagi, otworzył Sonyi drzwi. Pojechali autostradą w stronę Marbelli.

Adalberto wyszedł jej naprzeciw w koszuli, beżowych płóciennych spodniach i na bosaka. Był opalony na brązowo, rzadkie siwe włosy miał zaczesane do tyłu, a złoty zegarek na jego nadgarstku lśnił przepychem.

- Witam.

Pocałował ją jak zwykle w oba policzki, dał znak, by weszła do willi.

Wszystko było gotowe do obiadu, nakryty stół stał pośrodku jasnego pokoju, który zajmował całą centralną część willi, przez panoramiczne okno widać było bezkresne morze. Usiedli.

- Jak poszło? - zapytał, rozwinąwszy serwetkę.

Wypiła trochę wody.

- Chyba dobrze. Wszystko załatwione, mieszkanie wysprzątane, nigdy mnie tam nie było.

Adalberto wziął kęs i podniósł wzrok na Sonyę.

- Nie przeszkadza ci, że będziesz tu mieszkać?

Pokręciła głową.

- Rozsądnie z twojej strony, że dajesz nam się pilnować, nigdy nie wiadomo, co tacy jak on mogą zrobić, tacy właśnie są najgroźniejsi, ludzie, którzy uważają się za lepszych.

Nie odpowiedziała na to stwierdzenie, ale pomyślała, że może to być prawda. Znała przecież Svantego Carlgrena, miała go w sobie niezliczoną ilość razy. Był naprawdę nieprzyjemny. Przesiąknięty takim chłodem i pustką, jakiej nigdy wcześniej nie spotkała u mężczyzny. Jakby brakowało mu czegoś, co mają inni, jakby nie wiedział, że na świecie są jeszcze inni ludzie. Poza tym był w pewien sposób ograniczony. Mało błyskotliwy i głupi, jakby potrafił zajmować się w życiu tylko jednym - budowaniem fałszywego obrazu samego siebie.

Sonya czuła się wykończona, w głębi duszy cieszyła się, że przez chwilę nie będzie musiała być dziwką. Choć jednocześnie wybór zawsze należał do niej. To ona dawno temu przedstawiła Hectorowi ten pomysł. Był dla niej jak brat. W każdym razie na tyle, na ile to możliwe. Jej ojciec Danush był importerem heroiny, po obaleniu szacha wyjechał z Teheranu i został partnerem biznesowym Adalberta. Rodziny się zaprzyjaźniły, a Sonya, jako jedynaczka, spędzała często wakacje u Guzmanów w Marbelli. Była jak ich czwarte dziecko. Jej rodziców zamordowano w Szwajcarii pod koniec lat osiemdziesiątych. Przeniosła się do Azji, gdzie wpadła w silne i długotrwałe uzależnienie od kokainy, dzięki któremu czasem udawało jej się zapomnieć o bezdennym smutku. Tam wytropił ją Hector i pomógł jej wrócić do domu. Adalberto i Hector pozwolili jej zamieszkać w Marbelli i pomogli dojść do siebie. Jakiś czas później Hector pokazał jej zdjęcie trzech zabitych mężczyzn. Leżeli na podłodze wyłożonej białymi kafelkami. Publiczna toaleta w przydrożnej restauracji w południowych Niemczech. Mieli ślady po kulach w głowie, brzuchu, klatce piersiowej, rękach, nogach. Byli podziurawieni. Obaj należeli do 'Ndranghety i to oni zabili jej rodziców. Uwielbiała patrzeć na to zdjęcie. Zatrzymała je i oglądała, kiedy życie wydawało jej się trudne i niesprawiedliwe. Sonya chciała się odwdziżyć Hectorowi i Adalbertowi za wszystko, co dla niej zrobili. Kiedy opowiedziała Hectorowi o swoim pomysle, próbował ją od tego odwieść, powiedział, że nie jest im nic winna. Cokolwiek jednak mówił, ona była innego zdania. Postawiła więc na swoim i zrealizowała pomysł. Może Svante Carlgren okaże się odpłatą, która pomoże jej wreszcie uporać się z poczuciem winy.

Sonya lubiła Hectora i Adalberta, ale wiedziała również, że gdy przychodzi co do czego, mężczyźni w jej życiu niespecjalnie się od siebie różnią, nawet jeśli ten, którego w danej chwili miała przed sobą, próbował dowieść, że jest inaczej.

Adalberto spojrział na nią, jakby czytał w jej myślach.

- Wszystko przygotowałem na twój przyjazd. Masz do dyspozycji psychiatrę, możesz z nią rozmawiać, jeśli chcesz. To dobra kobieta, przyjedzie, jeśli ją poprosimy. Ode mnie dostaniesz, co będziesz chciała, powiedz mi tylko, czego ci trzeba, by wrócić na właściwe tory.

Uśmiechnął się, ona odpowiedziała uśmiechem, który wyrażał przeciwieństwo tego, co naprawdę czuła - tę umiejętność zdobyła już we wczesnym dzieciństwie.

Jedli lunch w milczeniu, za otwartymi oknami szumiało morze, ciepły wiatr poruszał białymi płóciennymi firankami.

Nadbiegł pies Piño, usiadł i zaczął żebrać o kawałek jedzenia. Adalberto zignorował prośbę, po chwili pies ułożył mu się u stóp.

- Kilka lat temu dałem mu coś ze stołu. Długo zajmuje mu zrozumienie, że to się więcej nie zdarzy.

Spojrzął na Piña.

- Ale i tak jesteśmy przyjaciółmi, co nie?

Kiedy Adalberto patrzył na Piña, Sonya zobaczyła na jego twarzy radość. Po chwili uśmiech zamarł, jakby nagle zdał sobie sprawę ze smutnego faktu, że pies to niestety tylko pies.

11

Gunilla spojrzała pytająco na Andersa.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Hector przytrzymał drzwi pielęgniarce, a potem do restauracji weszło dwóch mężczyzn... On już nie wyszedł, ale pielęgniarzka tak. Lars ją śledził.

- A mężczyźni?

Anders wzruszył ramionami.

- Zniknęli, przepadli. Po trzydziestu minutach wszedłem do restauracji. Żadnego z nich nie było w środku. Są tam tylne drzwi prowadzące na podwórze, więc z pewnością nimi wyszli. Poszedłem dalej, na drugi koniec dzielnicy.

- A potem?

Anders pokręcił głową.

- Potem nic. Pojechałem do domu.

Siedzieli na ławce w Humlegården. Większość ludzi dookoła wydawała się cieszyć wiosennym słońcem. Anders Asie był jedynym człowiekiem w parku, który miał na sobie kurtkę.

- Czyli Sophie i Hector przyjechali do restauracji, weszli do środka, a za nimi weszło dwóch mężczyzn. Mówiłeś, że ile potrwało, zanim Sophie opuściła lokal?

- Jakież trzydzieści minut.

- Jakież?

~ Mam dokładne notatki, ale nie przy sobie.

Gunilla się zastanowiła.

- I Lars za nią pojechał?

Anders skinął głową.

Gunilla wyjęła telefon i wystukała numer.

- Lars, nie przeszkadzam? Czy mógłbyś przyjść teraz do Humlegården? Dziękuję ci serdecznie - powiedziała i przerwała rozmowę.

Anders skwitował uśmiechem jej przyjazny ton, który nie pozwalał Larsowi ani odpowiedzieć, ani się sprzeciwić. Gunilla to dostrzegła.

- Przyjdzie - powiedziała.

- Wiem.

Potem po prostu siedzieli na ławce, jakby byli dwoma robotami ustawionymi na czuwanie, w zupełnym bezruchu, wpatrzeni w przestrzeń. Pierwszy poruszył się Anders. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął pogniecioną paczuszkę cukierków i podsunął Gunilli. Ona także obudziła się do życia, może

przez szelest opakowania, wzięła dwa lukrecjowe cukierki i nie podziękowawszy, zaczęła je żuć, pogrążona w myślach. Nagle w jej głowie wykrystalizował się pomysł. Wróciła do rzeczywistości, wyjęła telefon i odszukała numer Ewy Castroneves. Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Eva, możesz coś sprawdzić?

Gunilla czekała.

- Sobotę, chyba to był piąty.

Rzuciła okiem na Andersa, który potwierdził skinieniem głowy.

- Przejdź całą dobę, ale szczególnie sprawdź wieczór i noc z soboty na niedzielę. Główny teren to Vasastan, ale możesz trochę rozszerzyć. Wszystko jest ważne. Dzięki.

Gunilla przerwała rozmowę. Anders spojrział na nią, wzruszyła ramionami.

- Gdzie indziej mogę zacząć?

Nie odpowiedział.

Lars nadszedł zwirową ścieżką od strony placu Stureplan. Spojrzała na niego. Poruszał się sztywno, jakby miał problem z kręgosłupem. Z pewnością tak było, ludzie dźwigający poczucie winy niemal zawsze nieświadomie lokują je w dolnych partiach pleców.

Podszedł do nich, była w nim jakaś niepewność i wrogość.

- Cześć?

Gunilla spojrzała na niego.

- Obciąłeś się?

Lars mimowolnie przeczesał dłonią włosy.

- Tylko trochę - wymamrotał.

- Dzięki, że przyszedłeś tak szybko.

Lars czekał, jedną dłoń włożył do kieszeni dzinsów.

- Jeśli dobrze pamiętam, napisałeś w raporcie, że w sobotę wieczorem po wizycie w Trasten Sophie pojechała do domu. Anders mówi, że widział cię kolo restauracji i że śledził Sophie, kiedy stamtąd wyszła, zgadza się?

- Tak jest. Koło jedenastej opuściła dom, pojechała do restauracji. Wyszła z niej koło północy, tak mi się wydaje. Pojechałem za nią do Norrtull, później odbiłem do domu. Założyłem, że pojechała do siebie.

Gunilla i Anders spojrzeli na niego, zdawali się szukać drobnych oznak kłamstwa. Lars podrapał się po szyi.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nie wiem, Anders cię widział - odparła Gunilla.

Lars spojrział na Andersa.

- Aha?

- Widziałem też dwóch mężczyzn, wchodzących do restauracji.

Lars zaczął okazywać niecierpliwość, zdenerwowanie.

- Tak? No i?

- Widziałeś ich?

Lars potrząsnął głową.

- Nie. A może i tak, ludzie wchodzili i wychodzili, to w końcu restauracja.

Lars wyłuskał tabletkę na gardło, włożył do ust, spojrział na Gunillę.

- Co to ma być? Przesłuchanie?

Gunilla nie odpowiedziała. Anders cały czas przyglądał się Larsowi.

- Ci mężczyźni w ogóle stamtąd nie wyszli. Hector też nie wyszedł. Tam są tylne drzwi. Czy kiedy śledziłeś Sophie, po tym jak wyszła z restauracji, zatrzymywała się gdzieś?

Tabletka na gardło, którą miał w ustach, dała mu prawo do przełknięcia śliny. Zrobiwszy to, potrząsnął głową.

-Nie.

Lars był wtedy naćpany do nieprzytomności. Amnezja dotycząca tamtego wieczoru była niemal całkowita. Miał w głowie tylko niewyraźny obraz tego, że zgubił ją koło Hagi, później biała plama. Bóg jeden wie, co się stało potem, a nawet jak wrócił do domu, Boga jednak nie mógł

o to zapytać - ich wzajemne stosunki były chłodne, by nie powiedzieć: lodowate.

Chodziło jak zawsze o to, by wmówić sobie, że kłamstwo jest prawdą, w ten sposób unikało się mówienia nieprawdy i okazywania niepewności.

- Nigdzie się nie zatrzymywała, przestałem ją śledzić, kiedy wjechała na autostradę.

- Którędy pojechała?

Skupił się na tym, by stojąc, nie wykonywać żadnych niepewnych ruchów, i wyobraził sobie kłamstwo.

- Z Odenplan, mimo zakazu, skręciła w lewo, w Sveavägen. Jechała aż do ronda, a potem ruszyła autostradą E4 na północ.

- Dlaczego nie wybrała drogi przez Roslagstull i Roslagsvägen? Miałaby bliżej.

Lars wzruszył ramionami.

- Na jedno wyszło. Pewnie potem skręciła na Bergshamrę i przejechała przez most Stocksundsbron. Skąd ja mam wiedzieć.

- Dlaczego nie śledziłeś jej aż do domu?

Lars ssał pastylkę na gardło, stuknęła o zęby.

- Było późno, na drogach mały ruch. Muszę być ostrożny

Gunilla i Anders spojrzeli na niego.

- Dziękuję, Lars. Dziękuję, że przyszedłeś.

Lars spojrział na nich.

-No i?

Gunilla zrobiła taką minę, jakby nie wiedziała, co Lars ma na myśli.

- No i co? Co się stało? - zapytał.

- Nic. Po prostu nie potrafiłam sobie ułożyć w głowie tamtego wieczoru.

- A co on tu robi?

Lars zadał pytanie, nawet nie patrząc na Andersa.

- Nie potrzebuję cienia - dodał cicho.

Jego złość zaskoczyła Gunillę.

- Wiem i wcale go nie masz. Anders pomaga nam zidentyfikować ludzi kręcących się wokół Hectora, po prostu znaleźliście się w jednym miejscu o jednej porze. Poprosiłam cię o rozmowę, bo chciałam sobie uporządkować wydarzenia. Ale najwyraźniej nie masz do powiedzenia nic ponad to, co już napisałeś w raporcie, więc wszystko jest jak trzeba. Prawda?

Lars nic nie odpowiedział, ale mrok otaczający jego postać nieco się rozproszył.

- Dziękuję, Lars... Kontynuuj obserwację.

Odwrócił się na pięcie i podążył tą samą drogą, którą przyszedł. Z trudem udało mu się zachować spokój, w środku cały się trząsnął.

Gunilla i Anders milczeli, dopóki Lars się nie oddalił.

- I co o tym myślisz? - zapytała.

Anders się zastanowił.

- Nie wiem, szczerze ci powiem, że nie wiem. Wydaje się, że mówi prawdę.

-Ale?

Anders zapatrzył się przed siebie.

- Lars jest na ogół niezdecydowanym człowiekiem. Dziś sprawiał wrażenie zbyt pewnego, jakby znalazł sposób na ukrycie jakiegoś kłamstwa.

Gunilla wstała.

- Zawieź mnie na posterunek i zostań w pobliżu przez jakiś czas.

Gunilla siedziała przy biurku Ewy Castroneves. Eva zebrała papiery, czytała je przez chwilę po cichu, aż w końcu znalazła właściwy fragment.

- Sobota. Na Vasastan nie działo się nic szczególnego, jazda po pijanemu, kilka pobić, kradzież w 7-Eleven przy

Sveavägen... Jedno przedawkowanie w Guldhuset w Vasaparken, kilka kradzieży samochodów, paru wandalii. Zwykła sobota. Jedyne, co odbiegało od normy, to niezidentyfikowany mężczyzna z ranami postrzałowymi, którego około pierwszej w nocy wysadzono pod Karolińska.

- Kim on jest?

Eva odwróciła się do jednego ze swoich komputerów i zaczęła stukać w klawisze. Popatrzyła w ekran.

- Żadnych informacji o nazwisku. Personel szpitala powiedział policji, że w malignie mówił po niemiecku. Poza tym nic, prawdopodobnie nadal jest nieprzytomny.

- Powiedziałaś „wysadzono”?

Eva skinęła głową.

- Tak, z samochodu osobowego, który odjechał z miejsca zdarzenia.

Godzinę później Gunilla i Anders patrzyli na nieprzytomnego Klausa Köhlera leżącego w białej pościeli w szpitalnym łóżku.

- Sam nie wiem... To może być jeden z nich, ten mniejszy

Gunilla czekała na więcej. Anders się nie spieszył, oglądał Klausa pod różnymi kątami. Zniecierpliwiła się.

- Anders?

Obrzucił ją krótkim, gniewnym spojrzeniem, jakby właśnie go zdekoncentrowała.

- Nie wiem, możemy go podnieść?

Rurki, kroplówka i kable łączyły mężczyznę z aparaturą na ruchomym stojaku koło łóżka. Gunilla pochyliła się, zajrzała pod łóżko.

- Chyba można podnieść zagłówek.

Anders podszedł do niej, znalazł pod łóżkiem pedał. Postawił na nim stopę, hydraulika zaczęła działać i wbrew jego życzeniu łóżko gwałtownie się obniżyło. Kiedy znalazło się w najniższej możliwej pozycji, igła, którą Klaus miał pod

skórą dłoni - od kroplówki - została wyrwana, po tym jak połączone z nią rurki zaczepiły o ramię. Jedno z urządzeń zaczęło piszczeć.

- O cholera.

Anders chwycił igłę i wetknął ją z powrotem w dłoń Klausa, piszczenie się wzmogło. W końcu znalazł właściwy pedał. Górna część ciała Klausa Köhlera uniosła się ku nim majestatycznie. Im bardziej Klaus był wyprostowany, tym większy hałas powodowała maszyna. Sinusoida na monitorze układała się w wysokie szczyty i głębokie doliny. Anders patrzył w podłogę, próbując coś sobie przypomnieć. Podniósł wzrok, znów opuścił i tak w kółko. W końcu wyszedł z sali. Gunilla poszła za nim, aparatura wciąż piszczała przeciągle, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

- No i co? - zapytała Gunilla.

W korytarzu napotkali biegnącą w ich stronę pielęgniarkę.

- Może... Pewnie tak. Gdzieś pomiędzy, ze wskazaniem na „pewnie tak”. Powiedziałbym, że na siedemdziesiąt procent.

Siedziała na betonowym kwietniku koło szpitala, ze słuchawką przy uchu, zadając Sophie uprzejme pytania i otrzymując uprzejme odpowiedzi.

- Nie mieliście zjeść razem kolacji? - zapytała.

- Nie udało się. Hectorowi wypadło nagle spotkanie, więc pojechałam do domu.

Anders stał kawałek dalej. Zabijał czas, rzucając kamykami do popielniczki, czemu towarzyszyło denerwujące brzękanie.

- Coś się stało? - zapytała Sophie.

- Nie, po prostu niektóre szczegóły są nie do końca jasne.

Sophie milczała.

- Wiesz, z kim się spotykał? - spytała Gunilla.

- Nie, nie mam pojęcia.

Anders Ask trafił kilka razy do popielniczki. Pling, pling, pling.

- Na pewno?

- Na pewno. O co chodzi?

Siedziała z telefonem w dłoni, wpatrując się w ceratę na stole w pokoju dla personelu. Słowa Gunilli rozbrzmiewały w niej echem. Próbowwała sobie przypomnieć, co powiedziała, jak przebiegła ta rozmowa. Próbowwała przypomnieć sobie ton swojego głosu... dobór słów. Czy coś ujawniła? Myśli krążyły jej w głowie. Trzymany w dłoni telefon zadzwonił znowu, dźwięk i wibracje jednocześnie. Była tak oszołomiona, że nawet nie spojrzała na wyświetlacz.

- Halo?

Mówił szorstkim tonem. Powiedział, że chce się z nią zobaczyć, zdziwiło ją to. Zapytała, gdzie jest Hector.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział.

Nagle zrobiło jej się niemiło. Polecił, żeby poczekała przed szpitalem po zakończeniu zmiany, wtedy się z nią spotka.

- Nie mogę - powiedziała.

- Możesz - odparł Aron i zakończył rozmowę.

Siedział za kierownicą, nie spojrzał na nią, kiedy otworzyła drzwi i usiadła na siedzeniu pasażera.

Aron wyjechał z placu do zawracania i obrał kurs na autostradę. Zamiast jednak skręcić na Sztokholm, wybrał drugi zjazd i pojechali w kierunku Norrtälje.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

Nie odpowiedział, Sophie powtórzyła pytanie.

- Do celu... Przestań zadawać pytania.

Jechali autostradą przed siebie. Podróż zdawała się nie mieć końca.

- Aron, co się dzieje? - zapytała szeptem.

Aron nie odpowiedział, jakby jej nie widział ani nie słyszał. Zaczął narastać w niej strach.

- Nie możesz przynajmniej powiedzieć, dokąd jedziemy?

Z pewnością słyszał jej niepokój, może właśnie o to mu chodziło.

Po jakimś czasie zjechał z autostrady. Sophie mignęła tabliczka, zdążyła przeczytać nazwę ulicy - Sjöflygvägen. Aron jechał w dół w kierunku morza. Wreszcie znalazł odosobnione miejsce i wyłączył silnik. Zapadła cisza, gorsza, niż potrafiłaby sobie wyobrazić, gęsta i zwiastująca coś niedobrego. Aron patrzył przed siebie.

- Wkrótce zaczniesz sobie zadawać pytania o tamten wieczór. Nie będą one miały żadnych jednoznacznych odpowiedzi. A kiedy nie będziesz potrafiła znaleźć odpowiedzi, zechcesz podzielić się pytaniami z kimś innym.

Sophie milczała.

- Nie rób tego - dokończył cicho.

Sophie patrzyła na swoje kolana, a później przez okno. Słońce świeciło jak zwykle, woda mieniła się w oddali.

- Hector o tym wie? - zapytała szeptem.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział.

Czuła, jak serce bije jej w piersi, jak w samochodzie zaczyna brakować tlenu.

- Grozisz mi, Aron?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Strach, który czuła, nagle zmaterializował się w kanalikach Izowych. Łzy pociekły po policzkach, duże i ciężkie. Chrząknęła, osuszając je rękawem.

- Mam to potraktować poważnie?

Nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie, może chciała zobaczyć, czy jest w nim choć odrobina człowieczeństwa.

- Tak - odpowiedział krótko.

Spostrzegła, że drżą jej ręce, delikatnie, prawie niezauważalnie, ale jednak. Ramiona bolały. Bolało ją też gardło, z całych sił próbowała przełknąć ślinę, gdyż wszystko, co nieprzyjemne, skupiło się właśnie w przelyku... Chciała tego całą sobą. W końcu odwróciła się od Arona i przełknęła.

- Wracamy?

- Jeśli mi powiesz, że rozumiesz to, co ode mnie usłyszałaś.

Sophie patrzyła przez okno.

- Rozumiem... - odpowiedziała głucho.

Aron pochylił się do przodu, przekreślił kluczyk, samochód ruszył.

12

1

Hasse Berglund stał w kolejce w restauracji serwującej hamburgery. Motywem przewodnim był Meksyk. Stojące za ladą przygłupy miały na głowach małe plastikowe sombrera. Zamówił El Jefe - potrójnego burgera z dodatkowym wszystkim, w zestawie były dwie porcje frytek. Hasse usiadł i ucztę mogła się zacząć. Żuł duże kęsy, oddychając przez nos.

Kilka stolików dalej siedziała grupa nastoletnich imigrantów. Czarnowłosych, białych, z ciemnym meszkiem pod nosem i w czarnych dresach. Byli rozwrzeszczani, nabuzowani hormonami, umięśnieni i bezczelni. Dwóch z nich zaczęło się klócić. Krzyczeli o wiele za głośno i zbyt nerwowo, wylali na podłogę napój z lodem.

Hasse popatrzył na nich, nie rozumiejąc, jak mogą być tak bladzi, skoro pochodzili z jakiegoś arabskiego kraju. Przecież tam świeci słońce...

Zmruzył oczy, ldey zrobiło się zbyt głośno. Mleczny shake przewrócił się i rozlał po stole. Jeden z chłopaków wrzasnął, ldey maź spłynęła mu na spodnie, drugi zaczął wykrzykiwać przelędnstwa, trzeci wyjmował ze swojego kubka kostki lodu i rzucał nimi w kolegów.

Hasse przyglądał im się z pełnymi ustami. Przepychali się. Nieustannie, mocno, nie zważając na innych... Zrobiło się brutalnie, jeden z chłopaków wpadł w złość. Zaczął krzyczeć w jakimś nieznanym Hassemu języku. Następnie wszystkie głosy połączyły się w chórze mutacyjnego piekła. Hasse zamknął oczy.

Osiemnaście miesięcy wcześniej Hasse Berglund wraz z kolegami ze sztokholmskiej policji tłukł młodego Libańczyka na Norra Bantorget. Koledzy wiedzieli, ldey przestać, Hasse nie wiedział. Odciągnęli go. Hasse się uspokoił, pokazał, że nic mu nie jest... że już nad sobą panuje. Koledzy zwolnili uścisk, on wyrwał się im i wymierzył ostatniego, pięknego kopniaka. Chłopak trzy dni leżał nieprzytomny. Lekarze stwierdzili liczne złamania żeber, krwotoki wewnętrzne, złamanie szczęki i obojczyka. Podczas procesu koledzy Hassego zaświadczyli o jego niewinności. Dwóch ławników smacznie spało, a prokurator był kolegą wszystkich zebranych z wyjątkiem chłopaka. Brodaty lekarz stwierdził, że „nie jest niemożliwe”, by te obrażenia chłopak zadał sobie sam, a adwokat oskarżonego, spieszący się na kolejną rozprawę, zadawał głupie i nieprzemyślane pytania. Hassego uniewinniono, chłopak zaś już nigdy nie wróci do pełnej sprawności. SzeF Hassego miał już tego jednak dosyć i postawił mu ultimatum: przenieść się ze śródmieścia na lotnisko albo przenieść się ze śródmieścia gównomnieobchodzi-gdzie.

Hasse pojechał na lotnisko Arlanda, próbował nie myśleć o utracie prestiżu, jednak bezskutecznie. Siedział tam więc od pewnego, ciągnącego się w nieskończoność czasu

i wysłuchiwał wszystkich czekoladowych mikołajów i Hotentotów, słuchał, jak opowiadają rozmaite bzdury, próbując wjechać do kraju, by dobrać się do zasiłków i później siedzieć na jakiejś pierdolonej ławce i żuć khat.

Ale wtedy niespodziewanie zadzwonił telefon. Gunilla Strandberg z policji kryminalnej zaprosiła go na spotkanie, na którym pozna dwójkę jej kolegów. Nic z tego nie rozumiał. Ale każda opcja była lepsza niż lotnisko.

Młodzi ludzie krzyczeli, Hasse przeżuł ostatni kęs, przełknął, przejechał językiem po zębach, wyjął policyjną legitymację i położył na stole. Wziął kilka głębokich oddechów, po czym chwycił swoje pudełeczko z frytkami i rzucił z całej siły w stronę chłopaków. Trafiło jednego z siłaczy w policzek, na kilku innych posypały się frytki. Stracili rezon, umilkli i wpatrywali się w Hassego, który ugryzł kolejny kęs, zbliżając się do granicy tego, co jego usta mogły pomieścić.

Jeden z chłopaków szybko wstał, uderzył się w pierś. Zadał jakieś pytanie, którego Hassemu nie chciało się słuchać. Był solidnie zmęczony tą ich imigrancką szwedzczyzną. Chłopak ruszył w jego stronę. Hasse Berglund wcisnął do ust jeszcze więcej jedzenia, uniósł legitymację i tą samą ręką odchylił połę kurtki, odsłaniając pistolet w założonej na ramię kaburze. Wskazał go brodą.

- Siadaj... - powiedział.

Chłopak cofnął się i usiadł. Hasse mierzył w każdego z nich frytkami i rzucał. Znosili to upokorzeni. Hasse nie demonstrował ani złości, ani zadowolenia, tylko celność, kiedy jego frytki trafiały w plecy, tył głowy, ręce i przyszczone twarze.

Anders Ask i Erik Strandberg weszli do restauracji, zobaczyli rozgrywającą się tragedię i podeszli do jego stolika.

- Ty pewnie jesteś Hasse Berglund - powiedział Erik.

Hasse spojrzął na nich, kiwnął głową i rzucał dalej.

- Ja jestem Erik, a to Anders.

Erik usiadł z westchnieniem. Dziś miał gorączkę, czuł spływający z czoła zimny pot i suchość w ustach.

Hasse rzucił frytkę wysokim łukiem, wylądowała w jednym z kapturów.

- Widzę, że trwa tu frytkowa wojna? - odezwał się Anders.

- No - odparł Hasse, nie przerywając rzucania.

Anders się przyłączył, wziął kilka frytek i zaczął rzucać w chłopaków. On także miał dobre oko. Poniżeni chłopcy patrzyli przed siebie.

- Wcześniej pracowałeś w centrum? - zapytał Erik, odychając ciężko, ciśnienie miał wysokie.

-Ta.

- A potem na Arlandzie?

Frytki się skończyły.

- Zamówimy następne? - zapytał Anders.

Erik pokręcił głową, odwrócił się do chłopaków.

- Miłego dnia, chłopcy. Uważajcie na siebie - powiedział, dając im znak, żeby spływali.

Imigranci wstali i wywlekli się z lokalu. Na zewnątrz zaczęli krzyczeć i bić się między sobą, w końcu zniknęli.

- Cudowne chłopaki! - powiedział Anders.

- Przyszłość Szwecji - dodał Hasse.

Erik kaszlnął w zgięcie ręki. Hasse pił napój przez rurkę, przyglądając się Erikowi i Andersowi. Anders usiadł wygodniej i zwrócił się do niego.

- Rozmawiałaś z Gunillą, opowiadała ci o projekcie. Chcieliśmy się z tobą zobaczyć.

- Mówiła mi o Eriku, ale ani słowa o Andersie.

- Anders jest konsultantem... - powiedział Erik.

- A co robi taki konsultant?

- Konsultuje - odparł Anders.

Hasse zobaczył frytkę, leżącą na krześle pomiędzy jego nogami, podniósł ją i zjadł.

- Strandberg? - zapytał. - To samo nazwisko. Gunilla to twoja baba?

Erik zlustrował Hassego.

- Nie - odparł.

Hasse czekał na dalszy ciąg, który jednak nie nastąpił.

- W porządku, jeden pies, cieszę się, że mnie do tego włączycie, bo jak rozumiem, to jest oferta pracy?

- Tak mi się wydaje. Anders, co powiesz?

Anders milczał. Hasse przyglądał się to jednemu, to drugiemu.

- Bez jaj, siedzę na jakimś pierdzielonym lotnisku, muszę się stamtąd wyrwać, zanim kogoś zastrzelę. Jestem elastyczny, powiedziałem to Gunilli.

Erik próbował znaleźć wygodniejszą pozycję na przykręconym do podłogi twardym plastikowym krześle, kilka razy ochryple zakaszłał.

- W porządku, więc tak... Pracujemy w grupie. Nie podważamy decyzji Gunilli, ona ma zawsze rację. Jeżeli efekty nie będą widoczne tak szybko, jak byśmy tego chcieli, to na pewno pojawią się z czasem. Gunilla o tym wie i dlatego jej słuchamy. Jeżeli nie zrozumiesz swojej roli, to nie zadawaj pytań, trzymaj gębę na kłódkę i pracuj dalej. Stoi?

Hasse pociągnął napój, kostki lodu zachrobotaly.

- Stoi - odpowiedział cicho, wypuściwszy rurkę z ust.

- Jeżeli będziesz miał jakieś uwagi, poczujesz się niesprawiedliwie potraktowany albo zaczniesz zrzedzić jak związkowiec, to... Wylatujesz, i to łbem do przodu.

Erik pochylił się, wziął nietkniętą szarlotkę Hassego i odgryzł pokaźny kęs. Ciastko było jak zwykle za gorące, jadł z otwartymi ustami i dalej mówił.

- Pracujemy w oparciu o proste równania, lubimy proste sytuacje. Jeżeli się sprawdzisz, zostaniesz nagrodzony.

Erik dokończył szarlotkę. Hasse nawet nie mrugnął. Erik wziął serwetkę ze stołu, otarł pot z rozpalonego gorączką czoła i głośnie się wysmarkał.

- Wkrótce zostaniesz do nas przeniesiony. Trzymaj głowę na kłódce i ani pary na ten temat kumplom, możesz być tylko kurewsko wdzięczny. Jasne?

- *Ten-four* - powiedział Hasse Berglund jak prawdziwy gliniarz z telewizji, uniósł kciuk w górę i krzywo się uśmiechnął.

Erik nie spuszczał z niego wzroku.

- I bez takich ciołkowatych zagrań - powiedział.

Podniósł się i wyszedł. Anders zrobił niewinną minę, wzruszył ramionami i podążył za nim.

*

Po spotkaniu z Gunillą i Andersem Larsa ogarnęła panika. Tabletki nie działały jak trzeba. Gunilla i Anders byli sprzymierzeńcami... Coś wywęszyli, a on nie mógł w tym uczestniczyć... Zwątpili w niego. Nie wierzyli mu.

Zżerały go nerwy. Szybko wrócił do domu, znalazł recepty, które zabrał Rosie, i pojechał do najbliższej apteki. Była kolejka, wolno posuwał się do przodu, babie za kasą się nie spieszyło. W żołądku czuł nerwowe ssanie. Aptekarka zaczęła zadawać pytania o jeden z leków. Lars odpowiadał monosylabami, był synem Rosie, nie wiedział, miał tylko wykupić. Od czasu do czasu drapał się w policzek.

Po powrocie do domu otworzył kompendium leków. Okazało się, że lyrica to istne jajko niespodzianka, trzy prezenty w jednym: na padaczkę, stany lękowe i bóle neuropatyczne. Rosie brała te tabletki na nerwy. Na opakowaniu było napisane „300 mg”, więc tabletki dawały największego kopa, bingo! Wziął dwie, popił wodą, stojącą już długo w szklance na biurku. Drugi środek był aerozolem do nosa,

Lars wyrzucił go do śmieci. Trzecim, który wyglądał inaczej i o który pytała aptekarka, był ketogan. Lars znów zerknął do kompendium. „Uzależnia. Przy przepisywaniu leku zachować największą ostrożność”. Lars był już uzależniony, tak powiedziała szkolna pielęgniarka... Jego mózg wygenerował myśl, że w takim razie tabletki mu nie zaszkodzą. Co się, kurna, może stać?

Czytał dalej, ketogan zawierał morfinę i był stosowany przy bardzo silnych bólach. Silnych bólach?

Rozdarł opakowanie. Cholera, czopki. Ale lepszy rydz niż nic. Lars opuścił spodnie, przykucnął i wepchnął ketogan w odbyty, potem kolejny... i jeszcze jeden. Włożył spodnie i przeszedł do dużego pokoju. Życie zamieniło się stopniowo w coś miękkiego, jednorodnego i kompletnego. Lars chodził bez celu, czując przyływ nagiej i bezbrzeżnej wdzięczności za wszystko, co go w życiu spotkało. Wszystkie elementy trafiły na swoje miejsce, wszystkie uczucia znalazły się tam, gdzie powinny, opieczętowane, bezpieczne, nie były w stanie nawet pisać ani wysunąć wątpliwości, o które mógłby się pokłuć. Usiadł w kącie. Parkiet wydawał się miękki, Lars się położył, czuł się jak w łóżku wodnym wypełnionym watą. Objął spojrzeniem krawędź podłogi. Wszystko było taicie śliczne, tak skomplikowanie piękne, tak błogie, że też podłoga może być aż tak ładna, tak cudowna w swej płaskości...

Leżąc, rozkoszował się wszystkim, co rozumiał, choć nie rozumiał. ICiedy poczuł, że zaczyna dochodzić do siebie, doprawił się kolejnymi tabletkami. Na moment świat zrobił się interesujący, palce Larsa zaczęły ze sobą rozmawiać, wyjaśniły mu prawdziwe zachowanie przyrody. Zachowanie stojące trzy kroki za prawami fizyki, dwa za boskim stworzeniem, jeden za stworzeniem Boga... Potem Lars zasnął.

Budzik zabrzmiał jak alarm lotniczy. Minęło parę godzin, a uczucie pustki urosło do rozmiaru olbrzymiej czarnej

dziury, która wessała całe światło w uniwersum Larsa. Podniósł się i stanął niepewnie na nogach, po czym na chybił trafił zażył parę tabletek. Czarna dziura zniknęła, życie znów stało się proste.

Pojechał do Stocksund. Wszystkie stacje radiowe puszczały świetną muzykę, dziwnie słyszał.

Znalazł kryjówkę dla samochodu, włożył słuchawki, rozsiadł się wygodnie i słuchał Sophie. Była sama, chodziła po domu, gotowała, rozmawiała z Clarą przez telefon, zaśmiała się z czegoś, co pokazywali w telewizji.

Lars chciał wejść do środka, uczestniczyć w tym, co robiła, albo tylko usiąść obok i się przyglądać. Zapadł zmrok, w willi panowała absolutna cisza. Tęsknota nie dawała mu spokoju.

Wpół do drugiej w nocy Lars zdjął słuchawki, naciągnął ciemną czapkę, ostrożnie otworzył drzwi i ruszył w stronę domu.

Kiedy szedł po asfalcie, poczuł zapach kapryfolium, nie wiedząc, co to takiego. Wszedł do ogrodu i bezgłośnie dostał się na werandę.

Wytrych zadziałał równie niezawodnie, jak ostatnio. Ustawił zapadki zamka w odpowiednim miejscu. Lars przekręcił ostrożnie gałkę drzwi, uchylił je i z kieszeni kurtki wyciągnął puszkę smaru w sprayu. Psiknął na zawiasy po wewnętrznej stronie, raz i drugi. Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Staął w dużym pokoju, kucnął i zawiązał buty, nasłuchiwał, słyszał tylko dudnienie własnego pulsu. Pomału i ostrożnie zaczął wchodzić po schodach na piętro. Stare drewniane stopnie trzeszczały lekko. Ulicą przejechał jakiś samochód. Lars porównał oba dźwięki, mniej więcej tyle samo decybeli. Jego kroki nie powinny jej obudzić.

Drzwi do sypialni Sophie były uchylone. Lars stanął nieruchomo, spokojnie i miarowo wciągał powietrze, uspokoił

oddech i postawi! stopę na miękkiej wykładzinie. Poczul zapach, lekki i delikatny, unoszący się w pokoju jak niewidzialny jedwab... Sophie. Leżała tam. Niczym wyjęta z marzenia leżała na plecach, z głową na poduszce, w lekko skrzywionej pozycji. Okalające głowę włosy, zamknięte usta. Jej klatka piersiowa spokojnie unosiła się i opadała. Kołdra sięgała brzucha, Sophie miała na sobie koronkową nocną koszulę. Spojrzenie Larsa przeniosło się na kontury jej piersi, zatrzymał je tam. Była taka piękna. Chciał ją obudzić i to powiedzieć: „Jesteś taka piękna”. Chciał położyć się obok, objąć ją i powiedzieć, że wszystko jest dobrze. Zrozumiałaby, co ma na myśli.

Ostrożnie wyjął aparat, wyłączył lampę błyskową i dźwięk, złapał ją w obiektyw. Bezgłośnie cyknął jakieś trzydzieści zdjęć śpiącej Sophie.

Kiedy miał stamtąd wyjść, jego spojrzenie znów padło na jej piersi. Wpatrywał się w nie, a rojenia z głębi jego oszołomionej świadomości zaczynały nabierać kształtów. Podkradł się bliżej... I bliżej. Wreszcie był tuż kolo jej twarzy. Widział jej skórę, niewielkie zmarszczki wokół oczu, rysy twarzy... Zamknął oczy, chłonął zapach, marzył...

Poruszyła się we śnie, wydając z siebie cichy odgłos. Lars otworzył oczy, ostrożnie wycofał się tyłem i bezszelestnie wyszedł z pokoju.

Kiedy usiadł w samochodzie, był zdyszany. Czuł się tak, jakby z nią współżył, jakby po raz pierwszy w niej był. Czuł się silny, bezpieczny i szczęśliwy. Wiedział, że ona czuje to samo. Z pewnością spotkała go w swoim śnie. A więc to jasne, on był jej aniołem wybawicielem, obecnym w jej życiu, choć o tym nie wiedziała, który kochał się z nią, kiedy spała, i chronił przed złem na jawie. Wziął kolejną dawkę narkotyku na receptę, otoczenie nabrało innego odcienia, język urósł w ustach, dźwięk się spowolnił.

Lars ruszył powoli w stronę miasta, minął oświetlone bladym światłem latarni Muzeum Historii Naturalnej. Zobaczył pioruńsko wielkiego pingwina, który patrzył na niego pytającym wzrokiem.

*

Sophie śniły się koszmary, nie pamiętała jakie, obudziła się z nieprzyjemnym uczuciem. Uczuciem, że coś jej się przydarzyło, wrażeniem czegoś obrzydliwego. Wstała z łóżka, spała zbyt długo. Z dołu dobiegał dźwięk odkurzacza.

Już dawno nie widziała Doroty. Zwykle sprzątała, kiedy Sophie była w pracy, dziś jednak Sophie miała wolne. Ucieszyła się na jej widok, kiedy zeszła na dół. Dorota była sympatyczna. Sophie ją lubiła.

Dorota pomachała z dużego pokoju, gdzie stała z odkurzaczem, Sophie odpowiedziała uśmiechem i poszła do kuchni szykować śniadanie.

- Mogę cię później odwiedzić! - krzyknęła.

Dorota wyłączyła odkurzacza.

- Co mówiłaś?

- Że mogę cię później odwiedzić.

Dorota pokręciła głową.

- Nie trzeba, mieszkam niedaleko.

- Nieprawda. Ale zawsze tak mówisz.

Dorota usiadła z przodu z torebką na kolanach. Przejechały przez most Stocksundsbron i skręciły koło Bergshamry.

- Nic nie mówisz, Dorota. Wszystko w porządku? Dzieci czują się dobrze?

- Wszystko w porządku, dzieci czują się dobrze... Tęsknię za nimi, ale wszystko jest w porządku.

Jechały chwilę w ciszy.

- Może jestem zmęczona - powiedziała Dorota, patrząc przez okno.

- Możesz wziąć wolne, jeśli chcesz.

Dorota potrząsnęła głową.

- Nie, pracować mogę. Nie w ten sposób zmęczona, tylko zmęczona w głowie, można tak powiedzieć?

Dorota spróbowała się uśmiechnąć, po czym przeniosła wzrok na mijany krajobraz. Jej wymuszony uśmiech zniknął. Sophie patrzyła raz na Dorotę, raz na drogę przed sobą.

Odkąd Sophie ją знаła, Dorota mieszkała w Spångze. Od czasu kiedy przysłała do nich pierwszy raz, minęło prawie dwanaście lat. Nawiązała się między nimi przyjaźń. Dzisiaj po raz pierwszy Sophie zauważyła, że Dorota zachowuje się nieswojo. Zwykle była radosna, opowiadała o dzieciach, śmiała się z tego, co mówiła Sophie. Dzisiaj jednak była zamknięta w sobie. Sophie spojrzała na nią znowu. Wyglądała na smutną, może przestraszoną.

Zaparkowała przed bramą Doroty na Spånga torg.

Dorota siedziała jeszcze przez chwilę, po czym odpięła pas i odwróciła się do Sophie.

- Cześć, dzięki za podwiezienie.

- Widzę, że coś cię gnębi - powiedziała Sophie. - Gdybyś chciała porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać.

Dorota nie ruszała się z miejsca, milczała.

- Dorota, co ci jest?

Zawahała się.

Sophie czekała.

- Ostatnio kiedy przysłałam do was posprzątać, w domu było dwóch mężczyzn.

Sophie nadstawiła uszu.

- Najpierw myślałam, że to jacyś wasi krewni albo przyjaciele, ale zrobili się groźni, grozili mi.

Sophie przeszedł zimny dreszcz.

- Powiedzieli, że są policjantami i że jeżeli komuś o tym opowiem, będę miała problemy.

Myśli kłębiły się w głowie Sophie.

- Przepraszam cię, przepraszam, że nic nie mówiłam, ale nie miałam odwagi... Później postanowiłam, że ci powiem. Zawsze jesteś taka miła.

- Co robili? Zrozumiałaś, po co tam są? Mówili coś?

Dorota pokręciła głową.

- Nie, nie wiem. Jeden próbował być miły, drugi był okrutny, zimny i... Nie wiem. Wydawał się zły. Nie powiedzieli, co tam robią. Porozmawiali ze mną i poszli.

- Dokąd?

- Na zewnątrz.

- Weszli drzwiami? Jak się dostali do środka?

Sophie słyszała swój własny strach.

- Nie wiem. Wyszli drzwiami na taras. Nic więcej nie wiem.

Sophie próbowała myśleć.

- Powtórz wszystko, co mówili.

Dorota starała się sobie przypomnieć.

- Jeden powiedział, że nazywa się Lars. To jedyne imię, jakie słyszałam.

- Lars?

Sophie nie wiedziała, dlaczego to powtórzyła.

- Lars jaki? - zapytała.

Dorota wzruszyła ostrożnie ramionami.

- Nie wiem.

- Jak wyglądali? Spróbuj opisać ich tak dokładnie, jak potrafisz.

Dorota nie spodziewała się takiej reakcji Sophie. Oparła głowę na dłoni i patrzyła z ukosa w dół.

- Tak kiepsko to pamiętam...

- Spróbuj.

Zabrzmiało to jak polecenie. Dorota widziała, że Sophie zależy na tym opisie.

- Ten pierwszy, który przedstawił się jako Lars, miał może trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Jasne włosy...

Myślała, grzebała w pamięci.

- Wyglądał na przestraszonego... Niepewnego.

Sophie słuchała.

- Drugi był bardziej zwyczajny, trudno go opisać. Może koło czterdziestki, może młodszy. Ciemne włosy z siwymi pasmami... Wyglądał sympatycznie, ale był złośliwy. Miłe oczy. Ciemne, okrągłe... Jak u chłopczyka.

Dorota się wzdrygnęła.

- Uch, był okropny.

Sophie przyglądała się Dorocie, widziała jej strach. Nachyliła się do niej i przytuliła.

- Dziękuję - wyszeptwała.

Przyglądały się sobie, lędy zwolniła uścisk. Dorota poklepała Sophie po pó policzku.

- Masz kłopoty?

- Nie... Nie mam. Dziękuję ci, Dorota.

Dorota spojrzała na nią.

- Ten złośliwy zabrał mi dowód, powiedział, że nie wolno mi nic nikomu powiedzieć. Obiecuj mi, że nie zrobisz teraz niczego głupiego. On mówił poważnie... Wie, ldm jestem.

Sophie chwyciła ją za rękę.

- Obiecuję. Nic ci się nie stanie.

Sophie wyjechała ze Spångi. Trzymała się za samochodami, zmieniła pas, pilnowała ograniczenia prędkości. Znajdowała się w próżni, gdzie nie było miejsca na żadne myśli ani uczucia. Po czasie gdzieś w jej głowie otworzył się zawór i rozrzana do czerwoności wściekłość rozlała się jak woda z pękniętej tamy, wypełniając jej wnętrze do absolutnych granic.

13

Zmęczenie przeszło w nerwowe czuwanie. Wjeżdżając do Monachium, Jens czuł się jak naćpany. Nie spał od dwóch dni, funkcjonował tylko i wyłącznie dzięki sile woli.

Dom, którego adres podał mu Michał, okazał się mieścić w senniej dzielnicy willowej, w której jeden tuż obok drugiego stały identyczne domy z lat sześćdziesiątych. Małe trawniki, wbudowany garaż, niski standard. Jens zatrzymał się pod numerem 54, wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Ani żywej duszy. Wszedł pod górę wyłożoną kamieniami ścieżką i sprawdził drzwi, były otwarte. Nacisnął klamkę i ostrożnie wszedł do środka.

- Halo?

Brak odpowiedzi. W mieszkaniu nie było mebli, nie licząc starej kanapy w czymś, co miało przypominać duży pokój. Na ścianach pamiętające dawne czasy wyblakłe tapety w pionowe paski, na suficie i na podłodze gdzieś tam brązowe plamki wilgoci. Zajrzał do kuchni. Stół, dwa krzesła, ekspres do kawy, cicho jak makiem zasiał. Jens odwrócił się i spojrzął na drzwi, które właśnie za sobą zamknął. W futrynie, jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą, tkwiły dwie elektryczne diody. Takie same jak w sklepach, sygnalizujące, gdy wiązka światła zostanie przerwana. Przyjrzał się amatorskiemu urządzeniu, prześledził wzrokiem drogę kabli i dostrzegł, że połączono je z cienkim drutem telefonicznym, niedbale wsuniętym pod listwę u sufitu.

Zaczął się spieszyć, wbiegł na górę - dwa pokoje i łazienka. Przeszukał szafy, dokładnie oglądał podłogi i ściany, próbując znaleźć skrytki. Znów zbiegł na dół i to samo zrobił w kuchni oraz w pokoju wychodzącym na tył domu. Pusto. Zaczął się zastanawiać, czy nie uciec, pomyślał, że być może zwabiono go w pułapkę. Co jest gorsze - Rosjanie, którzy nie

otrzymali towaru, czy skurczybyki z Niemiec, które prawdopodobnie są już w drodze? Odpowiedź brzmiała: Rosjanie. Musi odzyskać swoją broń.

Drzwi do piwnicy napęczniały i ciężko je było otworzyć. Jens napierał z całej siły, ale ani drgnęły. Cofnął się o metr, wziął rozpęd i kopnął. Po kolejnych dwóch silnych kopniakach drzwi ustąpiły.

Trzema krokami pokonał schody do ciemnej piwnicy i w nozdra uderzył go ciężki zapach wilgoci. Ręką próbował wymacać włącznik światła. Sekundy mijały, a on nie mógł go znaleźć; potknął się o coś, posuwał się naprzód, trzymając się ściany. Poczłł kolejny zapach, znajomy - woń czegoś martwego. Ten sam zapach czuł jesienią w domku na wsi, kiedy w ścianach były zdechłe myszy. Ten sam, choć teraz był ostrzejszy, bardziej intensywny. Zebrało mu się na wymioty, oddychał w rękaw, drugą ręką trzymając się ściany.

W rogu odnalazł przełącznik, przekręcił go. Lampy obudziły się niemrawo do życia i w mrugającym świetle jarzeniówki Jens zobaczył ciało. Znajdował się w garażu bez samochodów, pomieszczenie skąpane było w bladym, zimnym świetle. Zwłoki leżały na plecach, na jego skrzyniach z bronią. Mężczyzna miał rozcięte gardło. Twarz była nabrzmiąta, jasnożółta, jak z wosku. Jens patrzył na trupa jak skamieniały. Nie wiedział, co zrobić, próbował zdusić szarpające go uczucie strachu.

Usłyszał, jak na górze otwierają się i zamykają drzwi wejściowe, czyjeś kroki w pustym pokoju odbijały się echem w piwnicy. Na najwyższym schodku ukazała się para wielkich butów.

- Wchodź na górę - mruknął Michail.

Kiedy Jens wszedł po schodkach, Rosjanin chwycił go i zaczął rewidować, szukał broni. Nic nie znalazł i odepchnął go od siebie.

Na starej kanapie siedział młody mężczyzna w garniturze i białej, rozpiętej koszuli. Przy oknie na ulicę stał starszy mężczyzna, odwrócony do Jensa plecami i ubrany mniej niedbale.

- Mówisz, że z ludźmi Guzmana nie masz nic wspólnego? Tak słyszałem.

Ralph Hanke odwrócił się.

- Na moich skrzyniach w piwnicy leży jakiś martwy facet
- powiedział Jens.

- Jürgen?

- W dupie mam, jak się nazywa. Czy możecie go, z łaski swojej, zabrać?

Ralph się uśmiechnął. Jens popatrzył na niego, w tym uśmiechu nie było radości, była to tylko fizyczna czynność uniesienia kącików ust.

- Widzisz, na Jürgena polowaliśmy już długo. Orznął nas na czterdzieści tysięcy euro, myślał, że nikt tego nie zauważy. Bo co to dzisiaj jest czterdzieści tysięcy? Nawet porządnego samochodu się za to nie kupi. Ale Jürgen nie mógł się powstrzymać.

Ralph znów wyjrzał na ulicę.

- Zrobił jeszcze parę innych rzeczy, przez które mieliśmy problemy... My nie zabijamy ludzi dla czterdziestu tysięcy euro. Nie jesteśmy potworami.

- Bądźcie tak mili i zabierzcie umarlaka z moich rzeczy, i już mnie tu nie ma. Tak się umówiłem z Michailem - ciągnął Jens.

- I ta umowa wciąż obowiązuje... w zasadzie. Chciałbym z tobą porozmawiać, zanim pojedziesz.

Jens spojrział na Christiana, który przez cały czas gapił się na niego szeroko otwartymi oczyma. Ralph się odwrócił.

- Mój syn, Christian - oznajmił.

Jens pokazał wzruszeniem ramion, że go to nie obchodzi.

Ralph przeszedł do rzeczy.

- Chcę zaprosić Guzmanów. Chcę, żeby do nas przeszli... Od teraz to my będziemy się zajmować ich interesami. Zostaną, że tak powiem, zatrudnieni. Na dobrych warunkach.

Jens wzruszył ramionami.

- Rozmawiacie z niewłaściwą osobą. Nie mam z Guzmanami nic wspólnego. Jestem tu po to, by odebrać moje rzeczy, i tylko po to.

Ralph wziął głęboki oddech i pokręcił głową.

- Nie. Przedstawisz im moją propozycję, zadzwonisz do nas i powiesz, jak oni ją przyjęli. Będziesz w tym pośredniczył. A dopóki jestem w tym pokoju, wszelkie umowy z Michaiłem są nieważne... Sorry.

Ralph zrobił teatralną pauzę.

- Michaił mówi, że natknął się na ciebie kilka razy. Idealnie nadajesz się do tego zadania. Gdybym to ja wystąpił z pośrednictwem, Guzmanowie by zaprotestowali. Chcę, żebyś to przemyślał, o'ddamy ci broń. Jeżeli postanowisz nie zrobić tego, o co cię prosimy, dowiemy się, gdzie jesteś.

Ralph wzruszył ramionami, sygnalizując, że Jens pewnie domyśla się dalszego ciągu.

Jens uznał, że jest bez szans. Gdyby w pokoju nie było Michaiła, rzuciłby się na ojca i syna, nie bez przyjemności.

- Jak brzmi pytanie?

Ralph się zastanowił.

- Nie ma żadnego pytania. Powiedz tylko, że chcielibyśmy ich zaprosić, zrozumiej, co chcę przez to powiedzieć.

- Przekażę wam odpowiedź i na tym moja rola się skończy - rzekł Jens.

- Kim jest kobieta?

Pytanie padło niespodziewanie, Jens próbował udawać niezorientowanego.

- Tak, ta, która prowadziła samochód, kiedy tak bohaterko uratowaliście Hectora.

- Nie wiem, pewnie jedną z kochanek Hectora.

Ralph pokiwał głową.

- On taki jest?

-Jaki?

- Zadaje się z kobietami?

- Nie mam pojęcia.

- Jak ona się nazywa?

Jens pokręcił głową.

- Nie wiem.

Ralph patrzył na Jensa przez chwilę, próbując wyczytać coś z jego oczu.

- Michał tu zostanie i pomoże ci zabrać rzeczy - powiedział, ruszając w kierunku drzwi. Christian wstał z kanapy i poszedł za nim. Wyszli z domu, drzwi się zamknęły, zapadła cisza.

Michał wskazał schody do piwnicy Jens przyjrzał się stojącemu przed nim potworowi. Przetarł oczy, westchnął i zszedł. Michał podążył za nim.

Dźwignęli martwego Jiirgena ze skrzyń, wnieśli do pomieszczenia, które wyglądało jak stara pralnia, i położyli ciało na zimnej podłodze. Wrócili do garażu.

- Jak się czuje Klaus? - zapytał cicho Michał.

- Lepiej niż Jürgen...

Michał powtórzył pytanie.

- Dlaczego się przejmujesz? - spytał Jens.

- Przejmuję się.

Zatrzymał się przy swoich skrzyniach.

- Zawieźliśmy go na pogotowie, da sobie radę.

Michał podszedł do drzwi garażu i podciągnął je. Do pomieszczenia wpadło światło dnia. Złapali wspólnie jedną ze skrzyń Jensa, podnieśli i poszli do jego samochodu, który stał zaparkowany przy krawężniku.

- Klaus to dobry człowiek.

Wstawili skrzynię do bagażnika.

- Jak definiujesz dobrego człowieka? - zapytał Jens.

Michaił nie odpowiedział, weszli znów do garażu i zrobili to samo z drugą skrzynią. Następnie Jens zamknął bagażnik.

- Daj mi swój numer - powiedział Michaił.

Jens podał mu tymczasowy numer komórki. Michaił wysłał mu wizytówkę. Telefon Jensa zadzwieczał.

- Zadzwoń pod ten numer, jak już porozmawiasz z Guzmanami. Dopilnuj, żeby coś z tego było. Ió wszystko wydaje się popierdalone - zakończył Michaił i bez pożegnania wrócił do domu, kołysząc się na bold.

Jens wyjechał z Monachium i wziął kurs na Polskę. Najszybciej byłoby przejechać przez Czechy, ale w miarę możliwości chciał uniknąć większych przejść granicznych. Wybierając drogę przez Niemcy, miał nadzieję znaleźć jakieś mniejsze. Udało mu się to w Zittau, do Polski wjechał bez większych problemów.

Zadzwoził do Rista, powiedział, że z bronią było dużo pierdzielenia, ale już jest w drodze. Poprosił go, by przekonał Rosjan, żeby nie robili afery z opóźnienia, oświadczył, że jest gotów udzielić drobnego rabatu i wolałby uniknąć rozróby. Powiedział, że za siedem godzin będzie w Warszawie, i podał Ristowi nazwę w hotelu, w którym będzie go można złapać następnego dnia. Risto odparł, że zobaczy, co da się zrobić.

Było ciemno, tak jakby ta część polskiej prowincji była pozbawiona prądu. Wszędzie panował gęsty mrok. Nie minął go ani jeden samochód, w oddali nie świecił żaden dom. Dopadło go przelotne uczucie, że jest na świecie zupełnie sam. Buch, buch, buch, buch. Kiedy koła przejeżdżały po spojeniach betonowych bloków, Jens czuł się jak w pociągu. Dźwięk był monotony i hipnotyzujący. Oczy nie przyzwyczyły się do ciemności. Reflektory oświetlały tylko wąski stożkowy odcinek tuż przed nim, a droga cały czas

wyglądała tak samo - równie szara i jałowa, co zalegająca dookoła ciemność. Buch, buch, buch, buch... Dźwięk ułożył się w melodię do *Vyssan lull*. Jens zaczął potrząsać głową, potem zaś, chcąc powstrzymać się przed zaśnięciem, otworzył okno i zaczął śpiewać na cały głos. Nic to nie pomogło, przestał śpiewać, wydawało mu się, że śpiewa, ale piosenka trwała tylko w jego myślach. Pokiwał głową. Buch, buch, buch, buch... a potem nagle inny dźwięk. Natarczywy. Telefon!

Sygnał uratował go przed zjechaniem na pole. Wjeżdżał właśnie do rowu, łądedy gwałtownie skręcił kierownicą i znów wrócił na wyboistą drogę. Westchnął z ulgą.

- Halo?
- Obudziłam cię?
- Tak. Dziękuję.
- Mówi Sophie.
- Tak, słyszę.
- Gdzie jesteś?
- Jadę samochodem.

Podciągnął szybę i zmniejszył prędkość, żeby lepiej słyszeć.

- Chyba potrzebuję pomocy.
- Jakiej pomocy? - zapytał.
- Ktoś był u mnie w domu.
- Dzwonisz teraz z domu?
- Nie. Z jednej z nielicznych wciąż istniejących budek.
- Dobrze.

Długa cisza.

- Czujesz, że jesteś w niebezpieczeństwie?
- Tak... ale to może trochę poczekać.
- Wrócę do domu za dzień lub dwa, zadzwoń wtedy do mnie. Jeśli coś zdarzy się wcześniej, to też dzwoń.
- Okej.

Trzymała słuchawkę przy uchu, jakby nie chciała się rozłączać. Słyszał jej oddech.

- Nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.
- Bądź ostrożna - powiedział i zakończył rozmowę.

Tego wszystkiego zaczynało być już trochę za dużo.

W drzwiach znalazł paczkę papierosów, zapalił jednego samochodową zapalniczką, znów opuścił szybę i wydmuchiwał dym za okno. Oddychał polskim wiejskim powietrzem, lekko przyprawionym zapachem węgla brunatnego z jakiejś pobliskiej elektrowni.

Zmiana samochodu. Lars zamienił volvo na saaba. Stary, granatowy model 9000, którym przyjechał do Stocksund. W bagażniku miał sprzęt do nagrywania.

Zaparkował, upewnił się, że odbiornik działa, włączył aktywację głosem, zamknął samochód i przespacerował się na plac Stocksunds torg. Tam wsiadł do autobusu, którym dojechał do szpitala w Danderyd, następnie zszedł pod ziemię i pojechał metrem do centrum Sztokholmu.

Stał przy drzwiach wagonu, trzymając się uchwyty pod sufitem. Czuł, że ci dranie chcą go wykolegować. Wskazywało na to zachowanie Gunilli, to, że go ignorowała, nie zapraszała do siebie, zlecała niekończącą się obserwację, nie komentowała jego raportów ani o nich nie wspominała. Traktowała go jak jakiegoś dalekiego i przelotnego znajomego, nie znosił tego. Poza tym w biurze na Brahegatan pojawił się wielki niedorozwinięty rasista z dwoma podbródkami. Gunilla przedstawiła go jako ich nowego człowieka. Hasse Berglund: były gliniarz, były pracownik lotniska i według Larsa opasły nieudacznik. Gunilla powiedziała, że im pomoże, aha, ciekawe, w czym? Czy zajmie jego miejsce? Co Gunilla i Anders mówili w Humlegården? Co się tam działo? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większy miał mętlik w głowie. Cholera, jego mózg nie pracował tak jak powinien.

Lars próbował się skoncentrować, zamykając oczy i wyobrażając sobie małe czworokąty, podobne do małych skrzynek, do których wkładał pasujące do siebie zdarzenia. Stworzył trzy skrzynki - jedną dla Gunilli, drugą dla swojego śledztwa i trzecią dla Sophie. Zaczęło się dobrze. W poszczególnych czworokątach umieszczał różne zdarzenia, potem jednak zaczął się wahać i zamieniać skrzynki. Stracił koncentrację, rozzłościł się i zorientował, że mamrocze do siebie; otworzył oczy.

Jakiś mężczyzna z dziecięcym wózkiem popatrzył na niego niespokojnie i odwrócił wzrok. Lars znów zamknął oczy i próbował przywołać w głowie obraz czworokątów, ale ktoś mu przerwał, wydychając nos. Z głośnika rozległ się ryk: „Politechnika!”, po czym głos zaczął marudzić coś o przeziadce na Roslagsbanan. To był koniec, Lars się poddał, wyobrażone czworokąty obróciły się w proch.

Otworzyły się drzwi, do środka wszedł jakiś pijak i po chwili zaczął się czepiać młodej kobiety, która siedziała z tyłu wagonu i czytała książkę. Pół roku wcześniej Lars podszedłby do niego, pokazał policyjną legitymację i zmusił do wyjścia z pojazdu. Teraz było mu wszystko jedno, miał wszystko w dupie i patrzył w podłogę. Pijak rozrabiał, kobieta się męczyła.

Siedział na podłodze w swoim gabinecie i robił notatki, zapisywał wszystko, co się stało, zadawał sobie pytania: Gunilla, Sophie, samochód koło Hagi? Co takiego wiedziała Gunilla, czego on nie wiedział? Lars pisał i rysował - nazwiska, strzałki, znaki zapytania. A Anders? Co Anders Ask robił tam z Gunillą?

Więcej pytań, ale nie odpowiedzi, pisał, myślał, znowu pisał, kartka robiła się zabazgrana, zbyt dużo tekstu, zbyt wiele znaków zapytania.

Lars podniósł się z podłogi i popatrzył na wiszące na ścianie obrazy: mała w hawajskiej koszuli siedziała na sedesie z rolką papieru toaletowego w pysku. Miał ten obraz w swoim pokoju jako mały chłopiec i wszędzie go ze sobą zabierał. Obok obrazu wisiało powiększone zdjęcie Ingo Johanssona w szortach i rękawicach bokserskich, lekko pochylonego do przodu, gotowego do ataku. To zdjęcie Lars dostał od ojca, kiedy skończył osiem lat. „Ingo to nie jest jakaś tam pizdeczka, zapamiętaj to sobie, mały”. Lennart pił zawsze przed kolacją cztery Rob Roye, lubił boksować się na niby, o wiele za mocno, mówił, że światem rządzą Żydzi, a Olof Palme był komunistą, tego typu rzeczy..

Lars zdjął ze ściany małą i Ingo, postawił ich na podłodze i chwycił leżący na biurku gruby marker. Stał przed wielką białą ścianą i zaczął przenosić na nią swoje zapiski. Pisał, rysował, tworzył, cofał się i oglądał swoje dzieło, oceniał... Czegoś brakowało.

Lars wydrukował jedno ze zdjęć Sophie, przyczepił je na środku, znów się cofnął, przyglądał się badawczo. Ona patrzyła na niego, on na nią. Coś, czego przedtem nie rozumiał, zaczęło mu się ukazywać. Podrapał się po głowie, serce biło szybciej. Wydrukował więcej plików, zdjęcia wszystkich związanych ze sprawą, powiesił je na ścianie niczym wachlarz wokół Sophie. Wypisał, jak się nazywają, co zrobili, a czego nie... Pomiędzy nimi rysował czerwone linie, by znaleźć powiązania.

Wszystkie prowadziły do Sophie.

*

I lector zadzwonił. Głos miał wręcz potulny, jakby zachowywał ostrożność, nie chcąc jej przestraszyć albo sprawić, by czuła się niekomfortowo. Poprosił ją o pomoc. Zrozumiała, że to pretekst do spotkania.

Hector leżał na kanapie w swoim mieszkaniu na Gamla stan. Sophie siedziała przy jego zagipsowanej nodze i badała pęknięcie w górnej części gipsu. Delikatnie nim poruszyła.

- Nie potrafię nic powiedzieć. Powinieneś jechać do szpitala, niech przyjrzy się temu lekarz.

- Zdejmij mi to - powiedział.

- Został ci jeszcze co najmniej tydzień.

- Nic mnie nie boli, mogę ruszać nogą mimo gipsu, więc pewnie i tak za późno?

- Od kiedy tak chodzisz?

- Od tamtego wieczoru - odparł.

„Od tamtego wieczoru”... Nikt nie chciał wspominać

o wieczorze, a już na pewno nie ona.

- Jesteś pewien? - zapytała.

- Czego?

- Ze chcesz zdjąć gips. Może być na to za wcześnie, mogą się pojawić powikłania.

Pokiwał głową.

- Zdejmij to.

- Obcęgi, nożyczki?

- W kuchni, w drugiej szufladzie od góry, a obcęgi w skrzynce na narzędzia pod zlewozmywakiem.

Wstała, poszła do kuchni i zaczęła grzebać w jego szufladach. Znalazła nożyczki. Następnie otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem. Wyciągnęła skrzynkę z narzędziami i trafiła na to, czego szukała, obcęgi z prostymi szczękami. Były jednak małe, trochę to potrwa.

Wróciła do dużego pokoju, Hector pólleżał na sofie i wodził za nią wzrokiem. Znow usiadła koło jego nogi. Pomagając sobie obcęgami, rozcinała gips z góry na dół. Czuła na sobie jego spojrzenie.

- Sam mógłbyś to zrobić - powiedziała, nie przerywając.

- Nie chcieliśmy, żebyś brała w tym udział - powiedział

Hector.

- Aron dał mi to jasno do zrozumienia - odpowiedziała szorstko.

- To on się niepokoi, nie ja.

Spojrzała na niego.

- Mam w to uwierzyć?

-Tak.

- W to, że ty się nie niepokoisz?

Potrząsnął głową.

- W najmniejszym stopniu, ani trochę.

- Dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ cię znam.

- Nieprawda, nie znasz mnie.

- Ponieważ mnie lubisz.

Popatrzyła na niego, nie spodobały jej się te słowa, nie spodobał się jego ton ani nawet uśmiech, który miał na twarzy.

Najwyraźniej dostrzegł jej reakcję. Uśmiech powoli zniknął. Sophie dalej cięła gips.

- Nie jestem złym człowiekiem - powiedział zniecka.

Nie odpowiedziała, pracowała dalej i wtedy po raz pierwszy zobaczyła w nim desperację. Nie była silna, ale mimo to dało się ją wyczuć w powietrzu. Odrobina paniki, którą starał się trzymać w szachu.

- Twój mąż? - zapytał. Starał się mówić neutralnym tonem. Jakby znów byli w szpitalu i bawili się w dziesięć pytań.

Szczypce przedzierały się przez gips.

- Nigdy o nim nie wspominasz - ciągnął.

- Wspominam. Już wcześniej pytałeś.

- Zgadza się, ale sama nic nie mówisz.

- Nie żyje - wyszeptwała, całą uwagę poświęcając mocowaniu się z gipsem.

- No tak, ale coś więcej?

- To ciebie nie dotyczy.

- Ale mimo to chciałbym wiedzieć.

Przestała ciąć, spojrzała na niego.

- Dlaczego?

- Czego ty się tak boisz?

Zdenerwowanie szybko w niej narastało.

- No właśnie, czego ja się tak boję, Hector?

Nie wyłapał sarkazmu.

- Dobrze wam było razem? Tobie i Davidowi?

O co mu chodzi? Puściła szczypce.

- Nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz?

- Tego wszystkiego. Czego ode mnie chcesz?

- Chcę wiedzieć, kim jesteś, przez co przeszłaś. Dokąd zmierzamy..

Poczuła nagły przypływ niechęci.

- Dokąd zmierzamy? Nie wiem... Nie sądzisz, że sytuacja nieco się zmieniła?

- Nie, nie sądzę.

Zdała sobie sprawę, że się w niego wpatruje. Może on ma jakieś zaburzenia emocjonalne. Nieumiejętność zrozumienia jej strachu po tym, co się stało, po groźbie Arona. Może żyje w zupełnie innym świecie... Może ostrzeżenia Gunilli były prawdą.

Te myśli ją przeraziły. Ogarnął ją nagły niepokój na myśl, że jest z nim w jednym pokoju. Naraz zachciało jej się wstać i wyjść, poczuła przemożną chęć ucieczki i zostawienia go samego. Nie mogła jednak tego zrobić. Wzięła się w garść, spróbowała podtrzymać rozmowę, by ukryć swój strach. Znów zaczęła ciąć gips.

- Nie, nie było nam ze sobą dobrze - powiedziała cicho.

Próbowała pochwycić wspomnienia.

- David był zajęty sobą - zaczęła. - Taki typ człowieka, egoista. Zrozumiałam to dopiero po kilku latach. Później wyszło na jaw, że mnie zdradzał. Chciałam się z nim rozwieść i wtedy, w trakcie przygotowań, usłyszał diagnozę. Prosił

i zaklinał, bym go nie zostawiała. Czuł podświadomie, że będę się nim opiekowała. Jego stan się pogorszył, zaczął bać się śmierci i wymagał ogromnych pokładów uwagi i zrozumienia. Skrupiło się na Albercie, który nic nie rozumiał.

Podniosła wzrok i spojrzała na Hectora.

- David zachowywał się źle - kontynuowała. - Takim go zapamiętałam.

Rozcinała gips. Hector nic nie mówił, nie kiwał głową.

- A Albert?

- Płakał.

Hector czekał na dalszy ciąg, który jednak nie nastąpił. Sophie rozchyliła i zabrała gips, po czym naciągnęła koc na jego gołe nogi.

- No więc, Hector, znów jesteś wolny - powiedziała. Spróbowała się uśmiechnąć, kiedy usłyszała, jak oficjalnie to zabrzmiało. Zaczęła wstawać.

- Poczekaj - powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Wyraz twarzy Hectora się zmienił, jakby znów był sobą, wydawał się bardziej odprężony, możliwe, że w jego oczach tlił się smutek.

- Chcę cię prosić o wybaczenie.

Wyczuła napięcie, pewnego rodzaju skruchę. Jego słowa brzmiały szczerze. Poznawała w nim Hectora.

- Za co?

Usiadł.

- Za mój styl i zachowanie.

Sophie nic nie odpowiedziała.

- Widziałem, jak się przed chwilą zachowałeś. Podałeś się i grałeś opanowaną, bo nie wiedziałeś, kim jestem. Może nawet się mnie bałeś. Naprawdę chcę za to przeprosić.

Sophie słuchała z mieszanką fascynacji i przerażenia, że potrafi w niej tak czytać.

Własne ciągłe zmiany zachowania najwyraźniej go zmęczyły. Przeczesał dłonią włosy.

- Od momentu kiedy Aron i ja zostaliśmy uwolnieni, od tego wieczoru, kiedy to wszystko się stało, miałem silne uczucie, że coś się zepsuło, coś, czego nie umiem naprawić. Może twoja wiara we mnie, twoja nadzieja, zaufanie. Nie wiem... Dlatego tak dziwnie się dzisiaj zachowywałem. Po prostu boję się, że cię stracę. Nie chcę, żeby tak się stało, chcę wrócić do tego, co było wcześniej.

Sophie milczała.

- Nigdy nie musisz się mnie bać - powiedział.

14

Svante Carlgren wychodził zwykle z domu około siódmej. Jeżeli nie jechał w żadną podróż, zazwyczaj wracał o tej samej porze dwanaście godzin później. Prowadził intensywne życie, a przynajmniej chciał, by na takie wyglądało, pełne podróży, spotkań, dużej odpowiedzialności, wielu zobowiązań. W rzeczywistości jednak było zgoła inaczej. Dziwił się, że tak rzadko jest zestresowany, że w zasadzie robi tak niewiele. Żył dla swojej pracy, kariery, osiągnięć. To wszystko było jednak proste, wręcz zbyt proste. Odpowiedzialność nie polegała na posuwaniu czegokolwiek do przodu, a jedynie na tym, by wiedzieć, co tak naprawdę działo się w kolosie, jakim był Ericsson. Nie mógł jednak nawet z ręką na sercu powiedzieć, że to wie, ale również i ten fakt nie miał znaczenia. Svante znajdował się na poziomie, na którym czuł się dobrze i na którym chciał pozostać, tylko to go interesowało.

Właśnie miał skrócić na podjazd prowadzący do swojej willi, kiedy naprzeciwko pojawił się jakiś samochód, który ruszył jego śladem.

Svante spojrział w lusterko. Nie znał tego samochodu, za kierownicą siedział samotny mężczyzna.

Svante zaparkował, wysiadł z samochodu i ze zmarszczonym czołem przyglądał się facetowi, który zaparkował kilka metrów za nim. Otworzyły się drzwi i z samochodu wyszedł mężczyzna w garniturze, smukły, czarnowłosy, o wyraźnych rysach, bez krawata...

- Mogę w czymś pomóc?
- Czy pan Svante Carlgren?

Svante pokiwał głową. Aron podszedł do niego pewnym krokiem, wyjął z wewnętrznej kieszeni zdjęcie, przystanął i popatrzył na nie, po czym podał Svantemu. Svante wziął fotografię i spojrzał. Zobaczył samego siebie z wytrzeszczonymi oczyma.

Ze Svantego Carlgrena uszło całe powietrze, chciał coś powiedzieć, jakoś zareagować. Cokolwiek. Czuł się jednak jak zamrożony i nie był w stanie nic zrobić. Może było to paralizujące poczucie bycia zwabionym w pułapkę, może kompletna bezsilność, a może po prostu kompletne upokorzenie.

Aron podsunął mu kolejną fotografię. Svante w przyciasnych majtkach i ze srebrną rurką w nosie, wciągający do mózgu kokainę ze szklanego stołu. Svante nie wziął do ręki zdjęcia, spojrzał tylko na nie, odwrócił się i poszedł do domu. Aron podążył za nim.

Svante stał przy zlewie, plecami do Arona i nalewał sobie kieliszek wina, nie proponując go gościowi. Aron usiadł na krześle, założył nogę na nogę, jedną rękę położył na udzie.

- Sprawa jest prosta - zaczął. - Jesteśmy grupą zainteresowanych, którzy chcą dostawać od ciebie informacje o sytuacji wewnątrz firmy przed każdym kwartalnym raportem, przed każdym kongresem rynku kapitałowego... zawsze, gdy tylko cokolwiek będzie się zapowiadało, z odpowiednim wyprzedzeniem... Chcemy wiedzieć, czy firma posuwa się do przodu, czy wręcz przeciwnie, chcemy znać każdą ważną informację, zanim stanie się ona publiczna. Chcemy wiedzieć,

co słyszysz, co widzisz i o czym się mówi wewnątrz firmy.

- Aron mówił cicho, ale wyraźnie.

Svante spróbował się roześmiać, wyszło tak sobie.

- Szantażujecie mnie, żeby się obłowić na Ericssonie?

Svante upił łyk wina.

- Przykro mi kolego, ale jesteście w błędzie. Nie mam dostępu do takich informacji, o jakie wam chodzi.

Svante wziął kolejny łyk i mówił dalej.

- Masz nieco uproszczony obraz sytuacji. Nie wiem, jak na to wpadliście, ale niestety w prawdziwym świecie tak się nie da.

Aron milczał.

- W rzeczywistości to tak nie działa - powtórzył i wypił pół łyka, bo coś mu się przypomniało.

- Poza tym każde duże przedsiębiorstwo ma cały pion zajmujący się ochroną szefów przed czymś takim. Ale ci się oberwie, przyjacielu.

Svante odważył się na uśmiech.

Aron przyjrzał się kuchni, w przeciwieństwie do willi widzianej z zewnątrz wyglądała tanio. Talerze i szklanki na oświetlonych półkach zostały wyprodukowane niedawno, z nadzieją, że ludzie wezmą je za antyki. Obrazy na ścianach były wydrukowane i przedstawiały kwiaty wazonie i myśliwych w czerwonych kamizelkach, przemierzających o świecie angielski krajobraz. W oknie stały suszone kwiaty, a stół i krzesła były kiepskimi kopiami czegoś z epoki wiktoriańskiej. Zastanawiał się, czy to Svante, czy też jego biedna żona ma nieszczęście odznaczać się tak nieprzeciętnie złym gustem.

- Możesz wybrać, kto najpierw dostanie zdjęcia. Twoja żona, twoje dzieci czy twoi koledzy.

Aron dalej przeglądał fotografie. Zatrzymał się przy jednej z nich, oglądał ją ze wszystkich stron, jakby chcąc dać do zrozumienia, że nie bardzo jest w stanie zobaczyć, co

na niej jest. Pokazał zdjęcie Svantemu, ten szybko na nie spojrział.

- To wszystko jest też na filmie, z dźwiękiem.

Udawana pewność siebie Svantego przygasła, jej miejsce zajęły przygnębienie i swego rodzaju rezygnacja.

- Kogo wybierasz? - zapytał Aron.

Svante patrzył na niego, nie rozumiejąc.

Aron pomachał zdjęciami.

- Żonę? Dzieci? Przyjaciół? Kolegów z pracy? Kto ma je zobaczyć pierwszy?

- Mogę wam zapłacić za te zdjęcia, ale nie mogę zrobić tego, o co mnie prosicie. Po prostu nie mam takiej możliwości.

Ton Svantego był inny, pogodniejszy.

- Odpowiedz na pytanie.

Svante pogładził się po włosach.

- Jakie pytanie?

Svante stracił opanowanie.

- Kogo wybierasz?

- Nikogo... Nie wybieram nikogo! Chcę to załatwić inaczej, musi być jakiś inny sposób.

- Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą targować. Odpowiedz mi na pytanie, to sobie pójdę.

Svante był przerażony, jego umysł pracował, zastanawiał się, kto mógłby mu pomóc w tej sytuacji.

Aron przejrzał fotografie.

- Jeżeli będziesz chciał nam pokazać, że wchodzisz do gry, odezwij się do mnie, kiedy będziesz miał informację o następnym raporcie albo czymkolwiek, co mogłoby w jakiś sposób wpłynąć na sytuację firmy. Jeżeli nie nawiążesz kontaktu, wyślę te zdjęcia twoim kolegom z pracy, w pierwszej kolejności twoim podwładnym.

Aron wstał, położył plik zdjęć na stole, odwrócił to leżące na samej górze i pokazał palcem zapisany tam numer telefonu. Potem wyszedł.

Svante dopił wino. Przez okno widział, jak Aron wsiada do samochodu i odjeżdża. Wyjął telefon i zaczął wybierać numer, który znał na pamięć i którego należało użyć, kiedy zaistnieją okoliczności takie jak te. Departament bezpieczeństwa w firmie miał przygotowane procedury postępowania we wszystkich możliwych i niemożliwych sytuacjach, poczynając od kradzieży i szpiegostwa, a na szantażu i porwaniu skończywszy. Uruchamiano je, gdy ktoś zadzwonił pod ten właśnie numer.

Svante nie wstukał ostatniej cyfry.

Anders siedział ze słuchawką przy uchu w prywatnym samochodzie, hondzie civic.

- Nazywa się Svante Carlgren. To jakiś pomniejszy szef w Ericssonie, żonaty, ma syna i córkę, dzieci nie mieszkają w domu, tyle na jego temat.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Śledź Carlgrena i dowiedz się, po co Aron go odwiedził
- poleciła Gunilla.

*

Z pokoju hotelowego Jens zadzwonił do Rista. Rosjanie oczywiście się czepiali. Wiedział, że tak będzie.

- Nie przyjadą... i chcą dział bezdrutowych - oznajmił Risto.

- Słucham?

- Za to, że się spóźniłeś, chcą po działku dla każdego.

- Po działku bezdrutowym?

-Tak.

- Żartujesz?

Risto nie odpowiedział.

- Powiedz im, żeby się odwalili.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

Jens był zmęczony. Wkurzało go, że wszyscy próbują nim teraz dyrygować. Lewą ręką zasłonił oczy.

- Powiedz im, że mogą spadać.

- W innej sytuacji na pewno bym tak zrobił, ale mówimy o Dmitriju. On... jak by to powiedzieć... on jest dość impulsywny. Wydaje mi się, że z każdym dniem coraz bardziej się przez ciebie nakręcają. Mają o tobie wyrobione zdanie, myślą, że zadzieraszą nosa i uważasz się za lepszego od nich.

- Bo tak jest.

- Niewątpliwie... Dają ci tydzień. Za tydzień chcą mieć działa.

- Chyba rozumieją, że to niemożliwe. Działa bezodrzutowe?! To jakiś żart. Ty to wiesz, ja to wiem, wszyscy to wiedzą.

- Niestety nie ma to żadnego znaczenia.

Jens przesunął rękę na czoło i zaczął je pocierać.

- Zapomnij o tym. Mam broń, którą zamówili, czeka na nich.

- Nie pójdą na to.

- Mam to gdzieś.

Risto milczał. Jens westchnął.

- Risto, a co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Spróbuj znaleźć jakieś korzystne rozwiązanie. Daj im broń, zwróć pieniądze. Stracisz na tym interesie, ale przynajmniej będziesz miał to za sobą.

- Dlaczego?

- Bo te chłopaki to banda oszalałych ćpunów zdolnych do wszystkiego. Mój błąd, że ci to zleciłem, przepraszam.

Na samą myśl o Dmitriju rozgorczenie Jensa wzrosło.

- Nie, powiedz im, że mieliśmy umowę i że jestem gotów obniżyć cenę, ze względu na zwłokę. I tyle. Nie zmienię zdania i nie interesuje mnie inne rozwiązanie.

- W porządku - odparł Risto i się rozłączył.

Jens siedział na łóżku. Jego wzrok padł na obraz, który miał uchodzić za dzieło sztuki współczesnej. Przedstawiał czarny trójkąt unoszący się nad niebieskim sześcianem. Obraz też go wkurzał.

Położył się na plecach i patrzył w sufit. Ostatnio jakoś mu nie szło, zmęczenie biło rekordy, a siła woli zaczęła się wyczerpywać. Jens odetchnął, zamknął oczy. Po kwadransie zerwał się rozbudzony. W każdym razie takie miał wrażenie, okazało się, że kwadrans rozciągnął się na wiele godzin.

Wziął prysznic, zjadł szybkie śniadanie i ruszył w drogę powrotną. Minęły całe wieki, zanim znalazł się na moście nad Sundem. Był zdenerwowany, z tyłu wioził dwie skrzynie z bronią automatyczną. Zrobił jedyną rzecz, jaką mógł, czyli skandynawskim zwyczajem nawiązał kontakt wzrokowy z brodatym skańskim celnikiem. To najwyraźniej wystarczyło, bo brodacz uniósł wyuczonym ruchem dwa palce do daszka swojej czapki, salutując, jakby chciał powiedzieć: wszystko w porządku. Jens przejechał bez problemu, choć aż do Sztokholmu zbierało mu się na wymioty. Jego nerwy nie były takie, jak kiedyś. Może było to spowodowane stresem, może wiekiem albo po prostu świadomością, że w dorosłym życiu tak często bawił się ogniem, że prędzej czy później będzie się musiał porządnie sparzyć.

Po paru godzinach mknął już trasą Essingeleden, ciesząc się w duchu, że uszedł cało. Nie skręcając do centrum Sztokholmu, pojechał na północ, skręcił przy szpitalu w Danderyd i minął liceum. Za nim, wśród sosen, rzadkiego lasu i brzydkich budynków biurowych dawno temu wynajął składzik.

Wylądował broń i ku swojej radości znalazł latarkę, której szukał kilka lat. Wisiała w głębi na haku. Kochał tę latarkę. Nie była za duża ani za ciężka, dawała piękne światło, a poza tym ładnie wyglądała - srebrna, z aluminium

- słowem, doskonała. Podrzucił ją do góry, aż zrobiła obrót w powietrzu, zamknął za sobą drzwi, czuł się odrobinę szczęśliwszy. Może dlatego, że znów był w domu, a może dlatego, że znalazł latarkę.

*

Wycofała samochód pomiędzy słupkami bramy. Zrobiła dwa kółka po okolicy, by zobaczyć, czy coś się zmieniło, nic jednak na to nie wskazywało. Ruszyła do miasta, z otwartą boczną szybą, pojechała Birger Jarlsgatan aż do Engelbrekts-gatan i w dół na podziemny parking przy David Bagares gata. Wyszła z parkingu i skierowała się w stronę placu Engelbrektsplan. W budce telefonicznej włożyła kartę do aparatu i wybrała numer.

- Tak? - odezwał się głos.

- To znowu ja - powiedziała.

- Cześć.

Czekała, dając mu szansę, by powiedział coś więcej. Nie zrobił tego.

- Jesteś teraz w domu?

-Tak.

Fatalnie się z nim rozmawiało przez telefon, mówił monosylabami i trudno było wyczytać cokolwiek z brzmienia jego głosu.

- Możemy się spotkać?

Dwadzieścia minut później spotkali się przy ulicy Strandvägen, na nabrzeżu. Kiedy nadeszła, siedział już na ławce. Zobaczył ją i wstał, trzymał się na dystans, żadnego uścisku ani nawet kłopotliwego podania ręki. Spodobało jej się to.

Usiedli na ławce. Wieczór był ciepły. On miał na sobie dżinsy, koszulkę polo i tenisówki. Ona mniej więcej to samo, choć w damskiej wersji. Obok nich przechodzili ludzie, niektórzy trzeźwi, inni pijani. Mimo że był to dzień powszedni,

miasto tętniło życiem. Wyjęła z kieszeni nową paczkę papierosów, zdarła folię i wyciągnęła jednego.

- Chcesz? - zapytała.

Poczęstował się, Sophie zapaliła i podała mu zapalniczkę. Zaciągnęli się kilka razy, wskazała Strand Hotell na drugim brzegu.

- IOedyś tam pracowałam.

Hotel lśnił przepychem.

- Wyjechałam, podróżowałam po Azji. Kiedy wróciłam do domu, zaczęłam od pracy w recepcji... Miałam dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata.

Siedział z szeroko rozstawionymi nogami, popatrzył na hotel i kilka razy głęboko się zaciągnął.

- Opowiedz o mężczyznach, którzy byli u ciebie w domu.

Pomyślała przez chwilę. Próbowwała rozstrzygnąć, co powiedzieć, a czego nie.

- Kilka tygodni temu było u mnie kilku facetów, którzy podawali się za policjantów. Moja sprzątaczką przyłapała ich na gorącym uczynku. Ma swój klucz. Grozili jej, mówili, że marnie skończy, jeśli komukolwiek o tym wspomni.

Jens opierał ręce na kolanach, przyglądał się swoim nogom.

- Jak jej grozili?

- Nie wiem.

- Dlaczego powiedziała o tym teraz? Dlaczego nie wtedy, kiedy to się stało?

- Bała się.

Pokiwał głową.

- Zabrali coś?

Pokręciła głową przecząco.

- Co tam robili... jak ci się wydaje?

Sophie myślała, spojrzała na niego.

- Nie wiem.

Próbował wyczytać z jej oczu, czy mówi prawdę, nie zobaczył w nich jednak niczego, co pomogłoby mu to stwierdzić. Zamiast tego ujrzał ją taką, jaką pamiętał.

- Tak? - zapytała.

- Nie, nic.

Wypalił papierosa aż do filtra, po czym zgniótł go butem.

- Skąd znasz Hectora?

Wiedziała, że to pytanie się pojawi.

- Leżał na moim oddziale... w szpitalu. Miał wypadek samochodowy. Zaprzyjaźniliśmy się.

- Jak bardzo?

- W miarę... W miarę się zaprzyjaźniliśmy.

- *A co to znaczy?*

- Tak jak mówię: w miarę.

Milczeli, oboje świadomi tego, że podczas ich pierwszego spotkania w Trasten pojawiło się o wiele więcej tajemnic, niż którekolwiek z nich chciałoby wyjawić,

- I Hector ma z tym coś wspólnego?

- Tak mi się wydaje - szepnęła i się zamyśliła.

Jens to zauważył i dał jej trochę czasu.

- Chociaż w sumie nie wiem. Nic już nie wiem.

- Co innego w twoim życiu zwabiłoby do ciebie policję?

Jeśli założymy, że to byli policjanci.

Analizowała z każdej strony napływające do głowy myśli, wstała z ławki i podeszła do brzegu.

- Zmieniłeś się z biegiem lat? - zapytała.

Nie odpowiedział. Odwróciła się, spojrzała na niego przelotnie i objęła się ramionami, szukając odpowiednich słów.

- Na tropie Hectora jest teraz jedna policjantka, on o tym nie wie. Ta policjantka prosiła mnie, żebym była jej informatorką...

Spojrzenie Sophie wyrażało nadzieję, że nie powiedziała zbyt wiele.

- Mówiłaś jej o wieczorze? - zapytał.

- Jasne, że nie - odpowiedziała cicho.

- O czym w takim razie mówiłaś?

Próbowała zebrać myśli.

- O drobnostkach... niczym szczególnym. Nazwiskach, miejscach, ludziach. Ale zadzwoniła i pytała o wieczór... Nie wiem, czy coś wie.

Zdziwienie Jensa było pełne.

- O co zapytała?

- Co robiłam tego wieczoru.

- I co ty na to?

- Powiedziałam, że mieliśmy zjeść kolację, ale Hectorowi wypadło jakieś spotkanie, więc pojechałam do domu.

- Robiłaś jakieś aluzje?

Sophie pokręciła głową. Jens się zamyślił. Spojrzał w górę.

- Poza tym?

Nie odpowiadała.

- Sophie?

-Tak?

- Mów dalej.

- Zawahała się.

- Aron mi powiedział... - zaczęła.

- Co ci powiedział Aron?

- Coś w stylu: zachowaj to dla siebie.

- Groźba?

Pokiwała głową.

- A Hector, co on na to?

Westchnęła. Nie chciała rozmawiać o Hectorze.

- A poza tym?

- Nie, tyle wystarczy.

Wyglądała na zgnębioną. Zmienił jej się głos, zaczęła mówić ciszej. Cała zrobiła się mniejsza.

- Siedzę po uszy w gównie, Jens... Nie wiem, co dalej.

Patrzenie na nią przychodziło mu z trudem.

- Czy możesz mi pomóc?

Skinął szybko głową, jakby już wcześniej odpowiedział na to pytanie twierdząco.

- Kto w takim razie był u ciebie w domu? Ludzie Hectora czy gliniarze?

Sophie wciąż obejmowała się ramionami.

- Policja, jeśli pytasz mnie o zdanie.

- Dlaczego?

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem...

Była blada i zmęczona.

- Coś musisz sobie myśleć.

- Może szukali czegoś na temat Hectora... Czegoś, o czym im nie powiedziałam...

- Wobec tego przyszła ci do głowy jeszcze inna myśl, najbardziej prawdopodobna, jeśli szukają informacji.

Spojrzała na niego.

- Tak... Ale skąd mam to wiedzieć? Mam rozkręcić telefon, szukać w żyrandolu... tak to się robi?

Pokiwał głową mimo ironicznego tonu w jej pytaniu.

- Chyba właśnie tak.

Porządkowali rozmowę w myślach, po jakimś czasie Jens podniósł wzrok.

- Czy możesz jutro zostać w domu i nie iść do pracy?

-Tak...

Dostrzegł jej niepokój. Sophie odwróciła się i zaczęła iść w stronę Nybroplan. Jens, siedząc na ławce, podążał za nią spojrzeniem, ruszała się tak samo jak kiedyś. O, jak bardzo mu się wtedy podobała... dawno temu. Pamiętał, pamiętał swoje skryte uczucia. Ich spotkania latem, w innym życiu. Jak się poznawali, jak rozmawiali o wszystkim, o czym tylko się dało. Jak się upijali, jedli późne kolacje w altanie, a potem długo spali. Jak podkradli jego rodzicom samochód i pojechali kupić śniadanie. Jak tam i wtedy, po raz pierwszy

i jedyny w życiu, czuł, że mógłby kosić trawę w ich wspólnym ogrodzie, aż do momentu, kiedy ze starości nie będzie już mógł chodzić. Pamiętał, jak bardzo to uczucie go przeraziło. I jak wbrew woli udało mu się jej pozbyć... A także to, że z późniejszego okresu praktycznie nic nie pamiętał.

Jens wyjął telefon, wybrał numer z książki telefonicznej, odczekał kilka sygnałów. Odebrał starszy mężczyzna.

- Cześć, Harry, wiesz, kto mówi?

- No pewnie, miło cię znów słyszeć.

- Masz coś do roboty jutro rano?

- Nic, czego nie można by przełożyć.

- Zapraszam cię więc do siebie na siódmą na śniadanie, weź sprzęt i robocze spodnie. Masz jeszcze firmowy samochód?

- Jasne, wszystko po staremu.

- Tak jak i u mnie... No to zapraszam serdecznie.

Jens się rozłączył i popatrzył na zatokę.

Dlaczego tak od razu zgodził się jej pomóc? Była w związku z Hectorem Guzmanem, na ogonie siedziała jej policja, niedawno była świadkiem próby morderstwa, którą i on widział. Hector i jego ludzie strzelali bez opamiętania, gdy robiło się gorąco. Mieli przeciwko sobie wielkie siły, jak na przykład Hankego, szmuglowali kokainę i kto wie czym jeszcze się zajmowali - a pośród tego wszystkiego Sophie... Czy dlatego zgodził się jej pomóc, że znał ten świat? Czy dlatego, że chodziło o Sophie? Normalnie zwiewałby na sam jej widok. Gdzie pieprz rośnie, nie bardzo rozumiejąc dlaczego. Zawsze tak postępował z kobietami. Teraz jednak siedział tu jak ostatni patafian w żalosnej koszulce polo i proponował jej pomoc...

Jens schował twarz w dłoniach. Boże, ależ był zmęczony. Rozparł się na ławce, pomyślał, że mogłoby być tak jak dawniej. Wtedy wszystko było łatwiejsze, łatwiej było uporać się z uczuciami, łatwiej mieć wszystko w dupie... Chyba

właśnie dlatego ludzie mówią, że kiedyś było lepiej, ponieważ w późniejszym życiu nie potrafią powstrzymać napo-ru przeszłości. Prędej czy później wszystko chce wyjść na światło dzienne.

Telefon zawibrował mu w kieszeni. Jens wziął głęboki oddech, próbując zrzucić przygniatający piersi ciężar.

-Tak?

Słuchał przytłumionego głosu po drugiej stronie. Hector Guzman wesołym tonem pytał, czy Jens należy do ludzi lubiących wypić wieczorem kawę.

Lars Vinge zrobił jakieś czterdzieści zdjęć siedzącemu na ławce Jensowi Vallowi. Kiedy Jens wstał, odwrócił się prosto do teleobiektywu. Lars pstryknął eleganckie, wyraźne zbliżenia. Opuścił swój posterunek w bramie przy Skeppargatan i ruszył z powrotem na parking przy David Bagares gata, by zdążyć tam przed Sophie.

*

Zbliżała się jedenasta, zapadła ciemność. Jens otworzył bramę i wszedł po schodach. Na drzwiach wisiała tabliczka: Wydawnictwo Pies Andaluzijski AB.

Usiadł naprzeciwko Hectora w jego gabinecie. Okno było otwarte, wieczór w dalszym ciągu ciepły, z ulicy dobiegały różne odgłosy. Pojedyncze wybuchy śmiechu, przechodząca pod oknem grupka rozwrzeszczanej młodzieży, *Volare*, którego słuchał ktoś z sąsiadów.

Biurko Hectora wyglądało jak stary stół warsztatowy, krzesło zaś było z lat pięćdziesiątych, obite w skórę i zaopatrzone w kółka. Wyglądało na wygodne.

Hector nad czymś się zastanawiał.

- Zanim zaczniemy rozmawiać: napij się czegoś? Wyglądasz na zmęczonego.

- Przez telefon proponowałaś kawę.

Hector wstał i wyszedł z pokoju, Jens podążył za nim, przechodząc przez mniejszy pokój konferencyjny, a następnie bibliotekę z mnóstwem książek na regałach. Mijając je, Hector uczynił gest ręką.

- Te tytuły wydajemy. Wiele z nich to przekłady z hiszpańskiego, ale są też nowe rzeczy, napisane u nas.

Szli dalej w stronę kuchni.

- Tu mam gabinet. - Wskazał sufit. - A tuż nad nami jest moje mieszkanie.

Kuchnia była niewielka, ale gustownie urządzona. Wszystko było wysokiej jakości. Przystanęli i patrzyli na siebie nawzajem. Mierzyli się wzrokiem. Jens był wyższy, ale Hector wydawał mu się większy, jakby jego rozmiar wykraczał poza cieśną powłokę. Gdyby byli młodszy, stanęliby do siebie plecami i kładąc dłoń na głowie, porównywaliby wzrost.

Hector uciekł spojrzeniem i zaczął majstrować przy ekspresie do kawy.

- Jaki on jest, ten Ralph Hanke?

- Nie wiem... Zapatrzony w siebie, zmanierowany...

Hector ustawił pod ekspresem dwie filiżanki, nacisnął przycisk, maszyna, wydając nieprzyjemny dźwięk, zaczęła mleć ziarna kawy.

- Mleko?

- Odrobinę.

Wlał odrobinę mleka do obydwu filiżanek, jedną z nich podał Jensowi.

- Mów.

- Przyjechałem tam, to był szeregowiec gdzieś na przedmieściach Monachium, swoje rzeczy znalazłem w piwnicy. Na moich skrzyniach ułożyli martwego człowieka.

Hector uniósł brwi, popijając kawę.

- Później zjawił się ten wielki Rosjanin, Michaił, a razem z nim Ralph i jego syn, którego imienia nie pamiętam.

- Christian... - odpowiedział Hector.
- Ralph chciał, żebym pośredniczył między wami a nimi.
- A ty co o tym sądzisz? O roli pośrednika?
- Nic nie sądzę.

Hector pokiwał głową.

- Nie będzie żadnego pośrednictwa. Ci ludzie ukradli nasz towar, dwukrotnie próbowali mnie zabić, grozili i diabli wiedzą, co jeszcze... Przez cały czas chodzi im o to, by siłą wcielić nas do swojej organizacji.

- Tak, mniej więcej w taki sposób się wyraził - powiedział Jens.

- No więc tak. Powiedz im, żeby raz na zawsze dali sobie spokój z tym interesem, że ich nieudane próby powinny im pokazać, z kim zadarli. Jeżeli się teraz nie wycofają, potraktujemy to jak wypowiedzenie wojny.

Hector się odwrócił i przepłukał kubek pod kranem, jego twarz nabrała nagle mrocznego wyrazu, wściekłość zebrała mu się w zmarszczkach na czole. Zakręcił wodę i odwrócił się do Jensa. Bijący od Hectora mrok wyczuwało się w powietrzu.

- Ostatnio za każdym razem, kiedy robiło się gorąco, pojawiałeś się ty. Mam wierzyć, że to przypadek? A teraz wracasz jako jakiś mediator. Przyznasz chyba, że nie wydaje się to szczególnie wiarygodne?

Jens nie odpowiedział. Hector popatrzył na niego i wrzucił ramionami.

- Chociaż z drugiej strony wydajesz się szczerzy... spokojny.

Jens nie zadał sobie trudu, by cokolwiek powiedzieć.

- Przekaż Hankemu naszą odpowiedź.

Hector wyszedł z kuchni i ruszył do swojego gabinetu.

- Spróbuj cwaniaczyć, a jesteś martwy - powiedział, nie odwracając się.

Na klatce schodowej, wychodząc z budynku, wystukał numer, który dał mu Michał. Odebrał Roland Gentz.

-Tak.

- Miałem zadzwonić pod ten numer i przekazać wiadomość ze Sztokholmu. Czy dobrze się dodzwoniłem?

-Tak.

- Hector zawiadamia, że posunęliście się już za daleko i że powinniście teraz spasować... Jeżeli będziecie próbowali dalej, sprawy wymkną się spod wszelkiej kontroli.

- Rozumiem, dziękuję za telefon.

Połączenie zostało przerwane.

Jens przechadzał się po Gamla stan, próbując w jakiś sposób sklasyfikować wszystkie sprawy, umieścić je na skali, na której jedynek oznaczała to, co najważniejsze i czym trzeba się zająć w pierwszej kolejności. Sprawy oznaczone dziesiątką mogły poczekać, mógł się nimi zająć później. Znalazł mnóstwo jedynek i dwójek, nie potrafił jednak nadać im żadnego wewnętrznego porządku. Otrząsnął się z tych rozważań i poszedł kupić coś na śniadanie. Znalazł całodobowy sdep, gdzie można było dostać świeży chleb, świeżo mieloną kawę i domową marmoladę. Kupił najlepsze produkty, jakie mógł znaleźć, chciał, by za kilka godzin Harry zjadł porządne śniadanie.

Albert poszedł do szkoły. O wpół do dziewiątej rozległ się dzwonek do drzwi. Sophie otworzyła i zaprosiła do środka Jensa i starszego mężczyznę, który przedstawił się jako Harry. Obaj byli ubrani jak stolarze.

- Dzień dobry pani - powiedział Jens.

Miał wyobrażenie rzemieślników jako pogodnych, zadowolonych ludzi spod znaku „witam, witam”, ale jednocześnie

stapających mocno po ziemi - tak ich w każdym razie przedstawiano w telewizji.

- Dzień dobry, proszę wejść.

Weszli do środka. Jens udawał fachowca, Sophie klientkę. Harry zachowywał się cicho, poszedł w róg pokoju, ukucnął i otworzył skrzynkę z narzędziami.

Sophie pokazywała na chybił trafił.

- Najpierw chciałabym tutaj mieć drzwi, proszę wyjąć okna i zamienić na francuskie drzwi, no i jeszcze zrobić schodki do ogrodu.

Jens rozejrzał się dookoła.

- Tak jest.

Kiedy rozmawiali, Harry przytknął do oka jakiś owalny plastikowy wihajster i rozglądał się po pokoju. Wstał i chodził dookoła, szukał czegoś przez ten przedmiot, jednocześnie odczytując wskazania tajemniczego miernika, który trzymał w dłoni. Sophie i Jens kontynuowali przedstawienie.

Harry zapisał coś na kartce. Jens wziął ją do ręki. Przeczytał i pokazał Sophie. „Nie ma kamer”. Bawili się dalej, Sophie zaczynały się kończyć pomysły, nie mogła przerobić domu za bardzo. Jens przejął pałeczkę i zaczął opowiadać, co można zrobić, czego zaś nie można. Używał błędnych terminów - nie był stolarzem, w najmniejszym stopniu.

Harry przeszukiwał pokój z nowym przyrządem, poszedł do lampy, przyrząd coś wykrył. Harry znalazł ukryty mikrofon, odwrócił się do Jensa i unióś kciuk w górę. Wyjął małą szwedzką flagę na maszcie i postawił koło lampy. Poszedł dalej, w kuchni znalazł kolejny mikrofon, również i tam umieścił flagę. Na górze znalazł mikrofony w sypialni, w pokoju Alberta i w przedpokoju. W całym mieszkaniu poustawiał małe flagi. Obejrzał telefony i znalazł dwa kolejne. Jensowi zaschło w gardle od całej tej stolarskiej gadki. Sophie pobladała.

Harry wyjął miniaturową kamerę. Wyglądała jak wkład do długopisu. Umieścił ją za prawie niewidocznym kablem w rogu między sufitem a ścianą i sprawdził, czy działa, na małym monitorku, który mieścił mu się w dłoni. Przez przytknięcie do oka ustrojstwo zobaczył samego siebie, cofnął się i skontrolował obraz. Następnie wręczył monitorerek Sophie. Zapisał na kartce: „Czujnik ruchu. Kamera uruchamia się, gdy ktoś się poruszy, sprawdzaj ją każdego dnia, monitor trzymaj schowany, najwyżej osiem metrów od kamery”.

Zanim odjechali, Jens dał Sophie telefon na kartę i odręcznie napisaną kartkę z prośbą, by za pół godziny wyszła z domu i do niego zadzwoniła.

Harry i Jens jechali furgonetką.

- Co o tym myślisz? - zapytał Jens.

- Myślę, że ci, którzy podsłuchują, mają środki. Widziałem takie mikrofony w zeszłym roku w Londynie, kiedy robiłem zakupy. Są małe jak włos, prawie nie można ich dostrzec gołym okiem, poza tym są drogie jak cholera. Minus jest taki, że trzeba być bardzo blisko, mają krótki zasięg, chyba ze dwieście metrów. Znacznie mniejszy na willowym osiedlu, gdzie wszędzie dookoła są budynki i drzewa. Prawdopodobnie ci, którzy je założyli, mają odbiornik w zaparkowanym samochodzie, później go zabierają i przesłuchują nagranie.

Harry jednocześnie prowadził i mówił.

- Ludzie, którzy założyli te mikrofony, robili to już wcześniej. Prawdopodobnie w domu jest jeszcze więcej podsłuchów. Powiedz jej, żeby uważała nawet wtedy, gdy korzysta z komputera, z komórki... no, ze wszystkiego.

- Gdybyś miał zgadywać, kto robi takie rzeczy? Policja czy druga strona.

Harry patrzył prosto przed siebie.

- Nie mam pojęcia.

*

- To nagrywa? - zapytał Anders.

Portier pokręcił głową.

- Nie, z jakiegoś powodu robi tylko zdjęcia. Tak jak mówiłem, to stare urządzenie. Chodzi o to, żeby robiło zdjęcia w trzydziestosekundowych odstępach, kiedy karetka znajduje się na podjeździe.

- Po co?

Portier wzruszył ramionami.

- Pewnie po to, by w recepcji było wiadomo, kiedy przyjeżdża karetka, ale nie mam pojęcia...

Anders siedział z portierem przy jego biurku. Przeglądali zdjęcia z wieczoru, kiedy przyjęto postrzelonego mężczyznę. Zdjęcia były ukośnymi zbliżeniami ponad przednią szybą samochodu.

- Dlaczego tak to jest ustawione?

- Błędego pojęcia nie mam.

Anders westchnął. Zobaczył górną część ciemnego samochodu - pół okna i kawałek dachu. Zobaczył ramię na kierownicy, rozmazane prawe ramię, prawdopodobnie mężczyzny, który właśnie wysiadał. Westchnął po raz kolejny. Na żadnym ze zdjęć nie było widać, jak samochód odjeżdża, na ostatnim podjazd był już pusty.

- Chcę mieć wszystkie zdjęcia, nawet te podobne do siebie.

Eva zeskanowała fotografie. Anders, Gunilla i Erik wpatrywali się w ekran.

- Co to za samochód? - zapytała Gunilla.

Nikt nie odpowiedział.

- Porównaj z... - zaczęła i spojrzała w dokumenty - ...toyotą land cruiser, modelem z 2001 roku.

Eva wstukala nazwę modelu i zaczęła szukać zdjęć. Jedno jej się spodobało, wrzuciła je do programu 3D i obracając samochód na wszystkie strony, porównywała ze zdjęciem.

- Wygląda podobnie - powiedziała.

Eva otworzyła nowy program, zaczęła wpisywać skale i rozmiary. Nikt oprócz niej nie rozumiał tej matematyki. Za pomocą sterowanej myszką miarki zmierzyła części obu samochodów. Przyjrzała się wynikom.

- To najprawdopodobniej Toyota Land Cruiser, model z 2001 roku.

- Pielęgniarka jest twardzielką - wyszeptał Anders.

- Nie wiemy tego na pewno - odparła Gunilla.

- Inni też mają takie samochody - wymamrotał Erik.

Później zapadła cisza. Każdy myślał o czymś innym.

Przerwała to Gunilla.

- Podawajcie scenariusze na wypadek, gdyby to był samochód Sophie.

Głos zabrał Anders.

- Jedyńm znakiem życia, jaki mamy w tym samochodzie, jest ramię widoczne na trzecim zdjęciu z kolei. Nie jest to ramię Sophie, należy do mężczyzny, który wysiada. Nie może to jednak być Hector, skóra ma zbyt jasny odcień. To może być Aron. Może to też być kolega postrzelonego mężczyzny... albo ktoś zupełnie inny. Tak czy siak, Sophie mogła objechać restaurację i ich zabrać, sprawdziłem, że jest tam wyjście.

- A co z Larsem? - wtrąciła Gunilla. - Dlaczego miałby twierdzić, że pojechała do domu?

- Może tak mu się wydawało. Może ją zgubił, kiedy skręcała po resztę? Po prostu przegapił ten moment.

- Ale wtedy powiedziałby, że skręciła, a tego nie zrobił. Powiedział, że pojechała Odengatan i tą ulicą ją śledził.

- Może kłamie? - odezwał się Anders.

- Po co miałby kłamać? - spytała Gunilla.

Nie odpowiedział.

- Anders, dlaczego Lars miałby kłamać?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem...

Erik ściągnął usta, skubiąc dolną wargę.

- Myślę, że zanim zaczniemy snuć teorie, powinniśmy najpierw obejrzeć jej samochód. Jeżeli jechała nim ofiara strzelaniny, znajdziemy ślady - powiedział.

Gunilla odwróciła się do Ewy.

- Sprawdź wszystkie toyoty land cruiser o tym kolorze w Sztokholmie i okolicach, chcę mieć nazwiska wszystkich właścicieli. Anders, chcę, żebyś poznał się bliżej z Berglundem.

- Już się znamy - odparł Anders.

15

Anders Ask i Hasse Berglund odwiedzili po południu laboratorium kryminalistyczne. Gunilla powiedziała, że w recepcji będzie czekać pudełko. Mieli je odebrać, niepotrzebne było żadne pokwitowanie. Anders wziął je pod pachę, wychodząc z laboratorium, pozdrawiał kiwnięciem głowy starych gliniarzy, których znał. Gliniarze odpowiadali ruchem brody.

Potem pojechali na pizzę do ulubionego lokalu Hassego, pizzerii Colosseum w Botlcyrcie. Hasse zamówił firmową z polędwicą wieprzową i sosem bearneńskim, Anders zdecydował się na hawajską. Do tego pili falcona, jedyne piwo, które zdaniem Hassego Berglunda nadawało się do picia, wszystkie inne smakowały jak szczyny... Szczyny lisa, jakkolwiek one smakują.

W jednym rogu pizzerii pijaczkowie, których tylko krok dzielił od bezdomności, raczyli się czerwonym winem

z karafki. Nie potrafili się utrzymać przy jednym temacie, krzyczeli do siebie, rozprawiając o edukacji, służbie zdrowia, prezesach i „tym pierdolonym, jak mu tam... Carlu Bildcie”.

Hasse podniósł się z krzesła, podszedł do nich i poprosił, by mówili ciszej. Zniszczona kobieta z ufarbowanymi na rudo włosami krzyknęła zachrypniętym głosem, że już dawno przestała przyjmować rozkazy od mężczyzn... że to wbrew jej zasadom... i niech to sobie, kurwa, dobrze zapamięta. Jeden z jej kolegów zaczął rzucać jakieś nieskładne obelgi pod adresem Hassego, który wrócił do stolika i swojej pizzy.

- Dlaczego w ogóle reagujesz?

- Nie wiem - westchnął Berglund, przeżuwać duży trójkąt, z którego zwisał ser. - Opowiedz teraz o szefowej - powiedział z pełnymi ustami.

Anders kroił swoją pizzę.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania, znamy się od dawna. Kilka razy uratowała mnie przed totalnym upokorzeniem. Wywalili mnie z policji bezpieczeństwa.

Anders ugryzł kęs.

- Dlaczego cię wywalili?

- Przyłapali mnie z ręką w słoiku z ciasteczkami - powiedział, usta wciąż miał pełne pizzy.

- Jakim słoiku? - zapytał Hasse.

Anders skończył przeżuwać.

- Śledziliśmy grupę Erytrejczyków w Norsborg. Jednego wieczoru miałem założyć u nich podsłuch i pod zlewem znalazłem papierową torbę pełną gotówki. Połakomiłem się, napełniłem sobie kieszenie... Durny kolega mnie podkablował.

- I wtedy ci pomogła?

-Tak, w pewnym sensie... W każdym razie wywalili mnie, zamiast aresztować.

- Dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego ci pomogła?
- Żebym wykonał dla niej kilka zadań, żebym był lojalny.

- A jesteś? - zapytał Hasse, przeżuując.

- Tak, jestem.

- Jak słodko.

Hasse napił się piwa. Pijaczkowie zaczęli na siebie krzyć, Hasse spojrział w ich stronę, Anders dał znak, żeby zostawił ich w spokoju.

- I co się stało? - zapytał.

- Odszedłem z policji bezpieczeństwa z podkulonym ogonem. Przez kolejne lata wykonywałem dla niej różne drobne prace, później wszystko znów się spieszyło.

Anders przeżuwał.

- Wpadłem razem z kilkoma innymi, chcieliśmy zarobić szybkie pieniądze. Podaliśmy środki dopingujące kilku koniom na torze Täby Galopp... Wszystko poszło się jebać, dwa konie zdechły, kontrolerzy zjawili się, kiedy tam staliśmy, ja ze strzykawką w rękę.

Zaśmiał się na to wspomnienie.

- Wtedy też uratowała mnie Gunilla, to była akurat drobnostka, ale zawsze, kiedy zrobiłem coś głupiego, Gunilla ratowała mi tyłek... Tak więc jestem jej winien to i owo.

Hasse upił trochę piwa; kiedy odstawił swój duży kufel, górną wagę zdołała mu piana.

- Zacząłeś coś gadać w samochodzie... że powinniśmy się trzymać razem.

Anders ugryzł kęs, wzruszył ramionami.

- Nic, nieważne.

- No powiedz.

Anders potrząsnął głową.

- To naprawdę nie było nic ważnego.

- No to mów.

Anders myślał, skończył przeżuwać. Wziął łyk piwa i rzucił spojrzenie przez ramię.

- Było takie śledztwo, które prowadzili Erik i Gunilla. Ja występowałem jako wolny strzelec. Byliśmy na najlepszej drodze, żeby dobrać się do tyłka Zdence, wiesz, temu „Królowi Kłusaków”. Gangster pełną gębą, działał z Malmö. Miał dziewczynę, Szwedkę, głupią jak but. Blondynka z Alingsås... dwadzieścia osiem lat. Patricia jakaś tam...

Anders bił się przez chwilę z myślami.

- Gunilla ją odłowila, jakoś do niej dotarła, nie wiem jak. Wcześniej włączyliśmy ją do gry, ale nic nam to nie dało. Nagle zniknęła. Zdenko uniknął kary, a potem ktoś go zastrzelił na torze w Jägersro w Malmö.

- Gdzie się podziała dziewczyna?

- Nie wiem, zniknęła... zapadła się pod ziemię.

-Co?

Anders odciął kawałek pizzy.

- Mówię, że zniknęła. Przepadła bez śladu, zgłoszono jej zaginięcie. Jak kamień w wodę.

- Nie żyje?

Anders wepchnął sobie do ust kolejny kawałek, spojrzał na Hassego i wzruszył ramionami.

- Jak wam się udało z tego wyłączyć?

- Bez większych problemów, usunęliśmy ją z akt, jakby dla nas nigdy nie istniała. Gunilla tak właśnie pracuje. Zawsze tak pracowała, posługuje się ludźmi. Angażowanie ich, nawet wbrew ich woli, uważa za oczywistą część swoich obowiązków.

Spojrzał w górę.

- Podobnie jak trzymanie z daleka tych, których nie potrzebuje - to dlatego udaje jej się większość tego, do czego się zabiera.

-Co?

- Co? Siedzę tu przecież, renegat z policji bezpieczeństwa, morderca koni. Razem z tobą, przeraźliwie nieudolnym policjancikiem o zmiennych nastrojach. Mało ci?

- Jak jej się udało zwerbować blondynkę Zdenki? - zapytał Hasse.

- Nie wiem... Pewnie jej coś obiecała albo czymś zagroziła.

- Jak naszej pielęgniarce?

- Nie, nie do końca... Wtedy było inaczej, nigdy się nie dowiedziałem, o co chodziło. Ale to już skończone, nie ma.

Pijaczkowie zaczęli truć o kwestii palestyńskiej.

- Tym razem mieliśmy fart - dodał Anders.

- Co masz na myśli?

Anders popił pizzę piwem.

- Już powiedziałem, musimy mieć oczy i uszy otwarte. Może nas czekać raj na ziemi albo piekło, musimy mieć wyjście awaryjne na wypadek, gdyby wszystko gęś kopnęła.

- Gęś kopnęła? Co to za pedalskie określenie?

- Gunilla wiele teraz ryzykuje.

- Moim zdaniem ona ma wszystko pod kontrolą - powiedział Hasse i odchyliwszy się trochę na krześle, zaczął czyścić zęby językiem.

Anders wzruszył ramionami.

- Pewnie tak, ale zdajesz sobie sprawę z tego, co robimy?

- A co robimy?

- Grupa, którą stworzyła Gunilla, nie ma konturów, jest jak cień na tle właściwej organizacji. O to jej chodziło... To, czym się zajmujemy, to nie jest zwykła praca. Balansujemy na granicy prawnej anarchii. Gunilla robi, co chce, żeby mieć konkretne wyniki. Znalazła na to sposób. Któregoś dnia ktoś wyżej postawiony będzie miał tego dość. Mówię tylko, że jeśli usłyszysz albo zobaczysz coś dziwnego, pogadaj o tym ze mną. Ja też tak zrobię. Zgoda?

Hasse zdusił czknięcie.

- Jestem tylko starym gliną z oddziału specjalnego, który wylądował na lotnisku. To tak, jakby mi przydzielili biuro rzeczy znalezionych. Moja kariera była skończona, snułbym się tam do emerytury. A potem w samotności zapił się na śmierć w jakimś zasranym mieszkaniu. Ale odebrałem telefon, który zmienił moje życie. Nie wiem, co będzie, ale mam zamiar robić, co mi każą, i załatwiać sprawy tak, jak chce szefowa.

Hasse rozejrzał się po pizzerii, cicho beknął, zasłaniając usta zaciśniętą pięścią.

- Wiesz, co mam na myśli - dodał Anders.

Pijaczki zaczęły rozprawiać o imigracji, żaden z nich nie był rasistą, ale... Ruda знаła nawet kilku imigrantów, którzy byli wprawdzie w porządku, ale nie podobało jej się, że tu przyjeżdżali i odbierali pracę uczciwym Szwedom. Hasse się przeciągnął.

- O której mamy tam być? - zapytał.

- Za trzy godziny...

- Jeszcze po jednym?

Anders nie widział powodu, żeby odmówić. Zamówili następną kolejkę. Hasse opróżnił swoje jednym haustem, Anders wypił połowę, Hasse machnął jeszcze raz.

- I do tego dwa jägermeistery! - zawołał.

Przez chwilę nie wiedzieli, o czym rozmawiać, rozglądali się po lokalu. Pijaczki popychały pierdoły, z głośników pod sufitem sączyły się dźwięki *I just called to say I love you* grane na fletni Pana. Anders mokrym dnem szklanki zrobił na stole olimpijskie kółka.

- O jakim awaryjnym wyjściu myślałeś? - zapytał Hasse.

Dostali piwo i jägery. Likier wychylili od razu.

- Jeszcze dwa! - krzyknął Hasse, zanim zdążył odstawić pusty kieliszek.

Kelnerka w czarnym podkoszulku już gdzieś zniknęła.

- Chyba usłyszała?

- Uważam, że powinniśmy mieć jakąś strategię.
 - Anders, nie pieprz, Anders... And...
- Hasse beknął w środku zdania. Uśmiechnął się szeroko.
- Anders And! - krzyknął.

Anders spojrzał pytająco na Hassego, który nie przestał mamrotać.

- Po norwesku Kaczor Donald nazywa się Anders And. Kaczor Donald to ty!

Anders nie odpowiedział, Hasse dziwnie się zaśmiał.

- Cholernie dobre imię dla bohatera komiksu. Anders And...

Anders przyjrzał się Hassemu, zaskoczony jego dziwnym humorem.

- Jak mam na ciebie mówić? Kaczor Donald czy Anders And?

Anders opróżnił szklanę.

- Anders And - powędział z rezygnacją.
- Robi się! Mów dalej!
- Musimy zabezpieczyć sobie odwrót.
- A jak to się robi?
- Jakby co, to wszystkiemu zaprzeczamy, i to razem.
- Zaprzeczamy - powiedział Hasse, podnosząc szklanę.

Zostawili za sobą Colosseum i Botkyrkę, na stacji benzynowej kupili sześciopak piwa i trzymając się trasy Essingeleden, skierowali się w stronę centrum.

- Lubię prowadzić, kiedy jestem napruty - powiedział Hasse.

Anders wychylił się przez okno, ciepłe powietrze owiewało jego twarz.

- Ten cały Lars, co to za palant? - zapytał Hasse.

Wiatr rozwiewał włosy Andersa.

- Palant i tyle. Olej go.

Zabijali czas, jeżdżąc po centrum, pijąc piwo, przyglądając się nocnemu życiu i słuchając starej płyty Randy Crawford.

Hasse wjechał na rondo na placu Sergela, zmienił bieg i wcisnął gaz do dechy, robiąc trzy kółka. Siła odśrodkowa spychała Hassego i Andersa na prawo. Randy Crawford śpiewała, Anders dopił piwo, donośnie beknął i wrzucił puszkę do fontanny przy rondzie. Hasse nie chciał być gorszy, nacisnął klakson i głośno pierdnął.

Kiedy wybiła druga, ruszyli w stronę Stocksund.

Zaparkowali volvo kilka przecznic od domu Sophie i bezprzewodowo podłączyli się pod aparaturę podsłuchową umieszczoną w samochodzie Larsa, zaparkowanym w jakimś zagajniku. Anders miał słuchawki na uszach.

- Chyba słodko pochrapują. Idziemy?

Wysiedli z auta i ruszyli drogą, Anders z pudełkiem z laboratorium kryminalistycznego pod pachą, Hasse z puszką piwa w dłoni. Słońce było gdzieś za horyzontem. O tej porze roku noce nigdy nie są czarne.

- Nienawidzę lata - powiedział Anders.

Naciągnęli na głowy czarne czapki. Anders przyjrzał się Hassemu.

- Uszanka?

Hasse zachichotał.

- Gdzie byłeś w woju?

- W wywiadzie w Uppsali, a ty?

- Na północy, w Arvidsjaur - odparł Hasse.

- No jasne...

Zakradł i się na żwirowany podjazd, na którym stał land cruiser, i znieruchomieli, nasłuchując.

Anders włączył kieszonkową latarkę, oświetlił wnętrze samochodu. Wyglądało na posprzątane.

Otworzył pudełko z laboratorium, wyjął jakiś elektryczny gadżet, skierował go w stronę auta, wcisnął guzik i cyfrowy

wskaźnik zaczął przeszukiwać spektrum. Elektroniczny wytrych zaczął od dźwięków o niskiej częstotliwości i szukał wzwyż. Stojący jakieś trzydzieści metrów dalej samochód sąsiada zamrugał, jego drzwi zostały odblokowane. Anders i Hasse zaśmiali się bezgłośnie.

Wskaźnik znalazł właściwą częstotliwość. Zamek w samochodzie Sophie został otwarty Anders schował urządzenie do torby i ostrożnie otworzył tylne drzwi. Z pudełka wyjął lampę ultrafioletową i zapaliwszy ją, zaczął przesuwając nad siedzeniem, szukając jakichś śladów, ale mimo że sprawdził całe wnętrze - podłogę, uszczelki, siedzenia, dach - nic nie znalazł. Ani śladu krwi, wypucowane jak cholera.

Anders zamknął drzwi, otworzył bagażnik, zajrzał do niego i oświetlając, zbadał. Też nic, zgasił lampę i zaczął węszyć, starając się rozróżnić zapachy. Wyczuł słabą nutę chloru i coś innego, ostrego, chemicznego... potem coś zapachniało znajomo, wciągnął powietrze, klej? Przyjrzał się dywanikowi, który leżał na dnie bagażnika - czy nie był czasem trochę za mały? Uniósł jego brzeg i przyłożył nos. Jasne, kurwa, że klej.

- Hasse! - syknął.

Hasse nadszedł powoli.

- Powąchaj.

Hasse pochylił się i zrobił, co mu kazano.

- Klej? - zapytał.

Anders kiwnął głową.

- Spójrz na dywanik, nie jest oryginalny, za mały.

Hasse, wzruszywszy ramionami, napił się piwa. Kiedy był nagrzany, mało co go obchodziło. Anders wziął próbkę kleju i dywanika. Każdą zapakował w oddzielny plastikowy woreczek, który zakleił. Obfotografował dokładnie resztę samochodu, cyfrowym wytrychem zamknął land cruisera Sophie i auto sąsiada. Panowały cisza i spokój.

Gunilla zadzwoniła do niego i powiedziała, że o ósmej ma przerwać obserwację willi i przenieść się do miasta, pod restaurację Trasten. Nigdy wcześniej go o to nie prosiła. Tam nic się nie działo; po chwili zrozumiał, że na coś się zanosi, i ruszył do Stocksund.

Lars trzymał się na odległość, schowany między krzakami w ogrodzie sąsiada. Widział, jak nadchodzą, podpici i pewni siebie, słyszał, jak się śmieją, gadając coś o uszance. Co oni tam, kurwa, robią?

Dzięki teleobiektywowi miał dobre zdjęcia, bezgłośnie migawka zrobiła wyraźne zbliżenia Andersa Aska i potężnego Hasse Berglunda. Lars poczekał, aż odejdą, nie wstawał, póki się nie upewnił, że jest sam. Wyrwał kartkę z notatnika i swoim koślawym pismem napisał na niej: „Bądź ostrożna”.

Kartkę wrzucił do skrzynki na listy przed domem Sophie.

W mieszkaniu rzucił zdjęcia Andersa Aska i Hassego Berglunda na komputer, kilka z nich wydrukował i przypiął do ściany. Usiadł na krześle, odepchnął się nogami i odjechałszy kawałek, podziwiał swoje dzieło. Ściana urosła, jak gdyby żyła własnym życiem.

Sara stanęła na progu. Była zaspana, mrużąc oczy, zająrzała do pokoju. Całą ścianę pokrywały nazwiska, zdjęcia, słowa, strzałki, daty, kreski i znaki zapytania. Mieszmasz wariata. Przeniosła wzrok na Larsa, który siedział na krześle i gapił się na to wszystko. Puste spojrzenie, blada, kiepska cera, przetłuszczone włosy - wyglądał na chorego.

- Musisz poszukać pomocy - powiedziała.

Odwrócił się do niej.

- Musisz się stąd wyprowadzić.

- Zrobię to, tylko nie mam gdzie się podziać. Rozmawiałam z Terese, może będzie mi mogła pomóc.

Lars spojrzął na nią.

- Myślisz, że mnie to obchodzi?

Wyglądała na smutną, ponownie przyjrzała się ścianie.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała.

Lars z satysfakcją spojrział na swoje imponujące dzieło.

- Życie na ścianie... Całe pieprzone życie... na ścianie!

Sara nie zrozumiała. Lars wstał i podszedł do niej chwiejnym krokiem. Wydawał się zadowolony, Sara rozpromieniła się, myśląc, że ma zamiar ją objąć...

Plask! Mocny cios prosto w twarz. Ugięły się pod nią nogi, upadła na ziemię. Zamroczyło ją. Usiadł na niej, jego jego rysy były wykrzywione. Wrzeszcząc tak, że ślina tryskała z jego ust, oznajmił jej, że ma nigdy więcej nie wchodzić do jego pokoju. Jeżeli to zrobi, zabije ją.

16

- Carlos Fuentes w sobotę wieczorem zgłosił się na pogotowie.

Gunilla przystanąła, zastanowiła się nad tym, co usłyszała, i zdjęła płaszcz.

- Tej samej nocy?

Eva skinęła głową.

- Twierdził, że napadła go grupa młodzieży.

Gunilla powiesiła płaszcz na wieszaku.

- Został przesłuchany?

Eva wskazała plik papierów leżący przed nią na biurku.

Gunilla wczytała się w tekst przesłuchania, które przeprowadzono o 1.48 tej samej nocy. Nie było w nim nic godnego uwagi. Carlos, minąwszy Odenplan, szedł ulicą Norrtullsgatan, a wtedy napadło go trzech wyrostków. Nie potrafił podać rysopisu, młodzi ludzie zbiegli z miejsca zdarzenia. Gunilla przebiegła wzrokiem wyniki obdukcji: Carlos stracił

dwa górne zęby, na twarzy miał siniaki i krwiaki. Przeczytała raz jeszcze.

- Żadnych śladów na ciele - stwierdziła.

Eva spojrzała znad komputera.

- Co powiedziałaś?

- Zaatakowało go trzech chłopaków i wygląda na to, że wszyscy celowali w twarz. Nie ma żadnych obrażeń na ciele, rękach ani nogach.

- To chyba nie jest niemożliwe? - zapytała Eva.

Gunilla patrzyła w dokumenty.

- Owszem, jest...

Usiadła na krześle i przeczytała raporty od deski do deski. Kiedy skończyła, podeszła do białej tablicy na ścianie, wzięła do ręki marker i zapisała datę, kiedy postrzelony mężczyzna został przywieziony pod szpital, nad datą zaś dopisała: „Dwóch nieznanymi mężczyzn w Trasten”. Napisała: „Hector?” i „Samochód Sophie?”, a następnie „Postrzelony mężczyzna” i „Carlos Fuentes pobity”. Zdania nad datą ułożyły się w półkole. Pod datą Gunilla dopisała: „Nieznany mężczyzna w samochodzie Sophie? Świeżo umyty samochód?”.

Cofnęła się o krok. Nie było żadnych dowodów, że to samochód Sophie podjechał pod szpital, żadnych, że te zdarzenia mają ze sobą coś wspólnego. Z drugiej strony, przypadek przypadkiem... ale czasem po prostu nie da się w niego uwierzyć.

- Eva? - odezwała się Gunilla.

Eva Castroneves podniosła wzrok.

- Tego samego wieczoru pobito Carlosa, Anders zaś zidentyfikował postrzelonego mężczyznę leżącego w szpitalu jako jednego z tych, którzy wchodzili do Trasten, na siedemdziesiąt procent, jak się wyraził... Dywanik w tylnej części samochodu jest zbyt mały i przyklejono go niedawno, on wyczuł zapach środków czyszczących... Czy możemy wykluczyć przypadek?

Eva wpatrywała się bez słowa w to, co zapisała Gunilla.

Gunilla znów odwróciła się do tablicy i dobrą chwilę zastanawiała się, przeglądając dokumenty. Eva wróciła do swoich zajęć. Po trwającym całą wieczność wpatrywaniu się w tablicę Gunilla wróciła do życia, podeszła do biurka, zdjęła z szyi łańcuszek i zawieszonym na nim lduczykiem otworzyła środkową szufladę. Wyjęła stamtąd czarny zeszyt, zamknęła z powrotem szufladę, założyła łańcuszek na szyję i wyszła.

Szła ulicą Brahegatan. Skręciła w lewo w Valhallavägen. Po pewnym czasie znalazła ławkę. Stała naprzeciwko zejścia na stację metra Stadion. Przysiadła tam na chwilę.

Otoczona szumem samochodów i innymi dźwiękami zamknęła oczy i pozwoliła światu wewnętrznemu zająć miejsce tego na zewnątrz. Stopniowo odgłosy ruchu ulicznego, szum wiatru w koronach drzew i wszystko inne zamarło. Gunilla była głęboko skoncentrowana, nic nie docierało do środka i nic nie wychodziło na zewnątrz. Otworzyła swoje wewnętrzne oczy. Zobaczyła przed sobą Sophie Brinkmann, widziała wyraz jej twarzy, słyszała ton głosu, dostrzegała ruchy dłoni, drobne i mimowolne. Prawą rękę zakładającą włosy za ucho, wskazujący palec pocierający skroń, dłoń leżącą nieruchomo na prawym udzie. Widziała małe odrzucenie głowy do tyłu, widziała jej trzy uśmiechy: szczery, uprzejmy i pytający. Słyszała słowa wypowiedane różnym tonem: naturalnym, niepewnym... także tym nieświadomie fałszywym... Porównywała chwile spędzone w towarzystwie Sophie Brinkmann, jej ton w różnych sytuacjach, zestawiała ze sobą zwroty i wyrażenia, których używała. Miała przed sobą jej twarz podczas wspólnej jazdy samochodem, ldey wspomniła jej o wstydzie z powodu braku rodziców. W jej głowie rozbrzmiał głos Sophie, spokojny i szczery. Następnie przypomniała sobie, w jald sposób Sophie odezwała się na wieść, że Gunilla ją podsłuchuje, i jak zareagowała na

pytanie: „Jak się z tym czujesz?”. Wtedy zaczęła mówić inaczej. Kłamała. Wciąż słysząc jej głos, Gunilla porównała go z tym podczas rozmowy telefonicznej, kiedy to Sophie zapewniała, że przed zniknięciem Hectora pojechała z restauracji do domu. Ton i sposób mówienia był ten sam, wskazywał na kłamstwo.

W wyobraźni Gunilli zaczął się rozgrywać chronologiczny scenariusz. Hector z jakiegoś powodu ulatnia się restauracji, Sophie i Aron mu pomagają... Sophie kłamie. Czy kłamie przez cały czas? Czy od początku kłamała?

Rzeczywistość powróciła, Gunilla znów słyszała swój oddech, wiatr lekko poruszający liśćmi drzew, ruch uliczny i ludzi... Zamrugła i otworzyła oczy.

W czarnym zeszytce, który miała na kolanach, zapisała wszystko, do czego przed chwilą doszła, wszystkie rozważania i refleksje, wszystko to, co zrozumiała i co odpowiedział jej instynkt. Cały zeszyt pełen był takich niejednoznacznych danych.

Czytała raz za razem to, co właśnie napisała - obraz coraz bardziej się klarował. Sophie Brinkmann najwyraźniej robiła to, na co sama miała ochotę.

Gunilla wstała i wróciła spacerem do biura, stamtąd zadzwoniła do swojego brata Erika i powiedziała, że chce przedstawić mu pewien pomysł.

*

Albert wychodził od niej uskrzydłony, wciąż czując w ustach smak jej gumy do żucia. Zaczęli się spotykać dwa tygodnie wcześniej. Teraz byli parą. Nazywała się Anna Moberg. Zawsze mu się podobała..

Wzdłuż chodnika, którym szedł Albert, jechał samochód. Utrzymywał równie wolne tempo, co on. Albert spojrział na samochód, na kierowcę, zastanowił się, czy mężczyzna

czegoś od niego chce, jednak okno po stronie kierowcy było zamknięte. Szedł dalej, w końcu przystanął.

Samochód podjechał jeszcze parę metrów i również się zatrzymał. Albert minął go od tyłu, przeszedł przez ulicę i przyspieszył kroku. Kierowca opuścił szybę.

- Młody!

Albert się obrócił, zobaczył za kierownicą postawnego mężczyznę w wiatrówce.

- Albert Brinkmann?

Albert pokiwał głową.

- Chodź, chcę z tobą porozmawiać.

Albert miał się na baczności.

- Nie, idę do domu.

Usłyszał w swoim głosie zdenerwowanie, próbował je ukryć, stając pewnie na ziemi, ale nogi go nie posłuchały. Mężczyzna w samochodzie kiwnął ręką w jego stronę.

- Powiedziałem: chodź, jestem policjantem.

Albert podszedł do auta nerwowym krokiem. Mężczyzna pokazał legitymację.

- Mam na imię Hasse, wskakuj do tyłu.

Albert się zawahał.

- Siądź z tyłu - powtórzył Hasse cicho.

Tyłne siedzenie było welurowe. Albert poczuł zapach jedzenia, być może hamburgerów. Hasse Berglund patrzył na niego w lusterku.

- Wpakowałeś się w cholerne tarapaty.

Albert nic nie odpowiedział. Rozległ się krótki i głuchy trzask, kiedy centralny zamek zablokował jednocześnie wszystkie drzwi. Mężczyzna się odwrócił i spojrzał Albertowi w oczy.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Mężczyzna miał okrągłą twarz, krótkie włosy i podwójny podbródek. W jego białych, wodnistych oczach Albert zobaczył szaleństwo.

Cios padł niespodziewanie. Hasse dzielił go otwartą dłonią po głowie, Albert uderzył mocno w boczną szybę. Przez chwilę nie rozumiał, co się dzieje, potem pojawił się ból. Chwytał się za głowę.

- O czym pan mówi? Zatrzymał pan niewłaściwego człowieka - wyrzucił.

Lży cisnęły mu się do oczu, cały drżał.

- Nie, Albert, ja nigdy nie zatrzymuję niewłaściwych ludzi.

Hasse znów się odwrócił, patrzył prosto przed siebie.

- Gadałem z pewną dziewczyną, czy może raczej powinienem powiedzieć: z małą dziewczynką. Czternastolatką, która twierdzi, że ją zgwałciłeś na imprezie dwa tygodnie temu... i wiesz co?

Albert opuścił wzrok na nogi, jedną ręką trzymając się za głowę. Bolało.

- I wiesz co? - ryknął Hasse.

Albert zmusił się, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie wiem?

- Wierzę jej... Jest nawet trzech chłopaków, którzy mogą to potwierdzić, mamy też obdukcję lekarską. Czternaście lat, czyli nieletnia. Takich rzeczy nie traktuje się u nas po-błażliwie... z pewnością nie.

Strach Alberta odrobinę przygasł.

- W takim razie na pewno rozmawia pan z niewłaściwym człowiekiem. Nazywam się Albert Brinkmann, mieszkam w Stocksund, kawałek stąd.

Pokazał w kierunku domu. Hasse poprawił się na fotelu.

- Czy byłeś na imprezie w Ekeró... - spojrział w notatki - Kvarnbacken, czternastego?

- Nie wiem, jak się to miejsce nazywało.

- Ale byłeś tam na imprezie?

Albert, chcąc nie chcąc, pokiwał twierdząco głową.

-Ale nie spotkałem tam żadnej dziewczyny... Jestem w związku z inną.

- Jesteś ogierem, Albert? - zapytał Hasse kumpelskim tonem. - Jak my wszyscy. Kiedy jednak to się zmienia w coś innego, wtedy wkraczam ja i doprowadzam wszystko do porządku. Rozumiesz, taką mam pracę.

- Ale ja nic nie zrobiłem - wyszeptał Albert.

Hasse przejechał językiem po przednich zębach, opuścił osłonę przeciwsłoneczną i wyszczerzył się do lusterka.

- Pojedziemy do miasta, do Norrmalm. Tam są świadkowie, którzy na ciebie spojrzą. Jeżeli jest tak, jak mówisz, puszcze cię wolno. Okej?

Albert próbował zebrać myśli.

- Jak ma na imię ta dziewczyna? - zapytał.

Hasse Berglund podniósł z powrotem klapkę, odpalił samochód i ruszył do miasta. Na pytanie Alberta nie odpowiedział.

*

- A, tu jesteś. Telefon do ciebie, Albert dzwoni.

Uśmiechnęła się do koleżanki z pracy, poszła do recepcji, usiadła na krześle i podniosła czekającą na ladzie słuchawkę.

- Cześć, kochanie.

Usłyszała, jak po drugiej stronie jej syn płacze jak dziecko. Niezdolny wytłumaczyć, co takiego się stało. Wysłuchiła go, próbowała uspokoić i powiedziała, że już jedzie.

Czekała w pustym korytarzu leżącym na którymś z wyższych pięter komisariatu. Była sama, dookoła panowała cisza. Naprzeciwko miała uchylone drzwi jakiegoś gabinetu. W środku było pusto, pokój był nieużywany. Na końcu korytarza rozległy się kroki. Zjawił się postawny, brodaty

mężczyzna z plastikową teczką w dłoni. Zatrzymawszy się, powiedział, że ma na imię Erik, i usiadł obok niej. Jego ubranie pachniało zastarzałym potem.

- Pani syn, Albert. Już chyba wszystko pani powiedział?

Mężczyzna miał nisl d głoś, mówił obojętnym tonem.

- To jakieś nieporozumienie...

Erik przetarł oczy, podrapał się w czoło. Wyglądał na zmęczonego i przepracowanego.

- Najwyraźniej zgwałcił dziewczynę...

- Nie, nie zrobił tego - odparła. - I chcę się z nim zobaczyć.

Erik odchrząknął.

- Będzie pani miała okazję, już niedługo.

- Teraz, a może woli pan, żebym się skontaktowała z adwokatem?

- To nie będzie konieczne.

Nie rozumiała.

- Co pan ma na myśli?

- To, co powiedziałem. To nie będzie konieczne.

-Co?

- Telefon do adwokata.

- W taldm razie chcę się zobaczyć z synem.

Podniósł dłoń spoczywającą na nodze.

- Bez pośpiechu. Proszę nie naciskać. Najpierw chwilę porozmawiamy, w porządku?

Spojrzała na niego, broda ukrywała każdy wyraz jego twarzy.

- Być może jest tak, jak pani mówi - zaczął Erik. - Że Albert niczego nie zrobił. Myślę sobie tylko, że nie powinna pani postrzegać tak wszystkiego w czerni i bieli. Pani syn tu jest... A my jesteśmy policjantami, wiemy, co robimy.

Próbowała zrozumieć, co ma na myśli.

- Proszę to przeczytać... To powinno dać pani obraz sytuacji.

Wręczyła jej plastikową teczkę. Wzięła ją do ręki i otworzyła, przeglądała strony. Były to zeznania trzech świadków. Przeczytała fragment dotyczący poczynań Alberta podczas tamtego wieczoru.

- To straszne w przypadku takiego młodego chłopaka i na pewno jest tak, jak pani mówi, ale... on jest teraz u nas, no i mamy te zeznania... To jest poważna sprawa.

Erik wstał i przeciągnął się, w jego potężnym ciele strzeliła jakaś kość. Popatrzył w jedną i w drugą stronę korytarza, nadal byli sami.

- Może pani zabrać chłopaczkę do domu - powiedział cicho. - I proszę nikomu o tym nie wspominać, to tylko narobiłoby dodatkowych kłopotów pani i pani synowi.

Erik odszedł. Patrzyła na niego, kiedy się oddalał. Przez jej niezdolność do zrozumienia całej sytuacji zaczął przebiegać scenariusz, scenariusz oparty na kłamstwie, oszustwie, groźbie i manipulacji. Rozmyślenia przerwał jej odgłos kroków, zobaczyła Alberta. Szedł w jej stronę pustym korytarzem, oszołomiony, bez żadnego policjanta u boku. Wstała, on przyspieszył kroku. Cały zdawał się drżeć ze strachu i rozpacz.

*

Erik Strandberg miał dobry dzień. Przez lustro weneckie obserwował siedzącego w pokoju przesłuchań Alberta, patrzył, jak chłopak próbuje sobie znaleźć wygodną pozycję na krześle. Pomyśleć tylko, taki mały chłopak, ni w ząb nierozumiejący, dlaczego się tam znalazł. Śmiertelnie przerażony i spanikowany. Fascynujący widok.

Erik ucieszył się, gdy odkrył, jak otwarte i elastyczne podejście do swojej pracy ma Hasse Berglund. Mieli wiele wspólnego. Przede wszystkim dzielili bezpośredni i szczerzy sposób bycia, ale również poczucie humoru - śmiali się

z tego samego, z tych samych idiotycznych rzeczy dziejących się dookoła.

Dzień wcześniej przedstawił pomysł Berglundowi, ten zaś od razu się do niego zapalił, podchwycił propozycję i jeszcze ją rozwinął.

- Jedziemy do Murzyn owa - powiedział.

Tak też zrobili. Chodzili po osiedlu pełnym bloków z kolorowymi akcentami na elewacjach.

- Komu się, do cholery, wydaje, że zrobi się fajniej od samego pomalowania budynków na paskudne kolory?

- Nie mam pojęcia - odparł Hasse.

Widząc ich sięgające talii kurtki i dzinsy takich marek jak Apache czy Workers Delight i czarne wygodne obuwie, stanowiące niegustowną mieszankę trampków i butów wizytowych, nikt nie mógłby mieć wątpliwości, że ci dwaj mężczyźni to gliniarze w cywilu.

- W śródmieściu często spotykałem tych chłopaków, to dobra ekipa. Wciągnięci w narkotyki i inne gówna, ale dobrzy i otwarci na pomysły - powiedział, podchodząc do drzwi.

Pojechali windą. Na ścianie ktoś napisał markerem „kutas”, na metalowych częściach windy uwieczniono również i inne brzydkie słowa, najczęściej z błędami. Erik i Hasse zarechotali.

W drzwi wbudowany był mechaniczny dzwonek. Dźwięk był taki sam we wszystkich blokach w całym pieprzonym kraju. Hasse zadzwonił dziesięć razy z rzędu, było to dość irytujące. Erik znowu zarechotał.

Drzwi otworzył przyszczaty chłopak w T-shircie i czarnych spodniach dresowych z białymi paskami. Wyglądał na przestraszonego; może był to jego naturalny wygląd. Wyszczrzył zęby na widok Hassego.

- Wielki Wódz! Bez munduru... Co ty robisz w Hallundzie!

Hasse i Erik weszli do środka, w mieszkaniu pachniało haszem. W pokoju było jeszcze dwóch chłopaków. Grali na konsoli. W popielniczkach leżały bibułki i niedopałki jointów, żaluzje były zasunięte.

Chłopak o imieniu Istvan wskazał brązową skórzaną kanapę. Erik i Hasse wybrali dwa krzesła, ale najpierw sprawdzili siedziska.

- Istvan, kowboju... jak się czujesz? - Hasse usiadł.

- *Comme ci, comme ça* - odpowiedział Istvan, machając ręką, po czym z jakiegoś powodu zaczął zanosić się śmiechem. Pochłonięci grą koledzy przyłączyli się do rechotu, nie odrywając wzroku od telewizora. Erik zaczął się wiercić na krześle.

- Potrzebujemy waszej pomocy, pięć tysięcy na głowę.

Istvan czekał.

- Jesteście świadkami gwałtu. Piętnastoletni chłopak zmusił do współżycia dziewczynę. Wy byliście na tej imprezie i widzieliście całą sytuację z trzech różnych punktów. Okej?

Istvan pokiwał głową.

- Jasne.

IConsolowcy koncentrowali się na grze. Hasse poprosił, żeby wyłączyli.

- Dlaczego? - zapytał jeden z nich.

Na takie pytania Hasse Berglund był uczulony.

- Po prostu bądź tak miły i to wyłącz - powiedział o wiele za głośno.

Spauzowali, zabrzmiał radosny dźwięk. Hasse wziął się w garść.

- Ja wszystko opowiem, wy posłuchacie, a potem zdecydujemy się na najlepszy scenariusz. Musicie to umieć na blachę. Dzisiaj dostaniecie pieniądze. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, wezwę was jeszcze w późniejszym czasie, to jest wliczone w wynagrodzenie.

Wszyscy pokiwali głowami,

Hasse trzykrotnie przesłuchał chłopaków na okoliczność wymyślonego zdarzenia. Dostali pieniądze i usłyszeli, że Hasse zabije ich własnymi rękoma, jeśli się wygadają.

- Jeżeli pewnego dnia zostanę zabity, mam nadzieję, że to ty będziesz sprawcą, Wielki Wodzu.

Hasse wymierzył w stronę Istvana kilka ciosów w powietrzu, ten się ostonił. Erik zarechotał. Istvan zapytał, czy chcą zostać i wypalić z nimi jointa.

- To gówno człowieka ogłupia - wymamrotał Erik.

Chłopaki zareagowały na te słowa atakiem histerycznego śmiechu.

W drodze powrotnej z Hallundy Erik zadzwonił do starego kolegi z Norrmalm i poprosił o użyczenie na cały dzień pokoju przesłuchań.

- Dwie godziny, nie więcej. I wejść schodami od drugiej strony, nie wjeżdżaj windą.

Wszystko poszło jak po maśle. Chłopak prawie się zebrał. Matka pielęgniarza była blada jak jebane prześcieradło. Dziwna sprawa z tym strachem, myślał, idąc ulicą Vasagatan. Niektórzy ludzie cali pogrążają się w tym gównie.

Erik znalazł lokal z kebabem, wszedł i zamówił suty posiłek. Turek za ladą chciał rozmawiać o wynikach meczów i o pogodzie. Erik nie odpowiadał. Mężczyzna zrozumiał aluzję i w milczeniu odkrawał gorące mięso. Erik usiadł na wysokim stołku przy wąskiej ladzie, skąd miał widok na ulicę, westchnął i rozłożył bulwarową gazetę, którą podprowadził z komisariatu w Norrmalm. Przejrzał ją pobieżnie

- jakiś celebryta, którego nie znał, najwyraźniej okazał się gejem. Erika nie opuszczało wrażenie, że coraz mniej rozumie otaczający go świat.

- Albert?

Opierała się o kuchenny blat i spoglądała na syna. Albert patrzył w stół, nie chciał podnieść wzroku.

Nie mogła się powstrzymać, podeszła i uderzyła go otwartą dłońią w policzek. Cios był tak silny, że ją to prze-
raziło, cofnęła się zszokowana, po czym otrząsnęła się i ru-
szyła w jego kierunku z otwartymi ramionami. Albert wstał.
Stali tak w uścisku, ona głaskała go po głowie.

- Ja nic nie zrobiłem - powiedział ochryple.

Usłyszała w nim dziecko, strach niewinnego.

- Wiem - odparła szeptem.

- Co się w takim razie stało?

Zastanowiła się nad jego pytaniem i doszła do wniosku,
że zna odpowiedź, nie zamierzała się nią jednak dzielić.

- Nic... Już po wszystkim, pomylili się...

Pomyślała o mikrofonach, które wyłapują jej słowa
i prawdopodobnie przekazują Gunilli Strandberg,

- Przecież oni mieli świadków! Gwałt? Co to za...

Gunilla go uciszyła.

- Psst, zapomnij już o tym, tak się po prostu złożyło.
Każdy może się pomylić, nawet policja.

Głaskała go po głowie.

- On mnie uderzył - powiedział Albert cicho.

Sophie zamrugała, jakby coś jej wpadło do oka. Zmusiła
się, by zachować spokój, nie przestawała go głaskać.

- Co powiedziałeś?

- Policjant w samochodzie, uderzył mnie w twarz.

Nagle przestała dostrzegać cokolwiek ze świata zewnętr-
nego, widziała tylko coś w swoim wnętrzu, to coś zaczęło się
świecić. Niczym mała barwna plama. Plama zaczęła dawać
o sobie znać, palić, uciskać, dusić... wypełniać ją od środka.
Wreszcie przemieniła się w ogromny, kolorowy gniew. Nie
ten spowodowany niepokojem, który poczuła przed chwilą.
Była to rozszarżona wściekłość, wypełniająca każdą komórkę

jej dała, która rozprzestrzeniała się, wypierając wszystko inne. Co dziwne jednak, wściekłość pozwoliła jej odetchnąć i zacząć jasno myśleć.

- Nikomu o tym nie powiemy. Obiecay mi - wyszeptała.

- Dlaczego?

- Bo ja tak mówię.

Albert wysunął się z uścisku, wyglądał na zbitego z tropu.

- Dlaczego nie? - powtórzył.

- Bo tu chodzi o coś innego - odpowiedziała szeptem.

- O co?

Albert czekał na odpowiedź, która jednak nie nadeszła. Poczł się nieswojo, obrócił się i wyszedł z kuchni.

Zadzwoił telefon. Zadzwoiła Yvonne ze zwyczajowymi pytaniami z serii „co u ciebie”. Sophie udzielała matce spodziewanych odpowiedzi z kategorii „wszystko w porządku”.

- Przyjdziecie w niedzielę?

Yvonne zadała to pytanie tonem męczennicy. Sophie próbowała zachowywać się zwyczajnie.

- Tak, koło siódmej... Jak zawsze.

- Tak, ale zwykle przychodzicie o wpół do ósmej. To niewielka różnica, ale teraz będziemy jedli...

Sophie przerwała matce.

- Przyjdziemy o siódmej albo wpół do ósmej.

Pożegnała się i zakończyła rozmowę. I wtedy coś w niej pękło. Rzuciła telefonem o ziemię. Kiedy się nie roztrzaskał, rzuciła nim jeszcze raz i przydepnęła. Zazgrzytała zębami, jednak nie udało jej się odreagować. Czła taką samą złość i bezsilność, jak zanim telefon wylądował na podłodze.

Albert patrzył na nią z dużego pokoju. Patrzyli na siebie nawzajem. Następnie Sophie się pochyliła i zaczęła zbierać fragmenty zniszczonego aparatu.

Okna były otwarte, Jens odkurzał całe mieszkanie, dywany i podłogę. Sprzątaniem próbował się uspokoić, czasami mu się to udawało. Jednak nie dzisiaj, poza tym było już czysto, ponieważ odkurzył dzień wcześniej. Dźwięk różnych rzeczy wciąganych do odkurzacza sprawiał mu przyjemność. Słuchał ich stukotu w rurze i tego, jak wpadały do worka. Czuł wtedy radość na myśl, że praca, którą wykonuje, przynosi jakieś efekty. Dziś jednak nie było żadnych tego typu odgłosów. Tylko on i odkurzacze, przemierzający mieszkanie jak jakieś stare małżeństwo.

Zdawało mu się, że słyszy dźwięk, przebijający się przez muzykę z wieży i warkot odkurzacza. Nadstawił uszu, jednak niczego nie usłyszał, więc kontynuował sprząkanie. Znowu rozległ się ten dźwięk. Jens wyłączył nogą odkurzacze i nasłuchiwał - ktoś dzwonił do drzwi.

Sophie stała w kuchni. Mówiła wyraźnie, zwięźle i szczegółowo. Opowiedziała, co się przytrafiło Albertowi. Jens nie mógł w to uwierzyć.

- Policjanci mówią, że są świadkowie i że dziewczynka ma czternaście lat.

Widział jej zdenerwowanie. Malowało się na całej twarzy. Nagle się postarzała, zmizerniała... bała się.

Stojący na kuchence czajniczek do espresso syczał coraz głośniej. Jens jednak nie zwracał na niego uwagi, usiłował ułożyć sobie w głowie opowieść Sophie. To ona w końcu zwróciła mu uwagę. Dźwięk wdarł się w jego myśli i przerwał skupienie. Jens zdjął czajniczek z płyty.

- Czy to mogło się zdarzyć? - zapytał, zdejmując z półki dwie filiżanki.

Pokręciła głową, jakby jego pytanie było nienormalne.

- Jesteś absolutnie pewna?

- Boże święty, oczywiście, że jestem pewna! - krzyknęła Sophie.

Jens przyjrzał jej się uważnie, niezrażony tym krótkim wybuchem.

- Ale czy mogło mieć miejsce coś podobnego?

Sophie już chciała mu przerwać.

- Nie, poczekaj, Sophie. Czy coś nieznaczącego, nieszkodliwego i niewinnego mogło się zdarzyć?

Sophie chciała odpowiedzieć przecząco, ale się powstrzymała, wciągnęła powietrze.

- Nie wiem... - odparła słabym głosem.

Jens dał jej czas do namysłu.

- Chodź - powiedział wreszcie, wziął filiżanki i ruszył w stronę stojącej w rogu mieszkania kanapy.

Dał jej znak, by usiadła, postawił filiżanki na stoliku, sam zaś zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niej.

- Może coś tak niewinnego jak nawiązanie bliższego kontaktu z dziewczyną, jakiś flirt?

- Nie wiem - powiedziała raz jeszcze.

- A co mówi Albert?

Podniosła wzrok, po czym znów go opuściła.

- Że tam nawet nie było żadnej dziewczyny. Nikogo tam nie poznał i prawie z nikim nie rozmawiał. Tylko tyle, że poszedł na imprezę, bo miała tam być inna dziewczyna.

- Kto?

- Jego obecna sympatia, ma na imię Anna.

- Czy to mogło być alibi?

- Nie, mój syn nie miał na tyle odwagi, by do niej podejść.

- Co on na ten temat myśli?

- Wszystko i nic. Na początku miał teorię, że to jakiś kolega, z którym się wcześniej pokłócił, chciał go wrobić... Ale wierzy też w to, co mu powiedziałam.

- A co powiedziałaś?

- Że policjanci się pomylili.

- Kupił to?

Nie spodobało jej się to pytanie, nie odpowiedziała. Zapadła między nimi cisza, pogrążeni w rozmyślaniach popijali kawę. Myśli Jensa donikąd go nie zaprowadziły, potrzebował pomocy, by zrozumieć.

- A więc policja obserwowała Hectora w szpitalu?

- Tak, a co?

- Zaprzyjaźniliście się i policja to odkryła?

Sophie skinęła głową. Nie wiedziała, dokąd zmierza.

- Skontaktowali się z tobą i poprosili, byś została kapusiem?

Milczała.

- A później założyli pluskwy w całym twoim domu?

Nie podobał jej się jego ton.

- A ciebie poddali obserwacji?

Przyglądała się swoim dłoniom. Poprawiła pierścionek na palcu.

- A teraz grożą twojemu synowi, oskarżając go o gwałt?

Rozparł się na fotelu.

- Ambitnie - powiedział.

Spojrzała na niego, próbując rozstrzygnąć, czy ironizuje.

- A ty co sądzisz?

- Może i tak.

- Co „może i tak”?

- Może i ambitnie.

- Wygląda to tak, jakby więcej uwagi poświęcali tobie niż Hectorowi... Dlaczego?

- Nie wiem.

Nagle coś się w nim zmieniło. Jakby nie był już w stanie zdobyć się na zrozumienie. Jakby nie miał dla niej czasu.

- Policja ci grozi, podsłuchuje, więziesz się z domniemanym przestępcą i musisz robić za kapusia, ponieważ policja ma haka na twojego syna?

Sophie zachnęła się odruchowo.

- Nie, naprawdę tak nie jest.

Obrzucił ją zmęczonym spojrzeniem.

- Nie jestem z nim w związku i nie wiem, czy jest przestępcą... I jeszcze nic na niego nie doniosłam.

- Czy innych twoich przyjaciół też wywożą w sobotnie wieczory do lasu, by ich tam rozstrzelać?

- Przestań.

- Nie, to ty przestań, Sophie. Myślisz, że co to jest? Nie możesz tworzyć sobie rzeczywistości z własnych pragnień. To, co cię teraz spotyka, nie jest normalne. Ta policja wydaje się naprawdę śmiertelnie niebezpieczna. I donosiłaś, nawet jeśli sama tak nie uważasz, robiłaś to. Kiedy tylko policja zaczęła zadawać ci pytania, stałaś się donosicielką. Co im powiedziałaś albo czego nie powiedziałaś, nie będzie miało znaczenia dla Hectora i jego bandy, kiedy się o tym dowiedzą.

Jens chciał mówić dalej, ale się opanował.

- Dlaczego policja zrobiła coś takiego? - zapytał.

- Nie wiem.

- Jak ci się wydaje?

- Kontrola. Chcą mnie mieć w garści, zmusić do robienia rzeczy, których nie chcę robić... nie wiem.

Odwróciła się do niego.

- Nie stwarzam własnej rzeczywistości. Nie chcę osądzać nikogo na wyrost. To jest jak spacer po polu minowym, najmniejszy fałszywy krok i...

Znów popatrzyła na swoje dłonie, na palce i noszoną biżuterię. Pierścionek z brylantem od babci, obrączkę, której nigdy nie zdjęła. Odezwała się znowu, mówiła powoli.

- Hector, policja... Zrobiłam, co uważałam za słuszne. Nie miałam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Nie wiedziałam, jaka jest moja rola w tym wszystkim. Wiedziałam tylko, że muszę podążać za jakimś wewnętrznym głosem, który jednak przez cały ten czas ledwo pisnął. Tak długo słuchałam ciszy, krzyczałam o pomoc. Ale teraz nagle zaczęło

chodzić o mojego syna i tylko o niego, wszystko inne przestało się liczyć.

Rozluźnił się, jego głos był niski i schrypnięty.

- Kto jeszcze z twojego otoczenia o tym wie?

- Nikt.

- Nikt?

Pokręciła głową.

- Nikt.

- Widujesz się z kimś? Masz jakąś koleżankę, z którą możesz pogadać?

-Tak...

- I ona też nic nie wie?

Sophie pokręciła głową.

-Nie.

Jens się zamyślił.

- Dobrze - powiedział cicho, podnosząc na nią wzrok. - Dlaczego nie?

Spojrzała na niego pytająco.

- Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś? Byłoby chyba naturalne zwrócić się do kogoś z czymś takim?

- Przecież właśnie to robię.

Przez otwarte okno dobiegł dźwięk samolotu śmigłowego, lecącego wysoko po niebie.

- I teraz chcesz wziąć Alberta i zmykać? - ciągnął.

- Nie wiem, co mam zrobić.

- A gdybyś miała wybierać?

- Chciałabym, żeby to wszystko zniknęło.

- Rozumiem. A w jaki sposób chciałabyś to osiągnąć?

Wzruszyła ramionami, nie odpowiadając.

- Sophie!

- Nie wiem. Co za kretyńskie pytania mi zadajesz?

- Masz chyba jakiś pomysł? Chyba się nad tym zastanawiałaś, przynajmniej raz?

W pierwszej chwili nie odpowiedziała, zdawała sobie jednak sprawę z sytuacji.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, nie widzę żadnego wyjścia. Jakkolwiek bym kombinowała, zawsze ktoś źle na tym wyjdzie. Nie chcę, żeby tak było. Ja nic złego nie zrobiłam, zupełnie nic, nie chcę nikogo poświęcać.

- To chyba jasne, kogo należy poświęcić?

Popatrzyła mu w oczy.

- Tak... to prawda.

- Dlaczego więc go nie poświęcisz? Zrób to, o co prosi cię policja. Daj im tyle informacji, ile możesz, pozwól im go zamknąć - i masz sprawę z głowy. Ty i twój syn wróćcie do zwyczajnego życia.

Przyjrzała mu się krytycznie.

- Ty byś tak zrobił?

Potrząsnął głową.

- Nie. Na tym by się nie skończyło, przez resztę życia musiałbym uciekać, przed gliniarzami i przed gangiem Hectora. Oni by się nie poddali.

- No widzisz - powiedziała obojętnym tonem.

Wyjęła kawałek papieru i podała Jensowi. On wziął go do ręki i przeczytał: „Bądź ostrożna”.

- Gdzie to znalazłaś?

- W skrzynce na listy.

- Kiedy?

- Rankiem kilka dni temu.

- Zanim zabrali Alberta?

Skinęła głową. Jens spojrział na kartkę jeszcze raz, jakby usiłował zrozumieć coś, czego tam nie było.

- Kto to napisał?

- Nie wiem.

Jens był zbity z tropu. Położył kartkę na stoliku i pochylił się do przodu. Siedział z szeroko rozstawionymi nogami, z łokciami na kolanach.

- Na twoim miejscu zebrałbym wszystkie możliwe informacje o największym zagrożeniu, czyli policji. Później doprowadziłbym do jakiejś konfrontacji z nimi.

- Ale jak?

Wzruszył ramionami.

- W tym przypadku konfrontacja oznaczałaby wytrącenie ich z równowagi, do pewnego stopnia... Przy okazji można by się czegoś dowiedzieć.

- A później?

Jens wstał z fotela i poszedł do kuchni.

- Nie wiem... - powiedział.

17

Carlos, ubrany w nowiutki dres, jadł zupę. Był w stanie przyjmować tylko płynny pokarm. Siedział w eleganckim fotelu z ręcznikiem na kolanach. W telewizji leciał film z Terence'em Hillem i Budem Spencerem. Bud właśnie powalał opryszków na ziemię ciosami z otwartej dłoni, czemu towarzyszyły przejawiskawione efekty dźwiękowe. Kwestie Terence'a zarżnięto dubbingiem, nie zgadzały się z ruchem warg. Carlos rechotał na widok ekranowej bijatyki; kiedy się uśmiechał, bolała go twarz.

W korytarzu rozległ się dzwonek do drzwi.

Anders i Hasse na widok Carlosa uśmiechnęli się przyjaźnie.

- Carlos Fuentes? - zapytał Hasse.

Carlos skinął głową. Hasse pomachał policyjną legitymacją.

- Jestem Kling, a to jest Mang. Możemy wejść?

- Już rozmawiałem z policją, przychodzili do szpitala.

Hasse i Anders przecisnęli się obok Carlosa i skierowali się do kuchni. Carlos popatrzył za nimi.

- Czego chcecie?

Kling i Klang huścili się na taboretach. Carlos stał, oparty o zlewozmywak.

- I nie pamiętasz, jak wyglądali, żaden z nich?

Carlos pokręcił głową.

- Mówiłeś, że ile mieli lat?

Pytanie zadał Anders. Carlos się zastanowił.

- Kilkanaście...

- Trzyście czy dziewięćście? - zapytał Anders.

- Bardziej dziewięćście, może siedemnaście.

- Siedemnaście? - zapytał Hasse.

Carlos skinął głową.

- I oni cię pobili, tak po prostu? Siedemnastolatkiem?

Carlos znów skinął głową.

- No coś takiego - powiedział Hasse. Carlos nie wiedział, czy się z niego nabija.

- Ale coś chyba widziałeś? Twarz...

Carlos pokręcił głową.

- Wszystko działało się tak szybko.

- Narodowość? Szwedzka?

Carlos udawał, że się zastanawia.

- To chyba byli imigranci, na głowach mieli kaptury.

Carlos podrapał się w koniuszek nosa.

- Zawsze ci imigranci - powiedział Hasse.

Anders dla pozorów przeglądał swój notatnik.

- I wracałeś wtedy z pracy do domu?

- Tak...

- Gdzie pracujesz?

- Jestem właścicielem restauracji. Trasten.

- Tego wieczoru w Trasten było spokojnie? Żadnych awantur? Nic się nie wydarzyło?

Carlos pokręcił głową, palcem znów dotykając nosa, szybkim, ledwo dostrzegalnym ruchem.

- Nie. Restauracja skończyła pracę koło jedenastej, wtedy przyszedłem, żeby wszystko pozamykać. Spokojny sobotni wieczór.

- Jasne, że tak - uśmiechnął się Anders.

Carlos próbował odpowiedzieć uśmiechem.

- Skąd jesteś? - zapytał Hasse.

- Z Hiszpanii... z Malagi.

- Czy król przypadkiem nie ma na imię Carlos?

Carlos usiłował zrozumieć, o co im chodzi.

- Nie, to Juan Carlos...

- No, czyli nazywa się Carlos - powiedział Hasse.

Carlos nie nadązał.

- Czyli nic się nie wydarzyło? - Anders powtórzył pytanie.

Carlos spojrzał na Andersa i pokręcił głową.

- Wszystko było jak zwykle? - zapytał Hasse.

Carlos przenosił spojrzenie z jednego na drugiego.

- Przecież mówię!

- Don Carlos! Nie było takiego aktora porno?

Carlos spojrzał na Hassego, nie wiedząc, czy ten spodziewa się odpowiedzi.

- Nie wiem - odparł ściszym głosem.

Anders przyjrzał się Carlosowi.

- Studiowałeś kiedyś psychologię?

- Słucham?

- Pytam, czy studiowałeś psychologię.

Carlos pokręcił głową.

- Psychologię? Nie.

Anders wskazał Hassego.

- A my tak, jesteśmy psychologami. Ze szkoły psychologii Klinga i IClanga.

Carlos już zupełnie się pogubił.

- Tam uczą między innymi, że jedną z najbardziej oczywistych oznak kłamstwa jest drapanie się po nosie.

Carlos dotknął nosa.

- O właśnie tak. Ty drapiesz się w nos przez cały czas, po tym irytującym, cholernym nerwie, który budzi się do życia za każdym razem, kiedy ktoś kłamie.

- Ja nie kłamię - odparł.

- Skąd znasz Hectora Guzmana? - zapytał Hasse.

- Hectora?

Anders i Hasse czekali.

- To mój stary znajomy, czasem jada u mnie w restauracji.

- Jak byś go opisał?

- Nic szczególnego, zwyczajny człowiek.

- Jaki jest zwyczajny człowiek?

Carlos podrapał się w nos.

- Zwyczajny, po prostu. Pracuje, je, śpi... Nie wiem.

- Widziałeś się z Hectorem w sobotę?

- Nie.

- Ale był tego dnia w restauracji?

- Nie kiedy ja przyszedłem. Przyszedłem późno, żeby zamknąć.

- Miał tego wieczoru towarzystwo? Wiesz coś na ten temat?

Carlos pokręcił głową.

- Nie, nic nie wiem.

- Była z nim kobieta? Sophie?

Carlos pokręcił głową, szczęśliwy, że nie musi kłamać.

- Nie wiem - powiedział słabym głosem.

Anders wstał i podszedł do Carlosa. Przyglądał się obrażeniom na jego twarzy. Carlos czuł się przytłoczony, walczył, żeby nie było tego po nim widać. Hasse stanął za Andersem, obaj się w niego wpatrywali.

- Dobrze celowali... - wyszeptał Anders.

Carlos spojrział pytająco.

- Ci nastolatkwie, Idedy cię atakowali. Bili tylko po twarzy?

Carlos skinął głową.

- Żadnych innych obrażeń?

Carlos pokręcił głową.

- Noś to ze sobą.

Anders podał mu mikrofon.

- Możesz go mieć w kieszeni albo gdzie chcesz, ale najwyżej trzydzieści metrów od tego.

Anders pokazał małe pudełeczko. Carlos potrząsnął desperacko głową.

- Niestety, nie ty o tym decydujesz, Carlos. Noś mikrofon i trzymaj głowę na kłódkę. Miej to włączone, kiedy będziesz się spotykał z Hectorem i Aronem, wypełnij to informacjami.

Hasse i Anders wyszli z kuchni i skierowali się do drzwi.

- Nie możecie tego robić - wyszeptał Carlos.

Anders się odwrócił.

- Pewnie, że możemy. Możemy robić, co nam się podoba. Nawet to drugie.

- Jakie drugie?

Hasse przystąpił błyskawicznie do Carlosa, chwycił go za szyję i raz za razem grzmocił pięścią w bok głowy. Po każdym ciosie w skroń, ucho i kość policzkową rozlegał się twardy, mięsisty odgłos. Carlos upadł na podłogę. Siedział na niej oszołomiony, a sylwetki wychodzących Klinga i Klanga tańczyły mu przed oczami.

Nie wstając z podłogi, próbował się uspokoić. Puls był zbyt szybki. Poczul nagły ucisk w klatce piersiowej, oddech stał się gwałtowniejszy, serce przyspieszyło i pojawiły się zawroty głowy. Na uginających się nogach udało mu się dojść do łazienki. Serce łomotało mu w piersi. Drżącymi rękoma wyjął pięć tabletek z pudełka z lekiem na serce. Połknął trzy

i oburącz oparł się o umywalkę, oddychał głęboko, wkrótce serce zaczęło bić równiej. Carlos przyjrzał się sobie w lustrze. Zobaczył pobitego mężczyznę, w każdym sensie. Miał dwie możliwości, w przyszłości może jeszcze trzecią, ale na razie miał do wyboru Hectora albo Hankego. Trzecią możliwością, w przyszłości, mogła być policja, nie potrafił jednak stwierdzić, jak dużo wiedzieli. Teraz musiał się zabezpieczyć. Zestawił Hectora z Hankem. Kto jest silniejszy, kto wygra? Carlos nie miał pojęcia, nie wiedział nawet, o co toczy się walka, wiedział tylko, że sprzedał swojego szefa, dostał za to tęgie lanie, a teraz odezwali się do niego policjanci, którzy najwyraźniej wiedzieli więcej, niż chcieli przyznać.

Carlos popatrzył na swoją poranioną twarz. Hector to zrobił... Być może teraz już byli kwita.

Wyszedł z łazienki. Nie, w żadnym razie nie byli kwita... Czuł to w sercu. Serce jednak nie miało tu już nic do rzeczy, teraz chodziło o dużo więcej. Poszedł do kuchni, otworzył butelkę wina i wypił duży kieliszek. W tej sytuacji nie będzie do nikogo dzwonił, da wszystkiemu trochę więcej czasu, zobaczy, jak się sprawy rozwiją. Później zdecyduje, na czyich kolanach usiądzie.

*

Na stole leżało *mnóstwo* papierów. Hector czytał. Na krześle naprzeciwko siedział Ernst, prawnik. Z boku Aron, który sprawdzał wszystko dwa razy.

- Zarejestrowałem spółki na Karaibach i w Macao - powiedział Ernst. - Są one zarejestrowane jako spółki inwestycyjne, a właścicielem jesteś ty, Thierry, Daphne i twój ojciec. Masz pięćdziesiąt jeden procent, Adalberto czterdzieści pięć, które przypada tobie w przypadku jego zgonu. Odpowiednio, jeśli ty umrzesz, twoje procenty przypadają jemu. Thierry i Daphne mają wspólnie cztery procent i są

sygnatariuszami spółki. Podpisali pełnomocnictwa, które mam tutaj...

- Ernst podsunął cztery dokumenty.

- To daje ci pełną władzę nad przychodami i rozchodami firmy.

Hector podpisał się szybko na dokumentach.

- Co się stanie, jeżeli tata i ja umrzemy?

- Wtedy ktoś inny dostanie wszystko. O tym będziesz mógł zdecydować przy okazji. Mam tutaj papiery, wystarczy je wypełnić i podpisać, kiedy postanowisz, kim będzie lub będą to osoby.

Hector przeleciał wzrokiem pełnomocnictwa. Wziął papiery, złożył, schował do koperty, kopertę zaś włożył do teczki.

Zadzwoił telefon Arona.

- Tak?

- Nie osiągniemy naszych celów - powiedział Svante Carlgren i natychmiast się rozłączył.

*

Zadzwoił i przekazał im informację. Teraz myśleli, że go mają. Tak jednak nie było, po prostu chciał zyskać trochę czasu.

Najgorzej się czuł, myśląc o tej pieprzonej kurwie, która go zdradziła. Chciał chwycić jej głowę i rozwalić ją o ścianę, powiedzieć, że nikomu, żadnemu jebańcowi nie udało się nigdy przechytryć Svantego Carlgrrena. Ale ona to zrobiła. Westchnął ciężko, czuł się zdruzgotany. Poza tym chciał zabić faceta, który mu groził, och, jak bardzo chciał go zabić. Ostatnio spędzał czas wyłącznie na myśleniu, jak się z tego wszystkiego wygrzebać. Porównywał rozmaite koncepcje, żonglował wykonawcami: rosyjska mafia, gangi motocyklowe... to po nich chyba się dzwoni, będąc w tarapatkach?

Wiedział jednak, że ani jedni, ani drudzy mu nie pomogą. Zastanawiał się nad tym, by osobiście zastrzelić gościa ze swojej dubeltówki Purdey, którą polował na bażanty. Dbał o nią i przechowywał w szafce w piwnicy. Strzelić gnojowi w ryj, dwa strzały by wystarczyły. Svante zdawał sobie jednak sprawę, że to również nie wyjdzie, trafiłby do więzienia, jak wszyscy, którzy działali w afekcie.

Svante Carlgren wybrał numer wewnętrzny do Östenssona z departamentu bezpieczeństwa.

Östensson odebrał krótkim: - No?

- Mówi Svante Carlgren.

- Aha! Witam.

- Dzwonię do ciebie z pytaniem, nie chodzi o firmę, tylko o kolegę, który potrzebuje pomocy w jednej sprawie.

- Tak?

- W porządku?

- Tak... myślę, że tak.

- Pracowałeś w prywatnej firmie ochroniarskiej, zanim przyszedłeś do nas?

- Tak jest.

- Jak to działa?

- Zależy, o co ci chodzi.

- Zajmowaliście się wyszukiwaniem ludzi?

- Między innymi, tak.

- Byliście elastyczni?

- Sprecyzuj.

- Czy byliście elastyczni, nie mogą być bardziej precyzyjni.

Östensson milczał odrobinę za długo.

- Powiedziałbym, że tak.

- Mam kolegę, który potrzebuje pomocy.

- Już mówiłeś.

- Możesz podać mi nazwisko?

- Zivkovic. Håkan Zivkovic.

- **Dzięki.**
- Svante.
- Tak?
- Czy ty chcesz mi coś powiedzieć?

Svante wybuchnął śmiechem.

- Nie, jest tak, jak powiedziałem. Chcę pomóc kumpłowi w potrzebie, rozumiem, że musisz pytać.

Svante zakończył rozmowę, wybrał numer Håkana Zivkovića i przedstawił się jako Karol XVI Gustaw. Powiedział, że potrzebuje pomocy w odszukaniu człowieka, którego nazwiska nie zna, opisał jego wygląd i samochód.

- Spróbujemy pomóc, ale anonimowość będzie cię dodatkowo kosztowała.

- Dlaczego?
- Po prostu tak będzie.
- Aha.

Håkan podał Svantemu numer konta, ten zaś obiecał, że pieniądze znajdą się na nim następnego dnia.

*

W praktycznie pustym mieszkaniu w Farsta siedem godnych zaufania osób siedziało przy komputerach i używając szyfrowanych połączeń, dokonywało krótkiej sprzedaży akcji Ericssona ze stu trzydziestu sześciu rachunków. Okrasili to machinacjami mającymi na celu stworzenie dźwigni finansowej dla spadającego kursu akcji Ericssona. Skończyli około piątej. Zaraz potem giełda została zamknięta, kurs Ericssona przez cały dzień praktycznie się nie zmienił.

Aron i Hector nadzorowali cały proces. Po wszystkim rozeszli się do domów i po bezsennej nocy spotkali się ponownie z siedmiorgiem godnych zaufania ludzi w tym samym mieszkaniu.

W telewizji nadawano poranne wiadomości. Prezenterka poważnym tonem mówiła o błędnych prognozach w Azji i innych sprawach, które nikogo z nich zanadto nie obchodziły. Zalegająca od wczoraj w powietrzu milcząca nerwość ustąpiła. Po otwarciu giełdy o dziewiątej rozpoczęli pracę. Kupili akcje z powrotem, sprzedając opcje i warranty, które nabyli dzień wcześniej. Z radością patrzyli na ekran komputera, na którym widniał wykres kursu akcji Ericssona - linia wyglądała jak skocznia narciarska.

18

O dziewiątej wieczorem rozległ się dzwonek u drzwi. Na progu stał Hector, w jednej ręce trzymał papierową torbę z hali targowej, w drugiej butelkę szampana. Uśmiechał się promiennie, jakby coś wygrał. Przez głowę przemknęło jej mnóstwo myśli. Albert... Jens jest w pobliżu... Podłuch... Nie teraz...

- Mam coś do zjedzenia - powiedział, podnosząc torbę, którą trzymał w lewej ręce.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Witaj, Hector. Co cię sprowadza?

- Nie chciałem jeść sam.

- A Aron?

- Gdzieś tu jest.

Sophie spojrzała przez ramię.

- Wejdz, proszę.

Siedzieli w kuchni. Sophie przygotowała kieliszki, talerze i sztućce. Hector wypakował jedzenie na stół. Nabierali potrawy z kartoników, pili szampana i rozmawiali. Sophie cały czas myślała o mikrofonie ukrytym w wiszącej nad ich

głowami lampie. Sytuacja wystawiła jej nerwy na próbę, poczuła jednak ulgę, widząc, że Hector jest taki jak zwykle. Był przyjacielem, który wpadł i przyniósł coś do jedzenia. Jego zachowanie nie pozostawiało wątpliwości, prowadził swobodną rozmowę i napępiał ją swoistym spokojem; kiedy coś mówiła, patrzył częściej na jej usta niż w oczy.

- Widzisz, jakie to proste - powiedział.

Przelknęła kęs.

- Co jest proste?

- Przebywanie razem, ty i ja.

Ton jego głosu był inny, poważniejszy. Poczuła niepokój.

- Tak... to proste.

- Sophie?

- Tak?

Hector szukał właściwych słów.

- Chciałbym kupić ci jakiś prezent, może coś z biżuterii...

Próbowała mu przerwać, ale pokazał jej ręką, żeby dała mu skończyć.

- Chciałbym dać ci coś osobistego, sam nie wiem co, zaprosić cię w podróż, do teatru albo na spacer i lunch. Ale za każdym razem, gdy już się zdecyduję, dopadają mnie wątpliwości. Wątpliwości, które mówią mi, że ta biżuteria, ten bilet do teatru czy cokolwiek innego to nie dla ciebie. Że ty jesteś inna, że cię nie znam i nie jesteś dla mnie, nieważne, jak bardzo bym się starał. Dlatego nie mam odwagi. Boję się, że popełnię błąd i cię stracę.

Sophie wbiła spojrzenie w talerzyk; nie patrząc w stronę Hectora, wzięła kęs.

Chcąc zwrócić na siebie jej uwagę, zaczął szeptać.

- Kiedy porozmawiamy? O nas, o tym, co się stało.

- Cześć.

Głos rozległ się za ich plecami. W kuchni, jak posłaniec z niebios, zjawił się nagle Albert, spojrzał pytająco na Sophie, potem na Hectora.

- Cześć, Albert.

- Cześć?

- To jest Hector.

- Cześć, Hector - powiedział Albert jak gdyby nic i wziął sobie z szafki talerzyk i sztucce. Hector patrzył na niego. Albert, nie kępując się, usiadł przy stole i przelotnie spojrzął na Hectora.

- Hector? Czy to nie imię dla psa? - zapytał, nakładając sobie jedzenie, w jego oczach pojawiły się isierki.

- Zgadza się - odpowiedział Hector. - Masz racje, to imię dla psa. A Albert? Wydaje mi się, że kiedyś mieliśmy osła, który się tak nazywał.

Po czym zaczęli rozmawiać i żartować tak, jakby doskonale znali swoje poczucie humoru, jakby znali się od zawsze - była między nimi bliskość, z której chyba nie zdawali sobie sprawy.

Hector się śmiał, Albert śmiał się i opowiadał. Sophie przyglądała się temu z wesołym uśmiechem i jednoczesnym przerażeniem.

*

Wieczór był ciepły. Jens siedział na ławce na rynku w Stockund. Minęła go grupka wyjściowo ubranych maturzystów w charakterystycznych czapkach. Dziewczyna, trzymająca w dłoni drinka, z trudem balansowała na wysokich obcasach. Mówiąc, podnosiła głos do krzyku, reszta towarzystwa jej nie słuchała.

Jens czekał, aż zrobi się ciemniej, jednak mrok nie zapadł. Kiedy podchmielona młodzież sobie poszła, założył płaski, czarny plecak i małymi uliczkami ruszył w stronę domu Sophie. Minał go, zachowując dystans, wszedł na wzgórze i przekradł się do ogrodu, z którego miał widok na okolicę. Gospodarzy nie było chyba w domu. Tu i ówdzie

w pokojach świeciła się lampka - wydawało się, że w tej dzielnicy była to reguła: lundy nikogo nie ma, wszędzie pała się lampki. Jens podszedł do krzaków porastających skraj trawnika, położył się w nich na brzuchu i wyjąwszy lornetkę, zaczął sprawdzać okolicę.

Zauważył saaba, ustawił ostrość i na przednim siedzeniu dostrzegł mężczyznę. Samochód stał na uboczu, zaparkowany za drzewami. Jens nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby go nie szukał. Obejrzał teren wokół auta, rozglądając się za czymś, co odbiegałoby od normy. Potem poszerzył obszar poszuldwań, zbadał teren w większym promieniu, wypatrywał innych ludzi, ale niczego nie zauważył.

Plan Jensa był prosty: podejść bliżej, zrobić mężczyźnie zdjęcie z ukrycia, a później zidentyfikować go przy pomocy Harry'ego. Od tego zacznie... Gość w samochodzie to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa glina. Ale Jens nie mógł się dłużej zdawać na prawdopodobieństwo. Żeby dojść do ładu z całą tą historią, potrzebował faktów.

Odłożył lornetkę i spojrział w stronę domu Sophie. Zobaczył, że ktoś się poruszył w kuchni, przyłożył lornetkę do oczu.

Przez soczewki ujrzał Hectora Guzmana. Jego ostatniego by się tam spodziewał. Hector, Sophie i Albert siedzieli razem przy stole. Hector? Zatem prawdopodobnie i Aron jest gdzieś w pobliżu. Gdzie? Jens zaczął się rozglądać po okolicy, bacznie i szybko. Gość z saaba był na zachód od domu Sophie, Jens - na północ. Spojrział na południe i wschód, ani śladu Arona ani zaparkowanego gdzieś samochodu. Przeniósł wzrok na kuchnię Sophie. Hectora nie było już widać w oknie. Rzut oka na saaba i na wschodnią część dzielnicy. Jeżeli gdzieś tu jest Aron, sytuacja drastycznie się zmieni.

Był. Jens zobaczył go przez lornetkę, gdy ten szedł ścieżką prosto na siedzącego w saabie glinę. Jens nie spuszczał oka z Arona. W myślach rozważał możliwe wersje wydarzeń.

Zrozumiał, że nie ma wyjścia. Spojrzał na Arona, na saaba, spróbował ocenić odległość i czas, jaki mu pozostał. Miał tylko sekundy. Poza tym nie mógł wybrać najkrótszej drogi... i musiał się zakraść. A Aron potrafił usłyszeć zakradających się ludzi... Kurwa.

Jens podniósł się i zaczął biec wzgórzem, poruszając się równolegle do idącego niżej Arona. Przyspieszył i dźwięk jego kroków przybrał na sile. Musiał jednak zaryzykować, trzeba wyprzedzić Arona, i to znacznie. Zbliży się do samochodu od tyłu, żeby móc się schować, gdy nadejdzie Aron. Biegając, nadkładał drogi, dystans, który miał do pokonania był dwa razy dłuższy od tego, który miał do przejścia Aron. Jens musi się poruszać przynajmniej dwa razy szybciej... i zachować ciszę.

Biegł przez chaszczki i ogrody, po chwili zrównał się z samochodem. Szukał wzrokiem Arona, a kiedy go nie zobaczył, wykonał ostry skręt. Kierując się na południe, ruszył w dół przez pokryty rosą trawnik, saaba miał po lewej. Poślizgnął się i poleciał do przodu, zdołał jednak zachować równowagę i popędził w kierunku auta. Teraz widział Arona, który wyszedł na drogę dokładnie naprzeciwko saaba. Jensowi pozostał do przebiegnięcia dwudziestometrowy odcinek, na którym będzie widoczny jak na dłoni. Pochylił się, ile mógł, i pognął do samochodu, zbliżając się do niego od tyłu. Miał nadzieję, że mężczyzna siedzący w środku będzie czymś zajęty i nie spojrzy we wsteczne lustro... i że on sam jest na tyle niewidoczny, że nie zwróci na siebie uwagi Arona.

Zmierzając do tylnych drzwi, modlił się, żeby nie były zablokowane. Chwył klamkę, otworzył je, dzięki ci, Boże! Wskoczył na siedzenie, chowając się za fotelem kierowcy.

- Odjeżdżaj stąd!

Mężczyzna *się* nie poruszył.

- Co? - zapytał ze spokojem.

- Włącz silnik i odjeżdżaj, idzie tu goryl Guzmana!

Jens podniósł nieco głowę i zobaczył zbliżającego się Arona. Facet za kierownicą sprawiał wrażenie otepiałego.

- Spójrz w lewo!

Mężczyzna posłuchał. Wydawało się, że w końcu zrozumiał.

Błyskawicznie odpalił silnik i odjechał. Jens, nie podnosząc się z podłogi, wyjął z plecaka swoją beretkę 92 i przystawił kierowcy do boku.

- Odwróć lusterko.

Minęło kilka sekund, nim ten zrozumiał. Odwrócił zamocowane na przedniej szybie lusterko.

Jechali przez chwilę. Mężczyzna wydawał się dziwnie spokojny.

- Daj mi portfel - polecił Jens.

- Jestem policjantem - powiedział mężczyzna nieprzytomnym głosem.

- Jak się nazywasz?

- Lars.

- Jaki Lars?

- Vinge.

Jens przystawił lufę pistoletu do ucha Larsa.

- Portfel.

Portfel leżał na desce rozdzielczej. Lars sięgnął po niego i wykręcając rękę do tyłu, podał Jensowi.

- Telefon...

Lars oddał komórkę. Jens schował oba przedmioty do kieszeni. Następnie zażądał broni i zaraz ją rozładował. Magazynek wcisnął do kieszeni, a pistolet rzucił na podłogę.

- Gdzie mam jechać?

- Po prostu jedź.

Lars posłuchał. Jens nie mógł z podłogi zobaczyć, dokąd jadą.

- Kim jesteś? - zapytał Lars.

Jens nie odpowiedział.

- Dlaczego mnie ostrzegłeś?

- Stul pysk.

Po kwadransie błądzenia po ulicach Jens kazał mu za-
trzymać auto.

Kiedy Lars, hamując, podjechał do krawężnika, Jens
pochylił się do przodu i wyciągnął tkwiące w stacyjce kluczyki.

- Patrz przed siebie - polecił Larsowi i zostawił go z ty-
siącem pytań.

Jens szybko odbiegł od saaba i schował się w czyimś
ogrodzie.

Kiedy zniknął z pola widzenia Larsa, rozejrzał się woko-
ło. Byli w dzielnicy, w której mieszkała Sophie. Jej willa leża-
ła trzy przecznice dalej. Gliniarz musiał jeździć w kółko.

Jens szybko wrócił do swojego samochodu, który zostawił
przy rynku. Chciał jak najszybciej odjechać, wołał uniknąć
spotkania z Aronem albo Hectorem. Usiadł za kierownicą,
ruszył w stronę wjazdu na autostradę koło Inverness i wyjął
dokument. Policyjna legitymacja: Lars Vinge. Jens spojrzął
na fotografię: ten sam gość. Wsunął legitymację do kieszeni,
wyjął komórkę Vingego i zaczął przeglądać kontakty. Zo-
baczył tylko kilka pozycji: Anders, Doktor, Gunilla, Mama,
Sara... i to wszystko, niezwykle krótka lista. Jens sprawdził
ostatnie połączenia, przychodzące i wychodzące. Lars nie-
często korzystał z komórki, zaledwie parę razy zadzwonił
do Gunilli. Jens zerknął na połączenia nieodebrane, trzy od
Sary i dwa z nieznanego numeru.

Jadąc przez most Stocksundsbron, otworzył okno i wyrzu-
cił przez barierkę zabrane Larsowi kluczyki i magazynek.

Albert zostawił ich i przeniósł się do dużego pokoju.

- Fajnego masz syna - powiedział Hector i zaczął mówić, jak ważne jest to, by wcześniej nabrać odpowiedniego stosunku do świata, że w młodości to wychodzi samo z siebie i wtedy wszystkie kawałki lądują na swoim miejscu. Porównał Alberta do siebie.

Sophie mu przerwała.

- Chciałabym, żebyś już poszedł.

Hector nie zrozumiał.

- Mam sobie iść?

Sophie potwierdziła skinieniem głowy, Hector przyjrzał się jej twarzy, szukając czegoś.

- Dlaczego?

- Ponieważ tego chcę. I więcej tu nie przychodź.

Hector przyjrzał się jej ze zmarszczonym czołem, splótł dłonie.

- W porządku - powiedział, starając się sprawiać wrażenie, jakby jej słowa nie miały znaczenia. Opanował się i wstał. Ale nie ruszył się z miejsca.

- Nie wiem, co takiego zrobiłem.

Sophie unikała jego spojrzenia.

- Nic nie zrobiłeś. Po prostu chcę, żebyś poszedł.

Było widać, że się zmartwił. Ale starał się tego nie okazać, zadzwonił gdzieś, wymamrotał coś po hiszpańsku i wyszedł. Przyjechał Aron.

Sophie została przy stole w kuchni, nie wiedziała, jak długo tak siedzi.

- Mamo, czy ty chcesz umrzeć w samotności?

Kiedy Albert wszedł do kuchni i usiadł naprzeciwko niej, nie sprawiał wrażenia zawiedzionego. Sophie, nie odpowiadając na jego pytanie, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Czego się tak boisz?

- Nie boję się. Sama będę decydować o własnym życiu, rozumiano?

Usłyszała, jak ostro to zabrzmiało, jak niewłaściwie.

- Kim on w takim razie jest?

- Już ci mówiłam.

- Na serio?

Znów nie udzieliła odpowiedzi. Gdyby mogła, powiedziałaby: Na litość boską, dziecko moje kochane, nic nie mów! Oni wszystko słyszą!

Zamiast tego wskazała palcem duży pokój, nieudolnie próbując wymierzyć mu jakąś karę.

Był na coś takiego za stary, nie zrozumiał. Westchnął tylko, wstał i wyszedł z kuchni.

Sophie wylała szampana do zlewu.

Mieszkanie wyglądało na były magazyn, wysokie sklepienie podtrzymywały filary, duża, otwarta i spartańska przestrzeń. Harry zajmował godne pożałowania poddasze na Kungsholmen. Mieszkał tam, odkąd Jens pamiętał, będzie z piętnaście lat. Harry był samoukiem i pracował jako prywatny detektyw przez całe dorosłe życie. Prawie całe lata siedemdziesiąte i połowę osiemdziesiątych miał swoją bazę w Londynie, potem z jaldchś powodów zdecydował się na powrót.

Harry był zaspany, człapał przez swój ogromny pokój w filcowych kapciach i kraciastym szlafroku. Jego rzadkie, sterczące włosy żyły własnym życiem, które zdecydowanie umykało jego uwadze.

- Kawę już nastawiłem, ale to chwilę potrwa, bo zapomniałem cholerstwo odkamienić.

Głos Harrego był szorstki i zachrypnięty, jak gdyby zapomniał odchrząknąć.

Elektryczny ekspres w aneksie kuchennym niepokojąco bulgotał. Harry miał włączone cztery komputery. Powłókł się do nich, drapiąc się po głowie.

- Co tam masz? - spytał i zakaszłał.

Usiedli przy biurku.

- Legitymację i telefon.

Harry wyciągnął rękę.

- Legitymacja.

Jens podał mu ją. Harry spojrział na dokument Larsa Vingego, obejrzał z obu stron. Podniósł pod światło lampki, która stała na półce za monitorem.

- Jest prawdziwa, więc facet to najprawdopodobniej gлина. Widziałeś jego twarz?

- Tylko z boku, to on jest na zdjęciu.

Harry, ziewnąwszy szeroko, zaczął stukać w klawiaturę, spoglądając od czasu do czasu na legitymację.

- Skąd ją masz? Mówiłeś, że będziesz miał zdjęcia.

- Sytuacja się zmieniła.

- Bywa - powiedział Harry obojętnie, nie przerywając pisania. Wysunął sztyftładę na wysokości stóp, wyjął sfatygowany notatnik w skórzanej okładce, zsunął okulary z czoła na nos i zaczął przewracać strony. Wszystkie były pokryte drobnym pismem. Odwrócił się do Jensa i wskazał głową ekspres, który przestał hałasować. Jens podniósł się i poszedł do aneksu.

Harry znalazł to, czego szukał, na jakiejś stronie wpisał nazwę i hasło, potem wcisnął enter. Podał imię i nazwisko Larsa i jego numer ewidencyjny. Otworzyła się jakaś strona i wkrótce pokazało się zdjęcie paszportowe Larsa. Jens wrócił z kubkami.

- Lars Christer Vinge, policjant prewencji, komisariat w Husby - oznajmił Harry.

Jens się pochylił i zaczął czytać.

- Co to za strona?

- Z aktami osobowymi gliniarzy...

Jens usiadł, Harry czytał.

- Do niedawna służył w Västerort. Jakiś miesiąc temu został śledczym, w Krajowym Biurze...

- Niewiele wiem o policji, ale można tak sobie przeskoczyć z gałązki na gałązkę? - zapytał Jens.

- Nie mam pojęcia... gliniarze, kogo to obchodzi - wymamrotał Harry, biorąc łyk kawy. Odstawił kubek i wrócił do pisania.

- To chwilę potrwa - oznajmił.

Jens został przy biurku, Harry, nie przerywając pisania, rzucił mu spojrzenie, postukał jeszcze chwilę, po czym odwrócił się do niego.

- Tam w kącie jest trochę zabawek, idź się rozerwać.

Jens zrozumiał aluzję.

Pod ścianą stał złożony stół do ping-ponga, Jens go rozłożył i zaczął grać sam ze sobą. Miło było skoncentrować się na odbijaniu piłeczki. Dźwięk działał hipnotyzująco. Jens nie myślał o niczym, piłeczka podskakiwała między nim a ścianą. Zamknął się w sobie, cała jego uwaga skupiona była na jednym: udowodnić tej okrągłej cholercze, że nie ma z nim szans. Nie udało mu się: gdy Harry go zawołał, Jens stracił koncentrację i piłeczka wygrała. Odbiła się od stołu i potoczyła po podłodze, ku nic nieznaczącej wolności.

Kiedy Jens wrócił do biurka, w małych okienkach na monitorze było otwartych kilka stron.

- Lars Vinge jest raczej niewidocznym człowiekiem, nie znalazłem niczego interesującego. Jest gliną, przeniósł się z Västerort do Krajowego Biura Śledczego. Przejrzałem jego kartę zdrowia i zobaczyłem, że niedawno był u lekarza. Starych kart nie wprowadza się do systemu, więc trudno znaleźć dane sprzed 1997 roku. Ostatnio odwiedził przychodnię, skarżąc się na bóle pleców i problemy z zasypianiem. Z tego co widzę, bierze sobril i citodon.

- Co to?

- Sobril to lek uspokajający, który może uzależniać... To benzodiazepiny, ludzie nieźle się w to wkręcają.

- A drugi?

- Citodon to tabletki przeciwbólowe, które wyglądają jak tabletki przeciwbólowe, smakują jak tabletki przeciwbólowe... Ale zawierają kodeinę. W organizmie zamienia się w morfinę.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Nie twój interes - wymamrotał Harry, wystukując coś na klawiaturze, kliknął myszką, przeszukując płaski cyfrowy świat, który miał przed sobą. Sprawiał wrażenie, jakby żałował swojej nie milej odpowiedzi.

- Moja była uzależniła się od tabletek... Jej dom stanowił istną aptekę. Aptekę, przez którą z każdym dniem czuła się gorzej.

- I?

- W końcu ani ona sama nie mogła się rozpoznać, ani ja jej nie poznawałem.

- Przykro mi.

Harry odwrócił się do Jensa i spojrzał mu w oczy.

- Tak, to smutna historia - przyznał szczerze i wrócił do komputera.

Jens obserwował Harry'ego spod oka. Harry rzadko mówił o sobie.

- Czyli mamy do czynienia z gliniarzem lekomanem? - zapytał.

Harry pokręcił głową.

- Nie, niekoniecznie. Nie uzależniasz się od jednej tabletki... Jeżeli zażywasz je przez krótki czas i w niewielkich ilościach, to nie ma ryzyka.

- Masz coś jeszcze?

Harry znów pokręcił głową.

- Nic poza tym, że nie jest żonaty, mieszka na Södermalm i napisał jakieś wypracowanie o problemach na tle

etnicznym w Husby, kiedy jeszcze był policjantem prewencji, pierwszego kontaktu, czy jak to się tam teraz nazywa... Ma uprawnienia na taksówkę, nie najlepszą sytuację materialną, a sądząc po wyciągu z karty, czasem kupuje filmy przez internet i żarcie w dyskонтach.

Jens zapoznał się ze skąpyimi informacjami na monitorze.

- Chcę mieć więcej szczegółów. Można sprawdzić, nad czym teraz pracuje? Z kim pracuje... i dla kogo?

- Zadzwoń i zapytaj - odpowiedział Harry.

- Odpowiedzą mi?

- Pewnie nie.

- W porządku. Sprawdź mi jeszcze jedną osobę, też glinę, Gunillę Strandberg.

Harry znów zaczął stukać w klawisze.

- Kto to?

- Chyba jego szefowa, kontakt Sophie.

Harry zatrzymał się przy jednej stronie, przewinął ją w dół i zaczął czytać.

- Gunilla Strandberg, pracuje w policji od siedemdziesiątego ósmego. Wygląda na to, że przebyła zwyczajową drogę... Zaczęła w prewencji w Sztokholmie, w połowie lat osiemdziesiątych była przez jakiś czas inspektorem w Karlstadzie... Wróciła do Sztokholmu, przeniosła się do Krajowego Biura Śledczego, została komisarzem... W 2002 roku, w oczekiwaniu na dochodzenie, zawieszono ją na dwa miesiące, potem wróciła do pracy.

- Co to było za dochodzenie?

- Nie wiem, na tej stronie są dane osobowe policjantów. Same suche fakty.

- Możesz wejść na inną stronę, gdzie będzie więcej informacji?

- Nie.

Harry zmienił okno, znów zaczął szukać po imieniu i nazwisku. Otworzył kilka stron, zmniejszył je i ułożył obok siebie na monitorze.

- Niezależna, mieszka na Lidingö. Ma brata, Erika... W danych chorobowych nic ciekawego... Wydaje się, że nigdy nie choruje.

Harry nie przestawał pisać.

- Figuruje w rejestrze dłużników, z powodu kilku niezapłaconych rachunków, ale finansowo chyba nie najgorzej sobie radzi. Jest członkiem Amnesty International i regularnie opłaca składki w Human Rights Watch i UNICEF-ie... Możliwe, że należy do Klubu Przyjaciół Piwonii. Jej nazwisko pojawiło się w artykule o klubowiczach.

Harry się przeciągnął.

- Dość bogata baba, która zapomina czasem o rachunkach, jest wrażliwa na cierpienia tego świata, rzadko choruje i lubi piwonie... Tyle.

*

Lars nie tylko nie był w szoku, ale nawet nie drgnął. Ostatnio było to u niego normalne, gdy miał pod ręką ketogan. Niczego nie odczuwał. Nawet w chwili, gdy zimna lufa pistoletu dotknęła jego głowy... Zupełnie nic.

Nie wiedział, jak nazwać stan, w którym się znajdował. Zdziwienie? Tak, to chyba właściwe określenie, był zdziwiony. Zdziwiony, że obcy, uzbrojony mężczyzna wdarł się do jego samochodu i zabrał mu komórkę, dokumenty i kluczyki... Zdziwiony.

Lars gapił się w mrok z otwartymi ustami, skubiąc dolną wargę. Wiedział, jak z nim źle, czuł to. Była to przede wszystkim wina tabletek i ostatnich wydarzeń. Poszło szybko, w ciągu kilku tygodni wszystko rozpieprzył. Rachityczne życie, które wiódł wcześniej, zniknęło. Zniszczył wszystkie

relacje, w jego uczuciach panowała totalna anarchia, koordynacja ruchowa zaczęła go zawodzić. Dusza była martwa i pogrzebana głęboko w jego wewnętrznym pielnicy. Nawet myśli nie należały już do niego. Jak gdyby tę jedną jedyną rzecz, którą teraz miał, włożył w niego ktoś inny. Sam się nie poznawał. Nie był już sobą... ani nikim innym. Kim był facet z samochodu? Nie był człowiekiem Hectora... Może przyjacielem? Przyjacielem, który pomaga Sophie? Dlaczego?

Lars puścił dolną wargę. Gapił się przed siebie. Chociaż „zdziwienie” nie było chyba właściwym słowem - on nic nie czuł.

Czas płynął. Lars nic nie robił, tylko siedział. Ale coś, mimo narkotycznego otumanienia, zaczęło do niego docierać, coś na kształt świadomości. Nie ma już komórki, telefonu, magazynka, kluczyków... wszystko zniknęło, tak jak jego osobowość i dusza... i dotychczasowe życie. Może to był znak? Znak zapowiadający zmianę? Może teraz powinien zacząć od nowa, od początku, od zera... Zorientować się, co się tak naprawdę wokół niego dzieje, wybrać stronę.

Nagle uderzyło go, że mógł tym wszystkim pokierować w dowolnym kierunku. Zobaczył oś czasu, zobaczył w duchu, co, począwszy od teraz, powinien robić, co musiał zrobić.

Sięgnął do tyłu i podniósł swój pozbawiony magazynku służbowy pistolet, wyskoczył z samochodu, przeszedł na tył i otworzył bagażnik. Zamknął na rzepy torbę ze sprzętem do podsłuchu, wyjął ją z bagażnika, zaniósł do jakiegoś ogrodu i postawił za brzozą. Usiadł na ziemi, wyciągnął sznurowadła z adidasów i związał je w jedno długie. Wróciwszy do saaba, otworzył wlew, wsunął sznurowadło tak daleko, jak się dało, wyciągnął je i powąchał - benzyna, jaki cudowny zapach...

Drugi koniec sznurówki wsunął ponownie do baku. Wystawała na kilka centymetrów. Spojrzawszy w stronę drzewa,

próbował zaplanować drogę ucieczki. Będzie potrzebował trzech, może czterech sekund. Nie, więcej. Pięciu, sześciu...

Wyjął zapalniczkę i podpałił mokry koniec sznurówki. Płonęła szybko. Lars biegł, jak nigdy wcześniej, długie kroki i ogarnięte paniką myśli.

Dźwięk eksplozji był głuchy i ciężki, jak gdyby ktoś zrzucił gruby dywan na całą dzielnicę. Kiedy Lars rzucił się na ziemię, zakrywając własnym ciałem torbę ze sprzętem, poczuł na plecach falę wybuchową, niczym palący podmuch porywistego wiatru. Obejrzał się za siebie. Na kilka sekund podniósł się słup ognia. Płomienie na jego brzegach uformowały grzyb i zdawały się poruszać do środka i w dół. Potem słup rozplynął się w mroku. Saab stał w ogniu. Skwierczało, syczało i trzaskało. Tylne szyby zniknęły, bagażnik wisiał na jednym zawiasie. Plastik zaczął się topić, szkło pękało, lewe tylne koło zamieniło się w strużkę płonącej gumy. Lars szeroko otwartymi oczyma podziwiał widowisko.

Sophie przyśniło się, że piec centralnego ogrzewania w piwnicy eksplodował. Na korytarzu natknęła się na Alberta.

- Co to było? - zapytał.

- Nie wiem.

Zeszła na dół, ale wszystko wydawało się w porządku. Zajrzała do piwnicy, rozejrzała się, powęszyła, szukając jakiegoś dziwnego zapachu, też nic. Usłyszała, że Albert ją woła.

Kiedy wróciła z piwnicy, zobaczyła łunę nad drzewami przecznicę dalej. Mocne, żółtawe światło.

Ruszyli w tamtą stronę.

Wokół ognia stała już grupa rozbudzonych ludzi. Kolejni nadchodzili z okolicznych ulic. Sophie zobaczyła, że pali się samochód, stary saab.

Albert spotkał kolegę i zaczął z nim rozmawiać i żartować. Sophie nie odrywała wzroku od płonącego samochodu, słyszała odległą syrenę wozu strażackiego i trzaskanie plastiku, gumy i metalu.

Stal tuż za nią.

Podniósłszy się po eksplozji, miał zamiar się oddalić, kiedy uderzyła go jedna myśl, myśl, że ona na pewno tu przyjdzie. Zatrzymał się, zawrócił i ukrył w ciemnościach. Widział ludzi nadchodzących z pobliskich willi. Schował torbę, zmierzwił sobie włosy i wrócił na miejsce.

Był właścicielem willi, którego obudził wybuch i który, ubrawszy się, wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Z początku jej nie widział i trochę się przez to niecierpliwił. Próbował się uspokoić, słuchając komentarzy ludzi. Przeważnie żartowali. Ktoś prosił o ogień. Jakiś mężczyzna powiedział coś o saabie, akcjach i bankructwie. Lars nie rozumiał dowcipu, ale wszyscy inni zaczęli się śmiać. Coraz więcej osób przyłączało się do gapiów, żeby podziwiać spektakl. Wtedy ją zobaczył.

Nadeszła drogą, która biegła ukośnie za jego plecami. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, że Albert idzie przed nią, zobaczył, jaka jest piękna. Poczul, że się uśmiecha. Przestał, odwrócił się do ognia i zaczął się w niego wpatrywać; kątem oka widział Sophie, stała kawałek od niego. Mijając ludzi, pomału ruszył w jej stronę.

Stanął tuż za nią, wzrok utkwil w jej karku, który wydawał się mu tak bardzo pociągający. Związane w kitkę włosy odsłaniały szyję. Lars chciał wyciągnąć dłoń i ją pogłodzić, pomasaować, nacisnąć palcem małe zagłębienie.

- Sophie?

Do Sophie podeszła jakaś kobieta w szlafroku.

- Co za szaleństwo! Co się stało?

Lars nadstawił ucha.

- Witaj Cissi, nie mam pojęcia, wybuch mnie obudził.

- Mnie też...

Od dawna słyszał ją przez słuchawki, oglądał przez teleobiektyw, odwiedził ją, gdy spała, nigdy jednak nie widział jej takiej, jak teraz - zwyczajnej, przytomnej Sophie. Obserwował jej nieznaczne ruchy, sposób bycia, znowu się uśmiechnął.

Cissi wyjęła paczkę papierosów z kieszeni szlafroka.

- Zdążyłam je ze sobą zabrać. Chcesz jednego?

- Chętnie.

Patrząc na płonący samochód, zapaliły po papierosie. Cissi oderwała wzrok od auta, zaciągnęła się, odwróciła i zobaczyła dziwny uśmiech Larsa. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Co tak szczerzysz zęby?

Sophie też się odwróciła i go dostrzegła. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Lars wbił wzrok w ziemię, zawrócił i zniknął w tłumie.

Cissi się zaciągnęła.

- Co to za jakiś cholerny zboczeniec?

Sophie wiedziała... Wiedziała, kim on jest. Zaczęła się bać. Myślała, że będzie większy, postawniejszy, że będzie wyglądał bardziej jak policjant, cokolwiek by to miało znaczyć. Nie spodziewała się takiego widoku, rozbieranego spojrzenia bez wyrazu, dziwnej postawy i zapadniętych oczu.

- Nie wiem - odpowiedziała, szukając go wzrokiem. Ale Lars Vinge już zniknął.

*

Ściana. Feeria zdjęć, imion, strzałek, notatek... Co za chaos, Lars uspokoił oddech. Skoncentrował się na zdjęciach Sophie. Cofnął się, mignęła mu jakaś myśl o wspólnym mianowniku, chciał ją złapać, ale zniknęła... Kurwa!

Lars dopisał na ścianie: Mężczyzna, 35-40 lat, Szwed, uzbrojony, spokojny. Narysował kreskę wiodącą do Sophie. Zrobił krok w tył, próbował sobie coś przypomnieć. Czy głos, który słyszał w samochodzie, brzmiał znajomo? Lars zatrzymał wzrok na zdjęciu mężczyzny, którego Sophie spotkała na bulwarze Strandvägen. Coś mu się kołatało po głowie. Czas mijał, uwaga osłabła. Ciąg myśli się rwał.

Lars poszedł do łazienki po kolejną dawkę. Wydawało mu się, że tym razem udało mu się opracować mieszankę wspomagającą koncentrację. Wrzucił w siebie tabletki i nucąc „New York, New York”, przejrzał się w lustrze. Spodobało mu się to, co zobaczył, był blady, oklapnięty, a wokół ust miał żółte pryszcze.

Wrócił pod ścianę. Szukał dalej, pracował i poszukiwał. Drapał pryszcze, bez przerwy ruszał nogami i zgrzytał zębami jak jakiś cholerny łoś, który coś żuje. Czy był jakiś wzór, którego nie widział? Kod kryjący się w tym, co zapisał na ścianie? Czy nieświadomie stworzył szyfr, wyjaśniający wszystko, czego nie rozumiał? Może tak właśnie było... Istnieje jakaś cudowna odpowiedź na wszystko? Może była zapisana wśród chaosu na ścianie? Może były tam inne odpowiedzi? Lars poczuł, jak ponosi go narkotyczna fantazja. Nagle myśli się urwały. Jak gdyby Ingo Johansson wyszedł z opartego o ścianę obrazu, zrobił krok w przód i przyłożył mu w twarz prawym sierpowym.

Lars siedział na krześle zgarbiony, nie był w stanie myśleć ani nawet się poruszyć. Był psychicznie znokautowany, morfina uśpiła jego umysł. Z ust ciekła mu ślina. Gapił się na swoje nogi, na kolanach dżinsów dostrzegł plamy z trawy... jak wtedy, kiedy był chłopcem! Lars wybuchnął śmiechem, plamy z trawy na kolanach! Przesadził z tabletkami. Zmęczenie spłynęło na jego kark, ramiona, poruszało się w dół, ku piersiom, brzuchowi, nogom i stopom - dotarło do wszystkich zakątków Larsa Vingego. Zsunął się z krzesła,

upadł na kolana, przewrócił się i oparł na rękach. Kiedy podierał się dłońmi, zaboląły go nadgarstki i przedramiona.

Pod biurkiem dostrzegł samotny kabel, który nie był do niczego podłączony. Zagapił się na niego. Przewód pobudził szereg niewyraźnych skojarzeń, które zamigotały i zgasły.

Lars wziął ketogan, benzodiazepinę... i coś jeszcze. Końska dawka. Nie wywołała jednak u niego pożądanego stanu. Miał wrażenie, że coś na niego naciskało z zewnątrz, tak to w każdym razie odczuwał. Nie mógł się poruszyć, myśleć, jego masa była większa od masy implodującej gwiazdy. Znowu pojawił się Ingo. Tym razem rzucił jakiś słowny żarcik, zaserwował Larsowi lewy sierpowy, zrobił zwód i poprawił prawym podbródkowym. Pociemniało.

Sygnał telefonu wyszarpnął Larsa z całkowitych i bezdźwięcznych ciemności. Spojrzał na zegarek, pewnie był nieprzytomny przez kilka godzin. Telefon nie przestawał dzwonić. Uporczywy i świdrujący dźwięk. Lars podniósł się na kolana. Telefon jazgotał. Lars, przytrzymując się biurka, stanął na nogach i niepewnie poczłapał przez pokój, bolały go kolana i krzyż.

- Halo!

- Lars Vinge?

- Tak.

- Nazywam się Gunnel Nordin i dzwonię ze Szczęśliwego Grosika. Przykro mi, ale dziś rano zmarła pana mama.

- Aha... Szkoda...

Lars rozłączył się i poszedł do kuchni, nie wiedząc po co. Chyba czegoś szukał. Telefon znowu zadzwonił. Rozejrzał się, próbując sobie przypomnieć, czego szuka. Telefon nie przestawał dzwonić. Lars, nadal szukając, spojrzął w sufit, potem na podłogę i odwrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Telefon dzwonił. Nie, nie przypomni sobie, czego szuka, mózg mu się zagotował.

Dzwonek telefonu. Lars odebrał.

- Halo.

- Dzwonię ze Szczęśliwego Grosika. Gunnel Nordin...

- Słucham.

Lars spojrzął na podłogę, koło stóp.

- Nie jestem pewna, czy pan zrozumiał, co przed chwilą powiedziałam.

- Tak, powiedziała pani, że moja mama nie żyje.

Policzek zaczął go swędzieć, jak gdyby właśnie ugryzł go komar. Rozdrażniony, podrapał się mocno.

- Czy chciałby pan przyjechać? Zobaczyć ją, zanim zostanie zabrana?

Lars przyjrzał się swoim paznokciom, miał pod nimi krew.

- Nie, dziękuję, proszę ją zabrać.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Niestety muszę pana prosić, żeby przyjechał pan tu uporządkować sprawy, podpisać kilka dokumentów, zabrać rzeczy osobiste Rosie. Czy będzie pan mógł to zrobić w ciągu najbliższego tygodnia?

- Tak.

Lars nie przestawał krążyć po mieszkaniu, czegoś szukał.

- Muszę powiedzieć panu coś jeszcze...

-Tak?

- Rosie... pańska mama odebrała sobie życie.

- Aha... W porządku.

Odłożył słuchawkę. Czego on, do cholery, szukał?

Otworzył drzwi lodówki, chłód, który go owionął, był przyjemny. Lars stał tak dłuższą chwilę, nie wiedział jak długo. Telefon znów zadzwonił, tym razem dźwięk wydawał się wyższy. Lars wpatrywał się w agregat. Słyszał, jak pracuje.

- Słucham.

- Lars, co się wczoraj stało?

Głos Gunilli.

- Wczoraj? O ile wiem, to nie.
- Twój samochód się spalił.
- Mój samochód?
- Saab, w Stocksund, dziś w nocy.
- Dlaczego?
- Nie wiemy. Świadkowie mówią, że eksplodował. O której pojechałeś do domu?
- Koło jedenastej.
- A co ze sprzętem?
- Został w aucie. Gdzie ono teraz jest?
- Zostało przewiezione na policyjny parking w Täby. Zbierają je, ale wiesz, jak długo to może potrwać.

Lars nie wiedział.

- Lars, kto to mógł zrobić?

Udawał zaskoczenie.

- Nie mam pojęcia... Chuligani, jacyś smarkacze... Nie wiem.
- Jak dużo nagranych materiału straciliśmy?
- Straty są niewielkie, przecież wszystko dla ciebie spisywałem.

Gunilla milczała jeszcze chwilę, potem się rozłączyła.

Jens nie chciał jeszcze wstawać, próbował przeczekać sygnał telefonu, ale ten uparcie dzwonił. Sięgając po słuchawkę, zrzucił na ziemię stary budzik. Zdążył jednak zobaczyć położenie wskazówek, które w połączeniu z przedzierającymi się przez zasłonki promieniami słońca powiedziały mu, że jest środek dnia.

- Tak...
- Obudziłam cię?
- Nie, już nie spałem.
- Możemy porozmawiać?

Jens próbował uporządkować myśli.

- Dzwonisz z telefonu, który ci dałem?

-Tak.

- Rozłącz się, oddzwonię do ciebie.

Jens odrzucił wielką, białą pierzynę i postawił stopy na miękkiej wykładzinie. Jego sypialnia była jasna niczym wnętrze cumulonimbusa. Biel królowała wszędzie, jedynym barwnym akcentem był obraz w kolorze zgaszonego amarantu - kopia dzieła Marka Rothki, którego uwielbiał. Jens przeciągnął się, wstał i wyszedł z pokoju. Drapiąc się po głowie, rozprostował kości. Miał na sobie tylko kremowe, bawełniane bokserki zapinane na guziki; były szeroki i luźne, uszyto je ręcznie w Turcji. Kupił dwadzieścia sztuk bezpośrednio od krawca i jego zdaniem była to najlepsza bielizna, jaką kiedykolwiek sobie sprawił.

Jens wszedł do kuchni i otworzywszy jedną z szuflad, znalazł nową kartę SIM, odpakował ją, umieścił w telefonie i zadzwonił do Sophie.

- Dziś w nocy spalił się tu samochód - powiedziała.

Zaspany Jens miał w głowie mętlik.

- Spalił się samochód? Jak to?

- Koło wpół do pierwszej obudziła mnie eksplozja. Kiedy wyszliśmy z Albertem z domu, palił się samochód, saab. Przyjechała straż i go zgasiła.

- Saab?

- Zgadza się.

- To dziwne.

- Można tak chyba powiedzieć... Czy miałeś z tym coś wspólnego?

- Skąd.

Jens przypomniał sobie poprzedni wieczór.

- Byłem w okolicy kilka godzin wcześniej. Ale o tym wiesz, uprzedziłem cię.

- Co się stało?

- W tym saabie siedział jakiś mężczyzna, policjant. Miałem zamiar podejść bliżej i pstryknąć mu zdjęcie. Po kryjomu, tak, żeby tego nie zauważył. Taki miałem plan.

-Ale?

- Ale plany rzadko się udają.

- I?

- W twojej kuchni zobaczyłem Hectora. Potem Arona, spacerującego. Szedł prosto na gliniarza w saabie.

Sophie czekała.

- Musiałem usunąć stamtąd tego policjanta. Gdyby Aron nabrał co do niego podejrzeń, gdyby znalazł w jego samochodzie aparaturę - domyślasz się pewnie, jak by się to skończyło.

- Co się stało?

- Wskoczyłem do saaba i zmusiłem gościa, żeby odjechał.

- A potem?

- Wysiadłem kawałek dalej i wróciłem do miasta.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko. Znam jego nazwisko - powiedział Jens.

- Jak się nazywa?

- Lars Vinge.

- Jak wyglądał?

- Poczekaj...

Jens poszedł do przedpokoju, wyjął prawo jazdy Larsa, położył je na stole w przedpokoju, zrobił zdjęcie bez flesza, po czym przesłał je Sophie.

Przez chwilę milczeli. Jens słyszał oddech Sophie, potem w jej telefonie coś piknęło.

- To on. Widziałam go wczoraj, był w grupie gapiów wokół płonącego auta.

Jej słowa go zaskoczyły

- Jesteś pewna?

- Tak. I to on siedział w volvo, tamtego wieczoru, gdy zniknął Hector. Spotkałam go jeszcze gdzieś... Nie pamiętam gdzie, może w Djurgården. Widział cię?

- Nie, schowałem się za jego siedzeniem.

Przez chwilę Jens się nad czymś zastanawiał.

- Wydaje mi się, że sam podpalił swoje auto.

- Dlaczego?

- Może poczuł się jak dureń, kiedy zwinąłem jego rzeczy

- Co mu zabrałeś?

-Telefon, portfel, magazynek... i kluczyki do samochodu. Wszystko, co było mu drogie.

- I co teraz?

W jej głosie usłyszał niepokój.

- Czy policja będzie teraz bardziej niebezpieczna? - zapytała.

- Może będziemy mieli szczęście.

- Co masz na myśli?

- Nasz pan policjant wszystko zatuszuje. Nikomu nic nie powie, pewnie mu wstyd. Dlatego podpalił samochód.

- A może nie - powiedziała cicho. - Może twój wybryk tylko wszystko pogorszył, zwłaszcza sytuację Alberta. Pomyślałeś o tym?

- Pomyślałem. Ale pomyślałem też, co by było, gdyby Aron i Hector dowiedzieli się o tobie prawdy To byłoby znacznie gorsze.

Słyszał jej kroki na asfalcie. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Co będziesz dziś robiła? - wyrwało mu się. W tej samej chwili pożałował swoich słów.

- Pracowała.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, nic jednak nie przyszło mu do głowy.

- Cześć, Sophie.

Odłożyła słuchawkę.

19

Sara czekała w kawiarni po drugiej stronie ulicy, usiadła tak, żeby mieć na oku drzwi wejściowe, zobaczyła, że Lars wychodzi. Śledziła go wzrokiem, patrzyła, jak idzie ulicą. Wydawało jej się, że był jakiś inny, poruszał się sztywno i nie wyglądał zdrowo.

Poczekwała, aż zniknie jej z pola widzenia. Wtedy wstała, wyszła na zewnątrz i rozejrzawszy się szybko na boki, przeszła na drugą stronę ulicy Swedenborgsgatan. Jadąc windą, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i przejrzała się w lustrze. Całe prawe oko było sine, pamiątka po ciosie Larsa. Tu i ówdzie siniec zzieleniał. Sara wyglądała przerażająco.

Otworzyła drzwi swoim kluczem i weszła do mieszkania. Na podłodze leżały stare, nieotwarte listy na środku przedpokoju stało krzesło, a na nim brudne garnki. Panował zaduch i czuć było stęchlizną.

Sara weszła do pokoju Larsa; zasłony były zaciągnięte, panował bałagan. Na podłodze leżał goły materac. Prześcieradło jakimś sposobem trafiło na środek parkietu. Zobaczyła poplamioną poduszkę bez poszewki i rzucony obok materaca koc. Talerzyk z resztkami jedzenia, szklanki, zużyte papierowe ręczniki... O mój Boże.

A jego praca? Kartki i zdjęcia wały się wszędzie... no i ta ściana, ta zabazgrana ściana. Sara wzięła głęboki oddech i przystawiła sobie krzesło, usiadła, rozejrzała się. Nagle ogarnął ją smutek, było jej przykro, że mężczyzna, którego tak bardzo lubiła, stracił grunt pod nogami. Teraz to było jego życie, ten upadek. Jej smutek nie trwał jednak długo, chciała mu współczuć, ale nie potrafiła, poczuła nienawiść, nienawidziła go za to, co jej zrobił. Zobaczyła zdjęcie kobiety o imieniu Sophie i zdjęcie mężczyzny, któremu najwyraźniej na imię było Hector. Wiele imion, wiele zdjęć:

Gunilla, Anders, Hasse, Albert, Aron... I bezimienny mężczyzna, który siedział na ławce nad wodą, wyglądało to na okolice bulwaru Strandvägen. Sara przyglądała się ścianie, nie rozumiejąc, co widzi. No i te notatki! Wszędzie, gdzie się tylko dało, Lars notował coś drobnym pismem, część potem przekreślił - wściełde. Część liter była większa i szersza, tak jakby nastrój piszącego się zmieniał.

Włączyła jego komputer. Znała hasło z czasów, kiedy wspólnie z niego korzystali. Wcisnęła enter. Czekając, aż komputer się uruchomi, przejrzała szuflady biurka. Bałagan i brak logiki. W dolnej szufladzie znalazła teczkę, na której ktoś narysował kwiatek. Otworzyła ją. Zdjęcia wydrukowane na papierze A4. Wypełniały całą teczkę, a na nich widniała jedna i ta sama kobieta. Sara odwróciła się i spojrzała na ścianę... Sophie. Wertowała zawartość teczek. Setki zdjęć, przedstawiających Sophie w różnych sytuacjach. Na rowerze, w kuchni, zrobione z zewnątrz. Sophie na spacerze, Sophie pracuje w ogrodzie. Sophie w dużym wejściu, możliwe, że szpitala... Sophie za kierownicą i... śpiąca Sophie. Co do... Zbliżenie twarzy podczas snu. Zdjęcie musiało zostać zrobione w jej sypialni z niewielkiej odległości. To jest chore, on jest nienormalny...

Sara przeglądała dalej szuflady, znalazła dwie pary jedwabnych majtek, na pewno nie należały do niej, były drogiej marki. Odłożyła je, wzięła do ręki jakiś zeszyt i przekartkowała go. Wiersze... brzydłde pismo Larsa. Słabe wiersze, naiwny język: letnia łąka... spragniony źródła najgłębszej miłości... Ty i ja, Sophie, przeciwko całemu światu...

Sara patrzyła na nie z obrzydzeniem. Komputer był gotowy do pracy. Na pulpicie znajdowały się różne foldery, zamiast nazw miały daty. Sara otworzyła jeden z nich. Zawierał mnóstwo plików dźwiękowych. Kliknęła w pierwszy z nich, z głośników komputera zaczęły się sączyć dźwięki. Sara słuchała, początkowo były to jedynie dźwięki otoczenia,

po chwili usłyszała kroki na drewnianej podłodze, gdzieś otworzyły się drzwi, czas płynął, telewizor został włączony i w oddali odezwał się znajomy głos prezenterki telewizyjnego programu informacyjnego. Nie wyłączając nagrania i słuchając nic niemówiących odgłosów, Sara wstała i zaczęła się przyglądać twarzom na ścianie.

Wiedziała, że Gunilla była szefową Larsa, ale cała reszta? Anders i Hasse mogli być jego kolegami z pracy...

Wszystko zaczynało się od Sophie. Sara prześledziła narysowane linie, przeczytała zapiski Larsa... Zaczął się wyłaniać pewien obraz.

„Albert, chodź coś przekąsić”.

Sara się wystraszyła, głos pochodził z komputera, był wyraźny i bliski. Słuchała dalej, ktoś wyjmował z szafek talerze, czy była to Sophie? Cisza, plik się skończył. Sara podeszła do komputera i wybrała inny, usłyszała, jak Sophie rozmawia przez telefon z koleżanką, śmiała się, zadawała krótkie pytania. Plotkowała, brzmiało to tak, jakby mówiły o kimś, kto się wygłupił na przyjęciu. Sara kliknęła w inny plik. Sophie odpytywała jakiegoś chłopca z drugiej wojny światowej, odpowiedział bezbłędnie na wszystkie pytania poza jednym, które dotyczyło paktu Ribbentrop-Mołotow. Sara widziała na ścianie zdjęcie nastolatka, Alberta. Wyglądał na zadowolonego, energicznego i wesołego. Kliknęła w kolejny plik, muzyka ze sprzętu stereo. Nowy plik, Albert je z kolegą kanapki, na zmianę durne żarty i wybuchy śmiechu. Kolejny plik. Znowu tylko dźwięki otoczenia i coś, co zabrzmiało jak policzek. Rozmowa Sophie i chłopca. Sara usłyszała słowa: gwałt, dowody, policja z centrum, przesłuchanie... Wyteżyła uwagę, włączyła ponownie ten sam plik, przesłuchiwała go pięć razy. O Boże...

Sara skopiowała na USB tyle plików, ile się zmieściło. Z kieszeni wyjęła aparat i sfotografowała ścianę, zdjęcia, wiersze...

Zanim stamtąd wyszła, skopiowała, co mogła.

*

Znów wsiadł do swojego volvo V70. Stało tam, gdzie je zostawił przed tygodniem, na parkingu przy Aspudden.

Zatrzymując się przed Szczęśliwym Grosikiem, wpadł w poślizg. Jechał szybciej, niż sobie z tego zdawał sprawę, musiał więc ostro zahamować. Jeździł po mieście, utracił zdolność oceny prędkości. Sunął po żwirze na asfalcie, udało mu się zatrzymać volvo w ostatniej chwili - niewiele brakowało, a uderzyłby w zaparkowany samochód. Obok przechodzili dwaj nastolatki, pokazali mu uniesiony w górę kciuk. Lars zbyt długo się zastanawiał. Gdy zdecydował się odpowiedzieć im tym samym, na podniesienie kciuka było już za późno.

Odszukał młodszą pielęgniarkę, przedstawił się i powiedział, że przyszedł przejrzeć rzeczy po matce. Kobieta kiwnęła głową i powiedziała, że wpuści go do pokoju Rosie. Kiedy szedł za nią, nie mógł oderwać wzroku od jej pupy, była ogromna. Pielęgniarka otworzyła drzwi kluczem i Lars wszedł do środka.

- Proszę zejść do recepcji, kiedy pan będzie gotowy, potrzebujemy pana podpisu na kilku dokumentach.

Lars zamknął za sobą drzwi i poszedł prosto do sypialni Rosie, otworzył szufladę, w której przechowywała recepty, i wyjął je. Przejrzał szybko cały plik: xanor, lyrica, sobril, stesolid, ketogan.

Włożył je do wewnętrznej kieszeni kurtki i przeszedł do łazienki, w szafce za lustrem znalazł depolan, ritalin, nawet nie otwarty, trochę różności, pojedyncze listki halcionu i fluscandu. Na górnej półce stało pudełeczko, Lars sięgnął po nie, przeczytał etykietę, hibernal... Coś mu zaświtało w pamięci, ale po chwili się rozplynęło. Upchnął lekarstwa w kieszeniach. Na środkowej półce za kubkiem ze szczoteczką zobaczył jeszcze jakieś stare pudełko. Lit - klasyka...

Rozległo się pukanie do drzwi. Lars doprowadził wszystko do porządku i nie wiedząc czemu spuścił wodę.

Na korytarzu stał brodaty mężczyzna w czarnej koszuli. Biały kwadracik pod jej kołnierzykiem zaświecił Larsowi prosto w twarz.

- Lars Vinge? Nazywam się Johan Rydén, jestem pastorem.

Lars zagapił się na niego.

- Czy mogę wejść?

Lars przepuścił pastora i zamknął drzwi. Johan wyglądał przyjaźnie.

- Bardzo mi przykro.

Minęła chwila, nim Lars zrozumiał, o czym mężczyzna mówi.

- Dziękuję...

- Jak się pan czuje?

Jak się czuje? Co czuje...

Lars próbował określić swój stan, ale doszedł do wniosku, że nic nie czuje. Tego jednak chyba nie mógł powiedzieć? Spojrzał pastorowi w oczy. Poczul, że coś w nim rośnie, to była ta strona jego osobowości, która sprawiała, że czuł się bezpiecznie: kłamstwo.

Lars westchnął.

- Hm, a co czuje ktoś, kto właśnie stracił kogoś bliskiego... Pustkę, smutek... żal.

Johan pokiwał wolno głową, jak gdyby doskonale rozumiał, co Lars ma na myśli. Lars opuścił głowę, mówił dalej.

- Stracić matkę to dziwne uczucie...

Johan potakiwał w zwolnionym tempie, Lars potrząsnął głową.

- Ale... Sam nie wiem - dodał cicho, zadowolony z przedstawienia, jakie dał.

Spojrzał w twarz Johana - pastora, która promieniała szlachetnością, godnością i zaufaniem. Cholera, długo musiał to ćwiczyć w domu przed lustrem.

- Zgadza się Lars, skąd moglibyśmy to wiedzieć.

Lars wyglądał na przygnębionego.

- Twoja matka zdecydowała się odebrać sobie życie... Nie powinieneś się obwiniać. Była chora, zmęczona, już się nażyła.

- Biedna mama - szepnął Lars.

Spojrzał badawczo w oczy pastora, zobaczył, że mu uwierzył. Pastor wierzył Larsowi... i wierzył w Boga.

Lars opuścił Szczęśliwy Grosik, nie oglądając się za siebie. Pojechał do najbliższej apteki i wykupił wszystkie recepty, miał nadzieję, że babsko za kasą nie zobaczy na swoim komputerze, że osoba, której je przepisano, już nie żyje. Nie zobaczyła. Zero problemów, nowa dostawa.

*

Przedstawił się jako Alfonse. Był młody, miał jakieś dwadzieścia pięć lat i uśmiechał się z taką pewnością siebie, jakby uważał, że życie jest bardzo zabawnym zjawiskiem.

- Hector - przedstawił się, ściskając jego dłoń.

Alfonse rozejrzał się po gabinecie i usiadł.

- Książki?

- Mam wydawnictwo. Jestem wydawcą.

Alfonse cmoknął cicho i się uśmiechnął.

- Wydawca... - powiedział półgłosem do siebie.

Hector przyjrzał się Alfonse'owi, wydało mu się, że dostrzega podobieństwo.

- Jesteś podobny do wuja.

Alfonse spojrzał na niego teatralnie, jakby wypowiedź Hectora go dotknęła.

- Mam nadzieję, że nie.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Jak się ma Don Ignacio?

- Wspaniale. Właśnie kupił sobie nowy samolot i cieszy się jak dziecko.

- Dobrze, to słyszeć. Pozdrów go ode mnie i pogratuluj.

Hector wyprostował się na krześle.

- Porozmawiajmy o tym, co cię do mnie sprowadza, a potem, jeśli nie masz innych planów, zapraszam na obiad.

- Dziękuję, ale dziś nie mogę. W Sztokholmie roi się od rodaków, z którymi mam się spotkać.

- Jak długo zostajesz?

- W tym mieście jest pewna kobieta, do której mam ogromną słabość, mieszkam u niej. Dziś rano uświadomiłem sobie, jak wspaniale jest się tak budzić i jeść z nią śniadanie, więc zostanę dłużej, niż planowałem.

- W takim razie zdążymy zjeść razem obiad.

- Najprawdopodobniej. I dogadać się co do sprawy, z którą przyjechałem.

Patrzyli na siebie, ton głosu Alfonse'a się zmienił.

- Don Ignacio się' niepokoi - powiedział cicho. - Zastanawia się, dlaczego już nie składacie zamówień. Według naszych obliczeń zapasy, które mieliście w Paranagui, powinny się już wyczerpać, a ty i twój ojciec od dawna się nie odzywacie. Chcemy mieć pewność, że wszystko jest pod kontrolą... Chcemy wiedzieć, co się dzieje, i oczywiście pragniemy się upewnić, że macie się dobrze i nie dopadły was żadne troski.

Hector sięgnął po cygaretkę.

- Mieliliśmy pewne problemy z naszą linią.

Alfonse czekał, Hector się zaciągnął.

- Ktoś ją przeciął.

- Kto?

- Niemcy...

Alfonse spojrzał na Hectora.

- Naprawdę?

Hector wypuścił dym.

- To skomplikowana historia, odzyskaliśmy już kontrolę, ale na razie odpuścimy sobie tę trasę, poczekamy, aż wszystko się ułoży.

- Jak długo?

- Nie wiem.

Alfonse kiwnął głową.

- Don Ignacio ucieszy się, słysząc, że dobrze się macie... ale teraz, kiedy już się upewniłem, że z waszym zdrowiem wszystko w porządku... powiem może tak: Don Ignacio uważa, że macie umowę. Umowę, zgodnie z którą my dostarczamy wam witaminy i zapewniamy transport do Ciudad del Este. Interes się kręcił, a teraz z jakiegoś powodu stoi w miejscu. Don Ignacio nie chce posuwać się do twierdzenia, że jest to złamanie umowy, ale... Sam rozumiesz.

Hector się przeciągnął.

- Nie patrzyłbym na to jak na umowę. Uzgodniliśmy termin... Uzgodniliśmy cenę. Don Ignacio zawsze otrzymywał należną zapłatę, prawda?

- I jest wam za to wdzięczny, bardzo wdzięczny.

- A my jesteśmy wdzięczni za to, jak łatwo się z wami współpracuje.

Alfonse był kulturalny i dobrze ubrany. Nieźle wyglądał, miał gęste ciemne włosy i silnie zaznaczone latynoskie rysy, wyraźną brodę i kości policzkowe, które nadawały mu wygląd pociągającego twardziela. Kobiety najprawdopodobniej uważały, że jest przystojny. Sprawiał wrażenie opanowanego, mimo że uśmiech prawie nie schodził z jego twarzy. Jednak pod tym wszystkim Hector dostrzegł szaleństwo. Potrafił je wyczuć na kilometr. Zobaczył je, gdy tylko Alfonse przekroczył próg. Kiedy kilkadziesiąt lat wcześniej po raz pierwszy spotkał Don Ignacia Ramireza, też je od razu dostrzegł. Podobąa mu się ta cecha charakteru u innych, sprawiała, że czuł z nimi rodzaj bliskości, pokrewieństwo. Hector zdecydował, że lubi Alfonse'a.

- Czyli mamy problem - oznajmił Alfonse.

Hector wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, czy to problem, spójrzcie na to jak na przerwę.

- W naszym języku to słowo nie istnieje. Don Ignacio liczy na wasze pieniądze w zamian za swoje usługi. Jeżeli, jak mówisz, chcecie sobie zrobić przerwę, nie będzie ona miała wpływu na naszą umowę.

- Drogi Alfonse, my nie mamy żadnej umowy.

- Don Ignacio tak sądzi, a jeżeli Don Ignatio coś sądzi, to zwykle tak właśnie jest...

Hector się zastanawiał.

- Czy mogę ci zaproponować coś do picia?

Alfons potrząsnął głową.

- Z czym macie trudności, czy możemy wam jakoś pomóc? Jeżeli ci Niemcy sprawiają wam problemy, może w tej sprawie możemy służyć pomocą?

Hector rozważył ofertę, wiedział, że pomoc Kolumbijczyków na dłuższą metę będzie kosztowna.

- Nie, poradzimy sobie, to problem małego kalibru.

- W czym rzecz?

Hector palił cygaretkę.

- Z nieznanego nam powodu włączyli się do gry i wszystko przejęli, przekupili i prawdopodobnie zastraszyli naszych współpracowników. Nie siedzieliśmy beczynnie, tylko wszystko im odebraliśmy, ale zrobiło się trochę gorąco. Kapitan statku, z którego korzystamy, woli się przez jakiś czas nie wychylać.

Alfonse przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

- W takim razie widzę dwie możliwości - powiedział.

Hector czekał.

- Albo nam zapłacicie, my napelnimy wasz magazyn w Paranagui, a wy wprowadzicie to jakoś na rynek przed kolejną dostawą.

-Albo?

- Albo skontaktujemy się z waszymi przyjaciółmi z Niemiec. Wydaje mi się, że im bardziej zależy na robieniu interesów niż wam.

Hector i Alfonse przyjrzeni się sobie. Hector westchnął i uśmiechnął się, widząc, jak łatwo wpadł w pułapkę.

- Kontynuujemy współpracę - powiedział. - Zatrószcie się o nową dostawę, a ja prześlę wam pieniądze, będę tylko potrzebował nieco czasu.

Alfonse podziękował mu gestem.

- Jak zamierzasz spędzić czas z rodakami? Coś ci polecić? - zapytał Hector.

- Nie, już zarezerwowali stolik, pójdziemy coś zjeść.

Spojrzał na swój zegarek.

- Potem idziemy potańczyć salsę w klubie, którego nazwy nie pamiętam. Chcesz się do nas przyłączyć?

- Dziękuję, ale mam już w planach coś innego.

- W takim razie uzgodnimy szczegóły przed moim wyjazdem?

- Kiedy tylko będzie ci to pasowało.

Przez chwilę Alfonse wpatrywał się w Hectora.

- Wydajesz się dobrym człowiekiem - powiedział.

- Ty również - odparł Hector.

Alfonse opuścił gabinet Hectora, wszedł na ulicę i skręcił w prawo. Hasse Berglund poczekał, aż elegancki Kolumbijczyk trochę się oddali, po czym podniósł się, założył przeglądaną gazetę i ruszył jego śladem.

*

Zadzwoniła komórka w kieszeni Gunilli. Nie знаła numeru widocznego na wyświetlaczu.

- Słucham.

- Czy rozmawiam z Gunillą Strandberg?
- A kto pyta?
- Nazywam się Sara Jonsson i chciałabym się z panią spotkać.
- My się znamy?
- Właściwie to nie. Mój były chłopak pracuje dla pani.
- Tak?
- Lars Vinge.

Gunilli zaczęło coś świtać. Sara Jonsson... Gunilla wiedziała, że była dziennikarką. Lars wspomniał o niej podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Gunilla ją sprawdziła: Sara Jonsson, dziennikarka kulturalna, wolny strzelec, rzadko coś publikowała.

- Oczywiście, chodzi o coś konkret nego?
- Tak.
- O co?
- Spotkanie i rozmowę.

Gunilla czytała z tonu Sary, że ta była spięta i zdenerwowana. Próbowwała to ukryć pod udawaną pewnością siebie.

- Gdzie chciałaby się pani spotkać?
- Może w parku Djurgården, kolo Djurgårdsbrunn.
- Aha. Kiedy?
- Za godzinę.
- To aż tak pilne?
- Tak.
- Dobrze, a więc do zobaczenia.

Kończąc rozmowę, Gunilla miała na twarzy uśmiech, który jednak szybko zniknął.

Erik i Gunilla zaparkowali przed restauracją Vårdshuset. Sara Jonsson czekała na zewnątrz. Miała na sobie tanią i spraną bluzkę, seryjny produkt którejs z sieciówek, okulary przeciwsłoneczne i spódnice, która kończyła się na

wysokości kolan. Zapomniała ogolić nogi, a rozczochrane włosy zebrała w kitkę.

Kiedy się witały, dłoń Sary była zimna i wilgotna. Jej niepokój był wyraźnie widoczny - ciemne szkła przesłaniały go tylko trochę.

- Usiądziemy w środku? - zapytała Gunilla.

- Nie. Wolę, żebyśmy się przeszły.

- Oczywiście, pogoda jest piękna.

Ruszyły w stronę małego mostku nad kanałem.

- Od jak dawna Lars i pani mieszkacie razem?

- Już nie mieszkamy.

- Przykro mi to słyszeć.

Sara myślami była gdzie indziej. Gunilla i Erik zauważyli to i wymienili spojrzenia.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziała, kiedy minęli most.

Gunilla czekała.

- Lars się zmienił.

- W jaki sposób?

- Nie wiem, nie ma to znaczenia, ale właśnie dlatego zaczęłam szukać odpowiedzi. - Sara nadal była niespokojna.

- Wciąż dla pani pracuje, prawda?

Gunilla skinęła głową.

- W takim razie wie pani, że często go nie było w domu, pracował nocami, spał w dzień... Straciliśmy kontakt.

- Jeśli pani chce, mogę zmienić jego grafik...

Sara potrząsnęła głową.

- Nie o to chodzi, powiedziałam już, że się rozstaliśmy...

W jej głosie słychać było smutek

- Dlaczego? Jeśli mogę zapytać.

Sara odwróciła się w stronę Gunilli, zatrzymała się i zdjęła okulary. Gunilla zobaczyła, jak wygląda jej oko.

- Co się stało?

- A jak pani myśli?

Gunilla przyjrzała się sińcowi.

- Lars?

Sara nie odpowiedziała, włożyła okulary i ruszyła dalej.

- Zaczęłam przeszukiwać jego rzeczy, prywatne rzeczy. Próbowałam znaleźć powód jego zmiany.

Gunilla słuchała.

- Im dłużej szukałam, tym lepiej rozumiałam, czym się zajmuje poza... jak by to powiedzieć, swoimi właściwymi obowiązkami.

- Co ma pani na myśli?

- Mniej więcej wiem, co się dzieje.

- Tak? A co się dzieje?

Sara szła wpatrzona w ziemię, teraz podniosła wzrok.

- Jestem dziennikarką.

- Wiem.

- Moim obowiązkiem, jako dziennikarki, jest zgłaszanie przypadków nadużycia władzy.

Gunilla uniosła brew.

- O, to brzmi szlachetnie.

Sara zdobyła się na odwagę.

- Wiem, czym się zajmujecie... Podśluchiwaniami, groźniami i prześladowaniami.

- Nie wiem, co pani ma na myśli - powiedziała Gunilla.

- Mam na myśli Sophie, mam na myśli Hectora.

Sara nie miała tak naprawdę pojęcia, o co chodzi. Znała tylko imiona i miała niewyraźną wiedzę, której źródłem były odtworzone na komputerze nagrania. Wiedziała, że kogoś podsłuchują, a w policyjnym archiwum dotarła do informacji o dawnych dochodzeniach Gunilli - i tyle. Nie przyznałaby się jednak do tego. To był jej gorący temat, ta historia pomoże jej przełamać brak zainteresowania ze strony redaktorów dodatków kulturalnych, odmieni jej karierę. Sara stanie się dziennikarką śledczą, prawą osobą, która ujawni nadużycia władzy wobec obywateli. Bardziej

jej to odpowiadało, to było bardziej w jej stylu, w stylu Sary Jonsson.

Gunilli udało się ukryć zaskoczenie.

- Mogę tylko powiedzieć, że pracujemy nad wieloma sprawami, niektóre z nich są na etapie, na którym dla dobra śledztwa musimy zachować tajemnicę, a rozpowszechnianie wiadomości o takich dochodzeniach jest przestępstwem. Jeżeli chce pani uzyskać informacje, dostanie je pani od nas, ale za jakiś czas, kiedy nie narażą na szwank ani naszej pracy, ani ludzi, którzy zajmują się tymi sprawami.

Sara wyciągnęła z rękawa kolejnego asa.

- Albert... Przesłuchanie, policja z centrum... Gwałt. On ma piętnaście lat!

Gunilla utkwiała w niej wzrok. Sara rejestrowała każdą zmianę widoczną na twarzy Gunilli. Czyżby trafiła? Może...

- Co pani powiedziała?

- Słyszała pani.

Erik spróbował ratować sytuację.

- Prowadzimy dochodzenie. Objęte tajemnicą. Niektóre elementy tego dochodzenia są delikatną sprawą. To, co pani usłyszała albo zobaczyła, powinna pani zachować dla siebie do czasu, gdy dostanie od nas zielone światło na publikację

- powiedział.

Sara zachowała spokój. Czowała, że dobrze zgadła, szukała potwierdzenia w oczach Gunilli.

- Nielegalne założenie podsłuchu, Sophie... Co wy właściwie próbujecie zrobić?

Gunilla przyjrzała się Sarze, posmutniała.

-Tak?

Zdenerwowanie Sary zniknęło, zagrała ostatnią kartę.

- Patricia Nordström, mówi pani coś to nazwisko?

Gunilla spróbowała nie zmienić wyrazu twarzy, ale na jej ustach pokazał się nienaturalny, sztywny i pozbawiony radości uśmiech.

- Patricia Nordström zginęła pięć lat temu - powiedziała Sara. - Zginęła w czasie, kiedy z panią współpracowała. W papierach nie ma ani słowa o tym, że jej zaginięcie miało coś wspólnego z „Królem Klusaków”, ona zginęła, współpracując z panią. Czy to samo przydarzy się Sophie? Ona też zginie?

Sara postawiła wszystko na jedną kartę. W rzeczywistości nie miała pojęcia, o czym mówi, wiedziała tylko, że w tym wszystkim coś śmierdzi, prawdopodobnie zrozumiała to już w chwili, gdy Lars zaczął pracować nad tą sprawą. W ciągu jednego dnia z policjanta prewencji zmienił się w śledczego z Krajowego Biura, to było nieprawdopodobne. A także z Larsa przeobraził się w kogoś zupełnie innego, to też było nieprawdopodobne...

Wydawało się, że Gunilla nie jest w stanie oderwać wzroku od Sary. Nagle odwróciła się i odeszła. Zaskoczyła tym nawet Erika, któremu nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za nią.

Kiedy wyjechali z parkingu i ruszyli w stronę miasta, Gunilla była zasmucona.

- Głupia, głupia dziewczyna - powiedziała pod nosem.

Erik prowadził bez słowa.

- Dlaczego to robi? - zapytała Gunilla.

Erik wiedział, że siostra nie oczekuje od niego odpowiedzi.

- Czy ona nie rozumie?

Gunilla patrzyła przed siebie.

- Znowu to samo?

Przejechali obok wieży Kaknästornet.

- Jak ona się tego wszystkiego dowiedziała?

Westchnęła i pogрузzyła się w myślach.

- Kurwa - szepnęła.

- Jak ona się dowiedziała o Patricii Nordström? - zapytał Erik.

Gunilla opuściła osłonę przeciwsłoneczną.

- Można o niej przeczytać w policyjnym archiwum. Zostało kilka drobiazgów, których nigdy nie udało mi się usunąć. Nie wiem, skąd je ma, może po prostu zażądała wglądu w akta. Ale to nie ma znaczenia. Zrozumiała coś, czego nie powinna była zrozumieć.

- Lars jej pomagał?

- Nie wiem, myślę, że nie... Widziałeś, co jej zrobił.

Gunilla myślała przez chwilę.

- Co ona powiedziała, zanim wymieniła nazwisko Patricii?

- Wspomniała o podsłuchu...

- A wcześniej?

- O Albercie...

- Skąd może o nim wiedzieć?

Erik nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Gunilla westchnęła, podniosła osłonę.

- Z Larsem zaczekamy. Będziemy go trzymać na dystans... tak jak zwykle. Ale Sara...

Erik wjechał w ulicę Strandvägen.

- Czas chyba na inicjację Hassego.

Erik mruknął potakująco.

- Niech to szlag - szepnęła znów pod nosem.

*

Ralph Hanke był w podłym humorze. Jak zawsze w takich momentach zachowywał kompletną ciszę. Dla ludzi z jego otoczenia była jak prąd płynący w przewodach wysokiego napięcia. Trzymali się od niego z daleka.

Spoglądał na centrum Monachium przez olano widokowe na siódmym piętrze. Miasto było zamglone. Brzuchy szarych

chmur znajdowały się niemal na jego wysokości. Gdyby był kilka pięter wyżej, nic by nie widział, co swoją drogą mogło być niezłe. Kiedy nie mógł zebrać myśli, często tu stał i spoglądał na miasto. Niewiele widział, ale lepiej mu się myślało, gdy górował trochę nad światem. Dziś miał na sobie wełniany sweter. Rzadko nosił swetry, ale ldedy już jaldś założył, dobrze się w nim czuł. Być może dlatego, że udawało mu się uniknąć garnituru, poczuć się swobodnie. Jednak sweter działał na niego w jeszcze jeden sposób. Wprawiał go w pewien nastrój. Jego myśli stawały się jaśniejsze, zmysły chłodniejsze i narastała w nim złość. Podejmowanie życiowych decyzji okazywało się dużo prostsze dzięki jasnym, chłodnym myślom formułowanym w złości.

Głośnik na biurku zatrzeszczał.

- Herr Hanke?

W pokoju rozległ się spokojny głos jego sekretarki.

- Tak, Frau Wagner?

- Przyszedł Herr Gentz.

Otworzyły się drzwi, do gabinetu wszedł Roland Gentz i usiadłszy w fotelu, wyjął z teczki jakieś papiery. Nie witali się. Nigdy. Nie dlatego, że byli nieuprzejmi, mieli po prostu ciche porozumienie, że kiedy pracują, tacy właśnie są - są mężczyznami, którzy się nie witają.

Ralph stał przy oknie. Brudnoszary krajobraz w połączeniu ze wszystkimi problemami sprawił, że zatęsknił za czymś mocniejszym. Spojrzał na miasto.

- Masz ochotę na drinka?

Roland podniósł wzrok znad papierów, pytanie go zdziwiło.

- Kiedy przestaliśmy pić w dzień? - zapytał Ralph.

Roland się zastanowił.

- Jakoś w latach dziewięćdziesiątych... Wydaje mi się, że mniej więcej wtedy, ldedy przestaliśmy nosić krawaty.

Ralph podszedł do biurka.

- Dwie dobre rzeczy - westchnął.

Usiadł.

- A więc?

- Jasne, czemu nie.

Ralph przycisnął guziczek na telefonie.

- Frau Wagner, poproszę dwa razy single malt bez lodu.

- Już, Herr Hanke.

Ralph przyjął postawę wyrażającą cierpliwość i splótł dłonie. Roland przerzucał kartki.

- Otrzymaliśmy zapłatę za trzy galerie w Wielkiej Brytanii... Nadal mamy problem z Hamburgiem i budową mostu... Chodzi o hydraulikę, to trochę potrwa. Kontrakt jest nasz, wygramy z Amerykanami, ale i tu potrzebna jest cierpliwość, wszyscy chcą wziąć w tym udział.

Ralph prawie nie słuchał, obrócił się na krześle, znów wyglądał przez okno. Za sobą słyszał monotony głos Rolanda. Przerwał mu po kilku minutach.

- Poczekaj z tym... Jak tam sytuacja w Szwecji?

Roland podniósł wzrok znad papierów.

- W Szwecji? Po staremu...

- Na czym stanęło?

Roland zebrał myśli.

- Kumpel Michaiła leży w szpitalu...

- Będzie sypał?

Roland potrząsnął głową.

- Nie.

- Skąd wiesz?

- Michaił tak mówi.

- Nie odezwali się.

Roland milczał.

- A pośrednik, ten od broni?

Roland wyprostował się w fotelu.

- Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

Ralph spoglądał na miasto.

- Powiedz.

- Dlaczego nie damy sobie z tym spokoju. To wszystko źle wpływa na nasze pozostałe interesy, to ryzyko, które rośnie z każdym dniem... A ten projekt jest niewiarygodnie mały... Opuśćmy sobie i skoncentrujmy się na tym, co istotne.

Ralph odwrócił się w stronę Rolanda.

- Jak się nazywa człowiek, którego kupiliśmy?

Roland zastanowił się, czy choć słowo z tego, co właśnie powiedział, dotarło do Ralpha.

- Carlos, Carlos Fuentes.

- I kim on jest?

- Zerem, które ma kilka restauracji. U Hectora jest kimś w rodzaju bramkarza, nie wiem dokładnie.

- Posłużmy się nim jeszcze raz.

- Wydaje mi się, że już go wyeksploatowaliśmy.

- Co masz na myśli?

- To on ściągnął Hectora do restauracji, kiedy Michail i ten drugi go uprowadzili. Raczej nie są na tyle głupi, by uważać, że to przypadek.

- Nie żyje?

Roland wzruszył ramionami.

- Być może...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Frau Wagner wniosła tacę, na której stały dwie szklanki do whisky z grubym dnem. Podawała alkohol mężczyznom, po czym opuściła gabinet.

Nie pili od razu, najpierw powąchali. Ralph wypił pierwszy, Roland poszedł w jego ślady. Przełknęli, smak pozostał w ustach. To była właśnie najlepsza strona whisky - wrażenie smakowe, które wywoływało fałszywe wspomnienia i budziło tragicznie piękne uczucie czegoś, co dla wszystkich ludzi pozostawało poza zasięgiem. Może właśnie dlatego pewien typ romantyków whisky doprowadziła do zguby.

Odstawili szklanki.

- Mamy kogoś w Hiszpanii? - zapytał Ralph.

- Co masz na myśli?

- Czy mamy w Hiszpanii jakiegoś Michaiła?

Roland potrząsnął głową.

-Nie.

- Postaraj się temu zaradzić. Chcę mieć tam kogoś do dyspozycji, kogoś, kogo będziemy mogli błyskawicznie wprowadzić do akcji.

- Co ma zrobić?

- Użyć argumentu siły, mogą być dwie, trzy osoby.

- Nie zgadzam się z tobą - oświadczył Roland.

Ralph nie odpowiedział. Odległy szum z centrum Monachium unosił się daleko w dole.

- A co z kobietą? Kim ona jest, wiemy coś na jej temat?

- Nic... To po prostu jakaś kobieta, chcesz, żebym się jej bliżej przyjrzał?

Ralph podniósł szklankę do ust - zastanawiał się.

- Tak.

20

Właśnie rozkwitła biała piwonia. Była nieopisanie piękna, duża, szeroka, symetryczna - jak ze snu. Tommy Jansson patrzył na nią. Siedział rozparty wygodnie na jednym z pomalowanych białą farbą drewnianych krzeseł Gunilli. W altance stał nakryty stół, pachniały stare róże ogrodowe i powojniki.

Tommy Jansson był szefem wydziału w biurze wywiadu kryminalnego, tego wydziału, w którym przez ostatnie czternaście lat pracowała Gunilla. Formalnie rzecz biorąc,

ten stary twardziel jeżdżący amerykańskim krążownikiem szos i trzymający w kaburze magnum 357 był jej przełożonym. W życiu jak dziecko, w pracy - prawdziwy zawodowiec. Bardzo go ceniła jako szefa, ale również jako kolegę z pracy i przyjaciela.

Gunilla postawiła przed nim talerz świeżo upieczonych cynamonowych bułeczek. Tommy poczekał, aż usiądzie na krześle naprzeciwko.

- Słyszałem, że mówią na ciebie „mama”.

Gunilla się uśmiechnęła.

- Kto tak powiedział?

- Twój brat. Zadzwoiłem do niego po drodze z pytaniem, co tam u was.

Poprawiła się na krześle.

- Dlaczego do niego zadzwoniłeś?

- Tak po prostu.

Gunilla nalała mu angielskiej herbaty. Sączył ją przez chwilę, po czym zabrał głos.

- Minęło już trochę czasu. Ludzie chcą wiedzieć.

- Ach tak? - odparła Gunilla.

- Prokurator czeka na materiały od ciebie.

- Wiesz, jak ja pracuję, Tommy, wiesz, że nie chcę puścić czegoś niedopracowanego, czego jakiś zestresowany prokurator mógłby nie zrozumieć i zinterpretować w taki sposób, że później nic z tego nie będzie.

- Wiem, ale ludzie nie dają mi spokoju. Nie mogę cały czas cię kryć.

- Kryć mnie?

- Wiesz, co mam na myśli.

- Nie, nie wiem.

Tommy przyjrzał jej się badawczo.

- Nie tylko pani prokurator zadaje pytania. Ona jednak dzieli się swoimi teoriami. Przez to ludzie są niepewni.

- Berit Ståhl?

Tommy skinął głową.

- Co mówi?

- Chcesz wiedzieć?

Gunilla nie odpowiedziała. Tommy usiłował znaleźć wygodniejszą pozycję na krześle.

- Mówi, że nie rozumie, dlaczego masz aż do tego stopnia wolną rękę.

- I co jej wtedy odpowiadasz?

- To, co zawsze, że jesteś jedną z najlepszych.

- A ona?

Tommy wypił łyk herbaty i oparł filiżankę na udzie.

- Mówi, że nic na to nie wskazuje.

- Na co?

- Przeanalizowała wszystkie twoje sprawy z ostatnich piętnastu lat i stwierdziła, że procent tych, które zakończyły się wyrokiem skazującym, jest dużo niższy od średniej.

Gunilla westchnęła.

- Właśnie to staram się powiedzieć. Coś jeszcze?

- To wszystko.

- Nieprawda...

Gunilla nie spuszczała oczu z Tommy'ego. Opuścił wzrok.

- Mówi jeszcze, że dlatego pracujesz w ten sposób, z własną grupą, bez nadzoru, w prywatnych lokalach i tak dalej, żeby za kilka lat, po reorganizacji policji, zbudować coś, czym będziesz mogła kierować.

- Aha. I co?

Tommy wzruszył ramionami.

- Tak mówi.

- Że jestem ambitna?

Tommy westchnął.

- Nikt się tym nie przejmuje... na razie. Ale jeżeli nadal będzie robiła tyle hałasu, ktoś się w końcu zdenerwuje i zacznie zadawać pytania.

Uspokoił się.

- Jeżeli działasz po omacku, jeżeli nie masz tyle, ile byś chciała, to prostu mi powiedz. Chroniłem cię już wcześniej i w przyszłości nadal będę to robił... Jeżeli jednak zobaczę, że nie jesteś ze mną szczerą...

- Nie martw się - powiedziała cicho.

Potań knykiem ucho.

- Wcale się nie martwię...

Zaśmiała się.

- Jasne, że tak...

Nie odpowiedział.

- Trzymaj się umowy, jaką zawarliśmy na początku, Tommy...

- Co to była za umowa?

- Że nie muszę ci składać raportów.

- Kto powiedział, że przyszedłem tu po raport?

- A po cóż by innego? Po bułeczki?

- Tak, po bułeczki.

Żadne z nich się nie uśmiechnęło.

Tommy rozważał to, co zostało powiedziane. Potem pograżył się w dalszych rozmyślaniach - Gunilla była taka jak on, myśleli w ten sam sposób. Nie musieli nawet o tym rozmawiać, o wielu sprawach nie musieli rozmawiać. Wiedzieli, że zasadniczo odbierają na tych samych falach.

Tommy przerwał ciszę.

- Chcę wiedzieć, na czym stoisz i kiedy mniej więcej spodziewasz się zebrać wystarczające dowody w swoich śledztwach... Chciałbym też wiedzieć, czy czegoś potrzebujesz.

Przeszedł ją zimny dreszcz.

- Niech cię szlag trafi - powiedziała.

Udawał, że nie rozumie.

- Słucham?

- Wiem, do czego dążysz, ale ci się to nie uda.

- Gunilla, o czym ty mówisz?

- Jeśli ci się wydaje, że możesz dostać teraz wszystkie informacje, żeby przekazać to komuś innemu, to jesteś w błędzie.

Tommy pokręcił głową.

- Nie przyszedłem tu po to, żeby cię wywalić.

- Tego nie powiedziałam. Ale wiem, co kombinujesz.

- Co kombinuję?

- Zabezpieczasz się z każdej strony, zbierasz informacje, a jeśli się okaże, że nie idzie po twojej myśli, wymienisz mnie. Już wcześniej widziałam, jak to robisz.

Tommy się zdenerwował.

- Skończ już tę grę.

- To ty skończ, Tommy. Mówię poważnie i zdania nie zmienię. Jest między nami umowa. Nikt nie może jej zmienić... a już na pewno nie Berit Ståhl.

- Do diabła z nią - rzekł Tommy.

Gunilla odetchnęła.

- Dzięki...

Pokręcił głową.

- Nie, nie musisz dziękować. Najwyraźniej źle zrozumiałaś naszą umowę.

Z pobliskiego ogrodu dobiegł płacz dziecka.

- Jak to?

- Ona przede wszystkim dotyczy mnie i pozostałych szefów.

Gunilla nie odpowiedziała. Tommy intensywnie się w nią wpatrywał.

- Siedzisz w gównie - powiedział.

Zmarszczyła nos.

- Cóż to za dziwnego języka używasz?

- Mam rację.

- Nie, nie masz - odpowiedziała cicho.

Przez wszystkie lata przeprowadzili sto takich rozmów, wszystkie o jednakowej treści. - Tommy chciał mieć kontrolę, ona nie chciała jej oddać, mniej więcej w tym stylu.

- Jak się czuje Monica? - zapytała Gunilla. Ton jej głosu był teraz łagodniejszy.

Tommy popatrzył na ogród.

- Dobrze, nie ma jeszcze żadnych wyraźnych objawów.

- Co mówią lekarze?

Spojrzał jej w oczy.

- Że nie wiedzą. Ale że wiedzą - tego typu rzeczy.

- A to oznacza?

Tommy ściszył głos.

- Że choroba tam jest, że stwardnienie zanikowe boczne jest nieuleczalne, że już niedługo pojawią się u niej pierwsze objawy.

Gunilla widziała jego smutek. Opuścił wzrok na filiżankę.

- Wiesz, co jest najgorsze? - zapytał cicho.

Gunilla pokręciła głową.

- Ja boję się bardziej niż ona.

Znowu zapadła cisza. Słysząc było tylko bzyczenie owadów, wiatr w liściach drzew i śpiewające ptaki.

Tommy dopił herbatę, postawił filiżankę na stole i wstał. Znow był szefem.

- Jestem z tobą, Gunilla. Ale pamiętaj, żeby poprosić o pomoc, jeśli będziesz jej potrzebowała.

Tommy opuścił altanę i poszedł w kierunku furtki. Patrzyła, jak odchodzi. Gdzieś za jej plecami zabrzączał trzmiel.

*

Było wpół do trzeciej w nocy. Lars otworzył wytrychem drzwi od tarasu, tym razem poszło gładko. Zdjął buty i w samych skarpetkach wszedł do dużego pokoju. Cały świat pogrążony był we śnie. Zrobił to, po co tu przyszedł - przemknął do stojącej przy kanapie lampy i szukał z bliskiej odległości. Znalazł zainstalowany przez Andersa cienki jak włos mikrofon i ostrożnie chwycił go między kciuk a palec wskazujący.

Włożył go do małej foliowej torebki, którą wsunął do kieszeni, po czym ostrożnie ruszył z powrotem do drzwi od tarasu. Przyszła mu do głowy jedna myśl, przystanął. Nie składała się ze słów, raczej z uczuć, coś w rodzaju: ona teraz leży tam na górze... do ciężkiej cholery.

Lars ruszył w stronę schodów, ciągnęło go w tamtym kierunku. Wszedł po nich cicho i ostrożnie.

Drzwi do jej pokoju były uchylone. Lars przytknął ucho do szpary i nasłuchiwał. Niski, delikatny oddech. Powoli otworzył drzwi, wszystko odbyło się bezgłośnie. Ostrożny krok i już stąpał po wykładzinie.

Leżała na łóżku, prawie w tej samej pozycji co poprzednio, na plecach, z włosami rozrzuconymi na poduszce, zaledwie kilka metrów od niego. Pojawiło się wahanie. Co on tu robi... Już miał zawrócić... Ale... Wpatrywał się w nią, zobaczył jej piękno, poczuł, jak wzbiera w nim tęsknota, wahanie zniknęło. Lars chciał się położyć obok niej, powiedzieć, że źle się czuje. Może by go pocieszyła. Marzenia przerwał mu jakiś dźwięk. Delikatny trzepot. Odgłos dobiegał zza firanki. Ćma. Tłukła skrzydłami o szybę w złożonej tęsknocie za świecą słabym światłem uliczną latarnią.

Puls Larsa był spokojny... Uklęknął i podszedł do niej na czworakach. Ostrożnie, ostrożnie, już za chwilę poczuje jej zapach. Poczuł, że ma wzwód, wyobraził sobie, że zatyka jej ręką usta... że kładzie się na niej, że... Nie, nie w ten sposób. Lars skarcił się w duchu. Ale mógł przecież... Nie, nie mógł... a może? Walczył z impulsem, ale jak zawsze impuls pokonał Larsa.

Wciąż na kolanach rozpiął guzik spodni, potem rozprorek i włożył w spodnie lewą dłoń. Nie chciał tego robić, ale nie potrafił się powstrzymać. Zamknął oczy i kochał się z nią w wyobraźni. Jęczała jego imię, prosiła o jeszcze, głaskała go po plecach, powtarzała, że go kocha. Skrzydła ćmy uderzały o szybę. Pocałował powietrze i doszedł

w spodnie. Uczucie pustki, które nastąpiło zaraz potem, było wszechogarniające.

Ostrożnie zszedł po schodach, wyślizgnął się z pokoju i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

*

Nie byli w stanie nawet na siebie patrzeć, Anders zwiesił głowę, Hasse co chwilę wzdychał. Siedzieli w hondzie Hassego, zaparkowanej na Bastugatan. Ciszę przerwał Hasse.

- Robieś to już wcześniej?

Anders wpatrywał się w nocny mrok, skinął głową.

- I jak to jest?

Anders nie chciał się wdawać w szczegóły. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął rękę w stronę Berglunda. Białe tabletki.

- Co to jest?

- To pomaga. Weź dwie.

- Nigdy nie biorę tabletek.

- Czyś ty zgłupiał?

Hasse nie zrozumiał.

- Co?

- Weź je! - krzyknął Anders, po czym westchnął i oparł się o drzwi, dalej patrzył w ciemność. Hasse wziął tabletki i połknął.

Czas płynął powoli. Sączył się przez grube, ciężkie ściany, jakby chciał ich cierpienia. Jakby czas chciał dać im możliwość wyboru. Anders nienawidził tego uczucia. Niecierpliwie spoglądał na zegarek. Pięć minut przed czasem otworzył drzwiczki.

- To jazda.

Wyszli z samochodu, podeszli do drzwi, wstukali właściwy kod i wspięli się po kamiennych schodach.

Na drzwiach widniało nazwisko Dahl. Poniżej, na przyklejonej taśmie karteczce, napisane było „S. Jonsson”.

Nasłuchiwali. Anders zaczął otwierać zamek wytrychem. Nie trząśił się ani nie wahał, tabletki podziały Zamek ustąpił. Zachowując absolutną ciszę, próbowali stwierdzić, czy z wnętrza nie dobywa się najmniejszy nawet dźwięk, którego nie powinno tam być.

Anders położył rękę na klamce i przycisnął ostrożnie, aż drzwi lekko się uchylily, odczekał moment, a później otworzył dokładnie na tyle, by obaj mogli się *dostać do* środka.

Anders i Hasse stali nieruchomo w przedpokoju. Po prawej stronie była mała, wąska kuchnia, przy oknie składany stół, dwa składane krzesła, niewiele miejsca do dyspozycji. Mieszkanie było ciasną kawalerką. Anders zrobił krok do przodu. Telewizor, kanapa, stół, obraz, lampa... Łóżko za kotarą. Leżała na nim, słychać było jej słaby oddech.

Zdjęli buty i bezszelestnie weszli do pokoju. Anders przykucnął i otworzył teczkę z gore-texu. Otulona miękkim materiałem tkwiła tam strzykawka. Wyjął ją ostrożnie i zdjął plastikowy osłonę z igły.

Hasse trzymał się z tyłu. Nie oddychał już tak ciężko, tabletki również u niego zrobiły swoje. Anders wstał. Popatrzył Hassemu w oczy, jakby mówiąc: „zaczynamy”. Bezgłośnie skierowali się w stronę łóżka.

Sara spała na brzuchu, lekko pochrapując. Hasse podszedł do wezłowania, ostrożnie odsunął kotarę, wszedł i stanął nad śpiącą, gotów ją złapać, gdyby się obudziła. Anders po cichu usiadł przy łóżku. Będzie musiał podnieść koldrę. Najpierw spróbował ostrożnie, unosząc ją o centymetr lub dwa. Sara się nie poruszyła. Podniósł jeszcze o kilka centymetrów, wciąż mocno spała. Nie widział stóp, podniósł jeszcze trochę, Sara odruchowo kopnęła przez sen. Anders podskoczył. Jedna stopa podrapała drugą, Sara coś wymamrotała, tonem upomnienia, jakby przywoływała kogoś do porządku. Po chwili znów zapanowała cisza. Anders i Hasse popatrzyli na siebie. Anders zaczerpnął powietrza, skoncentrował się,

chwycił strzykawkę w prawą rękę, palce zaciskając na ściankach, a kciukiem dotykając tłoka. Po ostatnim ruchu Sary jej stopa znalazła się poza kołdrą. Anders skinął głową Hassemu, by był przygotowany. Hasse stanął na szeroko rozstawionych nogach, uniósł ręce.

Anders popatrzył na strzykawkę. Płyn był przezroczysty, nieprzyjemnie przezroczysty. Anders czekał, jakby się wahał, jakby się zastanawiał, co właśnie robi. W końcu przystawił cienką igłę do podeszwy prawej stopy Sary i wkłuł się na centymetr. Zareagowała na ból, Anders chwycił ją za stopę i przytrzymał, jednocześnie zaś Hasse całym ciężarem ciała przyduśli jej rękę. Krzyczała w materac, kiedy Anders wprowadzał jej ciecz do krwiobiegu. Szamotała się, walczyła, Anders puścił stopę, strzykawka nadal w niej tkwiła. Sara kopała instynktownie obiema nogami. Igła się złamała, strzykawka poleciała w kąt. Hasse wyteżał wszystkie siły, by utrzymać kobietę.

Potrwało kilka sekund, zanim substancja dotarła do serca, powodując nagle zatrzymanie krążenia. Sara przestała krzyczeć, przestała kopać. Zrobiło się ciszej, niż którykolwiek z nich mógłby przypuszczać.

Obaj patrzyli na leżącą na brzuchu kobietę, a następnie krótko na siebie. Hasse puścił Sarę, cofnął się kawalek.

- Kurwa mać - wyszeptał. - Zrobiła się całkiem miękka.

Cofnął się jeszcze trochę.

- Całkiem miękka... - powtórzył, nie spuszczać z niej wzroku. - Nie żyje?

Anders wstał, popatrzył na Sarę. Leżała praktycznie w tej samej pozycji co wtedy, kiedy przyszli. Głowa spoczywała na poduszce, włosy były lekko rozczochrane, twarz obrócona na prawo. Wpatrywała się w kotarę.

- Tak... nie żyje.

Stali nadal, w bezruchu, choć nie mieli żadnego powodu, a jedynie uczucie, że chcą się stąd wynieść, że woleliby

zatrzymać czas, przewinąć do tyłu, anulować wszystko, co się stało. Przyglądali się swojemu perwersyjnemu dziełu. Hasse przelknął z trudem ślinę, Anders wziął się w garść.

- Znajdź strzykawkę, gdzieś tu leży.

Hasse w pierwszej chwili nie zrozumiał, spojrział pytająco na Andersa.

- Strzykawka, znajdź strzykawkę!

Hasse zaczął szukać. Anders znowu usiadł przy stopie Sary z miniaturową latarką w ustach. Zdjął rękawiczkę i ostrożnie pogładził dłonią podeszwę stopy. Znalazł małą ułamaną igłę, chwycił palcem wskazującym i kciukiem i wyciągnął, tak jak latem wyciąga się drzazgę ze stopy dziecka.

Hasse znalazł strzykawkę kawałek dalej. Przeszli się po mieszkaniu, ostrożnie przeszukując szuflady i szafki. Anders znalazł aparat fotograficzny Sary schowany w szkatułce na biżuterię, oprócz tego notatki i dziennik, schował wszystko do wewnętrznych kieszeni kurtki.

Posprząтали po sobie, opuścili mieszkanie i ruszyli samochodem przez sztokholmską noc. Anders przytknął słuchawkę do ucha.

- Zrobione - powiedział.

Gunilla była oszczędna w słowach, być może ze względu na wagę informacji, a może dlatego, że wyrwał ją ze snu.

- Wiesz, że to wszystko ma swój wyższy cel. O wiele wyższy, niż ci się teraz wydaje.

Anders nie odpowiedział.

- Jak się czujesz?

Naprawdę brzmiała jak mama. Nie jak jego mama, jakaś inna.

- Tak jak poprzednim razem.

- Tamto również miało wyższy cel. A oba te cele są ze sobą splecione, rozumiesz to, prawda? To było konieczne, gra toczyła się o wszystko.

Tym razem to Anders niewiele mówił.

- Ona albo my, Lars, tak to wyglądało. Ona знаła Patricię Nordström.

Wzdrygnął się.

-Co?

- Tak.

- Skąd?

- Nie wiem, ale chyba wywęszyła coś w aktach.

- A Lars? Co on wie?

- Nie mam pojęcia. Może więcej, niż nam się wydaje - powiedziała Gunilla.

- Jest niebezpieczny?

- A jak sądzisz?

- Instynkt podpowiada mi, że nie... Ale kto wie.

- Właśnie, kto wie...

Usłyszał jej westchnienie.

- Jak sobie poradził Hasse? - zapytała.

Anders spojrział na Hassego, który ze zwieszoną głową i pustym obliczem prowadził samochód.

- Okej, tak myślę.

- To dobrze - powiedziała cicho.

Jeździli po mieście, oddychali ciężko, wytrzeszczali oczy... Żaden z nich nie chciał jechać do domu sam. Hasse milczał zadęty. Anders to dostrzegł, poklepał go kilka razy po ramieniu.

- To minie.

- Kiedy? - mruknął Hasse.

- Za kilka dni - skłamał.

Hasse jechał przez miasto.

- Możesz teraz opowiedzieć całą historię? - zapytał Hasse.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko - odparł szeptem.

- Co na przykład?

- Zacznij od tego, dlaczego zabiliście tę blondynkę, dziewczynę „Króla Kłusaków”. Bo przecież to zrobiliście? - Mówił cicho, prawie szeptem.

Anders zdał sobie sprawę, że prawą nogą wykonuje nie-spokojne ruchy. Zmusił się, by przestać.

- Nie mieliśmy wyboru. Widziała, jak nasi sprzątnęli jednego z ludzi „Króla Kłusaków”.

- Dlaczego go sprzątnęliście? - zapytał Hasse.

Anders przetarł oczy.

- Zrobił się straszliwy chaos... Ledwo potrafię to wszystko spamiętać.

Wyjrzał przez okno. Domy, które mijali, nagle zaczęły wyglądać złowrogo.

- Najpierw skoncentrowaliśmy się na chłopaku z bliskiego otoczenia Zdenlci. Chcieliśmy przerobić go na donosiciela, ale grał na dwa fronty. Wydymał nas jak cholera. Miałem do niego pełne zaufanie, Gunilla i Erik też... Ale on był lojalny wobec swojego szefa. Niewłaściwie oceniliśmy całą sytuację. Kiedy to zrozumieliśmy, wszystko szło w kurewsko złym kierunku, jeszcze trochę i stracilibyśmy całe to gównno. Dlatego zaczęliśmy urabiać Patricję Nordström, dziewczynę Zdenki. Pomagała nam dostać to, czego chcieliśmy. Ja załatwiłem samobójstwo zdrajcy.

Anders odchrząknął.

- Ale ona wszystko widziała. Wpadła w histerię, zaczęła się wydzierać, że pójdzie na policję... Wszystko za bardzo się popierdoliło.

- Co zrobiliście?

Anders popatrzył na Hassego, pozwalając, by milczenie wystarczyło za odpowiedź.

- Jak?

Anders nie lubił tego wspomnienia.

- Jak dziennikarkę dziś wieczorem, miałem pieprzone déjã vu... Wcześniej jednak zastrzeliłem tego dupka Zdenkę

w Jägersro... Miałem na głowie perukę. To, co czytałeś w bulwarówkach na temat porachunków między gangami i innych gówien, to wszystko pic na wodę. Wynieśliśmy dużą część jego majątku, wszystko, co wpadło nam w ręce.

- A gdzie jest teraz blondynka?

Niewyraźne kontury miasta zaczęły nabierać kształtów, gdy pierwsze promienie słońca pokazały się na horyzoncie.

- Na samym dnie morza - powiedział Anders sam do siebie.

Niemile uczucie znów jej towarzyszyło, liedy wstała z łóżka. Chciała jak najszybciej wyjść z pokoju, jakby cały był czymś skażony.

Zaparzyła sobie herbatę, podeszła do schodów prowadzących do piwnicy, wyjęła z kryjówki moniterek i włączyła. Co rano ta sama rutyna. Trzymając go przed sobą w dłoni, wróciła do kuchni, gdzie sączyła gorącą herbatę. Nagle pojawił się obraz. Była noc, daleka uliczna latarnia oświetlała duży pokój delikatnym światłem. Przed kamerą, kierując się w stronę schodów, przeszedł mężczyzna w ciemnym ubraniu. Film dobiegł końca. Trwał cztery sekundy. Sophie zmroziło, odstawiła herbatę, żeby nie wypuścić jej z rąk. Uszła z niej cała siła. Ukazał się nowy film, ten sam mężczyzna szedł z przeciwnej strony, od schodów w kierunku dużego pokoju, po czym zniknął z kadru.

To, co teraz czuła, nie było zwyczajnym strachem. To było coś innego. Przerażenie, od którego jednocześnie zrobiło jej się niedobrze i zakręciło w głowie. Popatrzyła raz jeszcze, obraz był ciemny i ziarnisty. Złowieszczy i groźny. Znalazła funkcję przewijania, przewinęła do tyłu i zrobiła stop-klatkę. Mężczyzna zamarł w pół kroku. Miał mokre włosy, pocił się.

Nie sposób było się pomylić, to był Lars, policjant Lars...

*

Svante Carlgren golił się w łazience, kiedy zadzwonił jego nowy telefon. Wiedział, kto to, tylko jedna osoba miała ten numer. Trzymał słuchawkę z dala od policzka, pokrytego pianką do golenia.

- Karol Gustaw - odezwał się.

- Mówi Håkan...

Svante pociągnął maszynką po twarzy.

- O co chodzi?

- Potrzebuję dodatkowych informacji o tym człowieku.

- Dlaczego?

- Ponieważ skorzystałem ze zwyczajowych kanałów, dowiadywałem się i szukałem, ale nigdzie ani śladu. Mieliśmy nadzieję, że będzie to ktoś, kogo znamy... ale tak najwyraźniej nie jest.

- Już ci zapłaciłem. A ty dzwonisz i informujesz mnie, że niczego się nie dowiedziałeś.

- Tego nie powiedziałem.

- Ależ tak.

Svante golił zarost pomiędzy nosem a górną wargą.

- Potrzebuję dokładniejszego rysopisu.

- Podałem wszystko, co wiem.

- Musimy się spotkać, chcę, żebyś obejrzał kilka zdjęć. Żebyśmy razem stworzyli dokładniejszy profil tego człowieka.

Svante siedział w samochodzie na parkingu przy restauracji Källhagens värdshus. Szyba była otwarta, kilka osób spacerowało drogą pomiędzy restauracją a Muzeum Historii Morskiej. Odruchowo zaczął bębnić palcami po kierownicy

- nienawidził czekać.

Zakreślił przed nim terenowy samochód. Wsiadł z niego Håkan. Miał na sobie szarą koszulę, czubek głowy porastała

szczecina, boki były wygolone. Oczy miał osadzone głęboko, jakby znajdowały się w cieniu. Od strony pasażera wysiadł niższy facet z taką samą fryzurą, choć starszy.

- Przejedziemy się moim autem? - zapytał Svante przez uchylone okno.

Håkan pokręcił głową.

- Pójdziemy piechotą.

Svante wysiadł z samochodu, wyciągnął rękę. Håkan zachowywał się nerwowo, pospiesznie się przywitał.

- To mój kolega Leffe Rydbäck - powiedział, wskazując mężczyznę obok. Svante podał mu rękę.

Trójka ruszyła z parkingu w stronę kanału.

Teleobiektyw pozwalał zrobić trzem mężczyznom wyraźne zdjęcia. Anders pstryknął około dwudziestu fotek z tylnego siedzenia swojego samochodu. Wiedział, kim jest facet w szarej koszuli, znał nawet tego małego, ale... cholera, nie pamiętał nazwisk. Widział ich już wcześniej. Ten wysoki był kimś w rodzaju gangstera, ale to stare dzieje. Anders grzebał w pamięci. Miał go na końcu języka. Wypląnął w związku ze śledztwem w sprawie jednej z mafii restauracyjnych, grasowali wtedy domniemani terroryści. Nie był jednak terrorystą, tylko jakąś plotką i zaczął grozić gangowi Syryjczyków, do którego należały restauracje w mieście... Jak on się nazywał? A ten mały? Anders próbował sobie przypomnieć... bezskutecznie.

Zadzwonił do Reutersvärda, dawnego kolegi z policji bezpieczeństwa.

- Jak on się, kurwa, nazywał?

- Zivkovic, Håkan Zivkovic. Mówi się, że przeszedł na jasną stronę. Prowadzi własną firmę ochroniarską, odszukuje ludzi na zlecenie różnych towarzystw ubezpieczeniowych, świadczy usługi detektywistyczne, niemal wyłącznie na zlecenie zazdrosnych żon i mężów, którzy chcą zobaczyć na

kliszy potwierdzenie swoich najgorszych obaw. Utrzymuje pewne kontakty z dawną szajką, od czasu do czasu zleca im drobne zadania. Ale wszystko w granicach, które są dla nas dopuszczalne.

- Z jaką szajką?

- Szwedzką. Z tymi, których zawsze sprawdzaliśmy, ale wiedzieliśmy, że są nieszkodliwi. Conny Blomberg, Tony Ledin, Leffe Rydbäck, no i ten paskudny skurczybyk z zajęczą wargą, Calle Schewens...

- Który z nich jest niski, krótko ostrzyżony, ma kartoflowaty nos i jakąś pięćdziesiątkę na karku?

- Pewnie chodzi ci o Rydbäcka.

- I z nimi zadaje się dzisiaj Zivkovic?

- Zadaje czy nie zadaje, nie wiem, ale czasem wykonują dla niego małe zlecenia.

- Jest wśród nich jakieś gumowe ucho?

- Tak, Rydbäck donosi za odrobinę kasy i inne przysługi. Od Ledina i Schewensa trzymaj się z daleka, to agresywne typy, wrogo nastawione do policji. O Connym Blombergu nie wiem nic poza tym, że leczy swoje ADHD haszyszem i staje mu na widok transwestytów.

- Okej, dzięki, Reutersvärd. Do usłyszenia...

Reutersvärd nie chciał się rozłączyć, chciał pogadać. Zaczął wypytywać Andersa, czym się teraz zajmuje. Anders powiedział, że właśnie wjeżdża w tunel, i przerwał rozmowę.

Śledził trzech mężczyzn wzrokiem, szli w stronę muzeum. Przyglądał się ich plecom i pozycjom, jakie względem siebie zajmowali. Zivkovic coś wyjaśniał, Svante trzymał dystans, ale słuchał, po chwili sytuacja się odwróciła - to Svante coś wyjaśniał, a Zivkovic słuchał, trzymając dystans. Leffe wydawał się niezainteresowany, trzymał się tylko cały czas blisko Zivkovica.

Anders zaczął się zastanawiać nad tym, co widział - Svante Carlgren, Håkan Zivkovic i Leffe Rydbäck na spacerze

w Djurgården? Dlaczego? Czy po spotkaniu z Aronem Geislerem Svante odszukał Håkana i Leffego? Czy Aron i Svante Carlgren w jakiś sposób współpracują? Czy się znają? Ale w takim razie po co im Zivkovic i Rydbäck? Czy coś wspólnie knują?

Zniknęli mu z pola widzenia. Anders potarł brodę pod włos, pogrążony w teoretycznych rozmyślaniach.

... A może Aron Geisler szantażował Carlgręna? Powód szantażu musiał być poważny, bo inaczej Svante poszedłby do departamentu bezpieczeństwa w Ericssonie albo bezpośrednio na policję. Nie zrobił tego. Czy w takim razie Håkan Zivkovic ma pomóc Svantemu odszukać Arona? Być może... Anders wiedział jednak, że to się nigdy nie stanie.

Szarpiąc małe włoski na brodzie, analizował swoją teorię. Warto ją wypróbować.

Zapalił silnik hondy i pojechał w kierunku miasta. Utknąwszy w korku na Strandvägen, rozpoczął mozolną pracę przekopywania półświatka w poszukiwaniu numeru do Leffego Rydbäcka, z pominięciem zwyczajowych kanałów. Zajął to mnóstwo czasu i wymagało cholernej masy drogich wzajemnych przysług, ale w końcu się udało. Leffe odebrał po kilku sygnałach krótkim dźwiękiem, którego Anders nie zrozumiał.

- Rydbäck?

- Bo co?

- Mówi Anders Ask.

Krótką cisza.

- Nie znam żadnego Andersa... Taska.

Anders słyszał, że Leffe siedzi w samochodzie, prawdopodobnie z Zivkovicem.

- Znasz, znasz. Byłem w policji bezpieczeństwa, kiedy ty wydurniałeś się z Syryjczykami i ich restauracjami. Do-rwałem cię wtedy razem z tym durniem Håkanem, jak mu tam było.

- Pamiętam cię, byłeś cholernie pyskаты... i brzydki.
 - A ty cholernie skretyniały, Leffe. Dziecko by sobie z tym lepiej poradziło. Coś ty sobie, kurwa, myślał?
 - Czego ode mnie chcesz? - wymamrotał Leffe.
 - Być może strzelam na oślep, ale mam pytanie. Jak odpowiesz, może ci to przynieść sporo kasy, jesteś zainteresowany?
 - Zawsze możesz spróbować.
 - Na mieście pojawiło się dwóch cwaniaczków, którzy zajmują się szantażowaniem szefów różnych firm. Nazywają się Aron Geisler i Hector Guzman. Guzman ma, zdaje się, wydawnictwo na Gamla stan, znasz ich?
- Anders usłyszał, jak Leffe zatyka słuchawkę dłonią i coś do kogoś szepcze. Po chwili zabrał rękę. Usiłował mówić spokojnie i z namysłem.
- Nie, nie wydaje mi się. Mówiłeś, że jak się nazywają?
 - Hector Guzman; G-u-z-m-a-n, wydawca z Gamla stan. Drugi to Aron Geisler - Anders przeliterował także i to nazwisko, słyszał skrobanie długopisu na papierze.
 - Sorry, nie mam pojęcia... Wiesz co, Tasku - Kutasku?
 - Co?
 - Leć do domu wyruchać swoją matkę.
 - Ołki-dołld.
- Leffe rzucił słuchawkę.

Erik był smutny. Czasem mu się to zdarzało. Nagle stawał się milczący i zamknięty w sobie, trudno wtedy było do niego dotrzeć. Może to zwyczajny sposób radzenia sobie z samotnością, gdy nadchodzi starość. Erik Strandberg odczuwał jednak tego rodzaju smutek już od wczesnego dzieciństwa, kiedy to zmarli jego rodzice. Nigdy ich tak na dobre nie oplakiwał, chyba nie wiedział jak. Gunilla

również tego nie wiedziała, ona jednak znalazła sobie coś, na czym mogła się oprzeć. Coś, co trzymało ją z dala od depresji i innych mroków. Nie wiedziała, co to jest, ale też nie potrzebowała tego wiedzieć. Była silna i chciała, żeby tak zostało.

Gunilla zawsze czuła się odpowiedzialna za brata - czuła, że powinna zapewnić mu to, czego sam sobie zapewnić nie był w stanie. Robiła więc to tak dobrze, jak potrafiła, przez całe ich życie.

Od śmierci Siv i Carla-Adama Strandbergów minęły wiele. Zginęli od kul, gdy obozowali nad jeziorem w Värmlandii. Morderca, Ivan Gamlin, był pijany. Pobił żonę i poszedł w las z dubeltówką. Z jakiegoś niepojętego powodu zastrzelił państwa Strandbergów przez namiotowe płótno. Próbował odebrać sobie życie, ale w wyniku strzału stracił tylko mowę i wcześniejszy wygląd. Zmarł w więzieniu na początku lat osiemdziesiątych, pobity na śmierć przez współwięźnia. Miał połamane ręce i nogi. Nikt nie widział tego, co zaszło. Personel również nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób mordercy udało się dostać do celi Ivara Gamlina w środku nocy.

Gunilla przyglądała się bratu siedzącemu w najciemniejszym kącie pokoju. Na zewnątrz świeciło słońce, on jednak znalazł mrok.

Poszła do kuchni i przygotowała lekki lunch, o którym wiedziała, że mu zasmakuje. Siedź z ziemniakami, chrupkie pieczywo, ciemne piwo i kieliszek wódki prosto z zamrażarki. Do tego kawa, kawałek ciasta i - w takie dni jak ten, kiedy był zdołowany - gazeta, by mógł udawać, że czyta, i nie musiał z nią rozmawiać. Smarowała pieczywo ostrożnie i cierpliwie, by nie popękało na mniejsze kawałki. Erik chciał, żeby masło pokrywało całą kanapkę, każdy jej róg i zakamarek. Postawiła talerz ze śledziem, kufel piwa, chleb oraz kieliszek lodowatej i gęstej wódki na tacy, wniosła ją do

dużego pokoju i postawiła na stole koło fotela Erika. Pogładziła brata po policzku. Ten coś wymruczał.

Zadzwoił telefon. Anders podał jej czytelne i zwięzłe informacje o spotkaniu między Zivkovicem, Rydbäckiem i Carlgrenem. Przedstawił swoją teorię dotyczącą szantażu i powiedział, że zadzwonił do Leffego Rydbäcka, dekonspiując Hectora i Arona oraz miejsce ich pobytu.

- Poczekajmy a zobaczymy, czy mam rację - powiedział i odłożył słuchawkę.

Podzieliła się nowiną z bratem. Nie odpowiedział, przeżuwał pieczywo. Gunilla stanęła przy oknie. Świat na zewnątrz był zielony.

- Musimy się przygotować - powiedziała.

Patrzyła na ogród.

- Wiesz, będę tęskniła za kwiatami. Piwoniami, różami... za całym ogrodem.

Chwycił prawą ręką zroszony kieliszek.

- Zwiąż pielęgniarce ręce - powiedział i opróżnił kieliszek jednym haustem.

- W jakim sensie?

- Dopilnuj po prostu, żeby nic nie strzeliło jej do głowy, trzeba ją odsunąć, dopóki wszystkiego nie skończymy i nie będziemy mogli wyruszyć...

Gunilla słuchała jego słów, a następnie, myśląc nad tym, co powiedział, wyszła z pokoju i poszła w stronę drzwi do ogrodu.

Słońce oślepiło ją, lądy wyszła na werandę.

*

Lars ogolił się, uczesał i odpowiednio ubrał. Ubranie odpowiednie na co dzień - czyste i wyprasowane.

Mikrofon, który zabrał z mieszkania Sophie, leżał w małej, zamkniętej foliowej torebce. Włożył ją ostrożnie do

kieszeni i poszedł do łazienki, gdzie podładował się mieszanką doskonałą, złożoną z mocnej dawki morfiny do tyłka, koktajlu benzodiazepinowego do brzucha i przepływającej przez włókna nerwowe pregabaliny. W lustrze łazienkowym był spokojny, przystojny i cool. Żółte, dojrzałe pryszcze były wyciśnięte i oczyszczone. Zbliżył się do swojego odbicia, płytka na przednich zębach wyglądała jak świeżo zrzucona skóra węża. Lars otworzył szafkę i wycisnął pastę na szczoteczkę. Kiedy szorował zęby koktajl zaczął działać na całego. Szczoteczka wydawała się zrobiona z waty, jej dotyk był przyjemny, wszystko było przyjemne. Męczące uczucia i problemy znajdowały się po drugiej stronie wszechświata. Wyplukał usta ciepłą wodą, wszystko było doskonałe. W szafce przed sobą miał pudełeczko chlorpromazyny. Wziął je do ręki, popatrzył i potrząsnął. Brzmiało jak markasy. Potrząsnął jeszcze trochę, może właśnie coś takiego słychać na Kubie? Odstawił je z powrotem.

Lars popłynął w dół schodami, pofrął samochodem na Brahegatan i ślizgając się po podłodze komisariatu, dotarł do biura na piętrze.

Skinął głową zebrany, próbował odczytać atmosferę w pokoju, zobaczył Hassego i Andersa czekających na swoich krzesłach. Kawalek dalej przy swoim biurku siedział Erik, wyglądał na zmęczonego, z zamkniętymi oczyma masował się kciukiem i palcem wskazującym u nasady nosa, być może po to, by złagodzić ból głowy. Hasse i Anders... Lars spojrzął na nich znowu, oni też wyglądali na zmęczonych, choć w inny sposób. Hasse wyglądał na wypompowanego, pustego w środku... Głowa wisiała mu bezwładnie. Anders siedział z założonymi rękoma i wyprostowanymi nogami, wpatrując się w pusty kawalek przestrzeni przed sobą.

Lars usiadł na krześle, siedzisko było miękkie. Eva Castroneves podeszła do niego z filiżanką kawy.

- Nie wiedziałam, czy chcesz z mlekiem.

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc, ona nie miała ochoty na nieporozumienia, więc po prostu wręczyła mu filiżankę.

- Trzymaj.

Przyjął ją bez podziękowania.

- Proszę - powiedziała cicho.

- Dziękuję - odparł szeptem.

Usiadła na krześle obok.

- Co tam u ciebie? - zapytała.

Spojrzał na nią. Czy coś się w niej zmieniło? Była weselsza? Dlaczego koło niego usiadła?

- Wszystko dobrze, tak myślę. Pomału, ale dobrze... Wydaje się, jakbyśmy ruszyli z miejsca.

Skinęła głową.

- Mnie też się tak wydaje.

Nie odrywał od niej wzroku. Odwróciła się.

- Zmieniłem zdanie, doleję trochę mleka - powiedział, po czym wstał i wyszedł do kuchni.

Lars otworzył lodówkę i jednocześnie wyjął z kieszeni małą plastikową torebkę. Ręką, która trzymał filiżankę, chwycił mikrofon i trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, dolał sobie mleka, po czym wrócił do biura. Omiótł je wzrokiem. Erik znalazł jakąś bulwarówkę, którą przeglądał resztką sił, Eva patrzyła przed siebie, zaś Anders i Hasse nie zmienili pozycji - ręce nadal mieli skrzyżowane, na ich twarzach malował się wyraz skupienia.

Lars podszedł do tablicy na kółkach i udawał, że czyta jakiś dokument, jednocześnie wsuwając cieniutki mikrofon pod jej miękki materiał. Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju, oglądać rzeczy, popijać kawę - jakby chciał rozprostować nogi przed rozpoczęciem spotkania.

Na ulicy Brahegatan, kilka budynków dalej, Lars zaparkował wypożyczony samochód. Renault. W bagażniku pod kocem leżał sprzęt do podsłuchu.

Otworzyły się drzwi i do środka nerwowym krokiem weszła Gunilla, przeprosiła za spóźnienie. Eva Castro-neves wstała, wzięła torebkę i podeszła do Gunilli. Lars obserwował je, kiedy szeptały do siebie przy drzwiach. Widział uśmiechy i słyszał nawet, jak się razem śmieją. Zdziwił się, kiedy Eva pochyliła się do przodu i cmoknęła Gunillę dwa razy w policzek. Następnie podeszła do Erika, uśmiechnęła się do niego i poklepała po policzku. Erik schrypniętym głosem powiedział: *Bon voyage*, po czym Eva wyszła z biura.

Gunilla przystąpiła do rzeczy.

- Podzielę was na dwie drużyny. Anders i Hasse to drużyna numer jeden, Lars i Erik - numer dwa.

Gunilla czytała z kartki.

- Erik i Lars wybiorą się do domu Carlosa Fuentes, możecie już iść. Anders - ty i Hasse zostańcie.

Erik, stęknąwszy, wstał i ruszył do drzwi, Lars poszedł za nim, nie do końca pewien, co się teraz dzieje.

Kiedy Lars i Erik wyszli, Gunilla odwróciła się do białej tablicy i zapisała: „Albert Brinkmann” i „Lars Vinge”.

- Dwie sprawy do przedyskutowania.

*

Zakończenie roku szkolnego. Słońce, brzozy, bezwietrzny dzień, gorący asfalt.

Okolo trzydziestu jego szkolnych kolegów i koleżanek spotkało się wczesnym rankiem w parku nad wodą. Pili musujące wino. Wszyscy się wstawili, ktoś się popłakał, ktoś zwymiotował.

Całą gromadą przeszli do szkoły, on szedł z Anną. Rozdzielili się przed wejściem do auli. Teraz chciał się odwrócić i odszukać ją w tłumie, ale dał spokój. Siedział w ławie i słuchał *Den blomstertid nu kommer* i kiepskiej gry na flecie

poprzecznym. Głos zabrał dyrektor. Powiedział, że mobbing, narkotyki i rasizm są złe, i na tym zakończył.

Albert i jego kolega Ludvig szli przez szkolny dziedziniec. Duży, ceglasty, dwuskrzydłowy budynek szkoły, który miał za sobą, był piękny, zwłaszcza dzisiaj, w pierwszym dniu wakacji. Zobaczył ją kawałek dalej w grupie dziewczyn, uśmiechnął się, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Kiedy razem z Ludvigiem odpinali rowery, zapiszczało mu w kieszeni. Przeczytał wiadomość. „Dziś wieczorem będziemy razem. xxx”.

Albert obejrzał się za siebie, Anny nie było. Schował telefon z powrotem do kieszeni, nie mógł przestać się uśmiechać. Kurde, ale to życie jest piękne.

Albert i Ludvig zjechali z góry, czując we włosach wiatr, dookoła nich panowało lato. Jechali ramię w ramię, mocno pedałowując. Ludvig skręcił szerokim łukiem i pojechał inną drogą niż Albert. Krzyknął coś, czego Albert nie zrozumiał, a potem, że Gustav zaprasza na jedzenie, ale nie na alkohol.

Albert pomachał i pojechał prosto. Z wysiłkiem wjechał pod górę, a następnie wybrał wąską drogę, by szybciej dotrzeć do domu. Usłyszał za sobą samochód, zjechał na prawo, by go przepuścić. Samochód jednak jechał wciąż za nim z tą samą niewielką szybkością. Albert spojrzął przez ramię. Volvo. Hasse za Iderownicą.

Przemknęło mu przez głowę całe mnóstwo myśli. Że przegapi najlepszy wieczór swojego życia, wspomnienie tego, co się stało, kiedy po raz ostatni spotkał siedzącego za kółkiem mężczyznę, myśl, że trzeba uciekać...

I właśnie to zrobił, zaczął uciekać. Skręcił na środku drogi i pedałowował z całych sił w dół wąskiego wzgórza. Rower przyspieszył, powietrze huczało mu w uszach, hukowi zaś towarzyszył dźwięk przyspieszającego gdzieś z tyłu samochodu.

Próbował opracować drogę ucieczki i doszedł do wniosku, że rower na niewiele się tu zda. W połowie drogi ze

wzgórza wykonał nagły skręt i wjechał do czyjegoś ogrodu. Dał się ponieść po trawniku najdalej, jak się dało, zeskoczył z jadącego roweru i zaczął biec, spojrzął szybko za siebie, zobaczył, jak samochód wjeżdża na wstecznym z powrotem na wzgórze. Albert wykorzystał okazję i pobiegł w dół, tak daleko od samochodu, jak tylko mógł. Samochód przestał się cofać i pełnym gazem ruszył w dół wzgórza.

Albert wypracował sobie przewagę. Biegł, po czym nagle skręcił w prawo. Starał się oszukać samochód. Auto najwyraźniej się zawahało. Słyszał, jak nagle hamuje. Otworzyły się drzwi, Albert spojrzął za siebie, z miejsca pasażera wyskoczył mężczyzna i zaczął za nim biec. Albert nie znał tego mężczyzny, ale musiał przyznać, że jest szybki. Ciało Alberta pracowało ze zdwojoną mocą, biegł ile sił w nogach. Znów rozległ się warkot silnika, równoległe do niego, nieco niżej. Samochód jechał z dużą prędkością.

- Stać! Policja! - krzyknął mężczyzna, który go doganiał.

Albert wziął rozbieg i przeskoczył przez płot do kolejnego ogrodu. Pokryty trawą teren opadał, Albert przyspieszył. Przebiegł obok dwójki dzieci na huśtawkach. Chłopca i dziewczynki, na oko pięcioletnich. Pomachali mu wesoło. Zawrócił w pół kroku. Pobiegł z powrotem, skręcił w prawo i ruszył inną drogą, przeciął następny ogród i wybiegł na kolejną drogę, skręcił w lewo i znalazł się na łące. Biegł dalej, choć płuca, nogi i serce krzyczały o tlen. Spojrzął za siebie, mężczyzny nie było. Dostrzegł parkowy zagajnik, skierował się w jego stronę. Stężenie kwasu mlekowego w mięśniach rosło. Albert chwycił się płotu i przeskoczył, wpadając w zarośla; leżał w bezruchu, starał się za głośno nie oddychać.

Pulsowanie krwi w uszach i przyspieszony oddech tłumiły wszelkie dźwięki. Albert zamknął oczy, skierował twarz ku ziemi. Oddychając spokojnie, próbował dojść do siebie. Przejechał jakiś samochód. Albert ostrożnie podniósł głowę.

Cherokee, za kierownicą blondwłosa mamuśka, wyglądała na zmęczoną, na tylnym siedzeniu płakało dziecko. Oddech Alberta się uspokoił. Nasłuchiwał kroków, kroków tego drugiego mężczyzny. W którymś momencie musiał go zgubić. Albert właśnie miał wstać, kiedy z lewej strony nadjechał kolejny samochód. Ostrożnie podniósł głowę. Volvo wyjechało na ulicę przed nim. Za kierownicą Hasse... następnie odgłos biegnących kroków.

- Jest tu gdzieś niedaleko! - krzyknął drugi mężczyzna.

Volvo ruszyło z kopyta i zniknęło. Albert trzymał głowę nisko. Co on sobie myślał? Ze im ucieknie?

Kroki na asfalcie były blisko. Niezdecydowane. Kroki, które się wahały, najpierw powolne, potem krótki bieg, przystanek, powrót, przystanek...

Albert nadstawił uszu, znów usłyszał kroki, choć bardzo ciche, jakby mężczyzna w swoich gliniarskich butach stąpał po asfalcie, tam i z powrotem.

- Albert?

Cichy i spokojny głos, tuż obok. Albert starał się nie odychać.

- Albert, jesteś gdzieś tutaj... Możesz już wyjść. Mamie coś się stało... Przyjechaliśmy po ciebie. Nie bój się. Po prostu wyjdź. Mama chce, żebyś przyszedł. Potrzebuje cię.

Albert dotykał twarzą ziemi. Kroki ucichły kawałek dalej. Samochód wrócił, stanął.

- Albert! - krzyknął mężczyzna.

- Chodź już, Anders... - to był głos Hassego.

- Na pewno nie przebiegł całej łąki, zanim tu przyleciałem, to niemożliwe, on gdzieś tu jest.

- Wskakuj! - Hasse był niecierpliwy.

Drzwi się zamknęły, samochód zniknął. Albert nie ruszał się z miejsca, oni mogli wrócić. Rozważał, czy leżeć dalej, czy też się podnieść i znaleźć sobie nową kryjówkę. Dokąd oni pojechali? Tylko kawałek dalej, żeby go złapać,

kiedy się znów pokaże? Czy też w ogóle odjechali, dali za wygraną?

Postanowił się nie ruszać. Minęły całe wieki. Samochodu nie było słycać. Podniósł głowę i spojrzął, pole widzenia miał ograniczone, ostrożnie wyłuskał z kieszeni komórkę, przytrzymał krzyżyk, żeby wyłączyć dźwięk. Drżącymi palcami napisał do Sophie SMS-a: „Policja mnie goni schowałem się jeden to ten sam co ostatnio”.

Wysłał wiadomość i poczuł, że zbiera mu się na płacz. Nie bał się podczas samej ucieczki ani wtedy, gdy leżał w kryjówce - kierowała nim jakaś siła przetrwania, instynkt samozachowawczy. Teraz jednak strach się pojawił, a wraz z nim uczucie samotności.

Kolejny samochód. Próbował wsłuchać się w dźwięk silnika, nie potrafił jednak rozstrzygnąć, czy to volvo. Samochód się zbliżał. Albert spojrzął na wyświetlacz: żadnej wiadomości.

Erik powiedział, że przed pójściem do Carlosa pojedą na kielbasę. Zjedli ją w budce na Valhallavägen koło Östra station. Erik i Lars razem. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło, a już na pewno nie mieli wtedy w rękach kielbas.

Erik zadawał masę pytań. Wszystkie one dotyczyły Larsa. Pytał, czy dobrze mu się z nimi pracuje, jak według niego posuwa się śledztwo. Zadawał również zawoalowane pytania mające na celu ustalić, jak dużo Lars wie o tym, czym się zajmują. Lars pojął, co Erik stara się zrobić. Nienawidził za to gnoja, nienawidził ich wszystkich za to, jak go traktowali. A ponieważ nie wiedział nic konkretnego, nie miał problemów z odpowiadaniem zgodnie z prawdą. Erikowi jednak to nie wystarczało. Chciał bardziej

precyzyjnych odpowiedzi. Takich, które pomogłyby mu osaczyć Larsa.

Kiedy Erik wszedł do samochodu, Lars wyrzucił połówkę kielbasy do kosza. Siadł za kierownicą i pojechał w lewo w Odengatan. Erik zamknął oczy i masował miejsce u nasady nosa. Westchnął z bólu i zmrużył oczy od słońca.

- A pielęgniarka, jak to z nią jest? Myślisz, że coś wie?

- Nie - odparł Lars.

- Dlaczego nie?

- Bo nic na to nie wskazuje. Słuchałem jej całą wieczność... Nie było nawet wzmianki.

- Wie, że ją podsłuchujemy?

Lars odwrócił się do Erika.

- Skąd miałyby to wiedzieć?

- Nie mam pojęcia, ale nic od niej nie mamy.

- Może ona nie ma nam co dać?

Erik wzruszył ramionami.

Zaparkowali przy zakazie postoju pod domem Carlosa na Karlbergsvägen.

Zanim Erik otworzył drzwi, odwrócił się do Larsa i przyglądał mu się przez chwilę. Obserwacja była nieco przydługa i przebiegła w ciszy.

- O co chodzi? - mruknął Lars.

Erik nie wydawał się speszony sytuacją. Przeciwnie, wyglądało na to, że sprawia mu ona przyjemność.

- Wiesz, że cholerny z ciebie pajac?

Lars nie odpowiedział. Lek na receptę jeszcze działał. Pod jego wpływem zawsze był odrobinę pewniejszy siebie. Był w stanie patrzeć Erikowi prosto w oczy. Ten jednak tylko prychnął.

- Bawimy się w wybałuszanie gał?

Lars odwrócił wzrok.

Erik odchrząknął. Zabrzmiało to nieprzyjemnie i przerozdziło się w kaszel. Próbował złapać powietrze.

- Gunilla mówiła, że chciałaś poszerzyć trochę horyzonty, porobić coś innego. Oto jedno z nowych zadań, jesteś na nie gotowy?

Lars pokiwał głową.

- Na pewno?

-Tak.

- To dobrze, a więc patrz i ucz się, i trzymaj gębę na kłódkę. To drugie jest najważniejsze.

Wysiadł z samochodu. Lars został w środku, wziął głęboki oddech, po czym ruszył za Erikiem.

Winda była zepsuta. Carlos mieszkał na czwartym piętrze. Zaczęli wchodzić po schodach.

Erik sapa! i stękał. Na trzecim piętrze przystanął, trzymał się mocno poręczy i ciężko oddychał. Zrobił się czerwony. Z irytacją machnął na Larsa, by ten szedł dalej.

Erik ze słuchawkami na uszach przesłuchiwał małą skrzynkę, którą Hasse i Anders' zostawili przy pierwszej wizycie.

- Nic nie ma? Tylko jakiś gówniany szum!

Podniósł wzrok na Carlosa.

- Dlaczego? - zapytał.

Carlos oblizwał wargi.

- Nie mam pojęcia. Miałem to na sobie, ale Hector ze mną nie rozmawiał.

Lars siedział na krześle i obserwował sytuację.

- On upadnie, a ty razem z nim. Daję ci teraz możliwość, Carlos. Możliwość wyjścia z tego całego burdelu jako wolny człowiek. Ale musisz nam pomóc. Rozumiesz? - powiedział Erik.

Ton jego głosu był protekcyjny, jakby mówił do dziecka. Lars popatrzył na siniaki na twarzy Carlosa.

- Sprali cię? - zapytał.

Carlos popatrzył na Larsa pytająco.

- Zamknij mordę, Lars - powiedział Erik.

Erik znów podniósł mikrofon.

- Noś go przy sobie cały czas. Wrócimy za dwa dni, do tego czasu to ma być wypełnione informacjami... Proszę bardzo.

Carlos spojrział na trzymany przez Erika mikrofon, a następnie w podłogę, jakby szukał innych możliwości.

- Weź go - powiedział Erik.

Carlos pokręcił przecząco głową, cierpliwość Erika się wyczerpywała.

- Weź go, człowieku! - Głos Erika się załamał.

Lars wstał.

- Skończyliśmy?

Erik odwrócił się do niego.

- Nie mówiłem, żebyś zamknął mordę?

Lars uśmiechnął się do Erika szyderczo.

- To ty zamknij mordę. Nic ci się nigdy nie udaje. Myślisz, że to jest dobry sposób?

Erik spojrział zdziwiony na Larsa. Ciśnienie mu wzrosło, gęba zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

- Ty pieprzony, mały lachociągu - powiedział cicho i zamierzał kontynuować, ale stracił równowagę. Wymamrotał coś, czego nie dało się zrozumieć. Głos miał głuchy i niewyraźny. Lars i Carlos spojrzeli na niego zdziwieni. Erik próbował coś powiedzieć, zmrużył oczy, jakby światło nagle zrobiło się zbyt ostre. Przejechał ręką po czole, zamrugał, zachwiał się i chwycił oparcia krzesła.

- Słabo widzę - powiedział.

-Co?

Prawe ramię Erika zaczęło drżeć, spojrział na nie ze zdziwieniem.

- Co, do cholery? - powiedział szeptem sam do siebie.

Przeniósł spojrzenie ze swojego trzęsącego się ramienia na Larsa, a następnie na Carlosa. Wydał z siebie jakiś gardłowy, niezrozumiały dźwięk, po czym zwymiotował. Ugięła

się pod nim jedna noga. Przewrócił się na lewy bok, ciągnąc za sobą krzesło, i uderzył mocno o podłogę. Leżał tak we własnych wymiocinach i mrugał.

Carlos wytrzeszczył oczy Lars, gapiąc się, pochylił się ostrożnie do przodu.

- Jak się czujesz?

Brak odpowiedzi.

- Musimy zadzwonić po karetkę - powiedział Carlos.

Lars wyciągnął rękę.

- Erik? - wyszeptał.

Erik leżał na podłodze, próbując zaczerpnąć powietrza. Carlos złapał za telefon, który wisiał na ścianie w kuchni, i zamierzał zadzwonić na 112. Lars wyciągnął pistolet i powolnym ruchem wymierzył w Carlosa.

- No już, odłóż słuchawkę.

Carlos zajął się słuchawką, cofnął się o krok.

- Nie może mi tu umrzeć na podłodze! - zawołał Carlos.

- A pewnie, że może.

Lars ukucnął z pistoletem opuszczonym między kolana i przyglądał się Erikowi zafascynowany. Pomachał mu ręką przed oczami.

- Erik?

Erik wykonał drobny ruch gałkami ocznymi i spojrzał na Larsa. Lars dostrzegł w jego wzroku prośbę. Zaczęły go boleć mięśnie ud, wstał i odwrócił się do Carlosa.

- Policjanci, którzy tu wcześniej byli...

Carlos spojrzał na Larsa pytająco.

- Wcześniej byli tu inni policjanci, dali ci mikrofon. Opowiadaj!

- Parę dni temu przyszło do mnie wieczorem dwóch mężczyzn, jeden duży, a drugi... zwykły. Zadawali pytania... Grozili mi.

- Dlaczego?

Carlos spojrział na trzymany przez Larsa pistolet.

- Nie wiem... Zabierz ten pistolet.

Lars przyjrzał się broni, nie wypuszczając jej z ręki.

- Przecież nawet w ciebie nie celuję?

Carlos zasłonił oczy lewą dłonią.

- O co pytali?

- O Hectora...

- Co chcieli o nim wiedzieć?

Carlos cofnął dłoń, popatrzył na Larsa.

- Czy tamtego wieczoru spotkał się ze mną w restauracji.

- Którego wieczoru?

Carlos wskazał swoją obitą twarz.

- A spotkaliście się?

Carlos pokręcił przecząco głową.

- W jaki sposób ci grozili?

- Nie wiem.

- Jak możesz tego nie wiedzieć?

- Bili mnie.

- I co jeszcze?

Carlos wyglądał na skołowanego. Lars doprecyzował:

- Wspominali jeszcze o kimś innym?

- O kim?

- O kobiecie.

- Jakiej kobiecie?

- O Sophie?

Carlos się zastanowił, skinął głową.

- Tak, pytali, czy ją tego wieczoru widziałem.

- A widziałeś?

Carlos pokręcił głową.

- Co im odpowiedziałeś?

Spojrział na Larsa, jakby ten był głupi.

- Że jej nie widziałem!

- Co się działo w tej restauracji?

Carlos odwrócił wzrok.

- Nie wiem.

Powiedział to zdanie, jakby był zmęczony ciągłym powtarzaniem.

- Chcę, żebyś mnie zawiadomił, jeżeli znów się z tobą skontaktują.

- Po co?

Lars niedbałym ruchem wskazał go pistoletem.

- Bo ja tak mówię.

Carlos pomyślał.

- Co z tego będę miał?

Lars przyjrzał się jego obrażeniom.

- Nic. Obstawiałbym, że unikniesz kolejnego manta.

Carlos pokręcił głową.

- A co chciałbyś za to mieć?

- Ochroń, na wypadek gdybym znalazł się w opałach.

- Okej, zgoda, ale nikt nie może się dowiedzieć, że między upadkiem tego faceta a naszym telefonem na pogotowie upłynął jakiś czas.

Lars pomachał pistoletem, dając Carlosowi znak, by wyszedł z kuchni.

Wysunął krzesło, usiadł i przyglądał się napiętemu ciału Erika Strandberga. Stary pierdziel dusił się powoli. Lars odszukał wzrokiem jego spojrzenie, by się upewnić, że to on, Lars Vinge, jest ostatnim, co Erik Strandberg zobaczy w życiu. Erik zmarł po długiej i męczącej walce, Lars nie uрониł ani sekundy z tego przedstawienia. Zwłoki miały osobliwy wygląd, twarz dziwnie wisiała. Erik leżał martwy we własnych rzygowinach. Lars czuł satysfakcję.

*

Albert leżał przyciśnięty do ziemi, czuł zapach gleby i trawy.

Dostał wiadomość od Sophie: „Zostań tam, gdzie jesteś. Nie wychodź z ukrycia”.

Usłyszał kroki na ścieżce, zobaczył drugiego faceta, tego o imieniu Anders. Gdzie był Hasse, nie wiedział.

Zdecydował się znowu uciekać, wiedział, że ma przewagę.

Coś zaszeleściło kilka metrów od niego. Czuł ostre pulsowanie w uszach. Mężczyzna, którykolwiek to był, stał niedaleko. Albert nie miał wyboru. Podniósł się szybko, rozpedził i zaczął biec. Nie ubiegł więcej niż dziesięć metrów, kiedy nadział się na wyciągniętą rękę, dostał cios w krtań i padł na ziemię. Czyjeś silne ręce wciskały go w podłoże, gniotące klatkę piersiową kolana nie pozwalały zaczerpnąć tchu. Albert zobaczył wykrzywioną facjatę Hassego, widział, jak otyły mężczyzna cedzi obraźliwe słowa, aż z ust leci mu ślina. Trzymając Alberta mocno za gardło, Hasse wymierzał mu ciosy w twarz. Bił go z całej siły po oczach, nosie i ustach. W końcu przestał, ale nie zwolnił uścisku. Powietrze szybko uciekało. Albert czuł, że tlen w mózgu się kończy, że uchodzi z niego życie. W myślach krzyczał o więcej... trudno mu było utrzymać oczy otwarte.

Dokładnie w chwili kiedy zaczął tracić przytomność, Hasse zwolnił uścisk. Albert położył się na boku, wstrząsały nim torsje, próbował odzyskać oddech.

Hasse podniósł go z ziemi i trzymał mocno za ramię.

- Mam go! - krzyknął.

W tej samej chwili Albertowi udało się wyrwać. Znow puścił się biegiem. Nogi niosły go naprzód, chociaż ich nie czuł. W ustach miał posmak krwi i wszystko go bolało. Wybiegł na drogę, słyszał, jak za jego plecami przyspiesza samochód. Udało mu się wbiec do ogrodu. Kroki miał powolne i ciężkie, równowagę słabą. Wciąż kątem oka widział wielkiego Hassego, biegnącego równoległe z nim. Kiedy dostrzegł, że udaje mu się biec równie szybko, przeskoczył przez płot. Chciał się dostać na drogę, miał nadzieję, że może kogoś spotka, może zatrzyma samochód... i ktoś mu pomoże.

Znalazł się na asfalcie, próbował przyspieszyć. Volvo wyjechało z lewej strony z dużą prędkością, nie próbując nawet hamować. Zderzenie było silne. Samochód uderzył go na wysokości kolan, Albert poleciał do góry, zrobił pół obrotu nad dachem samochodu i po długim, cichym locie upadł plecami na jezdnię, uderzając głową w asfalt z taką siłą, że pękła jedna z kości tylnej części czaszki. Stracił przytomność.

*

Zadzwoiła Sophie, była roztrzęsiona i mówiła nieskładnie. Minęło trochę czasu, zanim zrozumiał, co mówi. Pobiegł do samochodu.

Jej syn leżał w zaroślach w jakimś ogrodzie, a dookoła krążyli dwaj gliniarze. Mówiła mu, że nie wolno im go znaleźć, powtórzyła to kilka razy. Jens próbował ją uspokoić.

Był niedaleko, kiedy wyprzedziła go jadąca z dużą prędkością karetka. Pojechał za nią. Zatrzymała się jakąś przecznicę dalej przy zakrwawionym chłopcu, leżącym samotnie na środku jezdni.

*

Sophie odgryzła kawałek paznokcia małego palca. Żaden jej paznokieć nie był taki jak kiedyś. Teraz wszystkie były krótkie i nierówne.

Była w pracy, stała w pustej sali. Po otrzymaniu SMS-a od Alberta chodziła tam i z powrotem. Teraz czekała.

Przez głowę przemknął jej obraz, Albert w ogrodzie bawiący się z Rainerem. Zniknął równie szybko, jak się pojawił. Nie rozumiała, dlaczego akurat przyszedł jej do głowy pies. Rainer był żółtym labradorem i Albert bardzo go kochał. Kupili go, gdy Albert miał dwa lata, może jako substytut

rodzeństwa. Albert gonił psa po trawie każdego dnia, odkąd skończył sześć lat, czy to latem, czy zimą. W wieku dziewięciu lat nauczył się już ruchów psa i jego sposobu myślenia. Łapał go za każdym razem. Stała w oknie i patrzyła. Albert był skoncentrowany, Rainer szczęśliwy.

Kiedy Rainer zdechł, Albert miał dwanaście lat. Wypłakiwał sobie oczy.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Tak?

Słyszała słowa Jensa, słyszała, jak mówi do niej tonem wyjaśnienia. Nogi ugięły się pod nią z rozpaczy i ze strachu. Udało jej się chwycić parapetu, trzymała go tak, jakby była to jedyna lina ratująca ją przed upadkiem w najczarniejszą z czarnych dziur. Następnie wszystko pociemniało. Kolejną rzeczą, jaką pamiętała, był jej bieg przez korytarz. Nie pojechała windą, wybrała schody, przebiegła z jednego skrzydła budynku do drugiego, minęła korytarz przy wejściu i dotarła na oddział intensywnej terapii.

Gdy tylko się tam znalazła, podjechała karetka. Sophie wybiegła naprzód i odepchnęła pielęgniarki, które otwierały tylne drzwi.

Albert leżał na noszach, na jego twarzy widać było krew. Głowę trzymała szeroka taśma, na szyi miał plastikowy kołnierz. Galowę ubranie było zniszczone i zakrwawione. Sophie już wchodziła do karetki, kiedy jedna z pielęgniarek chwyciła ją za fartuch i odciągnęła.

*

Zapach spalin na parkingu czuło się jeszcze wyraźniej, teraz kiedy na dworze było ciepło. Okno samochodu było otwarte.

Gunilla czekała w swoim peugeocie na parkingu na placu Hótorget. W lusterku obserwowała, jak honda Andersa

podjeżdża i zatrzymuje się za nią. Anders otworzył drzwi od strony pasażera i klapnął ciężko na siedzenie obok niej.

- Spieprzyło się - powiedział cicho.
- Czy on przeżyje?

Anders podrapał się po szyi.

- Nie wiem. Uderzenie było mocne, wylądował na plecach.

- Ktoś was widział?
 - Nie.
 - Jesteś pewien?
- Tak.

Gunilla siedziała w całkowitym bezruchu.

- A samochód? - zapytała.

- Wyczyściliśmy go, dopilnowaliśmy, by wyszło na to, że zderzył się z innym samochodem. Stoi zaparkowany i bezpieczny.

Gunilla oparła głowę na dłoni. Cisza sprawiła, że Anders zaczął się niecierpliwić.

- Zabrałem chłopakowi telefon. Esemesował do Sophie.

Ona wie, że to my.

Gunilla się nie odzywała.

- Co teraz zrobimy? - zapytał.

Westchnęła.

- Nie wiem... Po prostu nie wiem.

Spojrzał na nią, nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie.

- Wiesz, co musimy zrobić - powiedział.

Podniosła na niego wzrok, po czym znowu ukryła twarz w dłoniach.

- Gunilla?

Nie odpowiadała.

- Wiesz, co musimy zrobić?

- Dać chłopakowi spokój - odparła.

Anders właśnie wysiadał z samochodu.

- Dlaczego?

- Bo ja tak mówię.

Zastanowił się chwilę.

- Dobra, na jakiś czas. Ale jak się obudzi, jego także trzeba usunąć, chyba rozumiesz?

Gunilla wpatrywała się przed siebie.

Anders wyskoczył z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Słyszała, że opony ślizgają się trochę na wypolerowanym betonie, kiedy samochód wyjeżdżał z parkingu. Po chwili dźwięk zamarł i zrobiło się cicho. Usiłowała myśleć, znaleźć jakiś szlak, jakiś kierunek. Rozmyślenia przerwał jej telefon, którego sygnał dobiegał ze schowka pomiędzy siedzeniami. Gunilla odebrała. Dzwonił Lars Vinge, powiedział, że Erik przed chwilą umarł. Zrozumiała, co powiedział, ale mimo to zapytała.

- Jaki Erik?

21

Sophie siedziała u boku Alberta i trzymała go za rękę. Był unieruchomiony jeszcze bardziej niż w karetce: rzemienie, kołnierz na szyi, pasy i surrealistyczna metalowa korona na głowie nie pozwalały na najmniejszy ruch. Obie nogi były zagipsowane od ud aż po kostki.

Weszła lekarka, miała na imię Elisabeth, Sophie знаła ją z widzenia. Elisabeth była rzeczowa.

- Wydaje nam się, że Albert ma uszkodzony dwunasty kręgosłupa, kręgosłupa. Kręgosłupa został wciśnięty w rdzeń kręgowy, ale nie wiemy, jak to tam jest.

Albert wyglądał, jakby spał.

- Ma strzaskaną czaszkę, ale nie wiemy, w którym miejscu. Boimy się go teraz ruszać, więc niewiele możemy

powiedzieć. Tylko tyle, że jest ucisk na mózg. Chcemy usunąć ten ucisk. Kiedy tylko to zrobimy, przewieziemy go do Karolińska.

Przez wszystkie lata pracy jako pielęgniarka uspokajała krewnych pacjentów słowami, że obrażenia wyglądają na gorsze, niż są w rzeczywistości. I zazwyczaj mówiła prawdę, bo najczęściej tak było. Teraz jednak było odwrotnie. Obrażenia Alberta były gorsze, niż na to wyglądało. O wiele gorsze.

Dobry Boże, pomóż nam...

Jane weszła do sali i popatrzyła na Alberta przestraszonego wzrokiem, po czym przytuliła Sophie.

Jens dzwonił na bezpieczny telefon kilka razy. W końcu odebrała, miała zdenerwowany głos.

- Musisz stamtąd uciekać... - powiedział.

- Nie mogę go zostawić - odparła.

- Oczywiście, że możesz. Rozmawiałem z sanitariuszami, Albert nie miał przy sobie telefonu. Policja mogła go zabrać, przeczytać waszą rozmowę... Wiedzą, że ty wiesz. Dopadną cię i zrobią ci krzywdę.

- Nie, nie zostawię go...

- Dzwoniłem po pomoc. Dwóch moich przyjaciół będzie siedziało na zmianę przy Albercie. Będą go pilnowali i bronili.

Sophie miała tysiąc pytań.

- Jedź, Sophie!

Ostatnie słowa niemal przeliterował.

Kiedy Sophie odkładała słuchawkę, za jej plecami stała Jane.

- Co się dzieje?

Sophie nie odpowiedziała.

- Jeszcze coś oprócz jego wypadku, prawda?

Sophie zastanawiała się, czy jej powiedzieć. Zawsze tak postępowała z Jane. A Jane postępowała tak samo z nią.

Prawdomówność, szczerłość... spoiwo, które trzymało je razem. Patrzyła siostrze w oczy, próbowała zwalczyć chęć opowiedzenia wszystkiego.

- Nie teraz, Jane... Muszę stąd jechać, nie pytaj, dlaczego. Pilnuj cały czas Alberta. Przyjdzie tu dwóch mężczyzn. Pozwól im zostać.

Odwróciła się i poszła, nie była nawet w stanie pożegnać się z Albertem. Po prostu poszła. Jane odprowadzała ją wzrokiem.

Sophie była w sypialni, pakowała walizkę. Spieszyła się, próbowała sobie przypomnieć, czego potrzebuje; telefon z bezpośrednim połączeniem do Jensa był najważniejszy, oprócz tego zwykły telefon i ładowarka. Wrzuciła to wszystko do torebki i pobiegła do łazienki, zaczęła napełniać kosmetyczkę. Z pokoju na dole dobiegł jakiś dźwięk. Sophie zamarła, nadstawiła uszu. Cisza. Pakowała się dalej, schowała pastę do zębów, szczoteczkę, kremy... wszystko, co miała w pobliżu. Znowu dźwięk - trzask i zamykające się drzwi. Wstrzymała oddech, nasłuchiwała. Żadnych dźwięków. Złudzenie? Nie...

Podkraśla się do okna w łazience, wyjrzała. Na ulicy pod jej płotem stała honda. Odeszła od okna i wymknęła się z łazienki. Teraz słyszała na dole skrzypienie parkietu. Przebiegł ją zimny dreszcz, nie ruszała się.

- Sprawdź na górze.

Był to niski, męski głos, poprzedzający zbliżające się do schodów kroki. Sophie wciąż stała w tym samym miejscu, bez możliwości ucieczki. Co ma zrobić, schować się? Walczyć? Jak? Przeciwno niej było co najmniej dwóch mężczyzn.

Kroki rozległy się na schodach. Szukała czegoś ciężkiego, nie jednak nie znalazła. Kroki były coraz głośniejsze. Przyszedł jej do głowy pomysł - drabina przeciwpożarowa za oknem Alberta. Sophie weszła do pokoju Alberta, człowiek

na schodach był coraz bliżej. Zdażyła w ostatniej chwili i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Przewiesiła sobie torebkę przez ramię, otworzyła okno, stanęła na rozchybotanym biurku syna i już miała się wychylić, kiedy za jej plecami otworzyły się drzwi. Czyjaś silna ręka chwyciła ją za kołnierz i szarpnęła do tyłu. Sophie upadła, uderzając mocno plecami o podłogę. Hasse Berglund przydusił kolanem jej klatkę piersiową i zacisnął dłoń na gardle. Kiedy nad nią wisiał, wydłużyły mu się policzki. Wyglądał jak pies. Spojrzała w jego wodniste, wytrzeszczone oczy, dostrzegła, że sprawia mu to przyjemność.

- Anders! - krzyknął.

Sophie przeciągnęła ręką po wykładzinie pod łóżkiem Alberta, próbując wymacać coś palcami. Złapała stary teleskop za dolną część, chwyciła go niczym kij baseballowy.

- Anders! - krzyknął mężczyzna, odwracając na chwilę twarz.

Sophie uderzyła z całych sił. Rura teleskopu trafiła Hassego Berglunda w bok głowy. Uderzenie było tak silne, że napastnik puścił jej gardło i przewrócił się na bok, chwilowo zamroczony i osłabiony. Sophie się wyswobodziła, kopnęła potężnego mężczyznę, by uwolnić prawą nogę spod jego ciężkiego ciała. Na schodach rozległy się szybkie kroki. Sophie wstała z wysiłkiem, słysząc za plecami mamrotanie Hassego. Kątem oka dostrzegła, że odzyskał siły i właśnie odwraca się w jej stronę, wyciąga rękę, by ją złapać. Wskoczyła na biurko i rzuciła się przez okno. Prawą ręką udało jej się chwycić zardzewiałej drabinki, zsunęła się kawałek, raniąc sobie dłoń. Puściła drabinę, poleciała do tyłu i po chwili uderzyła plecami o trawnik. Uszło z niej całe powietrze, przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Choć wszystko krzyczało w niej, żeby nie wstawać i uspokoić oddech, zmusiła się, by stanąć na nogi. Biegiem pokuśtykała do samochodu, stojącego na żwirowej ścieżce pod domem, po drodze udało jej się wyciągnąć

z kieszeni kluczyki. Wszędzie czuła ból. Otworzyła drzwi pilotem. Zdążyła jeszcze usiąść za kierownicą i zamknąć się w środku, kiedy mężczyźni wyskoczyli kuchennymi drzwiami. Grubasowi płynęła z ucha krew. Drugi, mimo wieku, przypominał chłopca, miał ciemne i okrągłe sarnie oczy - był dokładnie taki, jak opisała go Dorota.

Przekreśliła kluczyk. Samochód ruszył. Chłopczkowaty wyciągnął pistolet i w nią wycelował. Grubas krzyczał, żeby wyłączyła silnik i wyszła z pojazdu.

Sophie wrzuciła wsteczny, wcisnęła gaz do dechy. Spod kół posypał się żwir, samochód przejechał przez bramę, Sophie skreśliła kierownicę i wyskoczyła na drogę. Jechała dalej na wstecznym, z dużą prędkością, wprost na zaparkowaną hondę. Wsteczny bieg był tylko jeden, toteż na wysokich obrotach samochód wydawał z siebie ryk. Przygotowała się na zderzenie. Land cruiser z hukiem wjechał w maskę hondy, kolizja była silna i brutalna, rzuciło ją do przodu, uderzyła o kierownicę, na moment zabrakło jej powietrza. Zmieniła bieg i ruszyła do przodu. Rzut oka we wsteczne lusterko - maska hondy była zdemolowana.

Mężczyźni ustawili się na środku drogi. Wyciągnęli pistolety i wycelowali w Sophie. Wcisnęła gaz do dechy, automatyczna skrzynia zmieniła bieg na wyższy. Sophie schowała się pod deską rozdzielczą i pojechała prosto na nich. Anders i Hasse rzucili się na bold.

W Mörby centrum wjechała na parking, zatrzymała się na górnym poziomie, zamknęła samochód i szybkim krokiem poszła do centrum handlowego. Tam przystanąła, pełna wątpliwości. Czy powinna zejść do metra czy też pójść do autobusu? Myślała szybko. Mörby to końcowa stacja metra i jest tam tylko jedno wejście. Gdyby pociąg nie przyjechał, a mężczyźni deptali jej po piętach, nie będzie miała możliwości ucieczki.

Kupiła bilet w automacie, pobiegła na przystanek, schowała się w tłumie oczekujących i cały czas patrzyła w stronę, z której nadjeżdżały autobusy, rzuciła jeszcze okiem na drzwi, wyobrażając sobie, że zaraz wybiegną stamtąd policjanci. Serce biło jej tak szybko, że czuła, jakby miało wyłobić jej dziurę w piersi.

Po jakimś czasie, w końcu... Duży, czerwony przegubowy autobus zjechał ze skrzyżowania w kształcie litery T i z sykiem zatrzymał się przy czekających pasażerach. Numer autobusu nic jej nie mówił, ale nie miało to znaczenia. Wsiadła do środka wraz z pozostałymi i okazała bilet mężczyźnie za kierownicą, ten zaś dał jej znak, by przeszła dalej. Sophie poszła do tyłu, usiadła na pustym dwuosobowym siedzeniu, pochyliła się i modliła do Boga, by autobus jak najszybciej ruszył. Nie ruszał jednak, stał z otwartymi drzwiami i czekał na rozkładowy czas odjazdu.

Jej oddech stał się cięższy, płytszy. Zbliżał się atak paniki, musiała użyć całej swojej siły, by zostać w autobusie, nie uciekać, choć każdy jej skrawek krzyczał, by tak zrobiła.

Wreszcie drzwi się zamknęły i autobus wyjechał z Mörbym centrum. Mogła odetchnąć. Autobus zawiózł ją z Danderyd do Sollentuny. Wsiadła na Sjöberg, gdzie pochodziła chwilę pomiędzy jednakowymi domami, a następnie zadzwoniła po taksówkę. Ta przyjechała kwadrans później, Sophie powiedziała kierowcy, by zawiózł ją do miasta, na plac Sergela.

Zapłaciła gotówką, wyskoczyła na Klarabergsgatan i zeszła na dolną część placu. Wmieszawszy się w tłum, weszła pod ziemię i pojechała metrem na Slussen. Następnie zmieniła peron i wróciła na Gamla stan, skąd piechotą doszła do Östermalm.

Wyszedł na ulicę, czekał przed drzwiami. Sophie nie płakała, pozwoliła się tylko uścisnąć i oparła głowę na jego ramieniu.

Wjechali windą na najwyższe piętro. Spojrzał na nią w lustrze, nie wiedział, jak ją pocieszyć, gdyby w ogóle zdecydował się spróbować. Nie wiedział, jak się robi takie rzeczy, nikt go tego nie nauczył, a poza tym właśnie takich sytuacji unikał przez całe życie. Teraz chciałby to umieć, chciałby wiedzieć, co zrobić, by jej pomóc. Ale było za późno, próbując, tylko by coś sknocił.

Poprosiła o środek odkażający. Dał jej to, co miał. Założyła opatrunek na krwawiącą rękę i poszła do innego pokoju. Słyszał, jak rozmawia z siostrą przez telefon.

Jens przygotował dla niej posiłek. Była cicha i zamknięta w sobie, nie próbował tego zmienić.

*

W sali czuć było zapach formaliny. Gunilla patrzyła na zmarłego brata. Erik Strandberg leżał w kostnicy na błyszczących metalowych noszach, wyglądał, jakby spał. Chciała go obudzić, powiedzieć, że muszą już jechać do pracy, że to będzie zwykły dzień, że później zjedzą gdzieś kolację, obgadają sprawę, porozmawiają o wszystkim, o czym zawsze rozmawiali.

Co należy zrobić, widząc swojego brata po raz ostatni? Przywołać jakieś wspomnienie? Spróbować wygrzebać coś z niepamięci?

Po wyjściu ze szpitala wsiadła do samochodu i patrzyła przez przednią szybę, nie myśląc o tym, co widzi. I zaczęła krzyczeć. Krzyczała z całej siły, aż zabrakło jej powietrza. Po krzyku pojawiły się łzy, a zaraz po nich rozpacz, która zerwała się jak podmuch silnego wiatru. Dusila się z bólu, czuła się osamotniona, ogromna samotność nie chciała wypuścić jej z uścisku. Towarzyszyło jej bezkształtne poczucie bezradności. Zaś z tego poczucia powoli rodził się obraz,

obraz, który uświadamia! jej, że owa całkowita samotność doprowadziła ją do punktu, w którym nie miała już nic do stracenia.

Potem wszystko wróciło do normy. Otworzyła okno, by wpuścić świeże powietrze, zaczerpnęła kilka ostrożnych oddechów i otarła łzy oraz makijaż, który spłynął jej po twarzy. Umalowała się raz jeszcze, patrząc w lusterko w osłonie przeciwsłonecznej, poprawiła się na fotelu, wzięła głęboki wdech, uruchomiła silnik i odjechała.

*

W nocy przyszła do niego. Wślizgnęła się na kanapę, którą pościelił tylko dla siebie, prosto w jego ramiona. Leżała tak przez chwilę, pozwalając się obejmować. Później wstała i wróciła do swojego łóżka. Jens patrzył za nią, próbował znowu zasnąć, ale się nie dało. Wyszedł z łóżka i zadzwonił do Jonasa, który pilnował Alberta w szpitalu. Jonas powiedział, że wszystko jest okej.

W kuchni zapalił papierosa i wydmuchiwał dym przez okno. Na blacie zawibrował jego telefon, wyświetlacz pokazał moskiewski numer.

-Tak?

- Twoi przyjaciele pojechali do Szwecji.

Głos Risto był równie stłumiony jak zawsze.

- Do Sztokholmu?

- Tak, są w drodze...

- Kiedy wyjechali?

- Nie wiem. Obstawiam, że dzisiaj.

- Dobra, niech przyjeżdżają. Nigdy mnie nie znajdą.

- Wiedzą, jak się nazywasz.

- Wiedzą, że nazywam się Jens, nic więcej.

- Pojechałeś do Pragi, używając prawdziwego nazwiska...

Przy pierwszym spotkaniu z nimi...

Jens sobie przypomniał. Czasem postępował w ten sposób, kiedy nic nie było do stracenia.

- Wygrzebali je w hotelu.

- Okej... Dzięki, Risto.

Jens odłożył słuchawkę, pograżył się w myślach.

- Kurwa... - zaklął cicho.

- Co się dzieje?

Odrzucił się. Sophie patrzyła na niego. Spróbował uśmiechnąć się uspokajająco.

*

Było dwadzieścia po trzeciej w nocy, kiedy Lars włożył kluczyk do stacyjki wypożyczonego samochodu, który stał na Brahegatan.

Jechał przez z pozoru wymarłe miasto, mijając pojedynczych przechodniów, w większości pijanych. Sam był pijany, ale zanedbano się nad tym nie rozwodził. Nawalony, naćpany - otepiał - to stało się jego zwyczajnym stanem.

Zaparkował samochód trzy przecznice od swojego mieszkania, wyjął z bagażnika sprzęt do podsłuchu, wziął go pod pachę i potruchtał w stronę domu.

Już u siebie wrzucił pliki na komputer, założył słuchawki i przesłuchiwał fragment spotkania na Brahegatan, w którym sam uczestniczył - słuchał, jak Gunilla prosi jego i Erika, by odwiedzili Carlosa. Dźwięk był kiepski i słabo docierał. Kroki na podłodze, odgłos zamykanych drzwi. Kroki jego i Erika. Lars słuchał w skupieniu, słyszał niedający się pomylić z niczym innym piszczący dźwięk markera na tablicy.

- Dwie sprawy do przedyskutowania - głos Gunilli.

Cisza, potem znowu głos Gunilli.

- Zanim porozmawiamy o chłopaku, chciałabym, byśmy wrócili do tej nocy. Lars wie więcej, niż przypuszczaliśmy. Erik próbuje go teraz wypytać.

- Patricia Nordström, czy on o niej wie?

To był głos Andersa. Lars zapisał na kartce: „Patricia Nordström”.

- Nie wiem, nie sądzę.

- Ale ona wiedziała?

- Tak - odparła krótko Gunilla.

„Ona”? - Lars próbował poukładać sobie wszystko w głowie.

- Znaleźli ją? - zapytał Hasse.

- Tak, znalazła ją koleżanka - odparła Gunilla.

- Przyczyna śmierci?

- Nagłe zatrzymanie krążenia, tak jak chcieliśmy.

Lars nic nie rozumiał.

- Żadnych znaków zapytania? - spytał Anders.

- Nie. Żadnych... jak na razie.

Kasznięcie Hassego. Gunilla mówiła dalej.

- Ważne, żeby się o tym nie dowiedział. Najchętniej bym go odsunęła, ale jeśli teraz siedzi gdzieś i nad czymś pracuje, to wolę mieć na niego oko i pozwolić mu żyć w nieświadomości.

Kilka sekund ciszy, stukanie markera o tablicę. Lars przycisnął słuchawki do uszu, skoncentrował się.

- Musimy znaleźć chłopaka, zgarnąć go - powiedziała Gunilla.

Lars próbował zrozumieć - chłopaka?

- Dlaczego? - zapytał Anders.

- Żeby mieć Sophie w garści. Mam przeczucie, że wkrótce może zrobić coś drastycznego. W tej sytuacji nie możemy na to pozwolić.

Głos Gunilli brzmiał głucho.

Lars myślał... Chłopak?... Albert! Czego oni od niego chcą?

- Dziś jest chyba zakończenie roku szkolnego - powiedział Hasse.

Anders coś wymamrotał, a Gunilla odpowiedziała cicho; Lars tego nie usłyszał. Potem rozległ się dźwięk przesuwanych krzeseł, Hasse i Anders wstali.

Wyłączył sprzęt, próbował myśleć o tym, co usłyszał, o Albercie. Kiedy on i Erik pojechali do Carlosa, Anders i Hasse ruszyli szukać Alberta. Udało im się go znaleźć? Po co to robili? Czego chcieli od chłopaka? Myśli kłębiły się w głowie Larsa. Czy w czasie kiedy podsłuchiwał Sophie, pojawiło się coś szczególnego na temat Alberta? Zamknął oczy, gorączkowo szukał w pamięci. Zamigotało mu słabe i niewyraźne wspomnienie, spróbował je uchwycić. Nie udało mu się, wspomnienie przepadło, ale niecałkowicie... coś zostało... coś niewielkiego i delikatnego. Zmrużywszy oczy, ostrożnie, tak żeby tego nie przepłoszyć, podszedł do komputera i w oknie wyszukiwania wpisał słowa: Albert, Sophie, kuchnia. Wskoczyło mnóstwo plików. Lars spojrzał na daty, zaczął odtwarzać nagrania, poczynając od góry. Rozmowy przy śniadaniu, przy obiedzie, kiedy Albert siedział i się uczył. Wieczorne rozmowy, nagrania z telefonu: Sophie, Albert. Często dźwięki otoczenia uruchamiały nagrywanie, po czym milkły. Lars przesłuchiwał pliki, przewijał, szukał. Kurwa, coś przecież pamiętał, nie wiedział tylko co... Jego podświadomość coś zarejestrowała. Im dłużej słuchał nagrań, tym bardziej ulotne stawało się wspomnienie.

Dwie i pół godziny później miał sprawdzoną dopiero połowę plików. Otworzył kolejny, posłuchał, przewinął moment ciszy. Ktoś otworzył i zamknął lodówkę, Sophie wypowiedziała imię syna. Cisza... Potem niepozostawiający wątpliwości odgłos wymierzanego policzka.

Lars delikatnie przycisnął słuchawki, jakość dźwięku się poprawiła, słyszał dokładnie. Kroki na podłodze, ktoś wstał z krzesła.

- Kochanie, co ty zrobiłeś?

Lars nadstawił ucha.

- Ja nic nie zrobiłem.

Głos Alberta był przytłumiony, jakby chłopak chował się w ramionach mamy.

- Już po wszystkim, pomylili się... Pomylili.

Lars nie pamiętał tych słów, pamiętał, że je słyszał, ale wtedy brzmiały inaczej.

- Przecież oni mieli świadków! Gwałt? Co to za...

Lars usłyszał, jak Sophie ucisza syna.

- Psst, zapomnij już o tym, tak się po prostu złożyło. Każdy może się pomylić, nawet policja.

Znowu cisza. Lars słuchał.

- On mnie uderzył.

- Co powiedziałaś?

- Policjant w samochodzie, uderzył mnie w twarz.

Długa cisza, plik się skończył. Lars wstał, zebrał myśli, zanotował na ścianie to, co właśnie usłyszał. Do późna w nocy intensywnie pracował. Kawałki układanki wreszcie zaczęły trafiać na swoje miejsce.

Bładym świtem obudził go sygnał telefonu. Gunilla chciała się spotkać.

Gapił się w lustro w łazience, w końcu znalazł osobowość, która będzie odpowiednia. Uważał z tabletkami, w końcu był przy tym, jak umierał jej brat... W takich sytuacjach człowiek jest trochę nie w formie.

- Co się stało?

Trzymała ręce na kolanach. Było ciepło, dwadzieścia pięć stopni w cieniu. Siedzieli w ogródku restauracji na Östermalmstorg, była sztywna, jakby zabezpieczała się przed usłyszeniem czegoś, co może ją dotknąć. Lars patrzy! w stół, po chwili podniósł wzrok, spojrzął! na Gunillę.

- Przyszliśmy tam, Erik zaczął gadkę... nagle się przewrócił...

Delikatny zefirek nie przyniósł orzeźwienia.

- Jak?
- Ma to jakieś znaczenie?
- A czy inaczej bym pytała?

Lars zaczął.

- Powiedział, że słabo widzi. Jedno ramię zaczęło mu drżeć i się trząść. Powiedział coś nieskładnie, a potem się przewrócił.

- Co takiego powiedział?
- Nie usłyszałem.
- Co zrobiłeś?
- Podbiegłem do niego, sprawdziłem puls.
- I co?
- Żył, zadzwoniłem po karetkę.
- A potem?

- Usiadłem przy nim?

- Mówił coś? Ty coś mówiłeś?

- Był nieprzytomny, mówiłem do niego spokojnym tonem.

- Co mówiłeś?

- Mówiłem, że wszystko będzie dobrze, że karetka jest już w drodze i żeby się nie bał.

Gunilla odwróciła głowę, zacerpnęła powietrza.

- Dziękuję.

Lars nie odpowiedział.

- A ten facet? Carlos? Co on zrobił?
- Przestraszył się i poszedł do innego pokoju.
- Zdążyliście się z nim rozmówić?

- Nie za bardzo. Erik powiedział tylko, że chce zobaczyć jakieś rezultaty. Nic więcej...

Gunilla popatrzyła na ludzi dookoła nich.

- Wszystko się teraz zająbia, zaczynają się pokazywać dowody. Wszyscy musimy być skoncentrowani na tym, co teraz robimy. Żadnych błędów.

Lars upił łyk wody ze szklanki.

- Zdarzyło się coś, o czym nie wiem?

W jej oczach pojawiło się coś, jakby smutek, potrząsnęła głową do swoich myśli.

- To okropne, Albert, syn Sophie, został wczoraj potrącony przez samochód... Ma złamany kręgosłup, leży na intensywnej terapii, to wszystko jest straszne.

Miał ochotę krzyczeć. Zamiast tego skoncentrował się jednak, by zachować spokój. Wyobraził sobie drzewo, które wolno wzrasta, kamień rzeźbiony przez morze... Myślał o wszystkim, co przebiega niesłuchanie wolno.

- Oj... Kto to zrobił? - zapytał dokładnie tak obojętnym tonem, jaki chciał osiągnąć.

Gunilla wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, to był wypadek... Ucieczka z miejsca wypadku.

- Straszne. Coś poza tym?

Starał się sprawiać chłodne, profesjonalne wrażenie.

- Nie, nie wydaje mi się.

Gunilla patrzyła za Larsem Vingem, gdy odchodził w stronę Humlegårdsgatan. Pomyślała, że się zmienił, że jego wcześniejsze niepewne, niezdrowe podejście do życia ewoluowało w coś innego. Nie stał się pewniejszy, tylko... bardziej sztywny, milczący. Był introwertyczny, choć nie refleksyjny, jakkolwiek by się łączyło.

Kiedy Lars zniknął, wyciągnęła komórkę i wybrała numer do Hassego Berglunda.

- Czy mógłbyś uprzątnąć wszystko u pielęgniarki? Anders ci wyjaśni, gdzie są poszczególne mikrofony. Wszystko ma zniknąć, nie mogą zostać żadne ślady.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła się przyglądać ludziom dookoła, od razu ją to zainteresowało. Uśmiechnęła się do chłopca z kręconymi włosami, w białej koszuli i czarnych

spodniach, ten po kilku sekundach zorientował się, że Gunnilla chce mu zapłacić.

*

Lars wyjechał z Östermalm i skierował się do swojego banku na Söder. Dał znak młodemu urzędnikowi o tłustej cerze i poprosił o otwarcie skrytki.

Wyjął pudełko i zapakował do niego mnóstwo rozmaitych nośników z nagraniami Sophie Brinkmann, nagraniami z komisariatu, zdjęciami, tekstami, podsumowaniami... ze wszystkim. Wyszedł z banku i pojechał na Stocksund. Pilnować jej...

Sprawdził, że nie ma jej w domu, zaparkował dwie przecznice od willi. Kwadrans później rozległ się pojedynczy klakson. Lars spojrział w lewo, mijał go Hasse, pokazując środkowy palec. Lars wypuścił powietrze z płuc i odchylił głowę do tyłu. Minęło trochę czasu, może pięć minut, może dziesięć, Hasse nadjechał od strony willi, zwolnił, opuścił szybę i wychylił się w kierunku Larsa, jego lewa ręka wisiała za drzwiami.

- Jak tylko ją zobaczysz, zadzwoń do mnie, do Andersa albo do Gunnilli. Sam się w to nie mieszaj... Łapiesz?

Lars pokiwał głową.

Hasse zabębnił palcami o zewnętrzną część drzwi i znowu wystawił palec. Tym razem tak wyraźnie, by Lars nie stracił ani sekundy z jego przeciągłego „Fuuuck yooou”. Małe kamyki na asfalcie zachrzęściły pod kołami. Potem znów zapadła cisza.

Lars siedział jeszcze w samochodzie, wpatrując się w niebyt. Śpiewały ptaki, on ich jednak nie słyszał. Kawalek dalej bawiły się dzieci, śmiejąc się radośnie i krzycząc, ale to również do niego nie docierało. Słyszał jedynie głos własnych

myśli. Jego umysł pracował intensywnie, jednak Lars co chwilę tracił wątek. W jego kieszeni zadzwonił telefon. Odpowiedział niewyraźnym: „Halo”.

- Lars?

- Tak?

- Mówi Terese.

Była to przyjaciółka Sary, pochłipywała do słuchawki.

- Możemy chwilę porozmawiać? Nie jestem w stanie sama myśleć...

Lars nie rozumiał.

- Myśleć o czym?

Terese wybuchnęła płaczem.

- O co chodzi, Terese?

Zapadła cisza.

- Nie wiesz?

- Czego?

Terese z płaczem wykrztusiła, że Sara nie żyje, nagle zatrzymanie krążenia, kilka dni temu.

Wszechświat wywrócił się na lewą stronę, otworzyło się niebo. Lars wychylił się z samochodu i zwymiotował na asfalt.

*

W środku nocy zadzwonił telefon Michaiła. Klaus wydawał się zmęczony, ale pełen otuchy.

- Możesz po mnie przyjechać?

- Jak się czujesz?

- A jak się czuje ktoś, kto dostał kulkę w brzuch?

- Nie wiem. Wiem tylko jak się czuje ktoś, kto dostał kulkę w udo, w ramię, w klatkę piersiową... no i odłamkiem granatu w dupsko.

Zarechotali. Michaił odłożył słuchawkę, spakował walizkę i we wczesnych godzinach porannych pojechał na

lotnisko. Wsiadł w pierwszy samolot, który leciał do Skandynawii. Wylądował w Kopenhadze, gdzie przesiadł się na kolejny, do Sztokholmu.

Jeszcze raz ta sama śpiewka. Na lotnisku Arlanda pod fałszywym nazwiskiem wynajął samochód, pojechał do kretyna z Enskede, zaopatrzył się u niego w nowy pistolet bez numerów seryjnych. Pojechał do szpitala Karolińska.

Michaił był już zmęczony samochodami volvo, blondynami i fasadowym społecznym dobrobytem - był zmęczony Szwecją.

*

Hector rozmawiał z Adalbertem na bezpiecznej linii. Powiedział, że pieniądze z operacji Ericsson są zabezpieczone. Liczył sumy w pamięci, Adalberto również.

- Hector, zanim pójdziemy dalej... Hanke próbował się z nami skontaktować. Dzwonił jakiś Roland Gentz, pytał, jakie jest moje stanowisko w sprawie propozycji.

- Jakiej propozycji?

- Też o to zapytałem...

- I ?

- Nie poddają się.

- Na czym stoimy?

Adalberto milczał. Hector słyszał, jak pije ze szklanki, jak miażdży zębami kawałek lodu.

- Wysłałem prawników, by pozwali ich z każdej możliwej strony... Wolałbym, żeby walka poszła w tym kierunku. Te wszystkie pistolety i samochody zaczynają już być trochę sztuczne. Ale uważaj. Wygląda na to, że nad czymś teraz pracują... Ten cały Gentz nam groził. Wyrzcił się jasno.

- Musimy się za nich wziąć, tato. Prędzej czy później.

- Później. Zobaczymy, jakie skutki przyniesie moje nowe posunięcie.

Hector zapalił cygaretkę. Adalberto pił.

- Rozmawiałem z Don Ignaciem. Jest już spokojny, powiedziałem mu, że ty i Alfonse doszłicie do porozumienia.

- Zobaczmy się, zanim pojedzie do domu... Omówimy szczegóły.

Adalberto wymamrotał coś, czego Hector nie usłyszał, po czym mówił dalej.

- Leszek i ja pracowaliśmy, kanał niedługo ruszy. Kapitan zmienił jednostkę.

Hector pomyślał chwilę.

- Co to znaczy, że kapitan zmienił jednostkę?

- Żadnego podtekstu. Tak jak powiedziałem. Zmienił statek. Sprzedał stary, kupił nowy. Obowiązują te same zasady. Towar pojedzie z Ciudad del Este, on odbierze go za tydzień w Paranaguí. Nowy ładunek przybędzie do Rotterdamu pod koniec miesiąca. Znów jesteśmy w grze.

- To dobrze czy źle?

- Nie wiem... Ale nie mieliśmy wyboru, prawda?

Hector nie odpowiedział.

- Jak się czuje Sonya?

- Dużo czasu spędza samotnie.

- A ty, tato, jak się czujesz?

Adalberto nie odpowiadał, jakby pytanie wyprowadziło go lekko z równowagi.

- Tak jak na to zasługuję... - odparł cicho.

Hector palił w Sztokholmie, Adalberto sączył drinka w Marbelli. Przez chwilę cieszyli się po prostu swoim towarzystwem.

Hector odłożył słuchawkę i samotnie rozmyślał. Przerwał mu to dzwonek do drzwi. Koło gabinetu przechodził Aron.

- Czekamy na kogoś? - zapytał.

Hector pokręcił przecząco głową i z szuflady biurka wyjął rewolwer. Aron zdjął z półki pistolet z tłumikiem. Poszli do drzwi.

Przez wizjer Aron zobaczył dwóch mężczyzn. Nie znalazł żadnego z nich, dał znak Hectorowi, ten podszedł, spojrzął i pokręcił głową. Aron pokazał Hectorowi, by się cofnął.

Wsunął broń z tyłu za pas, otworzył drzwi i uśmiechnął się przyjaźnie do Håkana Zivkovic i jego towarzysza Leffego Rydbäcka.

- Tak? - odezwał się Aron.

Obaj byli krótko ostrzyżeni, nosili gumowe buty, tanie ubrania z taniej sieciówki dla mężczyzn i głupkowate kamizelki kuloodporne, które napinały im się pod kurtkami. Rydbäck miał kartoflowaty nos, był o głowę niższy od Zivkovic i nieźle poddenerwowany; usiłował to ukryć, patrząc wciąż gniewnym wzrokiem.

- Szukamy niejakiego Arona albo niejakiego Hectora.

Zivkovic mówił beczelnym tonem.

- W jakiej sprawie?

- Propozycji.

- Bardzo proszę napisać tę propozycję na kartce i do nas wysłać, a odpowiemy, dziękujemy bardzo.

Już miał zamknąć drzwi, kiedy Håkan Zivkovic napał na nie. Aron pozwolił mężczyznom wcisnąć się do środka. Byli nerwowi i nieprzyjaźnie nastawieni.

Weszli do przedpokoju, Håkan pchnął Arona. Było to dziwne pchnięcie, jakby wymierzone po to, by przestraszyć Arona, wyprowadzić go z równowagi. Hector wszedł do pokoju.

- Cześć. W czym mogę wam pomóc?

Zivkovic i jego towarzyszy stracili rezon. Rydbäck wyciągnął pistolet, trzymał go nerwowo.

- Zamienij mordę i siadaj. Pogadamy - powiedział Zivkovic.

Aron i Hector dali się sterroryzować. Poszli do dużego pokoju i usiedli na kanapie. Zivkovic i jego towarzyszy stali.

- A teraz mnie posłuchajcie - odezwał się i przeszedł kilka kroków po pokoju.

Aron i Hector popatrzyli na mężczyznę, sprawiał żalosne wrażenie.

- Zastrasziliście mojego klienta.

- Kogo konkretnie? - zapytał Aron.

Zivkovic miał rozbiegane oczy.

- To nie ma znaczenia.

- Chyba jednak ma? - zapytał Hector.

Zivkovic nie był przygotowany na odpowiedź w formie pytania.

- Dobrze wiecie, o kim mówię.

- Nie wiemy.

Zivkovic wlepił wzrok w Hectora.

- Na mój znak Leffe będzie strzelał, już wcześniej kogoś zabił.

Hector popatrzył zdumiony na Rydbäcka.

- Leffe? Już kogoś zabiłeś?

Leffe starał się wyglądać na rozwścieczonego, skinął głową. Zivkovic kontynuował swoją władczą przechadzkę po pokoju.

- Odwołajcie wasze groźby, bo źle się to dla was skończy. Macie moje słowo. Wiemy, kim jesteście i gdzie was znaleźć.

Zivkovicowi nie spodobał się uśmiech tej dwójki. Hector podniósł rękę.

- Dobra, dobra, idźcie sobie - powiedział spokojnie i podniósł się z kanapy.

- Siadaj, do kurwy nędzy!

Zivkovic ryknął jak wojskowy. Aron również wstał. Byli rozbawieni ich wyszczekaniem, kompletną nieświadomością tego, z kim mają do czynienia. Zivkovic właśnie miał coś powiedzieć, kiedy Aron wyciągnął zza pleców rewolwer. Poszło szybko. Tłumik wydał z siebie ciche pufnięcie, kiedy dwa pociski trafiły w kamizelkę kuloodporną Leffego Rydbäcka.

Leffe upadł do tyłu, lecąc, wypuścił broń z ręki. W tej samej chwili Hector rzucił się do przodu, złapał Zivkovica za gardło, powalił go na podłogę i wymierzył mu dwa mocne ciosy w twarz, przycisnął kolano do jego policzka i odwrócił jego głowę w stronę leżącego na plecach Leffego, który usiłował zaczerpnąć powietrza,

- Popatrz tylko, co się dzieje z ludźmi, którzy przychodzą do mojego domu z bronią w rękę - wyszeptał.

Aron zerwał z Leffego kamizelkę kuloodporną i podłożył mu ją pod plecy. Leffe nic z tego nie rozumiał.

Aron przycisnął pistolet do serca Leffego Rydbäcka i oddał dwa strzały. Kule przeszły go na wylot i utkwily w kamizelce. Podłoga wytrzymała, Leffe umarł na miejscu. Zivkovic krzyknął jak dziecko i wybuchnął płaczem.

- Kim jesteś? - zapytał Hector.

Håkan załzawionymi oczami wpatrywał się w martwego kolegę.

- Nazywam się Håkan Zivkovic.

Hector cofnął kolano, podniósł Zivkovica.

- A teraz się boisz, Håkan?

Zivkovic nie wykrztusił ani słowa.

- Przed chwilą się nie bałeś... Byłeś wyszczekany i nam groziłeś... I pomyśleć tylko, że tak się to może zmienić.

Hector trzymał go mocno za gardło.

- A teraz gadaj.

- Nie powiedział, jak się nazywa - wysyczał Zivovic.

- Jak wyglądał?

Zivkovic opisał wygląd Svantego Carlgrena.

- Jaki był cel tego spotkania?

Hector wzmocnił uścisk.

- Mieliliśmy was przestraszyć. Żebyście go zostawili, dali mu spokój.

Hector popatrzył na Zivkovica, jego twarz zaczęła tracić kolor.

- A gdybyśmy nie chcieli?
- Wtedy byśmy was zastrzelili.
- Nie wyszło... Co nie?

Zivkovic pokręcił głową.

- Wróć do niego i opowiedz ze szczegółami, co tu się stało. Daj mu jasno do zrozumienia, że nigdy nie damy mu spokoju, tobie zresztą też... Pamiętaj o tym, Håkanie Zivkovicu.

Hector puścił Zivkovic, ten zaś wstał i wyszedł z mieszkania, nie patrząc na swojego martwego kolegę.

Håkan Zivkovic wyszedł samotnie z bramy i poturczał w dół Sjölagårdsgatan. Był blady, z nosa leciała mu krew... Był poturbowany.

Anders zadzwonił do Gunilli i opowiedział, co przed chwilą zobaczył. W słuchawce zapanowała cisza.

- Sam? - zapytała, jakby to pytanie miało dać jej dodatkowy czas do namysłu.

-Tak.

- A więc być może twój plan się powiódł?

Anders nie odpowiedział.

- Ten drugi jest nadal na górze?

- Boję się pomyśleć, w jakim stanie.

- No dobra... w takim razie czas najwyższy. Prawda, Anders?

- Chyba mogę się z tobą zgodzić.

22

Niemiec obudził się i na oddziale zapanował ruch.

Pół godziny później na brzegu jego łóżka siedział lekarz i świecił mu w oczy małą latarką, którą wyjął z przedniej

kieszeni białego fartucha. Lekarz nazywał się Patrik Bergkvist. Miał trzydzieści osiem lat, kręcone włosy i wkładał kask, kiedy jechał na rowerze do pracy. Klaus patrzył na lekarza, z tyłu czekała pielęgniarka. Patrik odezwał się szkolną niemieczyzną.

- Pamięta pan, jak się nazywa?

Klaus wyglądał na poirytowanego.

- Tak.

- No więc, jak się pan nazywa?

- Nie twój zasrany interes.

Patrik nie był przygotowany na taką odpowiedź. Najczęściej spotykał się ze strony pacjentów z szacunkiem, poza tym nie lubił tracić twarzy w obecności pielęgniarek. Zgasił małą latarkę.

- Wyjęliśmy kulę. Miał pan szczęście, nie spowodowała żadnych trwałych uszkodzeń narządów wewnętrznych. Za jakiś czas zacznie pan czuć ból.

- *Danke* - powiedział Klaus cicho.

Patrik skinął głową.

- Policja chce z panem rozmawiać. Da pan radę?

- Nie.

- Zadzwonię do nich mimo wszystko; myślę, że pan sobie poradzi.

Doktor Bergkvist opuścił salę, wszedł do małego gabinetu wciśniętego między dwie inne sale i wziął kartkę z numerem zostawioną przez policję. Wystukał numer, odebrała kobieta, która przedstawiła się jako Gunilla Strandberg. Okazała się bardzo sympatyczna.

- W jak ciężkim jest stanie? - zapytała.

Patrik Bergkvist opowiadał, chcąc zrobić wrażenie kompetentnego. Przerwała mu, kiedy uznała, że się popisuje.

Klaus usiadł na łóżku i przeglądał szwedzkie plotkarskie pismo. Patrzył na zdjęcia króla Karola Gustawa, królowej Sylwii, Karola Filipa i Madeleine. Wszyscy stali na trawniku przed jakimś białym zamkiem i machali. Wiktorii i jej męża nie było. Może gdzieś pojechali. Znał ich wszystkich. Rudigera, jego chłopaka, pasjonowały europejskie monarchie.

Otworzyły się drzwi. Weszli do sali, Anders kiwnął brodą. Klaus zlustrował go spojrzeniem. Następnie spojrzął z obrzydzeniem na Berglunda, świnię, która weszła tuż za Andersem.

- Dobrze się czujesz?

Anders mówił dobrze po niemiecku. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Coście za jedni? - zapytał Klaus.

Hasse wyciągnął policyjną legitymację.

- Postrzelili cię? - zapytał Anders.

Klaus dalej przeglądał gazetę. Kikki Danielsson siedziała w domu przy sosnowym stole.

- Jak się nazywasz?

Maus podniósł wzrok, nie miał w planach udzielania odpowiedzi.

- Możemy ci pomóc, po to tu jesteśmy.

Anders wykazywał sporo cierpliwości, Klaus przewrócił stronę w gazecie. Mężczyzna o imieniu Christer obejmował swoją drobną żonę. Najwyraźniej lubił Eivisa Presleya, a ukoronowaniem typowo szwedzkiej pasji do remontowania domku letniskowego były u niego pozłacane krany w łazience. Anders pochylił się do przodu i ostrożnie wyjął Klausowi gazetę z rąk.

- Mam inne rzeczy, które chciałbym ci pokazać.

Anders odłożył szmatławiec na bok i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął złożoną kopertę formatu A4. Otworzył ją i zaczął przeglądać liczne fotografie. Klaus czekał,

rzucił oldem na stojącego przy oknie Hassego. Anders wyjął zdjęcie Hectora i pokazał je Klausowi.

- Znasz tego człowieka?

Anders wpatrywał się w Klaua patrzącego na Hectora. Klaus pokręcił głową.

- On go zna - powiedział Anders do Hassego, po czym znów przeszedł na niemiecki.

- Leżysz tutaj z raną postrzałową. Wiemy że ktoś cię tu przywiózł, kto to był?

Klaus wzruszył ramionami.

- Kto cię postrzelił?

Klaus nie odpowiadał.

Anders spróbował kolejnego podejścia.

- Zaczniemy od początku. Kto cię podrzucił do tego szpitala?

Klaus wpatrywał się w niego pustym wzrodem.

- Jeżeli teraz nam powiesz, jak się tu znalazłeś i co wiesz o Hectorze Guzmanie, zwolnimy cię z obowiązku ewentualnego przyszłego składania zeznań.

Klaus ziewnął imponująco szeroko, sięgnął po leżącą obok Andersa gazetę i znów zaczął ją przeglądać. Po jakimś czasie podniósł wzrok i uśmiechnął się przymilnie do Andersa.

- Okej, Idedy lekarz orzeknie, że jesteś wystarczająco zdrowy, wsadzimy cię do aresztu i będziesz tam siedział, dopóki nie zdecydujesz się mówić.

Kiedy Anders i Hasse wychodzili, Klaus uśmiechał się w taki sam sposób.

Anders i Hasse szli korytarzem. Na jego końcu otworzyły się drzwi. Jakiś mężczyzna, kołysząc się, szedł im naprzeciw. Korytarz wydawał się dla niego o numer za mały.

Spotkali się w połowie drogi. Postawny mężczyzna nawet na nich nie spojrział, minął ich tylko i poszedł dalej.

Anders zatrzymał się po kilku krokach i obejrzał.

- Anders? - odezwał się Hasse.

Anders odwrócił się w jego stronę, jakby wciąż o czymś myślał albo coś sobie przypominał.

- Co się dzieje, Anders?

Anders odwrócił się raz jeszcze i popatrzył na Michaiła otwierającego drzwi do sali, w której leżał Klaus.

- To on...

- Kto?

- Ten duży to jego kumpel, widziałem go, jak wchodził do Trasten.

- Jesteś pewien?

- Nie...

-Ale?

- Ale kij z tym...

Anders wyciągnął pistolet i zawrócił. Hasse również wyjął broń i ruszył za Andersem.

Michaił otworzył szafę, zerwał z wieszaków ubrania Klaus'a i rzucił je na łóżko. Za jego plecami otworzyły się drzwi. Odwróciwszy się, zobaczył mężczyznę, wyciągniętą rękę i wycelowaną w siebie broń. Zadziałał instynktownie. Błyskawicznie chwycił rękę Andersa i przyciągnął ją do siebie. Padł strzał. Klaus wrzasnął. Michaił kątem oka zobaczył jeszcze jednego mężczyznę z bronią w ręku, instynkt znowu zadziałał. Trzymając Andersa za ramię, zasłonił się nim, wyrwał mu pistolet i z palcem na spuście wycelowował w Hassego.

- Michaił! - krzyknął Klaus. - To policjanci!

Michaił rozluźnił palec dotykający spustu.

- Rzuć to - tylko tyle powiedział do grubasa.

Hasse bez wahania upuścił pistolet na podłogę. Michaił popchnął Andersa w głąb pokoju i pokazał Hassemu, żeby usiadł obok niego.

- Ten skurwiel mnie postrzelił - powiedział Klaus, trzymając się za ramię, z którego lała się krew.

Michaił ocenił sytuację w pokoju, zastanowił się i rzucił pistolet Klausowi, ten chwycił go lewą dłonią. Michaił podniósł z podłogi broń Hassego i wyszedł.

Kroczył korytarzem, w którym kilku pielęgniarzy schowało się za noszami, zaglądał do każdego pokoju. W jednym z gabinetów pod biurkiem skulił się Patrik Bergkvist. Michaił pochylił się, pomacał dłonią, chwycił Patrika za kręcone włosy i wyciągnął spod biurka.

- Potrzebuję środka znieczulającego albo narkozy. Potrzebuję opatrunku, igły, nici i narzędzi do wyjęcia kuli z ramienia.

Patrik Bergkvist po każdym słowie Michaiła kiwał głową. Michaił chwycił go za kark. Ruszyli w stronę szafki z lekami.

Klaus trzymał Hassego i Andersa na muszce. Otworzyły się drzwi. Michaił wpełznął do pokoju Patrika Berglunda, który natychmiast usiadł obok Andersa.

- Nie, nie ten. Tamten!

Michaił wskazał kolegę i jego krwawiące ramię. Patrik podszedł do Klausu i zaczął oglądać ranę. Michaił otworzył cienki niebieski worek na śmieci, który miał w ręce. Wyjął z niego butelkę tiopentalu i napełnił nim dwie strzykawki. Wbił igłę w udo Andersa i zrobił mu zastrzyk. Anders zaczął mamrotać przekleństwa, potem stracił przytomność. Michaił zrobił to samo z Hassem, który jęknął, gdy igła przebiła jego cielsko. Po chwili Anders i Hasse słodko spali.

Partik Berglund powstrzymał chwilowo krwawienie, zakładając ciasny opatrunek.

- Trzeba go natychmiast zoperować - powiedział.

- Jak szybko się z tym uwiniesz?

- W godzinę.
- Nie ma mowy.

Michail przygotował kolejny zastrzyk. Kiedy złapał doktora Bergkvista za ramię i wstrzykiwał środek do jego organizmu, ten kilka razy krzyknął: „Nie!”. Bergkvist histeryzował, próbował wyjaśnić, że potrzebny jest lekarz, który mógłby go pilnować, podać mu tlen. Potem jego ramiona opadły w dół, a on uderzył twarzą o podłogę i stracił przytomność.

Michail pomógł Klausowi podnieść się z łóżka i podpierał go, gdy szybko opuszczali szpital.

Wsiadli do zaparkowanego przed wejściem wypożyczanego samochodu. Michail ruszył w stronę miasta.

- Gdzie ty jedziesz? Musimy jechać na lotnisko! - krzyknął Klaus.

- Nie teraz, bo tego nie przeżyjesz.

Michail zadzwonił z komórki pod jakiś sztokholmski numer.

*

Zadzwonił telefon. Jens rozpoznał głos po drugiej stronie. Michail był zdenerwowany, zaproponował interes. Tak naprawdę niewiele wart. Mniej więcej: wyświadczyć mi teraz przysługę, to ci się potem odwdzięczę. Jens odmówił. Michail się nie poddawał, prosił tak bardzo, że Jens był zdziwiony. Prawie się kajał. Jednak to Michail pytał, nie kto inny, więc nie było o tym mowy...

- Przykro mi, to niemożliwe.

Zapadła cisza.

- Proszę cię... Tylko ty możesz nam pomóc. Mój przyjaciel umiera...

Czyżby w głosie Michaila pojawiła się jakaś ludzka nuta? Jakiś człowiek umiera. Czy był w stanie odłożyć

słuchawkę i później nie zastanawiać się, czy mógł postąpić inaczej? Jens spojrzął na Sophie, która siedziała na kanapie. Kurwa.

Podał Michaiłowi swój adres, rozłączył się i gorzko żałował tego, co zrobił. Po dziesięciu minutach ktoś załomotał do drzwi. Jens i Sophie rozpoznali zakrwawionego Klause, którego Michaił wniósł do dużego pokoju.

- Co się stało? - zapytała Sophie.

- Został postrzelony w ramię - odpowiedział Michaił.

Klaus leżał na kanapie.

- Pospiesz się Jens, przynieś gorącą wodę, ręczniki i co tam masz w apteczce.

Jens wyszedł z pokoju. Michaił wysypał na stolik zawartość plastikowego worka. Strzykawki, igły, nici, tiopental, środek antyseptyczny, bandaże. Sophie go powstrzymała.

- Poczekaj, ja to zrobię - powiedziała, usiadła obok Klause, uniosła tymczasowy opatrunek i spojrzała na ranę.

- Potrzebna mi będzie pęseta albo jakieś małe szczypce!

- krzyknęła do Jensa.

Zmierzyła Klausowi puls, był słaby i przyspieszony.

- Skąd to masz? - zapytała, wskazując przedmioty na stoliku.

- Ze szpitala - odpowiedział Michaił.

Sophie nabrała do strzykawki tiopental. Małą dawkę, nie była pewna, ile powinna wziąć.

- Ty zadecyduj - powiedziała Michaiłowi. - Albo operujemy go bez znieczulenia, albo podam mu małą dawkę, ale to wiąże się z ryzykiem.

Klaus zawył z bólu.

- Daj mu - polecił Michaił.

Sophie wstrzyknęła truciznę w ramię mężczyzny. Ból natychmiast zniknął, Klaus zaczął stąpać po chmurach. Wrócił Jens z wodą, ręcznikami i tym, co znalazł w swojej niepokazanej łazienkowej szafce.

Upłynęło pół godziny i mnóstwo krwi, zanim Sophie udało się wyjąć kulę i zatamować krwotok. Pocisk rozerwał mięsień, ale wydawało się, że kość jest nietknięta. Wymyła i zszyla ranę, zrobiła wszystko, co mogła, przy tak skromnych środkach, jakimi dysponowała. Michaił pilnował oddechu Klausu.

- Dziękuję - powiedział, kiedy zbierała rzeczy ze stolika.

- To tak prowizorycznie, on wymaga pomocy lekarskiej.

Poszła do łazienki, żeby się umyć. Jens spojrzął Michaiłowi w oczy.

- Pójdziemy stąd, jak tylko się obudzi - wymamrotał.

Usłyszeli, że Sophie odkręciła kran w łazience. Żaden z nich się nie odezwał.

- Jesteś głodny?

Jens nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie. Michaił kiwnął głową.

W kuchni przekąsili coś na zimno. Michaił siedział pochylony do przodu, lewą ręką otoczył talerz, a prawą ładował jedzenie do ust.

- Co tu robicie? - zapytał Jens.

Michaił, przeżuwając, wskazał widelcem w kierunku leżącego na kanapie Klausu.

- Przyjechałem po niego - powiedział i przełknął. - Wczoraj się obudził, zadzwonił do mnie ze szpitala. Przyjechałem.

- Co się stało?

Michaił się wyprostował.

- Przyszły psy, musieliśmy spadać...

- Kto do niego strzelał?

- Gliny...

Sophie weszła do kuchni, spojrzała na Jensa i Michaiła, którzy jedli, nic nie mówiąc. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

- Znowu zaatakuje Hectora?

- Michał, najwyraźniej rozumiejąc pytanie, pokręcił głową. Nie spuszczać oka z Rosjanina, zwróciła się do Jensa.
- Chcę, żebyś poprosił go o jedną rzecz.

*

Carlosowi brakowało tchu. Po telefonie Hectora przybył tak szybko, jak to było możliwe. Teraz stał u niego w łazience i przyglądał się zwłokom Leffego Rydbäcka wciśniętym do wanny. Hector stał za nim.

- Potnij go na części i zawieź do restauracji. Tam przekreścis go przez maszynkę.

Carlos zakrył usta dłonią, zebrało mu się na wymioty. Za nimi pojawił się Aron trzymający dwie papierowe torby, przecisnął się do przodu i rozłożył na podłodze ręcznik. Otworzył torby i wyciągnął z nich dwie piłki ręczne różnej wielkości, położył je na ręczniku. Następnie wyjął rękawiczki do zmywania, foliowy fartuch, czepek kąpielowy, ocet 12%, sekator, środek do dezynfekcji rąk, rulon woreczków na mrożonki, ręczną pilarkę tarczową z nową baterią, okulary ochronne, maseczkę na twarz, proszek do dezynfekcji na bazie chloru, białe plastikowe wiadro i młotek Steel Eagle z gumową rączką. Na koniec Aron wyjął choineczkę Wunderbaum o zapachu wanilii, otworzył opakowanie i powiesił ją w kabinie prysznicowej.

- Lepiej zacznij, zanim zaczniesz śmierdzieć - polecił.

Carlos po chwili wahania pochylił się, wziął fartuch, czepkę kąpielową oraz rękawiczki i zaczął się powoli ubierać. Aron z kieszeni spodni wyjął scyzoryk i otworzył. Czarna żłobiona rękojeść i krótkie ostrze z hartowanej stali węglowej.

- To jest ostre - powiedział i podał Carlosowi scyzoryk rękojeścią do przodu. I rzygaj do kibla, nie do wiadra - zakończył Aron, po czym obaj z Hectorem wyszli z łazienki.

Carlos został sam. Zerknął na leżącego w wannie Leffego Rydbäcka. Wziął kilka krótkich oddechów, po czym usiadł na brzegu wanny i chwycił prawą dłoń nieboszczyka, była zimna. Przystawił ostry szczyryk do małego palca Rydbäcka i przycisnął. Poszło gładko, palec odleciał kawałek, uderzając o brzeg wanny. Krew popłynęła ciężko i leniwie. Carlos powtórzył czynność z kciukiem i resztą palców. Kiedy skończył z prawą dłonią, zabrał się za lewą.

Hector siedział z gazetą na kanapie. Aron w fotelu. Hector usłyszał, że Carlos testuje w łazience piłę tarczową, jak nastolatek silnik podrasowanej motorynki. Potem rozległ się dźwięk piły wgrzyzającej się w coś twardego, zatrzymywała się, zwalniała obroty i znów przyspieszała. Ucichła, słychać było, jak Carlos wymiotuje do sedesu. Piła znów zaryczała.

Czas mijał, Hector czytał, Aron gapił się w pustkę. Przerwały im kroki na spiralnych schodach prowadzących na dół do biura. Aron wstał, wyciągnął broń. Kroki były powolne, ale nie ciężkie.

Na szczycie schodów pojawiła się kobieta koło pięćdziesiątki, spojrzała na Hectora, a później na Arona i jego pistolet.

- Możesz to schować.

Aron opuścił broń, ale nadal trzymał ją w dłoni.

- Najmocniej przepraszam - odezwała się kobieta. - Ale nigdy byście mnie nie wpuścili, gdybym zadzwoniła do drzwi, więc musiałam dostać się tutaj przez wasze biuro.

Gunilla dotknęła palcem ucha. Zza ściany dobiegał ryk piły.

- Robicie remont?

Posłuchała jeszcze chwilę.

- Czy może przypadkiem jest to Leffe Rydbäck, którego rżnięcie na kawałki w wannie?

Aron znowu uniósł broń, na kobiecie nie zrobiło to najwyraźniej wrażenia. Pokazała legitymację.

- Jestem z policji. Nazywam się Gunilla Strandberg. Opuść pistolet z łaski swojej, ludzie wiedzą, że tu jestem.

Aron się zawahał, podszedł do okna. Wyrzął na ulicę, niczego nie zobaczył.

- Nie, tam nikogo nie ma, jestem tylko ja. Przyszłam porozmawiać, ale ludzie wiedzą, że tu jestem. Gdyby coś się stało, to... - Zrobiła ruch ręką. - Sami rozumiecie.

Gunilla spojrzała na Hectora.

- Chcę tylko porozmawiać - powtórzyła cicho.

Hector złożył gazetę, dał znak, by usiadła.

Gunilla spoczęła na kanapie. Z łazienki rozległ się odgłos mocnych uderzeń młotka o kości i mięso, piła znów zaczęła pracować z wyciem. Hector zmierzył Gunillę wzrokiem.

- Znamy się? - zapytał.

- Ja ciebie znam, Hectorze Guzman. Ty mnie nie.

Hector i Aron czekali na dalszy ciąg.

- A teraz zastanawiacie się, po co tu jestem?

Gunilla wpatrzyła się w Hectora.

- Z czystej ciekawości, tak mi się wydaje - powiedziała.

Carlos znowu zwymiotował. Tym razem wyrzucił z siebie wymiociny, wrzeszcząc.

Gunilla poczekała, aż skończy.

- Ciekawa jestem, ile pieniędzy zarobiliście na szantażowaniu Svantego Carlarena oraz na interesach z Alfonsem Ramirezem, który jest teraz w mieście... Tak mniej więcej, pi razy drzwi?

Hector patrzył na nią.

- Czego chcesz? - zapytał.

Gunilla spojrzała pytająco.

- Widzę to po tobie. Chcesz czegoś, być może odpowiedzi. Wy policjanci chyba właśnie to lubicie najbardziej - odpowiedzi?

- Nie, odpowiedzi już mam. One mnie w ogóle nie interesują.

Hector popatrzył na Arona, który z kolei popatrzył na Gunillę.

- No to czego chcesz? - zapytał Hector.

- Chcę tego, co masz ty.

- Słucham?

- Ile zarobiliście na Ramirezie i Carlgrenie? - zapytała znowu.

Hector nie odpowiedział.

- Chcę dostać tego część.

Teraz Hector już rozumiał.

-A my?

- Będziecie mogli pracować w spokoju tak długo, jak ja będę w policji.

23

Łzy nie popłynęły ani razu. Jeździł walkiem po ścianie. Notatki, wywody, strzałki... całość. Wszystko zniknęło za grubą warstwą białej farby.

Sara była u niego w domu. Zobaczyła ścianę, coś zrozumiała. Więc skontaktowała się z Gunillą. Musiała umrzeć. Niedługo zabiją także jego.

Wszystko skopiował, zarówno analogowo, jak i cyfrowo. Dwa komplety. Jeden bezpieczny w bankowej skrytce. Drugi w sportowej torbie na podłodze. Sprawdził pistolet: pełny magazynek, w kurtce zapasowy. Zawsze nosił pistolet przy pasku. Dziś miał go w kaburze na szelkach, które opinały plecy i ramiona.

Omiótł wzrokiem pokój. Ściany były białe jak świeży śnieg, wewnątrz dopiero co wysprzątane, nikt nie znalazłby

tu już nic interesującego. Podniósł czarną sportową torbę. Wyjął z niej laptopa i sprzęt do podsłuchu i opuścił mieszkanie.

Poszedł w stronę wynajętego samochodu. Gdyby był bardziej uważny, być może dostrzegłby mężczyznę siedzącego w samochodzie kilka bram dalej. On jednak nie uważał... Był na głodzie i koncentrował się przede wszystkim na bólu.

Lars ruszył wynajętym samochodem przez miasto. Ruch uliczny był niewielki, trwały wakacje. Zaparkował na Brahegatan, przecnicę od komisariatu. Położył sprzęt na kolanach, sprawdził, czy mikrofon w pokoju odbiera. Przeniósł sprzęt do bagażnika i wyszedł z samochodu z torbą i laptopem w ręku.

Szedł wbijając wzrok w ziemię, dotarł do ulicy Karla-vägen, minął jej środkowy odcinek i ruszył w kierunku Stureplan.

Ktoś szturchnął go w lewy bok. Delikatne szturchnięcie, spojrzał w tamtą stronę, szedł obok niego postawny mężczyzna.

- *Walk with me* - powiedział ze wschodnim akcentem.

Lars poczuł zimny dreszcz, wyciągnął rękę po swoją służbową broń.

Mężczyzna wskazał pistolet, który trzymał w prawej dłoni. Dał znak, by Lars oddał mu swój. Wszystko poszło szybko, już po chwili potężny mężczyzna miał w kieszeni kurtki pistolet Larsa, i idąc z nim ramię w ramię, prowadził go do zaparkowanego przy ulicy samochodu. Otworzył drzwi i wepchnął Larsa na tylne siedzenie.

- Nie ruszaj się i morda w kubek - powiedział siedzący za kierownicą Jens.

Ruszyli.

- Coście za jedni? - zapytał Lars.

Olbrzym dzielił go pięścią w twarz.

*

Pokój był obrzydliwy. Jak kajuta na łodzi. Z zewnątrz cały czas dobiegał szum autostrady, choć okna były uszczelnione.

Kiedy Jens z Michałem odjechali, wsiadła w taksówkę, pojechała na południe przez Essingeleden i dalej na autostradę E4 ku południowym przedmieściom. Motel mieścił się na Midsommarkransen, koło autostrady. Nie było recepcji, a jedynie lobby, w którym można się było zameldować, używając karty kredytowej - kartę dostała od Jensa.

Siedziała na łóżku i czekała. Była to chyba bardziej prycza niż łóżko, twarda i nieprzyjazna. Sophie od razu zadzwoniła do Jane. Jane wciąż miała tę samą odpowiedź. „Bez zmian”. Sophie przejrzała się w lustrze, które wisiało nad przytwierdzonym do ściany biurkiem. Zobaczyła żalną, przemęczoną postać - odwróciła wzrok.

Minęły wieki, zanim ktoś zapukał do drzwi. Sophie wstała i poszła otworzyć. Jens wepchnął do środka Larsa Vingego, drzwi zamknęły się za nimi automatycznie.

Vinge był zdezorientowany. Zastanawiał się, gdzie jest. Spojrzała na niego, wyglądał chorobliwie, był blady i osłabiony, miał cienie pod oczami - sprawiał wrażenie zamrożonego głodem. Krwiak koło nosa, w jednej z dziurek zaschnięta krew. Jens dał mu znak, by usiadł. Lars znalazł krzesło przy biurku.

- Mogę dostać coś do picia? - zapytał słabym głosem.

- Nie - odparł Jens.

Lars potarł oczy.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - zapytał Jens.

Lars nie odpowiedział, zamiast tego spojrzał na Sophie i rozciągnął usta w uśmiechu. Uśmiechał się, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy od dawna się nie widzieli. Sophie zrobiło się nieprzyjemnie.

Wcześniej widziała go tylko przelotnie. Teraz zrozumiała już dokładniej, jakiego typu jest to człowiek. Nie podobał jej się. Z Larsa Vingego emanowała osobliwa mieszanka niskiej samooceny i fałszywej pewności siebie. Był niestabilny, nieprzyjemny... i przestraszony.

- Ale nie musieliście tego robić.

- Czego?

Cały czas wpatrywał się w Sophie, lewą nogą wykonując mimowolne podrygi.

- Nie musieliście mnie w ten sposób porywać... I tak niedługo bym się z tobą skontaktował...

- Dlaczego? - zapytała Sophie.

Opuścił wzrok i patrzył w stół.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, słyszałem o Albercie. Jak on się czuje?

- Powiedz nam, co wiesz - odezwał się Jens.

Nastąpiła długa cisza.

- Gunilla chciała, żeby Anders i Hasse go złapali.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Coś było na rzeczy. Chcieli mieć haka na ciebie, Sophie, chcieli się upewnić, że z niczym nie wyskoczysz.

- Z czym miałabym wyskoczyć?

- Nie wiem, chyba się ciebie bali... Bali się, że zrobisz coś nieprzemyślanego, przecież ci grozili. Prędzej czy później coś byś zrobiła.

Sophie nie rozumiała.

- Ale dlaczego teraz?

Lars się zastanowił.

- Coś się szykuje...

- Opowiedz od początku - przerwał Jens.

Lars podniósł wzrok na Sophie i Jensa, wciąż się zastanawiał. Prawą dłoń położył na stole, wydawał się porządkować myśli. W końcu zaczął mówić. Najpierw niepewnie,

szukając odpowiednich słów, jednak po chwili początkowej płątaniny trafił na właściwe tory i już na nich pozostał. Opowiedział, jak po raz pierwszy skontaktowała się z nim Gunilla Strandberg i jak zaczął pracować pod jej kierownictwem. Jak szybko stracił z oczu cel tej pracy. O tym, jak śledził Sophie. Powiedział o mikrofonach w jej domu, o swoich raportach dla Gunilli i o tym, że nie wiedział o porwaniu Alberta. Że o niczym nie wiedział, bo nie wtajemniczali go w swoje sprawy.

Sophie to wszystko wydawało się nierzeczywiste. Siedział przed nią człowiek, który prześladował ją przez ostatnie tygodnie, i mówił o rzeczach przekraczających jej pojęcie. Stopniowo w głowie wyłaniał jej się obraz własnej osoby jako centralnej figury w czymś nieokreślonym. Mężczyzna opowiadał o ludziach, traktujących ją jako punkt wyjścia w śledztwie, które wydawało się nie mieć podstaw. O metodach pracy Gunilli Strandberg; o tym, że mężczyzną, z którym Sophie spotkała się na komisariacie, był Erik Strandberg, brat Gunilli; opisał jego nagłą śmierć. Opowiedział o próbach szantażowania innych osób z otoczenia Hectora i o chorobliwej obsesji, by wreszcie coś odkryć. A także o pracującym na czarno śledczym Andersie Asku i o przestępcy Hassem Berglundzie oraz o tym, jak ci dwaj zaatakowali Alberta.

Lars skończył opowiadać, spojrzął w stół i przeciągnął palcem po niewidocznej plamce.

- Mówiłeś, że zaczęło ci się to wszystko układać w jeden obraz. Jak on wygląda?

- Nie wiem... - podrapał się po czole. - Nasze życie jest zagrożone. Twoje i moje, Sophie... i Alberta, ale do tego już sami doszliśmy.

Popatrzył na Sophie i Jensa.

- To ty napisałaś kartkę, która była w skrzynce na list? - zapytała Sophie.

Lars pokiwał głową.

- I byłeś u mnie w domu?

Wytrzeszczył oczy.

-Co?

- Odpowiedz - nakazał Jens.

Lars zwiesił głowę, pokręcił nią. Utkwił wzrok w podłodze.

- Nie... - wymamrotał.

- Co „nie”?

- Nie, nie odpowiem na to pytanie - powiedział szep-tem.

Jens i Sophie spojrzeli na siebie. Stuknięty człowiek.

- Saab, dlaczego podpaliłeś saaba?

- Dopiero zaczynałem rozumieć, że mnóstwo rzeczy dzieje się za moimi plecami... Kiedy mi zabrałeś dokumenty i całą resztę, przyszła mi do głowy pewna myśl, wpadłem na pomysł. Wyjąłem z samochodu sprzęt do podsłuchu... podłożyłem ogień pod samochód i powiedziałem Gunilli, że sprzęt się spalił.

- Dlaczego?

Lars prawym palcem kreślił na stole kółka.

- Zacząłem ich podsłuchiwać.

- Kogo? - zapytał Jens.

- Gunillę, moich kolegów.

- Po co?

Lars przestał kręcić kółka, podniósł wzrok.

- Co powiedziałeś? - zapytał, jakby nagle zapomniał wszystko, o czym przed chwilą mówił.

- Dlaczego zaczęłeś podsłuchiwać swoich kolegów? - Jens powiedział to powoli i dobitnie.

Lars przywołał wspomnienie, przełknął ślinę.

- Ponieważ zrozumiałem, że dzieje się coś, do czego ja... do czego ja nie mam dostępu.

- Co? - zapytał Jens.

- Wtedy to wszystko było dla mnie jeszcze zbyt zaga-
twane, by się w tym połąpać... ale koniec końców miałem
rację.

Jens i Sophie czekali.

- Zamordowali moją dziewczynę.

Przestał rysować czworoboki.

- Słucham? - zapytała Sophie.

Lars podniósł wzrok na nią i na Jensa.

- Zamordowali Sarę, moją dziewczynę.

Michaił wracał samochodem do miasta, na tylnym siedze-
niu siedzieli Sophie i Jens.

- Boże święty - wyszeptał Jens.

Była tego samego zdania. Jej spojrzenie powędrowało za
okno, patrzyła na przejeżdżające koło nich niespiesznie sa-
mochody.

*

Michaił i Klaus ruszyli w drogę, pożegnanie było krótkie.
Rozległ się dzwonek do drzwi. Jens spojrzął na zegarek.

- Michaił najwyraźniej czegoś zapomniał - mruknął do
siebie.

Wyrzwał przez wizjer, spodziewał się zobaczyć dwóch
mężczyzn. Na zewnątrz stało ich jednak trzech, trzech męż-
czyzn zupełnie innego rodzaju: z zapadniętymi oczami, zmę-
czonych i jednocześnie podenerwowanych. Gosza z ogoloną
głową, Witalij z butelką likieru, Dmitrij z szeroko rozstawio-
nymi oczyma. Kurwa. Liczył na to, że dotrą do Sztokholmu
późnym wieczorem, i przygotował wszystko pod kątem tej
ewentualności. Najwyraźniej jechali bez postoju.

Jens odsunął się od drzwi i poszedł do kuchni. Sophie
zobaczyła wyraz jego twarzy.

- Co jest?

Jens nerwowym krokiem podszedł do okna w kuchni.

- Jens, co się dzieje?

- Przyjechali wcześniej, niż się spodziewałem. Musimy stąd iść, teraz.

Rozległo się łomotanie.

- Kto przyjechał?

Jens otworzył okno w kuchni.

- Nikt, kim warto by było zawracać sobie głowę. Chodź, musimy zmykać.

- Może po prostu powiem, że nie ma cię w domu.

- Nie chcesz tego, wierz mi.

Łomot zamienił się w szturm. Futryna zaczęła się trząść. Jens wskazał otwarte okno. Sophie chciała znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Rosjanie zaczęli kopać drzwi z całej siły. Rozległy się ich gorączkowe głosy. Jens wyszedł przez okno, odwrócił się i podał Sophie rękę. Spojrzała na niego, spojrzała na rękę, nie mogła się zdecydować. W końcu wyszła z kuchni i skierowała się w głąb mieszkania.

- Sophie! - syknął Jens.

Stopa przebiła drewniane drzwi, teraz podniesione głosy słychać było wyraźniej. Sophie wróciła z torebką, złapała Jensa za rękę i weszła na parapet. Odgłos łamanego drewna zmieszał się z krzykami wdzierających się do domu mężczyzn.

Wyszła na wąski gzyms. Był stary, obity blachą. Smagały go porywy wiatru. Trzymała się mansardowych okien, które ozdabiały górną część fasady. Znajdowali się wysoko nad ziemią, a blacha była śliska. Spojrzała w dół. Samochody były wystarczająco małe, by momentalnie wywołać strach przed śmiercią. Spojrzała w kierunku Jensa, ale widok był równie obezwładniający. Niebo nad jej głową wydawało się stanowczo za duże.

- Musimy przejść kawałek. Uważaj, drobne kroki - wyszeptał i ruszył w lewo.

Sophie poszła za nim. Z wnętrza mieszkania dobiegały głosy, Rosjanie miotali się po pokojach. Dmitrij ryczał z wściekłości, coś się rozbiło, mężczyźni zaczęli krzyczeć na siebie nawzajem. Sophie szła ostrożnie. Pociła się i trzęsła. Lęk wysokości zaczął w niej wzbierać niczym mdłości. Jens odwrócił się w jej stronę, spostrzegł jej strach.

- Jeszcze tylko kilka kroków - powiedział spokojnym głosem. - Dobrze ci idzie.

Powoli posuwali się w kierunku sąsiedniego mieszkania. Fasada była teraz inna, zaczął się kolejny budynek. Jens przystanął i próbował znaleźć sposób, by przedostać się dalej. Do następnego okna mieli trzy metry, przestrzeń na stopy była jeszcze mniejsza, ukośnie opadająca w dół i nie było się czego chwycić, tylko śliska blacha, której krawędź w kilku miejscach lekko wystawała. Sophie spojrzała przed siebie, dalsza wędrówka wydała jej się niemożliwa. Jens spróbował uchwycić się wystającego elementu, tylko palce miały oparcie.

- Nie da się - powiedziała Sophie.

Serce biło jej mocno. Czowała suchość w ustach, nie mogła przełknąć śliny.

Jens zmienił uchwyt, postawił jedną stopę, przytrzymał się krawędzi.

- Musimy się dostać do następnego mieszkania.

- Nie, to niemożliwe - odparła Sophie.

Strach przed śmiercią coraz bardziej ją obezwładniał. Chciała tylko usiąść i poczekać, aż ktoś po nią przyjdzie.

Jednym ruchem Jens przedostał się na sąsiednią fasadę. Stopy opierał na wąskim gzymsie, palcami ścisnął blaszaną krawędź, przez chwilę stał w bezruchu, sprawdzając, czy jest w stanie się utrzymać. Sophie popatrzyła na niego. To, co zamierzał zrobić, wyglądało na niewykonalne. Jej nigdy się to nie uda. Spojrzała w dół. Wszędzie widziała śmierć. Odychała szybko, po policzkach zaczęły spływać jej łzy.

- Oszalałeś, słyszysz?

Zobaczył jej łzy, zobaczył, w jakim jest stanie, zrobił jeszcze krok, przywarł do fasady i postawił parę małych kroczków, zbiały mu kostki u rąk. Zatrzymał się, oddychał głęboko. Kiedy odzyskał spokój, przeszedł jeszcze odrobinę dalej. Pokonał dwa metry, zbliżył się do okna, nie na tyle jednak, by go dosięgnąć.

W końcu do niego dotarł. Zatrzymał się, stanął pewniej, po czym, skupiony, wziął zamach nogą i tak mocno, jak potrafił, kopnął w szybę, która pękła. Teraz musiał przykucnąć, żeby odzepić haczyk, blokujący okno od wewnątrz. Puścił się krawędzi, ostrożnie ugiął kolana, włożył rękę do środka, otworzył okno i wszedł do pokoju. Wydawało się, że wszystko to zrobił jednym długim i przemyślanym ruchem.

Nie było go kilka sekund, po czym znów wyszedł na zewnątrz. Tym razem siedział pochylony na parapecie, wyciągając do Sophie rękę tak daleko, jak mógł. Teraz miała może metr mniej do przebycia, jednak niewiele to zmieniało. Wstała, poczuła podmuch wiatru. Jens przywołał ją do siebie gestem.

- No chodź!

Chciała odetchnąć głębiej, jednak strach jej na to nie pozwolił, wdychy były krótkie. Serce waliło tak mocno, że wydawało się zużywać cały tlen, który miała w organizmie. Wypuściła powietrze, ale gula w gardle pozostała.

- Dasz sobie radę, trzymaj się tylko mocno palcami - powiedział Jens.

Zaczęła dyszeć, a do oczu napłynęły jej łzy.

- Teraz! - powiedział Jens i machnął ręką.

Sophie zrozumiała, że ma tylko jedną możliwość: zrobić to, co Jens, chwycić się i przerzucić nogę.

- Sophie! - syknął Jens.

Z kuchni dobiegał krzyk Rosjan. Zamrugnęła, żeby pozbyć się łez, przełknęła gulę i wykonała ruch. Chwyciła

krawędź blachy, za plecami miała śmierć. Wydawało się jej, że wystarczy byle podmuch, by spadła. Zrobiła krok w lewo. Gzyms był pochyły. Wczepiła się palcami w blachę, pobielaly. Przygotowywała się, żeby zwolnić uścisk, wykonać kolejny krok i chwycić trzecie z kolei wystające miejsce. Wyrzuciła ramię do przodu, złapała się i szybko zrobiła krok w lewo. Jej stopa zaczęła się ześlizgiwać, palce zsuwać. Krzyknęła i poleciała.

Poczuła, jak chwyta ją za włosy. Ramię Jensa obejmowało jej kark. Na sekundę wszystko zrobiło się czarne.

Upadli na podłogę, wśród odłamków szkła. Sophie nie mogła się ruszyć. Leżała na Jensie. Miał wytrzeszczone oczy, a z czoła spływał mu pot. Spojrzeli na siebie.

- Udało ci się - powiedział.

Wstał i pociągnął ją w górę. Przebiegli przez mieszkanie, Sophie napędzała adrenalina. Zatrzymali się w korytarzu. Jens dał jej znak, by poczekała. Wybrał numer w komórce i po angielsku powiedział, że teraz to on potrzebuje pomocy. Po krótkiej rozmowie rozłączył się i właśnie miał wyjść na klatkę, kiedy dotarło do niego, że drzwi są zamknięte z zewnątrz.

- Klucze - powiedział.

Poszukiwania zaczęli w korytarzu, Sophie przetrząsała ubrania, Jens przeszukiwał szuflady w komodzie stojącej pod wielkim lustrem. Nic nie znalazł, ona także nie. Sprawdził szafkę, jeszcze raz komodę, jakby sam sobie nie wierzył. Sophie przeszukiwała wzrokiem korytarz, ściany, podłogę, futrynę, przestrzeń nad skrzynką z bezpiecznikami... Jest, haczyk, samotny klucz. Wyciągnęła rękę, chwyciła go, włożyła w zamek. Przekręciła - klik - drzwi się otworzyły.

Długimi susami zbiegli po schodach na ulicę, Jens przytrzymał Sophie ciężkie drewniane drzwi. Pobiegli do jego wynajętego samochodu i wskoczyli do środka.

W tej samej chwili, kiedy skręcali na ulicę, z bramy wybiegi Dmitrij. Jens docisnął pedał gazu i odjechał. Dmitrij z kolegami pobiegli do swojego samochodu.

Sophie wyjęła komórkę i wystukała numer.

- Cześć... To ja.

- Słyszę.

- Co robisz?

Nie odpowiedział od razu, być może zdziwiony jej bezpośrednim pytaniem.

- Nic nie robię.

- Możemy się spotkać?

- Kiedy?

- Teraz?

Znów zamilkł.

- Zaskoczyłaś mnie. Jasne, jestem w restauracji.

Przerwała połączenie, Jens manewrował między samochodami.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Nie... - odparła cicho.

- Dlaczego chcesz tam jechać?

- Mamy jakiś wybór?

- Zawsze jest jakiś wybór.

- Tylko tam mogą nas ochronić.

Jens spojrzął w lusterko, samochodu Dmitrija nie widział.

*

Hasse siedział w samochodzie zaparkowanym pod Trasten i ospale obserwował otoczenie. Dostał jasne wytyczne. Czeakać pod restauracją i się nie mieszać. Być może wyjdzie Aron Geisler i nawiąże z nim kontakt, może będzie to Ernst Lundwall. Hasse miał im na to pozwolić, pójść za nimi do środka. Kiedy już tam będzie, zadzwoni do Gunilli i opowie, jak poszło, co mu powiedzieli mężczyźni. Jednak przede

wszystkim chodziło o to, by dopilnował przelewu. Kiedy Gunilla też się upewni, że pieniądze zostały przelane, powinien, o ile będzie miał taką możliwość, zastrzelić Hectora Guzmana i Arona i sprawić, żeby wyglądało to na obronę własną - *case closed*.

Anders gonił na oślep po mieście, szukając Sophie i Larsa, byli do odstrzału, zwłaszcza Sophie. Trzeba ją było usunąć, może to i smutne... A może nie, nie wiedział już, co czuje. Zabicie dziewczyny Larsa gruntownie go zmieniło, coś w nim umarło, coś zniknęło. Prześladowało go jednak ogromne poczucie winy. Nie opuszczało go ani na chwilę. Chciał znowu zabić, żeby odbieranie życia stało się nawykiem. Może wtedy uwolni się od wyrzutów sumienia.

Jakiś samochód przejechał obok, Hasse śledził go wzrokiem, pojazd przyhamował koło wolnego miejsca kawałek dalej i zaparkował. Wyskoczył z niego mężczyzna i zaczął na kobietę, która wysiadła od strony pasażera. Hasse potrzebował kilku sekund, ty zrozumieć, kim oni są. W końcu tę kobietę widział tylko przelotnie, kiedy próbował ją udusić. Weszli do restauracji.

Hasse zadzwonił na komórkę Andersa. Anders się nakręcił, kazał mu czekać, nie wychylać się, i powiedział, że już jedzie.

Chwilę później kolejny samochód zaparkował przy tej samej ulicy, miał rosyjskie numery, ale Hasse nie zwrócił na niego uwagi. Przygotowywał się na to, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu, a może nawet trzy. Sprawdził pistolet, odbezpieczony, kula wprowadzona do lufy.

*

Restauracja była zamknięta. Hector siedział przy stole z Aronem, Erntem Lundwallem i Alfonsem Ramirezem. Stół zamienili w miejsce pracy. Alfonse siedział przed komputerem

z dostępem do internetu, Ernst przeglądał stertę dokumentów, Hector i Aron liczyli coś na kartce. Alfonse pił wino, reszta kawę.

Kiedy w restauracji zjawiła się Sophie w towarzystwie Jensa, Hector nadal nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia. Już miał coś powiedzieć, kiedy Sophie go ubiegła.

- Musimy porozmawiać - rzekła.

Hector wstał i pokazał, że mogą usiąść przy stoliku kawalek dalej.

Podsunał jej krzesło. Kiedy usiadła, zajął miejsce naprzeciwko niej. Czekał, aż odezwie się pierwsza.

Sophie wzięła głęboki oddech, rzuciła spojrzenie na Jensa, który znalazł sobie miejsce przy pustym stoliku, potem zerknęła na Ernsta, Arona i nieznanego mężczyznę - wydawali się pogrążeni w pracy.

- Przeszkadzam? - zapytała.

Hector potrząsnął głową i wskazał Jensa.

- Co on tu robi?

Miała wrażenie, że wszystko jest nie tak, chciała, żeby było inaczej.

- O nim za moment - powiedziała, opanowała się i zastanowiła, jak najlepiej zacząć. Położyła dłonie na kolanach i przygotowała się na to, co mogło się okazać samobójczym posunięciem.

- Mój syn, Albert, leży w szpitalu. Ma złamany kręgosłup, potracił go samochód.

Na twarzy Hectora pojawił się wyraz przerażenia, miał zamiar o coś zapytać, ale Sophie podniosła dłoń.

Ponownie spróbowała:

- Ponad miesiąc temu skontaktowała się...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Drzwi do restauracji otworzyły się z hukiem i zawisły na jednym zawiasie.

- Jeans!

Głos był podniesiony. Dmitrij wkroczył do środka, trzymając rewolwer w opuszczonej dłoni. Za nim pokazali się Gosza z pałką i Witalij z pistoletem. Dmitrij dostrzegł Jensa.

- *Missed me?*

Jens spojrział na niego z niesmakiem. Hector i Aron wymienili spojrzenia, jakby próbując zrozumieć, kim są ci mężczyźni.

- Czego chcesz? - zapytał Jens.

Dmitrij wskazał pistoletem na siebie, udając zdziwionego.

- Czego chcę? Nieważne... Bo teraz tu jestem... mam za sobą kurewsko długą podróż, podczas której w kółko wyobrażałem sobie, że cię zabijam.

Sophie zobaczyła, że Jens wystukuje coś pod stołem na klawiaturze telefonu. Ostrożnie popatrzyła po pokoju. Aron się nie ruszał, nieznajomy bujał się spokojnie na krześle, popijając drobne łyki wina. Ernst Lundvall wpatrywał się w stół. A Hector... siedział w absolutnym bezruchu i uśmiechał się do niej uspokajająco.

Jens wstał, Sophie dostrzegła, że jednocześnie wkłada telefon do kieszeni.

- Powiedziałem Risto, co miałem do powiedzenia, on ci to przekazał... Jeśli przejechałeś taki kawał drogi, licząc na to, że zmienię zdanie, to twoja podróż poszła na marne.

Dmitrij przyglądał mu się z półotwartymi ustami. W końcu najwyraźniej się zmęczył, skinął na Goszę, ten zaś podszedł do Jensa i kilkakrotnie uderzył go pałką po głowie. Jens upadł na podłogę, Dmitrij natychmiast znalazł się przy nim i zaczął go kopać. Witalij pilnował pozostałych, trzymając ich na muszce. Atak na Jensa był gwałtowny i bestialski. Sophie nie chciała na to patrzeć.

Jens myślał, że kopniaki ustaną, tak się jednak nie stało. Nagle poczuł, że za chwilę umrze, że Dmirij jest na tyle

chory, by skopać go na śmierć. Skulił się, próbując się osłonić. But Dmitrija trafiał wszędzie: w głowę, w szyję, w plecy, w brzuch. Po jakimś czasie Dmitrij zmienił taktykę i zaczął deptać Jensowi twarz.

- Już wystarczy! - krzyknął Hector.

Dmitrij przestał, spojrzał na Hectora, był zdyszany.

- Kim ty jesteś... *nigger*?

Sophie zobaczyła, że coś w oczach Hectora zapłonęło. Wybuchł w nich jakiś płomień. Nie była to zwyczajna złość. To było coś innego, coś większego. Aron dostrzegł, w jakim Hector jest stanie, i potrząsnął ze spokojem głową. Nawet nieznajomy, który dotąd okazywał talde opanowanie, miał teraz inny wyraz twarzy.

Dmitij chwycił skatowanego Jensa, podniósł z podłogi i spojrzał w jego pokiereszowaną twarz.

- Wiesz, ile na to czekałem, rzygać mi się chciało od tego twojego pierdolonego zadzierania nosa...

Dmitrij nie był w stanie skończyć, uderzył Jensa na oślep pięścią w tył głowy, Jens runął na podłogę. Gosza wyjął małe pudełeczko i zaczął wciągać biały proszek prosto ze wskazującego palca. Nałożył nową dawkę i podsunął palec pod nos Dmitrijowi. Dmitrij wciągnął i ryknął, jakby chciał przekazać wszystkim w pokoju jakąś prymitywną siłę. Podeszedł znowu do Jensa, chwycił go za kołnierz, podniósł do połowy, zamierzył się prawą ręką i ze wszystkich sił uderzył. Pięść trafiła Jensa w oko, rozległo się plaśnięcie. Dmitrij oddychał szybko, podekscytowany wymierzeniem Jensowi tak silnego ciosu. Pochylił się, by zaserwować mu powtórkę.

- Przestań - krzyknęła Sophie. Po policzkach spływały jej łzy.

Dmitrij nagle ją dostrzegł. Ucieszył się, jakby była prezentem, którego się nie spodziewał. Podeszedł do niej, spojrzał w dół, chwycił Sophie za brodę. Nachylił się ku jej twarzy.

- Jesteś jego kurwą?

Zalatywało od niego.

- Jesteś jego kurwą... A jeśli nie... to jesteś kurwą kogoś innego. Bo jesteś kurwą i już!

Dmitrij popatrzył na kolegów i roześmiał się zaskoczony, jakby to, co przed chwilą powiedział, było naprawdę przednim żartem.

- Czyli jest kurwą kogoś innego! - powtórzył. Witalij i Gosza zaśmiali się przesadnie głośno.

Dmitrij trzymał Sophie za brodę.

- Kiedy ten na podłodze umrze, będę cię pieprzył... na oczach wszystkich.

Hector zdrzął z wściekłości. Siedział ze wzrokiem utkwionym w stół, oddychał ciężko i zapamiętale zgrzytał zębami. Płonęła w nim nienawiść, Sophie dostrzegła to kątem oka, był rozpalony z wściekłości. Aron obserwował go czujnie.

Teraz Dmitrij wyglądał na skonfundowanego, jakby nie pamiętał, dlaczego tu jest. Znów wyciągnął pistolet i kiwnął nim w kierunku stołu, przy którym siedzieli Aron, Alfonse i Ernst.

- Coście za jedni? Co wy tu robicie? Skąd znacie tego skurwiela?

Wskazał pistoletem leżącego na podłodze Jensa, nikt nie odpowiedział. Dmitrij podszedł do stołu i przystawił lufę do czoła Alfonse'a. Ten zachował spokój. Dmitrij się zniecierpliwił i zrobił kilka kroków w stronę Hectora i Sophie. Wycelował w Sophie.

- Ty, kurwo, gadaj!

- Zabierz pistolet - wyszeptał Hector.

Dmitrij spróbował naśladować Hectora. Nie wyszło mu, zapomniał, co Hector właśnie powiedział. Przytknął więc broń do głowy Sophie. Sophie zamknęła oczy.

Leżący na podłodze Jens lekko się poruszył.

- Dmitrij... - wysyczał zmasakrowanymi ustami.

Dmitrij się obrócił.

- Tak?

- Risto powiedział, że w Moskwie nikt już nie chce mieć z tobą do czynienia... Że ciągle się ośmieszasz... Za każdym razem - wyszeptał Jens.

Dmitrij rozejrzył się po pokoju, po czym znów spojrzął na Jensa.

-Co?

- Jest taki typ ludzi, którzy nic nie potrafią, którzy są niezdolni, nieudacznicy... całkowicie pozbawieni talentu... którzy próbują zrównoważyć swoje niepowodzenia ciągłym robieniem wszystkiego nie tak... co sprawia, że są wiecznymi przegranymi. Ty, Dmitrij, jesteś kimś takim i wszyscy o tym wiedzą.

Jens uśmiechnął się mimo bólu.

- Wszyscy oprócz ciebie. Nawet twoja matka... Ta zdzira! Twoja dziadka, Dmitrij... Która pieprzyła się z każdym jęłopem w tej twojej zacofanej wsi... Nawet ona!

Jens wybuchnął śmiechem, wiedział, że jego gadka da Sophie trochę czasu. Może niewystarczająco dużo, ale co mógł zrobić? Jedyłą jego nadzieją było to, że Aron albo ktoś inny ma broń i zacznie strzelać. Tak się jednak nie stało.

Jens widział, jak Dmitrij unosi broń w jego kierunku, zajął wprost w ciemną lufę, przez chwilę zastanawiał się, w co trafi go kula, czy będzie bolało i jak długo potrwa, zanim umrze. Czy spotka dziadka Esbena. I czy zaczną gadać te same durnoty co zawsze, kiedy się widzieli.

Palec Dmitrija zaczął się zaciskać na spuście; w tej samej chwili przy drzwiach rozległo się chrząknięcie. Rosjanin się odwrócił. Zobaczył dwóch mężczyzn, wielkiego byka oraz żylastego typa z rzadkimi włosami i ręką na temblaku. Mieli wyciągniętą broń i zdążyli już wejść do restauracji. Przez

moment wydawało się, że akcja w tym miejscu się zatrzyma, że wszystko zamrozi się w tej właśnie chwili, że Bóg włączył stop-klatkę. Nie zrobił tego jednak.

Hector wiedział, co się zaraz stanie. Rzucił się na Sophie i powalił ją na podłogę. W tej samej chwili rozległ się zdwojony huk, kiedy Michaił i Klaus jednocześnie otworzyli ogień. Kule przeszły Goszę i Witalija, zanim ci zdążyli się ruszyć. Krew, kawałki kości i domowej roboty wschodnie narkotyki poleciały po restauracji.

Sophie uderzyła o podłogę, przygnieciona ciężarem Hectora. Kawałek dalej ujrzała zmaltretowanego Jensa. Zobaczyła na podłodze dwóch mężczyzn, ich zwiotczałe kończyny i podziurawione ciała. Zobaczyła Dmitrija, który wciąż nie rozumiał, co się stało. Zobaczyła Jensa, który w ostatnim przyływie adrenaliny jednym ruchem chwycił Dmitrija za ramię, przewrócił na podłogę i obezwładnił. Potem złapał go za włosy, przyciągnął do siebie i pozwolił mu zajrzeć w swoje oczy, a potem zaczął systematycznie miażdżyć mu nos, oczy i zęby kanonadą stalowych ciosów. Nie potrafiła pojąć, skąd bierze taką siłę. Skądś ją jednak miał. I nikt nie mógł go powstrzymać przed słuszną zemstą. Dmitrij charczał, prosił o litość i połykał wybite zęby. Sophie odwróciła się w kierunku stołu. Dym z broni i biały proszek zasnuły pomieszczenie mgłą. Zobaczyła, jak Aron Geisler wstaje z podłogi, celując z rewolweru w Michaiła i Klause. Widząc, co się stanie, Sophie i Jens krzyknęli jednocześnie.

- Aron, nie!

Zrobiło się zamieszanie.

Michaił i Klaus wymierzili w Arona.

- Oni nie przyszli tu po was! - krzyknęła Sophie.

Aron, celując w mężczyzn, najwyraźniej nie słuchał. Oddał dw^{ra} strzały. Michaił i Klaus w tym samym czasie wystrzelili z pistoletów. Rozległ się huk. Aron schował się za filarem. Pociski utkwily w filarze, posypał się tynk.

- Nie przyszliśmy tu po was! - krzyknął Michaił.

Aron gwałtownie podniósł broń i wystrzelił dwa razy na oślep. Kule trafiły w ścianę za plecami Michaiła i Klauusa. Sophie krzyknęła, Jens krzyknął, Aron wystrzelił znowu.

- Mogę zastrzelić Hectora Guzmána tu i teraz! Ale popatrz, odkładamy broń! - ryczał Michaił.

On i Klaus położyli broń przed sobą na podłodze. Aron odczekał chwilę, dwa razy wyjrzał zza filaru. Kiedy zobaczył, że są nieuzbrojeni, wyszedł, celując z rewolweru w Michaiła.

- Dlaczego tu jesteście.

Michaił wskazał głową Jensa, który z rozbitą twarzą dusił Dmitrija ramieniem. Aron nadal celował w Michaiła.

- Gadaj.

- Ja mogę wytłumaczyć - odezwała się Sophie.

W pomieszczeniu rozległ się kolejny strzał. Zamieszanie było kompletne, Michaił, Aron, Klaus i Hector wrzeszczeli i pokrzykiwali do siebie. W drzwiach stał pochylony Hasse, a za nim Anders. Michaił przypomniał ich sobie ze szpitala. Podniósł pistolet z podłogi i już miał wystrzelić, Hasse i Anders zdążyli się jednak skryć za ścianą.

- Policja! - wrzasnął Hasse Berglund z paniką w głosie.

Zapadła cisza, po chwili Hasse i Anders ukazali się znowu.

- Policja! - powtórzył Hasse.

- Hector! Umawialiśmy się! - krzyknął Anders.

Aron popatrzył na Hectora. Ich spojrzenia się spotkały, Hector potrząsnął głową. Aron dał znak, że zrozumiał, uniósł pistolet, wymierzył i trzymał na muszce Andersa. Michaił i Klaus mieli na celowniku czoło Hassego. Jens podniósł z podłogi pistolet Dmitrija, położył się na plecach, wymierzył. Pocisk powędrował pomiędzy Michaiła a Klauusa.

Sześć luf skierowanych było w tułowie i głowy. Hasse był pierwszym, któremu zadrżała ręka.

- Opuśćcie broń - powiedział, tym razem trochę cieńszym głosem.

- Nie. Wejdźcie tutaj i połóżcie broń na podłodze. Nas jest czterech, was dwóch... Sami policzcie, jak to się skończy

- powiedział Aron.

Anders próbował uratować sytuację.

- Wycofamy się stąd. Zostawimy was...

- Cofnijcie się, a strzelimy.

Aron miał pewny głos i pewną rękę.

Sophie obserwowała wszystko z podłogi, przygnieciona przez Hectora. Jens był wycieńczony, obficie krwawił. Nie rozumiała, jak to możliwe, że nadal udawało mu się celować w policjantów bez zmieniania pozycji.

Aron przeładował broń, by nie musieć się powtarzać.

Hasse położył broń na ziemi, odepchnął od siebie i klęknął na czworakach. Wszyscy celowali teraz w Andersa. Ten popatrzył na skierowane w jego stronę lufy, uśmiechnął się lekko, porzucił jakąś przelotną myśl, położył pistolet na podłodze i wszedł do środka.

Powrócił status quo. Jens wiedział, że Aron nigdy nie opuści pistoletu pierwszy.

- Michaił - syknął.

Michaił zrozumiał i znowu opuścił broń, Klaus zrobił to samo. Sophie poczuła, jak Hector wstaje, zobaczyła bijącą z niego nienawistną żądzę, gdy zbliżał się do Dmitrija, który leżał nieprzytomny na podłodze. Chwycił Rosjanina za jedno ramię i pociągnął za sobą. Za nim pojawił się Alfonse Ramirez, który chwycił Dmitrija za nogę i razem zniknęli z nim w kuchni, jakby w tej chwili liczył się tylko odwet, zaspokojenie żądz zemsty.

Aron popychał przed sobą Andersa i Hassego w kierunku kuchni i biura.

Sophie usiadła, spojrzała Andersowi i Hassemu w oczy, kiedy ją mijali. Zbliżyła się do Jensa, położyła jego głowę na swoim kolanie. Było z nim źle. Mięśnie twarzy były stłuczone, kości pogruchotane, brakowało zębów, pewnie był cały połamany. Oddychał świszcząco.

Sophie była wydrenowana psychicznie, chciało jej się wymiotować, pragnęła stamtąd uciec jak najdalej od siebie, jak najdalej od wszystkiego. Siedziała jednak w nieszczęsnej restauracji, gładziła Jensa po głowie. Widziała, jak Klaus i Michał podnoszą z podłogi broń. Widziała zwłoki Rosjan w dziwacznych pozach. Błatego i przerażonego Ernsta Lundwalla, który pośpiesznie opuścił lokal z teczką w dłoni i laptopem pod pachą. Oczywiście wyobraźni widziała cierpienie Alberta, widziała go leżącego w szpitalnym łóżku

- nieprzytomnego, samotnego, zmalretowanego. Jej myśli wędrowały, ona zaś desperacko próbowała się ucześcić jakiegoś okrucieństwa rozsądku - może to dzięki ręce, która gładziła Jensa po włosach, Sophie się nie rozsypała. Tam i z powrotem, cały czas ten sam ruch. Skoncentrowała się na dotyku jego włosów. Jens był ciepły. Zamknęła oczy, próbowała skupić się tylko na tym, co teraz robi, nie myśleć o tym, co ma dookoła siebie, ani o tym, co się przed chwilą stało. Tam i z powrotem, miękkie pociągnięcia dłonią, pomaluu...

Nagle koło niej usiadł Michał, zaczął badać Jensa.

- Idziemy - powiedział cicho.

Odwrócił się do Sophie, być może dostrzegł jej strach. Nic na ten temat nie powiedział, tylko wstał i skierował się do wyjścia. Klaus podszedł do niej, łamanym angielskim powiedział coś, co wzięła za zapewnienie, że jest jej coś winien, że dwa razy uratowała mu życie i że nie rozumie, dlaczego to zrobiła. Szukał jeszcze innych sposobów wyrażenia swoich myśli, ale nie znalazł. Zamiast tego wyjął

długopis, pochylił się nad biurkiem, zapisał coś na serwetce i wręczył ją Sophie. Sophie spojrzała na serwetkę, widniało tam nazwisko Klaus Köhler i numer telefonu. Spojrzała mu w oczy. Klaus odwrócił się i wyszedł za Michaiłem z restauracji.

Hector wyszedł z kuchni z podwiniętymi rękawami, zakrwawionymi pięściami i wytrzeszczonymi oczyma. Popatrzył na panujący w pomieszczeniu chaos, a następnie na Sophie, która siedziała na podłodze i trzymała na kolanach głowę Jensa. Coś się w nim zmieniło, był jak naładowany. Dwoma tysiącami woltów. Coś się w nim zagotowało, coś, czego nie mógł kontrolować. Nie spuszczał wzroku z Sophie, odniosła jednak wrażenie, że jej nie widzi. Już miał coś powiedzieć, kiedy nieznany mężczyzna wyszedł z kuchni. Umyty i doprowadzony do porządku pocałował Hectora w policzek. Zamienili prędko kilka słów po hiszpańsku. Mężczyzna skierował się do wyjścia, uśmiechnął się do Sophie, przechodząc obok, i wyszedł zdemolowanymi drzwiami. Hector wrócił do kuchni.

Nie powiedziała tego, co chciała powiedzieć. Teraz w środku byli Anders Ask i Hasse Berglund. Mężczyźni, którzy potracili samochodem jej syna, którzy próbowali ją zabić.

Sophie ostrożnie położyła głowę Jensa na podłodze, wstała i przeszła przez kuchnię, mijając po drodze Dmitrija. Siedział martwy na krześle pośrodku pomieszczenia, z głową odgiętą do tyłu. Zdążyła zauważyć, że w serce ma wbity nóż, jedno oko zwisa mu z oczodołu, a krzesło stoi w wielkiej, kilkulitrowej kałuży krwi.

- Hector Guzman! - usłyszała głos Andersa dobiegający z gabinetu.

Zatrzymała się, drzwi były uchylone. Zobaczyła Andersa przypiętego kajdankami do kaloryfera przy biurku, obok niego siedział Hasse. Zobaczyła Arona pracującego przy

komputerze. Wychyliła się do przodu i dostrzegła Hectora
- wycierał ręce w mokry ręcznik, jego zakrwawiona koszula
była rzucona na podłogę.

- Musimy nadzorować przelew... - powiedział Anders.

Hector nie odpowiadał.

Anders nadrabiał miną.

- Zaczynamy? - zapytał.

Sophie usiłowała zrozumieć, o czym mówią.

Hector wyciągnął z biurka szufladę, wyjął z niej nową
koszulę i rozdarł folię.

- Moim zdaniem wygląda na to, że jesteś przykuty do
kaloryfera - powiedział i zaczął wyciągać liczne szpilki.

- Wystarczy więc mnie odpiąć, zrobimy to, na co uma-
wiałeś się z Gunillą, i już nas nie ma.

Gunilla? Sophie pomyślała, że nic jej już nie zdziwi.

Hector wskazał ręką w kierunku restauracji.

- Sytuacja się zmieniła. Nie będzie żadnego przelewu na
wasze konto po tym wszystkim, myślę, że rozumiesz - po-
wiedział i strzepnął koszulę.

- Okej. Idziemy stąd, nic nie widzieliśmy - powiedział
Anders, daremnie próbując zawrzeć coś w rodzaju kompro-
misu. Hectorowi nawet nie chciało się odpowiadać na jego
propozycję. Wciągnął koszulę.

- Nie bądź głupi, Hector!

Słowa Andersa brzmiały nieprzyjemnie. Aron przerwał
pisanie, odwrócił się do Andersa. Hector wstał.

- Co proszę? - wyszeptał.

Anders wydawał się niewzruszony.

- Możemy ci pomóc... Jeśli tylko nas puścisz. Razem
przelejemy pieniądze, zabierzemy świadków, wyjdziemy
z restauracji i jesteś wolny.

Hector zapiął koszulę i podniósł wzrok.

- Wolny? - powiedział głucho.

- Tak, wolny.

- Dziwny z ciebie facet. Wydaje ci się, że wszyscy są tacy głupi jak ty?

Anders już miał odpowiedzieć, łdedy Hector podniósł rękę. Ostatni guzik zapiął, przyciskając brodę do piersi.

- Cicho bądź - powiedział.

Terier Anders nie dał jednak za wygraną.

- Pozwól nam zabrać świadków i stąd odejść, tylko o to proszę.

Sophie wstrzymała oddech.

- Kogo?

- Świadków.

- Których świadków?

- Tę Sophie i faceta, jej przyjaciela. Nie mają z tym nic wspólnego.

Hector spojrzał na Andersa.

- Skąd to wiesz?

- Po prostu wiem.

Sophie usłyszała jakiś dźwięk i się odwróciła. Za jej plecami stał Carlos Fuentes i wlepił w nią wzrok. Wydawał się malutki, niechciany, przygarbiony. Potrząsnęła powoli głową, dając mu do zrozumienia, że ma być cicho i nie zdradzić jej obecności. Oczy Carlosa były zimne. Poszedł gdzie indziej.

Znów siedziała przy Jensie, łdedy usłyszała za sobą jakiś odgłos. Hector i Aron wyszli. Hector w nowej koszuli, marynarce i z teczką w dłoni.

- Sophie?

Prawie szeptał.

- Musisz pójść ze mną.

- Dlaczego?

Nie miał czasu na odpowiedź.

- Policja może tu być w każdej chwili, ci w biurze cię widzieli.

Znów zobaczyła jego inne oblicze, trzymał się na dystans.

- A Jens? - zapytała.
- Aron mu pomoże.
- Dokąd pojedziemy?
- Wyjedziemy stąd... przede wszystkim.

Zrozumiała, że nie ma wyboru. Anders i Hasse siedzieli w gabinecie, w restauracji były trzy trupy, Gunilla i Hector robili razem interesy... Była bez szans. Czy Anders powiedział o niej Hectorowi?

Sophie spojrzała na Hectora, później na Arona, próbowała cokolwiek z nich wyczytać. Widziała tylko pośpiech i niecierpliwość.

Nachyliła się do Jensa, pocałowała go w głowę, przez krótką chwilę miała nadzieję, że się obudzi, wstanie, weźmie ją za rękę i uciekną. Nie zrobił tego jednak. Nie zrobił nic, był zmasakrowany i nieprzytomny, ledwo zdolny samodzielnie oddychać. Sophie wstała, wzięła torebkę i pospieszyła za Hectorem do drzwi.

*

Zapach prochu i śmierci nadal unosił się w pomieszczeniu.

Carlos patrzył na swoją restaurację. Kiedy padły pierwsze strzały, był w kuchni i przepuszczał przez maszynkę części Leffego Rydbäcka. Przerwał i schował się za szafką. Kiedy jednak Hector i Kolumbijczyk przyciągnęli tu Rosjanina, by go zabić, Carlos wycofał się i ukrył w biurze. Słyszał, jak Hector rozmawia przez telefon z ojcem, jak prosi go, by przysłał G5 na lotnisko Bromma. Carlos przemknął do restauracji i schował za barem.

Nie wiedział, kto jest kto, ale policjantów rozpoznał, byli to Kling i Klang. Leżąc z nosem przy zimnej podłodze, modlił się do Boga, by oszczędził jego żałosne życie. I Bóg to

uczynił. Carlos znów przekradł się do kuchni, spotkał tam Sophie, podsłuchującą Hectora, a później znalazł jeszcze jedną kryjówkę i czekał w niej do czasu, aż Hector i kobieta zniknęli. Do restauracji wszedł Aron, podniósł rannego Jensa i zarzuciwszy go sobie na plecy, wyszedł.

Teraz panowała cisza, nikogo nie było, tylko policjanci w kajdankach, którzy siedzieli w biurze.

Rozejrzał się po pandemonium krwi i trupów, zastanowił przez chwilę i drżącymi palcami wystukał numer.

- Gentz - odezwał się Roland.
- Mówi Carlos... ten, co ma restaurację w Sztokholmie.
- Tak?
- Są tu martwi ludzie...
- Aha?
- Potrzebna mi wasza pomoc. Mogę ci coś za to dać.
- Co?
- Mogę powiedzieć, gdzie jest Hector.
- Już to wiemy.
- Gdzie?
- W Sztokholmie.
- Nie.
- No to gdzie?
- Pomożecie mi?
- Może.
- Malaga, za kilka godzin.
- Jakiej pomocy potrzebujesz?
- Ochrony.
- Przed kim?
- Przed wszystkimi.
- Gdzie teraz jesteś?
- **W Sztokholmie.**

- Pojedź gdzieś, przeczekaj, zadzwoń do mnie znowu, zobaczę, co da się zrobić... Powiedziałeś, że są martwi ludzie. Kto nie żyje?

- Nie wiem.

Gentz odłożył słuchawkę. W oddali rozległy się policyjne syreny. Carlos wyszedł z restauracji.

24

Dom Gunilli leżał na uboczu. Wyglądał bardziej jak domek letniskowy niż mieszkanie komisarza policji. Niedawno rozmawiał z nią przez telefon, była na Brahegatan. Powiedział, że szukał Sophie wszędzie. Poprosiła, żeby przyszedł. Odparł, że nie może. Potem nastąpiła chwila ciszy, zapytała, czego sobie życzy.

- Tylko się zameldować - odpowiedział.

Lars zaparkował swój samochód kilka przecznic od jej domu. Wszedł do ogrodu, przeszedł pod jabłonką i z trawnika skręcił na zwirową ścieżkę, prowadzącą na werandę.

Zamek był nowoczesny i nie dało się go otworzyć wytrychem. Obszedł dom naokoło, sprawdzając okna. Wszystkie były zamknięte i zaryglowane. Lars znalazł schodki do piwnicy, drzwi znajdowały się poniżej poziomu ziemi, były solidne, miały szybkę, a po wewnętrznej stronie prawdopodobnie zamek obrotowy. Naciągnął rękaw na dłoń i rozbił ornamentowe szkło. Włożył rękę do środka i pomacał. Zgadza się, zamek obrotowy. Przekręcił go i wszedł do piwnicy.

Biegając, przeszukiwał pomieszczenia wzrokiem. Składzik, spiżarnia, niedawno zainstalowana pompa geotermalna z grzałką elektryczną, schody wiodące do mieszkania na górze. Pokonał je kilkoma długimi krokami, otworzył drzwi i wszedł do kuchni, jakby żywcem wyjętej z angielskiego czasopisma wnętrzarskiego. Nowa kuchenka w starym stylu, drewniana podłoga z dużych desek, olejowanych

i lakierowanych. Piękna wiekowa szafka. Lars szedł dalej przez kuchnię, skręcił do dużego pokoju, dotarł do gabinetu. Biurko, lampa z zielonym szklanym kloszem, szafka na dokumenty - zamknięta. Otworzył ją śrubokrętem, który znalazł w najniższej szufladzie w kuchni. Podważany metal zgrzytał, w końcu szafka stanęła otworem. Wisiał w niej rząd dokumentów. Przerzucał je palcami, szukając Sophie Brinkmann, nie znalazł. Przeskoczył do G - Hector Guzman - nic... Tylko mnóstwo nazwisk policjantów, które nic mu nie mówiły. Wszystkie w porządku alfabetycznym... Przeglądał dalej. Chwileczkę, tu coś jest... Berglund. Hasse Berglund. Legitymacyjne zdjęcie tego knura Hassego, różne świadectwa pracy. W prawym rogu dopisek ołówkiem: „brutalny”. Lars dalej przeszukiwał teczek. Znalazł Evę Castroneves, nie było żadnego dopisku ołówkiem... tylko narysowana gwiazdka. Taka, jaką nauczycielka rysuje dzieciom w zeszytach. Poszukał litery V Znalazł siebie. Wyciągnął teczkę i otworzył. Zdjęcie było stare, to samo miał w legitymacji służbowej. Słowa napisane ołówkiem w prawym rogu nie chciały najpierw do niego dotrzeć, tak jakby ich nie rozumiał. Dopisek brzmiał: „niestabilny emocjonalnie”.

Lars złożył teczkę i schował z powrotem. W jego głowie na chwilę zapanowała absolutna cisza, patrzył w niebyt. Po chwili wrócił do świata żywych.

Usiadł na krześle przy biurku, pootwierał szuflady: kartki papieru, spinacze, długopisy, okulary do czytania, miarka... kilka banknotów i monet. Dolna szuflada była zamknięta, również i ją wyważył.

Papiery, notatki, listy, wszystko włożył do ldeszeni. Po raz ostatni obrzucił spojrzeniem pokój, a następnie zszedł do piwnicy. Tam przeszukał każdy kąt i zakamarek. Poczul parcie na pęcherz, przyspieszył poszukiwania. Wszedł do kotłowni, światło latarki tańczyło po ścianach, suficie, podłodze. Schowek na szczotki pod schodami, stary odkurzacz

Nilfisk z rurą zawieszoną na metalowym wieszaku w kształcie półksiężyca. Mop i wiadro, ścierki i środki czystości - zapach wczesnego, nieperfumowanego ajaxa, rozmazane, wyrwykowe wspomnienia z dzieciństwa, z których szybko się otrząsnął.

Wszedł do spiżarni, w środku było pełno konserw. Przeżyłby tu wojnę nuklearną. Omiótł światłem latarki sufit, przykucnął i przeskakał podłogę. Wstał i sprawdził za konserwami... Coś błysnęło. W najgłębszej części, za fasolą, kukurydzą i zupami Campbella we wszystkich smakach... Rozsunął puszkę ręką, konserwy poleciały na podłogę. I meszcie to zobaczył, znalazł skarb. Pokrętko, a wokół niego cyfry, solidna stal - stary sejf, trzydzieści na trzydzieści centymetrów, wbudowany w ścianę. Radość trwała jednak krótko... Jak, do cholery, ma to otworzyć? Rzut oka na zegarek, miał może godzinę, może mniej. Co ma robić przez ten czas? Obracać pokrętkiem na chybił trafił? Próbował myśleć... notatki w kieszeni! Lars usiadł, notatki rozłożył przed sobą na podłodze, latarkę włożył do ust. Zaczął czytać, cholerna masa słów i pytań, przerzucał strony i szukał, nigdzie nie było żadnego numeru.

Wbiegł do góry, z powrotem do pracowni, wziął ze sobą tyle teczek z szafki, ile tylko mógł unieść, zszedł do piwnicy, położył je wszystkie na podłodze. Ta sama trasa trzy razy. Za czwartym wziął ze sobą stare rachunki i papiery, które leżały na biurku, z dużego pokoju zabrał lampę. Ukłęknął, lampa oświetlała sejf. Grzebał w rachunkach, znalazł jej PESEL, wstał, wykrecał numer dwucyfrowymi seriami. Pierwsze dwie cyfry zgodnie z ruchem wskazówek zegara, następne dwie odwrotnie i tak na przemian, do końca. Zamknięte, zrobił to samo, zaczynając w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zamknięte. Sprawdził jej numer telefonu - zamknięte. Sprawdził numer telefonu i datę urodzenia... zamknięte. Czas mijał.

Nadal czuł parcie na pęcherz. Poza tym był spocony, zmarznięty i zmęczony. Zespół abstynencyjny trwał, Lars cały czas zgrzytał zębami.

Znów ukłęknał na podłodze, otworzył pierwszą teczkę, zaczął przeglądać, znalazł informację o policjancie prewencji imieniem Sven. Sven został określony ołówkowym epitetem: „wstecznik”. Lars odłożył teczkę na bok. Otwierał kolejne - więcej policjantów, aspirantów, inspektorów, kryminalnych... Małe legitymacyjne zdjęcia twarzy, których nie rozpoznawał. Notatki Gunilli ołówkiem w rogu. „Samotny”, „niezdolny do samodzielnej egzystencji”, „pasywnie agresywny”... Wszystkie te czki podobnie opracowane - fotografia w rogu, wydruk z działu kadr, notatki i ocena służbowa. Lars przeczytał ich około dziesięciu, próbując znaleźć coś nietypowego, nic takiego jednak nie było. Wrócił do notatek Gunilli... nic ciekawego. Nic z tego nie wyjdzie, pomyślał. Wstał, cofnął się kawałek, popatrzył na te czki. Skierował na nie światło lampy. To sprawiło, że zaczęły się od siebie różnić. W szafce na dokumenty wszystkie wydawały się brązowe. Teraz też takie były, ale różnorodność odcieni zdradzała, że jedne są młodsze, a drugie starsze. Wziął tę, która wyglądała najbardziej blado - czyli zapewne była najstarsza. Otworzył ją, była grubsza od pozostałych. Znajdowało się w niej mnóstwo starych wycinków prasowych, zapisanych na maszynie arkuszy, wyblakłych fotografii, odczytał datę... sierpień 1968 roku. Odczytał nazwiska, Siv i Carl-Adam Strandbergowie, zamordowani podczas wakacji pod namiotem w Norrbotten 19 sierpnia 1968 roku. Strandbergowie?

- pomyślał. Jej rodzice? Spróbował otworzyć sejf kodem 68 08 19 - zamknięte, 19 68 08 19 - zamknięte. Kręcił zgodnie z ruchem wskazówek zegara i odwrotnie, spróbował od tyłu, w jedną i drugą stronę. Zamknięte. Odczytał PESEL rodziców Gunilli, spróbował wprowadzić go w ten sam sposób. Czas płynął teraz szybko, był tam prawie czterdzieści

minut, Gunilla mogła się pojawić w każdej chwili. Zamknięte, zamknięte, zamknięte.

Pot spływał mu z czoła, serce biło szybciej, w ustach czuł suchość, tak bardzo chciał coś zażyć, pozbyć się tego kłującego uczucia w środku... Wrócił do teczek, przeglądał wycinki z gazet. Zdjęcie Siv i Carla-Adama Strandbergów z dwójką dzieci, Erikiem i Gunillą. Lata sześćdziesiąte, stali przed wejściem do Skansenu. Siv i Carl-Adam się uśmiechali, mieli na sobie sztywne ubrania, Carl-Adam nosił niewielki kapelusz, obcisłą kraciatą koszulkę z krótkim rękawem i kołnierzem, proste spodnie, wypastowane buty. Siv była w sukience, miała wysoką fryzurę... i białe buty. Dzieci też się uśmiechały. W twarzy dziewczynki Lars rozpoznał Gunillę. Wyglądała na szczęśliwą. Przyjrzał się małemu Erikowi. Jasnowłosy, roześmiany chłopiec, który zaraz pójdzie z rodziną do Skansenu. Był radosny, promienny. Larsa ogarnęło przytłaczające poczucie winy. Uczucie, że to temu małemu, niewinnemu chłopcu pozwolił umrzeć na podłodze w mieszkaniu Carlosa. Wpatrywał się w fotografię. Erik wpatrywał się w niego... Lars odrzucił od siebie zdjęcie i oddychał głęboko, usiłując się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, które zaczęło w nim wzbierać. Przeglądał dalej. Śledztwo... Czytał. Zostali zastrzeleni przez płótno namiotu... Ze śrutówki. Morderca nazywał się Ivar Gamlin, miał wtedy trzydzieści jeden lat i był pijany. Wcześniej pobił żonę, po czym wsiadł do samochodu. Zznał, że broń znalazła się w bagażniku przypadkiem. Używał jej dzień wcześniej, polując na ptaki. Po prostu nie chciało mu się jej wyjmować. Lars przeskoczył do przesłuchania. Gamlin twierdzi, że nie pamięta... U dołu strony: Gamlin zostaje skazany na karę dożywotniego więzienia w roku 1969... 23 listopada 1969. Lars wprowadzał te cyfry na wszystkie możliwe sposoby - zamknięte... Znow spojrzał na zegarek, dochodziło wpół do szóstej. Nadstawił uszu... Szybko przeglądał dalej. Rok 1975 - Gamlin ubiega

się o ulaskawienie. Odrzucono. Rok 1979, wyznaczona zostaje data przedterminowego zwolnienia, Gamlin ma wyjść na wolność w listopadzie 1982 roku... Lars czytał szybko, przebiegał wzrokiem, przerzucał strony... Tutaj! Rok 1981, Ivar Gamlin zostaje zamordowany przez współwięźnia. Lars szukał dalej, znalazł wyniki sekcji. Przejrzał je pobieżnie, z dokumentu wynikało, że złamano mu praktycznie każdą kość. Znalazł jeszcze jeden raport policyjny zapisaną na maszynie stroną A4. Ktoś dostał się do celi Gamlina w nocy. Przyczyną śmierci było uduszenie przy użyciu jakiegoś narzędzia. W tym przypadku najprawdopodobniej foliowej torebki, jak napisał lekarz. Lars zamyślił się, przeczytał jeszcze raz, przeszukał tekst. Znalazł to, czego szukał. Data śmierci 1981... 03... 21... Lars wykręcił cyfry. Pod domem rozległ się dźwięk nadjeżdżającego samochodu - opony na żwirze. Lars kręcił. 19 w lewo, 81 w prawo, odgłos zamykanych drzwi do samochodu, 03 w lewo... kroki na żwirowej ścieżce, 21 w prawo, kroki na schodach. Nacisnął kłamkę. Zamknięte...

Odgłos wkładanego do zamka klucza. Lars powtórzył kombinację, zaczynając tym razem od 19 w prawo... Drzwi na górze otworzyły się i zamknęły. Kroki w kierunku dużego pokoju. Obracał powoli, pot lał mu się z czoła... 21 w lewo, wolno przekręcił gałkę... szybkie kroki... skończył kręcić - klik! Sejf się otworzył. Inni domyśliliby się w tym boskiej interwencji. Ale nie Lars, on niczego się nie domyślał.

Z góry dobiegał niewyraźny głos Gunilli. Wydawała się poruszona, rozmawiała z kimś przez telefon. Lars wsunął rękę do sejfu. Dwie plastikowe teczki, jeden notatnik, dwa plild tysiąckoronowych banknotów, pistolet i gruby służbowy segregator z ciemnozielonym grzbietem. Wziął to wszystko, schował pod kurtkę, cicho zasunął zamek błyskawiczny i ostrożnie wyszedł ze spiżarni. Przeszedł koło schodów, teraz już wyraźnie słysząc głos Gunilli. Oschłym

i zdenerwowanym tonem oznajmiła, że było u niej włamanie, i żądała, by oddelegować do niej któregoś z techników.

Powoli posuwał się w kierunku wyjścia, kiedy nad jego głową otworzyły się drzwi i na schodach rozległy się kroki, Lars przyspieszył, biegł po omacku, znalazł wyjście i ruszył w górę małymi schodkami.

Zamiast wybiec na drogę, którą przyszedł, skręcił od razu w lewo, wbiegając w młody lasek. Gałązki wyrastające z cienkich pni chłostały go po twarzy. Odbiegł już spory kawałek, kiedy usłyszał za sobą dźwięk otwieranych drzwi. Utrzymał tempo i po pięciu minutach dotarł do samochodu. Zapalił silnik, gdy tylko usiadł za kierownicą, i odjechał od tego domu, od Gunilli... odjechał.

*

Znajdowali się w poczekalni, było pusto, chłodno i zacisznie. Siedzieli w fotelach i patrzyli na siebie. Miał zamiar coś powiedzieć, ale się rozmyślił, spojrzął w bok i machnął ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę kobiety za barem - zamówił wodę.

Pili w milczeniu. Na zewnątrz na przemian startowały i lądowały samoloty, w końcu ryk silników odrzutowych stał się częścią ich rozmowy.

- Jak się czuje twój syn? - zapytał ostrożnie.

Spojrzała na niego.

- Nie czuje się dobrze.

- Co mówią lekarze?

- Na razie nic.

- Co chciałaś mi powiedzieć? - zapytał cicho.

- To nieważne.

Przyjrzał jej się.

- Powiedz.

Sophie pochyliła się lekko do przodu.

- Przyszłam, żeby powiedzieć, że Michał i jego kompan szukali pomocy u Jensa, nie chcieli się na ciebie zasadzać.

Spojrzał na nią krytycznie.

- Po co miałabyś mi o tym mówić?

- Ponieważ byłam tam, kiedy przyszli.

- Gdzie?

- U Jensa.

Dostrzegła, że jej kłamstwo nie trzyma się kupy. Lecz Hector najwyraźniej nie na to zwrócił uwagę.

- Co u niego robiłaś?

- Znamy się dość długo.

Hector uniósł brew.

- Jak to?

Przeleciał nad nimi samolot turbośmigłowy.

- Czekałam na ciebie w restauracji, kiedy po raz pierwszy przyszedł Michał z kumplem, mieliśmy zjeść razem kolację, ty i ja, ale już nie wróciłeś. Poszłam do biura i tam zobaczyłam leżącego na podłodze nieprzytomnego Jensa. Nie widziałam go od ponad dwudziestu lat, to był nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Hector lustrował ją wzrokiem.

- Po wszystkim nie nawiązałam z nim kontaktu, nie rozmawialiśmy ze sobą, dopiero później się do niego odezwałam.

Nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy.

- Michał przyjechał do Szwecji odebrać przyjaciela ze szpitala Karolińska - kontynuowała ściszym głosem. - Była tam policja, postrzelili jego kumpla. Michał miał numer Jensa, zadzwonił i poprosił o pomoc. Przyjechali do mieszkania Jensa, ten kolega dostał w ramię. Pomogłam mu.

Hector milczał krótką chwilę.

- A potem?

- Potem pojechałam do restauracji, do ciebie.

- Żeby mi o tym opowiedzieć.

Spojrzała na niego.

- Nie, potrzebowaliśmy pomocy, ścigali nas Rosjanie... Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziac.

Logiczna odpowiedź uspokoiła trochę myśli Hectora.

- Co to byli za Rosjanie?

- Klienci Jensa.

Popadł w zadumę, bił od niego mrok.

- Masz z nim romans? Kochacie się?

Sophie pokręciła głową. W tej sytuacji nie miałyby jednak znaczenia, czy odpowiedziałyby twierdząco, czy przecząco. Hector był zazdrosny, a jednocześnie panicznie bał się zranienia. To najgorszy stan mężczyzny. Stan, którego większość z nich w sobie nienawidzi, którego nigdy nie chcą oglądać ani czuć. Hector nie był wyjątkiem. Wiedziała, że odgradza się od niewygodnych myśli, popadając w głębszą zadumę. To wyparcie było aż nadto wyczuwalne.

- Nie ufam mu. To człowiek, którym rządzi przypadek, był taki, odkąd po raz pierwszy się pojawił.

- W restauracji uratował nam życie.

Hector nie odpowiedział, wyglądało na to, że usilnie stara się spojrzeć na nią obiektywnie.

- Kim ty właściwie jesteś?

Nie wypowiedział tych słów, było to nieme pytanie. Obsługująca ich kelnerka podeszła i powiedziała, że ich samolot wkrótce wylądje. Sophie i Hector siedzieli w bezruchu, patrząc sobie w oczy. On dlatego, że chciał znaleźć coś, czego będzie mógł się trzymać albo po prostu odrzucić, ona - ponieważ wszystko inne by ją zdradziło.

Hector pierwszy odwrócił wzrok i podniósł się z fotela.

Stali przy wielkim oknie i patrzyli, jak lądje gulfstream; mocno hamował i zaczął kołować w stronę budynku, w którym się znajdowali.

Pół godziny później siedzieli w samolocie, po tankowaniu oraz osobliwej odprawie i kontroli bezpieczeństwa, podczas

której nie sprawdzano żadnego z ich bagaży. Sophie siedziała w beżowym skórzanym fotelu koło Hectora, dzieliło ich przejście. Maszyna wjechała na pas startowy i nabrała rozpędu. Siła przyspieszenia wgniotła Sophie w fotel. Wzniesli się pod dużym kątem i po chwili lecieli już płasko pośród chmur. Wyjrzała przez okno, Sztokholm zniknął w dole. Gdzieś tam był Albert. Siedziała w samolocie z dala od niego, nic nie mogło się wydawać bardziej niewłaściwe. Poczucie winy było pełne i zastygłe, jakby zacementowane w jej duszy. Wiedziała, że nigdy się z nim nie upora. To ona go w to wpędziła. Ona ponosiła bezpośrednią winę za to, co mu się przydarzyło. Gdyby zadziałała inaczej, to być może...

Sophie patrzyła na wyspy i morze, podniosła wzrok na niebo - było niebieskie jak zawsze. Usłyszała, jak Hector odpina pas, wstaje z siedzenia i idzie na tył kabiny. Wrócił z dwiema szklankami i dwiema butelkami piwa, podziękowała. Usiadł w fotelu i nie zwracając sobie głowy szklanką, wziął łyk z butelki.

- Wylądujemy w Maladze, pojedę z tobą do taty, a później muszę jechać dalej.

- Dokąd pojedziesz?

- Dalej... Policja już wysłała międzynarodowy list gończy. Poradzisz sobie, tata się wszystkim zajmie.

- Wszystkdm?

Hector skinął głową.

- Jakim wszystkdm?

Hector odpowiedział po pewnym czasie.

- Wszystkdm. Poza tym musisz się trzymać w ukryciu, dopóki wszystko się nie uspokoi. Tata ci w tym pomoże...

Samolot wpadł w lekkie turbulencje, pilot zwiększył ciąg i poderwał maszynę; żadne z nich się tym nie przejęło.

- Ale ja muszę niedługo wracać do domu...

Nie skomentował tego, nachylił się do okna, pogrążony w myślach, zmartwiony, może niespokojny. Unikał jej, czuła

to i rozumiała. Nie mógł się zdecydować, czy można jej zaufać, czy też nie. Podzielała jego wątpliwości. Zastanawiała się, kim jest i jakie tak naprawdę motywy nią Iderują. Czy mogłaby postąpić inaczej.

Jeszcze raz spojrzała na Hectora, w ten sam sposób patrzył przez okno. Widziała ten wyraz twarzy już wcześniej, wielokrotnie - koncentracja, zamknięcie w sobie, które zawsze budziło jej ciekawość. Widziała to także w albumie, który pokazał jej na łodzi, na jego zdjęciach z dzieciństwa. Może właśnie tak wyglądał naprawdę. Może to właśnie był Hector?

Chciała go lubić, ale nie miała odwagi, zobaczyła już jego szaleństwo.

25

Zwłok nadal nie przykryto. W restauracji był Tommy Jansson. Dwa trupy przed nim, jeden w kuchni, wszędzie krew. Totalna rzeź. Technicy uwijali się przy pracy, Anders Asie i postawny mężczyzna siedzieli w milczeniu na krzesłach kawałek dalej. Tommy kojarzył tego postawnego. Gliniarz z centrum, jeśli dobrze pamiętał. Tommy powiedział im, żeby zostali na swoich miejscach i nie ruszali się nawet na metr. Nie chcieli mówić. Ani pary z ust. Anders Ask. Co on tu robił, do cholery?

Tommy potarł knykciem ucho.

- Kto był pierwszy na miejscu? - rzucił pytanie.

Antonia Miller, inspektor kryminalna, która stała kawałek dalej i coś notowała, podniosła wzrok.

- Co mówiłeś?

- Kto był pierwszy na miejscu?

Zrobiła minę, jakby przeszkadzał jej w pracy.

- Patrol, odprawiłam ich pół godziny temu.
- I to oni znaleźli tych dwóch? - Wskazał Andersa i Hassego. - Gdzie?

Antonia zapisywała coś w notesie.

- W biurze, tam z tyłu, za kuchnią, przykutych do kaloryfera.

- Co się stało?

Westchnęła, złożyła notatnik, pstryknęła długopisem.

- Ktoś z tego budynku, kto usłyszał hałas, nas zawiadomił. Zjawił się patrol, zobaczyli dwa trupy w restauracji, zadzwonili po posiłki, poszukali oznak życia i zabezpieczyli teren.

- A potem?

Przeszukali całe to miejsce. Znaleźli zwłoki w kuchni, a później tamtych dwóch w biurze, przykutych - powiedziała Antonia i wskazała kciukiem Hassego i Andersa.

- Ten wielki to nasz kolega - kontynuowała, zerkając w notatki.

- Nazywa się Hasse Berglund, pokazał odznakę patrolowi, sprawdzili, wszystko się zgadza... Drugi nie miał żadnych dokumentów.

Tommy rozejrzał się dookoła. Antonia znów otworzyła notatnik, wróciła do pracy.

Nagle zadzwonił telefon Andersa, Anders spojrzął na wyświetlacz, nie odebrał. Tommy podszedł do niego, wyrwał mu telefon z ręki i przycisnął zieloną słuchawkę.

- Tak? - odezwał się cicho.

- Co się stało, jeszcze tam są?

Rozpoznał głos Gunilli, była zdenerwowana.

- Cześć, Gunilla.

Chwila ciszy.

- Tommy?

- Co się dzieje?

- Sama chciałabym wiedzieć.

- Przyjedź, proszę, do restauracji Trasten na Vasastan, wiesz, gdzie to jest.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni marynarki, wykonał w kierunku Andersa gest, który ten zrozumiał jako: „i-co-mi-zrobisz”. Następnie przespacerował się po lokalu. Przy jednym z denatów siedział brodaty technik.

- Siemasz, Classe - powiedział Tommy.

Technik podniósł wzrok i skinął głową.

Tommy podszedł do baru, przystanął i obrócił się, by objąć spojrzeniem całą restaurację. Zobaczył zniszczone drzwi, zwłoki, dziury po kulach i łuski na podłodze - wszystko zaznaczone przez techników. Przewrócone meble, widać, że ludzie szybko stamtąd uciekali. A pośród tego wszystkiego siedzieli Berglund i Ask i nic nie mówili. Tommy spojrzął na nich - Humle i Dumie...

- Obaj jesteście kompletnymi kretynami, wiecie o tym?

- odezwał się głośno.

Hasse i Anders nie odpowiedzieli. Tommy spoglądał na nich przez chwilę, mrużąc coś obraźliwego, po czym wyszedł do kuchni.

Na krześle w kuchni siedział zakrwawiony mężczyzna z nożem wbitym w serce, nie miał już żadnych zębów, jego twarz była zmasakrowana, a prawe oko zwisało z oczodołu. Tommy aż się wzdrygnął.

Techniczka z dużymi bicepsami, której nazwiska nie kojarzył, zdejmowała odciski palców z czegoś, co wyglądało jak mrożona żywność.

- Znaleźliśmy to w zamrażarce - powiedziała, wskazując mięso.

- Aha? - odparł, nie rozumiejąc, i spojrzął na pokazną liczbę foliowych torebek, którymi owinięte były jakieś zamrożone kawałki. Wyglądały jak filety.

- Co to jest? - zapytał.

- Przyjrzyj się bliżej - odparła.

Zmrużył oczy i nachylił się, zobaczył kawałek ludzkiej ręki i stopy.

- O kurwa! Czyje to?

- W każdym razie żadnego z tych tutaj, oni wszyscy mają ręce i stopy.

- Gdzie to znaleźliście?

- W zamrażarce, już mówiłem...

Co za popieprzony burdel...

- Czyli czterech nie żyje? - zapytał.

Kobieta przytknęła palec do brody i popatrzyła w sufit.

- Hm, zastanówmy się, dwóch tam, dwóch tutaj... Dwa plus dwa to cztery. Tak, masz rację, czterech nie żyje!

Tommy nie lubił ironii ani sarkazmu, od zawsze, nigdy nie rozumiał takich rzeczy. Ruszył do biura i usiadł za biurkiem. Czekał, rozmyślał, gładził policyjny wąs.

Pół godziny później stała przed nim Gunilla.

- Mów - polecił.

Bił od niej chłód, wyglądała na spiętą.

- Co mam mówić? Chyba sam widzisz, jak to wygląda? Cały miesiąc śledziliśmy Hectora Guzmana. I oto rezultat.

- Co tu robi Anders Ask?

- Jak to?

Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. Czasem zachowywała się jak uparte dziecko.

- W tej restauracji są trzy trupy, albo cztery, jeśli liczyć stopę i rękę, które właśnie znaleźliśmy w zamrażarce. Co, do cholery, robi tutaj Anders Ask.

- Pracował dla mnie, jako wolny strzelec.

- Wolny strzelec?

- Tak.

- Czy ktoś kiedykolwiek pracował jako wolny strzelec dla szwedzkiej policji?

- W tej chwili to chyba najmniejszy problem, nie sądzisz, Tommy?

Poprawił się na krześle.

- Dlaczego oni ze mną nie rozmawiają? - zapytał.

- Bo tak uzgodniliśmy.

Tommy pokręcił głową i skrzywił się, jakby chciał jej powiedzieć, żeby przestała.

Gunilla spojrzała w podłogę, po czym podniosła wzrok.

- Nie wiemy, kto tam leży. Nie znamy tych zabitych mężczyzn.

- Co mówią Ask i ten drugi?

- Hasse Berglund obserwował restaurację. Gdy zaczęła się strzelanina, zadzwonił do Andersa. Kiedy przyjechali, nikt już nie żył, gang Hectora ich zaskoczył, zostali skuci kajdankami.

Tommy się zamyślił.

- Co chcesz teraz zrobić?

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, Tommy. Chcę kontynuować to, co zaczęliśmy, najpierw zabezpieczmy ten teren.

- Ale trzymaj się z tyłu. Tę sprawę prowadzi Antonia Miller, możecie pracować razem, ona jest główną śledczą.

Gunilla wstała.

- Będę cię informowała na bieżąco - powiedziała ściszym głosem i wyszła z biura. Tommy wsłuchiwał się w jej kroki, kiedy odchodziła.

- Gunilla!

Zatrzymała się.

- Tak?

Tommy paznokciem kciuka drapał wybrzuszenie na biurku.

- Za Andersa Aska odpowiadasz ty, ja nic o nim nie wiem.

Gunilla się nie odezwała.

Przeszła przez kuchnię, starając się nie patrzeć na siedzącego na krześle trupa, weszła do restauracji i zaznaczoną ścieżką ruszyła w kierunku drzwi. Zobaczyła dwa kolejne ciała, leżały na podłodze. Podniosła taśmę i wyszła na ulicę.

Anders i Hasse czekali przy samochodzie Hassego.

- Nie rozmawiajmy tutaj.

*

Hotel Diplomat skąpany był w słońcu. Lars Vinge zameldował się koło południa pod przybranym nazwiskiem.

Hotel był dla niego zbyt elegancki, nikt nie będzie go tu szukał. Białe prześcieradło, puchowe poduszki, widok na zatokę Nybroviken, za oknem powiewająca flaga, łazienka jak marzenie, Lars jednak nie był w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny radości z tego, że choć raz będzie mieszkał w takich warunkach. Całą jego energię pożerały dwie sprawy: próba poradzenia sobie z głodem po odstawieniu ketoganu, równie rzeczywistym jak ssanie w żołądku u głodującego, oraz odwieczne refleksje nad istotą wszechrzeczy.

Po południu pojechał na Brahegatan i z wypożyczonego samochodu wyciągnął sprzęt do podsłuchu. Było to niebezpieczne, znajdował się zbyt blisko Gunilli i reszty, ale wszystko, co teraz robił, było ryzykowne, nawet wychodzenie w biały dzień.

Sprzęt leżał na podwójnym łóżku razem z rzeczami, które Lars ukradł z sejfu Gunilli. Policzył pieniądze, dwa pliki tysięcykoronowych banknotów, pięćdziesiąt sztuk w każdym. Pistolet, tak na wszelki wypadek - makarow, stara radziecka pukawka ze startym numerem seryjnym. Lars sprawdził - magazynek był pełny, osiem naboí. Położył pistolet przy sobie na łóżku. Następnie dwie plastikowe teczki, dość cienkie, w każdej ze dwadzieścia stron A4, do tego gruby

segregator służbowy i czarny notatnik. Notatnik przeczytał jako pierwszy, uwagi i rozważania zajmowały w nim pokażną ilość stron, wszystko zapisane było ołówkiem, drobnymi literami. W notatkach panował chaos, jakby Gunilla zapisywała wszystko, co przychodziło jej do głowy, jakby kłóciła się sama ze sobą, i pisząc, próbowała osiągnąć porozumienie. Czytał, próbując w tym znaleźć jakiś porządek; nie udało *mu* się, odłożył notatnik. Popatrzył na grubego segregator, zaczął go przeglądać, każda strona poświęcona była Hectorowi Guzmanowi. Lars czytał o szlaku przemysłowym z Paragwaju do Europy, morderstwach, szantażowaniu jakiegoś dyrektora z Ericssona, o kontaktach w każdym zakątku świata. Były tam zdjęcia, teksty przesłuchań, dowody. Była historia, sięgająca lat siedemdziesiątych. Było tam wszystko o interesach Hectora i Adalberta *Guzmanów*... Wystarczające dowody, by dziesięć razy skazać ich w sądzie. Hector Guzman do końca życia siedziałby za kratkami.

Lars przeglądał dalej i im więcej widział, tym bardziej był zbity z tropu. W rogu jednej ze stron znalazł również wypisane piórem sumy, wysokie, ośmiocyfrowe sumy. Wyglądało to tak, jakby Gunilla próbowała coś wyliczyć. Lars zaczynał się w tym wszystkim gubić...

Odłożył segregator i powrócił do notatnika, znów zaczął czytać jej rozważania. Nie było to łatwe, tekst był zawily, jednak im bardziej się koncentrował, tym więcej elementów trafiało na swoje miejsce. Czytał o Sophie, o tym, że ona jest kluczem, że wskaże drogę, że jest piękna, że jest wymarzoną kobietą Hectora, której nigdy nie będzie miał. Pisała też o jej wnętrzu. Lars się nie zgadzał, Gunilla źle oceniała Sophie... W notatniku znajdowały się też przewidywania Gunilli dotyczące zachowań i reakcji Sophie w różnych sytuacjach. Tym razem pewnie miała rację, jej rozważania biegły ścieżkami, o których Lars nigdy by nie pomyślał. To wszystko było skomplikowane, ale wydawało mu się, że rozumie, o co

chodziło Gunilli... Przerzucił kilka stron i przeczytał coś, co potem był zmuszony czytać wciąż od nowa.

„Lars jest ciężarem”. Słowo „ciężarem” było podkreślone. „Daje się urabiać”. Nawet to było skomplikowane, jakby Gunilla musiała do maksimum wykorzystać swój intelekt, by go rozgryźć. Obraz, jald powstawał w głowie Larsa, gdy czytał o sobie, teraz stał się wyraźniejszy. Był dla Gunilli niczym, to jego obarczyłaby winą, gdyby plan się nie powiódł... Jaki plan?

Lars oddychał głośno... kartkował na chybił trafił. „Tommy widzi moje zagubienie”. Tommy? ...Tommy Jansson z policji kryminalnej?

Zapisał nazwisko Tommy egó na kartce.

Podłączył sprzęt do kontaktu, założył słuchawki na uszy, zmniejszył głośność. Ciche, trzeszczące dźwięki, które nic nie znaczyły. Aktywacja głosowa była czuła, reagowała niemal na wszystko, mogły to być zamykane gdzieś drzwi, alarm samochodowy na ulicy, czyjeś kroki za drzwiami.

Czekał, nasłuchiwał, niespokojnie ruszając prawą stopą. Dźwięk otwieranych drzwi do pokoju... Spojrzał na czas - cztery godziny temu - kroki i znajome głosy. Gunilla, Anders i Hasse, szuranie krzesłami. Głos Gunilli był napięty, mówiła o włamaniu, Hasse mruknął coś cicho. Lars się skoncentrował, rozmawiali o Trasten, o tym, że Hasse czekał na sposobność, by wejść do środka, że pojawiła się Sophie z nieznanym mężczyzną, że trzech nieznanymi mężczyznami, prawdopodobnie Rosjanie, weszli do restauracji. Trudno było coś usłyszeć, być może przez pracujące wentylatory. Lars przycisnął słuchawki do uszu, Hasse mówił coś niewyraźnie, po chwili słyszalność się poprawiła.

- A potem? - głos Gunilli.

Hasse kontynuował.

- Kiedy weszliśmy, na podłodze leżało dwóch martwych mężczyzn. Trzeci był ten, którego zwłoki znaleziono

w kuchni. W restauracji był Niemiec ze szpitala i ten duży Rosjanin.

- A Sophie?
- Też tam była.
- A Ramirez wyjechał z kraju?
- Tak.

Lars usłyszał westchnienie Gunilli.

- A pieniądze? A przelew?

Na kilka sekund zaległa cisza. Anders odchrząknął. . . .

- Próbowałem, z Hectorem nie można się było dogadać.

- Jak to?

- Powiedział, że po tej strzelaninie i trupach wszystko się zmieniło...

- A Carlos... właściciel? Gdzie on jest?

Brak odpowiedzi.

- Aron?

-Nie.

- Ten cały prawnik? Ten, który wszystkiego pilnuje, Lundwall?

- Nie wiem - szepnął Anders.

- Co powiedzieliście Antonii Miller i Tommy'emu?

Lars zapisał na kartce „Antonia Miller”.

- Nic - odparł Hasse.

Lars zatrzymał urządzenie, wstał z łóżka, podszedł do stojącego na biurku laptopa, zalogował się, włączył przeglądarkę, wklepał adres internetowy codziennej gazety. Duże zdjęcie restauracji Trasten. Przeczytał, nic ciekawego, policja nie komentuje... z niepotwierdzonych informacji wynika, że jest trzech zabitych. Poszukał stron tabloidów. „Rzeź” - głosił jeden z nagłówków, „Przestępcze porachunki” - brzmiał drugi. Nic nowego, żadnych informacji poza niepotwierdzonymi pogłoskami o trzech zabitych.

Lars zamknął laptopa, popatrzył przed siebie. Wiedział, że będą próbowali go zabić, że za jego głowę wyznaczona

jest nagroda... Przestraszył się tak, jak nigdy wcześniej się nie bał, strach wywołał kolejne uczucie, które pociągnęło za sobą następne, a potem kolejne - przerażenie i panika były głównymi składnikami tej mieszanki, mieszanki, która stworzyła owego małego diabła, wbijającego mu w duszę igły, krzyczącego, by brał leki... na Boga! I cały czas to samo: ból, fizyczny ból, który wywoływał drobne skurcze w całym ciele... Skurcze, które przemieszczały się i panoszyły w całym układzie nerwowym Larsa Vingego.

Wstał z łóżka, wziął czekoladowe ciastko z minibaru, chodził chaotycznie po pokoju, jadł i głośno oddychał. Czekolada nie smakowała czekoladą, tylko cukrem i tłuszczem. Zjadł ciastko mimo to, cukier złagodził objawy abstynencji na całe dwanaście sekund.

Lars stanął przy oknie, wyrztał na zatokę Nybroviken. Zobaczył ławkę, na której Sophie rozmawiała z Jensem. Stał wtedy na Skeppargatan i robił im zdjęcia. Wydawało się, jakby to było w poprzednim życiu. Co od tamtego czasu zrozumiał?

Łódź z Vaxholmen zatębiała trzykrotnie i odbiła od nabrzeża. Myśli Larsa znajdowały się gdzieś indziej, na jakimś innym poziomie, tak nisko, że nie mógł ich osiągnąć. Wrócił do łóżka i zaczął od nowa. Przeczytał gruby segregator, przejrzał teczki, zapoznał się z dopiskami. Mnóstwo cyfr, być może kwot, w takim razie wysokich, milionowych... przestudiował każdy dokument. Bank o brzmiącej z francuska nazwie, który mieścił się w Liechtensteinie... Ogromne sumy. Kartkował dalej... jeszcze więcej liczb. Na wyciągu z konta nie widniało nazwisko właściciela, tylko numer.

Lars drapał się mocno po głowie, myślał, przechylił się nad łóżkiem, chwycił czarny notatnik i zaczął czytać... czytać bardzo wnikliwie. Pięć lat wcześniej: „Handelsbanken Uppsala, trzy miliony koron” - napisane ołówkiem, do tego

jeszcze trochę dziwnych słów i uwag. Przeskoczył do przodu: „Christer Ekström” i mnóstwo wielomilionowych sum. Tutaj także dziwaczne uwagi. Lars kartkował dalej, pojawiło się imię Zdenki, „Króla Kłusaków” - każdy policjant wiedział, kim był Zdenko, zmarł przed pięcioma laty w Malmö, zastrzelony na torze wyścigowym. I dalej - więcej nazwisk, więcej sum...

Coś rozpiekało Larsa, chciało wyjść na zewnątrz, na światło dzienne, chciało się narodzić, jakaś myśl, pomysł... Pomysł, którego nawet nie musnął, a jednak zaczął się wygrzebywać z głębin jego podświadomości - była to myśl i zarazem odpowiedź. Odpowiedź, której szukał od czasu, kiedy zapisał pierwszą linijkę tekstu na ścianie swojej pracowni, przyszła do niego jak coś oczywistego... Opuścił stopy na podłogę, zrobił dwa kroki do biurka.

Surfował szybko, załogował się na wewnętrzny serwer policji, wpisywał słowa kluczowe z przeczytanego przed chwilą tekstu, czytał pojawiające się na ekranie informacje: Uppsala Handelsbanken... napad... Dwóch mężczyzn skazano... Trzeci podejrzany po roku znaleziony martwy... wciąż brakuje ośmiu milionów ze skradzionego łupu... Erik Strandberg prowadzi śledztwo.

Lars wpisał w okienko wyszukiwarki „Christer Ekström”. Przeczytał, że finansista Christer Ekström z trudem uniknął oskarżenia, dowody były niewystarczające, postępowanie przygotowawcze prowadziła Gunilla Strandberg.

Wpisał „Zdenko” - policyjny serwer puchł od informacji, znalazł śledztwo ciągnące się kilka lat, prowadziła je Gunilla Strandberg. Lars przeczytał: „Zdenko zamordowany przez nieznanego mężczyznę w Jägersro w Malmö... W Szwecji jego pieniądze nie odnaleziono”...

Odchylił się do tyłu i wpatrywał w coś, czego jego oczy nie rejestrowały. Gdyby nie był tak wyzuty z myśli, wymęczony przez abstynencję i wydrażony smutłdem, zaczęłyby

się śmiać. Na całym świecie nie zostało już jednak dla Larsa Vingego ani odrobiny humoru.

26

Kiedy wylądowali w Maladze i przeszli odprawę, szedł kilka kroków przed nią. Wyszli na palące słońce i skierowali się w stronę parkingu.

Ich kroki odbijały się metalicznym echem pod niskim betonowym stropem garażu, zmierzali do małego samochodu zaparkowanego samotnie pomiędzy słupami. Hector wyciągnął z teczki klucze i podał je Sophie.

- Czy mogłabyś prowadzić? - zapytał.

Usiadła za kierownicą, ustawiła odpowiednio fotel, zapaliła silnik, położyła rękę na zagłówku jego fotela, odwróciła się do tyłu i na wstęcznym wyjechała z miejsca parkingowego. Kiedy wydostali się z parkingu, jej oczy, które szybko zdążyły się przyzwyczaić do garażowej ciemności, oślepiło słońce. Kierując się znakami, znalazła zjazd na autostradę.

Pędzili naprzód, przed nimi rozkwitał nowy świat. Sophie poczuła odprężenie, odwróciła się do Hectora i już miała coś powiedzieć, kiedy nagle coś zatrzeszczało i w samochodzie rozległ się ogłuszający dźwięk. Hector od razu zrozumiał, co to takiego.

- Szybciej! - krzyknął.

Odbierając wszystko jak przez mgłę, Sophie przyspieszyła, pędziła jak szalona, lawirowała pomiędzy samochodami. Znow padły strzały, schyliła się, obsypał ją deszcz odłamków, zobaczyła motocykl, samochód zderzył się z barierką
- chaos.

Hector wybił nogą szybę, wychylił się i zaczął strzelać. Nie wiedział, ile strzałów oddał, jednak po jakimś czasie

ciągłego huku broń kliknęła. Sophie odniosła wrażenie, że Hector raczej się wyładowuje, niż wierzy, że jego strzały dosięgną celu. Wypuścił magazynkę na podłogę, z otwartego schowka wyjął nowy, zaklął cicho i załadował pistolet.

Koło nich rozległ się terkot, poleciał grad pocisków, tylna szyba eksplodowała w pielcie szklanych odłamków. Krzyknęła i kątem oka zobaczyła, że Hector dziwnie się zachowuje.

- Hector?

Pokręcił głową.

- Wszystko w porządku - powiedział i wycelował w stłuczoną szybę, oddał cztery strzały, motocykl znów się oddalił.

Sophie kluczyła dalej, kierowcy trąbili wściełde, kiedy śmigała obok nich z dużą prędkością. Wpatrywała się intensywnie przed siebie, zdało jej się, że widzi piętrzący się sznur samochodów. Możliwości wyboru było teraz mniej.

- Co mam zrobić?! - krzyknęła.

Czy krzyknęła to przed chwilą? Nie pamiętała. Hector nie odpowiadał, kontrolował sytuację z tyłu. Zator przed nimi był już lepiej widoczny. Hector trzeci raz dzwonił z komórki, cały czas szukając wzrokiem motocykla. W końcu się dodzwonił.

-Aron. Posłuchaj, nie mogę się skontaktować z tatą ani z Leszkiem. Strzelają do nas na drodze z lotniska, jedziemy w stronę Marbelli, w samochodzie jestem ja i Sophie.

Hector słuchał, Aron zadawał pytania.

- Nie wiem. Dwóch facetów na motocyldu... Posłuchaj mnie. Powiedz Ernstowi, że pełnomocnictwo przechodzi w ręce Sophie...

Hector słuchał, zdenerwował się.

- Taka jest moja decyzja! Pełnomocnictwo przechodzi w ręce Sophie Brinkmann, a ty niniejszym jesteś świadkiem, skontaktuj się z tatą albo z Leszkiem. Ostrzeż ich!

Hector się rozłączył. Sophie spojrzała na niego, on zaś zbył machnięciem dłoni pytanie, którego nie zadała,

i odwrócił się. Motocykl nadjeżdżał w ich stronę, Hector znów opróżnił pistolet, motocyklista zahamował, w kółko ta sama śpiewka. Hector mruknął do siebie coś, czego nie zrozumiała, i zmienił magazynek.

- Zwolnij trochę, przyciągnij ich bliżej, naciśnij hamulec, kiedy ci powiem. - Hector miał schrypnięty głos, spływał potem.

Motocyklista prowadził pewnie, manewrując zygzakiem między samochodami, kładąc się na zakrętach. Hector wycelował, oddał dwa strzały, w tej samej chwili poleciała w jego kierunku chmura pocisków, Sophie krzyknęła, oboje odruchowo padli. Hector podniósł głowę, snajper na tylnym siodełku znów wymierzył i wystrzelił. Kule świsnęły tuż obok.

- Teraz!

Wdepnęła pedał hamulca, opony zapiszczały, Sophie i Hector opierali się sile bezwładności.

Na krótką chwilę świat się zatrzymał, ich myśli zawisły w powietrzu, ustały lęki, ich oczy się spotkały... Po chwili jednak rzeczywistość z powrotem ich wessała: terkot pistoletu maszynowego, odgłos kul uderzających o blachę, warkot silnika motocykla, odgłosy otoczenia. Wszystko zlało się w jedną dźwiękową masę. Hector podniósł pistolet, strzelił w lderowcę, ten, wprawnie unikając kul, wyprzedził ich z prawej strony z dużą prędkością.

- Jedź! - krzyknął Hector.

Teraz role nagle się odwróciły, Hector i Sophie ścigali motocykl. Snajper na tylnym siodełku spoglądał co chwilę do tyłu. Hector wychylił się przez wybite okno, oddał dwa strzały, motocykl zbliżał się do sznura samochodów. Hector trzymał pistolet w prawej dłoni, spokojnie wymierzył i oddał trzy strzały, jeden za drugim... Znowu chybił. Samochody były coraz bliżej, Hector po raz kolejny opróżnił magazynek... Nic się nie stało.

Motocykl zbliżał się do samochodów, kierowca chciał między nimi przejechać. Hector załadował ostatni magazynek, wziął płytki oddech, wycelował, wstrzymał oddech i raz za razem naciskał spust, aż opróżnił magazynek... I jakby cudem jeden czy dwa strzały dosięgły celu, motocykl wykonał nagły skręt, przechylił się na bok i stanął na przednim kole, zrzucając kierowcę i Strzelca. Kierowca wbił się plecami w barierkę. Snajper przeleciał na przeciwległy pas, jadąca nim ciężarówka próbowała zahamować i go wyminąć, jednak bezskutecznie - mężczyzna znalazł się pod kołami.

Krzyknęli jak kibice, kiedy ich drużyna zdobywa bramkę. To było absurdalne, ale poczuli to samo, tę samą ulgę...

Sophie zjechała z autostrady w ostatniej sekundzie, drżały jej ręce, oddech miała płytki. Zbierało jej się na wymioty.

*

Pracował intensywnie. Na łóżku wznosiły się eleganckie stopy raportów, transkrypcje podsłuchów, wszystkie nagrania Sophie umieszczone na przeróżnych nośnikach. Sporo fotografii Sophie, Hassego, Andersa, wszystkich. Dokumenty z banku w Liechtensteinie, razem ze sprawozdaniami i notatkami Gunilli. Gdyby ktoś to przeczytał, zrozumiałby cały kontekst.

Lars usiadł przy komputerze i przeniósł nagranie z Brahegatan na dysk USB, zebrał wszystko, co miał.

Spojrzał na łóżko, dobrze się spisał, był zadowolony. To uczucie nie towarzyszyło mu już od dawna. Układ nagrody w jego mózgu domagał się zaspokojenia. Najpierw sięgnął do minibarku. Wziął piwo. Było zimne, wlał je w siebie w kilka sekund. Odczekał chwilę, po czym opustoszył całą lodówkę: małe pieprzone buteleczki wódki, pół litra czerwonego wina... pół litra białego, szampan. *Party time*. Wszystko w dziób.

Lars patrzył na nabrzeże, minibarek był pusty, on był pełny. Upojenie jednak szybko minęło i nie dało mu tego, czego potrzebował. Alkohol jest przereklamowany. Lars jedną nogą wykonywał nerwowe ruchy, zgrzytał zębami, próbował opóźnić drżenie rąk. Zaczął chodzić po pokoju, drapiąc się po głowie, w tym pokoju wszystko go przeraźliwie swędziało, chciał się stąd wydostać, wyjść na zewnątrz.

Ze sportową torbą w dłoni szedł szybkim krokiem wzdłuż fasad przy ulicy Strandvägen, skręcił w Sibyllegatan i dotarł do Brahegatan i wypożyczonego samochodu. Włożył sprzęt do bagażnika, upewnił się, że rejestruje dźwięk z mikrofonu w biurze, zamknął samochód i wrócił tą samą drogą. Zamiast jednak skręcić w lewo w Strandvägen i wrócić do hotelu, rażnym krokiem przeszedł wzdłuż wybrzeża, potem ulicą Stallgatan, koło Grand Hotelu i mostem Skeppsbron. Zdeterminowany kierował się na Söder.

W mieszkaniu było ciemno, pachniało stęchlizną i wciąż jeszcze można było wyczuć delikatny zapach farby. Poszedł prosto do pracowni, otworzył szufladę, wygrzebał z niej to, czego potrzebował, ściągnął spodnie, zrobił to, w czym był taki dobry - zaaplikował sobie kilka czopków - i podciągnął spodnie. Nie chciało mu się ich zapinać, usiadł na biurowym krześle i przez chwilę kręcił się powoli w kółko... W takim samym tempie, w jaldm błogość pieściła jego zmysły. Rozkosz nie trwała jednak długo, była zaledwie przelotna. Powtórzył procedurę: ukucnął, zaaplikował sobie kolejny czopek. Następnie wziął jakąś tabletkę i przetrząsnął szufladę, pochłaniając wszystko, co w niej było. Strach, niepokój, złość i przygnębienie mrugnęły i równie szybko zniknęły. Wszystko zrobiło się znowu miękkie, pozbawione rogów i kantów, na których mogłyby się rozedrzyć jego wykolejone uczucia.

Lars wstał z krzesła, położył się na podłodze, nie zasnął
- wyłączył się tylko na chwilę.

Dopiero kiedy dojeżdżali do Marbelli, zauważyła, jak jest blady, prawie biały, pot pokrywał jego twarz jak powłoka lakieru. Oddychał z trudem i szybko, położyła mu rękę na czole - było zimne i mokre.

- Hector?

Skinął głową, nie patrząc na nią, przejechała dłonią po jego szyi i karku, Hector był przemoczony.

- Co się dzieje, Hector?

- Nic, jedź.

Zmierzyła go spojrzeniem, poprosiła, żeby się nachylił.

Zawahał się, po czym ostrożnie pochylił się jakieś dziesięć centymetrów do przodu. Zobaczyła krew na całych jego plecach, krew, która zaplamiła podłogę.

- Boże kochany - powiedziała. - Gdzie jest najbliższy szpital?

Hector zakaszłał.

- Żadnego szpitala. Jedź do domu, tam jest lekarz.

- Nie, musisz jechać do szpitala, trzeba cię zoperować.

Tym razem ryknął.

- Nie! Żadnego szpitala!

Próbowała zachować spokój.

- Posłuchaj mnie, straciłeś dużo krwi, potrzebujesz pomocy lekarza... inaczej umrzesz.

Spojrzał na nią, próbował być równie spokojny.

- Nie umrę... U taty jest lekarz, on się mną zajmie. Jeżeli wyląduję w szpitalu, to trafię do więzienia... i tam umrę. Więc nie ma o czym mówić. Ty prowadź, ja będę pokazywał drogę.

Szybko przejechała przez centrum Marbelli, wjechała kawałek pod górę, by potem znowu obrać kurs na morze. Hector z początku pokazywał drogę, później zaczął powoli odpływać. Wyjaśnił, jak ma jechać, gdzie powinna skręcić, opisał całą drogę, po czym zrobił się ospały i powoli zaczęła tracić z nim kontakt. Rozumiała, co to może oznaczać.

- Hector! - krzyknęła. Pokazał ruchem dłoni, że słyszy.

- Nie wolno ci zasnąć! Słyszysz mnie?

Patrzyła na zmianę na Hectora i na drogę. Jechała szybko. Jedną rękę trzymała na kierownicy, drugą na jego ramieniu, potrząsała nim.

- Słyszysz mnie?

Słabo kiwnął głową, potem znów odpłynął.

Na zakręcie natknęli się na jadący z przeciwka samochód, Sophie gwałtownie odbiła, dźwięk klaksonu ciągnął się za nimi. Potrząsnęła Hectorem, głośno mówiła, próbowała sprawić, żeby jej słuchał. Nie dał rady, stracił przytomność. Krzyczała, biła go, ale nic do niego nie docierało. Sophie próbowała przypomnieć sobie drogę, którą jej opisał.

Zapadał zmierzch, kiedy wjechała na długą drogę wijącą się wśród doskonale utrzymanych trawników do domu na wzgórzu. Ogród był większy, niż przypuszczała, był niczym niekończący się park. Po lewej rozciągało się bezkresne morze. Nie oszczędzała samochodu.

Przed domem stały trzy auta, jedna karetka i dwa osobowe, drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Sophie zatrafiła, a potem wbiegła do środka i zaczęła wołać.

Ze schodów zbiegł mężczyzna z zakrwawionymi rękoma i ubraniem, który, co dziwne, wyglądał na opanowanego.

- W samochodzie leży ranny Hector! - krzyknęła zdyszana Sophie.

Mężczyzna zawrócił, wbiegając po schodach, zawołał coś po hiszpańsku i po chwili wrócił w towarzystwie

drugiego mężczyzny, równie zakrwawionego i opanowanego. Podbiegli do karetki, wyjęli nosze, pobiegli do podziurawionego kulami samochodu, wydostali Hectora i zabrali do domu. Kiedy wnosili nosze po schodach, Sophie szła za nimi.

Pierwszym, co zobaczyła po wejściu na piętro, były potłuczone szyby w jadalni, odłamki szkła usłały podłogę. Na stole leżał Leszek, dwóch mężczyzn go operowało. Na podłodze pod białym prześcieradłem leżały jakieś zwłoki, zaś w rogu pokoju dostrzegła opartego o ścianę nieznanego jej martwego mężczyznę, z brodą, w kraciastej koszuli, dzinsach i z pistoletem w dłoni. W szyi miał dziurę po kuli, ścianę za jego plecami pochlapała krew. Sophie usiłowała się zorientować w sytuacji.

Jeden z mężczyzn rozciął ubranie Hectora, drugi gmerał w dużej torbie, szukał osocza, odczytywał grupy krwi. Pracowali szybko i sprawnie. Mężczyzna stojący obok Hectora był lekarzem.

- Jestem pielęgniarką - powiedziała do niego Sophie.

Lekarz spojrział na nią, a następnie rozejrzał się po pokoju i wskazał Leszka. Sophie podeszła, Leszek był pod narkozą, w ramieniu miał dużą, głęboką ranę. Wszędzie mnóstwo krwi, brud i bałagan; teraz chodziło tylko i wyłącznie o ratowanie życia. Nie o higienę czy jakieś inne luksusy, do których była przyzwyczajona. Stojąca przy Leszku kobieta wyciągała pęsetą fragmenty pocisku, mężczyzna obok kontrolował przepływ płynów infuzyjnych i sprzątał. Lekarz Leszka usłyszał, co powiedziała Sophie, i wskazał w kierunku łazienki. Sophie weszła, umyła dokładnie ręce, nie patrząc na siebie w lustrze.

Pracowali intensywnie, przez wybite okna wpadało słone morskie powietrze. Lekarze i pielęgniarze prosili ją o pomoc, Sophie stała między Leszkiem a Hectorem. Upewniała się, że każdy ma wszystko, czego potrzebuje.

- Hector stracił mnóstwo krwi - oznajmił lekarz. - Uzupełniamy to na tyle, na ile możemy, ma dwie kule w plecach, trudno cokolwiek powiedzieć o jego stanie.

Sophie szysła Leszka, zabandażowała mu ramię i na tym jej praca się skończyła, nic więcej nie mogła dla nikogo zrobić. Ponownie poszła umyć ręce, tym razem również nie spojrziała na swoje odbicie.

W pokoju panowała cisza. Lekarz operował Hectora, pielęgniarski mu asystował.

Sophie zebrała się w sobie i podeszła do zwłok przykrytych białym prześcieradłem. Wiedziała, kto tam leży, wiedziała, że jego syn jeszcze nie wie, że został bez ojca. Uniosła lekko prześcieradło i zobaczyła Adalberta, z którego emanował swoisty spokój. Podniosła jeszcze trochę prześcieradło, na klatce piersiowej zobaczyła zakrzepłą krew, opuściła.

- Co się stało? - Zadała to pytanie lekarzowi Leszka, który stał kawałek dalej i palił papierosa. Lekarz wzruszył ramionami.

- Przyszliśmy... Adalberto nie żył. On też nie. - Lekarz wskazał brodatego mężczyznę przy ścianie, który, osuwając się, zostawił krwawy ślad.

- Leszek był ranny, ale przytomny. Nie wiem, co się stało, mniejsza o to. Ten drań tu był, i tyle - powiedział, zaciągnął się, papieros zaskwierczał.

- Kim jesteście? - zapytała.

Lekarz wydmuchał dym.

- Kim ty jesteś?

- Przyjaciółką Hectora.

Z jakiegoś powodu nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Jesteśmy lekarzami i pielęgniarkami, dzisiaj wolni strzelcy, wczoraj zatrudnieni. Od kilku lat mamy umowę z Adalbertem Guzmanem... na wypadek gdyby wydarzyło się coś takiego.

Przerwał im dźwięk, który rozległ się na dole, koło schodów, wszyscy obecni wymienili przerażone spojrzenia. Kto miałby tu przejąć dowodzenie? Słychać było kroki na schodach, mężczyźni próbowali się schować. Kroki były powolne i niepewne, zbliżały się. Sophie podbiegła do brodacza, odgięła jego palce, wyjęła rewolwer z zimnej, sztywnej dłoni i wycelowała w stronę schodów. Kroki były coraz głośniejsze, Sophie oddychała głośno, przymierzając się do strzału. Pojawiła się głowa, celownik spokojnie ją śledził, w końcu głowa zyskała ciało - ciało szczupłej kobiety.

Do pokoju weszła Sonya Alizadeh. Sophie opuściła broń, położyła ją na podłodze.

- Oni nie żyją? - zapytała szeptem Sonya i usiadła na krześle.

- Zjawili się bez ostrzeżenia - powiedziała potem. - Ostrzelali dom. Adalberto dostał, kiedy siedział przy stole i jadł... Potem weszli do domu i strzelali dalej. Leszek trafił jednego z nich. Po chwili sam oberwał.

- Kto go postrzelił?

Sonya się zastanowiła.

- Nie wiem. Mężczyzna, który uciekł samochodem.

- A ty? - zapytała Sophie.

- Zbiegłam na dół. Ukryłam się w piwnicy.

Sophie podeszła do Sonyi, przysunęła sobie krzesło, siadła koło niej i złapała ją za rękę. Siedziały tak, rozglądając się po pokoju, trzymając się za ręce. Przez wybite okna wpadał ciepły wiatr od morza i pieścił ich twarze. Sophie spojrzała na Hectora, który leżał na noszach i walczył o życie.

Na schodach rozległ się odgłos psich łap. Po chwili pojawił się mały, biały piesek, rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś szukał.

Sonya wyciągnęła ręce, pies podszedł do niej, wciąż niepewny, szukał, *węszył*, nie mógł *znaleźć* swojego pana. Sonya

przykucnęła, zawołała go. Pies zamerdał ogonem i wskoczył w jej ramiona. Wróciła na krzesło z psem na kolanach, głośkała spokojnie jego futro.

- To jest Piño.

Sophie uświadomiła sobie, że uśmiecha się do psa, może dlatego, że zawsze to robiła, może też dlatego, że pies wniósł do pokoju odrobinę spokoju i normalności.

Nagle maszyna podłączona do Hectora zaczęła piszczeć, lekarze i pielęgniarze uwijali się gorączkowo, Sophie i Sonya spojrzwały w tamtą stronę.

- Zapada w śpiączkę. - Głos lekarza był nerwowy.

Sophie podbiegła, lekarz pracował pełną parą. Prosił o różne rzeczy, Sophie mu je podawała, mamrotał, przeklinał i wyrzekał, że nie może pracować z tak skromnymi środkami. Pielęgniarze ręcznie pompowali tlen dla Hectora, Sophie patrzyła bezsilnie, jak lekarz zaprzestaje prób przywrócenia mu przytomności. Zaklął po hiszpańsku, zadał pielęgniarzowi pytanie, na które nie było odpowiedzi, pytanie, które było zaledwie wyrazem jego frustracji.

- Trzeba go przetransportować.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest to częścią umowy. Musi mieć dostęp do respiratora.

- Gdzie go zawieziecie?

- W bezpieczne miejsce.

- A Leszek?

Lekarz popatrzył na śpiącego Leszka.

- O niego się nie martw.

Sophie siedziała w tylnej części karetki przy noszach Hectora, Sonya obok niej, z Piñem na kolanach. Jechali przez rozświetloną Marbellę, Sophie mogła wyglądać tylko przez jedno okno w tylnych drzwiach. Pejzaż stanowili bawiący się ludzie, samochody lśniące o zmroku w świetle neonów,

restauracje, ogródki na powietrzu, motocykle, motorynd, upał, muzyka, młodzież i starcy, spędzający czas razem.

Trzymała Hectora za rękę, chciała coś powiedzieć, wszystko jedno co, chciała wierzyć, że jej głos przebija się przez ściany nieświadomości, że Hector czuje jej dłoń. Po chwili go puściła. Wyjęła telefon i zadzwoniła do Jane. Drugą ręką przytrzymywała się noszy Hectora. Jane odebrała zaspianym głosem. Powiedziała, że jest w szpitalu, że tam śpi. Że obaj mężczyźni nadal przychodzą i ktoś przez cały czas czuwa, pracują na zmianę. Nikt więcej nie pytał o Alberta ani o nią. Niech Sophie się nie martwi, Albert wygląda, jakby czuł się dobrze. Śpi spokojnie.

Wyjechali z miasta i ruszyli pod górę, na wieś, jechali w ciemności, minęli miasto Ojén i znów otaczał ich mrok. Po godzinie zwolnili i karetka się zatrzymała. Sophie usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, kroki na zewnątrz, następnie lekarz otworzył tylne drzwi, owiało ją ciepłe powietrze, lekarz dał znak, że mogą wysiadać.

Była to stara posiadłość, świeżo odnowiona, biała, z czerwonym dachem, oświetlona. Przed domem stał mały samochód, taki, jakimi jeżdżą single, niepozorny, z małymi kołami i wąskimi drzwiczkami. Ktoś czekał na nich w środku. Drzwi otworzyła kobieta.

Hectora wniesiono na noszach. Sophie i Sonya poszły za nim. Kobieta, która wyszła im na spotkanie, zbadała szybko Hectora w korytarzu i dała znak, by wnieść go do salonu. Był to duży salon, o białych kamiennych ścianach, podłoga z terakoty, hiszpańskie meble, urządzone ze smakiem. Sophie dostrzegła sprzęt szpitalny - defibrylator, dwie kroplówki, respirator, a kawałek dalej duże szpitalne łóżko.

Hectora przeniesiono na łóżko. Kobieta podjechała ze sprzętem, podłączyła kroplówkę i pod koldrą założyła cewnik. Lekarz z pielęgniarkami podłączyli respirator,

porozmawiali chwilę z kobietą, po czym wyszli z domu i odjechali karetką.

Kobieta sprawdziła stan Hectora jeszcze raz, po czym odwróciła się do Sophie i Sonyi.

- Nazywam się Raimunda, będę się opiekowała Hectorem. Od dzisiaj pracuję tutaj. Jeszcze wczoraj miałam posadę w prywatnym szpitalu, zwolniłam się stamtąd cztery godziny temu, kiedy dostałam telefon.

Mówiła cicho i wyraźnie.

- To miejsce jest pewne, tylko kilka osób wie o jego istnieniu, niech tak pozostanie.

Sophie przyjrzała się Raimundzie. Była drobną kobietą koło trzydziestki, o czarnych włosach sięgających dolnej części karku. Była w niej jakaś fachowość i powściągliwość. Wydawała się w porządku, opanowana... lojalna.

Sophie wyszeptwała: - Dziękuję.

Sophie położyła się w jednym z pokoi, za oknem grały cykady.

W zostawionej na krześle torebce coś nagle zabrzęczało. Wstała i podeszła. Telefon, który dostała od Jensa, świecił na dnie, obok portfela, biżuterii, kosmetyków i rachunków.

- Jens?

- Nie, Aron.

- Hectorowi zdarzył się...

- Wiem wszystko, gdzie teraz jesteś?

- W posiadłości... W górach.

- Kto tam jest?

- Raimunda, Hector, ja i Sonya.

- Zostań tam. Policja ogrodziła willę Adalberta. Leszek do was jedzie.

-A ty?

- Przyjadę, gdy tylko będę mógł, jestem poszukiwany, muszę pojechać naokoło.

- A co z Jensem?
- Opatrzyłem go tak dobrze, jak potrafiłem... wyjdzie z tego.
- Zapadła cisza.
- Sophie.
- Tak?
- Musimy porozmawiać, lǳy się spotkamy.
- Odłożył słuchawkę.

27

Promienie słońca z wolna wędrowały po parłdecie. Gunilla spokojnie śledziła je wzroldem. On leżał na podłodze bez przykrycia, skulony jak malutkie dziecko w łonie matld. Powoli, powoli światło dotarło do jegę ramienia, a później dotknęło brody. Wędrówka światła po Larsie Vingem jest jak symfonia, pomyślała Gunilla. Jak cicha symfonia. Czekala cierpliwie jak zwykle. Promienie słońca powędrowały w górę po policzku, by następnie musnąć jego zamknięte oko. Za zamkniętymi powiekami dostrzegła ruch, Lars przelknął ślinę, otworzył oczy, omiótł wzroldem podłogę, zamknął oczy, znowu przelknął ślinę.

- Dzień dobry - wyszeptala miękkoo.

Zobaczył, że siedzi na krześle i spoględa na niego z góry. Podniósł się do pozycji siedzącej, był rozbudzony, na narkotycznym kacu po morfinie, w środku czuł kompletnę pustkę.

- Co ty tu robisz? - wychrypiał.
- Próbowałam się z tobą skontaktować, nie odpowiada-
leś, chciałam zobaczyć, jak się czujesz.

Spojrzał na nią mętnym wzrokiem.

- Jak się czuję?

- Tak.

Lars próbował myśleć. Jak ona się tu dostała? Czyżby śledziła go w nocy?

- Lars?

Spojrzał na nią, żałował, że nie miał więcej czasu na zaplanowanie tego, jak z nią rozmawiać.

- Nie czuję się najlepiej - powiedział cicho.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Chyba się przepracowałem.

Przyjrzała mu się badawczo, podniosła pudełko tabletek, które miała na kolanach.

- Co to jest?

- Takie tam zwykłe leki.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Masz tego całą szufladę.

Nie odpowiedział.

- To jest normalne, Lars... Jesteś chory?

Chciał powiedzieć „rak w zaawansowanym stadium”.

Ludzie z nowotworem mogą robić, co im się podoba. Nie, ona już wszystko o nim wiedziała.

- Nie.

- Dlaczego więc bierzesz morfinę?

- To moja sprawa.

Pokręciła głową.

- Nie, dopóki dla mnie pracujesz.

Tym razem spojrzał jej w oczy, były w pewnym sensie niedostępne, puste i martwe. Jak gdyby ktoś się tam wślizgnął i zaciągnął zasłonę. Czy zawsze miała takie oczy? Nie wiedział, wiedział tylko, że teraz tu jest, że jest śmiertelnie niebezpieczna, że prawdopodobnie nie przyszła sama. Wiedział, że jego pistolet jest za daleko. I być może ona wie, że on wie. Może znalazła mikrofon na Brahegatan... Może teraz go zabije?

Lars popatrzył na pudełko tabletek na jej kolanach. Przypomniał sobie, jak okłamał księdza w Szczęśliwym Grosiku, jak łatwo jest kłamać, gdy człowiek wykorzystuje fakty. Prawda to najlepsze kłamstwo.

- Lars? Odpowiedz na moje pytanie.

Siedział na podłodze, przecierając oczy.

- Co chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, co robiłeś przez ostatnie dni, chcę wiedzieć, dlaczego mieszasz morfinę, benzodiazepiny i leki uspokajające.

Odczekał chwilę.

- Przepraszam, Gunilla... - odparł szeptem.

Spojrzała na niego.

- Za co przepraszasz?

- Że cię oszukałem.

Jej spokój zamienił się w nerwową ciekawość.

- W jaki sposób mnie oszukałeś? - teraz i ona szeptała.

Lars odetchnął ciężko kilka razy.

- Kiedy byłem dzieckiem... - zaczął - miałem dziesięć, może jedenaście lat, dostawałem leki nasenne, uzależniające. Moja mama załatwiła receptę... Szybko się uzależniłem. Później, kiedy miałem jakieś dziewiętnaście lat, pomogli mi je odstawić... ale szkoda już została wyrządzona. Przez większość dorosłego życia byłem abstynentem. Unikałem alkoholu, nigdy nie zażywałem żadnych silniejszych leków. Niedawno zgłosiłem się do lekarza z bólami pleców, a kiedy zapytał, wspomniałem o kłopotach z zasypianiem. Zawsze je miałem i... nie pomyślałem wtedy. Przepisał mi jakieś leki, przeciwbólowe i uspokajające, zacząłem je brać.

Podniósł na nią wzrok, wciąż go słuchała.

- Nie były jakieś szczególnie niebezpieczne, ale to było jak naciśnięcie guzika. Czułem się po nich dobrze... ostatni raz czułem się tak... nie pamiętam lody. Cały mój organizm zareagował na te leki... potem poszło już siłą rozpędu. Po

tygodniu byłem uzależniony... Załatwiłem sobie silniejsze preparaty. Od tego czasu na nich jadę.

- Powiedziałeś, że mnie oszukałeś?

Wbił spojrzenie w podłogę, ledwo zauważalnie pokiwał głową.

- Nie wykonywałem swojej pracy, przez ostatnie dni leżałem plackiem... zadzwoniłem stąd do ciebie, powiedziałem, że szukam Sophie, skłamałem.

Gunilla szukała jednocześnie zmyślenia i prawdy. Po chwili się odprężyła, Lars to dostrzegł.

- Nic się nie stało - odpowiedziała. - Nic się nie stało...

Wstała, spojrzała na niego i wyglądała, jakby miała ochotę powiedzieć coś więcej. Skierowała się jednak do drzwi. Lars patrzył za nią.

- Gunilla! - zawołał.

Odwróciła się.

- Przepraszam.

Zastanawiała się nad jego słowami.

- Nie chcę stracić tej pracy. Dałaś mi szansę... daj mi jeszcze jedną, proszę cię...

Nie odpowiedziała, zniknęła w korytarzu. Lars usłyszał dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Anders Ask minął drzwi do pokoju, uśmiechnął się do Larsa i udał, że strzela do niego z palca, po czym wyszedł z Gunillą na klatkę schodową. Drzwi się zamknęły, zapadła cisza.

Leżał nieruchomo, dopóki odgłos ich kroków na schodach nie zamarł. Następnie wstał, zebrał tabletki, odczekał chwilę, opuścił mieszkanie i poszedł na stację metra. Jakparanoik przesiadał się z jednego pociągu do drugiego, szukał cienia. Kiedy był pewien, że jest sam, wrócił do hotelu na Strandvägen, na drzwiach powiesił tabliczkę „Do not disturb”. Aż zadrzał na myśl, że właśnie o włos uniknął śmierci. Zdawał sobie sprawę, że czas jest decydujący. Zabrał się do dzieła - zaczął opracowywać plan dalszego postępowania.

*

Leszek smażył bekon.

Miał zabandażowaną prawą rękę, ale z powodzeniem robił wszystko lewą. Raimunda siedziała w fotelu i czytała książkę Annie Proulx, Sonya spała na kanapie, Hector leżał na plecach w łóżku, zapewne przebywając w innym wymiarze.

Z wieży stereo dobiegała cicha muzyka Chopina, była to decyzja Raimundy. - Hector powinien cały czas słuchać pięknej muzyki - powiedziała. Sophie siedziała na brzegu kanapy i słuchała. Grał Bernstein, drugi koncert fortepianowy... f-moll. Sophie puszczała sobie jego fragmenty w dzieciństwie. Jako nastolatka przestała to robić, nie pamiętała dlaczego.

Sophie wstała i podeszła do Leszka przewracającego bekon na patelni, patrzył pustym wzrokiem na wytopiony tłuszcz, wyglądał na smutnego. Poklepała go lekko po zdrowym ramieniu.

- Chcesz, żebym ja to zrobiła? - zapytała.

Pokręcił głową.

Wyjęła talerze z szafki i właśnie zaczęła nakrywać do stołu, kiedy rozległ się dźwięk podjeżdżającego samochodu. Leszek był szybki, zdjął patelnię z płyty, chwycił leżący na półce z przyprawami pistolet i szybko ruszył do okna. Otworzyły się drzwiczki, zza kierownicy wysiadł Aron. Leszek odechnął i wyszedł mu naprzeciw. Sophie widziała przez okno, jak się poklepują, po czym pogrążają w rozmowie, w której dominował Leszek, prawdopodobnie opowiadał ze szczegółami wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni.

Aron wszedł do środka, uścisnął Sonyę i zamienił z nią kilka słów. Przedstawił się Raimundzie i usiadł przy Hectorze, mówił do niego cicho po hiszpańsku, gładził po głowie. Spojrzał Sophie w oczy

- Przejdźmy się - powiedział.

Wyszli z domu, zaczęli iść pod górę piaszczystą drogą. Aron z rękoma w kieszeniach. Uszli kawałek, im wyżej wchodziłi, tym robiło się chłodniej. Sophie patrzyła w ziemię, żwir wyglądał inaczej, był bardziej brązowy, mniej zwarty, sporo było w nim większych kamieni. Stawiając stopy, próbowała ich unikać.

- Jakież wieści o twoim synu?

Pokręciła głową.

- Co mówią lekarze?

- Nie wiem - odparła.

Odczekał chwilę, zanim przeszedł do rzeczy.

- Hector powiedział mi przez telefon, że masz otrzymać pełnomocnictwo, wiesz dlaczego?

Nie odpowiedziała, pokręciła tylko głową.

- Ja też nie, przynajmniej na początku nie wiedziałem.

Teraz ona spojrzała na niego.

- Przyszły mi do głowy dwie możliwości, dość mocno od siebie odległe.

Przeszedł parę kroków, po czym mówił dalej.

- Dużo widziałeś, słyszałeś różne rzeczy, może dowiedziałeś się czegoś, czego nie powinnaś, nie wiem. Może Hector zrozumiał, że nie możemy puścić cię samopas, może pełnomocnictwo to sposób, by cię przy nas zatrzymać, blisko, gdzie nie możesz wyrządzić żadnych szkód.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Tak rozumowałem na początku. Hector wiedział, że jest ranny...

Aron odczekał chwilę.

- Może jednak istnieje inny powód - ciągnął. - Nie wiem, czy nadal był aktualny, ldedy Hector dzwonił do mnie z samochodu...

Delikatny wietrzyk zmierzwił jej włosy. Poprawiła je.

- Hector często o tobie opowiadał, zanim to wszystko się stało... O twoich cechach... przymiotach. Cenił cię w sposób, w jaki chyba wcześniej nie cenił żadnej kobiety.

Patrzyła w ziemię.

- Zobaczył w tobie coś innego.

- Co? - zapytała szeptem.

Aron wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale coś zobaczył.

Weszli kawałek pod górę, mieli stąd widok na porośniętą ciemnozieloną roślinnością dolinę, która opadała kilkaset metrów w dół. Aron przystanął, podziwiał widok.

- Powiedział, że nie rozumie, jakim człowiekiem tak naprawdę jesteś.

Tok jego rozumowania był dla Sophie niejasny.

- O czym my rozmawiamy? To są tylko słowa - powiedziała.

- Nie. Nie, jeżeli pochodzą od niego.

Utkwił wzrok w jakimś punkcie w oddali.

- Miał związane z tobą życzenie. Ale ja go nie rozumiem. Nie do końca pojmuję, o co mu chodziło podczas naszej ostatniej rozmowy.

- A musisz?

Spojrzał na nią.

- Tak, muszę.

Jego spojrzenie wyostrzyło się. Podjął decyzję.

- Obejmę cię czymś w rodzaju kwarantanny, dopóki sytuacja się nie rozwinie albo dopóki Hector się nie ocknie i nie wyjaśni swojej decyzji.

- I co to oznacza?

- Pełnomocnictwo daje ci częściowe prawo do podejmowania decyzji związanych z naszą pracą. To oznacza, że będziesz świadomie uczestniczyć w tym, czym się zajmujemy, a wobec tego nie będziesz stanowiła zagrożenia - mniej więcej w tym stylu.

- A dla mnie? Co to oznacza dla mnie?

- Będziesz mi pomagać. Muszę tu zostać i trzymać się w ukryciu, dopóki wszystko się trochę nie uspokoï.

- Co mam robić?

- Nie możemy pozwolić światu myśleć, że on wypadł z gry, to miałyby katastrofalne skutki dla nas i dla ludzi, którzy są od niego zależni. Znasz go, prawda?

- Co masz na myśli?

- On zna ciebie. A więc ty chyba znasz jego?

- Tak mi się zdaje - powiedziała ostrożnie.

- Czyli wiesz, jak by postąpił?

Czyżby dostrzegła u Arona proszący ton? Jakieś wyczerające z głębi błaganie?

- Być może. Ale ty też go znasz.

- Tak, chociaż w inny sposób... Zrobimy to razem.

- A na dłuższą metę?

Zastanowił się.

- Tego nie wiem.

- A co wiesz? - zapytała.

Popatrzył na nią.

- Jeżeli wszystko nam się spieprzy, pociagniemy cię na dno. Mniej więcej tyle.

Zastanowiła się nad tym, co powiedział; wszystko brzmiało tak absurdalnie.

- Hector ma syna - powiedziała.

Aron sldnął głową.

- Lothara Manuela - powiedział.

- Dlaczego nie on? Dlaczego nie ty? Dlaczego nie Sonya, Leszek, Thierry, Daphne... Ernst?

Aron spojrział jej w oczy i wzruszył ramionami. To była jego odpowiedź.

Sophie próbowała uporządkować myśli.

- A jeżeli odmówię? Jeżeli stąd odejdę i nigdy więcej nie wrócę?

- Tak się niestety nie da - odparł.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ Hector powiedział mi, że masz dostać pełnomocnictwo, i tak się stanie.

- Ale mam chyba wybór?

Potrząsnął głową.

- Nie - powiedział cicho.

Wpatrzyła się w niego. Poddawał się temu przez chwilę, po czym odwrócił wzrok.

- Policja mnie zna - odezwała się Sophie. - Widzieli mnie w restauracji.

- Musimy podjąć to ryzyko. Tym policjantom zależało na naszych pieniądzach. Ty ich nie obchodzisz. Leszek pojedzie z tobą do domu, będzie cię bronił, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- A ty? - zapytała.

- Ja pozostanę w ukryciu, będę ci mówił, co masz robić.

Miała tysiąc pytań, tysiąc prośb. *

- Wdrożę cię we wszystko. Poświęcimy na to kilka dni tutaj, a później zobaczymy, jak sytuacja rozwinie się w Sztokholmie. - Odwrócił się i zaczął schodzić po piaszczystej drodze.

Ona nadal stała, a myśli kołatały jej się po głowie, nie mogąc znaleźć oparcia. Po chwili poszła za nim wolnym krokiem. Aron zatrzymał się kawałek niżej i czekał. Ruszyli ramię w ramię.

- Oni pobili mojego syna. Potrącili go samochodem. Być może do końca życia będzie sparaliżowany.

Aron nie odpowiadał.

- On nic nie zrobił - wyszeptwała Sophie. - To niesprawiedliwe...

Aron trzymał w ręku złożoną kartkę, podał jej pełnomocnictwo podpisane przez Hectora. Sophie przyjęła dokument i schowała do ldeszeni.

Resztę drogi do domu przebyli w milczeniu.

*

Śledzenie Andersa Aska było prostą sprawą. Po pracy wizyta w 7-Eleven na rogu Odengatan i Sveavägen, zakup kolorowej gazety, napoju i słodyczy, gadka z nastoletnią kasjerką, później zaś przystanek u Włocha i pizza w jego lokalu z kraciatymi obrusami. Na koniec powrót do mieszkania położonego naprzeciwko parku Vanadislunden.

Lars dostał się do domu i sfotografował zamek do drzwi Andersa, kilkuletnią assę. Następnego dnia znalazł podobny u ślusarza na Kungsholmenie, kupił go i w hotelowym pokoju ćwiczył otwieranie go wytrychem. Okazało się to trudne i wymagało czasu, choć Lars zaopatrzył się w najlepsze narzędzia. Pracował do późnych godzin nocnych, żałując, że nie urodził się z trzema rękami.

Następnego dnia, gdy słońce stało gdzieś w okolicach Djurgården, udało mu się otworzyć zamek po raz pierwszy. Ćwiczył ostro całe przedpołudnie, w porze obiadowej i po południu i wreszcie udało mu się go otworzyć w czasie krótszym niż siedem minut.

Doprowadził się do porządku i piechotą udał się na Sveavägen. Była szesnasta, ldey po raz drugi wszedł do budynku, pojechał rozchybotaną windą na trzecie piętro, odsunął kratę i wysiadł przed drzwiami do mieszkania Andersa Aska.

Anders miał dwóch sąsiadów - Norina i Greveliusa. U Norina było cicho, zza drzwi Greveliusa dochodziły przytłumione dźwięki telewizora. Lars naciągnął czapkę, wyjął wytrychy, uklęknął na zimnej kamiennej podłodze, wziął kilka głębokich oddechów i rozpoczął pracę. Działał metodycznie, wszystko poszło tak jak powinno, wytrychy znalazły drogę w cylindrze i wcisnęły zapadki. Na którymś z wyższych pięter otworzyły się i zamknęły drzwi, winda zaczęła się telepać się w górę. Lars musiał przerwać, wyciągnął

wytrychy i schował się, gdy winda zjeżdżała na dół. Następnie spędził swoje siedem minut z zamkiem. Rozległo się kliknięcie.

Lars założył ochraniacze na buty, maseczkę na twarz i rękawiczki, po czym wkroczył do przedpokoju.

Mieszkanie było dwupokojowe ze sporą kuchnią. Zajrzał do dużego pokoju. Kanapa z wysiedzianymi poduszkami, rozchybotany stolik z Ikei. Witryna z zakurzonymi szklanymi figurkami na półce. Na ścianach obrazy znanych malarzy. Olbrzymi płaski telewizor, głośniki na podłodze i małe głośniczki wysokotonowe pod sufitem. Anders lubił dźwięk surround. Lars wszedł do sypialni. Niepościelone łóżko, zasunięta zasłona, na stoliku przy łóżku kieszonkowe wydanie *Jäniksen vuosi* (Roku zająca) Paasilinny. Pod ścianą Lars dostrzegł podróżną torbę. Ukucnął i otworzył. Ubrania, dokumenty, pieniądze... Anders chce zwiąć.

Znów wszedł do kuchni. Usiadł na krześle, wskazówki zegara przesuwają się powoli, zdjął z twarzy maseczkę, zawiązała na gumce na szyi. Gwar uliczny na Sveavägen działał usypiająco, Lars zapadł w drzemkę.

Po paru godzinach obudził go dźwięk klucza w zamku. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Anders chrząknął w przedpokoju, położył klucze na komodzie, zrzucił z nóg buty, rozpiął zamek, ldedy zdejmował kurtkę, zaszeleścił nylonowy materiał. Głośne westchnienie, zapach świeżo upieczonej pizzy. Kroki w przedpokoju. Anders podskoczył, kiedy kątem oka zobaczył Larsa, osłonił się odruchowo rękami, karton z pizzą poleciał na podłogę.

- Co, do diabła? O kurwa, ale mnie przestraszyłeś!

Anders wpatrywał się w Larsa, jednocześnie przestraszony i wściekły.

- Co ty tu robisz? - zapytał skołowany. - Jak się tu, do cholery dostałeś?

Lars wycelował w niego z makarowa Gunilli.

- Wejdz i siadaj.

Anders się zawahał, spojrział na lufę, a następnie na karton z pizzą, który miał pod nogami. Lars kiwnął głową w kierunku krzesła, Anders z początku nie zrozumiał, po chwili wszedł do kuchni i niepewnie usiadł.

- Jak tam u ciebie, Anders? - zapytał Lars, celując w jego brzuch.

- Co mówisz?

Lars nie powtórzył pytania. Anders przełknął ślinę.

- Z czym?

- Ze wszystkim.

Anders popatrzył na maseczkę wiszącą na szyi Larsa.

- Chyba dobrze... Lars, ja nie rozumiem.

Miał przestraszony głos.

- Czego nie rozumiesz?

- Tego! Co ty tu robisz... z pistoletem?

Anders próbował się uśmiechnąć.

- Chyba wiesz?

- Nie, nie wiem! - krzyknął wściekle.

- Jesteś zły?

Anders uniósł ręce.

- Nie, nie, przepraszam, nie jestem zły. Jestem tylko... zaskoczony.

Potulny uśmiech znów zagościł na ustach Andersa, był krzywy i brzydki.

- Daj spokój, Lars, co to ma być? Możemy to rozwiązać. Odlóż, proszę, pistolet.

Lars patrzył na niego pustym wzrokiem, trzymając pistolet wciąż w tej samej pozycji.

- Jak mamy to rozwiązać? - zapytał.

- Jak chcesz, ty decydujesz - odparł Anders z desperacją w głosie.

Lars zrobił zamyśloną minę.

- Co właściwie mamy rozwiązać?

Anders nie zrozumiał.

- Słucham?

- Co takiego mamy rozwiązać. Powiedziałeś: „Możemy to rozwiązać”. Ale co?

Anders wpatrywał się w Larsa.

- Nie wiem, to po co przyszedłeś.

- A jak myślisz, dlaczego tu przyszedłem?

- Nie wiem!

Spojrzenie Andersa przeniosło się na osłonięte buty Lar-
sa, strach zagnieździł mu się w gardle.

- Ależ wiesz...

- Nie, nie wiem! - Głos Andersa był odrobinę za wysoki.

Lars odczekał kilka sekund, ta efektowna pauza była dłu-
ga i męcząca.

- Sara.

Anders próbował uśmiechnąć się pytająco.

- No? Kto to taki?

Lars przypatrywał się Andersowi. *

- Skończ z tym - powiedział spokojnie.

Anders był kiepskim kłamcą, ldey się denerwował. Lars
dał mu to do zrozumienia grymasem twarzy, Anders zaś, co
dziwne, najwyraźniej się odprężył. Siedział bez słowa, zerk-
nął za kuchenne okno, wciągnął powietrze.

- To nie byłem ja. To Hasse... I to Gunilla wydała rozkaz.
Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Co się stało? - zapytał Lars.

Andersowi zaschło w gardle.

- Sara zrozumiała coś z zapisków w twoim mieszkaniu.
Zapisywałaś wszystko na ścianie... Prawda?

Lars nie odpowiedział.

- A więc wydała rozkaz - mówię o Gunilli. Ta dziewczyna
wszystko wiedziała, nawet o czymś, czym Gunilla zaj-
mowała się wcześniej, o jałdejś dziewczynie... Patricii jakiejś
tam... nie wiem, o co chodzi.

Lars pokręcił głową.

- Nie, Sara o niczym nie wiedziała, z pewnością zgadywała.

Anders nie zrozumiał.

- Przecież widziałeś ścianę, prawda? Jakim cudem ktoś mógłby zrozumieć, co tam jest napisane? Przecież nie ma nawet kontekstu... Pisałem to wszystko w jakimś pierdolonym narkotycznym chaosie! Ona nic nie rozumiała, ja nic z tego nie rozumiałem...

- Ale teraz rozumiesz?

Lars pokiwał głową.

- Tak, teraz tak.

Na twarzy Andersa odmalowało się coś w rodzaju dumy.

- Jesteś zdziwiony?

Lars nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, wzruszył ramionami.

- Rozumiesz, jacy byliśmy sprytni?

Lars podniósł wzrok.

- Dlaczego nie pozwoliliście mi *w tym uczestniczyć*? - Jego głos był niemal proszący.

- Jasne, że byśmy ci pozwolili, Lars. Po prostu musieliśmy być pewni. Ale jeszcze nie jest za późno, przyłącz się do nas, zrobimy to razem.

- Ale zamordowaliście Sarę?

Anders spojrzał w podłogę.

- Okej, Lars, teraz pomyśl. Naszym problemem jest Gunnilla. Razem możemy go rozwiązać. Sam jesteś niczym, ja mam dostęp do wszystkiego. Zabierz tylko pistolet... Zrobimy to wspólnie, Lars, wkopiemy ją raz, a dobrze... Okej?

Lars się zawahał, zastanowił, podniósł wzrok na Andersa.

- Jak mielibyśmy to zrobić?

Anders zobaczył furtkę, wkradła się odrobina pewności siebie. Spojrzał na pistolet, później na Larsa.

- Weźmiemy wszystko, co mamy, opracujemy plan, doniesiemy na nią, ty nie powiesz nic o mnie, a ja o tobie...

- A co z Hassem?

- Ty o tym zadecydujesz. Możemy go sprzątnąć, mogę to dla ciebie zrobić. Pamiętaj, że to on zabił twoją dziewczynę, a nie ja.

Lars skinął głową sam do siebie.

- Tak, to rzeczywiście dobry pomysł...

Andersowi widocznie ulżyło, uderzył się dłonią po udzie.

- Dobra! To jest to, Lars! Teraz ja, kurwa, załatwimy, razem, ty i ja, jak drużyna.

Anders odetchnął, zaczął się bujać na krześle.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Lars.

Anders był szybki...

- Ważne, żebyśmy nie wzbudzili podejrzeń u Gunilli ani u Hassego... Przez kilka dni będziemy pracować jak gdyby nigdy nic, w nocy będziemy się spotykać i opracowywać plan, którego później będziemy się trzymali. Będzie dobrze, jeżeli tylko zrobimy to razem. Ty i ja!

Lars niepewnym ruchem opuścił lekko broń.

- Przepraszam cię, Anders, że tak tu przyszedłem, z bronią i w ogóle.

Anders machnął ręką, pewien, że udało mu się przekonać tego idiotę Larsa Vingego. Wtedy Lars podniósł pistolet, potrzymał go kilka sekund w lewej dłoni, wycelował i bez wahania oddał strzał w półotwarte usta Andersa. W kuchni rozległ się donośny huk. Kula przebiła Andersowi szyję i kark, by na koniec utkwic w drzwiach lodówki za jego plecami. W kuchni zapadła absolutna cisza. Anders wpatrywał się w Larsa ze zdumieniem. Krzesło, na którym się huśtał, zatrzymało się na chwilę na tylnych nogach, po chwili jednak grawitacja zwyciężyła i krzesło runęło do tyłu wraz z Andersem Askimem, uderzając o podłogę.

Lars założył maseczkę, wstał, podszedł do niego i ukucnął. Anders wpatrywał się w niego, spod jego głowy wypływała struga krwi. .

- Palant z ciebie, Anders, myślisz, że zdumiałem do reszty?

Lars poczuł słaby zapach przypalonego mięsa.

- Teraz wstań i przeanalizuj tę sytuację... Ja żyję, ty umierasz.

Anders próbował coś powiedzieć, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko jego usta poruszały się z trudem, niczym u ryby wyrzuconej na brzeg.

- Nie słyszę cię, Anders - szepnął Lars. - Pójdiesz do piekła. Zabijałeś kobiety. W szpitalu leży chłopak, być może sparaliżowany na resztę życia. Pewnie mają tam na dole mieszkanko dla takich jak ty.

Lars przyglądał się cierpliwie, jak życie wycieka z Andersa Aska na pokrytą linoleum podłogę. Kiedy Anders już nie żył, Lars wstał, otworzył okno, wytarł pistolet kuchennym ręcznikiem, cały czas przyglądając się zwłokom. Co czuł? Skruczę? Nie... Ulgę? Nie, nie czuł nic. Włączył radio na pełną głośność. Było ustawione na program pierwszy.

Znowu ukucnął przy Andersie, w prawą rękę włożył mu pistolet, swoją dłoń odgiął, żeby jak najwięcej prochu zostało na dłoni Andersa. Przycisnął spust. Wiadomości radiowe zagłuszyły huk, pocisk wyleciał przez okno, ponad Vanadislunden i dalej nad Östra station, aż w końcu spadł gdzieś na Lindingó. Sąsiedzi usłyszeli być może dwa strzały. Ale tak musiało zostać... Świadkowie najczęściej się mylą. Każdy policjant wychodzi z takiego założenia. Świadkowie są głupi.

Lars zamknął okno, przyjrzał się pozie Andersa i zaczął kalkulować, gdzie mniej więcej wylądowałby pistolet, gdyby wypadł mu z ręki. Położył go na podłodze kawałek od ciała. Następnie wszedł do sypialni, wziął podrózną torbę

Andersa i ją wypakował - ubrania odwiesił do szafy, paszport włożył do szuflady, pustą torbę zamknął i wsunął pod łóżko.

Wycofał się z mieszkania, zdjął lateksowe rękawiczki i maseczkę i cicho zamknął za sobą drzwi.

Lars spał tej nocy jak kamień, obudził się około wpół do szóstej rano. Zamówił do pokoju kawę, jeść nie chciał. Poczekał do ósmej i zadzwonił. Mężczyzna po drugiej stronie miał wątpliwości, Lars obstawał przy swoim.

Wziął prysznic i wyprasował koszulę. Potem długo stał przed lustrem i grzebieniem nadawał włosom schludny wygląd. Lars był na kontrolowanym haju, czesał się powoli.

Buty miał świeżo wypastowane, spodnie leżały pod materacem. Wyglądał dostojnie, spojrzął na siebie w lustrze, nigdy nie miał z tym problemu, kiedy był na haju. Szukał odpowiedniego wyglądu. Takiego, który trudno będzie określić. W końcu znalazł coś odpowiednio beztreściowego i nic niemówiącego, zapiął koszulę, wziął wiszącą na oparciu krzesła marynarkę i narzucił na siebie. Wychodząc, chwycił stojącą na łóżku sportową torbę.

Światło dnia było dla niego niebezpieczne. Nie miał jednak wyboru. To się musiało stać w dzień, żeby osoba, z którą miał się spotkać, nie nabrała podejrzeń. Zdecydował się na plac Mariatorget, otwartą przestrzeń, gdzie będzie miał widok na wszystko.

Stał na klatce schodowej na najwyższym piętrze budynku i obserwował park przez lornetkę. Była 11.44. Umówili się o wpół do dwunastej. Obserwował ludzi. Przeważnie były to mamy z wózkami, huśtające się dzieci, ten czy inny tatuś, który zgarbiony trzymał za ręce swoje roczne dziecko upierające się, że chce chodzić. Przeniósł wzrok kawałek dalej,

w kierunku ulicy św. Pawła. Ludzie, którym się spieszyło, grupka roześmianej młodzieży, kilkoro emerytów, siedzących na ławkach.

Lars skierował lornetkę na Hornsgatan, tam również nie było nic ciekawego. Samochody, ludzie spacerujący bez celu, otyli wsiowi turyści wcinający lody koło małej budki.

Opuścił lornetkę, spojrzął na zegarek. 11.48, czy powinien iść? Ostatni raz omiótł cały park... Tam, samotny mężczyzna na ławce. Lars wrócił do niego. Mężczyzna położył jedną rękę na oparciu, miał włosy do ramion i łysinę na cieniu. Obrócił się Jckko, Lars dostrzegł policyjny wąsik. No jasne, że to on.

Wystukał numer. Przyłożył słuchawkę do ucha i obserwował mężczyznę przez lornetkę, widział, jak szuka w kieszeni dzwoniącego telefonu, w końcu znalazł go i odebrał.

- Tak?
- Tommy?
- No - prawie niesłyszalnie.
- Trochę się spóźnię, pięć minut...

Lars się rozłączył. Znowu spojrzął na Tommy'ego Janssona przez lornetkę. Tommy nadal siedział na ławce i gapił się na ludzi w parku. Do nikogo nie dzwonił, nie dawał żadnych znaków. Siedział tylko i czekał - zmęczony, niespokojny i zgrzany. Lars przesunął lornetkę. Patrzył na ludzi w pobliżu. Szukał między drzewami po drugiej stronie, przy starym kinie, niczego nie zauważył. Tommy najwyraźniej przyszedł sam.

Spakował lornetkę do torby i zszedł po schodach. Znalazł się na słońcu i poszedł w kierunku ławki, na której siedział Tommy. Ławka obok była pusta, Lars na niej usiadł. Tommy rzucił na niego okiem, po czym znowu spojrzął na park. Lars czekał i czekał, wszystko wydawało się normalne. Tommy westchnął i spojrzął na zegarek. Lars wstał, podszedł do niego i usiadł obok.

- Jestem Lars.

Tommy był zdenerwowany.

-Arogancki dupek z ciebie. Każesz mi tak czekać, nie podoba mi się to. Czego chcesz?

Tommy miał šodermałmski akcent. Może matka urodziła go dokładnie tu, gdzie teraz siedzimy, pomyślał Lars.

- Chcę z tobą porozmawiać o kilku sprawach.

- Tak, mówiłeś to przez telefon... Pracujesz dla Gunilli, dlaczego z nią nie rozmawiasz? Znasz chyba hierarchię?

Lars rozejrzał się dookoła, zobaczył mnóstwo ludzi w ruchu. Nagle znów zaczął się denerwować.

- Możemy pójść gdzie indziej?

Tommy prychnął.

- Zapomnij, siedzę tu po godzinach... Mów, jaką masz sprawę, albo sobie idę.

Lars zebrał się w sobie, spojrzał na Tommy'ego. Zwątpienie przyszło jak sztormowa fala. 'Czy to był właściwy człowiek, czy też Lars za chwilę popełni największy błąd w swoim życiu?

- Mam pewne informacje - powiedział.

- Na jaki temat?

- Na temat Gunilli.

Zmarszczka na czole Tommy'ego nie zniknęła.

-Aha?

- Gunilla nie prowadzi żadnego śledztwa, to wszystko bluff - powiedział cicho Lars.

Tommy przyjrzał mu się badawczo.

- Skąd o tym wiesz?

- Pracowałem dla niej przez ostatnie miesiące.

Tommy spojrzał na niego surowo.

- Uważasz, że czterech zabitych na Vasastan to nie jest śledztwo?

- Śledztwo pojawiło się w związku z morderstwami, ale nigdy jej nie interesowało.

- Co masz na myśli? - zapytał Tommy.

Lars nie chciał mówić mu wszystkiego.

- Zaczęło się od założenia podsłuchów pielęgniarce.

Na czole Tommy'ego wciąż malowała się irytacja.

- Jakiej pielęgniarce?

Lars był spięty.

- Poczekaj, daj mi powiedzieć... Hector Guzman leżał w szpitalu, Gunilla tam była i zaczęła się interesować pielęgniarką z oddziału Guzmana, która najwyraźniej weszła z nim w jakąś relację. Tak czy inaczej, założyliśmy z Andersem Askimem podsłuchy u niej w domu.

Tommy słuchał, zmarszczka irytacji stopniowo zamieniła się w zmarszczkę zaciekawienia.

- Wyznaczono mnie do pilnowania pielęgniarki, Gunilla była pewna, że się do siebie zbliżą, i tak się stało. Jak zwykle miała rację, ale nic nam to nie dało. Ani podsłuch, ani obserwacja.

Tommy chciał coś powiedzieć, Lars kontynuował.

- Czas mijał, Gunilla była coraz bardziej zestresowana, kiedy się okazało, że nie ma się w co wgrzyźć. Skontaktowała się z Hassem Berglundem, starym gorylem z prewencji, pracującym w policji na Arlandzie, który, podobnie jak Erik i Anders, został jej kilerem. Kiedy jej frustracja wzrosła, zareagowała w dziwny sposób.

- W jald? - zapytał Tommy ściszym głosem.

Lars rozglądał się po parku.

- Zabrała się za syna pielęgniarki.

Tommy nie nadążał.

- Hasse i Berglund wzięli go na przesłuchanie, sfingowane przesłuchanie. Wymyślili historyjkę, zgodnie z którą miał zgwałcić jakąś dziewczynę....

Tommy nie wiedział już, w co wierzyć.

- Tym sposobem mieli na nią haka... Wydaje mi się, że chcieli ją skłonić do donoszenia na Hectora, mówiąc jej, że wtedy problem jej syna zniknie, coś w tym rodzaju.

Tommy się zamyślił.

- I donosiła?

Lars wzruszył ramionami.

- Nie wiem... nie wydaje mi się, nie sądzę, żeby coś miała.

Tommy uderzył się po udzie.

- Okej, jeśli to, co mówisz, jest prawdą, brzmi strasznie. Gunilla zawsze pracowała niekonwencjonalnymi metodami. Tym razem jednak posunęła się za daleko, nie ma co do tego wątpliwości. Pogadam z nią. Dzięki, że się ze mną spotkałeś.

Tommy wstał, wyciągnął rękę.

- Niech to zostanie między nami, okej?

Lars popatrzył na dłoń Tommy'ego.

- Siadaj, jeszcze nawet nie zacząłem.

Lars powiedział Tommy'emu Janssonowi wszystko, co wiedział, od początku do końca. Zajęło to dwadzieścia minut.

Tommy wytrzeszczał oczy. Zmienił się na twarzy.

- Ja pierdołę... - wyszeptał.

Nie gładził już gliniarskiego wąsa, szarpał tylko zarośnięte policzki.

- Kurwa...

Nie spuszczał Larsa z oka.

- I mówisz, że masz to wszystko na taśmie?

- Mam nagrane, jak mówi o morderstwie Sary w obecności Andersa Aska i Hassego Berglunda. Wspomina też o morderstwie Patricii Nordström. Podłuch ujawnił nawet rozmowę o tym, jak wrobili syna pielęgniarki, jak potrącili go samochodem, o bezprawnej obserwacji i wszystkich innych metodach Gunilli. Są też notatki i rachunki na miliony, które razem z bratem i Andersem Askim wyprowadziła ze śledztw, nad którymi przez ostatnie lata pracowała.

Tommy po raz kolejny zaklął pod nosem.

- A chłopak? Nadal jest w szpitalu?

Jens polował głową.

- W ciężkim stanie.

Tommy westchnął, usiłował to wszystko poskładać.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Lars.

Wyglądało na to, że pytanie ubodło Tommy'ego Janssona, jakby nie chciał go słyszeć.

- Nie wiem... Na razie nie wiem... - powiedział cicho.

- Przecież wiesz.

Spojrzał na Larsa.

- Ach tak?

- Ona jest morderczynią, kryminalistką... i policjantką.

Ty jesteś jej szefem, więc za nią odpowiadasz.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że masz dwie możliwości.

- A mianowicie?

Lars odczekał, aż para emerytów przejdzie obok.

-Albo wsadzisz ją za zabójstwo, wymuszenie, groźby karalne, włamania, stosowanie przemocy, nielegalne zakładanie podsłuchów... lista jest długa. A ty jako jej szef do niej dołączysz, możliwe, że sam trafisz za coś do więzienia, jeżeli tej sprawie przyjrzy się każdy policjant i każdy dziennikarz w kraju. Nikt nie uwierzy, że niczego nie byłeś świadomy.

- Ale tak jest. Nic nie wiedziałem.

- Myślisz, że kogoś będzie to obchodzić?

Tommy odchylił się do tyłu.

- A możliwość numer dwa? - zapytał cicho.

Lars czekał na to pytanie.

- Możliwość numer dwa to puścić ją wolno. - Lars pochylił się do przodu. - W ten sposób unikniesz problemów, pytań, odpowiedzialności. Ona po prostu odejdzie. Wiek, żałoba po śmierci Erika, diabli wiedzą co. Ale zniknie, znajdzie się jak najdalej stąd. Za milczenie w tej sprawie chcę

dostać jej posadę... albo coś lepszego w kryminalnej. Chcę, żebyś to ty był moim bezpośrednim przełożonym. Nie chcę, żebyś stał mi nad głową, łądę będą pracował. Po kilku latach chcę otrzymać awans...

Tommy sposepniał.

- Jesteś policjantem prewencji, który z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny znalazł się w grupie Gunilli. Nie masz doświadczenia, nie masz osiągnąć, nie masz nic. Jak, do cholery, wytłumaczę się z tego ludziom?

- Coś wymyślisz.

Tommy przygryzł wargę.

- Skąd mam wiedzieć, że to, co mówisz, jest prawdą? Może wymyślasz to wszystko na poczekaniu?

Lars podał Tommy'emu sportową torbę.

- Sprawdź sam i się odezwij, najlepiej dziś wieczorem.

Tommy próbował myśleć. Lars wstał z ławki i odszedł.

Tommy odprowadzał go wzrokiem, a następnie wstał i z torbą w ręku poszedł w przeciwną stronę.*

28

W kościele grano *Requiem* Faurégo, rozpoczęło się składanie wieńców. Gunilla podeszła do trumny, położyła na jej wieku kwiatek i dygnęła zgodnie z regułami sztuki. Wśród mniej więcej trzydziestu osób, które przyszły, żeby pożegnać Erika, było kilku przyków w źle dopasowanych mundurach policyjnych.

Lars obserwował widowisko z ławki na tyłach kościoła. W kolejce do złożenia kwiatów stał Tommy Jansson, miał na tyle dobrego smaku, żeby przyjść w marynarce.

Kiedy Gunilla wracała na swoje miejsce, Lars szukał jej wzroku. Wydawało mu się, że ich spojrzenia się skrzyżowały.

A może nie? Lars zerknął na Tommy'ego Janssona, czy ten nie zawiedzie, nie zdradzi się przed nią, że wie. Ale Tommy uśmiechnął się do Gunilli przyjacielsko, smutno i pewnie, a nawet pogładził ją po ramieniu, kiedy go mijała. Dobrze, Tommy.

Kiedy skończyło się składanie wieńców, zebrani zaczęli wychodzić z kościoła.

Stojąca przy wyjściu Gunilla przyjmowała od tłumu wyrazy nieszczerego żalu, Lars ją przytulił.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała smutnym głosem.

- Masz chwilkę? - zapytał.

Gdy Gunilla przyjęła już od wszystkich kondolencje, opuścili kościół i odeszli na bok. Znaleźli zaciszne miejsce pod ostrokrzewem.

- Jak się czujesz? - zapytał uprzejmie.

Westchnęła.

- Smutno mi, ale czuję się dobrze, to był piękny pogrzeb.

- Też tak uważam - odparł Lars serdecznym tonem.

Na *cmentarzu panował* całkowity spokój. Łagodny letni wietrzyk rozwał im włosy.

- Czekałem pół godziny, zanim zadzwoniłem na pogotowie. Przez pół godziny siedziałem i czekałem, aż twój brat umrze.

Mówiąc, patrzył jej w oczy, cicho wypowiadał słowa.

- To był udar mózgu... Erik leżał na podłodze. Gdybym wtedy zadzwonił po pogotowie, żyłby do dziś. Ale ja czekałem...

Gunilla była blada, Lars się uśmiechał.

- Bardzo cierpiał.

Wpatrywała się w niego.

- Pomyśleć, że Anders Ask zastrzelił się z twojego starego makarowa. Jak to możliwe?

Gunilla nie mogła uporządkować myśli, zamierzała coś powiedzieć. Jednak Lars ją uprzedził.

- Teraz chyba jesteście kwita? - zapytał.

Nie zrozumiała, zmrużyła oczy.

- Nie rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

Wolno pokręciła głową.

- Sara... Zamordowałaś Sarę.

Lars patrzył w oczy Gunilli Strandberg. Były mętne. Lars wskazał Tommy'ego.

- On wie, co zrobiłaś. Dał ci czas na ucieczkę, do wieczora. Prawdopodobnie to najlepsza propozycja, jaką kiedykolwiek dostałaś. Przyjmij ją.

Stojący w grupce mężczyzn i kobiet Tommy spojrział w kierunku Larsa i Gunilli i niemal niedostrzegalnie kiwnął głową. Gunilla spojrzała na Larsa.

- Nic nie masz. Nigdy nic ci nie dałam. Czy ty w ogóle masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, dlaczego cię zatrudniłam?

- Dlatego, że da się mnie zrobić?

Gunilla patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Zabrałem jeden z mikrofonów z domu Sophie i umieściłem go na Brahegatan. Wszystko się nagrywało: rozmowa o porwaniu Alberta, nielegalnym podsłuchu, morderstwie Sary, morderstwie Patricii Nordstrom... Wszystko... Jasno i wyraźnie. Mam również twoje notatki i papiery z banku. Kwoty, które przez lata ukradliście z twoim bratem i Andersem...

Gunilla stała nieruchomo, patrzyła na Larsa, próbując znaleźć myśli i słowa. Potem się odwróciła i odeszła.

Lars śledził ją wzrodem, ruszył w stronę kościoła. Znalazł ławkę, usiadł, wyjął telefon, wziął głębold oddech i wolno wypuścił powietrze. Zaczęły bić dzwony, Lars wystukał numer. Sygnał był zagraniczny.

Odebrała, mówiąc: „Halo”. Kiedy usłyszał jej głos, zdenrowował się. Przedstawił się nieporadnie. Sophie była

oszczędna w słowach, nie cieszyła się, że zadzwonił. Lars usprawiedliwił się i oznajmił, że wszystko już załatwione i że może się nie obawiać. Kiedy zapytała, co ma na myśli, opowiedział, co zrobił.

- Przez jakiś czas mnie nie będzie - oznajmił.

Sophie milczała.

- Może kiedy wrócę, będziemy się mogli zobaczyć i porozmawiać?

Odłożyła słuchawkę.

.

Międzyładowanie mieli na Ruzyné w Pradze. Leszek zaprowadził Sophie i Sonyę do salonu dla VIP-ów, gdzie coś zjedli i odpoczęli, lot na Arlandę był za dwie godziny.

Sophie próbowała czytać gazetę. Złożyła ją, wstała i zaczęła chodzić, żeby rozprostować nogi. Stała przy oknie i spojrzała na halę przylotów. Strumień ludzi wyglądał jak uporządkowany chaos. Jej podróż dobiegała końca, ale Sophie miała inne wrażenie. Nie opuszczało jej uczucie, że coś właśnie się zaczęło, że szykowało się coś wielkiego. Zatopiła spojrzenie w tłumie poniżej. Po chwili się odwróciła. Zobaczyła Leszka, śpiącego na kanapie, i Sonyę, przewracającą strony kolorowej gazety. Sophie usiadła obok nich i wzięła ze stołu jakieś czasopismo. Sonya podniosła wzrok znad magazynu, uśmiechnęła się do niej i czytała dalej.

Z Arlandy Sophie pojechała prosto do szpitala Karolińska. W pokoju Alberta siedzieli Jane i Jesus, każde z książką w dłoni. Jane wstała i zamknęła Sophie w długim uścisku.

Albert nie odzyskał przytomności. Pod Sophie ugięły się nogi, musiała usiąść. Albert wyglądał tak spokojnie, może miał piękne sny, Sophie miała taką nadzieję, to jedyne, na co w tamtej chwili miała nadzieję. Trzymała go za rękę, czas

się zatrzymał. Przez ostatnie dni zajmowało ją tysiąc myśli, jedno jedyne pragnienie wyrażone w różny sposób - żeby Albert jakoś się z tego wygrzebał.

Siedziała przy nim długo, może kilka godzin. Potem wyszła z pokoju. Gdy szła korytarzem, zobaczyła krótkowłosego mężczyznę z kosią bródką, który siedział na krześle opartym o ścianę; mężczyzna poszukał jej spojrzenia, Sophie przystanęła.

- Jestem przyjacielem Jensa - powiedział cicho, zanim zdążyła o cokolwiek zapytać. - I będę dalej pilnował, by pani synowi nic się nie stało.

Mężczyzna odwrócił głowę, jakby ich rozmowa dobiegła już końca. Sophie nie wiedziała, co powiedzieć, coś jednak powiedzieć chciała, w końcu szepnęła „Dziękuję”.

Otworzyła drzwi i weszła do domu. Wydało jej się, że cisza, która ją powitała, aż dźwięczy w uszach. Sophie weszła do kuchni i zatrzymała się na środku. Krzyknęłaby do niego, powiedziała, że wróciła. On odpowiedziałby sprzed telewizora albo z góry. Wydawałby się zły, choć wcale by taki nie był, a ona zaczęłaby wypakowywać jedzenie do lodówki albo nakrywać do stołu... albo po prostu usiadłaby na krześle i zaczęła czytać jakąś kolorową gazetę, którą właśnie kupiła. Zszedłby do kuchni, powiedział coś zabawnego. Zapytałaby go o lekcje i powiedziała, że wkrótce powinien obciąć włosy. Nie odpowiedziałby, a jej by to nie przeszkadzało.

Ale... panowała kompletna cisza. Oprócz niej nie było tu nikogo. Czula, że zaraz się załamie. Nie chciała tego, zwalczyła ogarniające ją uczucie i odnalazła drogę do swojego wnętrza.

Przyszli kwadrans po siódmej, jak to goście.

Sonya, Leszek, Ernst, Daphne i Thierry siedzieli u niej w dużym pokoju. Leszek zajął pozycję przy oknie i patrzył

na ogród i drogę. Ernst przyglądał się obrazowi. Reszta oglądała zdjęcia na półkach i rozmawiała.

Sophie obserwowała ich z kuchni, kończyła przygotowywać kolację. To była barwna zbieranina ludzi, teraz jednak była to jej zbieranina i jej ludzie. Przyjaciele? Nie... na pewno nie. Wrogowie? Nie, też nie. Czuła się samotna, miała wrażenie, że gra jakąś rolę. Może inni czuli podobnie.

Rozmawiali i jedli. Sophie słuchała ich bezpośrednio rozmowy. Wszyscy zgadzali się co do tego, że powinni działać ostrożnie, poczekać i zobaczyć, co będzie z Hectorem. Hanke i jego syn muszą umrzeć, pytanie tylko jak i kiedy.

29

Lars wymeldował się z hotelu, zapłacił gotówką Gunilli.

Wyjechał z miasta i późnym wieczorem dotarł do ośrodka Bergsjögården. Przywitało go dwoje mniej więcej pięćdziesięcioletnich ludzi, mężczyzna i kobieta. Ciepli, budzący zaufanie, normalni. Spodziewał się czegoś innego, może ich przeciwieństwa.

Poprosili, by wolno im było przeszukać jego bagaż, a on się nie sprzeciwił.

Za miesięczną kurację zapłacił resztą pieniędzy Gunilli i następnego ranka siedział w kółku z jedenastoma *innymi* mężczyznami, z różnych zakątków kraju, z różnych środowisk i różnie wyglądających. Przedstawiali się imieniem i zestresowani opowiadali, dlaczego się tu znaleźli. Wszyscy byli weteranami nadużywania leków na receptę lub uzależnienia od narkotyków. Wszyscy się bali i zastanawiali, co ich czeka.

Pierwszy dzień był udany. Lars miał wrażenie, że trafił we właściwe miejsce, że tu mu pomogą. Po południu miał

rozmowę z opiekunem. Rozmawiali szczerze, w każdym razie opiekun był szczerzy. Daniel był agentem ubezpieczeniowym ze Smalandii i miał za sobą wyjście z uzależnienia od leków. Powiedział, że wie, przez co Lars przechodzi, i że jeśli tylko będzie gotowy zmienić swoje życie, otrzyma pomoc.

Lars niewiele z tego zrozumiał, ale ovladnęło nim przemożne uczucie, że znajduje się w dobrym i ludzkim miejscu, w którym panuje kolektywny rozsądek. Rozsądek, który pragnął odzyskać.

Drugiego dnia było trudniej, z początku. Mieli napisać historię swojego uzależnienia. Jego opór zniknął, po tym jak usłyszał rozmowy innych mężczyzn. Otwarte, wrażliwe, szczerze.

Wieczorem Lars pisał i pisał, poczuł się wolny, wolny i wdzięczny. Im dłużej pisał, tym wyraźniejszy stawał się obraz, wiedział, że jest w stanie go poprawić. Od tej pory jego życie może wyglądać inaczej, lepiej.

Tej nocy spał dobrze, miał sny, które zapamiętał, a kiedy się obudził, zateśkni i za śniadaniem.

Trzeciego dnia po południu pojawiły się objawy odwykowe i negacja. Lars zapomniał o miłym uczuciu. Daniel to zauważył i próbował skierować go na właściwe tory. Jednak do twarzy Larsa Vingego przykleił się szyderczy uśmiech. Nagle Daniel i inni mężczyźni z Bergsjögården stali się jego wrogami. Lars porównywał się z nimi. Wszyscy byli idiotami i członkami sekty. Nie miał z nimi nic wspólnego. Byli słabi, mieli wyprane mózgi, a te swoje gadki o sile wyższej mogli sobie wetknąć gdzieś. Chęć ucieczki tłukła się i wrzeszczała w jego wnętrzu, w nocy uciekł przez okno w swojej sypialni i dotarł na parking, na którym stał jego samochód. Pojedzie do domu, przez kilka dni będzie ćpać, a potem znowu przestanie, to żaden problem. Wiedział przecież, że ośrodek istnieje, i nie zniknie. Poza tym ma chyba prawo zrobić ze

swoim życiem, co chce? W końcu nikomu się przez to nie dzieje krzywda.

Lars wrócił do mieszkania, wlał w siebie alkohol i wpakował wszystkie tabletki, jakie znalazł. Mózg zwolnił obroty, Lars czołgał się po podłodze, szukając mrówek i innych robaczków, żeby z nimi trochę porozmawiać. Zwymiotował do zlewu, to było piękne i oczyszczające uczucie. Potem naszprycował się hibernalem. Wiedział, co to oznacza, chemiczną lobotomię. Tabletki zadziałały niezawodnie. Lars całą wieczność siedział na podłodze, gapiąc się przed siebie pustym wzrodem, wszystkie uczucia zniknęły. Po prostu sobie siedział, on, Lars Vinge, nic nie czuł, nic nie myślał, niczego nie oczekiwał. Jedno wielkie nic, które niczego nie zawierało. Potem, jak zwykle, wszystko stało się czarne.

Następnego ranka obudził się na podłodze w kuchni, czując coś zimnego między nogami. Dotknął dżinsów ręką, były mokre i zimne, zsiąkł się w spodnie.

Zadzwońnię komórka leżąca obok niego na parkiecie, wyciągnął po nią rękę.

- Cześć, stary.

Głos Tommy'ego. Lars obtarł ślinę z kącika ust.

- Cześć - powiedział ochryple.

- Już się wymeldowałeś?

Lars spróbował sformułować jakąś myśl.

- Skąd wiesz?

- Swoich ludzi mam na oku, powinieneś być mi powiedzieć. Pomagamy sobie nawzajem... Wbrew temu, co myślisz, nie jesteś sam. Jak się czujesz?

Lars potarł palcem miejsce pod nosem.

- Nie wiem, chyba w porządku.

- Wpadnę do ciebie - powiedział Tommy.

Lars nie zdążył zaprotestować.

Tommy przyjechał pół godziny później. Miał ze sobą coś do zjedzenia i coś do wypicia, warkocz drożdżowy i dwa napoje pomarańczowe. Siedzieli w dużym pokoju i rozmawiali ze sobą szczerze. Lars zajął fotel, Tommy kanapę. Tommy powiedział, że jego zdaniem Lars powinien spróbować jeszcze raz, że praca nie ucieknie, a on jako szef ma możliwość zapłacenia za terapię. Lars słuchał uważnie. Tommy pytał o szczegóły, chciał wiedzieć, jakie tabletki Lars bierze, skąd je ma i które są najsilniejsze. Lars odpowiadał, jak mógł najlepiej. Opowiedział o tym, że już w dzieciństwie uzależnił się od leków, i przyznał, że kiedy wrócił do nałogu, zaczął od stosunkowo niewinnych tabletek, a wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Tommy słuchał, potrząsając głową.

- Co za cholerne piekło - powiedział cicho.

Lars nie mógł się z nim nie zgodzić.

- Ale jakoś sobie z tym poradzimy - oznajmił Tommy, łepiąc się lekko po nodze, mrugnął do, Larsa i poszedł skorzystać z toalety.

Lars został sam w pokoju, ziewnął i przeciągnął się.

Wracając, Tommy przeszedł za fotelem. Lars nie wiedział, co się dzieje, lgedy poczuł mocne uderzenie w kark. Zrozumiał jeszcze mniej, gdy Tommy chwycił go za ręce, wykręcił je do tyłu i ściągnął go z fotela. Uderzył mocno twarzą o podłogę, a Tommy na nim usiadł. Lars próbował walczyć, ale Tommy miał przewagę. Był krzepki, a Lars skacowany po tabletkach. To była nierówna walka. Skołowany Lars usiłował protestować, Tommy kazał mu się zamknąć, z futerału przy pasku wyciągnął kajdanki i założył je Larsovi na nadgarstki.

- Co ty wyprawiasz, Tommy, co ja ci, do cholery, zrobiłem?

Tommy znów wyszedł z pokoju. Lars leżał płasko na brzuchu.

- Tommy! - krzyknął. Żadnej odpowiedzi. Lars słyszał, jak Tommy otwiera drzwi wejściowe, potem odgłos zamykanych drzwi. Poszedł sobie?

- Tommy! Zostań!

Leżąc z rękami skutymi na plecach, Lars próbował myśleć. Oparł policzek na zimnej podłodze.

- Tommy! - zawołał znów po chwili i poczuł swój własny oddech, który odbił się od podłogi.

Z kuchni dochodziły jakieś dźwięki, brzmiały tak, jakby dwie osoby rozmawiały szeptem...

- Tommy! Proszę! Może porozmawiamy?

Głos Larsa był słaby. Leżał twarzą do podłogi. Czas płynął, nie wiedział, jak długo to trwało, nagle wydało mu się, że widzi w korytarzu kontury jakiejś postaci. To nie był Tommy, postać wyglądała na kobietę. Lars zmrużył oczy i rozpoznał ją, Gunilla... Stała na progu dużego pokoju, opierała się o futrynę, przez ramię miała przewieszoną torebkę.

Coś mu zaczęło świtać, coś, o czym niemal nie miał odwagi pomyśleć. Nagle jego oddech stał się ciężki. Lars głośno westchnął kilka razy, kiedy strach sprawił, że serce ścisnęło mu się w piersi, zakaszłał.

- Co tu robisz? - udało mu się wykrztusić.

Tommy przecisnął się obok Gunilli i wszedł do pokoju. W ręce trzymał pistolet automatyczny z długim tłumikiem. Lars, kaszląc, usiłował opanować strach przed śmiercią, zsiąkał się w spodnie i spróbował usiąść prosto, ale uniemożliwiły mu to związane na plecach ręce. Rzucił się nerwowo na mokrej i twardej podłodze, wyglądał jak foka na suchym lądzie. Próbował coś Tommy'emu tłumaczyć, ale strach sprawił, że słowa były ciche i niezrozumiałe. Próbował powiedzieć coś Gunilli, wyjaśnić, że przesadzają... że on nie może teraz umrzeć, że to jest niewspółmierne do tego, co zrobił. Jednak wydawało się, że i ona go nie słyszy albo nie rozumie.

Tommy stanął za Larsem, poderwał go do pozycji siedzącej, zbliżył tłumik na centymetr do jego prawej skroni i spojrział na Gunillę, która skinęła głową. Lars znów próbował coś powiedzieć. Rozległ się tylko syk powietrza, które pachniało głębokim, przejmującym przerażeniem.

Tommy nacisnął spust, głośne puff. Kula przeszła na wylot przez głowę Larsa i wbiła się w ścianę dużego pokoju. Z lewej skroni trysnął krótki strumień krwi, wąski, ale mocny. Gunilla patrzyła. Lars osunął się na ziemię. Tommy ostrożnie się wycofał, potem działał szybko. Przykucnął, zdjął Larsowi kajdanki i wytarł podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą stał.

Gunilla czuła przeciwieństwo tego, co spodziewała się poczuć. Myślała, że przyglądanie się śmierci Larsa sprawi jej przyjemność, przyniesie ulgę i wynagrodzi jej to, co on zrobił Erikowi. Tak się jednak nie stało. Czuła tylko pustkę i smutek. Poprosiła Tommy'ego, by zabił Larsa w ten właśnie sposób, chciała być ostatnią osobą, którą zobaczy, chciała mu przez to pokazać, że nigdy z nią nie wygra, że był z góry skazany na porażkę. Może zrozumiał, może nie, w każdym razie jej uczucia były inne, niż oczekiwała. W tym, że Lars zakończył swoje nędzne i żalosne życie w tak smutny sposób, było coś tragicznego. Była już zmęczona śmiercią.

- Dziękuję ci, Tommy - powiedziała cicho.

Przyjrzał się jej.

- Jak się czujesz?

Nie odpowiedziała. Tommy podniósł się z kajdankami w jednej i pistoletem w drugiej ręce, napotkał jej wzrok.

- Brakuje mi Erika - szepnęła.

Tommy westchnął. Patrzyli sobie w oczy. Uniósł broń. Nie musiał celować, po prostu nacisnął spust. Pistolet znów wydał twarde i krótkie puff, a siła odrzutu uniosła

lufę o piętnaście stopni w górę. Kula trafiła Gunillę w prawą stronę czoła.

Przez chwilę stała nieruchomo. Jakby zdziwiła się tak bardzo, że siła zaskoczenia trzymała ją jeszcze przez chwilę przy życiu, nim nogi się pod nią ugięły. Poleciała prosto w dół, tam, gdzie stała, jak marionetka, której sznurki puszczono. Patrzyła nieruchomo w sufit, z dziury w czole sączyła się krew.

Tommy oddychał ciężko, serce mu waliło, w ustach miał sucho, walczył z uczuciami, które chciały dojść do głosu. Próbował się opanować, nie myśleć, pod nosem powtarzał sobie, co ma zrobić. Niczego nie pozostawi przypadkowi. Spojrzał na Gunillę i na Larsa. Wmawiał sobie, że to tylko dwa martwe przedmioty

Odkręcił tłumik z pistoletu i schował go do kieszeni, broń położył na podłodze, z plastikowej torebeczki wyjął pałeczkę higieniczną i poskrobał nią parę razy nad spustem, gdzie powinny pozostać niewidoczne ślady prochu. Następnie potarł pałeczką zagłębienie między palcem wskazującym i kciukiem prawej dłoni Larsa. Wcisnął mu pistolet w rękę i ułożył ją tak, jak powinna leżeć po „samobójczym” strzale. Kajdanki zostawił w sypialni Larsa. Technicy kryminalni znajdują małe, niemal niewidoczne otarcia wokół nadgarstków, więc para kajdanek w sypialni powinna skierować myśli wszystkich na to, co zwykle łączy się z kajdankami w sypialni.

Kucnąwszy przy ciele Gunilli, przetrząsnął jej torebkę, szukając wszystkiego, co miałoby jakikolwiek związek ze sprawą albo ze śledztwem. Wiedział, że raczej nie nosiła przy sobie takich rzeczy, była równie ostrożna, jak on sam.

Skontaktował się z nią po przejrzeniu materiałów, które Lars wręczył mu na placu Mariatorget. Nie robił z tego afery, po prostu powiedział, że wie, czym ona i Erik się zajmowali, i że też chce dostać kawałek tortu. Ponieważ go znała,

zapytała tylko spokojnie, ile chce. Połowa, która przypadła Erikowi, powinna wystarczyć. W porządku, odpowiedziała.

Kiedy pewny siebie Lars Vinge opowiedział jej na porzeczbie, że pozwolił umrzeć jej bratu, dołączyła do umowy jeszcze jeden punkt - chciała zdecydować o tym, jak Lars umrze. Nie było to problemem. Tommy czuł ogromny żal, zabijając ją. Był z nią emocjonalnie związany. Nie można było tego jednak inaczej załatwić. Tommy znał Gunillę, za jakiś czas zażądałaby zwrotu doli Erika, taka już była. Ciągle musiałyby się mieć na baczności. Ale zrobił to przede wszystkim dlatego, że widział kwoty na papierach, które dostarczył mu Lars. Wtedy uświadomił sobie coś, czego nie mógł nie wziąć pod uwagę. Chodziło o Monicę, jego żonę. Pieniądze ratują życie... Mając je, mógłby być może kupić Monice opiekę, przedłużyć jej życie, a może ją wyleczyć. Był jeszcze trzeci argument, malutki, ale jakże ważny. Niejasne wrażenie, które porównałby do dwóch małych piw w lodówce, kiedy człowiek chce się upić. Poczucie niedosytu. Gdyby nie ono, chętnie zrezygnowałby z tego całego gówna. Kiedy Lars Vinge przekazał mu sportową torbę na placu Mariatorget, Tommy jeszcze tego samego wieczoru przejrzał jej zawartość i zobaczył pewną nadwyżkę. Nadwyżkę, którą miał na wyciągnięcie ręki. W tej samej sekundzie zobaczył przed sobą wyjście. Nie miał już wątpliwości.

Eva Castroneves przebywała w Liechtensteinie. Była zakonspirowana i miała się zająć pieniędzmi od Guzmana. Kiedy jednak nic z tego nie wyszło, dostała inne zadanie. Po rozmowie z Gunillą przelała pieniądze na konto figuranta, konto, z którego Tommy mógłby korzystać do woli. Skontaktuje się teraz z Castroneves i powie jej, żeby oddała mu pieniądze Gunilli, zachowując dla siebie dziesięć procent. Jeżeli będzie się stawiać, Tommy zwróci się do Interpolu, który będzie ją ścigał do skutku... Tommy miał całą torbę dowodów, jej nazwisko pojawiała się praktycznie na każdej

stronie. Eva Castroneves nie będzie robić problemów. Był tego pewien.

Tommy obszedł mieszkanie Larsa Vingego i jeszcze raz sprawdził, że nie ma w nim niczego, co wiązałoby się ze sprawą. Nie było, czysto. Pomyślał o wszystkim, czym mogliby się zainteresować technicy kryminalni. Wiedział, jak pracują, czasami byli kurewsko dokładni, gdy chodziło o dośledzenie prawdy.

Kiedy się upewnił, że wszystko jest w porządku, zostawił Larsa i Gunillę, zszedł na dół, wskoczył do swojego buicka skylarka GS, odpalił, ryk fałósemki odbił się echem między fasadami domów. Prawą stopą wcisnął hamulec i ustawił rączkę automatycznej skrzyni biegów na D. Podrasowany silnik sprawił, że samochód aż podskoczył, kiedy bieg wszedł.

Tommy odjechał i ruszył w stronę domu, do Moniki i dziewczynek. Dziś wieczorem mieli sobie zrobić grilla w altanie. Tommy kiwnie nad płotem głową do sąsiadów, Kristera i Agnety, powie coś zabawnego, Krister się zaśmieje, jak zawsze. Potem Tommy odpyta Vanesę z angielskiego, który miała zadany na wakacje. Vanessa będzie przedrzeźniać jego wymowę, on specjalnie będzie mówić z przesadnie szwedzkim akcentem, będą się śmiać. Emilie utknie przed komputerem. Tommy powie jej, żeby go wyłączyła. Emilie będzie się przez chwilę boczyć, ale jej przejdzie. Kiedy oglądają telewizję, Monica proponuje partyjkę tryktraka i kawę na werandzie oraz po kawałku tej rolady, od której byli niemal uzależnieni. Monica wygra rozgrywkę. Potem pójda się położyć i będą czytać, on pismo motoryzacyjne, ona coś Jean M. Auel. Zanim zgaszą światło, on pogłaszcze ją po policzku i powie, że ją kocha, ona odpowie coś miłego, silna mimo choroby, która nie opuszcza jej nawet na chwilę... Mniej więcej tak to będzie wyglądać. Jeszcze przez jakiś czas wszystko będzie po staremu. Potem weźmie się do dzieła i uratuje żonę przed powolnym uduszeniem.

Tommy przedzierał się swoim buickiem przez ruchliwe ulice Sztokholmu. Szacował w myślach, jak bardzo jest naddziany. Wyszła mu dwucyfrowa liczba, a za nią sześć zer. Dość wysoka liczba. To dużo jak na chłopaka, który urodził się pod koniec lat pięćdziesiątych w Johanneshov, palił ukradkiem papierosy marki Robin Hood, słuchał Jerry'ego Williama i uważał, że Fantom i Biggies byli cool. Musiał się oswoić z tą myślą.

Nuciła mu cicho, myła go, czesała i każdego dnia wkładała mu czyste ubranie. Czytała mu książkę, którą zaczął przed wypadkiem. Znalazła ją obok jego łóżka, włożył do niej zakładkę.

Drzwi do sali, w której leżał Albert, były uchylone. Jens przystanął i zajrzał do środka. Widok matki siedzącej obok nieprzytomnego syna za każdym razem był równie smutny. Jens miał w ręku talię kart, które kupił w kiosku na dole, pomyślał, że dla zabicia czasu mogliby sobie pograć. Jednak teraz, gdy tam stał, poczuł, że wyrasta przed nim ściana, niewidoczna ściana, która nie pozwala mu wejść do pokoju. Ściana, która nie pozwoli mu stać się częścią życia Sophie i Alberta. Ściana, która nie pozwoli mu raz na zawsze rozprawić się z obawami i odnaleźć ciepła.

Sophie czytała, odsunęła z twarzy kosmyk włosów. Była piękna, gdy tak siedziała, nie wiedząc, że jest obserwowana...

Jens zawrócił i ruszył korytarzem.

Atmosfera była niewyraźna i napięta. Mężczyźni namyśleli się. Siedzieli w tym samym pomieszczeniu, co zwykle,

pokoju konferencyjnym, który był prywatną palarnią Björna Gunnarssona. Björn był szefem Tommy'ego, zaciągnął się mocno fajką, zanim przerwał impas:

- Tommy, co wiemy?

Tommy siedział odchylony do tyłu i patrzył w stół. Nim podniósł wzrok, przez kilka sekund wpatrywał się w jakiś niewidoczny punkt.

- Lars Vinge był niestabilny emocjonalnie. Gunilla się go obawiała. Wspomniała mi o tym mimochodem. Wtedy nie zwróciłem na to większej uwagi. Jednak on najwyraźniej był uparty. Uważał, że jest stworzony do lepszych zadań. Dzwonił do niej, wysyłał maile, zachowywał się agresywnie i groził jej. Poza tym niedawno zmarła jego matka, a zaraz potem dziewczyna. Wydaje się, że to jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi...

Gunnarsson palił i słuchał. Tommy mówił dalej.

- Vinge zapisał się na kurację odwykową, ale po kilku dniach uciekł z ośrodka. Wiemy, że tego samego wieczoru, którego wrócił do domu, dzwonił do Gunilli. Może zadzwonił do niej i poprosił ją o pomoc, sam nie wiem. W każdym razie następnego dnia najwyraźniej go odwiedziła. Zastrzelił ją i popełnił samobójstwo. Wszystko wskazuje na to, że był wtedy pod wpływem niezwykle silnych leków...

- Jakich leków?

- Wydawanych na receptę... Naćpai się, on nadużywał leków. Najwyraźniej facet był już kiedyś uzależniony. Nie wiele wiem, ale zdaniem Gunilli sytuacja znów wymknęła mu się spod kontroli. Może miało to związek z matką i dziewczyną.

- A śledztwa? - zapytał Gunnarsson, pykając fajkę.

Tommy wyjął niewidoczny paproch z oka.

- I tu jest właśnie coś dziwnego. W biurze na Brahegatan prawie nic nie było. Pusto, poza kilkoma raportami z obserwacji, paroma fotografiami i tym podobnym materiałem.

- Dlaczego?

Tommy zrobił retoryczną pauzę, spojrzal w górę.

- Nie wiem.

- Jak ci się wydaje?

Tommy wydawał się spięty, jakby to, co miał zamiar powiedzieć, sprawiało mu fizyczny ból.

- Dlaczego? - zapytał Gunnarsson. Fajka tkwiła nieruchomo między jego zębami.

- Może Gunilla i Erik niczego nie mieli, może do niczego nie doszli... W każdym razie nie mieli tyle, ile Gunilla sugerowała.

Ostatnie słowa wypowiedział niemal przeproszającym tonem, jakby wzbraniał się przed mówieniem źle o zmarłych.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał szorstko Gunnarsson.

- Trzeba pamiętać, że to ona przekonała nas do swojego sposobu pracy. Poszliśmy na wszystko i daliśmy jej *carte blanche*. Może było jej wstyd, gdy sprawy nie poszły tak, jak tego oczekiwała. A może chodziło jej o środki, a wiedziała, że jeśli nie wykaże postępów, przestanie dostawać pieniądze. - Tommy wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia - zakończył.

Gunnarsson głęboko westchnął. Wytrząsnął popiół w dłoń i wyrzucił do stojącego obok kosza.

- A morderstwa w Trasten? - zapytał.

- Pracuje nad tym Antonia Miller. Przekazałem jej wszystko, co miałem od Gunilli, tę odrobinę. Miejmy nadzieję, że technicy kryminalni będą w stanie nam pomóc.

- A ten cały Guzman zwiął?

- Tak. Szukamy go wszystkimi kanałami. Jego ojciec został zamordowany w swoim domu w Marbelli mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Trasten była strzelanina. Najwyraźniej te porachunki sięgają dalej, niż nam się wydawało.

Björn Gunnarsson zmarszczył czoło.

- Hasse Berglund?
- Zniknął - odparł Tommy.
- Dlaczego?

Tommy pokręcił głową.

- Nie wiem. Tkwił w gównie, już zanim Gunilla go zatrudniła. Prawdopodobnie wziął nogi za pas.

Chwila ciszy.

- Gdzie jest?

Tommy znów pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.
- A Ask? Co w tym wszystkim robił Anders Ask?

Tommy po raz kolejny zrobił retoryczną pauzę, po czym odpowiedział.

- Kiedy zobaczyłem go w Trasten, zapytałem o to Gunnillę. Wyjaśniła, że Anders czasem pomaga przy obserwacji. Chciała odciążyc grupę.

Gunnarsson podniósł wzrok.

- Powiedziała: „odciążyc grupę”?

Tommy pokiwał głową.

- Dlaczego w taldm razie Ask się zabił? - zapytał Gunnarsson.

- A dlaczego ludzie w ogóle się zabijają? Nie mam pojęcia, z naszych kolegów nie on pierwszy poszedł na skróty. Znasz jego przeszłość. Po wpadce w policji bezpieczeństwa nikt nie chciał z nim pracować ani w ogóle mieć z nim do czynienia. Był jak trędowaty, wyniszczony i samotny... Obstawiałbym, że był po prostu cholernie zmęczony.

Tommy zauważył, że mężczyzna naprzeciw niego niezacznie kiwa głową. Cholerne zmęczenie to stan, który nie był Gunnarssonowi obcy.

Gunnarsson wziął głęboki wdech.

- Tommy, czy w tej całej sprawie nie ma czasem zadziwiająco wielu znaków zapytania?

Tommy odczekał chwilę.

- Tak, ale...

Urwał. Gdzieś z dołu dochodził uliczny szum. Znajdowali się w komisariacie na Kungsholmen. Björn Gunnarsson nabijał kolejną fajkę, z przyzwyczajenia westchnął.

- Co zrobimy?

- Niewiele możemy zrobić. Stała się tragedia. To dzieło szaleńca, szaleńca, który nazywał się Lars Vinge, *end of story*. Jeżeli chodzi o dochodzenie, które prowadziła Gunilla w sprawie Guzmana, to będziemy je kontynuować, podobnie jak to dotyczące Trasten.

Gunnarsson miał zapalki w pogotowiu, odezwał się ochryple, fajka stuknęła między zębami.

- W tej całej tragicznej historii sami nie jesteśmy całkiem bez winy. Gunilla chciała mieć wolną rękę, a my jej na to pozwoliliśmy. To my umożliwiliśmy jej to niepowodzenie. Z drugiej strony, gdyby choć na chwilę wyszła z roli pilnej dziewczynki i poprosiła nas o pomoc, ldedy zrozumiała, że stanęła w miejscu, sytuacja mogłaby dziś wyglądać zupełnie inaczej.

Tommy przejrzał swojego szefa. Gunnarsson gdzieś tam w środku był śmiertelnie przerażony. Bał się, że będzie musiał wziąć odpowiedzialność za ten cały bajzel. Dokładnie tak, jak Tommy sobie tego życzył.

- Ja się tym zajmę, Björn. Dopilnuję, żeby było dobrze.

Gunnarsson odpalił fajkę i zaciągnął się gęstym, niemal niebieskim dymem. Przyglądał się Tommy'emu, a nikotyna przenikała jego język i policzki.

- Gunilla i Erik byli naszymi przyjaciółmi, Tommy. Cieszyli się dobrą reputacją. Chcę, żeby taka też była pamięć o nich.

Tommy kiwnął głową.

EPILOG

Sierpień

Przeniosła Alberta z przedniego siedzenia na wózek. Wiedziała, że tego nie znosi. Tak wiele elementów dnia powszedniego uważał za upokarzające. Był jednak dzielny, nigdy nie okazywał słabości ani rozpaczy. Czasami ją to przerażało, bała się, że dusi przygnębienie w sobie.

Ale wciąż jeszcze miał ten błysk w oku, zobaczyła go w szpitalu przed dwoma tygodniami, kiedy się obudził. Rozproszył cały niepokój - to jej Albert się obudził, to jej Albert zadawał pytania, to on wpadł w złość, dowiedziawszy się, jak teraz wygląda jego życie, to on po dwóch dniach zaczął płakać, a po czterech po raz pierwszy z nią żartował. Wtedy nadszedł czas na jej rozpacz. Następnie pojawiły się pytania Alberta. Opowiedziała mu wszystko, począwszy od dnia, w którym poznała Hectora w szpitalu, o Gunilli i groźbach, a skończyła na swojej ucieczce do Sztokholmu. Albert słuchał i próbował zrozumieć.

Tom i Yvonne sprawiali kłopot. Stali przy drzwiach samochodu i chcieli pomóc. Zawadzali tylko, poprosiła, by weszli do domu i poczekali.

Niedzielnny wieczór, znów siedzieli razem, Jane i Jesus, mama i Tom, Albert i ona. Yvonne była radosna i pełna życia, Tom tak samo. Pies Rat szczekał, Jane i Jesus siedzieli milcząco w rogu. Drzwi na werandę były otwarte, stół

nakryty najpiękniej, jak się dało, a ciepły wieczór wkradał się do jadalni - wszystko było tak jak powinno... prawie.

Popatrzyła na swoich najbliższych, którzy siedzieli przy stole. Albert trzymał na kolanach telefon i czytał SMS-a, Yvonne kiwała wytrwale głową, słuchając jakiejś opowieści Jezusa. Tom wyczuł, że Sophie na niego patrzy, i uśmiechnął się do niej. I wreszcie Jane - Jane, która nie zadawała żadnych pytań i wykazała się ogromną siłą i opanowaniem. Po prostu zaczęła działać. Jak zawsze, kiedy działo się coś ważnego. Wtedy z zagubionej istotki zmieniała się w uosobienie spokoju i przejmowała kontrolę, kiedy inni ją tracili albo nie dawali sobie rady. Jane była opoką, choć niewielu o tym wiedziało.

Sophie znów popatrzyła na Alberta. Zadzwieczał jego telefon, Albert przeczytał SMS-a i odpisał kciukiem...

Aż wreszcie pierwszy raz od dawna przyjrzała się sobie. Gdzieś tam zobaczyła światło, połyskujące światło, które rozpoznawała. To światło nie parzyło, nie oślepiało, było w niej, miękkie i ciepłe. Pochodziło z uczucia, które mówiło o niej coś, o czym już zapomniała. Uczucia, które podpowiadało, że może wyjść ze swojego strachu, z izolacji, na którą sama się skazała, że jest lepsza, niż ma odwagę przyznać. Że nie musi zrozumieć strachu, by móc sobie z nim poradzić, że wystarczy po prostu wyjść z niego w ciszy, opuścić go, pożegnać. To wszystko nie wydarzyło się w wyniku procesu, w którym ubierałaby myśli w słowa. Zdawała sobie z tego jasno sprawę. Zmieniła się, zrzuciła skórę dawnego charakteru. Zmiana zachodziła stopniowo. Sophie wiedziała, że w którymś momencie przestała z tym walczyć. Wszystko się zmieniało, działo się to nieustannie w każdym zakątku wszechświata, o każdej porze, w nieskończoność. Zmiana - coś, przed czym nikt i nic nie może się obronić, także ona. Czuła złość, ciepło, emocje, pustkę i determinację jednocześnie. I wydawało się to najzupełniej naturalne.

Sophie spojrzała na Alberta, który odpowiedział na to spojrzenie, uśmiechając się do niej szeroko i szczerze. Zastanawiała się dlaczego, dopóki nie zdała sobie sprawy, że to ona sama się uśmiecha.

Kiedy jechali do domu, zapadał zmierzch. Choć nadal było ciepło, zdawało się, że nadeszła inna pora roku, taka, w której szybko robi się ciemno. W której zielone liście drzew wiszą ciężko na cienkich gałęziach, czas tuż przed widoczną przemianą, kiedy liście tracą siły, dają za wygraną.

Zaparkowali przed willą i powtórzyli całą procedurę - z samochodu na wózek i po rampie do drzwi. Chciał robić wszystko sam. W domu, gdzie nie było już żadnego progu, a przy schodach zainstalowano windę, poruszał się swobodnie.

Sophie zamykała drzwi w całym domu na dodatkowe zamki, które założyła. W pokojach, w których akurat nie przebywali, włączała alarm.

Kiedy Albert zasnął, zadzwonił Aron. Opowiadał, co się dzieje na świecie, zadawał pytania i przekazał informacje. Sophie słuchała, rozmawiała, dyskutowała i szukała najlepszych rozwiązań problemów, o których jej wspomniał. Zapytała, czy stan Hectora uległ zmianie, ale żadnej zmiany nie było. Leżał pod aparaturą podtrzymującą życie.

Zaparzyła herbatę. Piła ją samotnie i robiła sobie w duchu wyrzuty. Już zawsze tak będzie, poczucie winy nigdy jej nie opuści. Żałowała, że nie ma z nią Jensa. On jednak gdzieś zniknął, przepadł. Dostała SMS-a. Coś w stylu: „Muszę na trochę wyjechać”. „Muszę...”, pomyślała. Ja też muszę. Każdy coś musi.

A oprócz tego opiekowała się Albertem i nieustannie miała się na baczności. Tak wyglądało jej życie.

Obudziła się osiem godzin później i zjadła śniadanie na werandzie. Padał rześisty deszcz. Siedziała osłonięta balkonem,

pila herbatę i słuchała pluskania lejącej się z nieba wody. Usłyszała odgłos kół na żwirowej ścieżce po drugiej stronie domu, potem rozległy się kroki. Kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi, przechyliła się przez balustradę werandy.

- Tu jestem!

Zza rogu wyłoniła się kobieta w jej wieku, może kilka lat młodsza. Była dość wysoka, miała ciemne włosy, kozaczki i obcisłe dżinsy. Kiedy kobieta przyspieszyła kroku, uciekając przed deszczem, Sophie zauważyła, że nieznajoma nosi tanie błyskotki zamiast biżuterii. Kobieta biegiem pokonała schodki i znalazła się na werandzie.

- Brrr! - powiedziała kobieta i zaśmiała się, strzepując dłonią krople deszczu z ubrania. - O Boże! Antonia Miller, inspektor kryminalna - oznajmiła i wyciągnęła mokrą rękę.

- Sophie Brinkmann - powiedziała Sophie.

- Nie przeszkadzam?

- Nie, proszę usiąść, właśnie jem śniadanie.

Sophie i Antonia siedziały na werandzie. Sophie zaproponowała herbatę, a Antonia przyjęła zaproszenie.

- Pięknie pani mieszka - powiedziała.

Wydawało się, że naprawdę tak myśli.

- Dziękuję - odparła Sophie. - Dobrze nam tutaj.

Sophie zauważyła, że Antonia zastanawia się, o kim mowa.

- Mieszkam tu z synem, od wielu lat jestem wdową.

Antonia kiwnęła głową.

- Rozumiem, sama jestem niezamężna, mam dwupokojowe mieszkanie w mieście... okna wychodzą na południe. Tego lata każdego ranka budziłam się i zadawałam sobie pytanie, dlaczego mieszkam w saunie.

Antonia sięgnęła do małego koszyka z pieczywem po kromkę chleba i ugryzła kęs, patrząc na kwiaty i drzewa.

- Mogłabym tu zamieszkać.

Sophie czekała, Antonia to zauważyła.

- Przepraszam... Prowadzę dochodzenie, dochodzenie w sprawie potrójnego morderstwa. Chyba pani czytała o morderstwach w Trasten na Vasastan?

Sophie kiwnęła głową.

- To istny bajzel... Poruszam się po omacku... Tak wygląda moja praca, nieustanne błądzenie po omacku.

Antonia wypila łyk herbaty, odstawiła kubek.

- Na pewno słyszała też pani o jeszcze jednym morderstwie, wyniku tragicznego w skutkach spotkania dwóch policjantów.

Deszcz szumiał wokół werandy.

- Tak, słyszałam o tym, a moje nazwisko gdzieś się pewnie pojawiło i przyjechała pani, żeby mi zadać kilka pytań.

- Zgadza się - odparła Antonia.

- Obawiam się, że niewiele będę umiała pomóc. Jednak zrobię, co tylko będę mogła.

Antonia wyjęła z kieszeni kurtki mały notatnik i otworzyła go na pustej stronie. W jej sposobie bycia była jakaś naturalność. Była miła i miała szczere spojrzenie. Sophie ją polubiła, wystraszyło ją to.

- Najwyraźniej śledztwo, które prowadziła Gunilla Strandberg, nie przyniosło rezultatów. Zostawiła bardzo niewiele materiałów... Jednak w dokumentach pojawiło się pani nazwisko. - Antonia spojrzała na Sophie i zapytała: - Jak się poznałyście?

- Odwiedziła mnie w miejscu pracy, w szpitalu w Danderyd. Powiedziała, że rozpracowuje Hectora Guzmana. On leżał na moim oddziale, miał złamaną nogę po wypadku samochodowym. To było pod koniec maja, na początku czerwca...

Antonia słuchała.

- Gunilla zadała mi parę pytań o Hectora i to wszystko.

- Znała pani Hectora?

- Poznałam go trochę, gdy u nas przebywał. Czasem tak bywa, że człowiek przywiązuje się do pacjenta. Cały czas powtarzają nam, że nie powinniśmy tego robić... ale łatwo powiedzieć.

Antonia notowała.

- A potem?

- Zadzwoiła do mnie parę razy, zadawała pytania, na które nie znałam odpowiedzi. Hector został wypisany i zaprosił mnie na lunch.

Sophie pochyliła się i wypila łyk herbaty.

- Zaprosił panią na lunch?

Sophie skinęła głową.

-Tak...

Antonii przyszło coś na myśl.

- Jaki on był?

Sophie nie spuszczała wzroku z Antonii.

- Nie wiem, miły, światowy... czarujący.

Antonia pisała w notatniku.

- Leffe Rydbäck? - zapytała nagle, nie podnosząc wzroku.

- Słucham?

- Leffe Arne Rydbäck, czy to nazwisko coś pani mówi?

Sophie potrząsnęła głową.

- Nie, kto to jest?

Antonia spojrzała na Sophie, coś sobie zanotowała.

- W Trasten znaleźliśmy trzech martwych mężczyzn, ale gdy przeszukiwaliśmy lokal, znalazł się i czwarty, zginął wcześniej. Niedawno udało nam się ustalić jego tożsamość, nazywał się Leffe Rydbäck.

- Aha... Nie, nigdy o nim nie słyszałam - odparła Sophie.

- Lars Vinge?

Sophie potrząsnęła głową.

- Nie, tego nazwiska też nie kojarzę, kto to?

Antonia nie odpowiedziała od razu.

- Lars Vinge to policjant, który zamordował Gunillę Strandberg. Nie podaliśmy tego jeszcze do publicznej wiadomości.

Policjantka dalej zadawała pytania. Było ich wiele, ale drobne, błahe i nieszkodliwe. Antonia Miller nic nie wiedziała, nie miała się na czym oprzeć. Nie wiedziała, kto pracował nad tą sprawą. Nie miała żadnej wiedzy na temat Hectora, w zasadzie nie wiedziała nic... Bardzo chciała się czegoś dowiedzieć, zbudować sobie obraz sytuacji. Sophie słyszała to w jej głosie, dostrzegła w jej wymuszonym spokoju.

Sophie kręciła tylko głową, słysząc kolejne pytania Antonii, jako zwykła pielęgniarka nie miała o niczym pojęcia.

Rozmowę przerwał im Albert, który wyjechał na werandę. Widok opalonego chłopca na wózku zbił inspektor Miller z tropu.

- Cześć! Mam na imię Antonia - powiedziała z przesadną wesołością, wstała i wyciągnęła do Alberta rękę.

- Albert.

Sophie otoczyła go ramieniem.

- To mój syn, został mu jeszcze tydzień wakacji. Powiedziałam mu, że powinien wrócić do normalnego rytmu dnia, ale on się tym nie przejął - powiedziała Sophie i pocałowała go w głowę.